

The background of the book cover is a blurred photograph of a grand university hall. On the left, a large, ornate organ is visible. In the center and right, rows of wooden pews are filled with people, likely students, who are out of focus. The lighting is warm and golden, creating a sense of a historic and academic atmosphere.

HENRYK OLSZEWSKI

*Ludzie
Uniwersytetu
w mojej
pamięci*

WYDAWNICTWO NAUKOWE UAM

**Ludzie Uniwersytetu
w mojej pamięci**

*Uniwersytetowi im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu
na setną rocznicę urodzin*

UNIWERSYTET IM. ADAMA MICKIEWICZA W POZNANIU

HENRYK OLSZEWSKI

Ludzie Uniwersytetu w mojej pamięci



POZNAŃ 2015

Recenzent: prof. zw. dr hab. Hubert Orłowski

© Henryk Olszewski 2015

This edition © Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu,
Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2015

Praca finansowana
przez Rektora Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
oraz Wydział Prawa UAM

Projekt okładki: Ewa Wąsowska
Redaktor: Małgorzata Szkudlarska
Redaktor techniczny: Elżbieta Rygielska
Formatowanie komputerowe: Danuta Kowalska

ISBN 978-83-232-2918-6

WYDAWNICTWO NAUKOWE UNIwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
61-701 POZNAŃ, UL. ALEKSANDRA FREDRY 10
www.press.amu.edu.pl

Sekretariat: tel. 61 829 46 46, faks 61 829 46 47, e-mail: wyd nauk@amu.edu.pl
Dział sprzedaży: tel. 61 829 46 40, e-mail: press@amu.edu.pl

Wydanie I. Ark. wyd. 31,00. Ark. druk. 30,375

DRUK I OPRAWA: UNI-DRUK, LUBOŃ, UL. PRZEMYSŁOWA 13

Spis treści



Uniwersytet i jego ludzie	7
Juliusz Bardach	13
Jan Baszkiewicz	27
Martin Broszat	43
Edmund Cieślak	55
Maksymilian Cypel	61
Paweł Czaplewski	63
Władysław Czapliński	67
Antoni Czubiński	73
Robert Feenstra	81
Jakub Goldberg	87
Stanisław Grodziski	91
Konstanty Grzybowski	111
Jörg K. Hoensch	129
Werner Jochmann	135
Karol Jonca	167
Zdzisław Kaczmarczyk	173
Alfons Klafkowski	229
Leon Koczy	239
Gerard Labuda	243

Bogdan Lesiński	249
Witold Maisel	259
Maria Majchrzak	269
Friedrich Meinecke	271
Anna Michalska	301
Kazimierz Orzechowski	307
Janusz Pajewski	321
Zbigniew Radwański	327
Stanisław Russocki	333
Franciszek Ryszka	337
Michał Szczaniecki	343
Edward Serwański	363
Marek Sobolewski	387
Eleonora Szembel	401
Jerzy Walachowicz	405
Zygmunt Wojciechowski	409
Klaus Zernack	435
Zygmunt Ziemiński	477
Nota wydawnicza	483

Uniwersytet i jego ludzie



Tom, który składam w ręce Czytelnika, powstał z estymy dla historii jako podstawowej nauki społecznej i zarazem z zafascynowania Uniwersytetem, odgrywającym zarówno w przeszłości, jak i dziś pierwszoplanowe role. Tekst ten jest też wyzwaniem dla pamięci – indywidualnej, zbiorowej – o ludziach, których uznaję za osobowości tworzące wielkość Uniwersytetu. Można rzec, że „słowami kluczowymi” na jego stronicach są: historia – Uniwersytet – jego ludzie.

Uniwersytetu nie można postrzegać bez uwzględnienia jego historii, podobnie zresztą jak nie można tego czynić w przypadku prezentacji każdej innej ważnej instytucji. Świat bez historii nie istnieje, gdyby istniał, byłby kaleki. Przeszłość jest wśród nas, czy tego chcemy czy nie. Czasami wypycha nas do przodu, innym razem jakby przytrzymuje za rękę – tak czy inaczej jesteśmy w niej zanurzeni dogłębnie¹. Historia jest drogą prowadzącą z przeszłości ku teraźniejszości, drogą pełną zaskakujących zwrotów, raz prostą i szeroką, innym razem pełną zakrętów. Poddajemy ją osądowi w poszukiwaniu korzeni, poszukujemy legitymizacji naszych działań, interesuje nas występujący w niej element ciągłości. I nie ma tu nic do rzeczy, że często traktujemy ją wybiórczo, jak garderobę ze starociami potrzebnymi nam na szczególne okazje².

Metrykę urodzenia i świadectwo młodości wypisało Uniwersytetowi średniowiecze. Ślady tej epoki rozpoznajemy głównie po zewnętrznych rekwizytach uniwersyteckiej tradycji. To togi, birety, gronostaje, insygnia rektorskiej władzy czy łacińskie teksty oficjalnych aktów. Ale średniowieczny Uniwersytet przekazał potomności coś więcej: stworzył potęgę nauki, symbolizował pra-

¹ K. Grzybowski, *Refleksje sceptyczne*, t. 1, Warszawa 1970, s. 113.

² J. Tazbir, *Pożegnanie z XX wiekiem*, Warszawa 2000, s. 289.

gnienie wiedzy, wnosił trwałe wartości do kultury umysłowej³. Uniwersytet powstawał w dobie wielkiego przełomu, jakim był prerenesans XII i XIII stulecia; miał wzmocnić autorytet zagrożonej władzy duchownej, ale i zaspokajać potrzeby państwa, rodził się z ciekawości świata, poszerzał go, ale i zbliżał do siebie. Prawda, że sława największych Uniwersytetów – w Paryżu, Bolonii, Montpellier czy Oksfordzie – miała różne konotacje, wyrastała w różnej społecznej i politycznej tkance. Prawda też, że Uniwersytet się przeobrażał, bo przeobrażał się świat. Dzieje Uniwersytetu znają okresy świetności i lata upadku. Kształcił elity, zdolne dotrzymywać kroku trendom rozwoju, humanistów o otwartym umyśle, ale też nie zawsze wytrzymywał presję ze strony państwa i władzy, która chciała go poddać kontroli i podporządkować. Ważnym wynalazkiem okazał się Uniwersytet Wilhelma von Humboldta z jego filozofią wolności nauki i wykładów oraz wdrażania studentów do życia w wolnym społeczeństwie. Ale dobrze też pamiętamy Uniwersytet „brunatny” z okresu totalitaryzmu faszystowskiego i Uniwersytet „czerwony” czasów totalitaryzmu stalinowskiego. Po drugiej wojnie światowej idea Uniwersytetu stawiała się jednak synonimem wartości twórczych. Ich fundamentem jest zasada racjonalności, apoteoza rozumu. „Rozumność” nakazuje uczonemu dochodzić do prawdy. Prawda zaś jest prawdą danego czasu, prawdą niepełną; stąd powinna być badana i doskonała. Uczony wsłuchuje się w potrzeby społeczne dyktowane przez czas i okoliczności. Wątpi i to sceptycyzm narzuca mu badawcze pytania, na które ma on odpowiedzieć oraz wybiera środki i metody, które mu w badaniu służą. Wolność w nauce jest wolnością wyboru tematu badania i wolnością decydowania o przyjmowanej strategii badawczej. Znany socjolog Piotr Sztompka podkreśla przekonywająco, że wynik podjętego badania jest z reguły nieprzewidywalny, jakże często stanowi rezultat różnych sprzyjających przesłanek. Stwierdza on trafnie, że genialni odkrywcy, tacy jak: Mikołaj Kopernik, Galileusz czy Albert Einstein, „nie mieliby żadnych szans w konkursie o granty”⁴. Użyteczność społeczna badania dopiero po latach okazuje się sprawdzonymi teoriami naukowymi. Badacze traktujący Uniwersytet jako wspólnotę mistrzów, terminatorów i studentów, wspólnotę opartą na tradycji, ale zarazem zdolną do dotrzymywania kroku wyzwaniom współczesności, nie mają wątpliwości, że środowisko akademickie posiada moc samooczyszczania się z patologii, a droga do tego oczyszczania wiedzie przez krytykę, i to krytykę generowaną we własnych szeregach. Nie są oni admiratorami Krajowych Ram Kwalifikacji, preferującymi zrównanie kształcenia, parametryzację i arytmetyczne miary w ocenie nauki i nauczania. Ich Uniwersytet nie jest „korporacją najemników świadczącą usługi edukacyjne” i nie powinien być forum, na którym studenci

³ J. Baszkiewicz, *Młodość uniwersytetów*, Warszawa 1963, s. 11

⁴ P. Sztompka, *Uniwersytet współczesny. Zderzenie dwóch kultur*, „Nauka” 2014, nr 1, s. 11.

w ankietach oceniają wykładowców. Studenci powinni dojrzewać pod opieką profesorów, ale dochodzić do wiedzy o własnych siłach⁵. Trzeba wierzyć, że idea Uniwersytetu przetrwa obecny kryzys, który puka do drzwi i szczególnie dla humanistyki wydaje się bolesny oraz niebezpieczny. Bo i o tym trzeba pamiętać, że kultura akademicka opiera się na zasadzie hierarchii. Hierarchia zaś wynika z prostego założenia, że – znów odwołam się do słów Piotra Sztompki⁶ – „mądrość, talent, pasja do pracy i samodyscyplina nie są we wspólnocie uniwersyteckiej rozdzielane równo”. A także „nierówne są naukowe osiągnięcia i dydaktyczne wyniki”. W kulturze akademickiej „konstytutywną relacją”⁷ jest stosunek mistrza, sprawdzonego i autentycznego autorytetu naukowego (guru), do młodszych pracowników i doktorantów, oraz profesora – wykładowcy do studentów. „W całym Uniwersytecie wyłania się spontanicznie elita tych najlepszych, najbardziej zasłużonych i utytułowanych. Jest to całkowicie naturalne i sprawiedliwe, o ile hierarchia zbudowana jest według rzeczywistych zasług, według kryteriów merytorycznych”⁸. Po to istnieje rozbudowana drabina stopni i tytułów naukowych, by ta hierarchia była widoczna i była respektowana.

Tu pojawia się problem ludzi Uniwersytetu. Kim są osoby, którym poświęcony jest niniejszy tom? Czy kategoria osób, których tym mianem określam, w ogóle istnieje? Odpowiedź nie należy do łatwych. Możliwa wydaje się ona wyłącznie przez wyliczenie desygnatów, które przypisujemy tym osobom. I w takim przypadku nasz osąd będzie niepełny i niepewny. Ludzie Uniwersytetu to nie pracownicy szkoły wyższej, którzy na uczelni zarabiają na utrzymanie, prowadzą badania i są poprawni jako akademicy nauczyciele. Ludzie Uniwersytetu to osobowości, które w szczególnie efektywny sposób związane są z Uniwersytetem i mają świadomość tych więzów, które identyfikują się z nim, mają udział w urzeczywistnianiu jego misji jako wspólnoty, są dumni z tego, że mogą być członkami tej wspólnoty. To oczywiście wielcy badacze, autorzy pionierskich książek, odkrywcy – twórcy szkół naukowych. To oni tworzą renomę Uniwersytetu, są – jak modnie dziś mawiamy – jego „twarzą”. Ich osiągnięcia są sukcesami uczelni; kręgi zataczane przez ich dzieła wyznaczają zakres sławy Uniwersytetu, jakże często mówi on właśnie ich głosem i w ich imieniu. Żyją w swoich dziełach i w swych postawach. Pamięć o nich powinna być trwała; odporną na starzenie się powinna być pamięć o ich miejscu w historii nauki i kultury. Człowiek Uniwersytetu buduje i utrwała więzi między uniwersytetami i potrafi porozumiewać się ze społeczeństwem; wtedy najsilniej odbierany

⁵ Por. S. Filipowicz, *Uniwersytet Jana Baszkiewicza*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 2012, t. 66, z. 2.

⁶ P. Sztompka, op. cit.

⁷ Ibidem, s. 14.

⁸ Ibidem.

jest i utożsamiany z Uniwersytetem, nauką, środowiskiem akademickim. Pamiętam, jak wybitnego humanistę, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Konstantego Grzybowskiego pozdrawiali w czasie spaceru po plantach nieznanymi przechodniami i wszczynali z nim dyskursy. Sławę zawdzięczał nie tylko tekstom naukowym, ale występom w telewizji i w publicystyce. Za ludzi Uniwersytetu uważam także tych uczonych, którzy byli niezapomnianymi nauczycielami i przyciągali na wykłady tłumy studentów, współtworząc ów niepowtarzalny klimat panujący w akademickiej wspólnocie. O wielkości Uniwersytetu decydowali w niemałej mierze również ci, którzy wypowiadali ważne słowa w istotnych momentach przełomu i swą aktywnością integrowali akademicką społeczność. Przypominają mi się słowa Alfonsa Klafkowskiego, który obejmując urząd rektora Uniwersytetu Poznańskiego w październiku 1956 r., w płomiennym przemówieniu w wypełnionej do ostatniego miejsca auli, wzywał do obrony suwerenności państwa polskiego przed interwencją wojsk radzieckich. Człowiek Uniwersytetu służy wspólnocie w każdym czasie, nie uważa się za jej wierzyciela, nie chełpi kombatanckimi zasługami, jest z uczelnią na dobre i na złe. Jego faktyczne zasługi najpełniej wyrażają lata trudne, czas przełomu, kiedy wspólnota akademicka bywa zagrożona.

W czasie ponad sześćdziesięciu lat, w jakich dane mi było być częścią środowiska akademickiego, poznałem wielu wspaniałych ludzi, którzy w pełni zasługują na miano ludzi Uniwersytetu. O nich traktuje niniejszy zbiór. W tomie mogłem naturalnie uwzględnić tylko niektórych z nich. Wspominam tych, których uważam za swoich mistrzów⁹. Piszę o tych, którzy mnie uczyli w czasie studiów, tych, z którymi połączyły mnie więzy naukowego powinowactwa w czasie zdobywania stopni i tytułów. Najliczniejsi z nich związani byli z moim macierzystym Uniwersytetem, ale liczni reprezentowali inne Uniwersytety w kraju i za granicą. Pamiętam o pracownikach, wzorowo – moim zdaniem – działających w administracji i obsłudze macierzystego Uniwersytetu, bo uważam, że bez takich osób żadna uczelnia nie może funkcjonować. Odtwarzam okoliczności, w jakich dochodziło do nawiązania więzi z „moimi” bohaterami, staram się opisać ich życie i dzieło, wytłumaczyć, dlaczego warto utrwać ich w naszej pamięci. O wielu z nich już pisałem, najczęściej z okazji obchodzonych jubileuszy lub we wspomnieniach pośmiertnych¹⁰. Pomieszczone w tomie tek-

⁹ Jednego z nich, Fryderyka Meineckego, nie mogłem osobiście poznać, bo zmarł w wieku prawie stu lat w roku 1954, kiedy jeszcze byłem studentem, ale przez prawie dziesięć lat obcowiałem z jego tekstami. Bez uwzględnienia jego dzieła nie byłoby możliwe zrozumienie dróg i bezdroży, przez jakie przebiegała się historiografia niemiecka, której rozwój śledziłem w swoich „niemieckich” książkach i o której późniejszych koryfeuszach – mających swe miejsce w niniejszym tomie – nieraz pisałem.

¹⁰ Aktywni twórczo są dwaj uczeni obecni w zbiorze. Pierwszym jest historyk niemiecki Klaus Zernack, dr h.c. Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, z którym łączą mnie wciąż więzy naukowej

sty z reguły różnią się jednak od pierwodruków, są poprawione i uzupełnione¹¹. Część tekstów napisana jest od nowa. Teksty są niejednorodne, różnie dokumentowane, pisane w różnej konwencji, pochodzą z różnego czasu. Ich forma często odpowiada charakterowi mojej relacji z bohaterem. Tom zawiera zatem materię o wysokim stężeniu subiektywizmu. Fakt, że pojawiają się w nim zdania o charakterze autobiograficznym, powinien być traktowany wyłącznie jako element subsydiarny, służący odtwarzaniu życia i dzieła tych, którym poświęcono wspomnienia. Intencją moją jest utrwalanie pamięci o nich. Jest to ważne w epoce, w jakiej żyjemy – epoce erozji autorytetów i kryzysu humanistyki, w świecie konfliktogennym, nasyconym nowymi formami komunikowania się, podatnym na szybkie metamorfozy.

Dziękuję Panu Profesorowi Bronisławowi Marciniakowi, Rektorowi Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, za umieszczenie książki w planie wydawniczym uczelni.

Dziękuję Panu Profesorowi Romanowi Budzinowskiemu, Dziekanowi Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, za inicjatywę jej wydania.

Składam podziękowania zespołowi redakcyjnemu Wydawnictwa Naukowego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu za życzliwość i sprawne wydanie książki.

współpracy. Drugim pozostaje Stanisław Grodziski, nestor w środowisku polskich historyków prawa, który w moim życiu naukowym grał, i wciąż odgrywa, tak wielką rolę, że jego brak w tomie uznałem za niedopuszczalny.

¹¹ Mówią o tym glosy w poszczególnych rozdziałach tomu.

Juliusz Bardach



Kiedy dotarła do środowiska wieść, że w wieku 95 lat zmarł Juliusz Bardach, ogarnęło nas poczucie, że w dziejach nauk historyczno-prawnych dobiegła końca pewna epoka. Profesor Juliusz Bardach był najwybitniejszym polskim przedstawicielem tych nauk w drugiej połowie ubiegłego stulecia. Należał do tych nielicznych uczonych, którzy – jak niegdyś Michał Bobrzyński, Oswald Balzer i Stanisław Kutrzeba, a po nich Zygmunt Wojciechowski, Adam Vetulani i Konstanty Grzybowski – nie tylko przecierali szlaki wiodące do prawdy w znakomitych książkach, ale też mieli naturę duchowych przywódców, pośredniczyli między uniwersytetem a szerokimi kręgami społeczeństwa, byli ambasadorami polskiej humanistyki w świecie, wypowiadali ważne słowa w przełomowych chwilach. Juliusz Bardach spajał przeszłość z wyzwaniem zmieniającego się czasu, uczył, jak mądrze korzystać z darów historii. I choć długa choroba sprawiła, że w ostatnich latach nie mógł już w dawnej skali kontynuować dzieła tworzenia, to przecież do końca był obecny w środowisku polskich humanistów, uczestniczył w jego pracach, spotykał się z uczniami, dzielił doświadczeniami. Znałem go ponad sześćdziesiąt lat. Również mnie towarzyszył w całej drodze naukowej. Był dla mnie mistrzem i prawdziwym ojcem. Zaszczycił mnie szczerą przyjaźnią, był najlepszym nauczycielem. Jego odejście w 2010 r. pozostawiło żal i poczucie pustki.

Juliusz Bardach miał barwne życie, w którym nie brakowało zarówno chwil pięknych, jak i dramatycznych. Urodził się w 1914 r. w Odessie, gimnazjum kończył we Włodzimierzu Wołyńskim, w latach 1933–1938 studiował prawo w Wilnie. Uniwersytet Stefana Batorego wiele znaczył w jego życiu. Często wracał we wspomnieniach do niepowtarzalnej atmosfery panującej w jego murach. Ze wzruszeniem wspominał wileńskich profesorów tego Uniwersytetu – Stefana Ehrenkrentza i Jana Adamusa. Z wybitnym znawcą historii Litwy Henrykiem

Łowmiańskim, na którego ćwiczenia w Studium Historii Prawa Litwy pilnie uczęszczał, utrzymywał ścisłe więzi naukowej współpracy, a potem pomagał jego poznańskim uczniom. Wilno było nie tylko pierwszym miejscem aktywności badawczej młodego historyka prawa, kształtowało też jego osobowość działacza. Juliusz Bardach głosił poglądy socjalistyczne, tu wstąpił do Polskiej Partii Socjalistycznej i w 1938 r. został redaktorem wileńskiej mutacji „Robotnika”.

Ten rodowód „niekomunistycznego socjalisty” nie musiał stać się jego sprzymierzeńcem w latach wojny, która brutalnie przerwała obiecująco zapowiadającą się karierę i sprawiła, że Juliusz Bardach – jak wielu Polaków z Kresów – znalazł się na terenach Związku Radzieckiego. Kto wie, czy wstąpienie do tworzącego się Korpusu Polskich Sił Zbrojnych na Wschodzie nie uratowało mu życia i zdrowia. Z pewnością uchroniło go przed represjami, których nie uniknął m.in. jego młodszy brat Janusz, przez pięć lat więzień łagru, po wojnie światowej sławny chirurg plastyczny, autor wspomnień o losach zesłańca opublikowanych w książce *Człowiek człowiekowi wilkiem*. Jako oficer pionu politycznego w randze pułkownika Juliusz Bardach przeszedł z Pierwszą Armią Berlinga drogę do Berlina, a po zakończeniu wojny – w latach 1945–1947 – pełnił funkcję attaché wojskowego przy ambasadzie polskiej w Moskwie. Wojskowy mundur jednak mu nie odpowiadał, gdyż jego marzeniem był powrót do badań, na Uniwersytet. Zaczęło się ono spełniać w roku 1948, kiedy to odebrał dyplom doktora prawa z rąk prof. Adama Vetulaniego na Uniwersytecie Jagiellońskim. W roku 1950 już na trwałe związał się z Uniwersytetem Warszawskim. Był kierownikiem Katedry Historii Państwa i Prawa Polskiego na Wydziale Prawa, wieloletnim dyrektorem Instytutu Historii Prawa UW i przewodniczącym jego Rady Naukowej.

Autorytet naukowy i moralny zdobywał w „czasach złych, trudnych i nieprzyjaznych, które wielu odebrały trwale rozsądek, spokój i pogodę ducha. Juliusz Bardach potrafił te przymioty zachować” (Jan Baszkiewicz), ba – zarażać nimi innych. To jego poczuciu odpowiedzialności, darowi perspektywicznego myślenia, elastyczności w działaniu i umiejętności zawierania mądrych kompromisów, wreszcie znajomości ludzi i przyjaznemu do nich stosunkowi zawdzięcza środowisko historyków prawa, że wyszło z lat stalinowskiego totalitaryzmu bez większych strat, że żadna wartościowa rozprawa nie spoczęła w szufladzie, że zachowane zostały substancja osobowa w środowisku i warunki rozwoju w przyszłości.

Zrozumiałe, że ów niepowtarzalny autorytet, który jednoczył wokół niego środowisko i z czasem doprowadził go do najwyższych godności, jakie mogą być udziałem uczonego – do członkostwa Polskiej Akademii Nauk, Towarzystwa Naukowego Warszawskiego i włoskiej Accademia del Lincei oraz licznych zagranicznych towarzystw naukowych i doktoratów honorowych przyznanych przez Uniwersytet Łódzki (1995), Uniwersytet Warszawski (1996),

Uniwersytet Wileński (1997) i Uniwersytet Jagielloński (1999), a także do kilku dedykowanych mu ksiąg pamiątkowych – był przede wszystkim pochodną imponującego dorobku twórczego.

Juliusz Bardach był uczonym, który odważnie przekraczał bariery między naukami humanistycznymi i społecznymi, wzniesione przez akademicką tradycję i biurokratów, ale przede wszystkim czuł się historykiem prawa. W prostych słowach podkreślał swą przynależność do środowiska historyczno-prawnego. Historia prawa to dyscyplina graniczna, należąca zarówno do nauk prawnych, jak i historycznych. Roztrząsanie, czy historyk prawa jest bardziej historykiem czy bardziej prawnikiem, Juliusz Bardach uważał za pozbawione merytorycznych podstaw. Muzy Themis i Klio patronują mu na równi i zasługują na jednakie uczucia. W twórczości historyka prawa dopełnia się – podkreślał¹ – intymny związek historii z prawem. Znaczenie historii prawa jako nauki wynika z roli prawa jako podstawowej instytucji w życiu społecznym i narodowym, a zarazem z siły państwa, które stanowi strukturę opartą na prawie. Te ważne okoliczności decydują o misji historii prawa integrującej pokrewne dyscypliny humanistyczne i społeczne; rozstrzygają także o więziach historii ze współczesnością². Autor powoływał się tu na klasyków francuskiej szkoły Annales i chętnie cytował piękne słowa Tadeusza Manteuffla: „Historia nigdy nie jest w całości czasem przeszłym dokonany, jej sens nigdy nie da się całkowicie wyczerpać, bo jest on także współwyznaczony przez otwartą perspektywę tego, co nastąpi w przyszłości. Historia jako obszar »zamknięty« jest legendą. Życie tego, co »minione«, jest jeszcze w pewnym sensie przed nami”³. Zgadzał się z Konstantym Grzybowskim, że w przeszłości należy widzieć drogę ku teraźniejszości, a w wysnutej z przeszłości współczesności – drogę ku przyszłości⁴. Integralne badanie tak szeroko rozumianej przeszłości traktował Juliusz Bardach jako zobowiązanie badacza do starannego formułowania pytań i jasnego definiowania konturów badanej materii. Stąd wielka waga, jaką przywiązywał do nowoczesnych postaw i technik ba-

¹ Por. przemówienie J. Bardacha na uroczystości nadania mu doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1999, t. 51, z. 2, s. 514–515.

² Pisał: „Jako graniczne, dyscypliny historyczno-prawne są szczególnie powołane do tego, by wykorzystać zarówno swe techniki badawcze, jak i właściwe sobie podejście wzbogacając zarówno nauki prawne, jak i nauki historyczne. Metodologiczne różnice między nimi ustępują na plan dalszy w obliczu potrzeby badań kompleksowych, wynikających z fundamentalnej jedności wszystkich nauk społecznych”. J. Bardach, *Themis a Clio, czyli o potrzebie podejścia historycznego w prawoznawstwie*, Warszawa 2001, s. 33.

³ Z przemówienia J. Bardacha w czasie uroczystości nadania mu doktoratu *honoris causa* przez Uniwersytet Warszawski, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1997, t. 49, z. 1–2, s. 304.

⁴ Zob. H. Olszewski, *Historia doktryn politycznych i prawnych w twórczości Konstantego Grzybowskiego*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego” 306: „Prace z Nauk Politycznych” 1973, z. 4, s. 31 i n.

dawczych, do metodologii badania. Interesowało go, dlaczego poznawanie i rozumienie prawa wymaga podejścia historycznego. Tłumaczył, co oznacza metoda porównawcza w ustroju i jakie skutki niesie z sobą właściwe rozpoznawanie zasad rządzących ruchem, przeobrażaniem się instytucji w ustroju i przenikaniem się systemów prawnych. Ciekawiło tym bardziej, że ulubioną formą przekazu pozostawało u niego podejmowanie tematów kontrowersyjnych lub leżących odłogiem, poprawianie błędów poprzedników, obalanie mitów naukowych, walka ze stereotypami.

Nie sposób w krótkim szkicu scharakteryzować twórczość Juliusza Bardacha. Jest to niemożliwe choćby dlatego, że bibliografia jego prac liczy kilkaset pozycji dotyczących różnych zagadnień, że są tu różne gatunki naukowej prozy, obejmujące różne epoki i rozmaite przestrzenie. Celem, jaki sobie w tej publikacji wyznaczyłem, jest wyłącznie uzyskanie odpowiedzi na pytanie, jakie zasady metodologiczne autor preferował i w jakim stopniu ich przestrzegał w swych pracach szczegółowych.

O potrzebie historycznego podejścia w prawoznawstwie Juliusz Bardach pisał wielokrotnie⁵. W Polsce niewielu miał poprzedników, ale w krajach zachodnich – zwłaszcza we Francji oraz na obszarze niemieckojęzycznym – literatura naukowa przedstawiała się wcale okazale. Autor ją nie tylko skrupulatnie i krytycznie wykorzystał, ale i uzupełnił licznymi własnymi przemyśleniami, co przyczyniło się do tego, że tematyka zyskała na barwie i umocniła swe znaczenie w naukowym obiegu.

Punktem wyjścia w rozważaniach autora było nie tylko przyjęcie jedności nauk historyczno-prawnych i pozostałych dyscyplin wchodzących w obręb prawoznawstwa, ale i uznanie, że prawo stanowi część kultury społecznej i że wzajemne oddziaływanie na siebie kultur może być poznane tylko historycznie. Podejście historyczne – przekonywał – jest konieczne szczególnie przy badaniu „dróg kształtowania się i przemian systemów prawa”, które nigdy nie dokonywały się w izolacji społecznej, a zawsze stanowiły rezultat złożonych konfiguracji, jakie zachodzą między państwami, grupami społecznymi i jednostkami. W konsekwencji „współczesność jest uwarunkowana przez całokształt procesu historycznego, przez całość wytworzonych przezeń tradycji, postaw, psychiki narodowej, które są częstokroć bardziej trwałe niż połączone z nimi rozlicznymi więzami [...] instytucje polityczne i prawne. Nie sposób zrozumieć jednych

⁵ Waler syntetyzujący ma studium: J. Bardach, *Themis a Clio, czyli o potrzebie podejścia historycznego w prawoznawstwie*, [w:] *Zagadnienia metodologiczne prawoznawstwa. Materiały z sesji naukowej*, Łódź, 27–28 marca 1980 r., red. J. Wróblewski, Warszawa 1982, s. 21–48. Poniżej cytuję według tekstu zamieszczonego w antologii pism autora pt. *Themis a Clio, czyli prawo a historia*, Warszawa 2001, s. 11–33. Por. też skróconą wersję francuską: *Themis et Clio ou de l'approche dans la science du droit*, [w:] *Una oferta científica iushistorica internacional al doctor J.M. Font i Riuspar sus ocho lustros de docencia universitaria*, s. 45–55.

bez poznania drugih. Stąd konieczność ujmowania zjawisk ustrojowych i prawnych w całokształcie procesu historycznego, z uwzględnieniem miejsca, jakie badane instytucje zajmują w stosunku do innych manifestacji aktywności społecznej oraz roli, jaką w odniesieniu do nich spełniają”⁶.

Podejście historyczne jest szczególnie inspirujące, gdy obejmuje procesy długiego trwania. Pozwala wtedy na ukazanie makrostruktur, dając prawnikowi ogólny obraz danego systemu politycznego i prawnego oraz sprzyjając uzyskaniu jego wizerunku integralnego; zamiast do obrazu statycznego, prowadzi do obrazu dynamicznego. Juliuszowi Bardachowi bliskie było tu stanowisko reprezentowane przez „uniwersalistyczną szkołę socjologiczną w prawie związaną z grupą »Annales«”; jej koryfeuszy, takich jak Marc Bloch i Fernand Braudel, uważał za swoich duchowych mistrzów⁷. Nie sądził, by dobry prawnik musiał być tylko *un interprete respectueux*⁸ obowiązującego ustawodawstwa, kustoszem prawa zastanego. Przeciwnie – warunki, jakie dyktuje współczesny rozwój, coraz bardziej wartkie tętno przemian, które przyspieszają proces „starzenia się” przepisów prawa, wymagają od prawnika umiejętności dotrzymywania kroku tendencjom czasu, daru przewidywania przyszłych potrzeb i przyszłych regulacji, sztuki prognozowania trendów rozwoju. Bez uwzględnienia doświadczeń przeszłości nie jest to możliwe. Historyzm to lek przeciwko zarażaniu się technicyzacją prawa, środek pozwalający redukować jakże niebezpieczne przekonanie o „omnipotencji prawnej regulacji”, między innymi przez to, że ukazuje „miejsce prawa w ogólnym nurcie przemian, jego zmienność oraz tej zmienności uwarunkowania”⁹.

Juliusz Bardach wiele uwagi poświęcał znaczeniu podejścia historycznego przy ustaleniach natury terminologicznej. Chodziło tym razem nie tyle o wskazanie terminów pochodzenia obcego, ile o uprawdopodobnienie, jak przebiegały i jak kończyły się procesy identyfikacji pojęć między, na przykład, terminami łacińskimi a staropolską terminologią prawniczą. Pozwalało ono również na ustalanie „źródeł wieloznaczności pojęć używanych w prawie współczesnym, służąc w ten sposób dalszemu precyzowaniu słownictwa prawniczego”. Stawiało wreszcie przed historykiem prawa imperatyw badania nie tylko litery dawnego prawa, ale i praktyki prawnej, w szczególności judykatury. Juliusz Bardach uważał w związku z tym, że badania historyka prawa tkwią w punkcie wyjścia badań socjologiczno-prawnych.

⁶ J. Bardach, *Themis a Clio...*, s. 15.

⁷ Ibidem, s. 17.

⁸ Ibidem.

⁹ Ibidem. s. 25 i n.

Poważny walor poznawczy miało uznanie, iż podejście historyczne w dziedzinie prawa jest jednocześnie i retrospektywne, i perspektywiczne. Ruch bowiem w procesie historycznym i jego opisywanie odbywają się od przeszłości ku teraźniejszości, ale zrozumienie i myślowe przetrwanie tego procesu osiąga się przez wysiłek umysłu poznającego w kierunku odwrotnym. „Badanie historyczne jest zawsze – w ostatecznym rachunku – poszukiwaniem w przeszłości źródeł i korzeni teraźniejszości”. Retrospekcja pozwala w przeszłości dojrzeć to, co weszło z niej do współczesności. Dzięki dynamicznemu sposobowi ujmowania zjawisk społecznych możliwe staje się też prognozowanie. Jeżeli w badaniach prowadzonych przez prawników polskich retrospekcja nie grała wcześniej poważniejszej roli, to było to w dużym stopniu konsekwencją silnego nacisku kładzionego na brak ciągłości w historii ustroju politycznego. W dziedzinie badań nad prawem retrospekcja ograniczała się głównie do wykorzystania bogatego słownictwa prawniczego. Poddając dyskretną krytykę stanowisko marksistowskich dogmatyków, takich jak Stefan Rozmaryn czy Jan Wasilkowski, którzy odcinali Polskę Ludową od zakorzenienia w historii, Juliusz Bardach już w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia pomagał wyprowadzić polskie prawoznawstwo z okopów ortodoksyjnie i po kramarsku pojmowanego marksizmu. Przeciwstawiał mu twierdzenie, że „współczesna kultura narodowa stanowi dalszy ciąg kultury narodowej epok poprzednich”. Odrzucał myśl, jakoby „tylko prawo jako część kultury narodowej oderwało się od kultury ogólnej i jakoby tylko w tej dziedzinie można się obejść bez poznania historycznego”¹⁰.

Refleksja nad historyzmem prowadziła Juliusza Bardacha do głębokich studiów nad rolą recepcji i metodą prawno-porównawczą w historii prawa.

Recepcji poświęcał Juliusz Bardach baczność uwagę w licznych swoich tekstach. Przenikały się tu i wzajemnie uzupełniały prace analityczne, źródłowe oraz prace podejmujące recepcję jako problem teoretyczny. Siłą rzeczy bardziej interesujące wydają się w tym miejscu te drugie¹¹, które zresztą wynikały z rozległych kwerend poprzedzających rozprawy syntetyzujące¹². Autor poddawał analizie spory toczące się od dawna w piśmiennictwie światowym wokół

¹⁰ Ibidem, s. 29.

¹¹ Pierwszy tekst syntetyzujący wiedzę o zjawisku recepcji pochodzi z połowy lat siedemdziesiątych. Była to rozprawka pt. *Pojęcie recepcji i jej zakres w historii państwa i prawa*, [w:] *Ars historica. Prace z dziejów powszechnych Polski. Księga pamiątkowa ku czci prof. Gerarda Labudy*, Poznań 1976, s. 91–99. Rozwinięciem jej też było obszerne studium *Recepcja w historii państwa i prawa*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1977, t. 29, z. 1, s. 1–62, potem uzupełnione i opublikowane w zbiorze studiów pt. *Themis a Clio...*, s. 35–97. Por. też *La reception comme facteur dans l'histoire de la culture*, „Slavica Gandensia” 1979, t. 6, s. 131–147.

¹² Potwierdza to wcześniejsza rozprawa *Wacław Aleksander Maciejowski i jego współcześni*, Wrocław – Warszawa 1971, która jest klinicznym przykładem świetnego wykorzystania teoretycznej wiedzy o recepcji w praktycznym badaniu z zakresu powszechnej historii nauki prawa.

tego wieloznacznego terminu; badał tło i przebieg recepcji na przestrzeni dziejów. Wychodził z założenia, że wieloraka treść, jaką wpisuje się w to pojęcie, wcale nie musi być wyrazem braku precyzji u poprzedników w fachu; przeciwnie – świadczy o wielorodnym przypisywanym znaczeniu, które badacz musi sobie uświadamiać, dowodzi swej doniosłości jako problem badawczy, jako ewokująca siła. I nie należy się obawiać złych skojarzeń, tak częstych w literaturze, w której pojęcie recepcji często łączono z przekonaniem o młodszości, *ergo* niższości kulturalnej strony recypującej. Nie trzeba też mniemać – pisał – iż przejmowane wzory i wartości integrują się w całość kultury recypującej, jako że takie stanowisko z reguły pomija przejawy dysharmonii kulturowej, powstającej często w rezultacie recepcji. Recepcja zawiera w sobie treści, które mieszczą w sobie inne określenia: asymilacja, penetracja, infiltracja, ekspansja, transmisja, upowszechnianie, wpływanie, przenikanie itp. Ale to termin recepcja, zrodzony na gruncie nauk prawnych, jest tym narzędziem, którym najczęściej posługuje się historia zarówno kultury materialnej, jak i duchowej. Autor dowodził, że w odróżnieniu od różnorodnych form penetracji, infiltracji, asymilacji elementów obcej kultury duchowej i materialnej do kultury narodu recypującego, które przeważnie dokonują się w sposób spontaniczny, recepcja prawa jest w zasadzie wynikiem świadomej działalności rządzących. W odległych epokach recypowanie odbywało się z reguły dzięki stosowaniu przejmowanego prawa w praktyce sądów; w czasach nowożytnych – w postaci recepcji drogą ustawodawczą. Stąd wynika – podkreślał – większa niż w innych dziedzinach kultury instytucjonalizacja transmisji dokonywanej w prawie. Nie oznacza to wszelako, że recepcja w prawie ograniczała się do powtarzalnych – w postaci judykatury lub jednorazowych aktów organów ustawodawczych – działań organów państwa. Na ogół recepcji towarzyszyła, wyprzedzając ją lub postępując za nią, infiltracja idei i koncepcji prawnych, co stanowi tylko potwierdzenie tezy o złożoności zjawisk i procesów społecznych. Juliusz Bardach dochodził do wniosku, że zasięg recepcji może być – i na ogół bywa – różny w różnych dziedzinach prawa. Tam, gdzie prawo jest mniej rozwinięte, mniej zakorzenione w tradycji, recepcja bywa łatwiejsza i częstsza. Nie było przypadkiem, że najwcześniej podatność na recypowanie prawa wykazały jego dziedziny związane z międzynarodowym obrotem: prawo handlowe, prawo komunikacyjne, międzynarodowe, morskie. Problematyka recepcji w naukach prawnych – podkreślał autor – została rozbudowana na podstawie recepcji czterech epokowych systemów, z których każdy należy rozpatrywać jako rodzaj opartego na empirii „modelu realnego”. Do recepcji modelowych zaliczał on recepcję prawa rzymskiego w starożytności oraz jej ciąg dalszy w średniowieczu i Europie nowożytnej, dalej – recepcję angielskiego *common law* w dawnych koloniach angielskich oraz recepcję francuskiego kodeksu cywilnego

z 1804 r. w Europie XIX stulecia. Wszystkie poddawał wnikliwemu rozbiorowi. Rozszerzał tu pole dociekań, obejmując nim między innymi kraje słowiańskie; zastanawiał się, dlaczego recepcja w ich obrębie ustępowała bardziej atrakcyjnej recepcji spoza granic Słowiańszczyzny. Tłumaczył to między innymi stopniem intensywności komunikacji między krajem wzorcowym a krajem recypującym, która odgrywała większą rolę niż na przykład pokrewieństwo językowe czy etniczne. Podkreślał, że recepcja prawa – zwłaszcza w wiekach średnich – często poprzedzana bywała recepcją ideologii i więzami politycznymi. Rozmach recepcji zależał od poziomu świadomości przejmowania obcych wzorców, od postawy uczonych prawników i prawników praktyków; nie była i nie jest do dziś fenomenem autonomicznym, bywa w stosunku do rodzimego prawa zjawiskiem komplementarnym. Zróżnicowanie form recepcji, jej współistnienie z takimi zjawiskami, jak asymilacja, wpływ, zapożyczenia, wieloraki zakres i różnorodne skutki procesów recepcyjnych, wymagają ciągłego badania, z możliwie szerokim uwzględnieniem metody porównawczej.

Porównywanie w badaniach nad historią ustroju i prawa należy do zabiegów i technik badawczych o znaczeniu fundamentalnym. Metoda porównawcza służy ustalaniu tego, co upodabnia badaną materię do innych, oraz wydobywaniu tego, co charakteryzuje jej odmiennność. Akcent kładziony na odrębność świadczy o jej swoistości w stosunku do wnioskowania *per analogiam*. Juliusz Bardach charakteryzował wartości, jakie ta metoda wnosi do historiografii, wyjaśniał związki, jakie zachodzą między jej stosowaniem a przedmiotem powszechnej historii państwa i prawa, zastanawiał się nad jej relacją do ogólnej teorii państwa i prawa oraz tak zwanej historycznej socjologii prawa. Przeprowadzał też rozległe badania nad historią pojmowania komparatystyki w historii prawa w literaturze przedmiotu¹³ i za swoimi francuskimi mistrzami przypominał z naciskiem, iż nadmierne uwypuklanie podobieństw przy niedostatecznym uwzględnianiu różnic było przyczyną wielu niepowodzeń w stosowaniu komparatystyki¹⁴. Przyjmował, że uogólnienia w komparatystyce powinny opierać się na maksymalnie szerokiej bazie źródłowej; że pożądane bywa zestawianie ze sobą i wzajemne weryfikowanie wyników badania równych nauk społecznych oraz że punktem wyjścia badania winno być założenie o integralności społeczeństwa jako organicznej jedności. Szedł szlakiem przetartym przez znanego francuskiego politologa Maurice'a Duvergera¹⁵, który odróżniał porównywanie instytucji i porównywanie funkcji. Pierw-

¹³ Z autorów polskich oddziaływali inspirująco na Juliusza Bardacha przede wszystkim – jak się wydaje – Marcei Handelsman i Jan Adamus.

¹⁴ J. Bardach, *Metoda porównawcza w zastosowaniu do powszechnej historii państwa i prawa*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1962, t. 14, z. 2, s. 9–57; przedruk [w:] *Themis i Clio...*, s. 99–146.

¹⁵ M. Duverger, *Methodes de la science politique*, Paris 1959, s. 312 i n.

sze jest łatwiejsze, gdyż istnieje wypracowana przez naukę typologia struktur, podczas gdy nie ma takiej typologii, gdy chodzi o ich funkcjonowanie instytucji. Stąd wymóg uwzględniania w komparatystyce funkcjonalnej różnych „kontekstów” otwierających drogi do porównywalności. Jednym z nich jest „kontekst zbliżonych rozmiarów”: nie można porównywać z sobą instytucji diametralnie sobie przeciwstawnych wielkością i orbitą funkcjonowania – nie daje konstruktywnego rezultatu porównywanie ustroju Francji czy Włoch do ustroju San Marino, nie obiecuje ich także porównywanie instytucji, które mają się do siebie jak część do całości. Na manowce może też zaprowadzić porównywanie zjawisk i procesów, które należą do odmiennego „kontekstu kulturalnego”, czyli znajdując się na różnym szczeblu rozwoju cywilizacyjnego. W końcu należy poniechać porównywania instytucji, które nie spełniają parametrów „kontekstu analogicznej roli”, czyli z założenia powoływane bywają do wykonywania różnych, nie zawsze przystających do siebie funkcji. Juliusz Bardach wysoko cenił swego poprzednika właśnie za to, że odszedł on od komparatystyki „formalno-instytucjonalnej” i dzięki swoistej koncepcji „kontekstów” umożliwił powiązanie badań nad instytucjami z realiami życia¹⁶. zarazem jednak uznał wynik jego dociekań za wysoce niezadowolający, bo nieuwzględniający wszystkich ważnych praktycznie okoliczności. Upomniął się też o włączenie do refleksji czynnika czasu i rozwiązanie problemu synchronizacji w czasie, dowodząc, że zachowania należytej czujności wymaga od badacza porównywanie za pomocą metody retrogresywnej zjawisk należących do różnych epok. Nie kwestionował poglądu, iż pewne zjawiska znane z czasów późniejszych można odnosić do epok wcześniejszych „na podstawie całokształtu okoliczności”, utrzymywał wszelako, że potrzebna tu jest świadomość badacza co do istnienia podwyższonego ryzyka. Pisał: „Przy całym uznaniu dla celowości metody retrogresywnej i horyzontów, jakie otwiera jej stosowanie, należy podnieść potrzebę sprawdzania w każdym konkretnym wypadku możliwości zastosowania tej procedury badawczej w świetle rygorów współczesnej nauki”¹⁷. W innym miejscu jeszcze mocniej formułował swe obawy: „Skuteczność porównywania wymaga, aby odbywało się ono w ramach historycznie ukształtowanych grup państw, z zastrzeżeniem synchronizacji w granicach określonych okresów historycznych”¹⁸. Podobnie ostrzegawczo wypowiadał się na temat stosowania w badaniu zasady regionalizacji oraz „metody przeżytków” czy „reliktów”, pierwszej – polegającej na rekonstrukcji instytucji, norm zwyczajowych i tym podobnych na podstawie elementów, które utrzymały się na przykład w folklorze, ale utraciły swe poprzednie znaczenie; i drugiej – szeroko stosowanej w etnografii historycznej

¹⁶ J. Bardach, *Metoda porównawcza...*, s. 30.

¹⁷ Ibidem, s. 123.

¹⁸ Ibidem, s. 139.

i wychodzącej z założenia, że ludność przechowuje starodawne pojęcia i obyczaje w stanie niezmiennym. Konsekwentnie też bronił Jana Adamusa, który – stwierdzając nadużywanie pojęcia „reliktu” czy „przeżytku” – żądał „pełnego dowodu na to, że dane zjawisko stanowi rzeczywiście przeżytek”¹⁹.

Warto krótko pochylić się nad tym, w jakiej mierze sformułowane wyżej założenia metodologiczne znalazły odbicie w badaniach szczegółowych Juliusza Bardacha i do jakich rezultatów doprowadziły. Odpowiedź na te pytania może być w tym miejscu zaledwie powierzchowna, ale jej sens wydaje się interesujący co najmniej z trzech względów. Po pierwsze, wskazania Juliusza Bardacha, mające pobudzać do badań integralnych, kształtowały się na przestrzeni kilkudziesięciu lat i choć dziś należą do kanonu pracy twórczej, pół wieku temu oczywistością nie były. Po drugie, autor przedstawiał wyniki swych dociekań w różnych formach naukowej prozy – w postaci wielkich syntez, w małych formach, stanowiących ulubiony gatunek jego wypowiedzi, wreszcie w tekstach polemiczno-krytycznych, które w jego bibliografii zdecydowanie przeważały. Pochylał się przy tym nad polem badawczym rozmaitej wielkości i oceniał je z uwzględnieniem różnego stopnia bliskości. Podkreślić trzeba tu jako oczywistość, że niezależnie od rozmiaru postawionego przed sobą zadania i niezależnie od zamierzonej formy przekazu starał się dogłębnie wykorzystać źródła; był prawdziwym mistrzem ich egzegezy. Jego teksty, redagowane z rzadkim pietyzmem, przechodziły długi okres „leżakowania”; zanim trafiły do wydawcy, były poddawane dyskusji w gronie znawców, poprawiane i uzupełniane; autor rozstawał się z maszynopisem dopiero po zminimalizowaniu własnych wątpliwości co do tego, czy w ogóle do druku się nadaje. Tej staranności wymagał też rygorystycznie od swoich uczniów i współpracowników. I po trzecie, bibliografia publikacji Juliusza Bardacha obejmuje pozycje o znacznym rozrzucie tematycznym. Był przeciwny wąskim specjalizacjom i zdecydowanie odradzał je uczniom²⁰. „Podobnie jak w rolnictwie i ogrodnictwie potrzebny w nauce i pożyteczny jest płodozmian”²¹. Badał więc i przygotowywał publikacje na różne tematy, ze swobodą i doskonałą znajomością materii poruszając się po rozległych obszarach i przenosząc z epoki do epoki – ze starożytności w późne wieki średnie, z czasów odrodzenia w XVI w. w lata zaborów, z II Rzeczypospolitej do naszej współczesności, której problemów nigdy nie tracił z pola widzenia. Badał historię prawodawstw słowiańskich, zabierał głos na temat kształtowania

¹⁹ Por. J. Adamus, *Polska teoria rodowa*, Łódź 1959, s. 49–50.

²⁰ W tytule jednego z wywiadów podkreślał: *Obawiam się autora jednego tematu*, „Znad Wilii” 1990, nr 8, z. 1.

²¹ J. Bardach, *Unia polsko-litewska – jej treści i dziedzictwo*, [w:] *Symbolae historico-iuridicae Lodzienses Iulio Bardach dedicatae*, Łódź 1997, s. 18; idem, *Powrót do źródeł. Przemówienie wygłoszone 21 października 1997 r. na uroczystości nadania doktoratu honoris causa Uniwersytetu Wileńskiego*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1998, t. 50, z. 1, s. 194.

się początków państwa polskiego i historii ustroju Polski piastowskiej. Był znawcą historii polskiego sejmiku, cofając początki sejmowania z przełomu XV i XVI wieku w głąb XIV stulecia. Długi szereg pionierskich tekstów poświęcał instytucjom, prawu i ludziom Polski Odrodzonej. Wielekroć wracał do studiów nad historią nauk historyczno-prawnych, do dzieł koryfeuszy tych dyscyplin, do dziejów macierzystego Uniwersytetu Warszawskiego. Wierzył niezachwianie w to, że to ludzie, wybitne osobowości, uczeni decydowali o stanie środowiska. Stąd liczne rozprawy o uczonych i ludziach kultury XIX w.: studia nad Nikołajem Kariejewem, Bolesławem Limanowskim, Michałem Bobrzyńskim, Władysławem Semkowiczem, oraz portrety poprzedników w fachu: Adolfa Pawińskiego, Włodzimierza Spasowicza, Stosława Łaguny, Franciszka Ksawerego Malinowskiego, Aleksandra Gieysztora, Wacława Aleksandra Maciejowskiego, a także piękne wspomnienia o kolegach i mistrzach: Janie Adamusie, Henryku Łowmiańskim, Konstantym Grzybowskim, Marku Sobolewskim, Michale Szczanieckim, Karolu Koranyim i wielu innych. Wierzył, że nauka potrzebuje wielkich osobowości. Wciąż też podkreślał znaczenie kultury prawnej w społeczeństwie, które chce być społeczeństwem obywatelskim; był tej kultury współtwórcą²².

Pragnę tylko zwrócić uwagę na jeden z wielkich obszarów badanych przez Juliusza Bardacha, a mianowicie na jego osiągnięcia jako lituanisty. Od lituanistyki zaczynał swą przygodę z nauką²³, badania nad przeszłością Litwy były pierwszą jego naukową miłością, wracał do nich przez całe twórcze życie²⁴. Sprzyjał temu sam temat, „usytuowany” na styku dwóch kręgów kulturowych, także kręgów prawnych – wschodniego i zachodniego, prowokujący do badań genetycznych, prawno-porównawczych, ciekawy swą wielobarwnością, obrosły mitami, także mitami naukowymi.

Pierwszą swą książkową monografię Juliusz Bardach poświęcił – jak o tym już była mowa wyżej – adopcji w dawnym litewskim prawie. I można bez trudu stwierdzić, że już w tej rozprawie mieściły się najistotniejsze elementy integralnego podejścia do badanej materii. Autor nie mógł w szerszym zakresie sięgać do norm pisanych, bo ich nie było, poszukiwał więc śladów praktyki i na jej podstawie odtwarzał zwyczajowo ukształtowane instytucje. Rozprawę cechuje zastosowanie komparatystycznego spojrzenia na niespotykaną wcześniej

²² Por. M. Wąsowicz, *Kultura prawna w dorobku Profesora Juliusza Bardacha*, [w:] *Z dziejów kultury prawnej. Studia ofiarowane Profesorowi Juliuszowi Bardachowi w dziewięćdziesięciolecie urodzin*, Warszawa 2004, s. 11–17.

²³ Pierwszą pracą zamieszczoną w bibliografii J. Bardacha jest jego wystąpienie nt. *Trzecizna w dawnym prawie litewskim* na VI Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich, zob. *Pamiętnik VI Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Wilnie*, Lwów 1936, s. 99–102.

²⁴ Najważniejsze studia zebrane zostały w dwóch tomach: *Studia z ustroju i prawa Wielkiego Księstwa Litewskiego XIV–XVII wieku*, Białystok – Warszawa 1970, s. 402 oraz *O dawnej i niedawnej Litwie*, Poznań 1988, s. 442. W późniejszych latach autor systematycznie powiększał swój stan posiadania na tym polu.

w polskim piśmiennictwie skalę. Autor przypominał prawa Asyrii i Babilonii, sięgał do greckich polis i do republikańskiego Rzymu, przywoływał prawo germańskie i francuskie, nie zapominał o Bizancjum i Rusi, wreszcie snuł paralele z prawem południowych Słowian i prawem polskim. Podkreślał jego dawność, wydobywał podobieństwa i różnice, ukazywał ewoluowanie zwyczaju, zwracał baczną uwagę na dynamikę przemian. Nie pomijał kontekstu gospodarczego i społecznego adopcji, wiązał ją z realiami rozwoju²⁵. Można sformułować wniosek, że już w swej młodzieńczej rozprawie stosował te wskazania, które w teoretycznej refleksji ujął w swoich klasycznych rozprawach okresu powojennego²⁶.

To samo można powiedzieć o studiach nad Statutami litewskimi, wielkim pomnikiem prawa i kultury prawnej Litwinów. Badania Juliusza Bardacha w tym zakresie były wczesne i zarazem wieloletnie, wielowątkowe i pionierskie. Ich podsumowanie to rozprawa *Statuty litewskie a prawo rzymskie*, będąca studium krytycznym, komentarzem i edycją Statutów²⁷. Rozprawa zaczyna się od swoistego *credo* metodologicznego autora. Stara się on zarysowaną w tytule opracowania problematykę osadzić w historycznym kontekście ogólnokulturowym, z uwzględnieniem przemian zarówno środowiska społecznego, jak i stosunków politycznych. Wyraża zdanie, że takie integracyjne ujęcie pozwala na „przedstawienie genezy i dynamicznego rozwoju Statutów litewskich jako zjawiska w dziedzinie kultury prawnej, stanowiącej komponent ogólnej kultury doby Odrodzenia”. Stwierdza, iż „dla ukazania możliwej pełni obrazu wydało się celowym ukazać Statuty na tle innych kodyfikacji XVI stulecia oraz spróbować określić zakres wpływu prawa rzymskiego na Statuty, a za ich pośrednictwem na prawa innych krajów Europy Środkowo-Wschodnie i Wschodniej”²⁸. Studia z zakresu dawnego prawa litewskiego były prawdziwą kopalnią wiedzy, po raz pierwszy nie tylko w Polsce wprowadzonej do naukowego obiegu. Z tekstów Juliusza Bardacha czytelnik dowiadywał się nie tylko o historycznych uwarunkowaniach instytucji prawnych, nie tylko o drogach znamionujących przepływ norm i obyczaju, ale także o treściach wpisywanych w nieznane wcześniej nauce pojęcia prawne, takie jak *ryskun*, *trzecizna*, *prawidłnik*, *własność niedzielna*, *kara trzysta*, *opłata trzesne*, *sok*, *sączenie*, *prosoka*, *siabr* i inne.

²⁵ Por. K. Orzechowski, *Szkice do portretu uczonego*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1985, t. 37, z. 2, s. 8. Autor ten za konstytutywne cechy pracy J. Bardacha w tej dziedzinie uważał „drobiazgów krytyczny rozbiór literatur przedmiotu (także starszej – niesłusznie nieraz lekceważonej), szerokie stosowanie metody porównawczej we wszystkich jej mutacjach (np. stosowanie coraz szerszych kręgów porównywania), rozpatrywanie badanych zjawisk w ich rozwoju oraz w zależności od grupy społecznej (stanu, klasy, warstwy), w której były obecne, wreszcie częsta refleksja metodologiczna”.

²⁶ Ibidem.

²⁷ J. Bardach, *Statuty litewskie a prawo rzymskie*, Warszawa 1999.

²⁸ Ibidem, s. 5.

Trzecim wielkim polem dociekań Juliusza Bardacha lituanisty była historia stosunków litewsko-polskich, osobliwie zaś dzieje unii Polski z Litwą. Tu także burzył mity i stereotypy. Europejski kontekst rozważań pozwalał mu na rezultat badań inny od tego, który uzyskiwali jego poprzednicy. Autor dowodził na podstawie bogatych przekazów, że polskie wpływy kulturalne w środowiskach arystokracji i szlachty litewskiej nie musiały iść w parze z ich „denacjonalizacją” i przekonywająco dowodził, iż „naród polityczny” Wielkiego Księstwa zachował żywą świadomość swej odrębności i skutecznie bronił państwowości Litwy historycznej w ramach Rzeczypospolitej. Wyrażał dobrze udokumentowaną opinię, że również w ustawodawstwie Sejmu Czteroletniego pozycja Litwy jako partnera Korony nie uległa wcale osłabieniu, a wręcz przeciwnie – została wzmocniona.

Nie było – może poza Janem Adamusem, Adamem Vetulanim i Józefem Matuszewskim – historyka prawa w Polsce powojennej, który dysponowałby tak dobrze ułożonym warsztatem pracy, nowoczesnym, atrakcyjnym i perspektywicznym dla pokoleń badaczy. Juliusz Bardach tworzył go przez dziesięciolecia. Budował w marszu, w trakcie kwerend nad tematami szczegółowymi. Sam bynajmniej nie uważał się za metodologa badań naukowych. Jego metodologiczne teksty nie tyle były pomyślane jako ambitne pouczanie, jak powinien badać historyk prawa, ile stanowiły rezultat wieloletnich, wytrwałych i gruntownych źródłowych studiów. Może właśnie dlatego warto będzie jeszcze nieraz do nich wracać.

Jan Baszkiewicz



Jan Baszkiewicz należał do książąt polskiej humanistyki, był kapłanem nauki, kustoszem idei Uniwersytetu otwartego na przemiany, ale i wiernego swojej historii. To twórca, który – od bez mała sześćdziesięciu lat obecny w życiu naukowym – wciąż wywiera na nie inspirujący wpływ. Naukową sławę zawdzięczał kilkudziesięciu książkom, poświęconym wielkim tematom, erudycyjnym, przenikliwym w interpretacji, urzekającym formą przekazu. Miał rzadki dar jednania sobie czytelnika i prowokowania go. Książki Jana Baszkiewicza znajdują dostęp do szerokiej publiczności; drukowane w wielotysięcznych nakładach i wielokrotnie wznawiane – poruszają emocje i zmuszają do intelektualnej zadumy. Na ich kartach znajdujemy fascynujące spostrzeżenia o władzy i społeczeństwie, o ustroju i kulturze politycznej, o roli idei i rewolucji. Dotyczą one kwestii fundamentalnych i globalnych, ale zawsze też istotnych spraw Polski i Polaków, niezależnie od tego, w jakiej tkance ulokowana bywała badana przez autora materia. Odnosi się to w pełni również do małych form twórczości uczonego, mniej znanych, do jego tekstów drukowanych na łamach czasopism naukowych i prac zbiorowych oraz do Jego wypowiedzi o charakterze polemicznym i publicystycznym. Odejście Jana Baszkiewicza w styczniu 2011 r. pozostawiło uczucie żalu i stanowiło niepowetowaną stratą.

Jan Baszkiewicz pochodził z Warszawy, gdzie urodził się w 1930 r. w rodzinie inteligenckiej. W latach 1946–1950 studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim. W 1954 r. napisał w seminarium Juliusza Bardacha pracę doktorską (kandydacką), która przyniosła mu Nagrodę Państwową: *Powstanie zjednoczonego państwa polskiego na przełomie XIII i XIV w.* Mając 26 lat, został docentem w Zakładzie Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk; w 1965 r. uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego, w 1972 r. – profesora zwyczajnego.

W roku 1959 przeniesiony został do Uniwersytetu Wrocławskiego, w którym objął kierownictwo Katedry Historii Doktryn Politycznych i Prawnych na Wydziale Prawa. Był prodziekanem i prorektorem. W 1968 r. – atakowany przez władze partyjne za zbyt ostentacyjną – jak uznano – obronę studentów w toku tzw. wydarzeń marcowych i potraktowany jako *persona non grata* – opuścił Wrocław i przeniósł się na Uniwersytet Śląski, gdzie przyjął stanowisko kierownika Katedry Powszechnej Historii Państwa i Prawa. Po pięciu latach wrócił do Warszawy, gdzie podjął pracę w Zakładzie Historii Doktryn Politycznych w Instytucie Nauk Politycznych na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW. W 1986 r. został wybrany członkiem korespondentem Polskiej Akademii Nauk, od 1994 r. był członkiem rzeczywistym korporacji: przez kilka lat zasiadał w Prezydium PAN. W latach 1973–2007 zasiadał w Centralnej Komisji do spraw Tytułu Naukowego i Stopni Naukowych (dawniejszej CKK); przez dwie kadencje kierował pracami jej sekcji nauk humanistycznych i społecznych. Był członkiem wielu krajowych i zagranicznych towarzystw naukowych – Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, Associazione degli Storici Europei, Société d'Histoire de Droit, Société d'Histoire de la Révolution Française – przez wiele lat pomagał w rozwoju naukowym młodzieży na polskich uniwersytetach. Otrzymał tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego (2003), Wyższej Szkoły Humanistycznej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego w Krakowie (2006), Uniwersytetu Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie (2008) i Uniwersytetu Jagiellońskiego (2008), a macierzysty Uniwersytet Warszawski zorganizował w 2005 r. uroczystość odnowienia Jego doktoratu. Przez dziesięciolecia Jan Baszkiewicz był nieocenionym ambasadorem kultury polskiej we Francji, oddanym rzecznikiem naukowej współpracy polsko-francuskiej. W 1996 r. prezydent Republiki Francuskiej nadał Mu Legię Honorową, zaś w 2002 r. prezydent Rzeczypospolitej odznaczył go Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski z Gwiazdą. Uniwersytet Jagielloński nadał mu Medal „Plus ratio quam vis”. Tyle faktów ze zwięzłego *curriculum vitae*.

Jan Baszkiewicz był wystarczająco szczerze wyekwipowany w przymioty, by podejmować tematy wielkie, ważne poznawczo i społecznie użyteczne. Fascynowały go ustrój i kultura polityczna, relacje między władzą a społeczeństwem, czas rewolucyjnych przełomów. Dawał temu wyraz zarówno w wywodach *ex cathedra* czy w debatach akademickich konwentykli (nazywał je swobodą słowa niedrukowanego), jak i w formach, które znalazły swój wyraz w badaniu i w publikacjach. Jako człowiek „z tradycyjnie antyklerykalnej socjalistycznej inteligencji” nie krył swych preferencji dla marksizmu jako metody. Widział w nim szansę urzeczywistnienia swej *idée fixe*, którą było „ożywienie laickiej, niepartyjnej lewicy”. Działał w obronie PRL, jak długo żywił nadzieję na sukces orientacji reformatorskiej. Uważał, że Polakom potrzebny jest „norma-

tywny model kultury politycznej, tworzony przez odwołanie się do klasyków socjalizmu i bliskich nam mentalnością socjalistów z przełomu wieków, a także wykorzystujący nasze dobre i złe doświadczenia współczesne”. Nazywał siebie „starym jakobinem”. Jednocześnie chciał, by jego „pisanina” spełniała rolę „katalizatora myślenia – racjonalnego, pogłębionego, nietradycyjnego myślenia o polityce”. Z seminarium Juliusza Bardacha wyniósł nie tylko szacunek dla źródeł i umiejętność ich egzegezy, nie tylko dar ujmowania badanej materii w sposób globalny, ale nade wszystko wielką estymę dla nauki, która nie jest zawodem a „sposobem na życie, wielką intelektualną przygodą, która dzięki rygorom swych procedur i różnorodności ofert badawczych powinna być fundamentem wśród zamętu pojęć i kryzysu autorytetów i zarazem podstawą rozwiniętej kultury naukowej, której rola w cywilizowanym świecie – zagęszczonym, konfliktogennym, nasiąkniętym techniką – nieustannie rośnie”. Nauka, która ma ambicję redukcji kryzysu moralnego, musi wszelako – powtarzał – respektować uznane wartości: oryginalność myślenia, rzetelność poszukiwań badawczych, niezależność od dogmatów, swobodę słowa, ale i odpowiedzialność za nie, tolerancję dla odmiennego naukowego poglądu. To ostatnie nie bez zastrzeżeń. W jednym z wywiadów stwierdzał: „Respektuję odmienne poglądy i opcje ideologiczne, nie poczuwam się jednak do obowiązku tolerowania zafundowanej ignorancji czy załatwiania sporów politycznych w historycznym kostiumie”. Ze smutkiem stwierdzał, że Polacy nie potrafią „przetrawiać intelektualnie”, opanowywać myślowo nawet swoich własnych doświadczeń, a cóż dopiero cudzych. W miarę unowocześniania warsztatu – w czasie długich kwerend prowadzonych przede wszystkim w Bibliotheca Apostolica Vaticana i w Bibliothèque Nationale w Paryżu – przejmował od francuskich mistrzów Fernanda Braudela i Alberta Soboula – kanony badania francuskiej szkoły Annales. Nie fetyszyzował ich wszelako; nie sprowadzał historii do nauki ściśniętej gorsetem żelaznych praw. Pod wpływem dociekań nad anatomią rewolucji francuskiej dochodził do wniosku, że osobiście w momentach przełomu „pewna część zdarzeń rozgrywa się... w powietrzu, w powietrzu ludzkich emocji, osobistych animozji czy sentymentów, w powietrzu zaciętrzewienia, iluzji, utopii”. Obwieszczał tymi słowami, że rzetelne uprawianie historii nie może przechodzić obojętnie także obok zwyczajnego przypadku.

Imperatyw metodologiczny Jana Baszkiewicza brzmiał: obowiązkiem uczono-humanisty jest rzetelne badanie społecznej rzeczywistości. Dewiza ta sprawiała, że jako uczony – odzeglunujący się od ambicji politycznych i z zasady powściągający się od piastowania politycznych stanowisk – interesował się nade wszystko teoretycznymi implikacjami polityki. Fascynowała go zasada władzy; traktował ją jako sztukę łamania szyfrów przeciwnika, jako swoisty teatr, w którym jedną z najważniejszych cnót jest zdzieranie masek z twarzy

wroga. Dążył do redukowania przedziałów między naukami humanistycznymi i społecznymi, utrwalonymi na uniwersytetach przez obrońców tradycji akademickiej i urzędników. Wcześniej też dał się poznać jako autorytet w tych dyscyplinach, które wspomagają politologię jako naukę, mającą dotrzymać kroku wyzwaniom współczesności i zdolną przewidywać przyszłość: historii *tout court*, filozofii, porównawczej historii ustroju, socjologii władzy, dziejów ideologii, prawoznawstwa. O Janie Baszkiewiczu można powiedzieć, że jest twórcą szkoły naukowej w najlepszym tego słowa rozumieniu, szkoły, która uczy badać i samodzielnie myśleć. Egzamin dojrzałości w tej szkole złożyło już kilka pokoleń badaczy, z których wielu może już dziś poszczycić się poważnymi osiągnięciami twórczymi. Jan bolał nad drogami, na które wszedł Uniwersytet na początku XXI w. Obca mu była idea Uniwersytetu jako „korporacji najemników świadczących usługi edukacyjne”. Pogardzał „krajowymi ramami kwalifikacji”, nie chciał ankiet, w których studenci oceniają wykładowców. Oburzały go „naukowa grypseria”, parametryzacja i biurokratyzacja w nauce, „akademicka fanfaronada”. Szanował swobodę poszukiwań. Jego Uniwersytet miał iskrzyć impulsami, jego studenci mieli mądrzeć pod opieką nauczycieli, ale dochodzić do wiedzy o własnych siłach.

Pierwsze moje spotkanie z Janem Baszkiewiczem miało miejsce 1 października 1954 r., kiedy przyjechałem do stolicy, by złożyć egzamin wstępny na aspiranturę (dzisiejsze studia doktoranckie) w Zakładzie Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk. Jan był właśnie po swym pierwszym wielkim sukcesie naukowym i zażywał sławy wschodzącej wielkości w środowisku historyków prawa. Był przyjazny i opiekuńczy wobec naszej trójki, którą stanowili: Jan Jończyk (później profesor zwyczajny prawa pracy na Uniwersytecie Wrocławskim), Jan Olszewski (redaktor „Po Prostu”, karnista i adwokat, po ustrojowej transformacji premier rządu RP.) i ja, skromny absolwent studiów drugiego stopnia na Uniwersytecie Poznańskim. Okoliczności sprawiły, że nie spotykaliśmy się często – Jan poruszał się już po innej orbicie – ale kontakty trwały i w miarę upływu lat zacieśniały się. Imponował nam głęboką wiedzą i intelektualną sprawnością. Wykazywał świetne rozeznanie nie tylko w literaturze prawniczej i historycznej, ale i budził podziw przenikliwą znajomością spraw teatru, muzyki klasycznej, literatury pięknej, nawet uroków kuchni. Był smakoszem win. Miał wyostrzone spojrzenie na ludzi, na przedstawicieli środowisk humanistycznych w szczególności. Znał ich wszystkich, oni znali jego. Oceniał ich surowo, ale zarazem sprawiedliwie; chętnie przypisywał im wielkość, jeżeli na to zasługiwali; potrafił być zjadliwy, kiedy spotykał się z głupotą i nietolerancją. Ujmował też stylem bycia, w którym sąsiadowały ze sobą i wzajemnie się uzupełniały przymioty znamionujące awangardowość, ale w którym nie brakowało

też cech uznawanych za staromodne. Demonstrował pełen wzgardy stosunek do technik elektronicznych, nie posługiwał się długopisem, stukał na starej maszynie do pisania, nigdy nie sprawił sobie komórki, do telefonu sięgał rzadko (utrzymując, że aparat telefoniczny służy do wymiany informacji, a nie do konwersacji). Kiedy pracował, nie podnosił słuchawki. Nie przyjmował też honorariów za swe wystąpienia i znam organizatorów kilku spotkań, którzy mieli mu to za złe; psuł biznes. Potrafił być duszą towarzystwa, mistrzem w opowiadaniu świetnej anegdoty, ale starannie dobierał rozmówców, ceniąc czas, do najdrobniejszych szczegółów zaplanowany i zawsze podporządkowany tworzeniu. Najchętniej tworzył w bibliotekach. W jednym z felietonów (*Czym jest dla mnie biblioteka?*), ogłoszonym na łamach „Roczników Biblioteki Narodowej” w 1992 r., pisał: „Znam wielu wybitnych badaczy, którzy kwerendę materiałową traktują jak uciążliwą pańszczyznę. Nie cierpią ani grzebania się w archiwalnych papierzyskach, ani nawet najlepiej zorganizowanej kwerendy bibliotecznej. Najchętniej zrzuciliby ten ciężar na barki swych asystentów [...]. Ten typ uczonego najlepsze chwile przeżywa dopiero wtedy, gdy zaczyna tasować swoje fiszki i konstruować w głowie całość planowanego dzieła. Albo wtedy, gdy z gotową koncepcją i pięknie posegregowanymi fiszkami zasiada do maszyny. Tak, oczywiście są dziwacy, piszący książkę długopisem (a nawet ołówkiem, z gumką w pogotowiu) i awangardiści zasiadający do komputera. Co do mnie, gdy opuszczam biblioteczne lektoria po ukończeniu podstawowej kwerendy, mogę niemal zawsze użyć znanej formuły Flauberta: »Książka jest już gotowa, trzeba ją tylko napisać«. Samo pisanie książki jest naturalnie sprawą ważną, niepozabawioną różnych powabów i satysfakcji: oto z niczego powstaje coś, biała kartka papieru zapełnia się literami, rzędami wierszy, schodzi zapisana z wałka maszyny – i zazwyczaj nie wymaga już poprawek. Długie dziesięciolecia papierowej mizerności nauczyły mnie pisanie od razu »na czysto«, w sposób maksymalnie zrygoryzowany. Ale możliwe jest to jedynie w rezultacie pracy wykonanej wcześniej w archiwach i bibliotekach. W gruncie rzeczy pisanie książek jest już jedynie zadaniem technicznym”. Oczywiście tego trzeba się długo uczyć, podobnie jak trzeba nauczyć się opierać pokusie kserografowania i mikrofilmowania. Jan Baszkiewicz podkreślał, że pierwszą wersję pracy kandydackiej mistrz Bardach wrzucił do kosza. Mówił o tym bez niechęci, raczej z poczuciem wdzięczności. Baszkiewicz nie tworzył zresztą wyłącznie w archiwach i bibliotekach; tworzył w trakcie spacerów z przyjaciółmi, przy kawiarnianym stoliku, na wykładach i seminariach. Pamiętamy, że jego wystąpienia na konferencjach i sympozjach były zawsze połączeniem rzetelności merytorycznej ze znakomitą formą przekazu; na zjazdach naukowych najwięksi maruderzy wracali na salę, by posłuchać jego wykładu. Starannie go przygotowywał; nigdy nie korzystał

z notatek, mówił z rzadką błyskotliwością, rygorystycznie strzegł dyscypliny słowa i czasu.

Suwerennie panował nad językami obcymi, nie tylko kongresowymi. Najstarsi pracownicy Biblioteki Kórnickiej opowiadali mi, jak to kiedyś oprowadzał po miejscowym muzeum delegację Watykanu, udzielając informacji w nieskazitelnej łacinie. Miał też nieprzeciętne zdolności redaktora. Ujawniał je jako zastępca redaktora „Acta Poloniae Historica”, a także jako wieloletni współpracownik komitetów redakcyjnych „Państwa i Prawa” oraz „Czasopisma Prawno-Historycznego”. Nie zapomniałem pewnego epizodu, ważnego w początkach mojej własnej drogi akademickiej. Oto na zlecenie redakcji prawa Państwowego Wydawnictwa Naukowego zajął się Jan Baszkiewicz przygotowaniem do druku mojej dysertacji doktorskiej z 1959 r.; w ciągu zaledwie kilku dni skrócił ją z 650 stron do 400. Oczywiście serce mi krwawiło, że tyle trudu poszło na marne, ale nie miałem krzty wątpliwości, że nowy maszynopis jest o niebo lepszy od pierwotnego. Był niezrównanym recenzentem. Niesłuchanie efektywnie „pastwił się” nad cudzymi tekstami. Polemiczne talenty wykazywał doskonale jako wieloletni członek Centralnej Komisji do spraw Stopni Naukowych i Tytułu Naukowego. Był tzw. superrecenzentem w ponad trzystu przewodach kwalifikacyjnych. Należał do najbardziej wymagających opiniodawców, ale zarazem do najbardziej kompetentnych i sprawiedliwych. Jego wystąpienie w Sekcji Nauk Humanistycznych i Społecznych Komisji słuchano z uwagą, a z proponowanymi przezeń konkluzjami z reguły się zgadzano. Baszkiewicz należał do tych opiniodawców, którzy dobrze służyli mądrej polityce rozwoju kadry naukowej. Nieraz przechodziła mi przez głowę myśl, że gdyby z prawnego punktu widzenia można było opublikować jego utwory, prezentowane w Centralnej Komisji, otrzymalibyśmy prawdziwie nowoczesny podręcznik o sztuce recenzowania w nauce.

Wszechstronnie utalentowany, a przy tym zdyscyplinowany intelektualnie, pracowity i warsztatowo zorganizowany, był – powtórzmy – po prostu stworzony do podejmowania węzłowych problemów, ważnych poznawczo i społecznie doniosłych. Dysponował nieprawdopodobną skalą zainteresowań twórczych. Frapowały go relacje między rządzącymi a rządzonymi, wpływ polityki i prawa na życie społeczne, mechanizmy uruchamiające działania władzy, czas wielkich przełomów. Ze swobodą i gracją poruszał się między epokami, potrafił objąć spojrzeniem nawet najbardziej skomplikowaną materię.

Osiągnięcia Jana Baszkiewicza jako autora i uczonego można w tym miejscu scharakteryzować tylko w największym skrócie. Pierwszym polem naukowych jego dociekań było średniowiecze. Taki debiut dyktowała dobra tradycja w środowisku historyków prawa. Mediawistyka to znakomita wprawa w budowaniu warsztatu; uczy czytać źródła, oddziałuje na wyobraźnię badawczą,

narzuca pokorę i rzetelność. Debiutował – jak już o tym była mowa wyżej – monografią *Powstanie zjednoczonego państwa polskiego na przełomie XIII i XIV w.* (1954). Książka była wydarzeniem naukowym swojego czasu. Autor ukazywał w niej etapy przezwyciężania rozdrobnienia terytorialnego kraju. Nawiązując do formuł materializmu historycznego, ale jednocześnie czerpiąc z metod integralnego badania przeszłości dyktowanych przez szkołę Annales, poddawał badaniu zarówno instytucje, jak i struktury społeczno-gospodarcze oraz kulturę. Obraz, jaki przedstawił, diametralnie różnił się od tego, jaki ukształtowali poprzednicy. Książka podejmowała kluczowy temat w polskich dziejach i wywołała burzliwą dyskusję wśród historyków. Najwybitniejsi historycy chwycili za pióro, by o niej pisać: Kazimierz Tymieniecki, Konstanty Grzybowski, Aleksander Gieysztor, Gerard Labuda, Bogusław Leśnodorski, Henryk Łowmiański, Zygmunt Wojciechowski. Recenzje były poważne, w części krytyczne, ale zarazem pełne podziwu i uznania dla młodego autora. I książka, i recenzje stanowiły świadectwo tego, że nawet w najtrudniejszych latach stalinowskiego totalitaryzmu można było czasami zwodzić cenzurę i tworzyć dzieła wybitne, częściowo przynajmniej wolne w interpretacji od oficjalnej wykładni narzucanej nauce przez reżim. Zygmunt Wojciechowski, sam bynajmniej nie admirator materializmu historycznego, pisał w konkluzji swej recenzji znamienne: „[Autor] nie poddaje się żadnemu autorytetowi, ale też nie przeciwstawia dawnym poglądom w imię walki z autorytetami [...]. W filtrze, przez który przepuścił dawne poglądy, nic cenniejszego nie uległo zagubieniu”. Jak bardzo do dziś iskrzy impulsami, świadczy sukces naukowy konferencji zorganizowanej w pięćdziesiątą rocznicę jej opublikowania przez Instytut Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza i redakcję „Czasopisma Prawno-Historycznego” na temat jej tez. Charakterystyczne, że zainteresowanie okazane książce skłoniło autora do nowego spojrzenia na poruszany w niej kompleks zagadnień. Dokonał rzeczy rzadkiej; wydał książkę *Odnowienie Królestwa Polskiego* (2009), w której niektórych tez bronił, ale i wskazywał na to, co nie oparło się nowszym badaniom, m.in. na natrętne próby wyjaśniania zjawisk „w porządku klasowym” oraz koniunkturalne stereotypy antyniemieckie.

Autor jeszcze wielokrotnie wracał do badania problemów wieków średnich, zarówno w opracowaniach monograficznych, jak i w tekstach drobniejszych, w studiach, rozprawach, esejach, lokowanych w periodykach naukowych, tygodnikach literackich, w licznych artykułach polemicznych, recenzjach oraz wywiadach. Zajął się – w książce *Młodość uniwersytetów* (1963) – kulturą średniowiecza, a w książce *Państwo suwerenne w feudalnej doktrynie politycznej do początków XIV w.* (1964) – doktryną monarchii wczesnofeudalnych. Dzieło, którego główną tezą było udowodnienie, że monarchia stanowa tworzyła układ względnej i kruchej równowagi między Koroną a stanami, weszło do klasyki:

stało się wzorem łączenia przenikliwości w analizie źródeł z rozmachem i celnością ujęć syntetyzujących. Pod względem rozległości pola będącego przedmiotem badania i głębi interpretacji nie miało sobie równych w literaturze światowej. Wchodziło głęboko w naturę późnośredniowiecznego dyskursu o państwie i władzy, o konfliktach w międzypaństwowej przestrzeni i zawirowaniach w świecie idei; wydobywało na światło dzienne niespotykany wcześniej w piśmiennictwie naukowym ładunek rozważań o charakterze komparatystycznym. Fakt, że nie zostało przełożone na języki kongresowe (o przekład francuski usilnie, ale bezskutecznie zabiegał Juliusz Bardach), co stanowiło bezsprzeczną utratę ważnej szansy prezentacji osiągnięć humanistyki polskiej na Zachodzie, wyrażał przejaw jednego z najbardziej szkodliwych elementów tzw. polityki naukowej PRL. Uzupełnieniem studiów nad zjednoczeniem państwa w XIV stuleciu były studia nad uniwersalizmem cesarskim i papalizmem w teorii politycznej, nad *dominium mundi* Bartolusa, nad prawem rzymskim i kanonicznym w kulturze politycznej Polski okresu rozbitcia dzielnicowego, nad kształtowaniem się nowożytnej koncepcji prawa oporu, dalej: książka o Władysławie Łokietku (*Polska czasów Łokietka*, 1968) oraz świetna synteza *Mysł polityczna wieków średnich* (1969), wznowiona w 1998 r. przez Wydawnictwo Poznańskie. Niemająca poprzedników rozprawa mówi o średniowiecznych poglądach na władzę i społeczeństwo, o genezie konstrukcji władzy na progu czasów nowożytnych, o uprawnieniach Kościoła i obowiązkach ludności.

Znakomita synteza była już zapowiedzią bardziej zdecydowanego zwrotu dociekań Jana Baszkiewicza ku historii myśli politycznej, historii idei. Najpierw wydał autor swe wrocławskie wykłady, potem – wspólnie z Franciszkiem Ryszką – ogłosił pierwszy akademicki podręcznik *Historii doktryn politycznych i prawnych* (1969), w następnych latach wielokrotnie wznawiany i ulepszany, wciąż stanowiący obowiązkową lekturę na wydziałach prawa, administracji, filozofii i socjologii oraz dziennikarstwa i nauk politycznych wielu polskich uniwersytetów. Historia doktryn politycznych i prawnych, z czasem bardziej politycznych niż prawnych, była drugą naukową miłością Jana Baszkiewicza. Sięgał do jej intelektualnych pokładów we wszystkich późniejszych opracowaniach, stając się największym – obok Konstantego Grzybowskiego – autorytetem w tej dyscyplinie. Ukazywał przydatność studiów nad historią myśli: podkreślając za Alvinem Gouldnerem obrazowo, że „jeśli czciciele nigdy nie odwiedzają ołtarza swego boga, to nigdy też nie będą wiedzieli, czy ogień płonie tam nadal, czy może obrośli w sadło kapłani rozrzucają jedynie prochy”. Wzbogacał jej metodologiczne podstawy, ukazywał punkty styku z dyscyplinami pokrewnymi, przestrzegał przed zasadzkami, na jakie napotyka badacz i o jakie się potyka, kiedy np. ulega manierze hipertrofii interpretacji lub niewystarczająco starannie czyta tytanów intelektu. Wskazywał na korzyści z uprawiania rzetelnej ana-

lize zarówno wielkiej myśli, jak i poglądów zbiorowości ludzi. Pisał: „Przedmiotem naszego badania jest nie tylko wiedza mędrców o społeczeństwie politycznie zorganizowanym, ale także wyobrażenia tego społeczeństwa o sobie samym. Oprócz wiedzy naukowej, »zimnej«, przedmiotem naszych prac jest także wiedza »gorąca«, potoczna. Ogromnie poszerza to nasze pole badawcze, stwarza pasjonujące możliwości – jednocześnie też kolosalnie powiększa zbiór materiałów źródłowych, przez które należy się przekopywać. Dotyczy to zwłaszcza badaczy myśli nowożytnej, a osobiście dwudziestowiecznej”. Domagał się połączenia w historii myśli politycznej wiedzy prawniczej, filozoficznej, socjologicznej i politologicznej. Konstatował: „Jest prawdziwym darem losu, że pracujemy w takiej dyscyplinie naukowej, której uprawianie może być nie tylko użyteczne społecznie i poznawczo ważne, ale także, całkiem po prostu, przyjemne”.

W latach siedemdziesiątych Jan Baszkiewicz włączył do tematów swej naukowej bibliografii dzieje Francji. Rezultatem pierwszego pobytu w Paryżu była kapitalna synteza, ulokowana w renomowanej serii Ossolineum, poświęconej historii krajów świata: *Historia Francji* (1974). Dał tekst znakomity, w moim przeświadczeniu najlepszy spośród tych, które przedstawili autorzy pozostałych tomów serii. Badał historię polityczną kraju, ale również dzieje jego społeczeństwa. Uważnie pochylał się nad dorobkiem francuskiej kultury. Zdając sobie sprawę z faktu, że dzieje i tradycje Francji jakże często poruszały nasze emocje zbiorowe, pamiętał o barwnej historii związków Francji z Polską. Sukces książki skłonił autora do ciągłego jej ulepszania; jeszcze za życia autora ukazało się szóste wydanie.

Po opublikowaniu syntezy zatrzymał się Jan Baszkiewicz na lata całe na etiologii Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Traktował ją jako jedną z największych ludzkich przygód, jakie zna historia. Pisał: „Historyk rewolucji francuskiej wciąż ma tę satysfakcję, że badając ją może pić ze źródeł, z których piją ludzie spragnieni głębokiej wiedzy o świecie polityki, naturze człowieka, o cierpieniach i chwale, o nędzach i blaskach naszej historii”. Rewolucja to dlań przede wszystkim „ów fantastyczny *chantier* społecznej przebudowy, to bezprecedensowy wysiłek społeczeństwa, które – nie bez błędów, iluzji, załamań – konstituuje się na nowo”. Wielkość rewolucji – podkreślał – to m.in. „fenomenalna, bezprecedensowa samoorganizacja społeczeństwa, gruntowna transformacja przestarzałych i zniechęconych struktur: administracji, systemu skarbowego, organizacji militarnej, narodowej edukacji, prawa cywilnego i karnego”. Przyrównywał ją do „brutalnego, wstrząsającego organizmem człowieka” zabiegu chirurgicznego, koniecznego w chwili, kiedy nie pomagają już łagodne działania medycyny empirycznej, posługującej się „miksaturami i pigułkami, kąpielami i świeżym powietrzem”. Traktował jako zespół wydarzeń, kiedy hi-

historia gwałtownie przyspiesza, wchodząc zarazem w cykl niebezpiecznych wirów. Widział w niej spektakl awangardowy, rozgrywający się na ulicy, w którym aktorami mogą być wszyscy. W kolejnych monografiach: *Wolność, równość, własność: rewolucje burżuazyjne* (1981), *Rewolucja francuska 1789–1794. Społeczeństwo obywatelskie* (1983), *Francuzi 1789–1794. Studium świadomości rewolucyjnej* (1989) i *Nowy człowiek, nowy naród, nowy świat: mitologia i rzeczywistość rewolucji francuskiej* (1993), a także w kilkudziesięciu tekstach, rozrzuconych po czasopiśmie, pracach zbiorowych, zamieszczanych w prasie, przedstawiał rewolucję przez pryzmat haseł, jakie proponowała w poszczególnych swoich stadiach, a konfrontując te hasła z przeobrażeniami społecznymi i politycznymi, wewnętrznymi i międzynarodowymi, odsłaniał kulisy mechanizmów rządzących rewolucyjną grą. Wybitny historyk idei, Franciszek Ryszka, oceniał, że obraz rewolucji, jaki dał Baszkiewicz, nie ma poprzedników w literaturze fachowej; jego oryginalność polega na tym, że nie jest on ani apologetyczny, ani pesymistyczny, że jego osobliwość stanowią wyważone opinie sformułowane nie tylko w oparciu o wszechstronne wykorzystanie źródeł, ale i dokonana egzegeza źródeł, uwzględniająca dorobek metodologiczny wszystkich pokrewnych nauk humanistycznych i społecznych.

Inspiracje intelektualne, cechujące powyższe monografie, rozmach interpretacji, urzekająca pięknem forma wykładu, dochodzą do głosu z jeszcze większą siłą w wielokrotnie wznawianych biografiach poświęconych prekursorom i bohaterom rewolucji: Robespierre'owi (1976), Dantonowi (1978), Ludwikowi XVI (1983), Richelieu (1984) i Henrykowi IV (1995). Szczególnie pierwsza z nich stanowiła kliniczny obraz rewolucyjnych konwulsji. Mówiła o rewolucyjnym terrorze i jego relacji do zasad roku 1789, traktowała o roli jednostki w rewolucyjnym czasie. Baszkiewicz podkreślał dyscyplinę intelektualną i rygoryzm moralny jakobińskiego dyktatora; uważał, że na respekt zasługuje człowiek, który stworzył teorię demokracji w warunkach rewolucji, który „wrażliwy był na los ludzi prostych i ubogich, który rozumiał twarde prawa rewolucji, a tworząc i stosując teorię rządu rewolucyjnego walczył przyczynił się do ocalenia nowej Francji”. Robespierre – pisał autor - najgłośniej wołał o nowego człowieka, który miał gwarantować, że rewolucyjna transformacja się nie załamie, że postrewolucyjna historia się nie cofnie. Bronił polityki jakobińskiego rządu ocalenia narodu przed zarzutem zbędnego szafowania terrorem. Konstatował: „Największe okropności rewolucji francuskiej to działania spontaniczne, nie sterowane przez rząd [jakobiński], działania ludzi zdesperowanych, przerażonych i rozwścieczonych rozmiarami kontrrewolucji”. Teza, że nie należy odrzucać przemocy jako jednego ze źródeł wartości politycznych, wracała w jego tekstach parokrotnie, najciekawiej w wykładzie, wygłoszonym w Auli

Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego z okazji nadania mu doktoratu *honoris causa* UJ i wyróżnienia medalem „Plus ratio quam vis”.

Do tematyki francuskiej powrócił Jan Baszkiewicz w pierwszych latach obecnej dekady w trzech ważnych książkach. W pierwszej – *Francja nowożytna. Szkice z historii wieków XVII–XX* (2002) spojrzął na kilka doniosłych rozdziałów w historii tego kraju, „płynąc [...] pod prąd mniemań potocznych”. Poddawał analizie oblicza absolutyzmu, dochodząc do wniosku, że z tradycyjnymi jego uzasadnieniami skutecznie konkurowały argumenty o zabarwieniu „mieszkańsko-uitylitarnym”. Plastycznie ukazywał, jak rozpoczęta w imię wolności rewolucja sferę tej wolności najpierw niebawale rozszerzyła, a później brutalnie ścieśniała. Wyjaśniał, że losy religii i Kościoła po upadku absolutyzmu są także znacznie bardziej powikłane, niż się potocznie przyjmuje. Dowodził, że okres napoleoński to nie tylko efektowna epopeja militarna i despotyczne „przemeblowanie Europy”, lecz także w części udana próba zracjonalizowania życia zbiorowego, „niemal naukowej organizacji narodu”. Pisał o zasługach Francji w upowszechnianiu rewolucyjnej kultury, o reżimie Vichy, jego instytucjach i programie „rewolucji narodowej”, które – jak słusznie twierdził – nie zostały bynajmniej przywiezione na niemieckich czołgach, a znajdowały mocne zakorzenienie we francuskiej tradycji, wreszcie o wydarzeniach majowych 1968 r., w których widział „chybioną” rewolucję, która wszelako – jak wiele innych nieudanych rewolucji – wywarła głęboki wpływ na dalszą ewolucję społeczeństwa. Rewolucja bowiem wcale nie jest skazana na sukces; każdy rewolucyjny proces bywa odwracalny: wróg zewnętrzny może się okazać silniejszy, lud może się znużyć, kontrrewolucja wewnętrzna może zniweczyć rewolucyjnego ducha w kraju. Rzecz w tym, że każda rewolucja przechodzi przez trzy fazy: pierwsza, w której chodzi o pokonanie przeciwnika, jest stosunkowo najprostsza, druga, której celem jest wzniesienie nowych instytucji społecznych i politycznych, przychodzi już z trudem, najtrudniejsza jest wszelako trzecia, która polega na dopasowaniu ludzi do tych instytucji. By ona oparła się przeciwnościom, trzeba doprawdy wiele czasu i wysiłku pokoleń.

W drugiej książce: *Anatomia bonapartyzmu* (2003) podsumował Jan Baszkiewicz swe dotychczasowe wieloletnie studia nad rewolucją francuską. Także w tym zbiorze studiów nie kroczy autor przetartymi ścieżkami; nie pokazuje Napoleona jako „boga wojny”, a jako mistrza socjotechniki. Anatomia bonapartyzmu to pasjonujący wizerunek polityka, który „wyprowadził Francję z rewolucyjnego zamętu”. To sylwetka męża stanu, który odwołując się do republikańskich ideałów, potrafił skupić w swym ręku władzę „nieomal absolutną” i który – pomimo klęski militarnej w 1814 r. – „ostatecznie pokonał przeciwników, triumfując pośmiertnie w pamięci potomnych”. Autor uznał, że autorytarna droga wychodzenia z rewolucji stanowiła nieuchronność, bo rewolucja była

„bardzo głęboka, poruszyła społeczną glebę, spowodowała brak społecznej stabilizacji”, co wymagało wzmocnienia regulatorów zachowań. Był takim regulatorem, odpowiadającym „powołaniu swoich czasów do kodyfikacji”, także napoleoński kodeks cywilny z 1804 r., pomnik prawa wspinały, lecz – jak konstatuje autor – bardzo niedemokratyczny, premiujący właściciela, pracodawcę, wierzyciela, męża, ojca. O infrastrukturze, w jakiej rodził się i upowszechniał kodeks, pisał Jan Baszkiewicz pięknie na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego” w roku 2004.

W trzecim zbiorze szkiców pt. *Francja w Europie*, opublikowanym przez Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich w 2006 r. w ramach serii „Zrozumieć Europę”, Jan Baszkiewicz przygotowuje już czytelnika do spojrzenia na historię Francji przez pryzmat powstawania zrastającego się kontynentu XXI stulecia. W mistrzowskim, zaskakującym licznymi wyrafinowanymi figurami myślowymi wykładzie wodzi go po meandrach wewnętrznego rozwoju kraju i jego pozycji w Europie, zwracając mu m.in. uwagę na wartość francuskich instytucji polityczno-prawnych, na wkład Francuzów do europejskiej kultury i na jej rolę jako „najstarszej córki Kościoła”. Píše: „Miejsce Francji w Europie zmieniało się, oczywiście, w miarę przemian jej realnej siły mierzonej solidnością jej instytucji, zamożnością kraju, mocą społecznych więzi konstytuujących społeczne struktury, potencjałem kultury duchowej [...]. Rzecz jasna, na pozycję Francji wpływ wywierał także zmieniający się stan Europy, której ruchliwość była brzemiennea we wciąż nowe wyzwania i odpowiedzi. Francja zajmowała uprzywilejowane miejsce w politycznej, ekonomicznej, socjalnej i duchowej historii Europy”. Z faktu, że „współczesna Francja popełnia błędy i gafy, nie ma jednak na sumieniu bardzo ciężkich grzechów przeciw przyzwoitemu porządkowi naszego niedoskonałego świata”, nie wyprowadza wszelako wniosku, że w jednoczącej się Europie należy się Francji uprzywilejowane miejsce. Sformułowanie odpowiedzi zostawia czytelnikowi.

W 1998 roku Jan Baszkiewicz zaskoczył niektórych, publikując podręcznik dla prawników i studentów nauk politycznych *Powszechna historia ustrojów państwowych* (II wyd., poszerz. w 2001 r.), dzieło głębokiej erudycji i mistrzowskich umiejętności posługiwania się techniką prawno-porównawczą. W rzeczy samej można się go było spodziewać, czytając cotygodniowe eseje, publikowane w latach 1995–1996 na łamach „Prawa i Życia”, poświęcone ewolucji relacji między rządzącymi i rządzonymi. Odszedł w nim od tradycji opracowań, które powszechną historię sprowadzały do zbioru luźno z sobą powiązanych wybranych historii narodowych; nie rezygnując z egzegezy rozwiązań normatywnych, położył akcent na funkcjonowanie opisywanych instytucji politycznych w praktyce. Stworzył w efekcie obraz historii instytucji, która faktycznie była „powszechna”. Oczywiście punkt ciężkości w wykładzie spoczywa i tu na ustroju

szeroko rozumianego europejskiego obszaru kulturowego, ale autor uwzględnił liczne próby recepcji instytucji ustrojowych, wypracowanych przez kulturę euro-amerykańską także na innych kontynentach. Jego wykład, wprawiający w podziw nie tylko pięknem formy i rozmachem interpretacji, ale także optymistyczną wiarą, że ludzkość może tworzyć ustroje coraz lepsze, coraz bardziej racjonalne i coraz skuteczniej chroniące swobody obywateli, stawia przed studiującymi wysokie wymagania i jest godny najlepszych uniwersytetów.

W tym samym czasie Jan Baszkiewicz opublikował książkę, która jakby klamrą spina jego fascynacje i tych fascynacji stanowi wstępne podsumowanie. Nosi ona tytuł *Władza* (1999, niem. wyd. 2003). Władza – stwierdza autor – to fenomen złożony, obecny w prawie, w polityce, gospodarce, w strukturach społecznych i kulturze. Przedstawia ten problem z wielu punktów widzenia, nie ograniczając się do podstawowego w czasach nowożytnych podmiotu rządzenia, jakim jest państwo – symbol i synonim politycznie zorganizowanego społeczeństwa. Jednocząca się Europa, powracająca w pracy jako podmiot i zarazem przedmiot dociekania, stanowi dla autora jedność wielce zróżnicowaną, w której doświadczenia jednych krajów wpływają na los innych. Temat władzy został potraktowany jako zjawisko cywilizacyjne, jako proces rozwoju organizacyjnego społeczeństw, wykwit myśli, a także jako powikłane dzieje blasków i cieni demokracji.

Demokracja jako zasada w ustroju, jako teoretyczna figura w ręku politologa, jako zjawisko ze sfery politycznej myśli zajmuje w twórczości Jana Baszkiewicza – w jego książkach, ale także w mniejszych formach jego naukowej prozy – coraz więcej miejsca. Teza jego brzmi nie od dziś: w połowie ubiegłego stulecia i po drugiej wojnie światowej kłopoty z demokracją nasiliły się i to pod różnymi szerokościami geograficznymi. Okazało się nie po raz pierwszy, że warunkiem harmonijnego funkcjonowania jej mechanizmów jest istnienie społecznego środowiska zdolnego uczyć się demokracji i gotowego to robić. Zacołanie cywilizacyjne, szerzące się ubóstwo, wątpliwość czy wręcz brak demokratycznych tradycji, wysoki poziom społecznych, etnicznych, religijnych frustracji były i są przyczyną, że modele demokratycznego ustroju w Azji, Afryce, w Ameryce Łacińskiej, podobnie jak w Europie, znacznie się od siebie różnią, mają różny rodowód, różne kontury i w różnym stopniu reagują na zagrożenia. Kryzys państwa dobrobytu, które chciało kontrolować prawie wszystkie sfery indywidualnego i zbiorowego życia, rodzi napięcia między jednostką a biurokratycznym aparatem państwa, podobnie jak skrajne mutacje liberalizmu nieustannie generują stany ostrej frustracji społecznej. Utrzymują się one na wysokim poziomie, ponieważ ster władzy dzierżą elity. Kompromitują system – nie tylko w państwach postkomunistycznych – afery gospodarcze, skandale obyczajowe, korupcja, nieudolność i zła wola polityków. Próby wskrzeszenia demokracji

bezpośredniej nie dają pożądanych efektów, przynajmniej na dłuższą metę. Zarówno demokracja „referendalna” i „sondażowa”, jak demokracja „elektroniczna” mają wymiar obosieczny i raczej odciągają wyborców od polityki, niż skłaniają ich do aktywności w życiu publicznym. Antykomunizm sprzyjał zawieszaniu zasad rządów prawa: warto pamiętać, że na ołtarzu „wojny z terroryzmem” poświęcono szereg wolności obywatelskich, o które przez długie lata zażarcie i wytrwale walczone.

O szansach polskiej demokracji pisał Jan Baszkiewicz z troską, ale i z nutą optymizmu. Uważał, że za dużo w niej mitów: mitem jest zapowiadany rozwój gospodarki i polityki, mitem staje się też – twierdził – idea państwa prawnego w jej pozytywistycznej wersji sprzed stu lat. Istnieje zjawisko zawłaszczania instytucji państwowych przez partie, w tych warunkach liberalna droga wychodzenia z rewolucyjnych zawirowań może u nas się nie sprawdzić. „Indoktrynacja rządowa, kościelna czy w wydaniu niezależnych mediów jest ciągle ważna, ale nie decyduje o legitymizacji władzy”. O legitymizacji tej decyduje co innego. Jan Baszkiewicz pisał: „Jeśli w społeczeństwie dominuje przekonanie o realnych korzyściach gwarantowanych przez władzę, to jej legitymizacji nie obalą gromy z ambon, łamów gazetowych i ekranów telewizyjnych. Natomiast w sytuacji ostrego kryzysu i konfliktów socjalnych samo demokratyczne umocowanie władzy może nie wystarczyć. To mityguje mój optymizm [...]. Polska demokracja – jak każda inna – ma szanse, pod warunkiem, że stan kryzysu i skonfliktowania społecznego nie przekroczy czerwonej kreski. Poziom tej ostatniej wyznaczają różne czynniki, takie jak stabilność systemu, jakość państwa, stan kultury politycznej społeczeństwa. Jeśli demokratyczne państwo polskie nie wzmocni swego autorytetu, jeżeli poczucie ładu i bezpieczeństwa będzie się obniżać, jeśli nadal będą się rozwierać nożyce między bogactwem a biedą, może się okazać, iż przekroczymy czerwoną kreskę i legitymizacji władzy nie uratuje jej demokratyczne pochodzenie, skądinąd wątle wskutek obywatelskiej bierności i niewysokiej frekwencji wyborczej. Ale jak realne jest zagrożenie, niech oceniają socjologowie, ekonomiści, politycy społeczni. A władza niech ich uważnie słucha”.

Podzielałam to przesłanie. I cieszę się, że udało się – niestety dopiero krótko przed śmiercią autora – wydać tom jego drobnych tekstów. Stanowią one ważne uzupełnienie wątków pomieszczonych w książkach, rozwijają myśli, w monografiach ukazane zaledwie szkicowo, czasem są zapowiedzią opracowań monograficznych lub syntetycznych, nieraz głoszą polemikę z przeciwnikiem naukowym. Wyrażają impuls chwili, niejednokrotnie są rodzajem odskoczni od głównych podejmowanych akurat przez autora w jego zainteresowaniach wątków. Mówią one o kształtowaniu się osobowości Jana Baszkiewicza, charakte-

ryzują doskonalenie jego naukowego warsztatu, są obrazem kształtowania się jego świata pojęć, oddają rozwój form komunikowania się z czytelnikiem, odzwierciedlają poglądy na naukę, na ruch w środowiskach naukowych, na skomplikowany zespół relacji zachodzących między nauką a polityką. Jan Baszkiewicz też się cieszył.

Martin Broszat



Martin Broszat, profesor Uniwersytetu w Monachium i wieloletni dyrektor sławnego Instytutu Historii Współczesnej (Institut für Zeitgeschichte) w tym mieście zmarł 14 października 1989 r. Był jednym z najwybitniejszych historyków niemieckich drugiej połowy ubiegłego stulecia. Należał do uczonych o szerokiej skali zainteresowań humanistycznych; badacz niespokojny i wrażliwy, o niezwykłym polemicznym temperamencie. Stawiał ważne pytania i poszukiwał wciąż nowych rozwiązań, zawsze obecny tam, gdzie toczyły się doniosłe spory naukowe, szczególnie te, które były bezpośrednimi antecedenkami teraźniejszości. Był historykiem „politycznym”, w tym mianowicie sensie, że wciąż świadomy pozostawiał poważnej roli i takiejże odpowiedzialności, jaka ciąży na badaczu przeszłości, zwłaszcza przeszłości najnowszej, która kształtuje w szczególnie silnym stopniu świadomość, wiedzę i kulturę powojennych pokoleń. W swych badaniach preferował głębokie przemyślenia, które prowadziły do teoretycznej refleksji, w której poszukiwał odpowiedzi na pytania o kategorie i wartości. Odważny, często kroczył pod prąd opinii większości środowiska. Burzył mity i stereotypy; był zdania, że historycy zalegli pole w rozpoznawaniu dróg, jakie z przeszłości prowadzą na próg czasów współczesnych. Pozostawił po sobie dzieła liczne i ważne, wpisujące się trwale do historii historiografii, zaskakujące świeżością pomysłów, śmiałością interpretacji, nieraz niedokończone i dyskusyjne. Niektóre z wysuniętych przezeń tez czy hipotez z pewnością będą jeszcze nie raz przedmiotem rozważań w historiograficznych debatach.

Odejście Martina Broszata dotkliwie odczuło środowisko historyków polskich. Był on bowiem dobrym znawcą historii Polski i wytrwałym badaczem przeszłości stosunków niemiecko-polskich. Zawsze serdecznie witał polskich gości w swoim Instytucie, pomagał im, bywał ich niezawodnym partnerem

w rzeczowej dyskusji. Również piszącemu niniejsze słowa okazywał w trudnych chwilach iście ojcowską troskę. Od początku lat siedemdziesiątych miniego stulecia aktywnie uczestniczył w pracach Wspólnej Komisji Podręcznikowej Polska-RFN do spraw podręczników szkolnych z historii i geografii. Jego niezmiennie i autentycznie zainteresowanie historią naszego kraju wynikało nie tylko z osobistych pobudek, ale posiadało jednoznaczne podłoże metodologiczne. Uważnie śledząc polskie losy, Broszat wielokrotnie podkreślał, że bez badania zatruwanych w przeszłości stosunków z Polską nie sposób pojąć istotę przeobrażeń zachodzących w Niemczech powersalskich, i w konsekwencji zrozumieć istotę narodowego socjalizmu. Napisał dwie monografie poświęcone stosunkom niemiecko-polskim, które korygowały szereg ustaleń dawniejszej historiografii niemieckiej i które – życzliwie i z zainteresowaniem przyjęte w Polsce – wywołały, właśnie z uwagi na swój mitoburczy charakter, sprzeciw części historyków jego macierzystego kraju. W pierwszej z nich, opublikowanej w roku 1961, a traktującej o nazistowskiej polityce wobec Polski w latach drugiej wojny światowej¹, zajął się oceną narodowosocjalistycznej koncepcji polityki wobec Polski, strukturą władz okupacyjnych tak na ziemiach wcielonych do Rzeszy, jak i w Generalnym Gubernatorstwie, a także transferem ludności oraz przyszłym ładem, jaki miał zapanować na tych terenach. Jego teza brzmiała: Polska – inaczej np. niż Francja czy Norwegia, była doświadczalnym polem hitlerowskiej, volkistowskiej ideologii i polityki². Polityka Niemiec wobec Polski poświadczała złowrogi charakter reżimu. Choć autor chętnie przeciwstawiał polityce nazistów postawy „dobrych Niemców”, nie chciał tym wybielać okresu nazistowskiego; potępienie hitleryzmu było u niego jednoznaczne, łącząc się z poglądem, że niemieckie zbrodnie w Polsce nie mają sobie równych i nie mogą być porównywane np. z losem ludności niemieckiej po wojnie. Nikt z historyków niemieckich nie zajął wtedy tak jednoznacznego stanowiska w tej kwestii.

Dwa lata później Martin Broszat poszerzył obszar swych obserwacji. Jego badania objęły całe dzieje polsko-niemieckich stosunków, od rozbiorów poczynając³. Zaprotestował przeciwko demagogicznej, zakorzenionej w piśmiennictwie niemieckim tezie, głoszącej, że zasadą w stosunkach niemiecko-polskich było pokojowe sąsiedztwo, a wrogość wyjątkiem od tej zasady. Wyszedł z założenia, że o stanie stosunków między oboma państwami i narodami rozstrzygają nie pokojowe sąsiedztwo okresu średniowiecza czy baroku, a rozbiory i tragiczne lata drugiej wojny światowej. I dochodził do konstatacji, iż „prusko-

¹ M. Broszat, *Nationalsozialistische Polenpolitik 1939–1945*, Stuttgart 1961 („Schriftenreihe der Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte” nr 2).

² Ibidem, s. 6.

³ M. Broszat, *Zweihundert Jahre deutsche Polenpolitik*, München 1963.

niemiecka polityka w stosunku do Polski była przez długie okresy historią politycznej zatwardziałości (*Verstocktheit*), braku ludzkich odruchów i w istocie polityką bez przyszłości⁴. Książką swą, pisaną w zasadzie bez uwzględnienia literatury polskiej, powiększył Martin Broszat grono swych przyjaciół i admiratorów w Polsce, których już wcześniej jednał sobie talentem erudyty, osobistym czarem, serdecznym stosunkiem do młodzieży naukowej, przyjeżdżającej do niego z naszego kraju. Nie ma żadnego powodu, aby również piszący te słowa ukrywał żal z powodu przedwczesnego odejścia tego uczonego⁵.

Martin Broszat urodził się 14 sierpnia 1926 r. w Lipsku, w rodzinie, która okazała się odporna na indoktrynację ze strony nazistów. Mimo młodego wieku nie uniknął służby wojskowej, w latach wojny był zatrudniony przy obsłudze dział przeciwlotniczych. W latach 1946–1951 studiował historię, germanistykę i filozofię najpierw w Lipsku, potem w Kolonii. Współpracował wtedy ze wschodnią CDU; w latach od 1951 do 1954 był członkiem komisji do historii Niemców wypędzonych z Europy Środkowo-Wschodniej (Kommission zur Geschichte der Vertreibung der Deutschen aus Ostmitteleuropa). W 1952 r. obronił doktorat u Theodora Schiedera na podstawie rozprawy *Die antisemitische Bewegung im wilhelminischen Deutschland*. Ukazał w niej polityczne i społeczne implikacje niemieckiego antysemityzmu w okresie poprzedzającym wielką wojnę. W 1955 r. podjął pracę w monachijskim Instytucie Historii Współczesnej (Institut für Zeitgeschichte), zaś w 1972 r. – po przejściu na emeryturę Helmuta Krausnicka – objął jego kierownictwo. Odtąd losy Broszata sprzęgły się na trwałe z dziejami tej znamienitej placówki. Rozbudował ją, powiększył o świetną kadrę, pomnożył jej funkcje i tym samym uczynił czołowym instytutem naukowym, wyspecjalizowanym w badaniach nad okresem od pierwszej wojny światowej aż po schyłek lat czterdziestych XX w. Działalność uniwersytecka, najpierw w Konstancji, potem w Monachium, choć bardzo ją sobie cenił, z natury rzeczy mniej go absorbowiała.

Równocześnie prowadził intensywne badania, które publikował w formie książek i rozpraw, a także w postaci artykułów i studiów drukowanych najczęściej w redagowanym przez siebie kwartalniku „Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte”. Wiele jego przemyśleń wydobyli na światło dzienne współpracownicy: Hans Mommsen, Christoph Weisz, Wolfgang Benz, Helmuth Auerbach, Wolfgang Jacobmeyer, Lothar Gruchmann, Hermann Graml, Guenter Plum i inni.

⁴ Ibidem, s. 8.

⁵ Do tematyki „polskiej” M. Broszat powracał później w referatach pisanych na posiedzenia wspólnej niemiecko-polskiej komisji podręcznikowej, a także w tekstach okolicznościowych. Por. np. jego studium *Von der politischen Teilung zum Warschauer Vertrag*, „Neues Hochland” 1972, nr 61, s. 342–351 oraz *Zehn Jahre Warschauer Vertrag. Beitrag im Zweiten Deutschen Fernsehen gesendet am. 7. Dezember 1980*, a także w: *Hitler. Der schwierige Umgang mit unserer Geschichte*. Beiträge von Martin Broszat, Hrsg. von H. Graml und K.D. Henke, München 1986, s. 287–291.

Podobnie wiele inspiracji zawierały opinie, pisane przezeń – najobficiej w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych – na zlecenie sądów, władz administracyjnych i instytucji niemieckich, a związane z funkcjonowaniem państwa i społeczeństwa w Trzeciej Rzeszy. Wymagały od niego nie tylko znakomitego znanstwa badanej materii, ale i głębokiej odwagi cywilnej oraz poczucia odpowiedzialności. Sam powie po latach, że to właśnie te opinie, w nikłej zaledwie części dostępne czytelnikowi, stały się jego właściwym uniwersytetem historii współczesnej. Pożytki wynikające z jej uprawiania widział już w 1957 r. Stwierdził wówczas, że tylko gruntowne źródłowe badania nad całym okresem dwóch wojen mogą przyczynić się do właściwego zrozumienia nazistowskiego panowania w Niemczech oraz spowodować, że nie będzie on potraktowany ani jako odzwierciedlenie samej doktryny nazizmu, czyli fenomenologicznie, ani jako odbicie norymberskiego procesu głównych zbrodniarzy hitlerowskiej Rzeszy⁶. I tylko uprawianie historii współczesnej może doprowadzić do uznania, że narodowy socjalizm stanowi nie tylko zjawisko typowo niemieckie, ale jest fenomenem epoki, formacją wyrażającą układ sił na całym kontynencie. Już wtedy autor widział potrzebę ujmowania nazizmu przez pryzmat kontynuacji i przerwania ciągłości niemieckich dziejów.

Pierwszą książkę Martin Broszat wydał w roku 1958. Były to opatrzone przenikliwym komentarzem wspomnienia komendanta obozu w Oświęcimiu Rudolfa Heßa⁷, wstrząsający cynizmem dokument ludobójstwa, niezwykle zwłaszcza z uwagi na szczegółowość zeznań zbrodniarza. Dwa lata później opublikował Broszat monografię nazizmu. Podtytuł książki mówi o zamierzonych konturach wykładu: chodziło o nazizm jako światopogląd, o nazizm jako program i zarazem o jego historię w działaniu: „Trwająca lata podatność niemieckich elit politycznych i duchowych na narodowy socjalizm i stopień ich duchowej korupcji są dowodem wskazującym na to, że Hitler nie może być pojmowany po prostu jako »przypadek« w niemieckiej historii, lecz że współdziałały tu określone, częściowo w daleką przeszłość sięgające ideologiczne, duchowe predyspozycje”⁸.

Po opublikowaniu w latach 1961–1963 swych – wspomnianych już na wstępie – monografii „polskich” oraz po wydaniu – wspólnie z Ladislauem Hory’em – rozprawy o chorwackim państwie kolaborującym z Trzecią Rzeszą w latach 1941–1945⁹ – Martin Broszat ogłosił najbardziej znaną ze swoich licz-

⁶ M. Broszat, *Aufgaben und Probleme zeitgeschichtlichen Unterrichts*, „Geschichte in Wissenschaft und Unterricht” 1957, nr 9, s. 529–550.

⁷ *Kommandant in Auschwitz. Aufzeichnungen von R. Heß*, eingeleitet und kommentiert von M. Broszat, Stuttgart 1958 („Quellen und Darstellungen zur Zeitgeschichte”, Bd. 5).

⁸ M. Broszat, *Der Nationalsozialismus. Weltanschauung, Programm und Wirklichkeit*, Stuttgart 1960.

⁹ L. Hory, M. Broszat, *Der kroatische Ustascha-Staat 1941–1945*, Stuttgart 1964 („Schriftenreihe der Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte”, nr 8).

nych ekspertyz o funkcjonowaniu hitlerowskiego państwa. Był to oryginalny tekst, napisany w związku ze spektakularnym procesem, jaki odbył się we Frankfurcie nad Menem w roku 1964 i osobiście przedstawiony przez autora sądowni przysięgłych. Podejmował on poważne i odpowiedzialne zadanie ukazania „faz rozwoju struktur organizacyjnych i dowódczych w obozach koncentracyjnych i ich zmieniających się i poszerzających w toku dwunastu lat panowania nazizmu zadań i form ich funkcjonowania”. Było to drugie, po monografii Eugena Kogona, syntetyczne opracowanie historii obozów koncentracyjnych i obozów zagłady, a pierwsze, które wyszło spod pióra badacza niebędącego ich więźniem¹⁰.

W 1969 r. ukazało się najważniejsze dzieło Martina Broszata, monografia hitlerowskiego państwa: *Der Staat Hitlers*, które było wydarzeniem naukowym, weszło do klasyki literatury traktującej o Trzeciej Rzeszy, a dzięki tłumaczeniu na języki obce umocniło międzynarodową sławę autora. Odegrało też decydującą rolę w powierzeniu mu dygnitarskiego stanowiska dyrektora Institut für Zeitgeschichte¹¹.

Praca Broszata o państwie Hitlera, żywo dyskutowana w środowisku historyków zachodnioniemieckich i nie zawsze dobrze zrozumiana – przez jednych traktowana jako raczej tradycyjne opracowanie z dziedziny historii ustroju, przez innych widziana jako mistrzowski tekst z zakresu analizy struktur, a zatem dzieło na wskroś nowoczesne – uosabiała cechy, które bynajmniej nie były stałym elementem pisarstwa Martina Broszata: zawierała nie tylko trafnie sformułowane pytania badawcze, ale i była świetnie skonstruowana i jasno napisana. Jej treścią były w mniejszym stopniu istota i rezultaty nazistowskiej polityki: w znacznie szerszej mierze stanowiła historię „wewnętrznego ustroju” narodowego socjalizmu. Była przede wszystkim wielkim traktatem o dualizmie jako zasadzie hitlerowskiego reżimu. Mowa w niej o partii i państwie, o rządzie Rzeszy i charyzmie wodza, o autorytarnym porządku prawnym, bronionym przez stary stan urzędniczy, i o bezprawiu w wykonaniu gestapo, o centralizmie władzy, wreszcie o państwowym i partyjnym partykularyzmie. Zdaniem autora stanowiły one niezbędny składnik strukturalny nazistowskiego państwa, dowodziły jego politycznego charakteru. Istota nazistowskiego panowania – dowodził Broszat – była prezentowana przez hitlerowców równie nieostro, jak niejasny był katalog zasad tworzących „narodowosocjalistyczny światopogląd”. Autorowi udało się ukazać „ruch” i „walkę” w systemie, i w nich właśnie dostrzec przesłankę tych zasobów energii, jakie Hitlerowi udało się zgromadzić.

¹⁰ M. Broszat, *Nationalsozialistische Konzentrationslager 1933–1945*, Hrsg. v. H. Buchheim u.a., Freiburg 1965.

¹¹ Idem, *Der Staat Hitlers. Grundlegung und Entwicklung seiner inneren Verfassung*, München 1969. Praca ukazała się w wydawanej przy współpracy H. Heibera serii „Die Weltgeschichte des zwanzigsten Jahrhunderts”.

Wiele sformułowanych w książce ocen uznaję za nowatorskie, wręcz pionierskie. Mam na myśli tezę, że obalenie republiki i sukces nazistów stały się możliwe dopiero w wyniku zbliżenia „ruchu” jako prądu mas do konserwatywnych kręgów przeciwników republiki. Jego zdaniem wydarzenia poprzedzające 30 stycznia 1933 r. nie pozostawiają złudzeń co do tego, że w istniejących wtedy warunkach układu sił oraz ciężkich kryzysów na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych XX w. nękających system weimarski nie był już możliwy ani powrót do dawnego rządu autorytarnego, ani też samodzielne sięgnięcie po władzę przez NSDAP. Mam też na uwadze wywód, głoszący, że przeplatanie się trendów autorytarnych i totalitarnych zostało na początku lat trzydziestych przyspieszone przez przekształcanie się partii Hitlera w partię masową. Autor przekonująco pokazuje, że udane na ogół połączenie autorytarnego reżimu z masowym ruchem narodowych socjalistów umożliwiało skoncentrowanie działań władczych na szczególnie pożądanym ze względów politycznych kierunkach aktywności. Stwarzało ono dobre oparcie dla rozwijania gospodarki i likwidowania bezrobocia, przez co wzrastał społeczny kapitał zaufania do państwa i jego wodza. „Faktor Hitler” został potraktowany równie interesująco. Znaczenie wodza – twierdzi Broszat – polegało nie na tym, „jakim on był osobie”, lecz na tym, co wyrażał on jako demagog i agitator. Dopiero wielki kryzys uczynił ekscentryka i dziwaka trybunem ludowym. Przeniesienie hitlerowskiego absolutyzmu wodzowskiego z partii na rząd, państwo i wspólnotę narodową (*Volk, Volksgemeinschaft*) stanowiło – tak autor – najbardziej udane posunięcie w polityce „ujednolicania” społeczeństwa (*Gleichschaltung*). Prawda, że spory między partią a państwem oraz pomiędzy rywalizującymi między sobą diadachami i instytucjami tworzyły obraz nieustannej walki, ale miały dla reżimu tę zaletę, że pomagały utrzymać wewnętrzną równowagę sił. Polityka Hitlera zmierzająca do utrzymania owego *balance* mogła być równie destrukcyjna co konstruktywna. Choć ścierające się z sobą podmioty zakłócały wykonywanie władzy państwowej, to niejako automatycznie pomagały wzajemnie utrzymywać się w ryzach. Zyskiwała na tym wszechwładza wodza. Broszat ukazuje dualizm Trzeciej Rzeszy na przykładzie działań normodawczych reżimu; podkreśla współistnienie permanentnego stanu wyjątkowego i bezprawnego terroru w zwalczaniu politycznych przeciwników. Dochodzi do wniosku, że do końca lat trzydziestych najbliżsi współpracownicy Hitlera nie wykluczali możliwości zharmonizowania autorytarnych i totalitarnych elementów reżimu. Możliwości te ustąpiły oczywiście wraz z przejściem do polityki ekspansji terytorialnej i do wojny.

W książce dawała o sobie znać gruba warstwa refleksji teoretycznej nad ideologią nazizmu. Już we wcześniejszych rozprawach kreślił autor jej ród. Dopiero wszelako w roku 1969 ukazał ją w całej złożoności, przede

wszystkim jako element sprzyjający utrwalaniu pogotowia wojennego w społeczeństwie. Broszat był chyba pierwszym historykiem, który zwrócił uwagę na znaczącą przewagę elementów negacji w doktrynie narodowego socjalizmu, podnosił jej znaczenie jako ideologii nieubłaganej dla wroga i zarazem jako uzasadnienie dla artykułowania woli wodza. Tylko to, co negatywne zostało wprowadzone do praktyki. Pozytywne elementy, widoczne pośród zasad „narodowosocjalistycznego światopoglądu”, pozostały w sferze propagandy. Co więcej – ciągle powracanie przez Hitlera do haseł nienawiści, spisanych już – jak wiemy – w *Mein Kampf*, stanowiło – zdaniem autora – skuteczną siłę napędową nazistowskiej polityki. W jej rezultacie rozbito nie tylko rzeczywistego wroga, jakim byli komuniści i Żydzi, ale i konserwatywne siły, tworzące aparat państwowej administracji, który choć odziedziczony po poprzedniej epoce, pozostawać mógł, i do czasu istotnie pozostawał, filarem nośnym reżimu.

Tezy swe Martin Broszat wciąż rozwijał i korygował – w tekstach monograficznych, w studiach rozsianych po periodykach, szczególnie często w przedmowach do wydawnictw, których sam był inicjatorem i redaktorem. Przestrzegał przed traktowaniem przełomu 1933 r. jako restauracji, czyli jako kontrrewolucji z prawa, skierowanej przeciwko republice niemieckiej. Podkreślał plebiscytarny charakter dyktatury wodza nowej Rzeszy¹². Rozwijał teorię modernizacji nazizmu, przejętą od Ralfa Dahrendorfa¹³. Zastanawiał się nad tym, na ile Trzecia Rzesza działała rewolucjonizująco, a na ile trwoniła nagromadzone zasoby energii. Badał rozmiar rozkładu tradycyjnych struktur państwowych i społecznych i pytał o rezultat „ujednolicającej” polityki narodowych socjalistów¹⁴. Wciąż przy tym zaprzętała go myśl o roli tradycyjnych elit niemieckich, zdecydowanych poprzeć Hitlera, mimo że oznaczało to początek ich upadku¹⁵. Irytowało go niepowodzenie inicjatywy nawiązania współpracy w badaniu nazizmu z historykami NRD¹⁶. W przedmowie do wydawnictwa *Vom Stalingrad zur Währungsreform. Zur Sozialpolitik des Umbruchs in Deutschland* z 1988 r. proponował wyodrębnić okres 1943–1948 jako czas, który posiada swój własny znak tożsamości, wiodący od klęski militarnej i upadku państwowości poprzez migracje ludności i społeczeństwo nędzy, prowadzący od *Notgesellschaft* do

¹² Por. *Deutschlands Weg in die Diktatur. Internationale Konferenz zur nationalsozialistischen Machtübernahme*, Hrsg. von M. Broszat u.a., Berlin 1983, s. 249 i n.

¹³ Zob. M. Broszat, *Das Dritte Reich als Gegenstand historischen Fragens* [w:] W. Ploetz, *Das Dritte Reich. Herrschaftsstruktur und Geschichte. Ursprünge – Ereignisse – Wirkungen*, Hrsg. von M. Broszat und N. Frey, Würzburg 1983, s. 11–17.

¹⁴ M. Broszat, *Grundzüge der gesellschaftlichen Verfassung des Dritten Reiches* [w:] *Das Dritte Reich*, Hrsg. von M. Broszat und H. Möller, München 1983, s. 38–63.

¹⁵ Por. Idem, *Der zweite Weltkrieg. Ein Krieg der alten Eliten, der Nationalsozialisten oder der Krieg Hitlers?* Hrsg. von M. Broszat, K. Schwabe, München 1989, s. 25–71.

¹⁶ Idem, *Erfolg und Scheitern eines deutsch-deutschen Zeitgeschichts-Dialogs*, s. 7–24.

*Wohlgesellschaft*¹⁷. Wydawnictwo wyrażało widoczne u Broszaty zainteresowanie dla powojennej historii Niemiec, dla początków społeczeństwa dobrobytu (*Wohlstandsgesellschaft*) i demokracji kanclerskiej (*Kanzlerdemokratie*), czyli ery Adenauera.

W latach siedemdziesiątych XX w. Martin Brosza podjął wraz ze swymi współpracownikami w Instytucie wielki temat: *Bawaria w czasach narodowego socjalizmu* (Bayern in der NS-Zeit). Sześciotomowe dzieło ukazało się w latach 1977–1983 i nie miało poprzedników¹⁸. Jego celem było uzyskanie odpowiedzi na pytanie o to, jak dalece ruch hitlerowski był – niezależnie od wszystkich form rzeczywistej represji stosowanych wobec ludności – ruchem ludowym (*Volksbewegung*), ale zarazem interesowało go, jak liczne były w narodzie komórki zdrowe, niechętne brunatnym mocodawcom, zdolne i gotowe mu się przeciwstawić. Broszat, który kierował pracami przygotowawczymi i był współautorem dwóch tomów, założył, że inaczej niż w historii określającej się jako historia zdarzeniowa (*Ereignisgeschichte*) trzeba czas hitlerowskiego panowania odczytywać nie tylko z dużych, ale i małych podmiotów. Pisał: „siła dowodowa określonych wypowiedzi o naturze jakiegoś reżimu i jego przeobrażeń zależy w wysokim stopniu od wymiaru jego konkretności; abstrakcyjna prezentacja związków przyczynowych wymaga ciągłej egzemplifikacji i weryfikacji detalu”¹⁹. Hasła wywoławcze: „małe podmioty” (*kleine Objekte*) i sprawdzanie „detalu” (*en détail*) materializowały się w bogatej dokumentacji, pochodzącej od władz lokalnych; mówiły o falowaniu opinii publicznej, o indywidualnych losach, zachowaniu się zwykłych ludzi w skrajnych sytuacjach obozowych itp. Poszczególne tomy ukazują historię życia codziennego (*Alltagsgeschichte*), historię widzianą „od dołu” (*Geschichte von unten*). Był to więc obraz dziejów zrelatywizowanych, jako że bohaterami ich byli: przedstawiciele różnych sfer, zawodów, orientacji. To rolnicy i pracownicy rolni, jeńcy wojenni i robotnicy cudzoziemscy, pracownicy przemysłowi, dyrektorzy zakładów i właściciele przedsiębiorstw, księża, nauczyciele i przywódcy miejscowej *Hitlerjugend*, szlachta, urzędnicy i, burmistrzowie, przedstawiciele administracji terenowej, agenci służb bezpieczeństwa i komisarze SA, reprezentanci żandarmerii, wreszcie agenci policji politycznej i funkcjonariusze NSDAP.

Broszat podjął walkę z tendencjami do mitologizowania i monumentalizowania okresu hitlerowskiego, tendencjami nieuniknienie zasklepiającymi się

¹⁷ *Vom Stalingrad zur Währungsreform. Zur Sozialpolitik des Umbruchs in Deutschland*, Hrsg. von M. Broszat, K.D. Henke, H. Wolter, München 1988 („Quellen und Darstellungen zur Zeitgeschichte”, Bd. 26).

¹⁸ *Bayern in der NS-Zeit. Soziale Lage und politische Verhalten der Bevoelkerung im Spiegel vertraulicher Berichte*. Hrsg. von M. Broszat, E. Fröhlich, F. Wiesemann, Bd. 1, München 1977–1983.

¹⁹ M. Broszat, *Resistenz und Widerstand. Eine Zwischenbilanz des Forschungsprojekts*, „Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte”, Bd. 4, s. 691.

w badaniu wyłącznie „wielkich zdarzeń” i „ważnych podmiotów” (*grosse Objekte*). Zebrał ogromny materiał, mówiący także o postawach oporu i polach konfliktów, o rozmiarach nostalgii z „innymi Niemcami”. Objął je zbiorczym pojęciem *Resistenz*. Nadał mu znaczenie ogólne, zdając sobie sprawę, że życie z trudem znosi typologizowanie ludzkich wyborów i postaw. *Resistenz* znaczy tu przede wszystkim „skuteczną obronę” (*wirksame Abwehr*), „ograniczanie” i „łagodzenie” nazistowskiego systemu panowania (*Begrenzung und Eindämmung der NS-Herrschaft*), i to „niezależnie od motywów, powodów i sił”²⁰. Nie ograniczała się zatem do postaw martyrologicznych (*Märtyrertum*). Taki opór był uzasadniony – zdaniem autora – funkcjonowaniem względnie niezależnych instytucji (Kościoły, biurokracja, wermacht), reprezentujących na ogół jeszcze stare religijno-obyczajowe normy, odrębne interesy ekonomiczne i duchowe. Broszat odważnie głosi szacunek dla oporu organizowanego przez niemieckich komunistów²¹. Konstatował, że nierzadko bywał on skuteczny.

Martin Broszat nie był metodologiem historii i oczywiście nie stworzył spójnej koncepcji nauk historycznych. Ale od początku żywo interesował się problemami teoretycznymi. Poszukiwał w nich nowych dróg rozwoju nauki, oczekiwał nowych impulsów i nowych perspektyw poznawczych. Już w jednej z pierwszych, bo ogłoszonej w 1954 r. rozprawie²², wywodził, że ze „zmienionego charakteru przemian w świecie współczesnym” wynika obowiązek uczonemu badaniu nie tylko nowych źródeł, ale i stawiania nowych pytań, pytań dyktowanych przez doświadczenie, autorefleksję i akceptowalną przez współczesnych skalę wartości. Tylko dobrze postawione pytanie legitymuje historyka dziejów współczesnych jako nauki społecznie doniosłej, „radosnej” (*fröhliche Wissenschaft*). Pytanie powinno uwzględniać kontekst, zmierzać do ujęcia badanej materii w całość jej złożoności. Tak sam pytał, kiedy np. obalał stereotyp głoszący, że państwo Hitlera to jakby „monolityczny system władzy”, jakieś „superpaństwo”, zorganizowane racjonalnie, ułożone wedle najlepszych wzorów makiawelskich. Tak też pytał, kiedy przedmiotem jego dociekań były społeczna sytuacja i polityczne postawy ludności bawarskiego okręgu Ebermannstadt w latach 1929–1945²³.

Broszat nie lubił operować pojęciami zastanymi, korciło go formułowanie nowych, o których sądził, że otworzą drogę do nowych ustaleń. Harmonizowała ta postawa z jego nieustannym pragnieniem zapewnienia nauce trwalszych i bardziej rozległych perspektyw poznawczych. Uwidoczniła się ona szczególnie

²⁰ Ibidem, s. 698.

²¹ Ibidem, s. 707.

²² M. Broszat, *Massendokumentation als Methode zeitgeschichtlicher Forschung*, „Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte”, Bd. 2, 1954, s. 203.

²³ Bayern in der NS-Staat, t. I.

w trakcie tzw. sporu historyków zachodnioniemieckich (*Historikerstreit*) o miejsce nazizmu, hitlerowskich zbrodni oraz drugiej wojny światowej w najnowszych dziejach Niemiec. Spór – jak wiemy – rozgorzał w połowie lat osiemdziesiątych XX w. i Broszat uczestniczył w nim najaktywniej. Warto się zatrzymać zwłaszcza nad tymi jego uwagami, które dowodziły konieczności „znormalizowania” podejścia do dziejów nazizmu przez poddanie go zabiegowi „historycyzacji”²⁴.

Interesujący i inspirujący tekst Martina Broszata pt. *Plädoyer für eine Historisierung des Nationalsozialismus*²⁵ nie zwrócił zrazu na siebie baczniejszej uwagi; należał on jeszcze do okresu poprzedzającego cały spór. Broszat wystąpił w nim z tezą, że „znormalizowanie niemieckiej świadomości historycznej nie może na dalszą metę dokonać się z pominięciem rządów Hitlera i nazistów”. Autor optował za zniesieniem tej blokady, głosił potrzebę „moralnego uwrażliwienia historii”. Postawił też pytanie o wyjaśnienie „zmiennego stosunku między moralnością a historycznym [czytaj: historiograficznym] rozumieniem”. Jego zdaniem niezbędne jest poszerzenie perspektywy badawczej zarówno „w przód” jak i w tył”; stanowi ono warunek wstępny oddemonizowania całej nazistowskiej przeszłości.

Jaśniej wypowiedział się Broszat w toku debaty na ten temat, gdy pisał: „Dopiero przez włączenie do historii Niemiec także okresu nazistowskiego – i to nie tylko jako przykładu z zakresu pedagogiki, ale także jako rzeczywistej części historii, połączonej z nią epoką wcześniejszą i późniejszą poprzez wieloraką aktywność – można stwierdzić, że owo znaczenie, jakie posiada doświadczenie okresu narodowego socjalizmu dla naszej świadomości historycznej, że owa kąpiel otrzeźwiająca w postaci historyzmu, której zawdzięczamy doświadczenie, pozostają skuteczne także w odniesieniu do innych starszych albo młodszych okresów w najnowszej historii Niemiec”²⁶. Przeciwno „pedagogicznym i politycznym iluzjom” w konstruowaniu obrazu przeszłości Niemiec, a także przeciwko taniej demagogii wypowiedział się Broszat ponownie w 1988 r. na łamach „Historische Zeitschrift”²⁷. Jego świetny, choć nieco ezoteryczny, wywód był jednym z ostatnich, jakie dane mu było napisać. Autor tłumaczył, że jego postulat historyzowania czasów nazizmu ujęty jest w dwie klauzule

²⁴ Por. H. Olszewski, *Licht-und Schattenseiten einer Kontroverse. Bemerkungen zum sog. Historikerstreit*, „Neue Politische Literatur” 1987, z. 2, s. 278 i n.

²⁵ M. Broszat, *Plädoyer für eine Historisierung des Nationalsozialismus*, „Merkur” 1985, nr 435, s. 273–385.

²⁶ M. Broszat, *Die Ambivalenz der Forderung nach mehr Geschichtsbewußtseins*, [w:] *Gegen den Versuch, Vergangenheit zu verbiegen. Eine Diskussion um die Kultur in der Bundesrepublik aus Anlaß der Frankfurter Römerberggespräche 1986*, Hrsg. von H. Hoffmann, Frankfurt am Main 1987, s. 80.

²⁷ Idem, *Was heisst Historisierung des Nationalsozialismus?*, „Historische Zeitschrift” 1988, nr 247, s. 13–14.

wprowadzające: pierwsza polega na uznaniu potrzeby, że „historyczne zrozumienie nie może zatrzymywać się przed progiem okresu hitleryzmu”, druga opiera się na zasadzie zrozumienia krytycznego i oświeconego, jakże różnego od tradycyjnego niemieckiego historyzmu, bo uzupełnianego właśnie doświadczeniami lat 1933–1945 i zrodzonym wtenczas typem człowieka.

Broszat połączył pojęcie historyzowania przeszłości z pojęciem historycznego „wglądu” (*Einsicht*), w którym z jednej strony dostrzegał proces wyjaśniania i obiektywizowania, z drugiej zaś widział „subiektywne przywłaszczanie” (*Aneignung*) oraz „dopełnianie przeszłych działań, dolegliwości i błędów”. Chodzi o to – stwierdzał – aby „wytrzymać ostre napięcia, jakie zachodzą w obu elementach badania, a mianowicie w chęci zrozumienia (*Verstehenwollen*) i zachowaniu krytycznego dystansu w traktowaniu narodowego socjalizmu, tak aby nie uciec ani nie popaść w nadmiar moralizatorstwa i w skłonność do generalnego dystansowania się, ani w amoralną chęć poprzestania na samym zrozumieniu badanego fenomenu (*Nur-Verstehen*). Autor nie chciał się pogodzić z uznawaniem, że „historia Niemiec sprzed 1945 r. przedstawiana bywa nie z dystansu, z jakim zazwyczaj traktuje się dzieje własnego narodu”. Kiedy pisał o historyzowaniu, myślał o konieczności usuwania stereotypów, o likwidowaniu zaniedbań, o eliminowaniu zahamowań i tez ogólnikowych. Uważał je za plód młodej republiki zachodnioniemieckiej, która nie zawsze potrafi sobie radzić z dziedzictwem kłopotliwej przeszłości. Zwracał się zatem przeciwko bezpośrednio po 1945 r. wypowiedzanym poglądom, które głosiły ujmowanie historii Niemiec sprzed roku 1933 wyłącznie jako przedsiönka Trzeciej Rzeszy. Dowodził, że lata Rzeszy wilhelmińskiej i weimarskiej posiadają swą własną „historyczność” (*Historizität*), własną tożsamość i własne historyczne prawa, zgodnie z którymi należy je prezentować. Podstawowa trudność historyzowania narodowosocjalistycznej przeszłości polega – pisał – wciąż jeszcze przede wszystkim na tym, że historycy mają kłopot z tym, by ujmować ją jako złożoną, ale jedną całość, w której myślano nie tylko o tym, jak zniszczyć demokratyczne państwo i wprowadzić państwo narodowego socjalizmu. Należy łączyć, a zarazem wyodrębniać ważne trendy: zwrot ku totalitaryzmowi i determinację naziistów w walce o zwycięstwo, o „kryminalne nagromadzenie energii” i dar mobilizowania do wysiłku społecznego i nie na końcu destrukcyjny udział mas w życiu publicznym. Nie wolno zapominać o walce tych, którzy republiki bronili. Uważał, że wciąż jeszcze istnieje rodzaj „przepaści pomiędzy rezultatami indywidualnych badań a generalnym obrazem okresu narodowego socjalizmu”. Podejmował więc walkę przeciwko „monumentalizowaniu wydarzeń, działań i postaci z czasów nazizmu w sposób retrospektywny, przez pryzmat katastrofalnego końca”.

Prawda – głosił dalej Broszat – że badacz nie może nie uznać, że „Oświęcim z racji swego wyjątkowego znaczenia również z perspektywy wpływającego czasu figuruje jako centralne wydarzenie czasów Hitlera”, ale wątpliwe, by mógł on bez zastrzeżeń przyjąć, że „Oświęcim również z perspektywy dnia dzisiejszego zostanie kreowany na epicentrum, istotę ogólnego obrazu historii czasów nazizmu, że cała jego historia trwa w cieniu Oświęcimia, że Oświęcim to rozstrzygające kryterium oceny historycznej percepcji tamtego czasu”. Poważną wymowę ma zarówno twierdzenie Broszata, że „potencjał Holocaustu stwarza nową hierarchię i nowy porządek sił sprawczych w dziejach, jeżeli nada się mu znaczenie wsteczne”, jak i teza, że „nie wszystko, co się w czasach nazizmu wydarzyło, służyło wyłącznie dyktatorskim i antyhumanitarnym celom, jakie stawiał przed sobą zbrodniczy reżim” i że „z analizy narodowosocjalistycznej dyktatury wcale jeszcze nie powstaje automatycznie historia narodowosocjalistycznej epoki”.

Wywód Martina Broszata był – i może być nadal – przedmiotem wielorakiej oceny. Może dawać asumpt dla interpretacji politycznie konserwatywnych, wręcz niebezpiecznych. Ale może być też traktowany jako wyzwanie rzucone historykom do bardziej pogłębionych i bardziej kompleksowych badań, jako apel o wyższy stopień krytycznej refleksji nad przeszłością, jako szansa, by okres nazizmu objaśnić z uwzględnieniem całej jego złożoności. Autor jednoznacznie się skłaniał do tej drugiej interpretacji. I dlatego jego głos w sporze historyków musi być uznany za ważny.

Edmund Cieślak



Edmund Cieślak był profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Gdańskiego, profesorem w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauki, twórcą i wieloletnim kierownikiem Pracowni Historii Gdańska, później Zakładu Historii Gdańska i Krajów Bałtyckich, w końcu Zakładu Historii Gdańska i Dziejów Morskich Polski IH PAN, nieustrudzonym działaczem Gdańskiego Towarzystwa Naukowego. Był jednym z najwybitniejszych w Polsce znawców historii Gdańska w XVI, XVII i XVIII w., świetnym badaczem gospodarczej, społecznej, politycznej i kulturalnej historii Pomorza oraz Prus Królewskich. W ponad trzystu pracach, napisanych i opublikowanych na przestrzeni ponad półwiecza, dał się poznać jako historyk skomplikowanych dziejów strefy bałtyckiej na progu czasów nowożytnych. W wielu z nich silne zakorzenienie znajdowała refleksja historyczno-prawna. Edmund Cieślak zmarł po długiej i ciężkiej chorobie dnia 19 listopada 2007 r. Jego śmierć głęboko poruszała, tym bardziej że stanowiła następstwo kilku innych rodzinnych tragedii.

Był człowiekiem twardych zasad i wielkiego ciepła, przyjacielem na dobre i na złe. Miał szerokie zainteresowania i można było się wiele od niego nauczyć. Przebywanie w jego otoczeniu nie pozwalało na intelektualną ospałość. Przez wiele lat podróżowałem z nim na krajowe i zagraniczne zjazdy oraz sympozja; kilka z nich organizował, we wszystkich był referentem i świetnym dyskutantem, tworzył ich klimat i ustalał poziom ich poznawczych wartości.

Edmund Cieślak pochodził z Torunia, gdzie urodził się 7 listopada 1922 r. i gdzie rozpoczął swą edukację. Wybuch wojny, który zbiegł się ze zdaniem przezeń tzw. małej matury, skazał go na poniewierkę. Edmund był zrazu robotnikiem rolnym, potem pracownikiem fabrycznym i biurowym, by w końcu trafić do niemieckiego więzienia i stamtąd na roboty przymusowe do Rzeszy. Po wojnie znalazł się we Francji, gdzie w Polskim Liceum im. Cypriana K. Norwida

w Villard-de-Lans złożył w 1946 r. egzamin dojrzałości. Potem przyszły lata studiów prawniczych i historycznych – najpierw w Lille (1946–1948), a następnie na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu (1948–1949). Pierwsze magisterium uzyskał z zakresu prawa w seminarium Karola Koranyiego. Koranyi był również promotorem jego doktoratu, poświęconego prawnym aspektom hanzeatyckiego handlu i żeglugi morskiej.

Formalna więź Edmunda Cieślaka z Uniwersytetem w Toruniu trwała tylko cztery lata. Likwidacja młodego Wydziału Prawa zmusiła go do przeniesienia się na Uniwersytet Warszawski, na którym związał się naukowo ze Stanisławem Hoszowskim, podejmując tematy z zakresu historii gospodarczej. Kiedy wszelako Hoszowski objął katedrę na Uniwersytecie Jagiellońskim, Cieślak znalazł się w Gdańsku, gdzie pozostał już do przejścia na emeryturę w roku 1992. Kolejne awanse naukowe – stopnie i tytuły docenta (1954), profesora nadzwyczajnego (1963) i profesora zwyczajnego (1974) – uzyskał właśnie jako pracownik Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, oddelegowany do Gdańska celem zorganizowania w tym mieście środowiska PAN. Pracownią Historii Gdańska, przekształconą z czasem w Zakład Historii Gdańska i Dziejów Morskich Polski IH PAN, kierował przez prawie czterdzieści lat. Był nader prężnym szefem i potrafił kierowanej przez siebie placówce nadać wysoką rangę naukową, za co był wielokrotnie nagradzany i wyróżniany. Zajęcia w Polskiej Akademii Nauk łączył z dydaktyczną aktywnością w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gdańsku, w której przez 20 lat prowadził świetne seminaria, otwierając drogi do środowiska naukowego licznym swoim uczniom i pełniąc zarazem funkcję dziekana na nowo powstałym Uniwersytecie Gdańskim.

W Gdańsku Edmund Cieślak rozwinął niezwykle dynamiczną działalność społeczną i organizacyjną pozaakademicką. Był przez lata całej jedną z pierwszych postaci w Gdańskim Towarzystwie Naukowym, jego członkiem-założycielem, sekretarzem generalnym, wiceprezesem, przewodniczącym Komisji Historycznej i Komitetu Wydawnictw Książkowych, redagował „*Studia Maritima*” i kierował wydawnictwem serii „*Studia i Materiały do Dziejów Gdańska*”. Działal w Towarzystwie Naukowym w Toruniu, w połowie lat pięćdziesiątych pełniąc wraz ze Stanisławem Hoszowskim funkcję redaktora „*Zapisek Historycznych*”. Był aktywny w Instytucie Zachodnim im. Zygmunta Wojciechowskiego w Poznaniu, piastował stanowisko przewodniczącego Rady Naukowej Instytutu Bałtyckiego, zasiadał w Prezydium Komitetu Nauk Historycznych i Radzie Naukowej Instytutu Historii PAN, przewodniczył Radzie Naukowej Biblioteki Gdańskiej PAN i Muzeum Historii m. Gdańska, był też członkiem Naczelnej Rady Archiwalnej i Rady Koordynacyjnej Jednostek PAN Regionu Gdańskiego. W uznaniu licznych zasług położonych dla środowiska humanistycznego Gdańska uroczyste obchodzono siedemdziesięciolecie jego urodzin. Pokłosem zna-

komicie zorganizowanej i świetnie obsadzonej ogólnopolskiej konferencji była przygotowana przez prof. Jerzego Trzoskę *Księga pamiątkowa. Strefa bałtycka w XVI–XVIII w. Polityka – społeczeństwo – gospodarka* (1993). Wkrótce potem jubilat otrzymał honorowe obywatelstwo Gdańska. Reaktywowana w 1990 r. Polska Akademia Umiejętności przyjęła go do grona swych członków. W osiemdziesięciolecie urodzin Uniwersytet Gdański nadał mu najwyższą godność, jaką dysponuje w Polsce szkoła wyższa – doktorat *honoris causa*.

Wraz z powiększaniem się bibliografii publikowanych prac naukowych podnosił się autorytet uczonego za granicą. Edmund Cieślak bywał zapraszany na wykłady do paryskiej Ecolé Pratique des Hautes Études. Rezultaty swych dociekań twórczych prezentował na licznych konferencjach naukowych na renomowanych uniwersytetach we Francji (Paryż, Bordeaux, Caen), w Szwecji (Sztokholm, Oerebro, Sigtuna, Kalmar), w Niemczech (Berlin, Hamburg, Schwerin, Marburg), Holandii (Utrecht), we Włoszech (Prato, Bolonia), Belgii (Bruksela), Hiszpanii (Barcelona) i Kanadzie (Halifax). Doskonale władając językami kongresowymi, wniósł znaczący wkład w dzieło doskonalenia wizerunku Polski i humanistyki polskiej za granicą – jako członek Société Jean Bodin pour Histoire Comparative des Institutions, jako przewodniczący Komisji Historii Mórz Północnych Europy przy Komitecie Nauk Historycznych PAN, afiliowanej do Association Internationale d'Histoire des Mers Nordiques de l'Europe. Czynnie uczestniczył w pracach Wspólnej Polsko-Niemieckiej Komisji do spraw Podręczników Szkolnych z historii i geografii, afiliowanej przy UNESCO. Szczególnie ważny był jego wkład do współpracy historyków polskich i szwedzkich. Był inicjatorem efektywnych konferencji polsko-szwedzkich w Sztokholmie, w Sigtunie, w Kalmarze oraz w Kórniku. Przewodniczył polskim historykom zainteresowanym współpracą z nauką szwedzką; ze Stenem Carlssonem, przewodniczącym strony szwedzkiej, członkiem zagranicznym Polskiej Akademii Nauk, łączyły go więzy serdecznej przyjaźni. Współredagował z niżej podpisanym obszerny tom, stanowiący naukowe pokłosie konferencji w Kórniku, pierwszego spotkania historyków polskich po stanie wojennym: *Changes in Two Baltic Countries. Poland and Sweden in the XVIIIth Century* (1990).

Zainteresowania naukowe Edmunda Cieślaka były rozległe, a ich terytorium poszerzało się z upływem lat. Na początku swej drogi naukowej, która przypadła na lata pięćdziesiąte XX w., pozostawał przede wszystkim historykiem prawa. Badał położenie marynarzy w ustawodawstwie hanzeatyckim późnego średniowiecza, przedstawiał prawa i obowiązki kapitana statku, zajmował się ustawodawstwem Związku Miast Hanzeatyckich w sprawach handlu i żeglugi oraz jego stosunkiem do Polski w okresie wojny trzynastoletniej. Niektóre z nich publikował na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego”. Napisał w „Zapiskach Historycznych” wnikliwą recenzję tomu VI CPH, poświęconą

w dużej części jubileuszowej problematyce pięćsetlecia związku Pomorza Gdańskiego z Polską. Silny fundament warsztatu historyka prawa widoczny był w jego pierwszych wielkich monografiach: *Miasto wierne Rzeczypospolitej. Szkice gdańskie, XVII–XVIII w.* (1959) i *Walki ustrojowe w Gdańsku i Toruniu oraz w niektórych miastach hanzeatyckich w XV w.* (1960). Do historii widzianej oczyma historyka prawa wracał także później: pochylał się nad instytucją sprzedawalności urzędów miejskich, nad twórczością Gotfryda Lengnich, nad miejscem Gdańska i Prus Królewskich w strukturze Rzeczypospolitej szlacheckiej, poddawał wnikliwej analizie przywileje wielkich miast pruskich w XV stuleciu. Z głębokim znawstwem dzielił się swymi uwagami na temat prac z zakresu historii prawa miejskiego. Nie krył uznania i podziwu dla dokonań środowiska łódzkich historyków prawa w bogatych w treść recenzjach ze znanych monografii Józefa Matuszewskiego i Zygryda Rymaszewskiego.

W latach sześćdziesiątych coraz częściej pojawiały się w twórczości Edmunda Cieślaka teksty z zakresu szeroko pojętej historii społecznej. Nie rezygnując z badań nad wiekiem XV, inwestował też coraz więcej w poznawanie wieku XVII, osobiwie lat panowania Jana III i czasów saskich. Odtwarzał tło wielkich konfliktów w miastach, wnikał w rozwój przemysłu morskiego i wymiany handlowej polskich ośrodków miejskich. Pochłaniała go historia budownictwa okrętowego na Wybrzeżu Gdańskim. Pierwszego podsumowania wyników swych badań na tym polu dokonał w monografii *Walki społeczno-polityczne w Gdańsku w drugiej połowie XVII wieku. Interwencja Jana III Sobieskiego* (1962). Praca spotkała się – jak poprzednie książki Edmunda Cieślaka – z nader życzliwym odzewem krytyki.

Najważniejszym wcieleniem Edmunda Cieślaka jako uczonego była jego aktywność w rekonstruowaniu przeszłości Gdańska. Badania nad historią Gdańska pozostały do końca życia największą jego miłością naukową. Właściwie wszystko, nad czym pracował od lat sześćdziesiątych, łączyło się z przeszłością tego miasta. Większość publikacji – coraz częściej tekstów z dziedziny także historii politycznej i dyplomacji – stanowiła rodzaj sprawozdania z przygotowań do wielkiej syntezy dziejów miasta, jakie podjął przy udziale swoich najbliższych współpracowników. Do takich należały wielotomowe *Raporty rezydentów francuskich w Gdańsku w XVIII wieku*, wielkie przedsięwzięcie zainaugurowane w 1964 r. wspólnie z Józefem Rumińskim i potem już kontynuowane samodzielnie. Pozwalały one odejść od polonocentrycznego traktowania historii Gdańska i spojrzeć na dzieje tej ważnej metropolii przez pryzmat wielkiej polityki europejskiej, zwłaszcza francuskiej. To na marginesie tych fascynacji powstały dociekliwe prace o wielkich przystaniach morskich, o roli konsulatu francuskiego w Gdańsku, o roli Gdańska w polskiej polityce morskiej, o handlu gdańskim w latach zaborów, o archiwaliach szwedzkich do dziejów polsko-szwedzkiego

handlu morskiego w XVIII w. i o pomocy zbrojnej Francji dla Stanisława Leszczyńskiego w latach 1733–1734. Historia Gdańska stanowiła też punkt wyjścia dwóch bogatych materiałowo i wartościowych poznawczo monografii poświęconych monarsze polskiemu: *W obronie tronu króla Stanisława Leszczyńskiego* (1986) i *Stanisław Leszczyński* (1995). Pierwszy tom monumentalnej „Historii Gdańska”, wydany przez Wydawnictwo Morskie we współpracy z Czesławem Biernatem, ukazał się w 1969 r. i od razu wzbudził ogromne zainteresowanie fachowego czytelnika, a po kilku latach doczekał się wznowienia. Także dalsze tomy (drugi, trzeci i czwarty) – obejmujące całe dzieje Gdańska – dzieło wielkiej erudycji, pracowitości i talentu całego zespołu badaczy – nie mogłoby się ukazać bez spoczywającego w twardych i kompetentnych dłoniach kierownictwa Edmunda Cieślaka.

Edmund Cieślak był człowiekiem renesansowego formatu, człowiekiem Uniwersytetu, integrującym środowisko. Będzie go brakowało licznemu gronu jego przyjaciół, kolegów, uczniów, gdańskiemu środowisku naukowemu, którego był jedną z pierwszych postaci.

Maksymilian Cypel



Ludźmi Uniwersytetu są nie tylko wielcy odkrywcy, światowej sławy badacze, organizatorzy wielkich przedsięwzięć twórczych, kierownicy seminariów, znakomici wykładowcy. Są nimi także pracownicy bibliotek, administracji, obsługi. Kiedyś, w latach młodości Uniwersytetu, było ich mniej i byli bardziej widoczni. Dziś, kiedy Uniwersytet wciąż się rozrasta, giną w „tłumie” uniwersyteckim. Ale przecież bez nich żadna instytucja, żadna uczelnia nie mogłaby funkcjonować. To ich wysiłek stanowi jedno z ważnych źródeł sukcesu naukowego profesorów i doktorów, tkwi u podstaw sławy zespołów badawczych, przyczynia się do sprawnego zarządzania uczelnią, kształtuje wizerunek szkoły, pomaga wychowywać studiującą młodzież.

W dziejach mojej macierzystej uczelni było wiele osób, które nie były wprawdzie nauczycielami akademickimi, ale na różnych stanowiskach poświęciły swoje zawodowe życie Uniwersytetowi. Jedną z nich był starszy pedel na Uniwersytecie, Maksymilian Cypel.

Maksymilian Cypel należał do grona najstarszych i najbardziej zasłużonych pracowników Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Miał trzydzieści lat, kiedy w 1922 r. związał się z uczelnią. Mozolnie i uparcie pokonywał szczeble w hierarchii pracowników obsługi: rozpoczynał jako goniec w uniwersyteckiej księgarni, przez kilkanaście lat pełnił obowiązki szatniarza; po wojnie piastował kolejno funkcje kontraktowego woźnego, biletera, referenta, planisty, starszego referenta, pedla przy urzędzie rektorskim. Rychło stał się jedną z najbardziej charakterystycznych, z pewnością również jedną z najbardziej sympatycznych, postaci w Collegium Minus. W ciągu ponad półwiecza potrafił zyskać sobie głęboki szacunek akademickiej społeczności. Zjednywał sobie ludzi skromnością i uczynnością, a także znajomością trybów działania Uniwersytetu i głębokim doń przywiązaniem. Ujmował postawą pełną godności osobi-

stej, która nakazywała mu nie tylko wzorowo wykonywać obowiązki służbowe, ale także niezachwianie wierzyć, że właśnie te zadania, jakie jemu powierzano, są za każdym razem najważniejsze dla uczelni. Wiedział o niej wszystko. Identyfikował się z Uniwersytetem; uroczystości Uniwersytetu były jego świętami, promieniał dumą, kiedy ubierał togę, z zapałem czyścił insygnia rektorskie. Czuł się odpowiedzialnym strażnikiem magnificencji. Myślę też, że wszyscy kolejni rektorzy darzyli go należnym mu szacunkiem i bezgranicznym zaufaniem.

Maksymilian Cypel zmarł 21 września 1977 r. po długiej i ciężkiej chorobie. Jego odejście sprawiło, że znów zmniejszyła się grupa tych, którzy pamiętali Uniwersytet od jego wczesnej młodości i którzy w różnych rolach współtworzyli jego wielkość.

Paweł Czaplewski



Paweł Czaplewski był skromnym księdzem i uznanym uczonym. Profesor Antoni Czacharowski napisał o nim w artykule biograficznym, że „więcej czasu, serca i energii wkładał w pracę naukową niż w duszpasterską”¹. Był osobowością, która budziła szacunek i wywierała na otoczenie zauważalny i trwały wpływ. W mojej pamięci zapisał się tym, że wykorzystując moje liczne wakacyjne pobyty na miłobądzkiej plebanii, jako pierwszy rozbudzał we mnie zainteresowania historią i geografiją. W czasie spacerów i posiłków dociekliwie sprawdzał stan mojej wiedzy o dziejach Polski i niezmiennie się dziwił i gorszył rozmiarami mej niewiedzy. Kiedy po latach przekazałem mu nadbitkę pierwszego swego artykułu, będącego skrótem pracy magisterskiej, poświęconej poglądom Krzysztofa Opalińskiego i zawierającej ewidentne przerysowania wysnute z zasad materializmu historycznego, sprawiał wrażenie głęboko zaniepokojonego. Nie poniechał wszelako swej aktywności nawracania młodego adepta historii prawa. Do końca pracowitego życia posyłał mi nadbitki swoich tekstów. Czytałem je i uczyłem się.

Paweł Antoni Czaplewski urodził się w Zblewie, w powiecie starogardzkim, 15 stycznia 1877 r. Jego ojciec Jan był organistą, matka Augustyna z Błędowskich zajmowała się domem i wychowywała dziesięcioro dzieci w duchu patriotyzmu i kulcie Kaszubii. Paweł uczęszczał do miejscowej niemieckiej szkoły, języka polskiego uczył się w domu. Pasję do historii rozwinął w tzw. Collegium Marianum w Pelplinie. W swojej autobiografii często wspomina pierwszego mentora, którym był ks. Stanisław Kujot. W chojnickim gimnazjum działał w tajnym kółku filomackim, gdzie uczono historii i geografii Polski oraz czytano wieszczów. Wtedy też poznał urok pieszych wędrówek – przemierzał Kaszuby,

¹ A. Czacharowski, *Paweł Antoni Czaplewski 1877–1963*, [w:] *Działacze Towarzystwa Naukowego w Toruniu 1875–1975*, pod red. M. Biskupa, Warszawa – Poznań – Toruń 1975, s. 403.

zaczął wyjeżdżać poza kordony graniczne. W 1896 r. rozpoczął studia teologiczne w Pelplinie; jego mistrzami byli m.in. Stanisław Kujot, Augustyn Liedtke i Władysław Łęga, znani badacze historii regionalnej. W 1900 r. otrzymał święcenia kapłańskie i został członkiem Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Chciał jeszcze studiować historię, ale nie zgodził się na to ówczesny biskup chełmiński Augustyn Rosentreter, uzasadniając odmowę „patriotyczną postawą i politycznym zaangażowaniem” młodego księdza². Paweł Czaplewski był proboszczem kolejno w Szynychu, potem w Byszewie, wreszcie w Miłobądzu – na granicy z Wolnym Miastem Gdańskim. W 1928 r. Pius XI nadał mu godność prałata domowego, w 1938 r. został powołany na urząd dziekana dekanatu tczewskiego, w 1951 r. otrzymał godność honorowego kanonika kapituły chełmińskiej. Emeryturę przeżył w Turzu w powiecie tczewskim, filialnej plebanii parafii godziszewskiej. Jednocześnie pracował naukowo, odbywał częste podróże do archiwów i bibliotek; nawiązał owocną współpracę ze znanym historykiem niemieckim, Maxem Baehrem, dyrektorem Archiwum Państwowego w Gdańsku. Publikował na łamach „Roczników” Towarzystwa Naukowego w Toruniu oraz na łamach toruńskich „Fontes”, był szefem redakcji wydawnictw TNT. Dwukrotnie wybierany na prezesa tej zasłużonej placówki, wchodził wszakże w spory z członkami zarządu. Najbardziej brzemienным był ten, który dotyczył profilu Towarzystwa. Prezes chciał zachować jego kształt czysto naukowo-badawczy i stworzyć dla niego stabilną infrastrukturę. Jego adwersarze widzieli w Towarzystwie także korporację, która upowszechnia wiedzę. Czaplewski zrezygnował jednak z funkcji także z racji zaangażowania się w politykę. W latach międzywojnia ksiądz prałat znalazł się w wirze walk międzypartyjnych; początkowo sympatyzując z Narodową Partią Robotniczą, potem zbliżając się do ruchu ludowego, a w 1934 r. kandydując w wyborach do sejmu z listy BBWR. Nie wybaczyli mu tego endecy. W końcu zrezygnował on także z innej ważnej godności publicznej: z udziału w polsko-niemieckiej komisji do spraw podziału zasobów biblioteczno-archiwalnych znajdujących się w Wolnym Mieście Gdańsku. Jego przygotowany wspólnie z profesorem Lutmanem raport, przekazany Konferencji Ambasadorów w Paryżu w tej sprawie, nie mógł liczyć na sukces.

W ostatnich latach II Rzeczypospolitej ks. Paweł Czaplewski poświęcił się przede wszystkim działalności twórczej. O tym, że była ona przyjmowana z uznaniem, świadczy złożona mu propozycja objęcia Katedry Historii Kościoła na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie (która to propozycja spotkała się z odmową księdza prałata) oraz przyjęcie go na członka Polskiej Akademii Umiejętności.

² Ibidem, s. 404.

W czasie drugiej wojny światowej – 9 września 1940 r. – ks. Paweł Czaplewski został aresztowany przez gestapo i osadzony w obozie koncentracyjnym w Stutthofie. Wyznaczono go do pracy w kamieniołomach sztumskich. To, że po kilku tygodniach został z obozu zwolniony i nawet mógł podjąć obowiązki duszpasterskie, zawdzięczał niezwykleму zbiegowi okoliczności, o którym zresztą pisano już w literaturze, ale niezbyt precyzyjnie³. Opis wymaga retrospekcji. Oto w 1911 r. młody ksiądz w trakcie podróży do Włoch zatrzymał się w Wiedniu i w jednej z piwiarni spotkał młodego Hitlera. Doszło do długiej rozmowy, w czasie której demoniczny kandydat na artystę malarza zaprezentował poglądy, jakie podróżnika z Polski musiały wprawić w osłupienie. Po trzynastu latach do więzienia w Landsbergu i potem po dojściu Hitlera do władzy w 1933 r. wysłano dwie pocztówki, pierwszą z pozdrowieniami, drugą z gratulacjami. Kiedy w 1940 r. w miłobądzkiej plebanii zakwaterowało się dowództwo okręgowej jednostki gestapo, stara gosposia ks. prałata Bernadetta Sikora, której pozwolono zostać na plebanii w charakterze służącej, opowiedziała o tej korespondencji swoim nieproszonym „gościom”. Ci byli zdumieni i nie omieszkali sprawdzić faktów. Okazały się prawdziwe: ksiądz wrócił do Miłobądz z „honorami”, odzyskał zdrowie i jeszcze przez prawie ćwierćwiecze uprawiał naukę, po drodze odbudowując stary kościółek we wsi, spalony zimą 1945 r. przez oddziały Armii Czerwonej. Zmarł w wieku 86 lat w pobliskim Turzu.

Ksiądz prałat Paweł Czaplewski pozostawił znaczną spuściznę naukową. Bibliografia jego naukowych prac liczy – jak obliczył Antoni Czacharowski – 140 pozycji, które zostały już poddane krytyce i weszły do skarbnicy nauki. Są to prace obejmujące szeroki krąg tematyczny; zawierają tomy korespondencji biskupa kujawskiego Hieronima Rozrażewskiego, obejmują studia nad „Dagome iudex”, studia nad św. Wojciechem, tytułaturę książąt pomorskich do XIV w., dzieje klasztoru w Kartuzach, liczne rozprawy o rozwoju wielkiej własności na ziemiach Pomorza Gdańskiego. „Był ostatnim z pokolenia księży-badaczy ukształtowanych w trudnej walce z zaborcą”⁴.

³ Ibidem, s. 414. Por. także K. Gruenberg, *Adolf Hitler. Biografia*, wyd. 3, Warszawa 1994, s. 21.

⁴ A. Czacharowski, op. cit., s. 426.

Władysław Czapliński



Był jednym z najwybitniejszych historyków polskich drugiej połowy XX stulecia. Należał do budowniczych życia naukowego na ziemiach zachodnich, które po drugiej wojnie światowej stały się integralną częścią naszego państwa. Stworzył na Uniwersytecie we Wrocławiu silny ośrodek badań humanistycznych. Otaczały go – zasłużona naukowa sława i niekwestionowany autorytet moralny. Na jego seminarium zdobyło naukowe ostrogi kilka pokoleń znamienitych badaczy, którym nie przeszkadzały władcze usposobienie oraz nacjonalistyczne i katolickie poglądy Mistrza. Skupiali się wokół niego nie dlatego, że nie kochał socjalizmu, ale z tego względu, że uczył, jak dochodzić prawdy.

Władysław Czapliński był indywidualnością traktującą badanie i nauczanie akademickie jako życiowe przesłanie, intelektualną przygodę i wielki obowiązek obywatelski. Wiele wymagał od innych, ale najwięcej od siebie. Poznałem go jeszcze w trakcie studiów, bo przyjeżdżał do Poznania z wykładami, utrzymywał żywy kontakt z rówieśnikami w fachu – Zygmuntem Wojciechowskim, Kazimierzem Tymienieckim i Gerardem Labudą – oraz brał udział w zebraniach Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W 1955 r. zjawił się na posiedzeniu PTPN, by poddać krytyce tezy mej traktującej o poglądach Krzysztofa Opałińskiego na państwo i prawo rozprawy magisterskiej, ogłoszonej drukiem w „Czasopiśmie Prawno-Historycznym”¹, a w roku 1966 napisał piękną recenzję – też publikowaną na łamach CPH – o mojej rozprawie habilitacyjnej, zawierającej rozważania o sejmie Rzeczypospolitej w epoce oligarchii w latach 1652–1763. W pierwszym przypadku uczył, jak należy dochodzić prawdy, w drugim wyrażał szacunek dla postępów, jakie poczynił adept. Był mistrzem krytyki, która była konstruktywna i nie miała ranić.

¹ Temat ten był wtedy modny. Pracowali nad nim wybitni badacze: Leon Eustachiewicz, Roman Pollak, Marian Pełczyński, Alojzy Sajkowski, Stanisław Grzeszczuk.

Władysław Czapliński urodził się 3 października 1905 r. w Tuchowie, w województwie tarnowskim. W Tarnowie uczęszczał do szkół i tam też w roku 1923 uzyskał świadectwo dojrzałości. W latach 1923–1927 studiował historię i historię literatury na Uniwersytecie Jagiellońskim. Stopień naukowy doktora filozofii uzyskał za pracę pt. *Opozycja wielkopolska po krwawym „potopie” 1660–1668*, ogłoszoną następnie drukiem w pracach Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego w roku 1930. Jej promotorem był Władysław Konopczyński. Na seminarium Konopczyńskiego została też napisana rozprawa habilitacyjna pt. *Władysław IV wobec wojny trzydziestoletniej* (Rozprawy PAU, Wyd. Hist.-Filoz., ser. II, t. 45, 1937). Z Uniwersytetem był jednak związany luźno. Jego podstawowym miejscem zatrudnienia pozostawała szkoła średnia. Działalność gimnazjalnego nauczyciela pozwoliła mu nawiązać bliskie kontakty z młodzieżą i rozwinąć talent pedagoga. Mimo zaabsorbowania obowiązkami nauczycielskimi szybko doskonalił swój warsztat naukowy. Wolne chwile spędzał w bibliotekach i archiwach; brał udział w spotkaniach naukowych, nawiązywał kontakty ze środowiskiem twórców. Dzięki temu mógł uzyskać stypendium „Funduszu Kultury Narodowej” i wyjechać do Francji, Niemiec i Austrii na długoterminowe studia. Zebrane w ciągu kilkunastomiesięcznego pobytu zagranicznego materiały zostaną później wykorzystane w erudycyjnych rozprawach o ustroju społecznym i politycznym w XVII w. W czasie hitlerowskiej okupacji Władysław Czapliński pracował w biurze handlowym firmy Solwaty w Krakowie, jednocześnie aktywnie uczestniczył w tajnym nauczaniu. W 1946 r. przyjął propozycję przeniesienia się na Uniwersytet Wrocławski; z uczelnią tą pozostał związany aż do przejścia na emeryturę w 1976 r. W roku 1946 został profesorem nadzwyczajnym, w 1956 r. – profesorem zwyczajnym. Od 1952 r. kierował Katedrą Historii Powszechniej, od 1969 r. Zakładem Historii Polski i Powszechniej XVII i XVIII wieku w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego. W latach 1951–1954 pełnił funkcję prodziekana Wydziału Filozoficzno-Historycznego.

Wielkie zasługi na niwie badań naukowych, na polu dydaktyki akademickiej i popularyzacji wiedzy historycznej oraz znaczące dokonania w dziedzinie organizacji ruchu naukowego sprawiły, że Profesora spotkały zaszczyty i wyróżnienia. W roku 1974 został wybrany członkiem Duńskiej Królewskiej Akademii Nauk. W 1978 r. Uniwersytet Gdański nadał mu godność doktora *honoris causa*. Został członkiem honorowym Polskiego Towarzystwa Historycznego oraz Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego. Wyróżniono go m.in. Krzyżem Kawalerskim, Krzyżem Oficerskim i Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski oraz tytułem Zasłużonego Nauczyciela PRL.

Cechami pisarstwa Władysława Czaplińskiego były rozległość zainteresowań twórczych oraz umiejętne połączenie w niej perfekcyjnej analizy źródło-

wej z syntetyzującymi uogólnieniami, a także perspektywą ujmowania spraw polskich na szerokim tle dziejów europejskich i powszechnych. W prawie pięciuset pracach (ich wykaz częściowo zamieszczono w księgach pamiątkowych przygotowanych ku jego czci z okazji sześćdziesiątej i siedemdziesiątej rocznicy urodzin) objął ogromny zakres zagadnień: zajmował się społecznymi i politycznymi dziejami Polski epoki Wazów, badał kwestię bałtycką i przeszłość krajów skandynawskich, prowadził głębokie studia nad dziejami Śląska i Niemiec, wnikał w kulturę staropolską, podejmował tematy z zakresu szeroko rozumianej publicystyki historycznej i biografistyki, a także problematyki wychowania młodego pokolenia historyków. Rezultatem tych zainteresowań były m.in. znane, pionierskie rozprawy: *Polska a Prusy i Brandenburgia za Władysława IV* (1947), *Traktaty pokojowe w Sztumskiej Wsi. Karola Ogiera dziennik podróży do Polski 1635–1636* (1950), *Akta do dziejów polskich na morzu 1632–1648* (1951–1959), *Polska a Bałtyk w latach 1632–1648. Dzieje floty i polityki morskiej* (1952), *Dawne czasy. Opowiadania i szkice historyczne z XVII wieku* (1957), *Na dworze Władysława IV* (1959). *Historia Danii* (napisana wspólnie z Karolem Górskim, 1965), *O Polsce siedemnastowiecznej. Problemy i sprawy* (1966), *Władysław IV i jego czasy* (1976), *Historia Niemiec* (w której był autorem części obejmującej lata 1492–1789, 1981). Plonem tych zainteresowań były także liczne hasła w *Polskim słowniku biograficznym*, a także wzorowo wydane *Pamiętniki Paska* (1952), *Pamiętnik Jerzego Ossolińskiego* (1976) oraz ogłoszony wspólnie z J. Jakubowiczem *Nieznany traktat Pawła Piaseckiego* (1972).

Dla postępu nauk historyczno-prawnych największe znaczenie miały publikacje Władysława Czaplińskiego poświęcone strukturom społeczeństwa szlacheckiego w pierwszej połowie XVII w., władzom centralnym w Polsce XVI i pierwszej połowie XVII stulecia oraz szlacheckiej myśli politycznej.

W świetnych studiach nad ustrojem społecznym Rzeczypospolitej dochodził Czapliński do wniosku, że przewaga magnaterii nie była w XVII w. zjawiskiem swoiście polskim. Uważał, że wzrost znaczenia koterii magnackich nie pozbawiał samodzielności politycznej ani króla, ani szlachty, przynajmniej w takim stopniu, w jakim widzieli to swego czasu niektórzy historycy prawa. Przestrzegał też przed pochopnym przesuwaniem okresu oligarchii magnackiej na czasy Zygmunta III Wazy.

Z największą pasją i najlepszymi wynikami podejmował Władysław Czapliński badania dziejów organów władzy w Rzeczypospolitej. Już w 1938 r. zainteresowały go struktura i rola senatu za Władysława IV. Wyniki tych dociekań zachowały aktualność do dziś. To samo można powiedzieć o pionierskim swego czasu studium o procedurze wybierania posła na sejm w dawnej Rze-

czypospolitej. Najbardziej wszelako frapowało go dzieło sejmu polskiego w wieku XVII. Zainaugurował głębokie studia na tym polu kapitalną rozprawą pt. *Dwa sejmy w roku 1652. Studium z dziejów rozkładu Rzeczypospolitej w XVII wieku* (1955). Oparte – jak wszystkie rozprawy Władysława Czaplińskiego – na starannej kwerendzie źródłowej, ukazywała ona sejm walny na tle całokształtu stosunków politycznych w państwie, w tkance ówczesnych tendencji społecznych oraz w związku z głównymi trendami polskiej polityki zagranicznej. Dawała plastyczny wielowymiarowy obraz funkcjonowania tego organu; przynosiła bogaty materiał odzwierciedlający poszczególne stadia jego obradowania w izbach, znakomicie oddawała klimat sejmowania, zmieniający się układ sił sejmowych. Książka weszła do klasyki historiografii polskiej, traktującej o dziejach staropolskiego parlamentaryzmu, obok takich dzieł, jak: Władysława Konopczyńskiego *Liberum veto* (1918), Konstantego Grzybowskiego, *Teoria reprezentacji w Polsce epoki Odrodzenia* (1959) czy Bogusława Leśnodorskiego, *Dzieło sejmu czteroletniego* (1951). Wzbudziła też ogromne zainteresowanie i walenie przyczyniła się do przyśpieszenia tempa badań nad parlamentaryzmem okresu przedrozbiorowego w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Dzieło mistrza kontynuowali przede wszystkim uczniowie, których była cała gromadka: Józef Andrzej Gierowski, Jarema Maciszewski, Adam Kersten, Stefania Ochmann-Staniszevska, Jan Seredyka, Jerzy Pietrzak, Anna Filipczak-Kocur, Janusz Byliński, Krystyn Matwijowski, Jan Rzońca, Włodzimierz Kaczorowski, Zbigniew Wójcik i inni, także uczniowie uczniów. Podkreślam, że również piszący te słowa pozostawał pod głębokim wrażeniem świetnej książki, czerpiąc z niej liczne inspiracje. Zresztą sam Profesor nie zamierzał zrezygnować z prowadzenia na tej niwie dalszych badań. U schyłku lat siedemdziesiątych objął kierownictwo międzyresortowego projektu: „Rola władz centralnych w kształtowaniu się świadomości politycznej, społecznej i prawnej w XVI–XVIII wieku na tle porównawczym” i w jego ramach zmierzał ogłosić monografię sejmu zwyczajnego z roku 1641. Był też *pars magna* syntetycznej *Historii sejmu polskiego*, opublikowanej przez Wydawnictwo Sejmowe, w której opracował okres 1562–1648.

Charakterystyka twórczości naukowej Władysława Czaplińskiego nie była by pełną, gdyby wyłączyć z niej teksty poświęcone polskiej myśli politycznej. Zafascynowanie doktryną wynikało u autora nie tylko z przeświadczenia o tym, że historię tworzą ludzie za pomocą całego swojego ekwipunku intelektualnego i psychicznego, ale i stanowiło następstwo poglądu, że idee, pogram, koncepcje są ważnym fragmentem społecznej rzeczywistości, i nie mogą być usuwane poza pole badania, jeżeli badacz chce ujmować przeszłość integralnie. Studia nad doktryną miały u Czaplińskiego charakter badań wspierających podsta-

wowe tendencje w dziejach Polski XVII stulecia. Badał on zatem ideologię *Satyr* Krzysztofa Opalińskiego, motywy sejmowej aktywności Stanisława z Brzezin Chrzastowskiego, dyskutował nad projektami reformy państwa w czasie najazdu szwedzkiego w latach 1655–1660, wracał do dylematów debaty politycznej, jaka toczyła się w kraju w latach 1609–1612, spierał się o rolę propagandy w służbie wielkich planów politycznych, z przenikliwą ostrością komentował ideowe treści polskiego pamiętnikarstwa i literatury religijnej XVII w.

Śmierć zabrała Profesora Władysława Czaplińskiego stanowczo za wcześnie.

Antoni Czubiński



Jeżeli uczony, przekraczający próg wieku emerytalnego, przez 45 lat pochylał się nad źródłami, badał i tworzył, z pewnością może on o sobie powiedzieć, że życie poświęcił nauce. Antoni Czubiński może dziś powiedzieć, że poświęcił je nauce bez reszty, arytmetycznie. W jego biografii trudno wytropić okresy zmniejszonej aktywności twórczej, brak w niej czasu na urlopy i wypoczynek, nie ma modnej naukowej turystyki, działań pozornych; jest codzienna wyłożona praca. Szybko pokonywał kolejne etapy akademickiej drogi, ale stopnie i tytuły zdobywał – by tak rzec – z marszu: nie prowadził badań i nie pisał po to, by awansować: awansował, bo jego dorobek stawał się coraz bardziej imponujący, bogaty i wszechstronny. Podejmował tematy liczne i trudne; zawierające treści „wybuchowe”, poddawał je badaniu w latach, które nie sprzyjały analizom pełnym, wolnym od plam i dziur; w czasach, w których pokusa, by naukę historii współczesnej uczynić instrumentem polityki i narzędziem indoktrynacji, była niebezpiecznie duża. Od początku stawał przed niezmiernie skomplikowanymi wyborami.

Urodził się – jak niejeden tegoroczny jubilat – w roku 1928. Ów ważny rocznik 1928 został zaskoczony przez wojnę, zanim zdążył się uformować intelektualnie i dojrzeć wewnętrznym. Wojna musiała być dla tej generacji większym wstrząsem niż dla trochę starszych – już okrzepłych i dla jeszcze młodszych, za młodych, by w pełni odczuć grozę wojennej katastrofy. Antoni Czubiński, który dzieciństwo spędził w środowisku robotniczym, na „opuszczonej przez Boga i ludzi” ziemi konińskiej, a pierwsze lata czterdzieste przepracował karnie w hitlerowskiej Rzeszy, porwany został wizją Polski socjalistycznej. Identyfikował się z nią i czuł się za jej los odpowiedzialny. Pytał o jej antecedencje, o drzewo genealogiczne, korzenie – to skazywało go na to, by zostać historykiem. Wszystko zaczynał od początku; z mozołem odrabiał poważne zaległości

edukacyjne. Już przed dziesięciu laty miałem zaszczyt mówić o tym, jak wielką rolę w ukształtowaniu jego intelektualnej sylwetki odegrały lata studiów na poznańskim Uniwersytecie, atmosfera macierzystego Wydziału, który również wtedy, kiedy on studiował, pozostawał ogromnie ważnym centrum naukowym i kulturowym. Antoni Czubiński miał u kogo studiować; szacunku dla źródeł, budowy warsztatu, panowania nad metodami naukowymi uczyli go wybitni mistrzowie. Przez wszystkie lata traktował więc z macierzystym Uniwersyte-tem bardzo poważnie. Pełnił w nim wiele ważnych funkcji. W bibliografii jego prac historia Uniwersytetu Poznańskiego zajmowała poczesne miejsce. Najwięcej wszelako zawdzięczał sobie, swemu uporowi i talentowi, swej dociekliwości i pasji badawczej. Gdyby bowiem szukać tej cechy, która w sposób najbardziej dogłębny przenika jego twórczość, to trzeba by wskazać właśnie na ową estymę dla historii jako podstawowej nauki społecznej, w której w formie klinicznej dopełniają się treści poznawcze i humanistyczne. Był świadom tego – choć nie zawsze ujmował to w postać wyznania – że nauka historii to nie proste rejestrowanie faktów, krynica mądrości, źródło natchnienia, satysfakcja z dokonań przeszłości. To wszystko razem, a więc obraz długiej, niewolnej od zakrętów i odwrótów drogi ku teraźniejszości, drogi, która będzie kształtować przyszłość. To szacunek dla historii jako nauki rozstrzygał o stosunku Antoniego Czubińskiego do substancji tworzącej dzieje, do źródła, do poprzedników w naukowym fachu, do prawdy. Dociekanie prawdy było dlań – sądzę – podstawową przesłanką, która mogła gwarantować, że nie będzie posłusznym postracjonalizatorem decyzji władzy. Przybierał postawę sceptyka, stawał na stanowisku, że należy wątpić, ale badać. Uważał, że tylko „barbarzyńca” wierzy bez badania. Postawę tę dyktowały – przeświadczenie o wysokiej randze działalności twórczej, poczucie odpowiedzialności uczonego za sposób jej uprawiania i jej rezultat. To one wymuszały rozległość zainteresowań, podejmowanie tematyki węzłowej, wymagającej integralnego ujmowania przedmiotu badania. W roku 1969 Antoni Czubiński pisał na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego”: „Postępująca specjalizacja [...] prowadzi do jednostronnego, a więc niepełnego ujmowania badanego przedmiotu; przyczynia się do wyolbrzymiania i przeceniania znaczenia jednych oraz do równoczesnego niedoceniań czy wręcz pomniejszania innych stron procesu rozwoju społeczeństwa. Pełne ujęcie tego procesu jest możliwe tylko przez zastosowanie badań pojętych integralnie”.

Integralne ujmowanie przedmiotu badania, szerokość intelektualnych horyzontów i rozległość badawczych inwestycji nie gwarantowały dobrego wyniku same z siebie, automatycznie. Zależały od trafności stawianych pytań. Wyrażam zdanie, że Antoni Czubiński posiadał rzadki dar zadawania właściwie sformułowanych pytań, takich, które pozwalały mu odróżnić ziarno pośród

plew i prowadziły do głębokich analiz poszczególnych ogniw związku przyczynowego. Dar ten jest następstwem erudycji, talentu, pracowitości, badawczej intuicji. Ale stanowi też rezultat osobowości autora, zalet charakteru, których deficyt od dawna daje się nam we znaki. Mam na myśli poczucie misji uczonego, piękne przejawy działań prospołecznych w połączeniu z osobistą skromnością, głębokie przeżywanie polskości, solidny podkład kulturowy. Umożliwiały one podejmowanie tematów wielkich i ważnych, kontrowersyjnych w nauce i posiadających rozległe nieraz polityczne konotacje. Wymagały też podejścia interdyscyplinarnego, które wszelako nigdy nie stało się u niego rodzajem wygodnego alibi dla powierzchowności ani tym bardziej dla bezkrytycznego przyjmowania decyzji pozanaukowych za punkt wyjścia, podstawę wnioskowania. Można z pewnością dziś rzec, że różnorodne tematycznie piśmarstwo Antoniego Czubińskiego przypomina swym kształtem monolityczną bryłę, która oparła się czasowi i krytyce. Między innymi dlatego, że autor chętnie wracał do napoczętych tematów, wzbogacał je nowymi argumentami i poszerzał ich kontury, dlatego także, że odpowiedzi na stawiane pytania nie szukał poza źródłami. Zresztą jubilat potrafił swych tez z odwagą bronić, był uparty i niepokorny, posiadał wprawę w odpieraniu zarzutów, zarówno tych, które formułowali pod jego adresem historycy i publicyści związani z obozem posierpniowym, wciąż skłonni jego prace traktować jako relik i ekspozyturę nauki partyjnej, jak i tych, które w jego stronę kierowali dogmatycy, wytykający mu rewizjonizm, kapitulancstwo wobec zasad marksizmu, wyprzedawanie ideałów socjalizmu. W rzeczy samej – choć może to zabrzmieć jak paradoks – Antoni Czubiński był groźnym przeciwnikiem reżimowych historyków PRL. Stał się też jednym z tych, którzy po zmianie systemu politycznego w Polsce w ostatniej dekadzie nie musieli szukać nowych dróg i nowych metod dochodzenia prawdy. Może było tak również dlatego, że nie potrafił stać z boku, że był zapalonym nauczycielem. Nieraz było mi dane spotykać się z jego wychowankami: zawsze byłem ujęty serdecznością i szacunkiem, z jakim wspominali swego mistrza.

Charakteryzowanie bibliografii naukowej Antoniego Czubińskiego wymaga ostrożnego dystansu i narzuca pokorę. Imponuje już samymi rozmiarami: wedle wykazu z roku 1988 zawierała ona ponad sześćset pozycji; dziś wydłużyła się ona do ponad 750. Dokładne jej ustalenie wymagałoby – sądzę – specjalnych kwerend i kalkulatora. Można w niej odnaleźć wszystkie gatunki naukowej prozy: książki pisane w konwencji popularnej, kierowane do nieprofesjonalisty, rozprawy, studia i artykuły publikowane na łamach czasopism historycznych i humanistycznych w kraju i za granicą, teksty poświęcone krytyce naukowej, a więc artykuły recenzyjne, recenzje, polemiki i noty krytyczne, wreszcie opasłe tomy, mieszczące pokłosie licznych konferencji i sympozjów organizowanych przez jubilata, przezeń redagowane i publikowane.

Jeszcze większe wrażenie wywołują tematyczne kontury bibliografii. Uwzględnię tutaj tylko kilka wybranych wątków.

Pierwsze wcielenie naukowe Antoniego Czubińskiego to badania nad historią ruchu robotniczego. Zrozumiałe, że widać w nich presję czasu, który narzucał kontury tematu, ale widać też solidność warsztatu i mistrzostwo interpretacji. Już w latach pięćdziesiątych XX w. Antoni Czubiński zaczął od studiów nad ruchem robotniczym Wielkopolski, stopniowo poszerzając krąg swych kwerend i spostrzeżeń. W 1959 r. wyszła jego pierwsza we współpracy z Marianem Olszewskim napisana monografia o rewolucyjnych tradycjach Poznańskiego w latach 1919–1939. W 1962 r. ukazała się książka o ruchu robotniczym we wschodnich powiatach Wielkopolski w latach II Rzeczypospolitej. Potem teksty Antoniego Czubińskiego zaczęły obejmować problemy ruchu w skali całego już kraju. Częstą formą wypowiedzi stawały się recenzje, w których bywał nienapastliwym, choć wymagającym krytykiem. Szkoda, że tak niewiele z tego, piszą recenzenci, wchodzi do obiegu; niektóre recenzje jubilata wypełniała treść wykraczająca poza zawartość i poza wartość omawianych publikacji.

W roku 1966 Antoni Czubiński zaskoczył wszystkich obszerną i przenikliwą w interpretacji monografią o problemach kolonializmu w polityce Socjaldemokratycznej Partii Niemiec Drugiego Cesarstwa. Ukazywał w niej gąszcz alternatyw, przed jakimi stawała SPD w obliczu zbliżającej się wielkiej wojny. Wykazał tak niekwestionowane kompetencje, że już nikt się nie dziwił, kiedy wyszły kolejne książki – wielka synteza rewolucji listopadowej w Niemczech, a zaraz potem fundamentalna monografia pt. *Lewica niemiecka w walce z dyktaturą hitlerowską 1933–1945*. Już wtenczas przygotowywał się do opracowania dziejów tej partii. Równocześnie podjął badania nad dziejami Rosji radzieckiej: zostały one podsumowane w książce pt. *Kraj Rad – lata zmagania i zwycięstw* z 1973 r., która próbowała ukazać rok 1917 nie tylko przez pryzmat późniejszych sukcesów ZSRR, ale wyliczała też długi szereg błędów, jakich radzieccy komuniści się nie ustrzegli. Książka – jak pamiętają może jeszcze niektórzy – wywołała namiętną dyskusję wśród historyków polskich, których część niechętnie przyjmowała jej niestereotypowe ustalenia. Autor przypłacił je odejściem z Wyższej Szkoły Nauk Społecznych, ale nie zrezygnował z dalszych badań na tej niwie. Drobniejsze materiałowe studia przeplatały się z monografiami o charakterze syntez. Syntetyczny charakter miały *Proletariat. Zarys historii polskiego ruchu robotniczego* oraz *Historia Komunistycznej Partii Polski*, której pierwsze wydanie ukazało się w roku 1985.

Badania nad dziejami Socjaldemokratycznej Partii Niemiec kontynuował Antoni Czubiński w latach dziewięćdziesiątych, kiedy przestały obowiązywać zapisy cenzury. W roku 1994 ujrzała światło dzienne znakomita, na gruntowym materiale oparta monografia pt. *Węzłowe problemy rozwoju socjaldemo-*

kracji niemieckiej w latach 1847–1993. Praca zawierała nowe spojrzenie na rolę socjaldemokratów niemieckich w dziejach ruchu robotniczego. Pokazywała przenikające SPD podziały i walki frakcyjne, ewolucję programową, a także stosunek do sprawy polskiej. Autor pisał: SPD wywierała pośredni i bezpośredni wpływ na dzieje polskiego ruchu robotniczego i sprawy polskie w ogóle. Do SPD należało wielu Polaków [żyjących] w Niemczech i na ziemiach polskich zaboru pruskiego. Zarząd Główny SPD wspomagał działalność PPS zaboru pruskiego i SDKPiL, wypowiadał się w sprawach polskich, współuczestniczył w kształtowaniu polityki niemieckiej wobec Polski. Historia tej partii stanowi część historii narodu polskiego. Do tezy tej wracał potem jeszcze nieraz.

W ten sposób zatrzymałem się przy drugim wcieleniu naukowym Antoniego Czubińskiego, które wyrażało badanie dziejów polskich. Ich zapowiedzią były pierwsze teksty poświęcone analizie kwestii społecznej i narodowej na przełomie stuleci, konfliktom ideowym w czekającym na wybuch wojny społeczeństwie, zainteresowanie się powstaniem wielkopolskim. Już w latach pięćdziesiątych autor podjął szeroko zakrojone studia nad dziejami Drugiej Rzeczypospolitej, które miały się stać głównym nurtem jego fascynacji twórczych. Jest poniekąd zrozumiałe, że były one połączone ze studiami nad dziejami polskiej lewicy. I nie tyle presja czasu, ile autentyczne pasje narzucały autorowi to podejście. W latach 1957–1959 został napisany *Centrolew*, dzieło głębokiej erudycji, talentu i przenikliwości badawczej, pionierski traktat o narodzinach i kształtowaniu się demokratycznej opozycji antysanacyjnej w Polsce lat 1926–1930, czyli w okresie od załamania się demokracji parlamentarnej w kraju do pojawienia się w ustroju przewagi elementów autorytarnych w czasie tzw. wyborów brzeskich. Praca czekała na druk przez pięć lat, tak długo bowiem przedstawiciele cenzury i instancji partyjnych „zachęcali” autora do wycofania reformistycznych, niezgodnych z oficjalną interpretacją ujęć. We wstępie do książki Antoni Czubiński przypomniał o tym enigmatycznie, ale zgodnie z regułami rządzącymi ówczesnym językiem politycznym, że maszynopis był „poddawany dyskusji w gronie historyków nowożytnych”, że „przygotowując ostateczną redakcję tekstu, autor wziął pod uwagę głosy krytyczne, rozwijając, uzupełniając i skracając niektóre fragmenty”. Z zażenowaniem wręczał mi egzemplarz książki; w dedykacji była mowa o jej kastroowaniu. Mimo znacznych skrótów i cięć książka weszła do podstawowej literatury traktującej o dziejach Polski odrodzonej. Stała się pozycją klasyczną, skłaniała do refleksji, prowokowała do dyskusji i polemik. Ukazywała ona społeczne i polityczne stosunki w państwie w kontekście, w jakim nie były one uprzednio przedmiotem naukowego rozbioru. Zresztą Antoni Czubiński uzupełniał swój obraz międzywojnia nowymi studiami.

Wydarzeniem naukowym stało się opublikowanie krytycznej oceny historiografii, odnoszącej się do Polski odrodzonej. Książka pt. *Spory o Rzeczpospolitą*.

Ewolucja poglądów publicystyki i historiografii polskiej na temat przyczyn odbudowy i znaczenia niepodległego państwa dla narodu polskiego z 1983, licząca zaledwie trzy arkusze wydawnicze, skrupulatnie wyliczała jednostronne i tendencyjne deformacje w ocenach i zawierała ważne wyznania autora. Antoni Czubiński pisał: „Państwo to próbowano oceniać tak, jakby było ono obcym i wrogim ogniwem w procesie rozwojowym narodu polskiego [...]. Prawda, że państwo to miało charakter burżuazyjny. Fakt ten nie może jednak przesłaniać oczywistej konstatacji, że było to państwo polskie, że odbudowa tego państwa przekreślała część niesprawiedliwości, z jaką spotykał się naród polski w okresie niewoli, że państwo to stanowiło ogniwo w procesie rozwojowym społeczeństwa polskiego od feudalizmu do socjalizmu. Krytyka stosunków panujących w tym państwie musi mieć historyczny wymiar; nie można go krytykować za to, że było kapitalistyczne, bo w tym czasie innym być nie mogło. Krytyka też musi mieć konstruktywny charakter. Musi ona czymś się różnić na przykład od krytyki uprawianej przez wrogów zewnętrznych narodu i państwa polskiego, musi mieć charakter patriotyczny, mobilizujący, twórczy”. I dalej: „Jeżeli komuniści polscy, uciekając z więzień w 1939 r., szli na barykady, by bronić stolicy, to znaczy to, że w państwie tym były wartości godne uznania i ochrony”. Książka była ważnym ogniwem w badaniach nad Drugą Rzeczpospolitą, bezspornie stanowiła ich ówczesne podsumowanie. Zresztą Antoni Czubiński nie przerwał prac również nad dziejami Polski odrodzonej. W licznych rozprawach i studiach wzbogacał jej obraz, jego wypowiedzi obejmowały coraz to nowe kompleksy zjawisk, zawierały też korektury wcześniejszych ustaleń. O tym, że autor również w ostatniej dekadzie nie zamierzał być biernym obserwatorem sporów rozgrywających się na politycznej scenie, sporów o obraz Polski lat 1918–1939, świadczą rezultaty jego dociekań nad przewrotem majowym z 1926 r., uwiecznione w 1989 r. monografią, wydaną przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą. Inaczej niż szereg równoległych publikacji na ten temat tekst Czubińskiego nie głosi pochwały Piłsudskiego i jego pomajowej polityki. Jego motto stanowią słowa Ignacego Paderewskiego: „Myśmy szli do niepodległej Polski z jedną myślą, by jej służyć, oni – aby nią rządzić”. Wykład autora jest erudycyjny, przenika go troska o obiektywizm. Nikt spośród badaczy, którzy w przyszłości zechcą powrócić do studiów nad polską polityką zagraniczną w latach dwudziestych, nie będzie mógł przejść obojętnie obok materiałów zebranych przez Antoniego Czubińskiego i obok sformułowanych przezeń opinii. To samo należy odnieść do innego zespołu problemów, zawierającego podobnie wyraźne implikacje polityczne i podobnie wywołującego emocje wśród uczonych, polityków i publicystów, a mianowicie problem granic Drugiej Rzeczypospolitej i wojny bolszewickiej w latach 1918–1921. Książka, w której autor podsumował swe wieloletnie fascynacje, wydana w 1993 r. przez Instytut Śląski w Opolu, pt. *Walka*

o granice wschodnie Rzeczypospolitej w latach 1918–1921 jest udanym połączeniem źródłowej egzegezy i syntetyzujących uogólnień, choć oczywiście nie zamyka dalszych badań w przyszłości. Trzeba ją czytać z uwzględnieniem obecnego stanu historiografii polskiej, pamiętając przy tym o żywych tendencjach do nadużywania jej „gorących” treści w bieżącej grze politycznej.

Czubiński w trzecim wcieleniu to badacz spraw niemieckich, ściślej historii Niemiec w czasach nowożytnych, najnowszych i współczesnych, znawca ideologii niemieckiej i dziejów stosunków polsko-niemieckich. Autor wcześniej włączył się w badania prowadzone w środowisku poznańskim nad tzw. problemem niemieckim, niosącym z sobą realne zagrożenia i wymagającym pamięci. Badał nacjonalizm niemiecki i historiografię niemiecką, która za podtrzymywanie polityki nacjonalistycznej była – jak dowodził – współodpowiedzialna. Poddawał wnikliwej analizie rewizjonizm terytorialny w Republice Weimarskiej i przesłanki katastrofy demokracji parlamentarnej lat dwudziestych, otwierające drogi do zwycięstwa narodowego socjalizmu Adolfa Hitlera. Z uwagą śledził realizowanie postanowień Układu z 7 grudnia 1970 r. o podstawach normalizacji wzajemnych stosunków pomiędzy PRL i RFN oraz szlaki prowadzące do zjednoczenia Niemiec. Witał je z satysfakcją, choć zarazem podkreślał, że nie może on usunąć w niepamięć doświadczeń przeszłości. Wśród podnieconych głosów o pojednaniu jako fakcie dokonanym, Czubiński opublikował książkę pt. *Miejsce Polski w niemieckich planach aneksji i podboju w latach 1914–1945* (1991). Przypominał w niej załamanie się planów wojennych Niemiec w latach kryzysu 1918–1919, zastanawiał się nad przyczynami upadku Republiki Weimarskiej, rozpatrywał rolę Polski w hitlerowskich planach ustanowienia nowego porządku w Europie oraz znaczenie mniejszości w polityce zagranicznej Niemiec weimarskich i hitlerowskich. „*Niemcy są blisko*”, „*W nauczaniu liczą się fakty*” podkreślał w tytułach wywiadów dla prasy polskiej w pierwszych latach dziewięćdziesiątych. Dawał do zrozumienia, że w sprawach politycznie aktualnych, świeżych uczony musi zachowywać większy dystans w wypowiedziach, niż może sobie na to pozwolić polityk czy publicysta, dystans wyznaczony przez wnioskowanie z badania, przez sceptycyzm. Wszyscy wiemy, jak wielkim autorytetem cieszył się – i nadal się cieszy – Antoni Czubiński i jak ważne funkcje mu na tym polu powierzano: był dyrektorem Instytutu Zachodniego, współprzewodniczącym Wspólnej Polsko-Niemieckiej Komisji do spraw Podręczników Szkolnych z historii i geografii przy UNESCO, koordynatorem I stopnia międzyresortowego Problemu Badawczego „Polska-Niemcy. Tradycja i dążenia”, od lat współredaguje periodyk „*Studia Historica Slavo-Germanica*”.

Głębokie zainteresowanie problemem niemieckim, podobnie jak fascynacja dziejami polskimi, wprowadziły Antoniego Czubińskiego do elitarnego grona najwybitniejszych i najbardziej znanych znawców historii współczesnej, której

zwłaszcza w upływającej dekadzie poświęcił wiele uwagi. Lata dziewięćdziesiąte w pisarstwie Antoniego Czubińskiego charakteryzowały się publikowaniem wielkich syntez. Pragnę je tylko wyliczyć, albowiem na szczegółową charakterystykę nie staję ani czasu, ani kompetencji. Są nimi: *Najnowsze dzieje Polski 1914–1983* (PWN 1987), *Zarys dziejów Niemiec i państw niemieckich powstałych po drugiej wojnie światowej* (Wydawnictwo Poznańskie 1986, napisane wspólnie z Jerzym Strzelczykiem), *Dzieje najnowsze Polski* (Wielkopolska Agencja Wydawnicza, 2 tomy, 1992–1994), (Wydawnictwo Poznańskie, 1997), podręcznik *Europa dwudziestego wieku. Zarys historii politycznej 1939–1994* (Wydawnictwo UAM, 1996, rzecz napisana wspólnie z Wiesławem Olszewskim), *Historia Stronnictwa Demokratycznego* (1998), *Polska po II wojnie światowej*, która ukazała się jako tom 6. monumentalnej syntezy historyków poznańskich pod ogólną redakcją Jerzego Topolskiego: *Polska. Dzieje narodu, państwa, kultury*. Dwa ostatnie tomy pojawiły się na rynku w dniu Jubileuszu.

Czy to wyliczenie wymaga komentarza? Twórczość Antoniego Czubińskiego to *opus magnum et laudabile*, dzieło benedyktyńskiej pracowitości, erudycji, talentu i poczucia odpowiedzialności uczonego, który niczego z góry nie jest pewny i niczego z góry nie przesądza, który wątpi i dlatego bada, który ma swoją publiczność, swoich czytelników i swoich przeciwników.

Ad multos annos, drogi Antoni.

Robert Feenstra



Holendersko-belgijski kwartalnik „Tijdschrift voor Rechtsgeschiedenis”, na okładce którego figurują także tytuł francuski: „Revue d'Histoire du droit” oraz angielski: „The Legal History Review”, jest w Polsce mało znany i rzadko czytany, choć należy do periodyków znamienitych, na Zachodzie wysoko cenionych i często cytowanych w piśmiennictwie historycznoprawnym. Od 1950 r. XX w. jego redaktorem jest belgijski historyk prawa Robert Feenstra. Niniejszy tekst zawiera lakoniczną z natury rzeczy charakterystykę pisma i jest skromnym wyrazem uznania i podziwu polskiego środowiska historyków prawa dla jego redaktora w związku z niezwykłym jubileuszem.

„Tijdschrift voor Rechtsgeschiedenis” powstał w roku 1918, założony z inicjatywy holenderskiego prawnika i historyka Meijersa, znanego badacza i organizatora nauki, który w posiadaniu własnego czasopisma widział możliwość poluźnienia więzów zależności, na jakie humanistyka holenderska narażona była ze strony nauki francuskiej i zwłaszcza niemieckiej, a przede wszystkim upatrywał szansy publikowania prac przez młodych autorów. Miał być zresztą otwarty dla wszystkich badaczy, bez względu na narodowość i poglądy polityczne; miał służyć wymianie informacji naukowej, być forum ścierania się naukowych poglądów, miejscem naukowej krytyki i międzynarodowej współpracy. Istotnie już w latach dwudziestych i trzydziestych redakcji udało się przyciągnąć do współpracy wielu znanych autorów z bliskiej zagranicy – flamandzkojęzycznych Belgów oraz dalszej – Anglików, Francuzów, Włochów, Hiszpanów i Niemców, którzy na łamach tego pisma upowszechniali osiągnięcia swoich środowisk i dzięki ugruntowującej się jego renomie sami zdobywali międzynarodową sławę. Druga wojna światowa i okupacja Holandii przez wojska hitlerowskie przerwały ukazywanie się pisma przez kolejne dziesięć lat. „Tidschrift” odrodził się w roku 1950 r., już jako wspólny periodyk Belgów

i Holendrów, z komitetem redakcyjnym w międzynarodowej obsadzie. Na jego stronicach zaczęły się pojawiać teksty we wszystkich językach zachodnich, również niemieckim, który w pierwszych powojennych numerach występował rzadziej.

Po roku 1945 skrzystalizował się ostatecznie obecny profil pisma. „Tijdschrift” poświęca swe łamy przede wszystkim prawu rzymskiemu i jego recepcji w krajach Europy Zachodniej; zamieszcza teksty o prawie antycznym, w szczególności o instytucjach prawa rzymskiego, udziela swych łamów metodologicznym aspektom romanistyki prawniczej, chętnie zwraca się ku problemom prawa rzymskiego jako punktowi odniesienia dla różnych aspektów powszechnej historii prawa. Obecna w poszczególnych zeszytach jest klasyczna myśl prawników starożytnego Rzymu. Drugim wielkim polem badań, prezentowanym na łamach pisma, jest prawo wieków średnich na Zachodzie, przede wszystkim prawo prywatne, proces sądowy, orzecznictwo, wielkie kodyfikacje. Wiele zeszytów „Tijdschriftu” przynosi znakomite edycje źródeł prawa i źródeł poznania prawa z tej epoki. Trzecia dziedzina obejmuje historię prawa od XI do XVII w., czas rewolucji niderlandzkiej, epokę Grocjusza, Spinozy i Pufendorfa.

Prawa „narodowe” poddawane są rozbirowi z rozmaitej perspektywy; z reguły jest to komparatystyka uprawiana z uwzględnieniem trwałych wartości prawa rzymskiego. Wiek XVII stanowi na kartach pisma w zasadzie cezurę *ad quem*, choć trzeba z naciskiem podkreślić też coraz większe zainteresowanie *common law*. Oczywiście reprezentowana jest w piśmie także historia ustroju (np. ustroju miast, historia stanów i zgromadzeń stanowych, ustrój polityczny Francji), ale z reguły w takim tylko stopniu, w jakim służy ona postępowi badań nad historią prawa *sensu stricto*. Wyraźnie zarysowany profil sprzyja z pewnością wysokiemu poziomowi drukowanych w piśmie prac, przyciągając specjalistów o ustalonej reputacji naukowej. Na łamach „Tijdschrift voor Rechtsgeschiedenis” piszą znani i uznani historycy prawa, tacy m.in. jak: Jean Gaudemet (Paryż), Karl W. Noerr (Tybinga), Rudolpho C. van Caenegem (Gandawa), Leopold Genicot (Lowanium), André Gouron (Montpellier), Michael Stolleis (Frankfurt/M), Günter Wesener (Graz), Stephan Kuttner (Bonn), Theo Mayer-Maly (Salzburg), Johannes Arndt (Münster), M.H. Crawford (Londyn), John Gillissen (Bruksela), Jean Imbert (Paryż), Hans Hattenhauer (Kilonia) czy Louis Carlen (Fribourg/Szwajc.).

Pismo jest doskonale redagowane. Jego układ jest prosty, a zarazem elastyczny. Każdy z zeszytów składa się z kilku rozpraw, znakomicie prowadzonego działu recenzji oraz kroniki życia naukowego. Sposób prowadzenia tej ostatniej można uznać za wzorcowy. Rozpoczyna ją niezwykle cenny przegląd zawartości kilkudziesięciu czasopism i wydawnictw ciągłych. Wśród nich dwa razy w roku figuruje „Czasopismo Prawno-Historyczne”. Kronika zawiera także

dane o bieżących wydarzeniach naukowych, w szczególności o kongresach, konferencjach, kolokwiach i sympozjach międzynarodowych. Nie zapomina się o zmarłych badaczach, poświęcając im wspomnienia.

Od ponad półwiecza pismem kieruje jako redaktor naczelny i członek komitetu redakcyjnego wybitny holenderski historyk prawa Robert Feenstra.

Robert Feenstra urodził się 5 października 1920 r. w Batawii (dziś Dżakarta) w ówczesnych Holenderskich Indiach. Po ukończeniu liceum klasycznego w Amsterdamie rozpoczął w 1938 r. studia prawnicze na Uniwersytecie Muncypalnym w tym mieście. Pierwsze wyróżnienie stało się jego udziałem w roku 1943, kiedy to zdobył złoty medal za zwycięstwo w zorganizowanym przez macierzysty wydział konkursie z zakresu podstawowych problemów prawa rzymskiego. Terror w kraju okupowanym przez hitlerowców zmusił go do przerwania studiów. Kontynuował je i ukończył w latach 1945–1946 na Uniwersytetach w Bernie i Lozannie. W Lozannie został też asystentem znanego cywilisty i historyka prawa Philippe’a Meylana. Po krótkim czasie zdecydował się jednak powrócić do Holandii, gdzie objął stanowisko asystenta R. Hoetinka, profesora prawa rzymskiego i historii prawa Uniwersytetu w Amsterdamie. W 1949 r. uzyskał doktorat na podstawie dysertacji *Reclame en revindicatie (Audi historique sur le droit du vendeur d'effete mobilière non Papee de reclamer ses effects, notamment en rapport avec la regle de Justinian inst. 2.1.42)*. W tym samym roku otrzymał powołanie na profesurę historii prawa holenderskiego (i propedeutyki prawniczej) na Uniwersytecie w Utrechcie. W 1952 r. przeszedł na Uniwersytet w Lejdzie, obejmując opuszczoną przez J.C. van Ovena Katedrę Prawa Rzymskiego. W Lejdzie Robert Feenstra przeżył lata największej aktywności twórczej i organizacyjnej. Tu pracował aż do przejścia na emeryturę w roku 1985, tu tworzył i działa do dziś.

Bibliografia prac naukowych Roberta Feenstry, licząca prawie czterysta pozycji, i publikowana na łamach „Tijdschrift” z okazji kolejnych jubileuszy autora, zawiera teksty znane i wartościowe. Kontury jego twórczych zainteresowań pokrywają się z tematyką prezentowaną na łamach „Tijdschrift voor Rechts-geschiedenis” i można sądzić, że to one inspirowały pismo, a nie odwrotnie.

Na czołowym miejscu figurują w niej prawo rzymskie i jego recepcja w Europie, ze szczególnym uwzględnieniem Holandii. Robert Feenstra poświęcił im najbardziej znane swe książki: *Fata Iris Roman i. Etudes d'histoire du dront* (1974), *Romeinsrechtelijke grondlaagen van het Nederelands privatrecht* (1990), *Le droit Romain et l'Europe* (1995) oraz cenione monumentalne wydawnictwa: *Textus iuris romani* (1987) *Corpus Iuris Civilis* (t. I–IV, 1993–1997) i *Das römisch-holendische Recht* (wyd. wspólnie z R. Zimmermannem, 1992). Drugą dziedziną jego fascynacji jest historia prawa w średniowieczu. Poświęcił jej obszernie dzieło *Le droit Savant Au moyen âge et sa vulgarisation* (1986) i wielce

użyteczną *Bibliographie zum römischen Rechts im Mittelalter 1100–1500* (1987). Wciąż wraca w jego twórczości zafascynowanie Hugonem Grocjuszem: Grocjusz jako pisarz czasu przełomu, Grocjusz jak teoretyk prawa natury, Grocjusz na tle dyskursu o państwie Holandii, Grocjusz *De iure belli ac pacis*, jako systematyk prawa, Grocjusz a prawo deliktowe, Grocjusz jako teoretyk prawa morza, inspiracje hiszpańskie w twórczości Hugona Grocjusza, Grocjusza europejskie prawo prywatne. Robert Feenstra badał też przenikanie praw narodowych na grunt Holandii w XVI i XVII w. oraz odwrotnie – oddziaływanie instytucji prawa na systemy prawa w krajach sąsiednich. Wiele wnikliwych, przyjętych do obiegu naukowego konstatacji zawierają jego prace poświęcone historii życia naukowego w Europie, nauczaniu prawa, uniwersytetom, wybitnym prawnikom, stanowi prawniczemu jako profesji (por. *Seventeenth century Leyden Law Professors and their influence on the Development of the Civil Law* (1975) oraz *Legal Scholarship and Doctrines of Private Law* (1996)). Na uwagę zasługują zupełnie pomijane w piśmiennictwie polskim prace Feenstry poświęcone rzymsko-holenderskiemu prawu w Afryce Południowej w czasie kolonizacji tego kraju w XVII stuleciu.

Zasługi naukowe i organizacyjne Roberta Feenstry wzbudziły głębokie uznanie w świecie; przyniosły mu wyróżnienia i godności. W roku 1965 otrzymał swój pierwszy doktorat *honoris causa* – na Uniwersytecie w Dijon. W latach następnych doktorat honorowy nadały mu inne renomowane uczelnie: Uniwersytet w Sienie (1967), Uniwersytet w Montpellier (1969), Uniwersytet w Gandawie (1972), Uniwersytet w Rennes (1975), Uniwersytet w Glasgow (1977), Uniwersytet Paryż II (1981), Uniwersytet w Bolonii (1987), Uniwersytet w Orleanie (1992), Uniwersytet w Pretorii (1992) i Uniwersytet w Kopenhadze (1994). W ślad za doktoratami honorowymi przyszły wyróżnienia państwowe: w 1972 Robert Feenstra został Komandorem Orderu Zasługi Republiki Włoskiej, w 1979 r. Kawalerem Orderu Holenderskiego Lwa, zaś w 1985 r. Komandorem Orderu Leopolda II.

Wyróżnienia szły w parze z niezwykłą ruchliwością w organizowaniu międzynarodowego życia naukowego. Od 1973 r. jest Robert Feenstra członkiem Holenderskiej Królewskiej Akademii Nauk (Académie Royale des Sciences des Pays-Bas), od 1963 r. pełni godność członka korespondenta Akademii Prawodawstwa w Tuluzie (Académie de Legislation de Toulouse), od 1966 r. jest członkiem Królewskiej Akademii w Brukseli (Académie a Bruxelles), od 1972 r. członkiem Akademii Nauk w Getyndze (Akademie der Wissenschaften in Göttingen). Od 1975 r. jest honorowym członkiem korespondentem Amerykańskiego Stowarzyszenia Historii Prawa (American Society for Legal History). W 1977 i 1986 r. był *visiting fellow* w All Souls College, zaś w 1992 r. w Merton College w Oksfordzie. W 1981 r. został wybrany członkiem zagranicznym Acca-

demia Nazionale dei Lincei w Rzymie, a w 1985 r. członkiem korespondentem Akademii Brytyjskiej. W latach 1962–1964 był dziekanem Wydziału Prawa w Lejdzie. W latach 1984–1987 był wiceprezydentem, a od 1987 r. jest prezydentem Société Jean Bodin pour l'Histoire du Droit des Pays Flamands, Picards et vallons w Lille. Od 1965 r. pełni funkcję wiceprezydenta komitetu wykonawczego Société d'Histoire du Droit w Paryżu. Od 1965 r. był skarbnikiem, a w latach 1965–1990 sekretarzem generalnym, od 1990 r. prezydentem Association Internationale d'Histoire du Droit et des Institutions. W latach 1965–1990 przewodniczył Radzie Naukowej w Instytucie Maxa Plancka Europejskiej Historii Prawa we Frankfurcie nad Menem, zaś w 1975–1990 był przewodniczącym Komisji Naukowej tegoż instytutu. W latach 1974–1985 był wiceprezydentem, w latach 1985–1995 prezydentem, a od 1995 r. prezydentem honorowym Międzynarodowej Komisji Historii Uniwersytetów (Commission Internationale pour l'Histoire des Universités). Od ponad półwieku jest zarazem przewodniczącym Międzynarodowego Komitetu dla Publikacji Ksiąg Prawniczych z Niemieckiego Obszaru Językowego na Uniwersytecie w Orleanie.

Robert Feenstra położył swą twórczością badawczą i swymi osiągnięciami na polu organizowania nauki historii prawa poważne zasługi. Z okazji pięknego jubileuszu życzymy mu, by jak najdłużej swe dzieło kontynuował.

Jakub Goldberg



W roku 1991 w Moguncji odbyła się międzynarodowa konferencja naukowa poświęcona przeglądowi stanu badań nad dziejami Kurlandii. Jej organizatorem był znany badacz niemiecki profesor mediewista Erwin Oberländer, kierownik Instytutu Historii Europy Wschodniej Uniwersytetu Jana Gutenberga. Konferencja zgromadziła historyków ustroju i prawa z wielu krajów Europy. Na czele polskiej reprezentacji stał Jerzy Tomaszewski, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, gościem Konferencji był Jakub Goldberg. Tam właśnie po raz pierwszym się z nim spotkałem. Miał wyjątkowy dar pozyskiwania sympatii: przyjazny, skromny, cichy, pogodny. Nie kierował uwagi uczestników na siebie, rzadko zabierał głos, ale w kulisach otaczali go najznakomitsi. Był erudytą; wszystkich znał, wszyscy znali jego. Potem jeszcze wiele razy spotykaliśmy się na różnych zjazdach. W podróży towarzyszyła mu małżonka etnolog Olga Goldberg-Mułkiewicz, równie urocza jak on. Cieszył się szacunkiem i potrafił ożywiać dyskusję. Również nasze kontakty stawały się coraz częstsze. Po latach uczestniczyłem w podniosłej uroczystości nadania mu doktoratu *honoris causa* przez Uniwersytet Warszawski. Czuł się Polakiem. W tytule książki pamiątkowej ofiarowanej przez Uniwersytet Łódzki z okazji odnowienia doktoratu w 2010 r. wydawcy zamieścili jego słowa: „Należę do polskiej szkoły historycznej”. Dochowywał wierności swemu środowisku i swym przyjaciołom. A lekkiego życia nie miał.

Jakub Goldberg urodził się w 1924 r. w Łodzi, w rodzinie kupieckiej. Ukończył trzy klasy Gimnazjum im. ks. Ignacego Skorupki, kiedy wybuchła wojna. Jakub Goldberg stracił rodzinę, a sam został osadzony w łódzkim getcie. Pracował w wytwórni sałatek i magazynie nabiału. W 1944 r. przebywał najpierw w obozie pracy przymusowej w Częstochowie i Skarżysku-Kamiennej, potem był więźniem w filii obozu koncentracyjnego Buchenwald w Meuselwitz koło

Lipska. Przeżył marsz śmierci i wyzwolony w ostatnim dniu wojny przez kilka miesięcy leczył się w szpitalu. Po powrocie do Łodzi podjął studia na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Łódzkiego. Jednocześnie wznowił, rozpoczętą przed wojną, aktywność polityczną w Młodzieżowej Organizacji Przyszłości – Bund, żydowskiej organizacji socjalistycznej. Jeszcze w czasie studiów został asystentem Katedrze Historii Polski XIX wieku, kierowanej przez prof. Natalię Gąsiorowską-Grabowską. W 1960 r. obronił pod jej kierunkiem pracę doktorską na temat *Stosunki agrarne w miastach ziemi wieluńskiej w drugiej połowie XVII i XVIII wieku*. W roku 1967 podczas pierwszych antysemickich wydarzeń w kraju wyjechał na stałe do Izraela, gdzie znalazł pracę w Central Archives for the History of the Jewish People. Powołany na stanowisko profesora Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, został dyrektorem Ośrodka Badań Dziejów i Kultury Żydów. Wykładał na uniwersytetach w Haifie, Kolonii, Monachium i Kassel. Jako Senior of Research Fellow przebywał w Oksfordzie, był stypendystą Ośrodka Badań Dziejów Europy Środkowo-Wschodniej w Berlinie oraz Instytutu Dubnowa w Lipsku. Ani przez chwilę nie zapomniał o kraju przodków. Przyjeżdżał do Polski, utrzymywał ściśle kontakty ze środowiskiem historyków polskich. W roku 1993 otrzymał godność doktora *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego. Był członkiem czynnym Polskiej Akademii Umiejętności oraz członkiem zagranicznym Polskiej Akademii Nauk. Zmarł 25 listopada 2011 r. w Jerozolimie i został pochowany na cmentarzu cywilnym w Kibucu Einat¹.

Twórczość Jakuba Goldberga, bogata i należąca do kilku subdyscyplin nauki historii, może być opatrzona dewizą, która w jego pracach wracała często i znalazła najlepsze rozwinięcie w wystąpieniu na uroczystości nadania mu doktoratu honorowego na UW w dniu 14 stycznia 1993 r.: „Nie ma historii Żydów bez historii Polski i nie ma historii Polski bez historii Żydów”². Mówił: „Historia polskich Żydów to dzieje istniejącego w czasach dawnej Rzeczypospolitej najliczniejszego i centralnego w świecie skupiska żydowskiego w diasporze; to dzieje społeczności pełniące ważne funkcje w gospodarce i życiu społecznym Polski. [...]. Historia polskich Żydów obejmuje osiem wieków współżycia obu społeczności [...] oraz współzależności i wzajemnego przenikania się obu kształtujących się na polskiej ziemi kultur”. Uważał, że rozwijające się przez stulecia relacje polsko-żydowskie „stanowią wspólną gałąź historii obu narodów”. Życie w diasporze skazywało Żydów na „zainteresowanie postawami antyżydowskimi i antysemityzmem”, ale właśnie dlatego badacz nie może po-

¹ W odtworzeniu *curriculum vitae* Jakuba Goldberga pomocne mi były – tekst wstępu umieszczonego w pracy „*Należę do polskiej szkoły historycznej*”. *Studia i szkice ofiarowane Profesorowi Jakubowi Goldbergowi z okazji odnowienia doktoratu na Uniwersytecie Łódzkim*, pod red. R. Stobieckiego i J. Walickiego, Łódź 2010 oraz studium *in memoriam* pióra S. Grodziskiego, *Jakub Goldberg 1924–2011*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 2012, t. 64, z. 1, s. 303–305.

² Por. „Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego w Polsce”, 1993, nr 1–2, s. 127.

przestawać na badaniu jednostronnym; musi prezentować zarówno postawy negatywne, jak i pozytywne, albowiem faktyczne przeobrażanie się wzajemnych relacji zawsze zależało od okoliczności, które te przeobrażenia dyktowały. Dawna Rzeczpospolita dostarcza licznych przykładów zmian w postawach tak jednostek, jak i grup społecznych. Był to głos badacza, który domagał się badań integralnych, przenikających wszystkie sfery życia w społeczeństwie i państwie. Należy studiować to, co składało się na obraz Rzeczypospolitej jako „raj dla Żydów” (*paradisus Iudaeorum*), jak i to, co wzajemne stosunki zakłócało. Za wielkiego winowajcę odpowiedzialnego za zło uważał Jakub Goldberg fakt, że obie strony mało o sobie wiedziały, na ogół nie znały obyczajów i kultury partnera. Historyk podkreślał z mocą, że również dziś deficyt wiedzy o wspólnej polsko-żydowskiej przeszłości staje się pożywką dla nastrojów antysemickich.

Stanisław Grodziski



Laudacja na pięćdziesięciolecie pracy twórczej

Profesor Stanisław Grodziski święci półwiecze pracy twórczej¹, ale podziela w pełni zdanie swych przedmówców, że ten rzadki jubileusz, ważny i ze wszech miar zasługujący na podsumowanie, stanowi w jego bibliografii zaledwie pewien etap i w istocie niczego nie zamyka. Jestem głęboko przeświadczony o tym, że dzisiejszy Jubilat na żadnym polu nie powiedział ostatniego słowa, że w niejednym nas jeszcze zaskoczy, więcej – że najważniejsze dokonania są jeszcze przed nim. Upoważniają do takiego sądu jego niespożyta energia i pasja badania, zgromadzone przezeń doświadczenie i erudycja, tkwiący w nim imperatyw wychodzenia naprzeciw wyzwaniom czasu, stale na nowo rozkwitający talent i rozległe renesansowe horyzonty intelektualne. Doprawdy trudno sobie wyobrazić, że zaprzestanie on współpracy z wydawnictwami drukującymi książki i redakcjami czasopism, że zrezygnuje z prowadzenia seminarium i zaniecha aktywności w organizowaniu nauki. Byle mu tylko zdrowie dopisywało i tego mu należy życzyć najgoręcej.

Stanisław Grodziski od początku był właściwie „skazany” na to, by zostać świetnym badaczem i wielkim humanistą. Edukację zaczynał w warunkach konspiracji, łącząc udział w tajnych kompletach z pracą dróżnika, ładowacza w kamieniołomach, robotnika rolnego, administratora domów i działacza sportowego. Wojna i późne lata czterdzieste były – jak wiadomo – surową szkołą życia dla rocznika 1929, który nie dysponował taką siłą, jaka charakteryzowała Kolumbów, który jednak już żywo odczuwał całą grozę tamtego czasu w prze-

¹ Pierwodruk: Laudacja na pięćdziesięciolecie pracy twórczej na Uniwersytecie Jagiellońskim w dniu 26 marca 2001 r. pt. *Profesor Stanisław Grodziski*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 2001, t. 53, z. 2, s. 264–269.

ciwieństwie do urodzonych w latach trzydziestych. Stanisław Grodziski zjawił się na Uniwersytecie Jagiellońskim jako człowiek zahartowany w walce o byt, a przy tym żłakniony wiedzy, ciekaw żakowskiego życia, w poszukiwaniu autorytetów.

Miał szczęście, bo akurat w późnych latach czterdziestych Wydział Prawa UJ cieszył się zasłużoną sławą pierwszego w kraju centrum badań historyczno-prawnych. Wprawdzie nie było już Stanisława Estreichera i Stanisława Kutrzeby, ale wykładali i prowadzili seminaria Adam Vetulani i Michał Patkaniowski, Konstanty Grzybowski i Wacław Osuchowski, Bogusław Leśnodorski i Władysław Sobociński, Stanisław Roman, Irena Malinowska-Kwiatkowska, Wojciech M. Bartel i Lesław Pauli, a obok nich rówieśnicy, ambitni i drapieżni jak on: Ludwik Łysiak, Stanisław Płaza, Stanisław Salmonowicz, Wiesław Litewski. Klimat panujący w ciasnym pomieszczeniu przy ul. Straszewskiego 27, w którym tłoczył się kwiat ówczesnej nauki historii prawa, nie pozwalał na intelektualną bierność. Wymiany poglądów i naukowe spory podrywały uczonych zza biurka; umacniała się wspólnota osobowości, w której każdy każdemu coś przekazywał i każdy od każdego coś zyskiwał. Stanisław Grodziski miał więc wielu nauczycieli, ale myślę, że dwie wielkie postaci ukształtowały jego formację umysłową i położyły fundament pod przyszłe sukcesy w szczególnej mierze. Pierwszym był oczywiście mistrz Adam Vetulani, promotor doktoratu i bezpośredni przełożony. Adam Vetulani dał mu warsztat, a posyłając do pracy w archiwum, nauczył technik badawczych, wpajał umiejętność czytania w źródłach, rozpalał zamiłowanie do studiów nad nimi. Był tyleż wymagającym krytykiem, co troskliwym ojcem. Za drugiego należy uznać Konstantego Grzybowskiego, choć kontakty z nim nie stanowiły dla Jubilata codzienności. Grzybowski demonstrował, jak poruszać się po rozległych przestrzeniach humanistyki, jak skutecznie pokonywać bariery uformowane przez akademickie specjalizacje, jak badać substancję czynić użyteczną społecznie, jak stawiać badawcze pytania i jak w odpowiadaniu na nie unikać ujęć monokauzalnych. Obaj przy tym udzielali poglądowych lekcji, jak zwierać więzi historii prawa z innymi naukami o przeszłości oraz jak – przede wszystkim – strzec organicznych związków z dyscyplinami wchodzącymi w obręb prawoznawstwa. Byli znakomitymi historykami-humanistami, ale nade wszystko byli humanistami-prawnikami.

W takim to środowisku – w warunkach intelektualnego komfortu – rozpoczął swą drogę Stanisław Grodziski. Szybko pokonał kolejne szczeble akademickiej kariery, choć stopnie i tytuły przychodziły jakby mimochodem – po drodze: jubilat nie prowadził badań i nie pisał po to, by awansować; awansował, bo coraz bardziej imponujący, bogaty i wszechstronny stawał się jego dorobek. Najwięcej bowiem zawdzięczał sobie, swojemu talentowi i uporowi, swej wiedzy i pasji dociekania. Wykazywał dla historii tę estymę, jaka się jej należy

jako podstawowej nauce społecznej, w której w formie klinicznej dopełniają się treści poznawcze i zarazem głęboko humanistyczne. Widział w niej krynicę mądrości, źródło inspiracji, satysfakcję z dokonań przeszłych pokoleń, przede wszystkim jednak długą, pełną zakrętów i odwrótów drogę ku współczesności, którą trzeba koniecznie poznać i zrozumieć, jeżeli ma ona pomagać w rozplątywaniu węzłów pojawiających się aktualnie i mogących powrócić w przyszłości. Przekonanie, że misją nauki jest dążenie do prawdy, kierowało jego spojrzenie na problemy ważne i trudne. Podchodził do nich ze sceptycyzmem, ale właśnie dlatego je badał, wychodząc z założenia, że tylko barbarzyńca wierzy bez badania. Nie unikał też tematów drażliwych, wnoszonych do nauki z zewnątrz i modnych, a przy tym kontrowersyjnych i posiadających rozległe nie-raz implikacje polityczne. Ale nie przypominam sobie, aby choć w jednym ze swoich utworów sięgał do metod innych niż naukowe i by akceptował ustalenia wyrażające ugięcie się pod presją. Dlatego w twórczości Jubilata nie ma metamorfoz, wymuszanych na przykład zmieniającą się sytuacją polityczną. Jego pisanie przypomina monolityczną bryłę, odporną na czas i okoliczności. Było tak m.in. dlatego, że autor chętnie wracał do rozpoczętych tematów, wzbogacał wywody nowymi argumentami, poszerzał kontury badanych wątków, że odpowiedzi na stawiane sobie pytania nie szukał poza źródłami, że – co ważne – potrafił swych racji bronić, zawsze *suaviter in modo*, lecz *fortiter in re*. Postawę tę dyktowały cechy charakteru, te, których deficyt dziś mocniej niż kiedyś daje się nam we znaki. Mam na myśli poczucie misji działania dla środowiska, wrażliwość uczonego, który czuje się twórcą szeroko pojętej kultury, głębokie przeżywanie polskości, renesansowe spojrzenie na świat, połączone z wiarą w przełomowe znaczenie epoki, i umiejętność pełnego wdzięku korzystania z darów życia. Sukces Stanisława Grodzkiego to także rezultat tego, że miał duszę działacza, nigdy nie stał z boku, że był zapalonym nauczycielem. Nieraz dane mi było spotykać się z jego wychowankami i zawsze pozostawałem pod wrażeniem serdeczności i szacunku, z jakim wspominali swego mistrza. W kuliach dzisiejszej uroczystości jeden z nich, bardzo wybitny profesor, opowiadał mi z nutką rozrzewnienia i nader obrazowo, jakie to ciągi zbierał w czasie prowadzonych przez Jubilata ćwiczeń.

Przegląd bibliografii naukowej Stanisława Grodzkiego wymaga dystansu i narzuca pokorę. Imponuje ona już samymi rozmiarami. W kilku setkach tekstów, do których autor wciąż dorzuca nowe, można odnaleźć wszystkie gatunki naukowej prozy. Są tu zwarte monografie, są książki kierowane do nieprofesjonalisty, syntezy, zarysy systemów i podręczniki. Są biografie, biogramy i wydawnictwa źródłowe, liczne prace polemiczno-krytyczne, czyli artykuły recenzyjne, recenzje i noty, są studia i rozprawy porożrzucane w renomowanych czasopismach krajowych i zagranicznych, są przeglądy ważnych wydarzeń

z życia naukowego, tomy zawierające materiały konferencji i sympozjów, przez autora organizowanych i przezeń redagowane, są zaskakujące świeżością refleksje publicystyczne.

Jeszcze większe uznanie wywołują tematyczne kontury bibliografii. Jak najwybitniejsi historycy prawa – tacy jak Oswald Balzer i Stanisław Kutrzeba, Adam Vetulani i Józef Matuszewski, Konstanty Grzybowski i Juliusz Bardach – pisał Stanisław Grodziski na rozliczne tematy. Suwerennie panował nad podawaną badaniu materią i z łatwością pokonywał narzucane i petryfikowane przez akademickie struktury dystynkcje między dyscyplinami. Pisał o przeszłości historii prawa jako nauki i luminarzach humanistyki, wypowiadał się o historii społecznej stanowego społeczeństwa i o przeobrażaniu się tego społeczeństwa w nowoczesny naród. Śledził rozwój instytucji dawnego prawa i ich wpływ na prawo obowiązujące współcześnie, poświęcał baczną uwagę samorządowi terytorialnemu i swobodom wyznaniowym. Badał instytucje parlamentaryzmu polskiego na szerokim tle porównawczym. Pociągały go i wciągały dzieje administracji i myśli administracyjnej, idee i reformy. Wciąż wracał do rozważań o kulturze politycznej i prawnej Polaków. W sugestywnych obrazach nobilitował tzw. historię życia codziennego. Przedstawiał te zagadnienia jako część ogólnego procesu dziejowego, który podlega ewolucji w toku zmian w infrastrukturze, ale który w istocie jest jeden. Często wracał do komparatystryki, uważając, że Polska wygląda inaczej, kiedy się ją ogląda z zewnątrz, że polonocentryczne spojrzenie może wypaczać osąd i prowadzić na manowce, że zatem dopiero właściwy użytek czyniony z metody prawno-porównawczej gwarantuje sukces w badaniu.

Uwzględnij tu w krótkim zarysie zaledwie trzy spośród wielu wątków przewijających się przez twórczość Stanisława Grodziskiego.

Pierwsze wielkie pole dociekań Stanisława Grodziskiego to badanie dziejów społecznych w najszerszym tego słowa rozumieniu, bo podejmowanych z perspektywy regulującego stosunki społeczne prawa. U ich punktu wyjścia tkwiły rzetelne studia nad literaturą przedmiotu i – nade wszystko – rozległe kwerendy źródłoznawcze, koronowane cennymi wydawnictwami źródeł, zwłaszcza źródeł prawa wiejskiego. Zaczął Stanisław Grodziski od studiów nad statutem warckim, jednym z głównych pomników ziemskiego prawa polskiego w XV w. Interesował go niechętny stosunek szlachty do cechów, w którym upatrywał nie tyle antagonizm dwóch klas, ile sprzeczność ekonomicznych interesów. Jego ustalenia nie pozostawiały wątpliwości co do tego, że polskie społeczeństwo na progu czasów nowożytnych stanowi wspólnotę bardziej złożoną, niż wynikało to z oficjalnych podręcznikowych formuł. Również w pierwszej książce, poświęconej – jak wiadomo – ludziom luźnym – burzył stereotypy; jego przenikliwe interpretacje norm określających status luźnych, prowadzących wędrow-

ny tryb życia, konfrontowane z analizą praktyki, jego analizy wychodźstwa i prac sezonowych, ruchu ludności między wsią a miastem były w swoim czasie pionierską próbą integralnego ujęcia ważnego tematu i weszły na stałe do naukowego obiegu. W kolejnej monografii, będącej podstawą habilitacji w 1963 r., podniósł autor fascynujący problem obywatelstwa w szlacheckiej Rzeczypospolitej. Książka, która wywołała żywe zainteresowanie badaczy, wydobywała niedocenione – jak się wydaje – wcześniej możliwości interpretowania przeobrażeń społecznych i prawnych w państwie, które zdecydowało się na drogę reformy i w tym celu zmuszone było poszerzać bazę społeczeństwa obywatelskiego.

Badania Stanisława Grodziskiego nad społeczeństwem stanowym tym się wyróżniały pośród tendencji zaznaczających się w ówczesnej literaturze, że wsparto je o silny podkład egzegezy prawniczej, czego wyrazem było wykorzystanie przez autora przebogatego materiału zawartego w księgach sądowych wiejskich. W kierowanym od schyłku lat pięćdziesiątych przez Adama Vetulaniego zespole badaczy – edytorów ksiąg od samego początku był Stanisław Grodziski *pars magna*. Ukazywał znaczenie tego źródła dla dalszych studiów nad prawem, sam najczynniej uczestniczył w pracach edytorskich: jak wiemy – opracował inwentarz klucza łąckiego, wydał księgi sądowe klucza jazzowskiego, opracował akta hrabstwa tarnowskiego; przy okazji poddawał wnikliwej ocenie kulturę prawną, z jaką spotykał się w historii wsi małopolskiej; domagał się nowej, nowoczesnej syntezy historii źródeł prawa polskiego.

Integralne pojmowanie kwestii społecznych, poddawanie ich rozbirowi w ścisłym związku ze stanem prawa i kultury prawnej, a także na tle przemian w ustroju pozostały cechą także tych prac Stanisława Grodziskiego, które zaczęły go absorbować w ostatnim ćwierćwieczu, a mianowicie tekstów poświęconych wiekowi XIX, Galicji i jej powiązaniom z monarchią Habsburgów, a także pozostałym ziemiom zabranym. Zarówno bowiem wtedy, kiedy kreślił obraz galicyjskich elit w monarchii i opisywał pielgrzymkę do historii Feliksa Boronia, jak i wtedy, kiedy dawał przegląd długiego panowania Franciszka Józefa i austriackiej dynastii czy komentował *Dziejopis żywiecki*, w istocie pisał o przemianach, jakie stwierdzał w polskim społeczeństwie u żyjących na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej mniejszości. Bardziej niż niejeden z historyków *tout court* czy socjologów przyczyniał się swymi wywodami do zrozumienia, dlaczego elity II Rzeczypospolitej pochodziły przede wszystkim z autonomicznej Galicji. Bez jego licznych, głębokich, rzetelnie udokumentowanych, a zarazem lekko i barwnie kreślonych studiów nad historią społeczeństwa polskiego humanistyka polska byłaby dziś uboższa.

Przechodzę do drugiego naukowego wcielenia Jubilata, którym jest Stanisław Grodziski jako badacz ustroju, w szczególności znawca instytucji parla-

mentarnych z sejmem walnym w roli głównej. Pamiętamy, że jeszcze nie tak dawno, bo w czasie podniosłej uroczystości zamykającej jubileusz 500-lecia Sejmu Polskiego, jaka odbyła się w maju 1993 r. w Warszawie, przemawiał Stanisław Grodziski do obu izb Parlamentu Rzeczypospolitej. Jego z uwagą przyjmowany wykład o wiodącej roli sejmu w dziejach narodu i państwa, o sile polskich tradycji parlamentarnych, o sejmie – ustawodawcy jako strażniku suwerenności państwa i podmiocie narodowej integracji, a zarazem centrum kultury i źródle myśli prawniczej. Sejm silny i sprawny – mówił Stanisław Grodziski – oznaczał pomyślność Rzeczypospolitej; sejm chory i niezdolny do dotrzymywania kroku nakazom czasu sprzyja jej rozkładowi. W latach niewoli polscy posłowie wykorzystywali instytucje parlamentarne dla obrony sprawy polskiej; po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. sejm przewodził procesowi odbudowy kraju i zespalania Polaków w odrodzonym państwie.

Zaproszenie Stanisława Grodziskiego do wygłoszenia wykładu w Parlamencie Rzeczypospolitej z okazji podniosłego jubileuszu stanowiło wyraz uznania dla jego naukowych kompetencji i zasług jako badacza dziejów ustroju i prawa oraz było podziękowaniem za jego wkład w prace nad ukształtowaniem obecnego modelu instytucji parlamentarnych. Stanisław Grodziski bowiem najczynniej uczestniczył w działaniach nad przygotowaniem Konstytucji RP, powoływany był do zespołu doradców premiera, dyskutował nad kształtem podziałów administracyjnych w kraju, wypowiadał się na temat odpowiedzialności posłów i miejsca senatu w strukturze parlamentu. Należał do stałych współpracowników Wydawnictwa Sejmowego i „Przeglądu Sejmowego”. Żaden historyk prawa od czasów Balzera i Kutrzeby nie potrafił jak on łączyć głębokich studiów nad historią społeczną, nad historią nauki prawa i kultury politycznej z badaniem instytucji parlamentarnych na przestrzeni całych ich dziejów, a tych ostatnich wykorzystywać w sensownej aktywności na rzecz rozwiązywania palących potrzeb współczesności.

Badania nad sejmem to oczywiście tylko część rozległych dociekań prowadzonych przez Stanisława Grodziskiego nad historią ustroju, ale część ważna w jego twórczości; od nich zaczynał, do nich stale powracał, wciąż wzbogacając naszą wiedzę o sejmowaniu Polaków. Z powodzeniem stosując metodę prawnoporównawczą, dowodził przekonywająco, że staropolski sejm walny zyskuje w porównaniu z hiszpańskimi kortezami czy niemieckim Reichstagiem, francuskimi Stanami Generalnymi czy szwedzkim Rigsdagiem. Już w pierwszej swej publikacji, głoszonej na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego” w 1953 r., a poświęconej *oglądom Stanisława Konarskiego na rozwój prawa w świetle jego wstępu do Volumina Legum*, doszedł do wniosku, że nauka polska pilnie potrzebuje pełnego i nowoczesnego zbioru konstytucji sejmowych. Myśl ta – jak wiadomo – materializuje się obecnie: oto bowiem współ

z Ireną Dwornicką i Wacławem Uruszczakiem Jubilat wydał pierwsze woluminy tego gigantycznego przedsięwzięcia, które – jestem tego pewien – będzie miało poważne znaczenie dla postępu badań nad historią ustroju i prawa polskiego.

W następnych latach Stanisław Grodziski stale poszerzał pole swych fascynacji dziejami polskiego parlamentaryzmu. Poddawał analizie kulturę polityczną „złotego wieku”, najpełniej ujawniającą się w czasie obrad sejmu. Współdziałał z Konstantym Grzybowskim nad zgłębieniem teorii gromadzących się w sejmie stanów politycznych i miał niebagatelny udział w powstaniu interesującego tekstu o systematyce prawa tworzonego z udziałem sejmu w epoce ostatnich Jagiellonów. We wspomnianej uprzednio monografii o obywatelstwie pochyłał się autor nad pojęciem „narodu szlacheckiego”, narodu, który spotykał się w sejmie. Rychło też objął badaniem czasy późniejsze: charakteryzował doktrynę złotej wolności XVII w., w której dostrzegał teoretyczną podstawę dla słabości polskiego sejmowania oraz poglądy Stanisława Dunin-Karwickiego, który przy pomocy teorii mieszanej formy rządów zamierzył ukazać drogi prowadzące do przezwyciężenia kryzysu w sejmie. Poświęcił znakomite studium sejmowi „niememu” oraz ocenił dzieło Sejmu Czteroletniego. Przez pryzmat rozwijanej w nim „doktryny sejmowej” zastanawiał się nad pojęciem konstytucji i wskazywał na rozmaite możliwości ich systematyzacji.

Stanisław Grodziski nie odmówił swej współpracy, kiedy w pierwszych latach osiemdziesiątych powstała myśl powołania do życia Muzeum Sejmu Polskiego. Wypowiedział się za wykorzystaniem tej inicjatywy, której konotacje polityczne były dlań oczywiste, dla pogłębienia rzetelnych badań nad dziejami parlamentaryzmu. Chciał muzeum, które by eksponowało przeszłość wszystkich instytucji parlamentarnych, a nie tylko sejmu walnego. Traktował pomysł jako projekt naukowy, wymagający naukowego podejścia i naukowych inwestycji, otwierający być może niepowtarzalne w ówczesnych warunkach możliwości zainaugurowania na tej niwie szeroko zakrojonych badań, prowadzonych z udziałem całego środowiska historyków prawa. Na tej kanwie napisał wiele studiów, które do dziś nie straciły waloru aktualności

Stopniowo coraz większe zainteresowania autora budziły instytucje parlamentarne Polaków w XIX w. Zaintrygował go sejm Księstwa Warszawskiego. Autor trafnie wywodzi, że sejm ten, wyposażony – jak wiemy – w nader skromne kompetencje, na obradach którego pokolenie starych parlamentarzystów z doby sejmu wielkiego spotkało się z zaczynającymi dopiero kariery posłami nie zawsze szlacheckiego pochodzenia, śmiało przekraczał granice wyznaczone mu przez konstytucję 1807 r. i – silnie wpływając na opinię publiczną – kontynuował dzieło scalania się narodu. Tę samą ocenę odnosił do sejmu Królestwa.

Główna uwaga Stanisława Grodziskiego skupiła się jednak na quasi-parlamentarnych instytucjach w Galicji, których kształt odzwierciedlał fakt, że

Austria okazywała się w łańcuchu państw zaborczych przysłowiowym „słabym ogniem”. Teksty jego powstawały równolegle do syntezy Galicji i na kształt tej syntezy wpływały. Autor szedł tropem Balzera, ale też w niejednym poddawał jego ustalenia rewizji. W sejmie tzw. stanowym z lat 1775–1790 autor widział zaprzeczenie idei parlamentarnej, „ciało zasadniczo już nawet nie samorządowe”, ale „organ posiłkowy dla administracji”, choć z drugiej strony uważał go za podmiot, który przyspieszał „rozwarstwienie jednolitego dotąd stanu szlacheckiego”. Podobne noty uzyskał odeń kolejny twór, galicyjski sejm stanowy, powołany patentem Franciszka I z roku 1817.

Z czasem uwagę Stanisława Grodzkiego przykuł galicyjski Sejm Krajowy, utworzony na podstawie patentu lutowego z 26 lutego 1861 r. i uzupełniającego ten patent Statutu krajowego z tegoż roku. S. Grodzki badał to zgromadzenie z wielopoziomowej perspektywy: analizował jego skład i jego kompetencje, organizację oraz dorobek polityczno-prawny. Podejmował pracę pionierską, bo choć wielu badaczy przed nim interesowało się tą instytucją, systematycznych badań nie prowadzono. Po szeregu drobniejszych studiów, sygnalizujących postęp w badaniach, ogłosił w 1993 r. dwutomową monografię, która prezentowała lwowski sejm w całkiem nowym świetle. Mimo że Sejm Krajowy nie był reprezentacją prowincji ani pod względem społecznym, a to ze względu na zbyt konserwatywny skład, ani pod względem narodowym, jako że ludność ukraińska była w nim reprezentowana zbyt słabo, odegrał on znaczącą rolę w dziejach zarówno Galicji, jak i całego narodu polskiego. Dyskusjami w sejmie – podkreśla Stanisław Grodzki – żywo interesowali się Polacy zza Wisły i Rusini zza Zbrucza. Choć był „poszerzoną kontynuacją sejmu stanowego”, i traktował lojalizm wobec Wiednia jako polityczny nakaz, stał się ważnym forum politycznej dyskusji Polaków, „osią dziejów Galicji” i „kluczem do wyjaśnienia jej sytuacji w ramach monarchii”. Sejm wszedł na drogę pracy organicznej przyśpieszonej konsolidacji społeczeństwa. Zajmował się nie tylko „kulturą krajową”, czyli sprawami agrarnymi, ale wiele uwagi poświęcał sprawom oświaty, nauki i sztuki w ścisłym tego słowa rozumieniu. Występował z inicjatywami mającymi na celu wspomaganie badań naukowych, fundował stypendia, patronował odbudowie zabytków. Opiekował się Zakładem Narodowym im. Ossolińskich i Towarzystwem Naukowym Krakowskim, potem Polską Akademią Umiejętności, Muzeum Narodowym i Zamkiem Wawelskim. Dbał o stan archiwów, sprawował mecenat nad Szkołą Sztuk Pięknych i wspomagał remonty kościołów. Przygotował projekt ustawy o ochronie zabytków „starożytnych”, a w roku 1905 przyczynił się do opuszczenia Wawelu przez garnizon austriacki. Popierał prowadzoną przez Uniwersytet Jagielloński batalię o prawo do języka ojczystego i repolonizację uczelni. W podsumowaniu pięknej książki autor stwierdzał, iż Sejm Krakowy służył interesom habsburskiej monarchii, ale zaspokajał też

częściowo potrzeby ludności zamieszkującej Galicję. „Zdobycze, jakie Galicja osiągnęła na drodze parlamentarnej” – pisał – „stanowiły podstawę dla idei uczynienia z niej polskiego Piemontu”.

Wytrawny badacz, który poznał dzieje sejmu od jego kołyski w XV w. aż po lata jego „pełnego ubezwłasnowolnienia w PRL”, marzył o tym, aby napisać pełną historię jego barwnego życia, monografię „naukową, ale napisaną popularnie, po którą sięgnąłby z pożytkiem dla siebie „uczeń, student lub emeryt, a nawet inżynier”, z której „dowiedziałby się wielu ciekawych rzeczy o kulturze prawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej, kulturze w pewnych epokach wcale wysokiej. Urabiałyby sobie obraz bliższy prawdzie i wiedziałby coś więcej niż to, że były *liberum veto* i anarchia”. Nie ma kwestii, że nikt lepiej takiej monografii nie napisze, jak o sam – autor świetnych esejów: *W Królestwie Galicji Lodomerii, Franciszek Józef I, Habsburgowie – dzieje dynastii, O obronie czci niewieściej, Wędrowki po Galicji: wzdłuż Wisły, Dniestru i Zbrucza*.

W ten sposób zatrzymałem się przy trzecim obliczu naukowym Stanisława Grodzkiego, które ukazuje go jako mistrza syntezy, niezrównanego pedagoga. Zmysł syntezy był widoczny już w pierwszych pracach Jubilata. Stanowił następstwo uznania, że ludzie – bohaterowie dziejów – działają świadomie, a ich aktywność układa się w system hierarchii, że historyczne badania to ciągle stawianie pytań, że jedność procesu dziejowego to jedność biorąca swój początek z różnych zdarzeń szczegółowych. Od początku teksty jego łączyło umiejętne wyciąganie wniosków uogólniających z estymą dla źródeł, przy czym szacunek dla ujęć interdyscyplinarnych nigdy nie stanowił wygodnego alibi dla powierzchowności sądu. Grodzki potrafił pytać i jasno określać kontury pól badania, stąd w jego wywodach źródłowa egzegeza nigdy nie stanowiła wartości samej w sobie, a tworzyła punkt wyjścia do sformułowania wniosku ogólnego. Umiejętność syntetycznego przekazu ujawnił w rozprawach poświęconych historii ustroju społecznego i prawnego Galicji, w studiach nad historią źródeł prawa polskiego, w opracowywanych przez siebie partiach wielkiego systemu historii państwa i prawa Polski w XIX w., powstałego pod ogólną redakcją Juliusza Bardacha. Teorię badań prowadzących do syntezy przedstawił w pięknym, drukowanym na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego” referacie, wygłoszonym wcześniej w Sali Senatu Uniwersytetu Warszawskiego w czasie jubileuszu 45-lecia pracy twórczej. Zastosowanie sformułowanych tam założeń zawarł w podręczniku *Porównawcza historia ustrojów państwowych*, wydanym przez Wydawnictwo Uniwersytetu w Krakowie w roku 1998, a uznanym przez krytykę za najbardziej dostosowany do potrzeb współczesnego studenta podręcznik z zakresu dyscyplin historyczno-prawnych. Dając w nim pasjonujący obraz rozwoju ustroju państwa, na szerokiej kanwie porównawczej uwzględnił w nim autor również podstawowe informacje o historii ustroju Polski, wycho-

dząc z założenia, że Polska tworzyła pomost między łacińskim Zachodem a bizantyjskim Wschodem Europy, ułatwiając przepływ idei i instytucji na kontynencie. Założył też, że „jako dyscyplina humanistyczna służyła porównawcza historia ustrojów państwowych także dziejom kultury, pojmowanym szeroko, jako utrwalony i stale wzbogacany dorobek ludzkości, także w dziedzinie form życia społecznego i narodowego”. Wykład Stanisława Grodziskiego urzeka pięknem formy i rozmachem interpretacji, stanowi też wyraz przeświadczenia, iż ludzkość zdolna jest tworzyć ustroje coraz bardziej racjonalne, które coraz skuteczniej strzec mogą swobód obywateli.

Spróbuję krótko podsumować swą wypowiedź, której prezentację traktuję jako zaszczytne wyróżnienie. Głębokie badania nad przeszłością wprowadziły Stanisława Grodziskiego do elitarnego grona najwybitniejszych współczesnych historyków prawa i najbardziej cenionych reprezentantów polskiej humanistyki. Jego *opus magnum et laudabile* to owoc pasji dociekania, erudycji, i tego głębokiego poczucia odpowiedzialności uczonego, który niczego z góry nie jest pewien i niczego nie przesądza, który wątpi i dlatego bada, który ma swoje imię i swoją publiczność, swych czytelników i swych przeciwników.

Ad multos annos, drogi Stanisławie!

Laudacja na osiemdziesięciolecie urodzin

Nie po raz pierwszy składamy dziś hołd Stanisławowi Grodzkiemu². Pierwszy Jubileusz, który obchodzono w 1994 r. z okazji 40-lecia Jego pracy twórczej, otrzymał skromną, choć niezwykłą oprawę. Odbył się on – o czym pewnie już tylko nieliczni pamiętają – w Sali Senatu Uniwersytetu Warszawskiego, przy czym jego gospodarzami byli redaktor „Czasopisma Prawno-Historycznego” i dyrektor Instytutu Historii Prawa UW. Inicjatywa redakcji była następstwem prostego faktu, że z „Czasopismem Prawno-Historycznym”, najważniejszym organem polskich historyków prawa, związane było całe życie naukowe Jubilata. Na łamach pisma ogłoszony został pierwszy jego tekst naukowy o poglądach Stanisława Konarskiego na rozwój prawa polskiego w świetle jego wstępu do *Volumina Legum*, w każdym zeszycie figurował jako autor, od lat pięćdziesiątych wchodził w skład Komitetu Redakcyjnego, dziś jest jego przewodniczącym. Punktem kulminacyjnym tamtej uroczystości było wszelako nie tyle wręczenie dedykowanego mu 45. tomu CPH, ile jego referat pt. *O zada-*

² Pierwodruk pt. *Stanisław Grodzki. Laudacja na osiemdziesięciolecie urodzin*, wygłoszona 25 stycznia 2009 r. w Auli Wyższej Szkoły Administracji w Bielsku-Białej, [w:] *Drogi i bezdroża nauk historyczno-prawnych*, praca zb. pod red. M. Małeckiego, Bielsko-Biała 2010, s. 7–12; tekst został poszerzony.

niach i obowiązkach historii prawa polskiego - wczoraj i dziś, ważny, odważny, twórczy. Referat został opublikowany w CPH rok później. Był zasłużoną pochwałą historii prawa jako nauki, ważnej poznawczo i społecznie użytecznej.

Drugi Jubileusz, dla uczczenia 50. rocznicy pracy naukowej, zorganizowała macierzysta uczelnia, Uniwersytet Jagielloński w 2001 r. Była to wielka impreza, w której uczestniczył kwiat humanistyki polskiej. I tym razem Jubilat mówił o fundamentalnych sprawach, a mianowicie o zadaniach i zobowiązaniach, jakie ma dyscyplina wobec społeczeństwa. Okazała Księgę zatytułowaną *Ustrój i prawo w przeszłości dalszej i bliższej* przygotowali profesorowie Jerzy Malec i Wacław Uruszczaś. Pamiętam, że w swej laudacji mówiłem m.in. o tym, że krakowski jubileusz niczego w życiu Stanisława Grodzkiego nie zamyka, że dostojny Jubilat na żadnym polu nie powiedział jeszcze ostatniego słowa, że w niejednym nas jeszcze zaskoczy, że – byle Mu tylko zdrowie i siły dopisywały – obdarzy nas wieloma nowymi utworami najwyższej próby. Dziś mogę stwierdzić z poczuciem głębokiej satysfakcji, że ta prognoza się sprawdziła, bez reszty. Oto Jubilat jest wśród nas, zdrów jak widać i w znakomitej formie, wyrozumiale uśmiechnięty, z nutą sceptycznego rozbawienia obserwując to, co się tu rozgrywa. Ani on nie posunął się w latach, ani jego dzieła się nie zestarzały. Trudno mu nie życzyć i nie życzyć sobie, nam wszystkim, by w tej formie dostrwał do następnych dedykowanych mu Jubileuszów.

Zamierzam dziś przypomnieć o tym, co stanowiło źródło sukcesów, czym Twoje dokonania się wyróżniały, jakie wydarzenia tworzyły dla nich oprawę. Zabieram głos w imieniu tych, którzy uważają się za twoich przyjaciół, a jednocześnie są twoimi rówieśnikami, także tych, którzy z różnych powodów nie mogli tu przybyć. Przyjaźń to wielkie słowo, ale i ten fakt, że należysz do pokolenia urodzonych przed wojną, liczy się coraz bardziej, albowiem nasza grupa, która ongiś tyle w życiu naukowym znaczyła, bardzo mocno się już przerzedziła.

Należałoby wymienić szereg zespółów okoliczności, które tkwią u podstawy wielkich osiągnięć Jubilata. Najwcześniejszym były dramatyczne początki życiowej drogi w latach wojny i w pierwszych latach powojennych. Mówiłem o tym w Krakowie przed pięć laty. Wojna, zawirowania lat czterdziestych i wczesna śmierć ojca zmuszały do połączenia konspiracyjnej edukacji na tajnych kompletach z pracą zarobkową; Stanisław Grodzki w wieku lat kilkunastu poznał smak pracy fizycznej: był – jak dobrze wiemy – dróźnikiem, ładowaczem w kamieniołomach, robotnikiem rolnym, administratorem domów, działaczem sportowym. Ciężki trud hartował, a w trakcie intensywnego nadrabiania edukacyjnych zaległości pogłębiały się głód wiedzy, ciekawość żakowskiego życia, tęsknota za autorytetami i poszukiwanie wartości. Niezwykle ważne było to, że zjawił się na Uniwersytecie Jagiellońskim w ważnym momencie. Rozpoczynał się czas indoktrynacji i totalitaryzmu, zły i nieprzyjazny, który

wielu przedstawicielom naszej generacji trwale odebrał umiar, spokój, pogodę ducha. Jak to się stało, że Stanisław Grodziski potrafił te przymioty zachować, z wielką dla nas wszystkich korzyścią? Jakie były przyczyny, że chociaż nigdy mu nie było dane korzystać z dłuższych naukowych wyjazdów za granicę czy pobierać sowitych stypendiów zachodnich fundacji, swój naukowy dorobek powiększał z każdym rokiem, a uprawianie nauki stało się jego sposobem na życie.

Wiemy już, że trafił na Wydział, który był wówczas – w latach czterdziestych – najważniejszym ośrodkiem badań historyczno-prawnych. Wykładali na nim i prowadzili seminaria wybitni uczeni: Zachowałem w pamięci ów pokój w gmachu przy ul. Straszewskiego 27, w którym wiosną 1961 r. złożyłem pierwszą wizytę młodemu adiunktowi, doktorowi Grodziskiemu, i w którym tłoczyli się ich znamienici uczniowie, a wśród nich: Wojciech M. Bartel, Ludwik Łysiak, Stanisław Salmonowicz, Stanisław Płaza, Wiesław Litewski – rychło sami przejmujący rolę mistrzów. Pamiętam klimat panujący w tym ciasnym pomieszczeniu, wymiany poglądów i naukowe spory. To wtedy powstawały przesłanki dla znanych debat i polemik na temat pierwszego zwodu prawa polskiego, ksiąg sądowych wiejskich jako źródła historycznego, ludzi luźnych, polemiki, w których krakowscy historycy prawa rozwijali i ubarwiali życie naukowych środowisk w całym kraju. Stanisław Grodziski pobierał nauki także u sąsiadów zza miedzy. Marian Friedberg i Zofia Kozłowska-Budkowa wszczepiali mu wiedzę o archiwistyce, paleografii i innych dyscyplinach uznawanych za pomocnicze narzędzia badawcze historyka, a Jerzy Lande, Adam Krzyżanowski i Jan Dąbrowski pozwalali mu przyswajać sobie tajniki teorii i filozofii prawa i prawidła życia społecznego.

W takim to środowisku Stanisław Grodziski pogłębiał swą wiedzę i doskonalił warsztat. Miał wielu mistrzów, ale najwięcej zawdzięczał Adamowi Vetulaniemu i Konstantemu Grzybowskiemu. To oni dawali poglądowe lekcje, jak zwierać więzi nauk historyczno-prawnych z innymi naukami o przeszłości i jak strzec związku z dyscyplinami wchodzącymi w obręb prawoznawstwa.

Oczywiście najwięcej zawdzięczał sobie samemu, swej pracowitości, talentowi, uporowi i pasji dociekania. Szybko pokonywał kolejne szczeble akademickiej drabiny, bo choć – jak to już podkreślałem w laudacji na poprzednim jubileuszu – nie był rozpieszczany łaskami władz i nigdy ani nie pisał, ani nie czytał „na stopień”, awanse stanowiły naturalne następstwo wymiernych osiągnięć badawczych. Absolutnie nie zamierzam dowodzić, że Jubilat nie doceniał dydaktyki. Wręcz przeciwnie – zawsze sprawy studentów były mu bliskie. Dla nich pisał podręczniki i skrypty, imponujące starannością w doborze materiału i rozmachem interpretacji, prowadził z pietyzmem przygotowywane seminaria, ćwiczenia i wykłady; pilnował, by mieli dostęp do książki w bibliotece, bronił

ich też, jak tylko mógł, kiedy byli zagrożeni. Przywiązywał wielkie znaczenie do formy przekazu. „Dbał o elegancję stylu zarówno w tym, co pisał, jak i w tym, co mówił”. Zdanie to pochodzi z biogramu pióra Jubilata poświęconego Stanisławowi Estreicherowi, uczonemu zamordowanemu przez hitlerowców w obozie koncentracyjnym. Autor chyba nawet nie zauważył, że zdanie to w najwyższym stopniu odnosi się do niego samego. Ale miłość do nauczania u Stanisława Grodziskiego zawsze wynikała z potrzeby badania, ze świadomości, że należy studentom oferować więcej, niż to, co napisane w podręcznikach i encyklopediach, że musi im dawać to, czego uprzednio sam się dowiedział i intelektualnie przetrawił w procesie badawczym, czyli, że – banalnie mówiąc – nie ma dobrej dydaktyki bez nieustannego pogłębiania własnych dociekań. Prowadzenie badań pozostaje oczywiście nadal owym głównym, niezbędnym motywem aktywności Jubilata, powołaniem i rysem jego osobowości. Utkwiło mi w pamięci jakże charakterystyczne zdanie, wypowiedziane w czasie jednego z nielicznych wspólnych spacerów po Krakowie w późnych latach osiemdziesiątych. Był wtenczas prorektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego do spraw studenckich. Zmęczony i poirytowany przeciągającymi się konfrontacjami z władzą powiedział z determinacją: „Mogą mnie wyrzucić z uczelni, mogą mnie zamknąć w więzieniu, ale nie potrafią sprawić, abym przestał prowadzić badania”. Oczywiście działalność naukowa nie wypełniała całego życia Stanisława Grodziskiego. Wrodzony optymizm, łagodny sceptycyzm oraz renesansowe zainteresowania i pasje pozwalały mu umiejętnie, z umiarem korzystać z różnych darów życia. Budził podziw i zazdrość; któż jak nie Ci, którzy znają go od lat, mogliby o tym powiedzieć więcej. Może zresztą nie wypada przed tak znakomitym audytorium, może nie w dniu tak ważnego jubileuszu.

Warto przypomnieć, że dzieło Stanisława Grodziskiego jest pochwałą historii jako nauki, w której treści poznawcze i zarazem głęboko humanistyczne sąsiadują z sobą i wzajemnie się uzupełniają. Traktował ją jako krynicę mądrości i źródło inspiracji duchowych, ale przede wszystkim jako szeroki, pełen zakrętów i wybojów trakt wiodący ku teraźniejszości, jako drogę, którą trzeba koniecznie poznać i zrozumieć, jeżeli chce się lepiej rozwiązywać dylematy dnia dzisiejszego i te, które mogą pojawić się jutro. Głębokie przeświadczenie o tym, że misją uczzonego jest dążenie do prawdy, kierowało jego uwagę na problemy ważne i dziewicze. Podchodził do nich ze sceptycyzmem, ale był to sceptycyzm twórczy, który wymuszał wciąż nowe sięganie do źródeł. Sceptycyzm i ciekawość badawcza nakazywały też podejmowanie tematów drażliwych, wnoszonych do nauki z zewnątrz i modnych, a przy tym kontrowersyjnych i nieobojętnych politycznie. A jednak nie przypominam sobie, aby choć w jednym z utworów autor sięgał do metod innych niż naukowe, by akceptował ustalenia wyrażające ugięcie się pod presją. Powtarzam: jego twórczość to monolityczna

bryła, odporna na czas i okoliczności. Nie ma w niej niczego, co by przywodziło na myśl tych badaczy, którzy z poczuciem odkrywców dźwigali na plecach wyważone drzwi. Było tak, bo był zawsze nadzwyczaj skromny, ale również dlatego, że chętnie wracał do napoczętych tematów, poszerzał kontury badanych wątków, wzbogacał wywody nowymi argumentami, nie szukał ich poza źródłami, że swych ustaleń potrafił bronić. A jednocześnie stale poszerzał pola penetracji. W sukurs przychodziły mu cechy osobowości i charakteru, które są raczej rzadkie i które już ongiś wymieniano publicznie: to postawa uczonego o głębokim humanistycznym umyśle, wrażliwość badacza, który czuje się twórcą szeroko rozumianej kultury, poczucie obowiązku, jakie zaciągnął on wobec swojego społeczeństwa i swojego środowiska. Nakazywały mu one drażnienie badanej materii za pomocą naukowego instrumentarium, *sine ira et studio*. Podkreślał, że badanie dziejów ustroju i prawa w Polsce stanowi wielkie wyzwanie dla środowisk historyczno-prawnych, wyzwanie równie skomplikowane, co wdzięczne i pilne. W 1994 r. pisał: „Burzliwe dzieje narodu, w pewnych okresach całkowicie pozbawionego własnego państwa bądź posiadającego państwo nie suwerenne, zmuszone do akceptowania narzuconego mu ustroju, czyniły dzieje tej dyscypliny [szczególnie] trudnymi”, ale przecież także o wiele bardziej bogatymi. W przemówieniu wygłoszonym w Auli Leopoldina Uniwersytetu Wrocławskiego z okazji nadania mu godności doktora *honoris causa* podkreślał, że historyk prawa ma szczególne powinności, ale i szczególne możliwości, by skutecznie zbliżyć się do prawdy, że jego ważne zadania są karczowaniem lasu, zaorywaniem ugorów, polegają na stawianiu wciąż nowych pytań, obejmujących wciąż nowe obszary badawcze, oraz na plewieniu chwastów, czyli prostowaniu błędów i nieścisłości poprzedników.

Studiowanie tekstów Stanisława Grodzkiego wydaje się wciąż zajęciem poważnym z powodu zawartego w nich ładunku wartości poznawczych, jest pouczające i satysfakcjonujące. Wykaz jego bibliografii wywołuje respekt już samymi swoimi rozmiarami. Można tu odnaleźć chyba wszystkie gatunki naukowej prozy. Są tu potężne obejmujące całe epoki monografie, stanowiące wzór egzegezy źródłowej i mistrzowskie pod względem analizy prawnoporównawczej. Mamy wyrafinowane intelektualnie dzieła o charakterze systemu i podręczniki, które sąsiadują z utworami krytyczno-polemicznymi. Są ważne edycje źródeł oraz przekłady i komentarze do materiałów kronikarskich. Obok świetnych biografii mamy liczne teksty, skierowane do czytelnika nieprofesjonalnego – książki całe, ale też eseje, szkice, wiersze. Wreszcie nie brak studiów regionalnych i rozpraw z tzw. historii życia codziennego, takich jak *Dziejopis żywiecki* czy wydane w 1984 r. dziełko Feliksa Boronia, prostego i ubogiego chłopca spod Krakowa, który w XIX w. pielgrzymował do Rzymu, a potem do Ziemi Świętej, by powróciwszy do kraju, utonąć w Wiśle. Odnotowanie tych

prac jest konieczne, jeżeli rzut oka na twórczość Jubilata ma być wierny i w miarę kompletny. Znamienne – i to zasługuje na szczególnie wysoką ocenę – że u Stanisława Grodziskiego zacierają się dystynkcje między tekstami naukowymi a wypowiedziami popularyzatora. Te ostatnie są równie staranne i precyzyjne jak teksty naukowe, wyposażone w pełną aparaturę dowodową, oceny podobnie wyważone i wiarygodne, bo zawsze wsparte na źródle, tylko w oporowaniu ilustracją i w komentarzu – subtelnym, eleganckim, skrzącym się dowcipem, podane bywają odbiorcy w jeszcze piękniejszej formie. Doskonale opisał literackie, humanistyczne walory pisarstwa Jubilata Grzegorz Nieć we wstępie do antologii pism Stanisława Grodziskiego z 2007 r., obejmującej drobne, ale ważne jego utwory. Tytuł tego wstępu, będący zresztą cytatem wyjętym z jednego z opusów Stanisława Grodziskiego, mówi o tym, że bycie dobrym historykiem i dobrym pisarzem to co prawda rzecz trudna, ale możliwa. W tym przypadku teza ta dopełnia się w klinicznej postaci.

Jeszcze bardziej imponują tematyczne kontury bibliografii Jubilata. Jak wielcy mistrzowie nauk historyczno-prawnych pisał Stanisław Grodziski na rozliczne zespoły tematów. Suwerennie panując nad poddawaną badaniu materią i z łatwością pokonując bariery wznoszone w humanistyce przez akademicką tradycję i biurokratów, kierował się dewizą, że proces historyczny – skomplikowany, różnorodny, wielowarstwowy, pełen wzlotów, wiraży i odwrotów, jest w istocie jeden i powinien być przedmiotem badań prowadzonych szerokim frontem, integralnych. Pisał więc o historii prawa jako nauce i o luminarzach humanistyki, wypowiadał się o historii społecznej stanowego społeczeństwa i o przeobrażaniu się tego społeczeństwa w nowoczesny naród, śledził rozwój instytucji dawnego prawa i charakteryzował ich wpływ na prawo obowiązujące współcześnie, poświęcał baczną uwagę samorządowi terytorialnemu i swobodom wyznaniowym, przez lata całe studiował przemiany dokonujące się na ziemiach zaboru austriackiego na tle ustroju monarchii Habsburgów. Wciąż badał instytucje parlamentaryzmu w Polsce, ale i na szerokim tle porównawczym, poddawał analizie myśl polityczną i prawną, w sugestywnych obrazach przedstawiał życie codzienne, wciąż snuł rozważania o kulturze prawnej Polaków.

Zdumiewa, że tempo badania i publikowania jego rezultatów ciągle się wzmacza. W kończącej się dekadzie, pierwszej w nowym stuleciu, Stanisław Grodziski opublikował prawie sto nowych prac, rozwijając dawne wątki, ale i podejmując nowe. W kilku tekstach wracał do problematyki ksiąg sądowych wiejskich jako kapitalnej wagi źródła umożliwiającego nowe spojrzenie na historię stosunków społecznych i prawnych. Dalej drążył dzieje Wydziału Prawa i macierzystego Uniwersytetu. Drukował twórcze teksty o mistrzach i kolegach: o Stanisławie Estreicherze i Stanisławie Kutrzebie, o Adamie Vetulanim, Woj-

ciechu M. Bartlu, Stanisławie Płazie; pamiętał o swojej uczennicy i wieloletniej współpracownicy przedwcześnie zmarłej mgr Irenie Dwornickiej. Ostatnie lata to także wznowienia: *Habsburgowie* doczekali się drugiego wydania, *Dziejopis żywiecki* i monografia *W Królestwie Galicji i Lodomerii* – trzeciego, *Franciszek Józef I* – czwartego. Zafascynowanie dziejami Galicji znalazło naturalne uwiecznienie w zbiorze „*Studia galicyjskie*”, o którym już wspomniano i w którym zebrano teksty traktujące o czasach absolutyzmu habsburskiego i konstytucjonalizmu, ale też ważne refleksje z zakresu teorii i metodologii nauk historyczno-prawnych. Poczesne miejsce w najnowszej bibliografii Jubilata zajmują prace o dziejach kultury i nauki, choć przecież i one stanowią swoiste kontinuum wcześniejszych pasji.

Ważnym ukoronowaniem wcześniejszych badań stała się synteza pt. *Z dziejów staropolskiej kultury prawnej*, wydana w roku 2004, która z podziwem została przyjęta przez krytykę. Autor widzi w kulturze prawnej czynnik spajający procesy i trendy rozwoju. W kulturze prawnej dopełnia się jedność sprawnego państwa, znajomości prawa przez obywateli i twórcza rola nauki prawa. Bez jej uwzględnienia zbliżanie się do prawdy o przeszłości historii prawa jako nauki jest niemożliwe. Autor pisze we wstępie do swoich rozważań tak: „*Studia nad kulturą prawną, prowadzone w ostatnim półwieczu, mają istotne znaczenie dla wielu dziedzin badawczych. Położone na miedzy, która dzieli sąsiadujące z sobą dyscypliny, pozwalają na swobodny dobór różnych metod badawczych i spojrzanie z dystansu na całość niedostatecznie jeszcze uprawionego pola badawczego. Prowadzone w ramach socjologii prawa dostarczają cennego materiału nad programem akceptacji norm w różnych środowiskach i kształtowania się świadomości prawnej, umożliwiają też śledzenie zmian w zakresie szerszych opinii, towarzyszących instytucjom prawnym. Pozwalają dalej na wyodrębnienie procesów tworzenia się społecznych ocen mających wpływ na współzycie wewnętrzne i stosunek do zewnętrznego otoczenia (np. nietolerancja, ksenofobia, fanatyzm, fundamentalizm). Prowadzone w ramach historii dostarczają dowodów na to, jak w poszczególnych epokach prawo było odbierane w społeczeństwie, określały, jakie warunki sprzyjały rozwojowi porządku prawnego w przeszłości, jakie warunki czy zjawiska okazywały się dlań szkodliwe. Prowadzone na swoim własnym terenie, na użytek nauk prawnych, pozwalają na skoncentrowanie wysiłku badawczego w trzech dziedzinach: kultury tworzenia prawa, kultury stosowania prawa, wreszcie kultury przestrzegania prawa*”.

Wydał też Stanisław Grodziski cykl publikacji poświęconych Polskiej Akademii Umiejętności, z którą związał się najściślej po jej reaktywowaniu w pierwszych latach dziewięćdziesiątych.

Na koniec tego lakonicznego z konieczności wyliczenia zostawiłem „Volumina Constitutionum”. To monumentalne wydawnictwo, którego Jubilat był inicjatorem i głównym wykonawcą, stanowi rezultat wieloletnich kwerend dokonanych w kooperacji z krakowskimi współpracownikami. Przed dwoma miesiącami Wydawnictwo Sejmowe zakończyło druk zeszytu 2. tomu drugiego, obejmującego konstytucje Sejmu Walnego do roku 1609. Wydawnictwo wzbudziło podziw środowisk, ale jak dotąd nie doczekało się takiej debaty, na jaką z całą pewnością zasługuje, bo jest wielkim osiągnięciem naukowym, wydarzeniem w dziejach dyscyplin historyczno-prawnych, znacznie poszerzając bazę źródłową dla dalszych badań nad historią ustroju i prawa, także badań nad historią społeczną i historią kultury.

Tego przeglądu najnowszej twórczości Stanisława Grodzkiego, z natury rzeczy powierzchownego i niepełnego, nie można nie zakończyć stwierdzeniem, że Jubilat to znamienity pisarz, który nie unika form popularyzatorskich. W roku 2014 ukazała się w Oficynie „Secesja” w Krakowie jego książka *Klio, córka Mnemosyne, kelnerka z „Kopciuszka”*. Niech nie mylą sięgającego po nią czytelnika lekki tytuł oraz swobodna, iskrząca humorem i świetną anegdotą forma narracji, niech nie zwodzi go materiał ilustracyjny i sposób jego prezentacji. To bardzo dobra i ważna książka. Stanisław Grodzki, nie tylko wielki uczony, ale i znakomity pisarz, przedstawia nam środowisko historyków, w szczególności historyków prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego w latach Polski Ludowej (czas, w którym „już niczego nie można było kupić za pieniądze, a jeszcze niczego nie dawano za darmo”), nie w konwencji podręcznikowej, a zebranej w wersji przeżywanej, potocznej, opowiedzianej w gronie przyjaciół, którzy przez lata spotykali się w kawiarni „Kopciuszek”, odtworzonej na podstawie notatek. Tekst nie jest koturnowy, zawiera rozsypane refleksje o ludziach, ich problemach i warsztacie pracy. To arcyciekawa debata o Uniwersytecie w trudnym okresie totalitaryzmu, o mistrzach w fachu, mechanice funkcjonowania Uczelni, o klimacie i postawach, ale także o plotce, o obyczajach, o przyjaźni, o potrzebach badawczych i planowanych kwerendach. Przy stoliku mówiło się o sprawach fundamentalnych, ale i o sporcie, o polityce w świecie, o państwie, ale i o osobistych zagrożeniach. W „Kopciuszk” spotykali się znakomicie przez Jubilata opisani uczeni różnych orientacji: historyk gospodarczy Antoni Podraza – ludowiec, Aleksander Krawczuk, badacz starożytności – człowiek lewicy, który w PRL był ministrem, historyk wojskowości Marian Zgórnjak i badacz historii południowych Słowian Mirosław Francic – obaj ziemianie, socjalista Józef Buszko – historyk II Rzeczypospolitej, endek Eligiusz Kozłowski, no i sam Stanisław Grodzki, określający się jako centrolewicowiec. Przychodzili inni, a przy sąsiednich stolikach siedzieli zdezoriento-

wani tajniacy. Fascynujące w opowiadaniu Grodziskiego są sylwetki uczonych – mistrzów i kolegów. Autor wspomina swoich wykładowców: Adama Vetulaniego, Mariana Zygmunta Jedlickiego, Michała Patkaniowskiego, Adama Krzyżanowskiego, Jerzego Landego. Mistrzowie są ukazani z szacunkiem i sympatią, ale też ujmuje ich swoimi słabościami. Moje pokolenie zna ich z obu wcieleń, dla młodych powinny stać się niewysychającym źródłem wiedzy pozaźródłowej. Ożywiają się na kartach książki inni, równie znani, którzy ze środowiskiem Uniwersytetu Jagiellońskiego związani byli krócej, np. Władysław Sobociński, Bogusław Lewandowski. Obecni są i koledzy z katedr historyczno-prawnych, rówieśnicy Stanisława Grodziskiego, współpracownicy i przyjaciele: Stanisław Roman, Włodzimierz Wohlfarth, Stanisław Płaza, Irena Malinowska-Kwiatkowska, Wojciech M. Bartel, Lesław Pauli. Każda z tych osób położyła zasługi dla nauki, każda jest obecna w wykazach bibliograficznych, na listach wykładowców i wychowawców, ale każdej też można było przypisać coś, co ją w codziennym życiu różniło od otoczenia. Uwagi Stanisława Grodziskiego mówią o wielkości krakowskiego środowiska historyków prawa, zawierają przeświadczenie, że środowisko to – dzięki miłemu pokoleniu badaczy – będzie tą potęgą nadal. Pięknie pokazano w książce ważne elementy życia codziennego na Uniwersytecie Jagiellońskim w erze totalitaryzmu i indoktrynacji. Autor potwierdził tezę, że era ta nie zakończyła się ani po 1956 r., ani po wydarzeniach marcowych 1968 r., ani w czasie rządów Edwarda Gierka. Ukazał on sugestywnie zarówno metody, do jakich uciekała się władza celem opanowania Uniwersytetu, jak i stosowane przez środowisko formy oporu przeciwko indoktrynacji.

Z całej twórczości Stanisława Grodziskiego przebija miłość do Krakowa. Wiązanie go w wyobraźni z życiem w innym mieście wydaje się prawie niepodobieństwem. Swoją „teorię” w tej sprawie wyłożył on w wywiadzie, jakiego udzielił kiedyś fizykowi Andrzejowi M. Kobosowi. Pozwolę sobie zacytować jego słowa *in extenso*: „Kraków zawsze cechowała pewna samodzielność, która nie zawsze podobała się władzom [AMK: Centrali...]. Tak centrali. W swoim czasie Kraków, z powodu buntu wójta Alberta, nie podobał się Władysławowi Łokietkowi i jego synowi Kazimierzowi Wielkiemu, zatem Kazimierz wybudował za murami miasto sąsiednie – Kazimierz – jako miasto dla Krakowa konkurencyjne. Z czasem Kraków tę konkurencję wchłonął. Kilkaset lat później przyszły czasy austriackie. Kraków był jeszcze w Rzeczypospolitej Polskiej, ale cesarzowi Józefowi II nie podobało się jego znaczenie. Popierał więc za Wisłą Podgórze, które obdarzył wielkimi przywilejami po to, aby leżący tuż za granicą Kraków zdławić. Ale to się nie udało – to Kraków Podgórze wchłonął. Potem przyszedł Bierut, kolejny władca, któremu nie podobał się Kraków kapitalistyczno-burżuazyjny, i wybudował Nową Hutę. Już w tej chwili, po pięćdziesię-

ciu kilku latach, jesteśmy w stanie powiedzieć, że Kraków co prawda jej jeszcze nie strawił, ale ją sobie podporządkował. To jest godne uwagi miasto! Warto mu służyć” .

Profesor Stanisław Grodziski już dawno temu wszedł do ekskluzywnego grona najwybitniejszych historyków prawa i najbardziej cenionych reprezentantów polskiej humanistyki. Sukcesy i naukową sławę zawdzięcza szerokości intelektualnych horyzontów, twórczemu sceptycyzmowi i pasji dociekania, głębokiej humanistycznej erudycji, poczuciu misji uczonego, który jest świadomy swych obowiązków wobec społeczeństwa, umie stawiać mądre badawcze pytania i czuje się odpowiedzialny za rezultat badania. Jego osiągnięcia to także wynik wytrwałości w dochodzeniu prawdy, doskonałej organizacji pracy, a także daru jednania sobie szacunku i sympatii środowiska. Ujmuje je swoistym konserwatyzmem, który nakazywał mu opierać się tanim trendom mody w nauce, pielęgnowaniem dystansu wobec technik komputerowych czy przestrzeganiem hierarchii akademickiej w formach odziedziczonych po mistrzach, a zarazem otwartością na to wszystko, co może służyć lepszemu dochodzeniu do prawdy, oraz poczuciem służby, którego dowody składał na wysokich stanowisk, na które bywał powoływany lub wybierany.

Każda dyscyplina ma swoich koryfeuszy, liderów. Pod koniec XIX stulecia i w pierwszych latach Polski Odrodzonej luminarzem nauk historyczno-prawnych był Oswald Balzer. W latach trzydziestych największa sława otaczała Stanisława Kutrzebę. W pierwszych dekadach po II wojnie światowej najwyższy autorytet dzielili między siebie Adam Vetulani, Juliusz Bardach, Konstanty Grzybowski i Józef Matuszewski. Proszę wybaczyć ten wielki, być może niedopuszczalny, skrót w dowodzeniu. Chcę tylko powiedzieć, że od przełomu stuleci trwa era Stanisława Grodziskiego. Oby trwała jak najdłużej.

Konstanty Grzybowski



Proszę mi pozwolić, że swoje uwagi rozpocznę od wyznania osobistego. Możliwość bliższego poznania Konstantego Grzybowskiego uzyskałem dopiero w końcowej dekadzie jego życia, na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Był u szczytu naukowej sławy; jego ostatnie monografie i zbiory esejów – intelektualnie przenikliwe i prowokujące – uchodziły za niekwestionowane bestsellery, jego wykłady ściągały komplety studentów. Na Konstantego Grzybowskiego kierowały się spojrzenia i życzliwa uwaga szerokich kręgów inteligencji polskiej zafascynowanej jego wypowiedziami w prasie, radiu i telewizji. Dowody uznania przyjmował Konstanty Grzybowski jako rzecz normalną, bez cienia częstej w takich razach u innych kokieterii, choć widać było, że sprawiają mu one przyjemność. Może nawet nieco łagodziły ostrze polemiczno-krytycznego temperamentu, które wcześniej nieraz dotkliwie odczuwali jego liczni adwersarze. Było już wtedy regułą, jakby elementem krakowskiego krajobrazu, że otaczała go młodzież (młodzież niekoniecznie z metryki); kontakt z nią, z uczniami, dawał mu wiele satysfakcji. Konstanty Grzybowski nie szczędził czasu na długie i gorące z nimi rozmowy i dyskursy; podpowiadał, podsuwał pomysły, zachęcał do podejmowania tematów niezwykłych, uważnie wysłuchiwał uwag, także uwag krytycznych. Pomagał jak tylko potrafił, chętnie, nawet w przypadkach, gdy związek adepta z jego seminarium był luźny i przełotny. Pamiętam, że bodaj w czerwcu 1969 r. przywiozłem mu do Krakowa obszerny maszynopis doktoratu jednego z poznańskich asystentów, wcześniej stażysty przy ul. Ziai 5. Chodziło o recenzje szybką, natychmiastową, jako że terminy rotacyjne goniły; stawka była więc wysoka. Wróciłem do Poznania już następnego dnia, z recenzją w aktówce, co umożliwiło doktorantowi obronę. Trudno mi powiedzieć, kiedy Konstanty Grzybowski rozprawę przeczytał, ale po kilku godzinach wiedział o niej wszystko. Recenzja zawierała wiele uwag

krytycznych, ale była nie tylko w konkluzji jednoznacznie pozytywna. Recenzenta ujął ciekawy temat, odwaga, z jaką uzasadniona była nieco karkołomna teza. Uderzała mnie serdeczność, z jaką spotykałem się w kontaktach z nim i z jaką niezmiennie traktował swoich uczniów, którzy należeli przecież do różnych generacji i reprezentowali różne formacje intelektualne i ideowe. I myślę, że dopiero wspólnie z twórczością tych uczniów i uczniów uczniów można ustalić miejsce Konstantego Grzybowskiego w historii nauki i sensownie rozprawiać o znaczeniu jego twórczości i mieszczących się w niej inspiracjach.

Konstanty Grzybowski nie akceptował obiegu tezy, która głosiła, że „uczeni chodzą szkołami”. Łączył to przeświadczenie z tezą o szczególnej roli, jaką ma do odegrania uczonego w społeczeństwie. Stał konsekwentnie na stanowisku jego szerokiej autonomii. Pisał: „Imaginacja uczonego jest indywidualistyczna i sprawia mu satysfakcję, jeżeli reaguje nawet na znane sytuacje inaczej niż inni”. Łączył z tym poglądem pogląd o uczonym jako istocie niestandardowej, reprezentującej własny styl, odpornej na rutynę, odrzucającej wszelki dryl. „Uczony wydaje się często ludziom przeciętnym, a także innym przeciętnym uczonym, istotą dziwną. Istnieje wśród uczonych »kategoria niezależnych«: »anarchistów« i »poetów«, stanowiących rodzaj »cyganerii« w łonie społeczności uczonych i zajmujących się rzeczami dziwnymi, mogącymi wszakże okazać się niezwykle doniosłymi dla badań naukowych dnia jutrzejszego”. To właśnie ta „niewygodna mniejszość” prowokuje ewolucję nauki. I najczęściej są to uczeni, w których twórczości dużą rolę odgrywa to, co w ich „podświadome” i „przedświadome”. Ale jak wobec tego – zapytywał – odróżnić maniaka i fantastę od uczonego, dla którego pierwsza faza twórczości jest podobna do pierwszej fazy twórczości poety? Odpowiadał: „Odróżnienie staje się możliwe dopiero wtedy, kiedy przyjdzie następny etap, »przełożenie przedświadomie zdobytych treści na język świadomych symboli”. Bez tego przecież nie mogą one stać się częścią nauki jako zjawiska społecznego. „I dobry wychowawca dopiero w tej fazie zacznie krytycznie kontrolować wyniki. Jeżeli zaś będzie tępił kategorię »niezależnych anarchistów i poetów« jako taką, stworzy może dobrych fachowców bez polotu, ale nie uczonych”. Istnieją – kontynuował Konstanty Grzybowski swój wywód – dwa typy ludzi, dwa stosunki ludzi do planu i czasu, podobnie jak istnieją dwa typy uczonych. Jeden – to przychodzący na dworzec na kwadrans przed odejściem pociągu czy samolotu, drugi – to przybiegający w ostatniej chwili. Jeden typ pracownika naukowego – to pracujący regularnie, z zegarkiem i kalendarzem w ręku, drugi – to rzucający na papier czy przekształcający w eksperyment produkt długiego myślenia – gwałtownie, w ostatniej chwili, w ostatnim napięciu sił nerwowych. Ten drugi jest częsty zwłaszcza wśród naukowców młodych i łączy się z wątpliwością co do wartości własnej koncepcji, z kompleksem niższości, od którego wyzwala ich właśnie skoncentrowany wy-

siłek, ostatni moment, olśnienie, które trzeba chwycić momentalnie i po którym często przychodzi depresja i przejściowe wyjąłowanie intelektualne. Należy – podkreślał Grzybowski – szanować te cechy, ten typ naukowca, bo on jest właśnie najsilniejszą indywidualnością naukową. A kierownicy prac naukowych, często z biurokratycznym poczuciem władzy, tępią tego rodzaju ludzi.

Kreśląc ten wywód, wyrażający oczywiście portret samego siebie, formułował Grzybowski swe oczekiwania wobec współpracowników i uczniów. Wymagał od nich, by byli istotami „niestandardowymi”, by chodzili nie tylko do archiwum, ale także do kawiarni i do teatru, by mnożyli publikacje, ale jednocześnie uczestniczyli w ruchu naukowym, dyskutowali, sprzeczały się, wątpili. I tacy oni byli, ci seminarzyści lat sześćdziesiątych, niezależnie od tego, jaką dyscyplinę nauki reprezentowali.

Fakt, że na seminarium Konstantego Grzybowskiego panował klimat intelektualnego fermentu, że błyskało tam od impulsów, stanowił m.in. następstwo poglądu Profesora na problem styku nauki z etyką i polityką. „Czysty typ uczonego nie istnieje – stwierdzał. Ale uczony szuka prawdy o tym, co jest, a ze słowem prawda wkracza etyka – podkreślał. Moralna samodyscyplina nakazuje uczonemu, by nie cofał się przed tym, co mu się odsłania jako prawda, nawet gdyby ta prawda burzyła jego dotychczasowy gmach wyobrażeń o świecie. Moralna samodyscyplina wymaga od uczonego, by stale weryfikował, a więc nieraz zmieniał ten obraz prawa, jaki sobie stworzył – nawet gdyby to godziło w jego własne ambicje człowieka, który musi stwierdzić, że się mylił. Podnosił z naciskiem, że uczony, który zmienia zdanie, wcale nie musi być koniunkturalistą; przeciwnie – daje on dowód odwagi cywilnej, która jest wartością moralną. Uczony szuka prawdy nieraz wbrew temu, co jest powszechnie przyjęte i w świecie uczonych, i w społeczeństwie, w którym żyje; powinien on mieć moralną odwagę być nonkonformistą – powinien mieć moralną odwagę być rewolucjonistą, buntownikiem. Bunt nie musi być zagrożeniem społecznego ładu; uczony ma obowiązek mówić prawdę niezależnie od tego, czy to się podoba społeczeństwu i rządzącym, i niezależnie od tego, ile może go kosztować powiedzenie prawdy. On wie, że nieprawda przynosi korzyści tylko na krótką metę, że opierając się na nieprawdzie można jakiś czas wygodnie przetrwać, ale nie sposób budować na niej trwale”.

Profesor Konstanty Grzybowski zmarł tragicznie 19 czerwca 1970 r. Odszedł w pełni sił twórczych, w trakcie realizowania licznych i doniosłych zadań naukowych. Wiedzieliśmy, że intensywnie pracuje nad ostateczną redakcją IV tomu *Historii państwa i prawa Polski*. Właśnie miał przystąpić do badań nad wielkim systemem historii doktryn politycznych i prawnych, którego był głównym redaktorem, a zarazem autorem dwóch tomów. Oczekiwano drugiego tomu podręcznika *Historii doktryn*. Na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza

w Poznaniu sposobiono się do uroczystości nadania mu doktoratu *honoris causa*. W dniu pogrzebu ukazały się w krakowskich księgarniach pierwsze egzemplarze pięknego zbioru esejów historycznych: *Ojczyzna – naród – państwo*.

Śmierć zabrała go, kiedy osiągnął szczyty naukowej drogi: członek korespondent Polskiej Akademii Nauk, prezes Polskiego Towarzystwa Nauk Politycznych, członek Komisji Planowania i Koordynacji Badań Naukowych PAN, dziekan Wydziału Prawa UJ w latach 1948–1951, członek Société Jean Bodin, Institut International de Philosophie Politique, przewodniczący sekcji polskiej Commission Internationale d'Histoire des Assemblees d'Etats, przewodniczący krakowskiego oddziału Towarzystwa Ateistów i Wolnomysłicieli – to tylko niektóre z pól aktywności Profesora w ostatnich latach. Cieszył się olbrzymią sympatią w szerokich kręgach społeczeństwa, któremu przekazywał swą głęboką wiedzę w artykułach publicystycznych, w wystąpieniach przed kamerami telewizji oraz mikrofonami radiowymi. Jego charakterystyczna sylwetka była znana milionom; pisywano do niego, zasięgano jego rad, czasem polemizowano, co namiętnie lubił. Myślę, że spośród wszystkich uczonych w kraju właśnie prof. Konstanty Grzybowski porozumiewał się z rodakami najlepiej; przecież pisząc i mówiąc o rzeczach najodleglejszych, mówił i pisał zawsze o bliskich, pisząc o wszystkim i o wszystkich, pisał zawsze o Polsce i Polakach. Odszedł jako symbol uczonego „zaangażowanego”; kształtował on w najlepszym tego słowa znaczeniu opinię szerokich warstw polskiego społeczeństwa również o nauce, o środowiskach naukowych, o roli i znaczeniu wiedzy w świecie współczesnym. Tragedia przedwczesnego zgonu dopełnia się także w tym.

Profesor Konstanty Grzybowski żył 69 lat. Jego droga życiowa była niełatwa i burzliwa, jak droga całego jego pokolenia, które przeżyło dwie zawieruchy wojenne i uczestniczyło w dwóch rewolucjach. Urodzony 17 stycznia 1901 r. w Zatorze, szkołę średnią ukończył w Krakowie i tam też od roku 1920 (już po odbyciu służby wojskowej) studiował na Wydziale Prawa i jednocześnie w Szkole Nauk Politycznych UJ. Po ukończeniu studiów pracował w Prokuraturii Generalnej RP, a od 1934 r. w adwokaturze jako radca w Zarządzie m. Krakowa. Początki pracy naukowej przypadły już na okres studiów. Uczęszczał na seminaria profesorów Stanisława Estreichera oraz Stanisława Wróblewskiego, Władysława Leopolda Jaworskiego i Michała Rostworowskiego. Pod kierunkiem Estreichera przygotował rozprawę pt. *Rozwój historyczny federalizmu w Niemczech*, na podstawie której – uzupełnionej rozdziałem o problemach unitaryzmu i federalizmu w okresie rewolucji niemieckiej 1918–1919 – uzyskał w 1927 r. doktorat z zakresu prawa państwowego.

Lata 1928–1930 to okres ścisłej współpracy z Władysławem Leopoldem Jaworskim, teoretykiem-normatywistą, redaktorem „Czasopisma Prawniczego i Ekonomicznego”, współpracownikiem organu krakowskich konserwatystów

„Czas”, w którym Konstanty Grzybowski miał wkrótce zostać zastępcą redaktora naczelnego. W roku 1929, na zlecenie Michała Rostworowskiego, rozpoczął wykłady z geopolityki w Szkole Nauk Politycznych UJ, które prowadził aż do wybuchu wojny w 1939 r. Wykład był wzorowany na doświadczeniach francuskich (Jeana Brunhes, Jacquesa Ancela) i obejmował problemy historycznego rozwoju państw współczesnych, z uwzględnieniem całokształtu procesów społecznych i polityczno-ustrojowych. Profesor Grzybowski do końca był zdania, że jest to najwłaściwszy sposób podawania studentowi informacji naukowych mimo faktu skompromitowania samej nazwy przedmiotu przez niemiecką szkołę geopolityczną.

W 1931 r. Konstanty Grzybowski otrzymał stypendium naukowe z UJ na wyjazd do Berlina. Rezultatem studiów berlińskich była praca o dyktaturze prezydenta Rzeszy (1934), pomyślana jako habilitacyjna. Ostatecznie jednak nigdy nie została ona w tym charakterze przedłożona. Przyczyną rezygnacji z habilitowania się był ostry konflikt z ówczesnym ministrem wyznań religijnych i oświecenia publicznego Januszem Jędrzejewiczem, powodem którego była prowadzona na łamach „Czasu” kampania przeciwko rządowemu projektowi zmiany ustawy o szkołach akademickich. Po roku 1935 Konstanty Grzybowski wycofał się z aktywnego życia politycznego. W okresie wojny, pełniąc nadal funkcję radcy w Zarządzie m. Krakowa, prowadził wykłady w ramach tajnego nauczania na Wydziale Rolniczym UJ. Z chwilą wyzwolenia powołano go od 30 stycznia 1945 r. na stanowisko zastępcy profesora prawa politycznego na UJ, a wkrótce potem – 1 listopada 1945 r. – na stanowisko kontraktowego profesora nadzwyczajnego. Od 12 VI 1946 r. był profesorem nadzwyczajnym. Od 1954 r. uczestniczył w pracach Instytutu Nauk Prawnych, Nauk Filozoficznych i Komisji Naukoznawstwa, a następnie Instytutu Historii PAN. W roku 1959 otrzymał nominację na stanowisko profesora zwyczajnego. Był kierownikiem Katedry Prawa Państwowego, a także Zespołu Katedr Teorii Państwa i Prawa oraz Prawa Państwowego. W roku 1962 został kierownikiem – pierwszej w kraju – Katedry Historii Doktryn Politycznych i Prawnych UJ.

Profesor Konstanty Grzybowski pozostawił po sobie bogaty dorobek naukowy. W ciągu prawie półwiecza napisał i ogłosił drukiem kilkanaście syntez i monografii (w tym fundamentalne dzieła: *Ustrój Polski współczesnej 1944–1948; Nauka o państwie; Dyktatura prezydenta Rzeszy; Teoria reprezentacji w Polsce epoki Odrodzenia; Galicja 1848–1914. Historia ustroju politycznego na tle ustroju politycznego Austrii; Historia doktryn politycznych i prawnych* oraz inne), ponad 100 obszernych rozpraw i artykułów naukowych, tyleż referatów, recenzji, prac drobniejszych. Był autorem kilku tomów esejów historycznych, wydanych w ostatnich latach oraz ponad tysiąca artykułów publicystycznych. Część tych ostatnich została wydana przez „Książkę i Wiedzę” pt. *Refleksje sceptyczne*.

Cechą jego pisarstwa były wielostronność zainteresowań i kompleksowe widzenie przedmiotu badań. W swoich pracach był prawnikiem, historykiem ustroju i myśli politycznej, socjologiem, historykiem polityki, filozofem, religioznawcą. W jego twórczości zacierały się granice między poszczególnymi naukami o przeszłości. Obejmował swymi badaniami czasy od Lao Tse i konfucjanizmu po drugą połowę XX w. Wielki talent, głęboka wiedza teoretyczna, zmysł syntezy połączony z nieprzeciętną przenikliwością w analizie źródłowej pozwalały mu z równą kompetencją wypowiadać się na tematy wszystkich ważniejszych wątków historycznego rozwoju i współczesności. Był uczonym-humanistą zarówno wtedy, kiedy pisał wielkie traktaty naukowe, jak i wtedy, gdy ogłaszał artykuły w tygodnikach. Był oryginalny i śmiały w swych koncepcjach; Jego ogromne zasługi polegały na tym, że stawiał pytania. Nie zawsze mógł na nie odpowiedzieć, nie zawsze chciał – odpowiedzi pozostawiał wówczas kolegom, czytelnikom. I właśnie te pytania odegrały – i nadal odgrywać będą – rolę podniety do dalszych poszukiwań badawczych.

Na twórczości Konstantego Grzybowskiego ciążył klimat intelektualny i ideowy czasów, w których żył i pisał. Gdyby zaś szukać tych, którzy najbardziej zainspirowali jego dzieła, należałoby wspomnieć: Michała Bobrzyńskiego, Maxa Webera, Karola Marksa. Bobrzyński fascynował go umiejętnym łączeniem źródłowej analizy z syntetyzującymi uogólnieniami, swoim przeciwstawianiem się ocenie procesu historycznego kryteriom spoza tego procesu, a także elementami własnej metody: badań porównawczych, interdyscyplinarnych, wy-suwania na pierwszy plan prawidłowości w rozwoju. Ponadto zasadą „silnej władzy” (obaj z równą sympatią i równie elastycznie tę zasadę pojmowali) oraz tezą o świadomej i decydującej działalności państwa. Od Webera przejął Konstanty Grzybowski tendencje do unaukowania humanistyki oraz dążenie do przezwyciężenia „monokauzalnej” interpretacji przemian społecznych. Pociągał go niewątpliwie także weberowski liberalizm w polityce. Z dziełami Marksa zetknął się Konstanty Grzybowski jeszcze w seminarium Władysława Leopolda Jaworskiego. To właśnie znajomość i umiejętne czytanie marksizmu pozwoliły mu do końca zrozumieć dialektykę historii i głosić wierność zasadzie, którą potem sformułuje w *Refleksjach sceptycznych*: „Przeszłość oceniałem jako drogę do teraźniejszości; przeszłość i teraźniejszość jako drogę do przyszłości”. Ona też chyba przyczyniła się do tego, że Grzybowski dość szybko zerwał z programem politycznym konserwatystów krakowskich i ich szkołą historyczną. Widział w Marksie uczonego, który – podobnie jak on sam – chce nie tylko poznać, ale i zrozumieć dzieje i ich polityczny sens, który – jak on sam – nie bał się stawiać pytań, dla którego punktem wyjścia był sceptycyzm.

Konstanty Grzybowski najchętniej określał swoją postawę mianem sceptyka. Sceptyczna refleksja przenikała jego twórczość od początku i wszędzie; za-

również wtedy, kiedy występował jako badacz analityk, jak i wtedy, kiedy ze źródłowej analizy wyprowadzał swoje frapujące wnioski syntetyzujące. „Zawsze pamiętałem o zasadzie największego z historyków, Karola Marksa: wątpić o wszystkim”. „U punktu wyjścia badań byłem »sceptykiem«. Sceptyk wątpi, ale bada. Barbarzyńca wierzy bez badania — cytował za René Claire'em — nie wątpi ani o swoim prawie, ani o swoich bogach”. Konstantego Grzybowskiego drażniły wszelkie prawdy *ex cathedra*, dogmaty, werdykty, przejawy „posłuszeństwa trupów” (*Kadavergehorsam*). Za Charlesem Percym Snowem powtarzał, że w dziejach o wiele więcej zbrodni popełniono w imię posłusznego konformizmu aniżeli w imię buntu. Nie miał jednak sceptycyzm K. Grzybowskiego w sobie nic z postawy malkontenta, zawodowego opozycjonisty, podobnie nie prowadził do postawy nonkonformistycznej. Służył po prostu do sformułowania pytania. „Zadawanie pytań jest konieczne. Jeżeli ich nie ma — pisał w przedmowie do *Refleksji sceptycznych* — jeśli wszystko jest pewne i jak najpewniejsze, jeśli wszystko jest dobre i jak najlepsze — społeczeństwo zaczyna żyć w stanie gnuśnego zadowolenia, które jest źródłem застою, a po застою przychodzi upadek”. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że ludzie nie lubią pytań: „Na sceptyków patrzą niechętnie ustroje dopiero krzepnące: wszak sceptyk twierdzi, że nie wszystko w nich jest jak najlepiej. W tych zaś dopiero krzepnących ustrojach kontrrewolucjoniści widzą w sceptyku najgroźniejszego swego wroga: wszak sceptyk jest zdania, że w tym ustroju może być lepiej, niż jest obecnie. A sceptyk sądzi, że właśnie dlatego jest potrzebny”.

Była to zatem postawa zaangażowania, jej treścią była aprobata idei humanistycznych i zarazem socjalistycznych. U jej podłoża tkwiło poczucie głębokiej odpowiedzialności uczonego, który odrzuca wszelkie prawdy objawienia i autorytetu. Był świadomy swej odpowiedzialności, gdy stwierdzał, że „granica między prawdą a nieprawdą jest płynna, każda prawda jest prawdą niepełną, w każdej nieprawdzie jest jakaś cząsteczka prawdy” oraz gdy pisał, że historyk tylko wtedy może przyjąć odpowiedzialność za swe działanie, jeżeli uznaje całość dziejów ludzkości za jednolity proces historyczny, w którym człowiek działa świadomie. Nie przerażała go rozbieżność między celami politycznymi a ustaleniami naukowymi danego etapu rozwoju; właśnie protestował przeciwko stawianiu między nimi znaku równości. „Problem moralny pierwszy — pisał w roku 1968 — mieć odwagę, wbrew sobie, wbrew ambicji uczonego, by pamiętać, gdzie kończy się tylko hipoteza, gdzie się zaczyna prawda (prawda danego etapu rozwoju nauki). Problem moralny drugi — mieć odwagę, by pamiętać zawsze, gdzie się kończy prawda uczonego, a zaczyna ideologia człowieka — członka społeczeństwa. Jakże silną jest tu presja wewnętrzna, by postulat polityczny podać w postaci takiej, jak by on był wynikiem obserwacji rzeczywistości, obiektywną syntezą tej obserwacji”.

Konstanty Grzybowski zaczął od studiów nad prawem konstytucyjnym i teorią państwa. Dyktowały ten kierunek badań zainteresowania mistrzów, ale także – i to chyba istotniejsze – fakt, że szczebel styku prawoznawstwa z polityczną praktyką był tu zawsze najwyższy i najważniejszy. Już wtedy pasjonował go problem władzy ze wszystkimi jej implikacjami. Wraz z konserwatystami krakowskimi uzasadniał potrzebę zharmonizowania w Polsce po przewrocie majowym silnej władzy wykonawczej z ustrojem parlamentarnym. Podejmując krytykę koncepcji narodu Romana Dmowskiego (przeciwstawną własnym założeniom twórczej roli państwa), aprobując w zasadzie ten kierunek rozwoju, jaki zaznaczył się w kraju w latach trzydziestych XX w., rychło przecież wyszedł Konstanty Grzybowski poza sprawy wyłącznie polskie. Zainteresowały go problemy dekadencji republiki w Niemczech oraz – w równym stopniu – społeczne i ustrojowe konsekwencje rewolucji październikowej w Rosji. Syntezą tych badań pozostały takie rozprawy, jak *Powstanie republiki niemieckiej* (1929), *Dyktatura prezydenta Rzeszy* (1934) i *Ustrój Związku Socjalistycznych Sowietkich Republik* (1929). Równocześnie Konstanty Grzybowski z najwyższą uwagą śledził narastanie faszyzmu w Niemczech. Jego artykuły na ten temat, szczególnie hasła w *Encyklopedii nauk politycznych* (a także w „Przeglądzie Współczesnym”, którego w latach 1930–1933 był zastępcą redaktora naczelnego) przypominają, że było to zainteresowanie uczonego połączone z dużym niepokojem o najbliższą przyszłość Polski i Europy.

W czasie okupacji przygotował Konstanty Grzybowski szereg rozpraw o ustrojach demokratycznych państw współczesnych, z których trzy (dotyczące Anglii, Stanów Zjednoczonych oraz Francji) ukazały się drukiem w latach 1946–1947. Wykazał w nich elementy tego mistrzostwa, z którego w pełni zasłynie później: doskonałego wiązania współczesności z pełnią obrazu historycznego procesu i – tak jak w twórczości następnych lat – rozumienia historii oraz traktowania dziejów myśli politycznej jako ważnego ogniwa procesu historycznego.

Zaaprobowawszy nowy ustrój Polski, rzucił Konstanty Grzybowski swe siły i cały swój talent do walki o jego umocnienie. Ale wyliczał też wady ustroju socjalistycznego: mit wszechmocy prawa, zanik odpowiedzialności osobistej, iluzoryczność kontroli administracji czy niedowład informacji. W roku 1946 objął stanowisko rzeczoznawcy w komisji powołanej przez Krajową Radę Narodową do opracowania ordynacji wyborczej. W tym samym roku ogłosił w Spółdzielni Wydawniczej „Książka” rozprawę pod symbolicznym niemal tytułem: *Senat albo niedemokratyczny, albo niepotrzebny*. W roku następnym ukazało się zmienione wydanie książki o ustroju ZSRR, a potem wiele mniejszych rozpraw o poszczególnych dziedzinach ustroju społecznego i politycznego Polski Odrodzonej. Syntezą pisarstwa Grzybowskiego-konstytucjonalisty były

wtedy dwie prace: *Nauka o państwie* (cz. I. Kraków 1949) – podręcznik pisany już z pozycji marksistowskich, w tamtych czasach stanowiący wydarzenie naukowe, do dziś zachowujący swą aktualność jako odmienna od dotychczasowych próba analizy prawniczej połączonej z przedstawieniem rozwoju historycznego form państwa – oraz *Ustrój Polski współczesnej 1944–1948* (Kraków 1948), pierwszy po wojnie podręcznik obowiązującego prawa państwowego. Twórczość tamtych lat nie przysporzyła Profesorowi laurów. Stracił możliwość publikowania dalszych prac: nie mogły się ukazać dalsze tomy z cyklu „Demokracje”, wstrzymano druk – uzupełnionego, drugiego wydania *Ustroju Polski współczesnej*, zdyskwalifikowano opracowaną wspólnie z Andrzejem Burdą pracę poświęconą rozwojowi ustroju Polski w latach 1944–1945. Ale nie to było główną przyczyną, dla której Konstanty Grzybowski skierował swe zainteresowania naukowo-badawcze ku historii. Badania nad procesem dziejowym miały stać się uzasadnieniem dla przemian współczesności; w nich też zespoliły się postawy i cele humanistyczne i socjalistyczne uczonego.

Poglądy Konstantego Grzybowskiego na proces historyczny, na historię ukształtowały się i okrzepły wcześniej. Ocenianie przeszłości jako drogi wiodącej do teraźniejszości, a w konsekwencji kształtującej dzień jutrzejszy – to tylko jeden składnik jego metodologii historii. Daleki był Konstanty Grzybowski również od poprzestawania na pojmowaniu dziejów jako *magistra vitae*. Odwracał ten związek: to życie kształtuje dzieje. Historia to rozwój dyktowany działaniem praw i prawidłowości społecznych, z których najważniejszym jest prawo postępu. Ale rozumiał on doskonale, że prawidłowości w naukach społecznych to tylko dominująca tendencja, a nie rygorystyczny kanon. Nie akceptował „filtru narkotyków i mitu przypadku”, odrzucał „zarówno metafizyczną i irracjonalną interpretację dziejów jako całości; jak i ich interpretację indywidualistyczną”. Nie widział siły sprawczej dziejów w opatrności (dostrzegał w niej „narkotyk przerzucania odpowiedzialności za wytyczanie celów i kierunków procesu historycznego poza ludzi”). Przedmiotem badań historyka są społeczeństwa, zorganizowane grupy i – dodajmy – instytucje tych grup, w tym zaś na pierwszym planie organizacja państwowa ze swym aparatem władzy. Konstanty Grzybowski przeciwstawiał się fetyszyzacji pojęć ogólnych (takich jak państwo, naród, kasta, a także klasa społeczna). Ostrzegał – powołując się na Marksa – przed niebezpieczeństwem fetyszyzacji jednostki. „Konsekwencją tej fetyszyzacji – pisał w *Rozważaniach nad historią* w roku 1960 – jest albo ujmowanie dziejów jako niezdeterminowanych społecznie tworów wielkich jednostek, albo odmawianie wszelkiego sensu historii, odrywanie stosunku indywiduum (także badacza) od wszelkiego zdeterminowania historycznego, stawianie na jego miejsce indywidualnego „wyboru” jednostki i konsekwencja wyboru, to jest indywidualnego „zaangażowania”. Pisząc te słowa, miał na myśli

przede wszystkim egzystencjalistów (m.in. Gide'a, a także Sartre'a). Nie tworzył „typów idealnych”, badał struktury, a ściślej przeciwstawność struktur, wychodząc z płodnego założenia, że dla historyka „istotnymi są nie podobieństwa, lecz zasadnicze różnice kryjące się w ich treści”.

Założenie to prowadziło go do bardzo szerokiego pojmowania „postępu” w dziejach, do konstatacji, że ludzkość stanowi jedną całość, że jej rozwój postępuje w kierunku ocenianym właśnie w słowie „postęp” jako jednolity proces stopniowego doskonalenia się, że w końcu ten proces jest „autonomicznym dziełem człowieka, a jego przyczyny sprawczej nie stanowią jakieś czynniki metafizyczne”. W rezultacie elementami pojęcia postępu były dla niego: „ujmowanie ludzkości jako całości, ujmowanie procesu historycznego jako całości, „Ujmowanie tej ludzkości i tego procesu jako zjawisk »laickich«, nieuzależnionych od jakichkolwiek zjawisk metafizycznych i nieocenianych z punktu widzenia ich stosunku do metafizycznych i irracjonalnych celów”.

Bardzo wysokie wymagania stawiał Konstanty Grzybowski historykom-uczonym. Sam mógł im sprostać bez trudu. Głęboka wiedza teoretyczna, poparta znakomitą znajomością źródeł, wysoka kultura humanistyczna, zdumiewająca lotność umysłu pozwalały mu tworzyć zarówno wnikliwe studia analityczne, jak i wielkie syntezy, imponujące erudycją, perspektywą i szerokością pól widzenia, rozmachem, śmiałością interpretacji, sugestywnością swej logiki. Był oryginalny, czasem wręcz prowokujący w swych wypowiedziach. Poruszał się po dziejach ludzkości z tą łatwością, jaka umożliwia nie tylko doskonale zorganizowany warsztat, ale przede wszystkim poczucie słuszności i doniosłości postawionego pytania. W jego rozprawach zacierały się dystynkcje między naukami o przeszłości: ukazywał proces dziejowy z wszystkimi jego powiązaniem, jako jednolitą – choć pełną sprzeczności – całość. Było tak m.in. dlatego, że zadawał pytania głębokie, trafiające w sedno zagadnień, że nie było u niego nic z „podskubywania przyczynkarskiej łączki”, nawet wtedy, gdy temat był pozornie mniej istotny; że pisząc o wszystkich, pisał faktycznie o Polakach i o Polsce.

Konstanty Grzybowski miał świadomość przełomowego znaczenia czasu, w którym żył. W roku 1964, poirytowany kolejną nagonką przeciwko Polsce wszczętą na Zachodzie, odpowiadał ustami historyka roku 2020: „To była wspólna epoka. Trudno w niej było żyć, ale warto było w niej żyć”. Dlatego też szperając po kartach historii, ze szczególnym umiłowaniem zatrzymywał się na tych, które znaczyły przełomy i wielkie zakręty historii, które kształtowały i rozwijały wolność jednostki w społeczeństwie i państwie.

To skierowało jego zainteresowania ku starożytności greckiej. Mniej tu może nawet pisał, ale kultura helleńska była mu bliska i K. Grzybowski wiele wątków dziejowych właśnie z niej wyprowadzał. Miał ku temu świetne przygotowanie; doskonale znał źródła. Z właściwym sobie uśmiechem wspominał

rozmowy z Ludwikiem Piotrowiczem na temat wierności jego tekstu przekładu arystotelesowskiej *Polityki* (1953). Znakomite znawstwo klimatu Hellady wykazał w komentarzu do dialogu Peryklesa i Alkibiadesa u Ksenofonta (1961). Najbardziej pociągały go czasy demokracji w Atenach i następujący po niej okres wielkich syntez greckiej myśli politycznej. Widział w nich kolebkę kultury politycznej naszego kręgu cywilizacyjnego; poddawał wnikliwej analizie walki społeczne i konflikty ideowe w społeczeństwie greckim w tragicznym okresie agonii państwa-miasta w przeddzień bezpośredniej konfrontacji z kulturami barbarzyńskimi.

Badania nad antykiem były jednym z elementów inspiracji do głębokich studiów nad epoką humanizmu i Odrodzenia. I w humanizmie Odrodzenia widział Konstanty Grzybowski przede wszystkim wielki przełom, wielki zwrot przeciwko temu, co „stare”, a jednocześnie walkę o stabilizację tego, co „nowe”. Fascynował go antropocentryzm XVI stulecia, który oznaczał wielkie wyznanie wiary w człowieka, w jego perspektywy i możliwości poznawcze. Frapowała go laickość kultury renesansowej, pociągały złożoności ówczesnych tarć ideowych, dalej: klimat XVI-wiecznej rewolucji intelektualnej, przejawy apologii „szczęśliwej potęgi rozumu człowieka”. Bliscy mu byli wielcy humaniści, mający świadomość nowości czasów, w jakich żyli, potrafiący się cieszyć wspaniałością swej epoki. Musiały Go zainteresować także renesansowe przemiany ustrojowe, prowadzące do silnego państwa i do „silnej władzy”. Stąd badania K. Grzybowskiego nad Machiavellim. Wydobył on z pisarstwa Machiavellego jego treści patriotyczne i republikańskie, pokazywał go na szerokim tle walk politycznych i tarć ideowych jego epoki, z przenikliwą ostrością komentował skomplikowane drogi kariery makiawelizmu i kryptomakiawelizmu. Bliski był mu relatywizm i realizm polityczny Machiavellego, jego autentyczny związek z bieżącą grą polityczną. We wstępie do *Księcia* (1969) pisał m.in.: „Machiavelli odsłaniał tajniki rządzenia. Pokazywał faktyczne motywy działania władców i faktyczne cele tych działań. Pozbawiał te działania metafizycznych i irracjonalnych osłon. Był niebezpieczny”.

Równocześnie prowadził rozległe i gruntowne badania nad epoką Odrodzenia w Polsce. Poświęcał swe studia Pawłowi Włodkowicowi i Petrycemu. Dyskutował na temat *Corona Regni* i *Corona Regni Poloniae*; zajął się systematyką prawa w Polsce w XVI w. Wydarzeniem naukowym stało się ogłoszenie w 1959 r. monografii *Teoria reprezentacji w Polsce epoki Odrodzenia*. Zaopatrzył ją autor w znamiennej dedykację: „In memoriam Sacrae Regiae Maiestatis Sigismundi Augusti Regis Poloniae, Magni Ducis Lithuaniae”. Bardziej może niż sam tytuł książki wskazywała ona na zasadniczą intencję autora. Dokonał w niej Konstanty Grzybowski analizy „absolutyzmu” renesansowego władcy, jakim był – jego zdaniem również w sejmie – Zygmunt August. Poddając głębo-

kiemu badaniu wytwarzającą się podówczas konstrukcję polskiego sejmu, dochodził do wniosku o nadrzędności monarchy nad senatem i izbą poselską: „Nie sejm, którego częścią składową jest m. in. król – pisał – lecz król, z którym dla spraw sejmowych współdziałają senatorowie i posłowie, jest organem państwa. I nie łączna wola króla, senatorów i posłów jest wolą państwa, lecz jest nią decyzja króla, poparta radą senatorów i zgoda posłów.

Książka stanowiła wyraz „poszukiwań istoty władzy i jej mechanizmu”; wiele w niej znalazło się perspektyw nie tylko polskich, ale i ogólnoeuropejskich. Była ona – jak stwierdzał jeden z recenzentów – „intelektualnie ostra i przenikliwa”. Mimo niektórych tez kontrowersyjnych, zbyt śmiałych, weszła ona do podstawowej literatury naszej historiografii traktującej o państwie i prawie, o doktrynach i polityce. Jej ustalenia, a jeszcze bardziej jej podniety intelektualne wpłynęły i nadal wpływać będą na ożywienie badań nad dziejami nie tylko sejmu w Polsce.

Kolejnym polem badań Konstantego Grzybowskiego była epoka Oświecenia i rewolucji burżuazyjnych. Pierwsze dowody gruntownej znajomości i świetnego rozumienia dzieła rewolucji francuskiej dał on już w swych rozprawach o ustrojach demokratycznych jako autor prawa państwowego. Ale już tam było to dalekie wyjście poza warsztat naukowy konstytucjonalisty. Narodziny struktur politycznych burżuazji i mieszczańskiej doktryny politycznej traktował on znów przede wszystkim jako przełom, w którym stare formy pozostają w stanie najostrzejszego konfliktu z nowymi. I tu widział przede wszystkim zjawisko postępu. Pokazał to najlepiej w dwóch rozprawach: *Montesquieu – kompromis feudalno-mieszczański* (1948) i *Immunitet poselski a wielka rewolucja mieszczańska* (1950), a także w świetnych wystąpieniach w czasie sesji monteskiuszowskiej PAN w roku 1955. Od strony zasadniczej alternatywy dziejowej tamtych czasów – feudalizm czy kapitalizm – rozpatrywał też *Miejsce niemieckiej szkoły historycznej w rozwoju nauki prawa* (1956) oraz polski proces dziejowy po okresie stanisławowskim.

Tu rozpościerała się następna dziedzina zainteresowań badawczych Konstantego Grzybowskiego: Galicja, dzieje polskie pod zaborem austriackim. W roku 1959 wyszła drukiem jego obszerna monografia pt. *Galicja 1848–1914. Historia ustroju politycznego na tle historii ustroju politycznego Austrii*. I ta książka nie miała poprzedników. I ona stanowiła mistrzowski esej historyczno-prawny. Pokazał w niej autor głębokie rozbieżności między literą austriackiego ustawodawstwa a praktyką monarchii i jej prowincji. Dał wnikliwą – choć później w części krytykowaną – charakterystykę galicyjskiej autonomii, z dużą swobodą rozszyfrowywał ukryty w gęstwinie skomplikowanych norm rzeczywisty wyraz życia politycznego w Austrii. Frapujące były jego uwagi o zasadzie ugody z monarchią, analiza różnych stopni lojalizmu habsburskiego w Galicji lat

sześćdziesiątych i motywów tego lojalizmu, dalej: ocena politycznego podłoża lwowskiego „mameluctwa” lat siedemdziesiątych, charakterystyka genezy ustawy gminnej z roku 1866 itp.

Pionierska książka przyczyniła się w niemałej mierze do zwiększenia zainteresowania historyków tą problematyką. Zachęciła też Konstantego Grzybowskiego do przyśpieszenia prac nad IV tomem *Historii państwa i prawa Polski*, rozpoczętych jeszcze w roku 1954. Po kilku dalszych latach intensywnych poszukiwań źródłowych przedstawił on w roku 1968 wielką syntezę dziejów państwa i prawa pod trzema zaborami za okres 1848 – 1863 – 1918. Makietą tej syntezy została – jak wiadomo – poddana dyskusji historyków, którzy w pełni potwierdzili wysokie kompetencje autora, gruntowność przeprowadzonej analizy i szeroki rozmach syntetycznych konkluzji. Profesor nie zdążył już przygotować ostatecznej redakcji.

Innym ważnym polem naukowych zainteresowań Konstantego Grzybowskiego były sprawy religii, kościoła, a zwłaszcza katolickiej doktryny społeczno-politycznej. Wynikały te zainteresowania nie tylko z faktu, że problemy etyki i moralności zawsze go pasjonowały. Były one rezultatem w pierwszym rzędzie tej cechy jego osobowości, która nakazywała mu zwalczać wszelkie przejawy sekciarstwa, dogmatyzmu i nietolerancji. Pozwoliły mu one swego czasu odejść od Władysława Leopolda Jaworskiego i jego teorii suwerennej moralności Chrystusowej; ułatwiły też niewątpliwie zerwanie ze środowiskiem konserwatystów krakowskich i całą krakowską szkołą historyczną. Był antyklerykałem, ale daleki był mu „zawodowy ateizm”. We wstępie do *Księcia* tłumaczył, że zawodowy ateizm to także swoista postawa fideizmu, równie tendencyjnego i równie nietolerancyjnego jak fideizm metafizyczny. W *Refleksjach sceptycznych* przypominał, że z wiary w to, że się jest [jedynym – H.O.] głosicielem prawdy – politycznej czy religijnej – zrodziły się i pochodnie Nerona, i stosy inkwizycji hiszpańskiej, i kalwiński stos Serweta, i obozy koncentracyjne XX wieku”. W innym miejscu stwierdzał: „Gdy się dyskutuje na temat, co jest »święte«, dyskusja jest fikcją”. Nie znosił tego Konstanty Grzybowski.

W swych długoletnich badaniach nad religiami, a szczególnie nad społeczną doktryną Kościoła katolickiego, badaniach podjętych jeszcze w 1932 r. – potrafił zachować w ocenach właściwy sobie dystans uczonego. Treści społeczne i polityczne w systemie wierzeń pokazywał w pracach z historii Starożytnego Wschodu, konserwatyzm chrześcijaństwa na przykładzie wieków średnich, antysocjalistyczny wydzwźwięk konstrukcji chrześcijańskiej demokracji w polityce Watykanu w latach 1917–1929. W świetnym omówieniu encykliki *Mater et magistra*, ogłoszonej w „Nowych Drogach”, nie krył szacunku dla Jana XXIII, dostrzegając w polityce *aggiornamento* m.in. przejaw ogólnego prawa historii, które zmusiło papieżstwo do nowego spojrzenia na węzłowe problemy współ-

czesnego świata. Z uwagą śledził obrady II Soboru Watykańskiego. Komentując stanowisko grup integrystycznych na soborze, stwierdzał: „Niebezpieczeństwo dla wolności jednostki zaczyna się wtedy, gdy zbyt często i zbyt sztywnie mówi się o »prawdzie« i o »tradycji«. Wtedy bowiem pod tymi słowami wyznawca prawdy i wyznawca tradycji ukrywa pogląd, że tylko on jeden prawdę i tradycję zna”. Stwierdzał u podłoża tego dwa zjawiska: „Pierwszym jest pesymizm co do siły swej własnej prawdy i moralności: wyznający czuje, że akceptacja ich słabnie, że tracą one siłę przekonywania i że wolna konkurencja poglądów naraziłaby go na klęskę. Drugim jest obrona własnych »vested interests«: broniący tak swej prawdy i swej tradycji czuje, że jakiegokolwiek ustępstwo naraziłoby na osłabienie jego własnej pozycji, jego autorytetu, jego władzy”.

Choć bolał Konstanty Grzybowski nad „dogmatycznym fideizmem Polaków”, i choć irytowały go tendencyjne nieraz przejawskawienia w literaturze (por. np. świetną polemikę z książką Oskara Haleckiego w 1966 r.), nie tropił po kartach historii świadectw kompromitujących polskie duchowieństwo. Nie odmawiał mu w przeszłości zasług kulturotwórczych. W przeznaczonych dla szerokiego odbiorcy syntezie dziejów ojczystych *Rzeczy odległe, a bliskie* – przyrównywał znaczenie chrystianizacji Polski w X w. do następstw, jakie dziś posiada przyjęcie przez państwo karty Narodów Zjednoczonych. „Katolicyzm w Polsce jest faktem realnym – pisał w końcu 1957 – jeżeli jest, niechże będzie katolicyzmem drugiej połowy XX wieku, a nie katolicyzmem epoki saskiej”.

Zgoła pionierski charakter posiadało piarstwo Konstantego Grzybowskiego w zakresie historii doktryn politycznych i prawnych, dyscypliny, której w ostatnich latach swego życia poświęcił najwięcej uwagi. Sądzę, że zwłaszcza dwie prace zasługują w tym miejscu na obszerniejszą wzmiankę. Pierwszą była rozprawa pt. *Z zagadnień metodologii historii doktryn politycznych*, drugą wielka synteza *Historia doktryn politycznych i prawnych. Od państwa niewolniczego do rewolucji burżuazyjnych* (PWN, Warszawa 1967). W pierwszej, zawierającej ocenę ówczesnej sytuacji w tej dyscyplinie, dał Konstanty Grzybowski próbę odpowiedzi na pytanie, jak rozumiał przedmiot i metodę historii doktryn i jakie widzi w niej problemy metodologiczne; druga, stanowiąca pierwszy w Polsce system oparty na marksistowskich założeniach, jest odpowiedzią na pytanie, w jakiej mierze i z jakim skutkiem autor się do własnych założeń zastosował.

Punktem wyjścia K. Grzybowskiego była krytyka XIX-wiecznej historiografii zachodniej, która wtedy ograniczała przedmiot dyscypliny do systemów „wielkich myślicieli” i rekonstrukcji nakreślanego w nich wyimaginowanego obrazu instytucji politycznych idealnego państwa. Widział w tym przejaw „ucieczki nauki burżuazyjnej od rzeczywistości, zapowiedzi kryzysu tej nauki i objawy kryzysu tej klasy społecznej, której ona służy”. W odrywaniu doktryn od ich podłoża gospodarczego i społecznego dostrzegał „środek, który ma

umożliwić przedstawienie wielkich myślicieli przeszłości jako prekursorów ideałów ustrojowych, przyświecających piszącemu o nich uczonemu burżuazyjnemu [...]: „Myśl polityczna ma być [...] stopniowym zbliżaniem się wielkich myślicieli do tych ideałów”. Później, w okresie imperializmu, jest już inaczej: cechą charakterystyczną większości burżuazyjnych systemów historii doktryn politycznych stało się zdeterminowanie bazy jednostronnie i niemal wyłącznie przez idee (tak np. u M. Webera) bądź przyjęcie istnienia bezpośredniego związku tylko między myślą polityczną a instytucjami politycznymi, a więc brak bezpośredniego wpływu bazy na idee (tak np. u Carlyle’a). Konstanty Grzybowski widział oczywiście pozytywne konsekwencje tego stanowiska; jego rezultatem było poszerzenie horyzontów badawczych dyscypliny, wciągnięcie w jej obręb nowych źródeł, rozrastanie się zakresu analizowanych zagadnień. Równocześnie jednak wskazywał na dominujące w historiografii burżuazyjnej cechy ujemne: ograniczanie się coraz bardziej do faktograficznego przedstawiania omawianych poglądów, unikanie ich oceny i wiązania ich z rozwojem społecznym, gospodarczym i politycznym, przyznawanie ideom decydującego wpływu na proces historycznych przeobrażeń.

Konstanty Grzybowski widział w historii doktryn politycznych i prawnych historię poglądów na strukturę polityczną społeczeństwa – w tym przede wszystkim na państwo jako najważniejsze zjawisko tej struktury – i na obowiązujące w społeczeństwie prawo. Wprowadzeniem pojęcia „historia poglądów” odpowiadał na pytanie, jak szeroka powinna być podstawa źródłowa badacza. To wielkie systemy, ale to także dzieła pisarzy religijnych, publicystyka, treści wystąpień przedstawicieli społeczeństw w organach władzy, literatura piękna itp. W ten sposób autor związał historię doktryn przede wszystkim z historią instytucji politycznych, z dziejami ustroju i prawa. Pisał on w roku 1956: „Historia doktryn nie jest częścią historii państwa i prawa, ale jeśli nie ma narazić się na niebezpieczeństwo formalistycznego i idealistycznego traktowania teorii w oderwaniu od konkretnego tła – należy je przedstawiać w związku z konkretnie istniejącym państwem czy państwami. Doktryna może to państwo afirmować, proponować jego reformy, odrzucać w całości, przeciwstawiając mu własny ideał państwowy, ale jego istnienie tkwi u podstaw każdej doktryny. I historyk doktryn musi znać historię państwa i prawa”. Była to krytyka założeń metodologicznych przyjętych w syntezie dziejów myśli antycznych pióra Grzegorza Leopolda Seidlera, który wiązał doktrynę z ekonomiką z pominięciem instytucji. Dla Grzybowskiego sfera świadomości nigdy nie była jednostronnie zdeterminowana przez bazę i instytucje, tak jak świadomość nie determinowała jednostronnie instytucji i ustroju gospodarczo-społecznego. Naukowo było to podejście najbardziej płodne, gdyż wolne od jednostronności. Pozwalało mu ono np. upomnieć się o miejsce dla spraw ekonomiczno-społecznych tam, gdzie

inni autorzy usuwali je bądź na dalszy plan, bądź całkowicie z pola widzenia (por. dla przykładu polemikę z tezami Wiktora Kornatowskiego na temat klasowego podłoża poglądów na państwo i prawo w starożytnej Grecji oraz uwagi na marginesie pracy Ullmana pt. *Medieval Papalism*, publikowane na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego” w 1953 r.

Konstanty Grzybowski protestował przeciwko traktowaniu historii doktryn jako dziejów poglądów „nienaukowych”, uznających jedynie marksizm za naukowy pogląd społeczeństwa i w konsekwencji wyłączających rozwój myśli marksistowskiej z dyscypliny. „Z faktu – pisał – że marksizm jest jedynym konsekwentnym naukowym poglądem na społeczeństwo i państwo, nie wynika bynajmniej, by przed nim nie było poglądów na nie w wyższym lub mniejszym stopniu, mniej lub bardziej częściowo naukowych. Granica, zwłaszcza w przedmarksowskich poglądach między »naukowością« a »nienaukowością« jest płynna i przed jej absolutyzowaniem przestrzegał już Engels [...]”. Za centralne dla historii doktryn uznał zagadnienie ich postępowości. Ta sama idea – przypominał – w różnych konkretnych warunkach historycznych może być i reakcyjna, i postępową. Punktem wyjścia było dlań unikanie traktowania kryteriów postępu jako ponadczasowej abstrakcji, lecz traktowanie ich jako relacji, jako stosunku do siebie różnych zjawisk. Chodziło o stosunek „konkretnego poglądu konkretnej doktryny na konkretną instytucję” do całości poglądów doktryny na całokształt otaczających ją instytucji. Chodziło też o stosunek doktryny do zmiennej rzeczywistości. Doktryny z tego punktu widzenia nigdy nie są „chemicznie czyste”, są skomplikowane jak epoka, którą wyrażają, której są częścią składową.

Te metodologiczne założenia tkwią u podstaw wielkiej syntezy historii doktryn, którą K. Grzybowski ogłosił po raz pierwszy w roku 1967 (syntezy niedokończonych; książka urywa się na rewolucji francuskiej; Profesor nie zdążył już przygotować drugiego tomu). Nie jest to książka łatwa. Czeką ona od kilku lat na swego recenzenta. Jedno wydaje się nie ulegać wątpliwości: autorowi udało się pokazać dzieje myśli politycznej w najbardziej splecionych jej powiązaniach, jako ważny, integrujący składnik procesu historycznego rozwoju. Takie widzenie dziejów myśli politycznej (zaaprobowane dziś przez większość badaczy – reprezentantów tej dyscypliny) doprowadziło Konstantego Grzybowskiego do konfliktu z tymi, którzy dystansowali się i nadal dystansują od badań nad dziejami najnowszych, stanowiącymi najbardziej bezpośrednio antecedencję problemów współczesności. Historia nie kończyła się u niego w XIX w., ani nawet w roku 1945. Od studiów nad dwudziestowieciem międzywojennym jakże często przechodził do analizy procesów żywych dnia wczorajszego. Najczęściej ujmował te rozważania w postać publicystyki, rozrzucał je po rozmaitych periodykach kulturalnych, ale wiedzieliśmy doskonale, że za tą formą kryły się: nauko-

wa metoda, przemyślenie badacza, ścisłość wyrażna i poczucie odpowiedzialności równe tej, które były właściwe jego książkom i artykułom drukowanym wraz z całym ekwipunkiem warsztatu naukowego. Chodziło mu m.in. o błyskawiczność reakcji. To jeden z nawyków jego pracy, wyniesiony jeszcze z redakcji „Czasu”. W każdy poniedziałek można go było spotkać w Bibliotece Jagiellońskiej, wertującego świeże nabytki. Natychmiast zajmował stanowisko, replikował, wdawał się w polemikę, w której był niezrównany. Tak m.in. narodziły się krytyczne analizy współczesnych nurtów i tendencji w zachodniej historiografii i naukach politycznych: charakterystyki doktryn Raymonda Arona i Jamesa Burnhama, eseje o „pax americana”, o „angielskich gniewnych” itd. Temperament polemisty rzadko kłócił się u niego z postawą uczonego, sceptyka. Wiele tu myśli głębokich, wysnutych z wiedzy historycznej i teoretycznej refleksji. W szkicu o Tomaszu Mannie pisał m.in.: „Faszyzmy mogą się odrodzić. Dopóki istnieją interesy gospodarcze, którym potrzebne jest pozyskanie sobie najbardziej zacofanych elementów społeczeństwa przy pomocy najbardziej prymitywnych haseł politycznych, zawsze istnieje groźba ich odrodzenia. Ale zjawiskiem charakterystycznym dla takich ideologii jest, że nie przeżywają swojej klęski, gdy tymczasem innej ruchy polityczne, choćby klęski ponosiły, trwają. Równocześnie zaś los ich uczy, czy uczyć powinien, jeszcze jednego: że monopolizacja urabiania opinii społecznej w niczym do trwania ideologii, głoszonej oficjalnie się nie przyczynia”. Albo gdy podsumowując wywody Maurice’a Duvergera o dekadencji liderów politycznych Stanów Zjednoczonych i Francji stwierdzał, że skleroza kadry kierowniczej występuje najczęściej w dwóch sytuacjach politycznych: „Pierwsza — to sytuacja po rewolucji, gdy ci, którzy stworzyli nowy ustrój i wyrosli w tradycji walki o ów ustrój, z niepokojem patrzą na młodych, ustrój ten jako zasadę przyjmujących, ale przecież widzących go inaczej, niż jego twórcy, pragnący go przekształcić i rozwijać, konfrontujący go z rzeczywistością, czyniący to właśnie jako wolni od mentalności rewolucyjnej obserwatorzy. [...] Druga — to sytuacja, w której kadry widzą, że ewolucja idzie w kierunku podważającym ich poglądy, ich wyobrażenia, ich metody działania politycznego — i przyjmują taktykę obronną, będącą zarówno chowaniem głowy w piasek, jak i zamykaniem kotła, pod którym się pali; jedna i druga polega na tym samym, na obawie przed dopływem świeżego powietrza. Wtedy zaś zaczyna się okres walki dynamicznych młodych [młodych niekoniecznie z metryki — H.O.] z tradycjami starymi [...]. I tak, jak nie ma lekarstwa na sklerozę starczego organizmu, nie ma lekarstwa na sklerozę gasnącego systemu politycznego” (1966).

Gniewało Konstantego Grzybowskiego malowanie życia politycznego tylko w kolorach „bieli aniołów i czerni szatanów”. Irytowała inflacja słowa, której nieuniknioną konsekwencją jest dewaluacja. W groźnym zjawisku inflacji —

a dostrzegał ją i w polityce, i w nauce, i w systemie obowiązującego prawa – widział przejaw myślenia teologicznego („istnieje katalog cnót i katalog grzechów i jego recytacja jest już rozwiązaniem problemu” – pisał nie bez ironii w roku 1964). Nade wszystko drażniły go brak zdrowego politycznego rozsądku u niektórych rodaków, ich nieodpowiedzialność, oportunizm. Wtedy nie cofał się nawet przed tonem moralisty: „Pamiętaj, że warunkiem stabilizacji jest także jakieś minimum szacunku dla własnego państwa”.

Konstanty Grzybowski był uczonym, którego zasięg wpływów na nauki społeczne będzie można objąć w pełni dopiero później, może w dziełach jego uczniów, których wychował wielu, i z których był bardzo dumny; dziś są teoretykami państwa, filozofami, socjologami, historykami ustroju i prawa, badaczami dziejów myśli społeczno-politycznej.

Profesor był człowiekiem dwóch epok i jego pisarstwo przeszło w ciągu półwiecza wielką ewolucję, tę samą, którą przeszedł cały naród. Jego droga prowadziła od kierownictwa redakcją „Czasu”, od członkostwa Stronnictwa Prawicy Narodowej, a następnie BBWR i aktywności politycznej w kręgu zachodnio-galicyskich epigonów krakowskich stańczyków do współpracy z „Nowymi Drogami” i „Polityką”. Miano mu to nieraz za złe, podnosząc zarzut zbyt wielkiej gotowości do metamorfoz. Profesor odpowiedział na te głosy m.in. świetnym artykułem o roli „kierieższczyzny” w dziejach (1946). Zawsze był uczonym „zaangażowanym”. Nie tyle z racji swego temperamentu; był zaangażowany, bo dostrzegał jedność swych ideałów humanistycznych z ideałami socjalizmu. Miał coraz bardziej na myśli ten socjalizm, który kształtował się u polskich socjalistów przełomu stuleci. Mądry sceptycyzm kazał mu z odwagą wypowiadać swoje myśli w sprawach, w których był odmiennego zdania, w których uważał, że można lepiej.

Konstanty Grzybowski był wielką indywidualnością. Sława, do której doszedł w ostatnich latach, w niczym nie zmieniła jego stosunku do własnych obowiązków, do otoczenia, do życia. Bardziej niż kiedykolwiek przygotowywał się do dyskusji ze swymi uczniami, do wykładów i seminariów. A jednocześnie nieobce mu były żądne z uciech życiowych, podobny był i w tym ludziom Odrodzenia. Dlatego rozumiano go doskonale, pisał, że „najgorszym rządzącym jest ten, który nie ma własnego prywatnego życia i żyje »tylko dla społeczeństwa«, nie myśli nigdy o sobie, tylko zawsze o społeczeństwie”.

Jörg K. Hoensch



Profesor Jörg K. Hoensch był znanym i cenionym badaczem historii społecznej i politycznej, również historii ustroju i kultury. Wieloletni kierownik Katedry Historii Europy Środkowo-Wschodniej na Uniwersytecie Saary w Saarbrücken, wielki przyjaciel Polski, jeden z inicjatorów zbliżenia między nauką niemiecką a środowiskami historyków polskich, także polskich historyków prawa, należał do pierwszoplanowych postaci w gronie uczonych zasiadających w Niemiecko-Polskiej Komisji do spraw Podręczników Szkolnych z historii i geografii przy UNESCO. Był duszą tej Komisji – wymagający i krytyczny, ale serdeczny i otwarty na dialog. W sukcesie, jaki Komisja osiągnęła, jego udział był poważny. Trwałą wartość poznawczą posiadają jego wystąpienia na posiedzeniach plenarnych Komisji oraz – w nie mniejszym stopniu – jego aktywność w kuluarach obrad.

Jörg K. Hoensch urodził się 8 września 1935 r. w Freudenthal na pograniczu śląsko-morawskim. W jego żyłach płynęła krew węgierska; od wczesnej młodości jego rodzina utrzymywała żywe kontakty z Polakami, Słowakami i Czechami, co miało znaleźć odbicie w zainteresowaniach i inwestycjach badawczych uczonego. Jörg K. Hoensch podjął studia na Uniwersytecie w Tybindze u znanego przedstawiciela badań wschodnich Wernera Markera i pod jego kierunkiem napisał w 1965 r. i obronił dysertację doktorską pt. *Die Slowakei und Hitlers Ostpolitik. Hlinkas Slowakische Volkspartei zwischen Autonomie und Separation (1918–1938)*. Praca opublikowana przez renomowany Böhlau Verlag (Köln – Graz 1965, 390 s.) wywołała zarówno w Niemczech Zachodnich, jak i samej Czechosłowacji żywą reakcję i życzliwe głosy krytyki; podkreślano świetny warsztat oraz obiektywizm młodego autora. W następnych latach zwrócił się J.K. Hoensch ku starszej historii Czech i Węgier. W 1987 r. ukazała się jego obszerna historia Czech (*Geschichte Böhmens. Von der slawischen Landnahme bis*

ins 20. Jahrhundert, München 1987, 580 s., drugie rozszerzone wydanie w 1992), w dwa lata później ujrzała światło dzienne monografia czasów Przemysława Ottokara II, panującego w Czechach w latach 1238–1278 (*Przemysl Ottokar II von Böhmem. Der goldene König*, Verlag Styria, 1989, 303 s.), którym towarzyszyły liczne studia poświęcone panowaniu Macieja Korwina, wreszcie wielka monografia cesarza Zygmunta (*Kaiser Sigismund. Herrscher an der Schwelle zur Neuzeit 1368–1437*, Darmstadt 1996). W 1990 r. wyszła jego historia Węgier (*Geschichte Ungarns vom Ausgleich 1867 bis zur Gegenwart*).

Wnikliwe, erudycyjne prace wcześniej zwróciły na autora uwagę, wywołując uznanie środowisk naukowych. Ich wyrazem było powołanie go w 1972 r. na Katedrę Historii Europy Środkowo-Wschodniej w Saarbrücken oraz wybór do gremiów redagujących cenione periodyki zajmujące się badaniami wschodnimi. Hoensch został współwydawcą czasopisma „Bohemia” oraz stanął na czele reprezentatywnej „Zeitschrift für Ostmitteleuropa-Forschung”. Od roku 1990 należał już do założonych przez siebie komitetów redakcyjnych niemiecko-czeskiej oraz niemiecko-słowackiej komisji do spraw rewizji podręczników szkolnych z historii i był przez długie lata filarem ich działalności.

Szerokość pól badawczych J.K. Hoenscha wyrażał fakt, że pasje mediewistyczne udanie wkomponował on w uprawianie historii współczesnej (*Zeitgeschichte*). Dał świadectwo swych kompetencji na tym polu w potężnym, liczącym pięćset stron, ambitnym studium na temat polityki wschodniej Związku Sowieckiego w pierwszym trzydziestoleciu po zakończeniu drugiej wojny światowej (*Sowjetische Osteuropa – Politik 1945–1975*, Düsseldorf 1977). Praca dała historykom zachodnioniemieckim nieznany wcześniej obraz zawirowań w tym kraju: procesu rozciągania władzy radzieckiej na obszar państw Europy Środkowo-Wschodniej w latach 1945–1947, umacniania się w państwach satelickich reżimu komunistycznego w okresie od 1947 do 1949, dalej – sprawowania władzy w czasach najwyższego wzniesienia się fali stalinowskiej indoktrynacji, lata pozornej odwilży, walki między „rewizjonizmem a „dogmatyzmem” w erze Chruszczowa, wreszcie inwazji na Czechosłowację w roku 1968. Wywody Hoenscha nie były politycznym oskarżeniem: stanowiły przenikliwy ciąg refleksji na temat totalitaryzmu, oparty na solidnym warsztacie historyka i politologa.

Podobne walory warsztatu zademonstrował Jörg Hoensch w komentarzu wydanym wspólnie z czeskim historykiem Dusanem Kovarem do tomu źródeł o antagonizmie niemiecko-czesko-słowackim w latach międzywojnia (*Das Scheitern der Verständigung. Tschechen, Deutsche und Slowaken in der Ersten Republik 1918–1938*), opracowanego już na potrzeby wspomnianych komisji podręcznikowych.

Główną wszakże dziedziną, w której Hoensch lokował swe fascynacje badawcze, była przeszłość i teraźniejszość Polski. Z wieloma historykami prawa i historykami *tout court* naszego kraju łączyły go więzi przyjaźni i stałej współpracy. Dbał o doskonalenie swej znajomości języka polskiego: przez cały czas w jego katedrze wykładali gościnnie badacze polscy, m.in. Franciszek Ryszka, wiele razy gościł tu Władysław Markiewicz. Hoensch wysoko cenił osiągnięcia historiografii polskiej i nie opuszczał żadnej okazji, by przyjeżdżać do naszego kraju i dyskutować z polskimi badaczami. Najczęściej miało to miejsce przy okazji dorocznych konferencji, organizowanych przez komisję podręcznikową.

Pierwszą pracą poświęconą historii Polski była klasyczna już dziś książka pt. *Sozialverfassung und politische Reform. Polen im vorrevolutionären Zeitalter* (Köln-Wien 1973, 500 s.). Książka dała autorowi *veniam legendi* i została w Polsce powitana bardzo dobrymi recenzjami. Na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego” Stanisław Salmonowicz pisał, że solidne opracowanie Hoenscha wzbogaca naszą wiedzę o schyłku czasów saskich i pierwszych latach panowania Stanisława Augusta (por. „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1976, t. 27, z. 1, s. 196–200). Była to w pełni zasłużona ocena, jako że dzieło Hoenscha opierało się nie tylko na doskonałej znajomości bogatej literatury przedmiotu, ale i na materiale archiwalnym ze zbiorów Archiwum Akt Dawnych, Biblioteki Polskiej Akademii Umiejętności oraz Biblioteki książąt Czartoryskich, w części wcześniej u nas nie w pełni wykorzystanych. Wydając swą pracę w dwusetną rocznicę pierwszego rozbioru, autor zdawał sobie sprawę z delikatności materii, z jaką przyszło mu się zetknąć. Z właściwą sobie intuicją stawiał trafiające w sedno badawcze pytania i z widoczną ostrożnością udzielał na nie odpowiedzi. Rozpatrywał on postawione przed sobą zadanie w kilku płaszczyznach: pochylał się nad ustrojem społecznym społeczeństwa szlacheckiego, badał przeobrażenia w jego mentalności na szerokim tle porównawczym, dokonywał wnikliwej analizy ustroju późnych lat sześćdziesiątych XVIII stulecia. Przejął tezę polskich badaczy, że upadek epoki oligarchii i marazm czasów saskich to w równej mierze wynik kryzysu gospodarczego, jak wytwór takiego układu politycznego, w którym żadna z magnackich koterii, nie będąc w stanie sięgnąć po całą władzę w państwie, w związku z tym nie była zainteresowana w forswaniu reform. Stało się to możliwe dopiero wtedy, kiedy „familia” uzyskała – jak wiemy również dzięki poparciu Katarzyny – przewagę, sprawiając, że reformowanie państwa stało się dla niej „opłacalne”. Hoensch nie krył szacunku i podziwu dla dzieła reformy, choć zdawał sobie sprawę z tego, że nie rozwiązywała ona trudności Rzeczypospolitej, między innymi z uwagi na wzrastające zagrożenie zewnętrzne. Praca Hoenscha burzyła w pewnej mierze stereotypy zakorzenione w historiografii niemieckiej, w której za główną, chętniej za jedy-

ną, przyczynę pierwszego rozbioru uznawano rozkład instytucji państwowych, anarchiczne skłonności Polaków i upadek kultury politycznej.

W 1975 r. Hoensch ponownie zwrócił się ku Polsce współczesnej. Jego tekst *Polen. 30 Jahre Volksdemokratie* był krytycznym rozbiorem historii pierwszego ćwierćwiecza Polski Ludowej. Krytyka była nie tylko zróżnicowana w odniesieniu do poszczególnych okresów, była powściągliwa: przenikało ją poczucie odpowiedzialności uczonego, który w pełni świadom jest wagi podjętej przez siebie próby. Autor nie cofał się przed krytyką skierowaną w stronę tych historyków niemieckich, u których dostrzegał nadmiar nacjonalizmu. Tekst książki poprzedzało motto wzięte od Stanisława Jerzego Leca: „Paßt auf, nicht nur ein Druckfehler kann Rationalismus in Nationalismus verwandeln”. W przedmowie odwoływał się do zdrowego rozsądku rodaków, podkreślając, że w analizie złożonych dziejów stosunków niemiecko-polskich nieodzowne jest chłodne spojrzenie. Sąsiedzi, którzy się spierają, mogą się wyprowadzić, opuścić mieszkanie, narody swego usytuowania zmienić nie są w stanie, choć mogą korygować granice. Na czterystu stronicach niewielkiego formatu zamieścił autor bogaty materiał faktograficzny i nie mniejszy ładunek refleksji nad swoistością dziejów polskich. Trzeba podkreślić, że i to dzieło przenikał szacunek dla osiągnięć historiografii polskiej i krytyczny stosunek do wielu mitów wciąż spotykanych w nauce historii we własnym kraju. Hoensch nie krył satysfakcji z rewolucji 1989 r., jaka dokonała się w Polsce, i z powrotu naszego kraju do należnego mu miejsca w Europie. Traktował polski przełom, w rezultacie którego kraj nad Wisłą i Odrą potwierdził swe przewodnie miejsce w środkowo-wschodniej Europie, jako naturalny wniosek wysnuty z analizy pełnej dramaturgii historii. Synteza wyrażała wierność ustaleniom zawartym w przyjętych w 1976 r. „Zaleceniach” dla autorów podręczników szkolnych z historii w obu krajach.

Jörg K. Hoensch był jednym z członków założycieli polsko-zachodnioniemieckiej Wspólnej Komisji do spraw Podręczników Szkolnych z historii i geografii, powołanej do życia – jak wiadomo – w roku 1972, a także współautorem przyjętych w 1976 r. „Zaleceń” dla nauczycieli. Tak jak pozostali członkowie strony niemieckiej, odważnie stawał w ich obronie podczas burzliwych debat, jakie odbywały się w 1977 r. w parlamentach poszczególnych krajów zachodnioniemieckich, w czasie których siły nieprzyjazne regulacji stosunków z Polską zarzucały im zdradę niemieckich interesów narodowych i państwowych. Walka Hoenscha o przyjęcie przez opinię publiczną Republiki Federalnej Niemiec do wiadomości rezultatu wieloletnich negocjacji i prac badawczych została przezeń podsumowana w świetnym referacie na jednej z ostatnich konferencji komisji, która odbyła się w czerwcu 1987 r. w Poznaniu. Referat Hoenscha obejmował podsumowanie dyskusji nad dziejami stosunków polsko-niemieckich w latach 1919–1945 (J.K. Hoensch, *Die wissenschaftliche Resonanz*

auf den Arbeitsertrag der deutsch-polnischen Schulbuchkommission für den Zeitraum 1919–1945) i rozpoczynał się od gorzkiego stwierdzenia, że w przeszłości za wiele mieli tu do powiedzenia „prorocy przeszłości” (*Propheten der Vergangenheit*).

Jörg K. Hoensch zmarł 23 lutego 2001 r., wywołując szczery żal w środowisku polskich humanistów. Zostawił ważne przesłanie w tekście rozprawy drukowanej na jubileusz swego przyjaciela, Franciszka Ryszki. Tłumaczył w niej, dlaczego po drugiej wojnie światowej zanikł antagonizm francusko-niemiecki, natomiast pogłębił się niemiecko-polski. Pisał: „Nasze pokolenie będzie musiało nadal dźwigać ciężar skutków i dziedzictwa drugiej wojny światowej oraz podejmowanych w cieniu zimnej wojny decyzji. Nie zdejmuje to jednak ani z polityków, ani też z każdego z nas zobowiązującego zadania, by to z przeszłości, co nas dzieli, przewyciężyć i – niezależnie od różnych systemów politycznych i ekonomicznych – wnieść wkład do pokojowego rozwoju w Europie”.

Werner Jochmann



„Brunatny dyktator nie tylko oszukał naród i podstępnie go zwiódł, ale i w znacznym stopniu – znacznie wyższym, niż wielu by chciało to przyjąć do wiadomości – go reprezentował”.

I

Składam w ręce polskiego Czytelnika teksty, o których sędzę, iż są niezwykle. To prace napisane przez przenikliwego badacza, drażącego newralgiczne tematy i zadającego trudne pytania, studia zawierające doniosłe treści poznawcze, mądre w interpretacji, przepełnione przy tym zniewalającą uczciwością i głębokim humanitaryzmem¹. Zmarły przed kilkunastu laty Werner Jochmann, profesor Uniwersytetu w Hamburgu oraz twórca i wieloletni dyrektor Zakładu Badań nad Historią Narodowego Socjalizmu w tym mieście (Forschungsstelle für die Geschichte des Nationalsozialismus in Hamburg, dziś: Forschungsstelle für Zeitgeschichte), należał do historyków wybitnych, znanych i uznanych w świecie, choć wciąż jeszcze mało docenianych we własnym kraju. Był badaczem historii Niemiec XIX i XX w., uczonym, jakich w naukach o przeszłości wiele, ale różnił się od nich zarówno warsztatem, jak i celami, jakie badaniu stawiał. Fascynowała go przeszłość widziana integralnie. W przeszłości szukał odpowiedzi na pytania o źródła tej historii, która rozgrywała się na jego oczach. Nie formułował ocen, które zarażały optymizmem lub dawały asumpt do dumy. Obrazy – jakie kreślił – były mroczne, a wnioski, jakie z analiz wyciągał, przytłaczały. Jego droga do fascynacji historią współczesną miała w sobie coś z misji: wiodła od przerażenia załamaniem się cywilizacji w Oświęcimiu, zaś celem,

¹ Wenera Jochmanna poznałem w mieszkaniu Martina Broszata, w czasie mojego pierwszego pobytu w Monachium, w dniu 23 listopada 1973 r. Do późnego wieczora chodziliśmy po mieście, by sprawdzić, czy i jak Bawaria czci 50-lecie puczu Hitlera. Od razu ujął mnie serdecznością i mądrością, a także ciekawością spraw polskich. Od pierwszego dnia połączyła nas serdeczna przyjaźń, która trwała do dnia jego przedwczesnej śmierci w 1996 r. Spotykaliśmy się regularnie, często zjeżdżaliśmy do Berlina, gdzie przegadywaliśmy dni i noce całe. Od nikogo się tyle nie nauczyłem co od niego.

jaki przed sobą stawiał, było zbudowanie podstaw pod pojednanie obecnych pokoleń Niemców z ofiarami tamtych zbrodni².

Połączyłem w tytule książki trzy słowa, które w bibliografii prac Wernera Jochmanna nigdy nie występują obok siebie, przynajmniej nie występują w komplecie, ale w istocie tworzą stabilny fundament dla jego rozważań: to „kryzys społeczny” – „antysemityzm” – „narodowy socjalizm”. W historii historiografii niemieckiej można znaleźć znakomite rozprawy z zakresu historii społecznej wczesnych czasów nowożytnych i czasów najnowszych³ kraju, które wszelako z reguły pozbawione są gruntownego rozbioru ideologii niemieckiej, w której antysemityzm zaczął odgrywać dominującą rolę. Nie brak także licznych monografii poddających rozbirowi niemiecki antysemityzm, który jednak zazwyczaj nie bywa powiązany z ogólnymi trendami cywilizacji w zjednoczonej Rzeszy⁴. Ten deficyt miał swe konsekwencje: oto wrogość w stosunku do Żydów, choć zgodnie uznawana za konstytutywną cechę nazizmu, długo nie doczekała się swego rodowodu, swej „prehistorii”. Historycy i teoretycy nazizmu, liczni także w nauce anglosaskiej oraz polskiej, starali się jakby „oddalić” przesłanki sukcesu narodowego socjalizmu od głównych nurtów niemieckiego rozwoju. Nazizm prezentowany był jako wyraz importu do Niemiec tendencji o charakterze globalnym, jako świadectwo protestu przeciwko konsumpcyjnej cywilizacji Zachodu, jako uboczny produkt rewolucji technicznej i demokracji masowej, jako zjawisko ze sfery ludzkiej jaźni, dzieło demona zła, jako przypadek, jakich w przeszłości wiele. Był z zasady piętnowany jako nienaturalne przerwanie ciągłości w dziejach Niemiec. Jeżeli już postrzegano go jako wytwór

² W literaturze niemieckiej twórczość Wernera Jochmanna charakteryzowała Ursula Büttner, *Werner Jochmanns Wirken als Leiter der Forschungsstelle für die Geschichte des Nationalsozialismus in Hamburg*, w: U. Büttner (Hrsg.), *Das Unrechtsregime. Internationale Forschung über den Nationalsozialismus*. Bd. 1: *Ideologie – Herrschaftssystem – Wirkung in Europa*, Christians, Hamburg 1986, s. XV–XXVII; eadem, *Über die Grenzen hinweg, Zum Tod von Professor Werner Jochmann (15. August 1921 – 18. November 1994). Vortrag gehalten auf der Gedenkveranstaltung zum Tod von Prof. Werner Jochmann*, Hamburg 1995 (nadb.); eadem, *Werner Jochmann. Den Antisemitismus bekämpfen – eine historische Aufgabe*, [w:] *Annäherungen. 50 Jahre christlich-jüdische Zusammenarbeit in Hamburg 2002*, s. 59–62; eadem, *Werner Jochmann – ein Rückblick zum zehnten Todestag*, [w:] *Zeitgeschichte in Hamburg 2004*, s. 11–13; por. też S. Schüler-Springorum, *Werner Jochmann und die deutsch-jüdische Geschichte*, [w:] ibidem, s. 14–20. W polskiej literaturze o W. Jochmannie pisał H. Olszewski, *Werner Jochmann i jego badania nad historią społeczną*, [w:] „*Studia Historica Slavico-Germanica*” 1995 (1996), t. 20, s. 159–162; idem, *Kryzys społeczny – antysemityzm – narodowy socjalizm. Z badań nad historią społeczną Wernera Jochmanna*, [w:] *Idee jako źródło instytucji politycznych i prawnych*, pod red. L. Dubela, Lublin 2003, s. 13–24. Na teksty W. Jochmanna powołuje się też A. Wolff-Powęska w swej erudycyjnej książce *A bliźniego swego... Kościoły w Niemczech wobec „problemu żydowskiego”*, Poznań 2003.

³ Na szczególną uwagę zasługują tu osiągnięcia szkoły bielefeldzkiej reprezentowanej przez J. Kockę, H.U. Wehlera, R. Kosellecka i J. Rüsen.

⁴ W. Jochmann bardzo cenił osiągnięcia na tym polu swych poprzedników: R. Rürupa, E. Schulina, H. Greiva, R. Vierhausa, H. Roosa, G.A. Rittera, D. Berdinga, W. Benza i innych, choć zarazem delikatnie odnosił się do nich jako niekompletnych.

rodzimej historii, to zazwyczaj myślano o historii krótkiej i bliskiej, sięgającej katastrofy roku 1918 i „dyktatu” wersalskiego, który nie mógł nie obudzić nastrojów frustracji i odwetu. Nie twierdzę, że wydzielając z historii Niemiec zaledwie kilkanaście lat dla nazizmu jako epizodu, zawsze relatywizowano jego rolę, że świadomie ją pomniejszano, rozmywano lub wręcz usprawiedliwiano, choć i takie przypadki miały miejsce (w czym niemałe usługi świadczyła teoria totalitaryzmu). Nie można również lekceważyć roli tego piśmiennictwa, w którym wskazywano na XIX-wieczny rodowód wielu idei, które potem odnajdywały się w narodowym socjalizmie. Wiele tu pozycji ważnych, przenikliwych i inspirujących⁵. Wiemy wszakże, że historycy idei nie są z zasady najlepiej przygotowani do badań nad historią integralną. Studiując programy i deklaracje, rozbierając finezyjne konstrukcje myślowe, porównując reprezentatywne wypowiedzi tytanów intelektu, nie zawsze łączą je dostatecznie głęboko z trendami społecznego rozwoju, nie badają zjawisk i tendencji, przewrotów i odwrótów w tym rozwoju od strony ich zakresu, zakorzenienia, faktycznej siły i tym samym ich reprezentatywności. Tym samym utwierdzają oni mity i ulegają stereotypom i nawet kiedy je zwalczają, zastępują stare nowymi. Historycy idei dobrze wiedzieli, że przed rokiem 1918 był rok 1914, a jeszcze wcześniej czas Rzeszy Bismarcka i Wilhelma II, w którym nader spektakularnie pojawiały się i nabierały impetu prądy i formowały poglądy i całe zespoły haseł, które wejdą do owego *vocabularium*, które zwykło się będzie nazywać zasadami „narodowosocjalistycznego światopoglądu”. Ale rzadko układali te hasła w system hierarchii, mylili przesłanki ich kariery ze skutkami praktycznego oddziaływania i jeszcze rzadziej pytali o tajniki i zakres ich społecznej akceptacji⁶.

Werner Jochmann nie był historykiem idei, profesorem Ideengeschichte. Zafascynowany karierą narodowego socjalizmu, skutkami jego bezprzykładnego zwycięstwa w 1933 r. oraz sporami historyków i polityków o jego miejsce w dziejach niemieckich, postanowił zbadać jego „prehistorię” na dwóch wielkich obszarach: przez lata śledził społeczno-polityczne metamorfozy, przez jakie przechodził od połowy XIX w. ewangelicki Kościół w Niemczech, o którym od dawna wiadano, że udzielił Hitlerowi swego poparcia, oraz poddawał gruntownej, opartej na źródłach różnej proveniencji analizie społeczne i polityczne afiliacje antysemityzmu w tym okresie⁷. Zresztą nie rozdzielał tych ob-

⁵ Początek temu nurtowi dał G.I. Mosse, *Kryzys ideologii niemieckiej*, 1970, w literaturze polskiej F. Ryszka w pionierskiej rozprawie *Państwo stanu wyjątkowego. Rzecz o systemie państwa i prawa w Trzeciej Rzeszy*, Wrocław i in. 1968 (kilka wydań).

⁶ Por. H. Olszewski, *Nauka historii w upadku. Studium o historiografii i ideologii historycznej w imperialistycznych Niemczech*, Warszawa – Poznań 1982, passim oraz idem, *Kryzys społeczny* (jak w przyp. 1), s. 149 i n.

⁷ W. Jochmann, *Gesellschaftskrise und Judenfeindschaft in Deutschland 1870–1945*, Hamburg 1988, s. 9.

szarów. Dochodził m.in. do wniosku, że przyszedł taki czas, w którym nienawiść do Żydów spajała ewangelików bardziej niż zasady luterkańskiej ortodoksji⁸. Dowiódł w sposób przekonujący, że antysemityzm już sto lat przed Hitlerem zdominował wyobraźnię niemieckiego społeczeństwa, stając się powoli jego światopoglądem i w miarę rozwoju wydarzeń wywierał coraz większy wpływ na politykę, ustrój i mentalność szerokich jego warstw⁹. Nie miał tu poprzedników w literaturze niemieckiej. Zrobił to, co w innej przestrzeni uczynił jego mistrz Fritz Fischer, który w pierwszych latach sześćdziesiątych oddemonizował tezę o podstępny wciągnięciu kraju w pierwszą wojnę światową¹⁰. I jak Fischer skupił wokół siebie tylko nieliczne grono uczniów i współpracowników. Ceniony zagranicą, akceptowany zwłaszcza przez żydowską diasporę, z dystansem przyjmowany był przez *communis opinio doctorum* we własnym kraju. Historycy i publicyści niemieccy odwracali się od niego, nawet jeżeli nie kryli szacunku dla jego intencji i jego kompetencji. Nieliczne recenzje jego tekstów rzadko trafiały na czołowe strony gazet¹¹. Zresztą z siłą jego argumentów, wysnutych z głębokiej wiedzy o gospodarce, o rozwarstwieniach i konfliktach społecznych, o ustroju i układach politycznych, o panoramie ideowych sporów od połowy XIX stulecia poczynając, trudno było prowadzić dyskurs w kategoriach naukowych. Przechodzono więc najczęściej nad nimi do porządku i nawet po śmierci autora w 1994 r. niewiele się pod tym względem zmieniło. Było to najpewniej prostym następstwem okoliczności, że obrazy, jakie autor odsłaniał, głęboko zawstydzaly. Kiedy przed laty zwróciłem się do redakcji renomowanej Poznańskiej Biblioteki Niemieckiej o poświęcenie jednego z tomów tekstom Wernera Jochmanna, proponując ich przekład i wyrażając gotowość napisania wstępu, spotkałem się z pełnym zrozumieniem i przyzwoleniem polskiego współwydawcy serii, ale zarazem z równie jednoznaczną odmową jego niemieckiego kolegi, skądinąd dobrego historyka, od lat współpracującego z polskim środowiskiem naukowym. W opinii o konspekcie napisał on, że Niemcy wydały wielu historyków – specjalistów historii współczesnej, którzy bardziej

⁸ Ibidem, s. 10–12.

⁹ Por. m.in. *Ausgewählte Dokumente zur Geschichte des Nationalsozialismus 1933–1945*, Kommentar. Hrsg. von H.-A. Jacobsen und W. Jochmann, Bielefeld 1966, s. 9 i n.

¹⁰ F. Fischer. *Griff nach der Weltmacht. Die Kriegszielpolitik des kaiserlichen Deutschlands 1914–1918*, Düsseldorf 1961 oraz idem, *Krieg der Illusionen. Die deutsche Politik von 1911–1914*, Düsseldorf 1969. Prace Fischera spotkały się z zaciętym odporem konserwatywnych historyków w Niemczech Zachodnich, wywołując trwającą lata tzw. Fischer-Kontroverse.

¹¹ Obszerna i pochlebna recenzja z antologii *Gesellschaftskrise und Judenfeindschaft* ukazała się na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung” (*Tief verwurzelt in Kultur und Gesellschaft. Werner Jochmanns Studien zur Judenfeindschaft*, 4 X 1989), ale jej autorem był Julius Schoeps, niemiecki historyk żydowskiego pochodzenia. Sprawozdawcza recenzja ukazała się w „Deutscher Allgemeiner Sonntagsblatt” (20 I 1989) anonimowo. Pozytywnie zareagowały środowiska żydowskie za granicą.

zasłużyli się nauce niemieckiej i są dla jej siły bardziej reprezentatywni. W pewnym sensie miał rację; Jochmann bowiem w wielu kwestiach płynął pod prąd mniemań zakorzenionych w historiografii. Ale właśnie to skłania do zaabsorbowania uwagi czytelnika polskiego jego głęboko przemyślanymi i jakże ważnymi ustaleniami. Serdecznie dziękuję prof. Ursuli Büttner za wiele cennych informacji i za udostępnienie będącej w jej posiadaniu spuścizny po zmarłym Mistrzu. Wdzięczny jestem za słowa zachęty, jakie sformułowali w swych opiniach o celowości tej inicjatywy wybitni polscy specjaliści: profesorowie Jan Baszkiewicz, Karol Jonca i Anna Wolff-Powęska. Składam wyrazy podziękowania Rektorowi Wyższej Szkoły Handlu i Prawa im. Ryszarda Łazarskiego w Warszawie, który bez wahania zgodził się pokryć główną część kosztów publikacji i umieścić w serii swoich rozpraw. Dziękuję za dofinansowanie publikacji Ministerstwu Nauki i Informatyzacji oraz dziekanowi Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, prof. Andrzejowi J. Szwarcowi. Słowa podziękowania kieruję do dyrektora Wydawnictwa Poznańskiego, dra Ryszarda Wryka za włączenie jej do planu wydawniczego i sprawne pokierowanie drukiem.

II

Pasje naukowe Wernera Jochmanna miały swój początek z pewnością w losach, jakich nie szczędził mu burzliwy czas. Urodził się w 1921 r. w łużyckiej wsi Buisig koło Zgorzelca w wielodzietnej rodzinie chłopskiej. Wczesna strata ojca, który zmarł w wyniku ran odniesionych na frontach pierwszej wojny światowej, doprowadziła rodzinę do biedy; przyjęcie do gimnazjum było możliwe tylko dzięki stypendium dla szczególnie uzdolnionej młodzieży. Potem przyszły trudne lata trzydzieste: Jochmann należał do pokolenia, które jako pierwsze odebrało w pełni „narodowosocjalistyczne” wychowanie, ale które też jako pierwsze otrzymało szansę uwolnienia się ze szponów nazizmu. Członek Hitlerjugend, po maturze w 1940 r. ochotniczo wstąpił do Wehrmachtu. Przeszedłszy przyspieszony kurs wojskowego przeszkolenia w Alzacji, w czerwcu 1941 r. znalazł się na froncie wschodnim. Tu wkrótce podważona została wiara młodego żołnierza w narodowy socjalizm. Jochmann został skonfrontowany z brutalną rzeczywistością reżimu: zobaczył w akcji oddziały specjalne formacji SS i stał się świadkiem zbiorowego mordu na ludności białoruskiej. Ciężko ranny w pierwszych tygodniach wojny znalazł się w szpitalu we Wrocławiu, gdzie w rozmowach z współtowarzyszami niedoli i personelem miał możliwość pogłębienia swej wiedzy o praktyce podbijania Europy przez totalitarną Rzeszę. Po zaleczeniu ran rozpoczął w 1942 r. studium historii, germanistyki, geografii

i filozofii na Uniwersytecie Wrocławskim. Pierwszą pracę seminaryjną pisał u Waltera Görlitz, w końcu jednak związał się z Hermannem Aubinem, wybitnym, choć znanym z konserwatywnych poglądów historykiem mediewistą. W niemiecko-polskim historiograficznym „dialogu” z lat trzydziestych Aubin zajmował pozycje nacjonalistyczne, ale Jochmann cenił go za rzetelny warsztat i dobrze rozumiał, że mistrz, mając „niearyjską” żonę, której nie chciał opuścić, niejako skazany był na różne kompromisy z władzą. Po wojnie Jochmann otrzymał etat na Uniwersytecie w Jenie, ale polityczna atmosfera w sowieckiej strefie okupacyjnej, prowadzona przez komunistów indoktrynacja, żywo przypominająca proces „ujednolicania” kraju z 1933 r., rychło doprowadziła go do konfliktu z uczelnianą komórką KPD, nakazała opuścić zapowietrzony Uniwersytet i wyemigrować na Zachód. U boku Aubina był asystentem najpierw w Getyndze, a wkrótce potem w Hamburgu, gdzie w 1949 r. obronił doktorat z zakresu historii wieków średnich¹². Warsztat mediewisty mu się przydał, ale średniowiecze go nie frapowało; pociągała go historia współczesna, w której chciał szukać odpowiedzi na dręczące go „gorące”, ba – „wybuchowe”, pytania o przesłanki sukcesu i klęski narodowego socjalizmu. Nie przyjął więc zaszczytnej propozycji współpracy przy kontynuowaniu edycji *Monumenta Germaniae Historica*; został nauczycielem w prywatnym gimnazjum, a równocześnie uczęszczał na seminarium historii społecznej i metodologii nauk, prowadzone przez znanego badacza Ottona Brunnera.

Kontakt z uczelnią opłacił się Jochmannowi sowicie, bo oto w roku 1953 otworzyła się przed nim oczekiwana od dawna szansa: uzyskał asystenturę u Fritza Fischera, który kierował wtedy Katedrą Historii Współczesnej na Uniwersytecie w Hamburgu. Fischer, zasłużony badacz wczesnych czasów nowożytnych, a także teolog z wykształcenia, widział wtedy jeszcze raczej w ideach i dyplomacji główne siły napędowe w dziejach. Werner Jochmann był tym, który – uzbrojony w wiedzę i wyobraźnię mediewisty, zaczerpniętą u Aubina oraz przekonany do nowoczesnej historii społecznej uprawianej przez Brunnera – nie tylko uczył się u Fischera warsztatu historyka współczesności, ale i walczył przyczynił się do skłonienia mistrza do podjęcia kompleksowych badań nad przyczynami „wielkiej wojny”, łączących idee i politykę gabinetową z historią gospodarczą i społeczną. Prowadzenie wraz z Fischerem jego ogromnego, ponadstuosobowego seminarium doktorskiego, którego większość stanowili

¹² W. Jochmann, *Der Hamburger Handel im 13. und 14. Jahrhundert*, Phil. Diss., Hamburg 1949. Praca nie została opublikowana. Pokłosiem doktoratu pozostały dwa drobne studia, pokazujące wszakże znakomity warsztat: *Hamburgisch-schlesische Handelsbeziehungen. Ein Beitrag zur abendländischen Wirtschaftsgeschichte*, [w:] *Geschichtliche Landeskunde und Universalgeschichte. Festgabe für Hermann Aubin*, Hamburg 1950 oraz *Hamburgs Fürsorge für die Schifffahrt auf der Unterelbe. Anhang 2 zum Memorandum zur Frage der staatlichen Selbständigkeit der Freien und Hansestadt Hamburg*, verfaßt von H. Aubin, W. Jochmann und H. Tschentscher, Hamburg 1953.

złaknieni wiedzy kombatanci, dawało okazję do głębokich przemyśleń, skłaniało do dialogu i w końcu do ukształtowania się bogatych dalekosiężnych naukowych planów. U obu dojrzała myśl o potrzebie syntetycznego postrzegania czasów najnowszych. Jochmann nie tylko pomagał doskonalić pisane na seminarium dysertacje, ale i po długich perswazjach zdołał przekonać mistrza do ujęcia ich wieloletnich dyskursów nad polityką zagraniczną schyłku cesarstwa niemieckiego w syntezę książkowe. Tak powstały monumentalne dzieła *Griff nach der Weltmacht* i *Krieg der Illusionen*, stanowiące najważniejsze monografie pióra niemieckiego historyka lat sześćdziesiątych¹³. Po latach stary mistrz nie krył podziwu i wdzięczności dla ucznia za liczne inspiracje. Jeszcze po latach przyznawał, że od początku widział w nim równorzędnego naukowego partnera, który ma szczególny dar przekonywania do swoich racji¹⁴.

W roku 1960 Werner Jochmann został – z rekomendacji Fischera, Brunnera a także znanego metodologa nauk historycznych Egmonta Zechlina – powołany przez Senat miasta na stanowisko dyrektora Zakładu Badań nad Historią Narodowego Socjalizmu w Hamburgu (Forschungsstelle für die Geschichte des Nationalsozialismus in Hamburg). Funkcja była zaszczytna, ale niosła w sobie ryzyko i dla nominata stanowiła akt niemałej odwagi. W zamierzeniach władz krajowych Hamburga Zakład miał kontynuować dzieło swego poprzednika, którym był rozwiązany właśnie Zakład Historii Hamburga w latach 1933–1945 (Forschungsstelle für die Geschichte Hamburgs von 1933 bis 1945), który przez siedem lat nie mógł się poszczycić żadnymi istotniejszymi dokonaniem. Jochmann jednak od początku dążył do poszerzenia zakresu jego działalności, tak by objęła ona także czas, który mógł wyjaśnić rozliczne przesłanki zwycięstwa NSDAP z 1933 r. oraz ukazać to, co naziści po sobie zostawili. Było to zgodne z jego postrzeganiem historii jako nauki podejmującej badania integralne. Chciał badać historię współczesną, opartą na źródłach proveniencji miasta Hamburga, ale w perspektywie ważną dla historii całych Niemiec. Tak szeroki kwestionariusz zadań nadawał placówce rangę zbliżoną do tej, jaką posiadał potężny, reprezentatywny i wielce już zasłużony Instytut Historii Współczesnej (Institut für Zeitgeschichte) w Monachium, kierowany przez Martina Broszata. Tymczasem środki, jakie jej nowy szef otrzymał do dyspozycji, były skromne. Dopiero po dwóch latach mógł on zatrudnić dwie siły pomocnicze, zaś dopiero po czterech oddano mu do dyspozycji drugi etat naukowy. Mimo to odniósł

¹³ Por. przyp. 9.

¹⁴ F. Fischer, *Erinnerung an die Zeit der Zusammenarbeit mit Werner Jochmann*, [w:] *Das Unrechtsregime. Internationale Forschung über den Nationalsozialismus*. Bd. 1: *Ideologie – Herrschaftssystem – Wirkung in Europa*, Hrsg. von U. Büttner unter Mitwirkung von W. Johe und A. Voß, Hamburg 1986, s. IX–XIV.

sukces. Zdawał sobie sprawę, że oddanie placówki w służbę nowoczesnej historii społecznej wymaga zgromadzenia wielkich zasobów źródeł, umożliwiających badania użytkownikom. Przejmował więc materiały partii politycznych i związków zawodowych, gromadził spuścizny miejscowych notabli, kompletował tytuły prasowe, uzupełniał księgozbiór dokumentami cechów, poszerzał bazę archiwum; włączając doń m.in. przebogate materiały dotyczące historii kościołów. Ważnym wydarzeniem we wczesnej fazie działalności Zakładu stało się przejęcie zasobów Hamburskiej Biblioteki Historii Społecznej i Ruchu Robotniczego (Hamburger Bibliothek für Sozialgeschichte und Arbeiterbewegung) – daru krajowej centrali Socjaldemokratycznej Partii Niemiec. Dbał też o wizerunek placówki; organizował wystawy, popularyzował zasoby, występował z referatami i artykułami w prasie, zapraszał znanych polityków. Wciąż przy tym poszerzał kontakty naukowe. Wkrótce „Instytut Jochmanna” – tak bowiem często zwykło się nazywać jego Zakład – stał się ważnym centrum badań nad historią współczesną, miejscem spotkań, forum wymiany myśli i warsztatem pracy uczonych z całego świata. Najliczniej przyjeżdżali tu uczeni żydowscy i polscy, którzy byli tu szczególnie chętnie widziani, znajdując dobre warunki pracy nie tylko w skromnych, ciasnych pomieszczeniach Zakładu, ale i spotykając się z niezwykłą gościnnością gospodarza. Goście chętnie podkreślali, że placówka stanowi prawdziwą oazę dla rzetelnej pracy twórczej i wymiany myśli w niepowtarzalnej atmosferze (Insel der Menschlichkeit).

Najcenniejszym i najbardziej znanym w świecie biletym wizytowym Forschungsstelle für die Geschichte des Nationalsozialismus były publikacje naukowe, które z inspiracji Jochmanna i pod jego redakcją ukazywały się regularnie w renomowanej hamburskiej oficynie Christiansa. Były to monografie pisane na zlecenie władz oświatowych miasta (np. dwutomowa historia Hamburga¹⁵), ale przede wszystkim ważne i długie serie wydawnicze: „Veröffentlichungen der Forschungsstelle für die Geschichte des Nationalsozialismus in Hamburg”, „Hamburger Beiträge zur Zeitgeschichte” i „Hamburger Beiträge zur Sozial- und Zeitgeschichte”. Obejmowały one szeroki wachlarz zagadnień z zakresu historii społecznej XIX i XX stulecia, daleko wykraczających poza problematykę historii regionalnej czy lokalnej, a ich autorami byli autorzy różnych generacji, różnych opcji i wielu narodowości, którzy swymi tekstami albo zdobywali naukowe ostrogi, albo naukową sławę umacniali.

Nawet krótki i z natury rzeczy powierzchowny przegląd poszczególnych serii wydaje się sensowny i głęboko pouczający. I tak przeobrażenia w szkolnictwie Hamburga w latach 1890–1935 posłużyły Hildegardzie Milberg za punkt

¹⁵ W. Jochmann, *Die Handelsmetropole des Deutschen Reichs*, [w:] *Hamburg. Geschichte der Stadt und ihrer Bewohner*. Bd. 2: *Vom Kaiserreich bis zur Gegenwart*, Hrsg. von W. Jochmann, Hamburg 1986. Szereg studiów powstało z inspiracji Landeszentrale für politische Bildung.

wyjścia do ogólnych refleksji na temat polityki oświatowej w pluralistycznym społeczeństwie Rzeszy¹⁶. Wzorcowej analizie organizacji i funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości w Hamburgu w latach 1933–1945 dokonał Werner Johe¹⁷. Z dużym uznaniem spotkały się studia poświęcone ekstremalnemu radykalizmowi na prawicy w Republice Weimarskiej: Iris Hamel o Völkischer Verband w latach 1893–1933¹⁸, Uwe Lohalm o Deutschvölkischer Schutz- und Trutzbund w latach 1919–1923¹⁹ i Berndta Nellessena o losach Falangi²⁰. Trudno nie wspomnieć o monografiach z zakresu wydarzeń po lewej stronie politycznej sceny: o rozprawach Holgera Christiera o polityce SPD i KPD w Hamburgu w latach 1945–1949²¹, Petera Brandta o dziejach antyfaszystowskiego ruchu robotniczego w Bremie w latach 1945–1946²² czy Zwi Rosena studium o drzewie genealogicznym marksizmu²³. Do podstawowej literatury weszły studia Ursuli Büttner o krzysie gospodarczym i politycznym schyłku Republiki w Hamburgu oraz o życiu codziennym hamburskich Żydów²⁴. Obie monografie, bazując na danych proveniencji lokalnej, przynosiły w gruncie rzeczy kapitalny materiał o poważnym walorze poznawczym w odniesieniu do całych Niemiec. Niektóre prace obejmowały z założenia problemy ogólne Rzeszy: Trzeba tu wymienić fundamentalne studium Arnolda Pauckera pt. *Der jüdische Abwehrkampf gegen Antisemitismus und Nationalsozialismus 1928–1933*²⁵, a także rozprawy Alfreda Kantorowicza o literaturze antynazistowskiej na emigracji²⁶, Konrada Kwiet i Helmuta Eschwege o walce Żydów z reżimem Hitlera²⁷ oraz Hansa-Joachima Biebera o sukcesach i niepowodzeniach związków

¹⁶ H. Milberg, *Schulpolitik in der pluralistischen Gesellschaft. Die politischen und sozialen Aspekte der Schulreform in Hamburg 1890–1935*, Hamburg 1970.

¹⁷ W. Johe, *Die gleichgeschaltete Justiz. Organisation des Rechtswesens und Politisierung der Rechtssprechung 1933–1945*, Frankfurt a.M. 1970.

¹⁸ I. Hamel, *Völkischer Verband und nationale Gewerkschaft. Der Deutschnationale Handlungsgehilfen-Verband 1893–1933*, Frankfurt a.M. 1967.

¹⁹ U. Lohalm, *Völkischer Radikalismus. Die Geschichte des Deutschvölkischen Schutz- und Trutzbundes 1919–1923*, Hamburg 1970.

²⁰ B. Nellessen, *Die verbotene Revolution. Aufstieg und Niedergang der Falange*, Hamburg 1963.

²¹ H. Christier, *Sozialdemokratie und Kommunismus. Die Politik der SPD und der KPD in Hamburg 1945–1949*, Hamburg 1975.

²² P. Brandt, *Antifaschismus und Arbeiterbewegung. Aufbau – Ausprägung – Politik in Bremen 1945–46*, Hamburg 1976.

²³ Z. Rosen, *Moses Hess und Karl Marx. Ein Beitrag zur Entstehung der Marxschen Theorie*, Hamburg 1983.

²⁴ U. Büttner, *Hamburg in der Staats- und Wirtschaftskrise 1928–1931*, Hamburg 1982; eadem, *Politische Gerechtigkeit und sozialer Geist. Hamburg zur Zeit der Weimarer Republik*, Hamburg 1985.

²⁵ Hamburg 1967; 2. Wyd. 1969.

²⁶ A. Kantorowicz, *Politik und Literatur im Exil. Deutschsprachige Schriftsteller im Kampf gegen den Nationalsozialismus*, Hamburg 1978.

²⁷ K. Kwiet, H. Eschwege, *Selbstbehauptung und Widerstand. Deutsche Juden im Kampf um Existenz und Menschenwürde 1933–1945*, Hamburg 1984; wyd. 2, 1986.

zawodowych w Niemczech w latach 1914–1920²⁸. Wolfgang Jacobmeyer wprowadził do serii „Hamburger Beiträge zur Zeitgeschichte” akcenty polskie, publikując w roku 1975 unikalną, bo opartą na niedostępnym wtedy w Polsce materiale, książkę o początkach polskiego podziemia w czasie drugiej wojny światowej²⁹.

Zrozumiałe, że Werner Jochmann nie tylko inspirował autorów do publikowania wyników ich badań w seriach wydawniczych Zakładu, ale i sam ogłaszał w nich wiele własnych tekstów. Już w 1960 r. zwrócił na siebie uwagę środowiska, kiedy w pracy *Im Kampf um die Macht*³⁰ przedrukował mowę Hitlera wygłoszoną w hamburskim klubie przemysłowców w 1926 r. W starannym komentarzu, który dobrze odzwierciedlał jego mediewistyczne przygotowanie³¹, podkreślał, że przywódca NSDAP, obrawszy legalną drogę do władzy, z rozmysłem kreślił przed ekskluzywnym audytorium rozległe plany ekspansji, natomiast ani słowem nie wspomniął o tak fundamentalnych zasadach narodowosocjalistycznej polityki, jaką miały być rasizm i antysemityzm, i dzięki zręcznej taktyce odniósł sukces. Trafność tej uwagi potwierdziła późniejsza publikacja *Hitlers Zweites Buch*, zawierająca spisane przez Hitlera uwagi o planowanych kierunkach narodowosocjalistycznej polityki zagranicznej³². Sam Jochmann rozwinął swą tezę w napisanej wspólnie z Berndem Nellessenem biografii Hitlera³³. W 1963 r. w publikacji *Nationalsozialismus und Revolution* pytanie o siły społeczne wspierające ruch NSDAP zostało już postawione wyraźnie. Autor kierował swe spojrzenie na liczne volkistowskie i antysemickie organizacje i stowarzyszenia, które z ideologicznych i taktycznych względów wchodziły z nazistami w układy i sojusze, a które kończyły się ich przegraną. Przy pomocy wielu nowych źródeł pokazał też, jak północno-niemieckie skrzydło NSDAP, zorientowane zrazu bardziej „socjalistycznie”, wchłonięte zostało – m.in. wskutek różnic w strukturze społecznej – przez podporządkowane bezpośrednio Hitlerowi skrzydło Bawarczyków³⁴. Inspirującej roli uwag Jochmanna w tym zakresie nie można przecenić.

Szerokie zainteresowanie badaniami Wernera Jochmanna nad społecznymi i strukturalnymi przesłankami roku 1933 w środowisku skłoniły autora do

²⁸ H.-J. Bieber, *Gewerkschaften in Krieg und Revolution. Arbeiterbewegung – Industrie, Staat und Militär in Deutschland 1914–1920*, Bd. 1-2, Hamburg 1981.

²⁹ W. Jacobmeyer, *Heimat und Exil. Die Anfänge der polnischen Untergrundbewegung im 2. Weltkrieg*, Hamburg 1975.

³⁰ W. Jochmann, *Im Kampf um die Macht. Hitlers Rede vor dem Nationalklub von 1919*, Frankfurt/M 1960.

³¹ Podkreśliła ten fakt U. Büttner, *Über die Grenzen hinweg. Zum Tod von Professor Werner Jochmann...* (por. przyp. 2), tekst niepaginowany.

³² Ibidem.

³³ W. Jochmann, B. Nellessen, *Adolf Hitler. Persönlichkeit – Ideologie – Taktik*, Paderborn 1960.

³⁴ *Nationalsozialismus und Revolution. Ursprung und Geschichte der NSDAP in Hamburg 1922–1933. Dokumente*, Frankfurt/M.

pogłębienia bazy źródłowej w tym zakresie. W 1966 r. rozpoczął on wraz ze znanym politologiem z Bonn Hansem-Adolfem Jacobsenem wydawanie wyboru dokumentów do historii narodowego socjalizmu³⁵. W obszernym komentarzu zajął się jeszcze raz przyczynami sprawczymi sukcesu partii hitlerowskiej: już wówczas mniej interesowały go same hasła nazistów, formy ich propagandy; pytał o społeczne ugrupowania, które popierały NSDAP, frapowały go motywy, które je do tego skłaniały, mocno podkreślał wagę gospodarczych i politycznych interesów grupowych w walce o władzę. Uważał, że chybiona polityka finansowa rządu Brüninga w istotny sposób przyczyniła się do obalenia demokracji weimarskiej, gdyż pogłębiała kryzys gospodarczy i wzmacniała nastroje frustracji, sprzyjające Hitlerowi. Dochodził do wniosku, że ruch Hitlera mógł zwyciężyć tylko w sytuacji, kiedy w państwie zaistniało swoiste *vacuum*, w którym stary porządek społeczny przestał istnieć, zaś nowy jeszcze się nie ukształtował³⁶.

Rozważania nad rozwarstwianiem się społeczeństwa niemieckiego prowadziły Jochmanna do badań nad ruchem robotniczym, nad liberalizmem, nad ideologią niemiecką, w szczególności do wieloletnich pionierskich studiów nad dziejami niemieckiego antysemityzmu. Zafascynowanie rozmiarami antysemityzmu, o czym będzie jeszcze mowa – zwróciło jego uwagę na rolę dziewiętnastowiecznego polityka i dworskiego kaznodziei Adolfa Stoeckera³⁷, który przez pewien czas był największym jego propagatorem. Studia nad Stoeckerem zmuszały z kolei do zajęcia się rolą kościołów w rozwoju narodowego socjalizmu. Szczególnie wnikliwie studiował Jochmann dzieje Kościoła ewangelickiego, który – jak wiadomo – wcześniej udzielił Hitlerowi swego błogosławieństwa. Dwa najważniejsze studia na ten temat znajdzie czytelnik w niniejszym tomie³⁸.

³⁵ *Ausgewählte Dokumente zur Geschichte des Nationalsozialismus 1933–1945*, Hrsg. von H.-A. Jacobsen und W. Jochmann, Bielefeld 1961–1966 (dwa tomy dokumentów i komentarz).

³⁶ W. Jochmann, *Brünnings Deflationspolitik und der Untergang der Weimarer Republik*, [w:] D. Stegmann, B.-J. Wendt- P.-C. Witt (Hrsg.), *Industrielle Gesellschaft und politisches System. Beiträge zur politischen Sozialgeschichte. Festschrift für Fritz Fischer zum 70. Geburtstag*, Bonn 1978, s. 97–112.

³⁷ *Stoecker als nationalkonservativer Politiker und antisemitischer Agitator*, [w:] G. Brackelmann, M. Greschat, W. Jochmann, *Protestantismus und Politik. Werk und Wirkung Adolf Stoeckers*, Hamburg 1982.

³⁸ *Evangelische Kirche und politische Neuorientierung in Deutschland 1945*, [w:] *Deutschland in der Weltpolitik des 19. und 20. Jahrhunderts*, Hrsg. von I. Geiss und B.-J. Wendt, Düsseldorf 1975, s. 545–562 ; *Die deutsche evangelische Kirche und die Politik in der Nachkriegszeit 1945–1950*, [w:] *Die Zeit nad 1945 als Thema kirchlicher Zeitgeschichte*, Hrsg. von V. Conzemius, M. Greschat, H. Kocher, Göttingen 1988, s. 194–212. Zob. też W. Jochmann, *Der Säkularisierungsprozeß in Deutschland und der Nationalsozialismus*, [w:] *Religion und Politik in der Gesellschaft des 20. Jahrhunderts*, Hrsg. von S. Talmon und G. Siefer, Bonn 1978.

III

Werner Jochmann nie uważał się za metodologa historii. Uważnie śledził wielkie debaty o charakterze teoretycznym, jakie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych wstrząsały środowiskiem historyków niemieckich, ale w nich rzadko uczestniczył. Raziły go ich prezentyzm, ich instrumentalizm połączony z dążeniem do relatywizowania przeszłości, przede wszystkim zaś przemilczanie tego, co w niej było złe, niewygodne, wstydlive, przerażające czy wręcz porażające. Nie znaczy to, że bliska mu była myśl o nauce, która może być „chemicznie czysta” i politycznie indyferentna, „obiektywna” i pozbawiona wartości. Przeciwnie – mocno podkreślał, że nauka historii wyjaśnia i wychowuje, pod warunkiem wszelako, że opiera się na solidnym warsztacie i dążeniu do prawdy, a także na hierarchii zasad moralnych, których wierchołkiem jest godność i wolność jednostki żyjącej w społeczeństwie i państwie. Taki sąd narzucał jego badaniom zasady rygorystyczne, ale zarazem proste. „Czytelnik na pewno sam zauważy, w czym różnię się od innych” – mawiał, zakładając – może zbyt optymistycznie – że znajomość literatury fachowej jest powszechna w obywatelskim społeczeństwie. Pierwszym dogmatem było zatem przeświadczenie, że skoro historia to droga ku teraźniejszości, ta zaś stanowi punkt wyjścia drogi w przyszłość, to trzeba stawiać jej wciąż nowe pytania, pytania obejmujące różne sfery zjawisk. Jochmann wykazywał zdumiewająco rozległe zainteresowania badawcze, obejmujące czas od połowy XIX po schyłek XX w., rozciągające się na obszar Niemiec i krajów sąsiednich, głęboko wnikające w życie społeczne, politykę rządów, struktury partii i stowarzyszeń, stanowisko kościołów, sferę nauki i roli uczonych, postawy elit i mas. Badał historię regionów, bo była odskocznią do uogólnień, bo pozwalała – w oparciu o najbardziej wiarygodne źródła – formułować sądy o walorze ogólnym, a także uwzględniała osiągnięcia dyscyplin pokrewnych. Często poddawał badaniu życie poszczególnych jednostek³⁹ i wynikało to nie z tego, że biografistyka – zwłaszcza biografistyka w starym stylu – była mu szczególnie bliska, albo że fascynowały go losy „wielkich osobistości”. Uprawiał ją po to, by zyskać oparcie dla szerszych analiz społecznych. Wielkim osiągnięciem okazały się tu w szczególności opisane przezeń losy hamburskich rodzin żydowskich⁴⁰. Fritz Fischer tak określał etos naukowy swego ucznia: „Był i pozostał surowy w wyborze zasad, zawsze bliski źródłom i pomysłowy w docieraniu do nowych dokumentów, wielce nie-

³⁹ Po. Leo Lippmann, *Mein Leben und meine amtliche Tätigkeit*, Hrsg. von W. Jochmann, Hamburg 1964; W. Jochmann, *Friedrich Naumann*, [w:] *Gestalten der Kirchengeschichte*, Hrsg. von M. Greschat, Bd. 10 cz.1, Stuttgart 1985.

⁴⁰ *Lebensbilder und Dokumentation*, [w:] *Der Untergang der Hamburger Juden. Gedenkveranstaltung des Senats der Freien und Hansestadt Hamburg, der Jüdischen Gemeinde, des europäischen B'nai B'rith sowie der Joseph-Carlebach'Loge am 2. Oktober 1983*, Hamburg 1984.

chętny wszelkim frazom, nieufny wobec doktrynerstwa, przy tym wrażliwy na rolę, jakie w historycznym procesie grały ideologie, religie i pseudoreligie”⁴¹.

Łącząc estymę dla nauki historii, której powołaniem jest głosić prawdę, z przekonaniem o obowiązku historyka prawdy tej popularyzowania, był Werner Jochmann wzorem pedagoga, który chciał wyjaśniać, tłumaczyć, wychowywać. Przeciwnicy złośliwie nazywali go „misjonarzem narodu” (*Umerzieher der Nation*). Swą misję upatrywał w dociekaniu przyczyn zwycięstwa narodowego socjalizmu w kraju „poetów i myślicieli”. Jak to było możliwe? – pytał, odkąd zobaczył jednostki specjalne SS, topiące białoruskie dzieci i odkąd dane mu było zobaczyć getto żydowskie w Kielcach. Jakie było źródło sukcesów narodowego socjalizmu i jaka tajemnica faktu, że poparł Hitlera prawie cały naród? Jakie motywy tkwiły u podstaw poparcia, jakiego siły polityczne Niemiec udzieliły totalitaryzmowi? I nie na końcu – kiedy społeczeństwo znalazło się w szponach antysemityzmu, który stał się fundamentem nazistowskiego światopoglądu?

Jochmann od początku pojmował swą misję nader osobiście. Dlatego szukał kontaktów z przedstawicielami nauki przede wszystkich tych krajów, które w wyniku zbrodniczej polityki Trzeciej Rzeszy najbardziej ucierpiały, czyli z uczonymi żydowskimi i polskimi. Był pierwszym niemieckim historykiem nieżydowskiego pochodzenia, któremu udało się zbudować rodzaj przyczółka inaugurującego naukowe kontakty i współpracę badaczy niemieckich z żydowskimi; zdobył zaufanie partnerów dzięki publikacjom, ale i w wyniku działalności organizacyjnej. Pojednanie i zadośćuczynienie musi być – uważał – wspólnym dziełem nauki niemieckiej i żydowskiej. Świadom tego, że wciąż „chwyta gorące żelazo”, nie mógł liczyć na łatwy sukces. Zbliżenie następowało etapami⁴². W latach sześćdziesiątych został współpracownikiem Instytutu Leo-Baecka w Londynie i członkiem jego niemieckiego kuratorium. Z jego inicjatywy zjazdy historyków niemieckich w 1974 i 1978 r. poświęciły obrady jednej z sekcji refleksji nad przeszłością stosunków niemiecko-żydowskich. Jochmann przewodniczył obradom tych sekcji i wygłosił referaty wprowadzające⁴³. W 1980 r. został członkiem, a w kilka lat później przewodniczącym Hamburskiego Stowarzyszenia Współpracy Chrześcijańsko-Żydowskiej (*Hamburger Gesellschaft für Christlich-Jüdische Zusammenarbeit*), wszedł do zarządu ogólnoniemieckiego zarządu zrzeszającego ponad 70 jego filialnych organizacji. Działał w Niemieckim Kościele Ewangelickim (EKD) na rzecz podjęcia tematyki

⁴¹ F. Fischer, *Erinnerung an die Zeit...* (jak w przyp. 13), s. XIII.

⁴² S. Schüler-Springorum, *Die „Deutschenfrage“*. *Das Leo-Baeck Institut in Deutschland*, [w:] LBI Information Nr. 11, 2005, s. 24 i 52.

⁴³ Szczególne głębokie wrażenie wywarł na audytorium jego referat, wygłoszony na XXX Zjeździe w Brunshwiku w 1974 r. Druk: *The Jews and German Society in the Imperial Era*, Leo Baeck Institute, Yearbook XX, 1975.

antysemityzmu w historii tego Kościoła. Należał do zarządów ważnych fundacji: Fundacji im. Bubera – Rosenzweiga oraz Fundacji im. Elisabeth i Herberta Weichmannów, stawiających sobie za cel udzielanie pomocy uczonym żydowskim. Występował przed sądami w charakterze rzeczoznawcy w procesach przeciwko zbrodniarzom hitlerowskim, a także w postępowaniach o renty i odszkodowania dla pokrzywdzonych. Forschungsstelle für die Geschichte des Nationalsozialismus stała się ważnym miejscem wymiany myśli i inspiracji naukowych; Jochmann dbał nie tylko – o czym już była mowa wyżej – o ekspozowanie historii stosunków niemiecko-żydowskich w seriach wydawniczych Zakładu, ale i starał się „zrozumieć” swoich gości. Jego działania poruszały, ale także dziwiły i wielu irytowały. Często spotykał się z pytaniem, czy jednak i w jego żyłach nie płynie żydowska krew?⁴⁴

Kontakty Wernera Jochmanna z Polską i nauką polską mają metrykę sięgającą ery popaździernikowej. Nawiązał on wtedy naukową współpracę z czołowymi polskimi humanistami: Władysławem Markiewiczem, Marianem Wojciechowskim, Franciszkiem Ryszką i Jerzym Serczykiem. W latach siedemdziesiątych więzy wielostronnego współdziałania połączyły go z przedstawicielami środowisk historycznych Wrocławia, Poznania i Torunia: z Antonim Czubińskim, Karolem Joncą, Czesławem Łuczakiem Januszem Małłkiem, Henrykiem Olszewskim, Franciszkiem Połomskim, Mieczysławem Wojciechowskim, Markiem Maciejewskim. W dwóch księgach pamiątkowych, poświęconych reżimowi bezprawia hitlerowskiego, w których pisali uczeni z całego świata, przedstawiciele nauki polskiej byli reprezentowani najliczniej⁴⁵. Dla wszystkich był troskliwym opiekunem w czasie ich naukowych pobytów w Niemczech Zachodnich. Pamiętam swoje pierwsze spotkanie z nim jako dyrektorem Zakładu Badań nad Historią Narodowego Socjalizmu w Hamburgu z roku 1978. Oprowadzał mnie po bibliotece i wskazywał na grzbiety książek – a było tego kilka metrów bieżących – których lektura może mi być pomocna w pracy. Nie mówił: „To powinien Pan przeczytać”; po prostu cieszył się, że może mi tyle oferować. Był świetnym doradcą i nieocenionym dyskutantem; widział problemy tam, gdzie inni je gubili, zadawał pytania, których inni unikali; otwarty na argumenty, ważył je starannie⁴⁶, potrafił też uważnie słuchać racji partnera. Zwykł mawiać, że naukowy

⁴⁴ U. Büttner, *Über die Grenzen hinweg...* (jak w przyp. 2).

⁴⁵ Pisali Jerzy Serczyk, Franciszek Ryszka, Czesław Madajczyk, Franciszek Połomski, Antoni Czubiński, Henryk Olszewski, Karol Jonca.

⁴⁶ U. Büttner, *Werner Jochmanns Wirken...* (jak w przyp. 2), s. XXV. W opinii dla Senatu Hamburga z 18 I 1985 w sprawie nazwania jednej z ulic imieniem Ernsta Thälmana pisał, że z jednej strony szacunek i pamięć należy się wszystkim ofiarom narodowego socjalizmu, komunistom też, bo byli szczególnie brutalnie prześladowani za swe przekonania, ale z drugiej Thälmann i towarzysze byli zaprzysiężonymi wrogami demokracji i państwa prawnego, zwalczając nie tylko Hitlera, ale i Republikę Weimarską. W ostateczności konkluzja jego była negatywna (źródłem tej infor-

postęp dokonuje się w wymianie i ścieraniu się myśli: *Wissenschaft ist Gespräch*⁴⁷. Wciąż niezadowolony z własnych dokonań, był tytanem pracy; chciał dotrzymać kroku dewizie głoszącej zasadę „protestanckiej ascezy”. Ujmował otoczenie autentyczną skromnością; nie lubił reflektorów i wielkiej sceny. Występował publicznie tylko wtedy, kiedy uważał to za absolutnie konieczne. Odmawiał publikowania recenzji, bo miał skrupuły, czy jest dostatecznie kompetentny, by być cenzorem cudzego wysiłku. Jedną sobie ludzi także nieco staromodnym stylem bycia. Nie pisał na maszynie, z przerażeniem traktował zdobycze techniki elektronicznej, nie znosił autoreklamy i nigdy nie cytował własnych prac, pogardzał zasadami marketingu; strzegł akademickiej hierarchii w formach odziedziczonych po mistrzach. Kierował pracownikami bardziej jako wymagający ojciec niż menedżer, co zresztą nieraz narażało go na konflikty z otoczeniem. Choć nie znał języka polskiego, doskonale orientował się w dziejach polskich. Uczestniczył w pracach Wspólnej Polsko-Niemieckiej Komisji do spraw Podręczników Szkolnych z Historii i Geografii przy UNESCO⁴⁸; pisał źródłowe teksty o polityce hitlerowskiej wobec Polski i Polaków⁴⁹, żywo interesował się historią Kościoła ewangelickiego w Polsce. Planował – wraz z Martinem Greschatem – opublikowanie krytycznego komentarza do mało znanego opinii memoriału kierownictwa niemieckiego Kościoła ewangelickiego z 1965 r., zawierającego stosunek EKD do powojennej sytuacji w naszym kraju (*Ostdenkschrift*). Już po przejściu na emeryturę dbał – jako przewodniczący Komisji Historii Kościoła Polskiej Rady Ekumenicznej i Rady Ewangelickiego Kościoła Niemiec – o zacieśnienie wzajemnych kontaktów. Wraz z Januszem Małkiem zamierzał opublikować biografię zamordowanego przez hitlerowców ewangelickiego biskupa na Śląsku Juliusza Bursche⁵⁰.

Był zarówno erudycyjnie, warsztatowo, jak i moralnie świetnie przygotowany do pochylenia się nad trudnym problemem kontynuacji w niemieckich dziejach; nic przewodnia jego rozważań prowadziła od głębokich analiz kryzysu społecznego w industrialnej Rzeszy do rozbioru różnych form antysemityzmu jako najważniejszej z przesłanek ponurej kariery narodowego socjalizmu.

macji jest spuścizna autora, przechowywana przez Ursulę Büttner, której dziękuję za jej udostępnienie).

⁴⁷ H. Olszewski, *Werner Jochmann...* (jak w przyp. 2).

⁴⁸ Na posiedzeniu Komisji w Zamościu w październiku 1972 r. wygłosił fascynujący referat pt. *Przesiedlenia ludności jako element terytorialnej ekspansji państwa narodowosocjalistycznego*, Lublin 1973.

⁴⁹ W maszynopisie pozostały jego bogate w treść i rzetelne teksty, wygłaszane na polskich uczelniach: *Grundzüge der nationalsozialistischen Polenpolitik* (ms 1–19) oraz *Aufgaben und Zuständigkeiten der Polizei und besonders der Sicherheitspolizei im Generalgouvernement* (ms. 1–17). Zasługują one na polski przekład.

⁵⁰ U. Büttner, *Über die Grenzen hinweg...* (jak w przyp. 2).

IV

Kiedy w połowie lat sześćdziesiątych XX w. Werner Jochmann rozpoczął kompleksowe studia nad historią niemieckiego antysemityzmu, chodziło mu zrazu o przeciwstawienie się wygodnej dla mozolnie wyzwalającej się z upadku historiografii zachodnioniemieckiej, wtedy wiodącej tezy, że nienawiść wobec Żydów, która doprowadziła do Holokaustu, to dzieło Hitlera, który po 1933 r. narzucił ją społeczeństwu⁵¹. Rychło jednak z tych studiów wyłonił się inny, jakże odległy od stereotypu obraz: oto autor doszedł do przeświadczenia, że wrogość wobec Żydów nader wcześnie weszła do krwiobiegu rodzimej historii i gruntownie przeorała społeczną i duchową tradycję w szerokich kręgach społeczeństwa, na tyle głęboko, że Hitler mógł hasłem antysemityzmu skutecznie posłużyć się dla mobilizacji mas i wykorzystać je jako najważniejsze instrumentarium w walce z Republiką Weimarską. Stopniowo wysiłek autora obnażał zjawisko dla opinii zaskakujące i szokujące: oto antysemityzm wcale nie rodził się w warstwach gospodarczo i społecznie upośledzonych. Prawda – warstwy średnie i dolne chętnie demonstrowały przeciwko Żydom, uczestnicząc w hałaśliwych manifestacjach i powtarzając wypełnione nienawiścią parole. Ale prawdziwymi sprawcami antysemickiego ruchu, jego inspiratorami i siłami napędowymi były warstwy oświecone i kierownicze. Broniły w ten sposób swoich stanowych przywilejów, zagrożonych przez postęp cywilizacji zachodniej, przez niebywały wzrost ekonomiczny, przez powstanie i rozwój społeczeństwa masowego: industrialnego i konsumpcyjnego. Tłumaczył to zresztą racjonalnie: głębokie i gwałtowane przemiany niepokoją, przyjmowane są nieufnie i z oporami, zwłaszcza wtedy kiedy niosą z sobą zagrożenie. Prowokują stan, w którym szuka się winnych i odpowiedzialnych. Któż mógł być bardziej winny niż Żydzi? I kto powinien ponieść konsekwencje zaistniałej sytuacji? Żydzi byli ukazywani jako awangarda liberalizmu i demokracji parlamentarnej, zwłaszcza w czasie i po pierwszej wojnie światowej, kiedy to runął tradycyjny labilny stanowy ład w państwie i kiedy warstwy dolne i średnie, dźwigające główne brzemień wojny, ale i najbardziej dotknięte przez ciężary wojenne, uzyskały polityczne wpływy. I znów to Żydzi natychmiast stali się głównymi winowajcami zaistniałego stanu. Kryzys społeczny i antysemityzm szły w parze; kryzys budził poczucie zagrożenia i frustracje, rozczarowanie i gniew rodziły wrogość w stosunku do odpowiedzialnych za zło. Żydzi co prawda wyzwolili się w gospodarce kapitalistycznej ze społecznego upośledzenia, zarazem jednak szybko tracili polityczne oparcie, ponieważ w trudnym czasie bronili zasad wrogich kolektywizmowi. Pozostawiali obcymi, ponieważ nie dawali się włączyć

⁵¹ W. Jochmann, *Gesellschaftskrise und Judenfeindschaft...* (jak w przyp. 7), *Vorwort*, s. 9.

ani do nowej wspólnoty narodowo-volkistowskiej, ani pociągnąć przez socjalistyczne zasady solidaryzmu. Alians z liberałami był niepewny i okazał się przejściowy; kruszał nie tylko w konkurencji rynkowej, ale i pośród sporów o to, co jest „deutsch”, a co „undeutsch”, co stanowi „niemiecki rodzaj” (*deutsche Art*) czy jego istotę (*deutsches Wesen*). Również partie, stowarzyszenia, kościoły, organizacje społeczne, młodzieżowe, akademickie, sportowe dystansowały się od Żydów, którzy pozostawali symbolem tego, co antynarodowe, nieprzyjazne integracji, co osłabia poczucie bezpiecznych więzi. Stanowiło to wodę na młyn propagandy Hitlera, który wspólnocie narodowej obiecywał ochronę, jeżeli tylko ta odwróci się od swoich wrogów, a wśród tych na pierwszym miejscu nieodmiennie figurowali Żydzi. Hitler nie wymyślił antyżydowskich kompleksów, obaw i fobii, ale je umiejętnie powiązał z programem ich opanowania i skutecznie podporządkował swej polityce. Czująca się zagrożoną i spragniona bezpieczeństwa większość biernie też przyglądała się bezprawiu i prześladowaniom Żydów w Trzeciej Rzeszy. Właśnie ten smutny fakt – podkreślał Jochmann – zmusza do poddania rewizji stereotypu takiej postawy, która wielu dawała siłę pozwalającą w obliczu katastrofy zwrócić się przeciwko Hitlerowi, a nawet przeciwko narodowemu socjalizmowi, a jednocześnie trwać we wrogości w stosunku do Żydów. Tylko z uwzględnieniem tego aspektu można zrozumieć, dlaczego hitlerowska polityka „rozwiązania kwestii żydowskiej”, potem „ostatecznego” jej rozwiązania (*Endlösung*) była tolerowana, a nawet popierana przez ludzi, których skądinąd podziwiamy za determinację, z jaką pod koniec wojny zwalczali Hitlera. Rzecz właśnie w tym, że Hitler – jak podkreślał Werner Jochmann – „nie tylko oszukał naród i podstępnie go zwiódł, ale i w znacznym stopniu – znacznie wyższym, niż wielu chciałoby to przyjąć do wiadomości – go reprezentował”.

V

Powróćmy jednak do „prehistorii” owego zespołu zjawisk, które u autora prowadziło od społecznego kryzysu do antysemityzmu i od niego do narodowego socjalizmu. Antysemityzm w Niemczech był – zdaniem Wernera Jochmanna – następstwem zjednoczenia Niemiec w 1871 r. Jego korzenie tkwiły w gospodarczych i społecznych przeobrażeniach, które powstanie cesarstwa poprzedzały i w znacznym stopniu warunkowały. Głębokie zmiany, będące wyrazem i pokłosiem rozwoju kapitalizmu, z jego przemysłową, opartą na zasadzie zysku cywilizacją, ewoluującą hierarchią rynkowych wartości, sekularyzacją życia, drapieżnym indywidualizmem podzieliły społeczeństwo niemieckich krajów, wywołując brzemienne w skutki odzew w jego kulturze duchowej i preferencjach politycznych. Liberałowie witali gospodarczy rozwój jako za-

powieź większych zysków i pięknych karier, ale stare konserwatywne grupy czuły się zagrożone i zaczęły bronić stanu posiadania, m.in. szukając winnych tego stanu rzeczy. Żydzi, którzy kolaborowali z bogacącym się mieszczaństwem i z gospodarki czerpali korzyści, licząc przy tym na wzmocnienie swej pozycji politycznej i społecznej, stali się dla tej części społeczeństwa wymarzoną celem ataków, wrogiem odpowiedzialnym za powstałe zło. Widziano w nich niszczycieli dawnego ładu, podmiot destrukcji, wroga monarchii i ustroju stanowego, popleczników „religii narodowego liberalizmu”. Od Żydów dystansowały się oba Kościoły. Katolicy wskazywali na nich jako na anarchistów, bezbożników, wolnomularzy. „Kulturkampf” przedstawiano jako wojnę judaizmu z chrześcijaństwem; protestowano przeciw obecności Żydów w zawodach urzędniczych, w Reichstagu i parlamentach krajowych. Jeszcze silniejszy był antysemityzm w protestantyzmie, w którym zaczął on niebezpiecznie łączyć się z nacjonalizmem. W protestantyzmie o wiele mocniejsza okazywała się też niechęć do „stosowanego manczesteryzmu” i „materialistycznej obcości” wobec wszystkiego, co symboliczne dla niemieckości. „Jüdisches Wesen” stawało się przeciwieństwem „deutsches Wesen”.

W wyniku wieloletnich rozległych kwerend dochodził Jochmann do konkluzji, że już w parę lat po zjednoczeniu w 1871 r. antysemityzm zapewnił sobie niekwestionowane poparcie aparatu państwa; miał być środkiem „odmłodzenia i ożywienia siły narodu”, drogą do stworzenia „narodu bez Żydów”. Kiedy opadła fala euforii spowodowanej zwycięstwem nad Francją i kiedy Bismarck oparłszy się na konserwatywnych siłach w społeczeństwie, rozpoczął politykę osłabiania liberalizmu i wzmagania walki z ruchem socjalistycznym, antysemityzm stał się jeszcze bardziej zawołaniem do narodowej integracji, jeszcze wyraźniej nabierał cech konserwatywnych. Miał zespolić naród (*Volk*) wokół elit w obronie monarchii i przedziałów stanowych. Opanował partie prawicy, znalazł wstęp na uniwersytety, zdobył przewagę w ówczesnych mediach, szerokim strumieniem przenikał na prowincję. Jego zwolennikami stali się nie tylko nauczyciele, lekarze, pastory, kupcy, emerytowani oficerowie i urzędnicy, ale także przedstawiciele arystokracji. Pierwsza wzbudzona fala spektakularnych przejawów antysemityzmu rozlała się po kraju na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XIX w. To wtedy historyk Heinrich von Treitschke obwieścił na łamach „*Preußische Jahrbücher*”, wzbudzając entuzjazm akademików, że Żydzi są nieszczęściem Niemiec⁵². Rok później wygłosił swe pierwsze skierowane przeciwko Żydom mowy dworski kaznodzieja Adolf Stoecker, założyciel Chrześcijańsko-Socjalnej Partii Robotniczej (*Christlich-Soziale Arbeiter-*

⁵² H. Olszewski, *Nauka historii w upadku...* (jak w przyp. 6), s. 43–44.

partei)⁵³. Łącząc idee antysemityzmu z agresywnym i integralnym nacjonalizmem Stoecker spotkał się z aplauzem milionów. Fanatycznym jego zwolennikiem był przez jakiś czas nawet późniejszy pacyfista i zwolennik uznania powszechnego ładu w Europie Helmut von Gerlach⁵⁴. W tym samym roku 1879 Wilhelm Marr założył Ligę Antysemityczną, która prezentowała Żydów jako gatunek skalany rasowo. Konterfekt Żyda nabierał konturów coraz bardziej „obcych”; był to w coraz wyższym stopniu wizerunek spiskującego przeciwko państwu nihilisty, burzyciela społecznego porządku, anarchisty i zdrajcy, po prostu pospolitego przestępcy. Constantin Frantz pisał z ironią, że jeżeli mówić o postępie, który rzekomo dokonuje się w kraju, to można go odnieść wyłącznie do jednego wymiaru: wymiaru „zażydzenia” Rzeszy: „Na naszych oczach powstaje niemieckie cesarstwo narodu żydowskiego”.

Stanowiło okoliczność sprzyjającą Żydom z pewnością to, że rzecznicy antysemityzmu, zgodni w potępianiu swego wroga, byli z sobą skłócenii, a grając różne role w cesarstwie i mając przed sobą różne cele, okazywali się niezdolni do połączenia się w jedną partię, choć w usiłowaniach na tym polu nie ustawali. To zahamowało rozwój antysemityzmu w latach osiemdziesiątych. Ale tylko na krótko. Ruch antysemityzmu żył bowiem nadał życiem aktywnym, zmieniała się tylko jego strategia. Jochmann stwierdzał, że w połowie dekady przyszedł czas na pracę organiczną i przegrupowanie sił: rozpoczęły się wielkie kampanie na prowincji, akcją propagandową objęto tereny, na które nie rozpościerał się wtedy jeszcze wpływ czołowych, reprezentowanych w parlamentach partii politycznych. Z rozmachem i nader skutecznie zwracano się w szczególności do młodego pokolenia, jakże często zagubionego w wirze coraz szybszych przeobrażeń. Nastroje antysemityczne zdominowały prowincje wschodnie; umocniły stan posiadania w szkolnictwie; co roku opuszczały uniwersytety rzesze młodych ludzi, którzy wrogość wobec Żydów i zdziczałe metody walki z nimi przynosili do miasteczek i na wieś. Coraz częściej Żyd stawał się ofiarą mitów i stereotypów, czyli wyobrażeń „unieruchomionych” przez nienawiść i nieweryfikowalnych, opartych na półprawdach czy wręcz pobożnych życzeniach. Julius Schoeps w recenzji z pracy W. Jochmanna *Gesellschaftskrise und Judenfeindschaft* cytował słowa Theodora Mommsena wypowiedziane w rozmowie z pisarzem Hermannem Bahrem: „Antysemityzm jest myśleniem kanalii. Jest jak okropna epidemia, jak cholera – nie można go ani wyjaśnić, ani wyleczyć”⁵⁵. Już wtedy szczególnie niepokojące było to, że siłą sprawczą, określającą kontury progra-

⁵³ W. Jochmann, *Stoecker als nationalkonservativer Politiker und antisemitischer Agitator* (jak w przyp. 37, s. 123–198).

⁵⁴ H. Olszewski, *Helmuta Gerlacha rozważania o ideologii i polityce niemieckiej w latach 1890–1935*, [w:] *Myśl polityczna od historii do współczesności. Księga dedykowana Profesorowi Markowi Waldenbergowi*, red. B. Stoczewska i M. Jaskólski, Kraków 2000, s. 313–326.

⁵⁵ J. Schoeps, *Tief verwurzelt in Kultur und Gesellschaft...*

mu różnych organizacji i stowarzyszeń antysemitycznych stawał się stan nauczycielski. Jochmann był też zdeprimowany niechwalebną postawą ewangelików: „Wrogość w stosunku do Żydów posiadała nierzadko większą moc integrującą od kanonów wiary” – konstatował z rezygnacją.

Jeszcze groźniejszą okazała się druga fala antysemityzmu, która zalała kraj w latach dziewięćdziesiątych, ogarniając prawie wszystkie warstwy społeczeństwa. Różniła się od antysemityzmu poprzedniego pokolenia tym, że nie poprzestawała na deklarowaniu wrogości. Jochmann pisał o niej w roku 1976: „[Antysemityzm] określał postawę ewangelickiej ludności wiejskiej podobnie jak zachowanie właścicieli ziemskich. Antysemityczne żądania motywowały do działania urzędników i administrację, zachęcały studentów do wystąpień, a zubożałych rzemieślników do ekscesów. Otwartą wrogość wobec Żydów zarówno w życiu zawodowym, jak i społecznym okazywali lekarze, sędziowie, pastory i przedsiębiorcy”. Swoisty jej renesans miał wielorakie podłoże, ale dwa zespoły zjawisk miały decydujące znaczenie. Jednym z nich była utrata poczucia bezpieczeństwa przez siły prawicy, przede wszystkim w rezultacie zniesienia ustawodawstwa socjalnego w Rzeszy; drugim – zwrot ku polityce imperialnej. Werner Jochmann nie miał cienia wątpliwości co do tego, że antysemita należeli do najbardziej zagorzałych zwolenników polityki światowej. Tylko ona – przekonywano – może okiełznać hegemonię Żydów w państwie. Zdymisjonowanie Bismarcka zdawało się tę wizję utwierdzać.

W obliczu zbliżającej się „wielkiej wojny” dalszy wzrost antysemityzmu był czymś naturalnym i logicznym. Pozostawał on w panoramie ideowej pierwszej dekady stulecia jedyną „teorią”, która mogła skutecznie neutralizować wpływy liberałów i socjalistów, i tym samym tworzyć fundament pod społeczeństwo zintegrowane wokół haseł nacjonalistycznych. „Stopienie [*Legierung*] antysemityzmu z nacjonalizmem”, które Werner Jochmann dostrzegał już u Stoeckera, teraz stawało się ponurą rzeczywistością. Odzwieczniały ją programy większości nowych organizacji zrzeszających stan średni. Były nimi Narodowo-Niemiecki Związek Pomocników Handlowych (*Deutschnationaler Handlungsgehilfenverband*), Związek Właścicieli Ziemskich (*Bund der Landwirte*), Związek Wszechniemców (*Alldeutscher Verband*), Związek Niemiecki (*Deutschbund*) i Towarzystwo im. Gobineau, wszystkie założone w latach dziewięćdziesiątych. Inna rzecz, że antysemityzm rozwijany w partiach i stowarzyszeniach (*Verbandsantisemitismus*) stanowił – zdaniem autora – zaledwie wierzchołek góry lodowej. Był jednak ważny, nadawał kierunki myślenia. Przywódca Wszechniemców Heinrich Claß głosił, że wytępienie Żydów to misja narodu. Friedrich Lange i Ludwig Schemann próbowali – nawiązując m.in. do Houstona Stewarda

Chamberlaina – łączyć antysemityzm z darwinizmem społecznym. Rozwijano refleksję historiozoficzną i filozoficzną, czego świadectwem były kariera agresywnych pism Paula de Lagarde i Juliusa Langbehna, patronów „myślenia kategoriami narodu” (*volksnahes Denken*), a także wskrzeszenie kultu – przede wszystkim z myślą o poparciu dla antysemitów – twórczości Dürrrera, Nietzschego, Schoppenhauera i Wagnera. Siła ruchu sprawiała, że politycy – cesarz i działacze stojący na czele większości partii w parlamencie – dotąd traktujący antysemityzm instrumentalnie i często z lekceważeniem, musieli zmienić zdanie, jako że na przełomie stuleci był on już wielkim programem tych wszystkich, którzy byli ogarnięci strachem przed zmianami i chcieli jak najwięcej zachować z tego, co jeszcze tkwiło w konserwatywnej tradycji i w stanie ich posiadania. Jochmann podkreślał z naciskiem, że tzw. kwestia żydowska (*Judenfrage*) stała się sprawą polityczną, która z faktycznym statusem i działaniem Żydów nie miała nic, lub miała tylko niewiele, wspólnego.

Szansa złągodzenia antysemickich nastrojów pojawiła się co prawda w pierwszej dekadzie, kiedy to dynamiczny wzrost gospodarczy, którego beneficjentami były także warstwy średnie, utrudnił obarczanie Żydów odpowiedzialnością za wewnętrzne kataklizmy. Ale antysemita znaleźli wówczas sojusznika w narastającym nacjonalizmie. To wtedy ujawniło się złowrogie połączenie „sprawy żydowskiej” (*Judenfrage*) ze „sprawą niemiecką” (*deutsche Frage*). Nacjonalizm wymagał rasizmu i artykułującego go antysemityzmu. Antysemityzm z kolei wymuszał nacjonalizm. Prawica wyrażała niezadowolenie z nazbyt – jej zdaniem – powolnego jego postępu. Spotęgowały to niezadowolenie spektakularne zespoły okoliczności: afera Daily-Telegraph, kruche kompromisy zawierane przez rząd Bethmanna-Hollwega, przede wszystkim wyniki wyborów parlamentarnych ze stycznia 1912 r., które przyniosły wielkie zwycięstwo socjaldemokratom. Pod wrażeniem tych ostatnich Heinrich Claß napisał – jak wiadomo – swój bestseller *Wenn ich der Kaiser wär*’, w którym Żydzi, wielcy winowajcy, odpowiedzialni za wszelkie zło, mieli zostać pozbawieni praw obywatelskich, a nawet wydalen z kraju. Charakterystyczne – podkreślał Werner Jochmann – że opinia publiczna faktycznych autorów tej książki, która ukazała się pod pseudonimem, upatrywała w przedstawicielach arystokracji – w hr. Posadowsky’m i admirale Tirpitzu. Jeszcze bardziej restrykcyjne postulaty wysunął w rok później emerytowany generał z Bawarii baron Konstantin von Gebattel, który „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej” (*Endlösung*) widział w wyjęciu Żydów spod prawa, we wprowadzeniu zakazu związków między Żydami a Aryjczykami, w pozbawieniu ich własności ziemskiej i usunięciu ze stanowisk państwowych. W zalewającej kraj literaturze antysemickiej Żydzi byli pierwszymi wrogami Rzeszy (*Reichsfeinde*), a antysemityzm – jak dowodził przekonująco Jochmann – stanowił „jedyną tolerowaną przez państwo opo-

zycję". Zrozumiałe – stwierdzał – że powiązanie z protestantyzmem, darwinizmem społecznym i imperialną polityką czyniły zeń beczkę prochu, co rychło miała pokazać pierwsza wojna światowa⁵⁶.

VI

Wybuch wielkiej wojny otwierał pewne możliwości zakopania toporów. W przełomowym roku 1914, który przyniósł ogólnonarodową euforię, Żydzi jednoznacznie i z przekonaniem demonstrowali swą przynależność do niemieckiej wspólnoty narodowej; poparli oni hasła „teologii wojny” i ochotczo ruszyli na front u boku niemieckich braci. Wielu żydowskich przywódców wierzyło szczerze, że braterstwo broni i męstwo na polu walki wymaże zakorzenione uprzedzenia i da początek drodze do społecznego pokoju. Dzielność i zaangażowanie prezentowali nie tylko na frontach, ale i w laboratoriach, w instytutach badawczych, na polu gospodarczym. Rychło wszelako sytuacja odwróciła się na ich niekorzyść: wojna miała inny przebieg, niż zakładano w momencie jej inauguracji. Ciężkie straty, wyrzeczenia i klęski osłabiły fizyczną i duchową odporność ludności, prowadząc do niespotykanego wcześniej zaostrzenia społecznych napięć. Żydzi wracali do stanu izolacji, ponownie nabrzmiewał „problem żydowski” jako problem polityczny. Po zajęciu znacznych obszarów w Polsce i Rosji rozpętano propagandę, która obwieszczała – oczywiście z dużą przesadą – niebezpieczeństwo imigracji żydowskiej ze Wschodu: mówiono o „sześciu milionach mniej wartościowych zmongolizowanych ludzi”, którzy będą chcieli zadać śmiertelny cios chwiejącej się społecznej równowadze w Rzeszy. Obawiano się wzrostu żydowskich wpływów politycznych w kraju. Niemiecka propaganda przechodziła do porządku nad faktem, że wielu Żydów bohatersko walczyło na froncie, podczas gdy rząd wcześniej pogodził się z szerzeniem antysemityzmu w armii i usuwaniem Żydów ze stanowisk oficerskich. Już w 1915 r. zaprzestano im nadawać odznaczenia wojskowe, tak liczne w pierwszym roku wojny. Konterfekt Żyda coraz bardziej stawał się obrazem tchórza – cwaniaka, unikającego walki i dorabiającego się majątku na tyłach dzięki przeróżnym matactwom. Jochmann przypominał z zażenowaniem stare powiedzenie o tym, że w tej nienawiści było coś szczególnego: „Jeżeli Żyd chachmęci, potępia się go, jeżeli tego nie czyni, powinno się go potępiać tym bardziej”. W październiku 1916 r. pruskie ministerstwo wojny zgodziło się – w odpowiedzi na rzekomo „liczne skargi ludności” – przygotować na użytek propagandy rodzaj statystycznego wizerunku Żyda w wojnie. Tendencyjna akcja była przejawem skrajnej dyskryminacji, przyspieszając proces wyobco-

⁵⁶ W. Jochmann, *Gesellschaftskrise und Judenfeindschaft...*, jak w przyp. 7), s. IX–XII.

wywania się Żydów z niemieckiego trzonu armii. Walter Rathenau pisał z goryczą: „Im więcej Żydów padnie w tej wojnie na polu walki, tym głośniejszą będą ich przeciwnicy dowodzić, że wszyscy oni siedzieli za frontem tylko po to, aby uprawiać dywersję”.

Jak łatwo było wykorzystywać wątek antysemityzmu dla politycznych celów, pokazały reakcja na kryzys lipcowy 1917 r. oraz ostatni rok wojny, kiedy to wrogość wobec Żydów przybrała znamiona ostrej „walki światopoglądów”. Wysuwano wtedy zarzut, że rząd Maxa von Badena zdradził interesy niemieckie na rzecz Żydów. Fakt, że w Reichstagu większość mają Niemcy – głoszone – potwierdza tylko opinię, że zostali oni przez Żydów zarażeni bakcylem demokracji i parlamentaryzmu. Demokracja bowiem – pisał bawarski generał baron Konstantin Gebsattel – jest pochodzenia żydowskiego, podobnie jak żydowski rodowód posiadają parlamentaryzm, pluralizm polityczny, liberalizm, materializm i okcydentalizm.

Katastrofa roku 1918, powstanie republiki i zwycięstwo socjaldemokratów, którzy w opinii publicznej nie bez racji traktowani byli jako partia przyjazna Żydom, przydały antysemityzmowi siły. Żydzi uznani zostali za ojców chrześcijańskich wersalskiego „dyktatu” i promotorów ustroju demokratycznego. Republika uzyskała przymiotnik państwa Żydów (*Judenrepublik*). Werner Jochmann tłumaczył, dlaczego emocje zbiorowe znajdowały ujście we wrogości pozbawionej racjonalnych podstaw, ba – w teorii spisku: W czasie kryzysów i wstrząsów porzucano argumentację rzeczową i weryfikowalną. Kto stracił majątek i społeczny status, kto czuł, że zagrożone są zawodowa kariera i pogrzebane nadzieje dla jego potomstwa, ten chciał wierzyć, że katastrofa w wojnie i rewolucja są wynikiem zorganizowanego sprzysiężenia. Masy sfrustrowanych, rozgniewanych i spragnionych odwetu wskazywały na Żydów jako sprawców listopadowej rewolucji; pisano o niej, że dokonała się pod gwiazdą Dawida. Krytykowano nowy rząd za korzystanie z żydowskiej pomocy finansowej i bez zastrzeżeń przyjmowano do wiadomości prognozy o Niemczech jako forpoczcie żydowsko-komunistycznej plutokracji. Każdy, kto takie lub podobne argumenty uznawał za zasadne – twierdził Jochmann – łatwo godził się z postulatem, że krajowi potrzebny jest wstrząs, który zniszczy wewnętrznego wroga. Jego sylwetkę prezentowano w coraz czarniejszych barwach – Żyd to dorobkiewicz, pasożyt, zdrajca, a także wróg rodziny, małżeństwa, obyczaju. Wizerunek taki pielęgnowały tradycyjnie antysemickie organizacje, stowarzyszenia i kluby, ale i nowe, takie np. jak wspomniany już wyżej, powołany przez Związek Wszechniemców „Deutscher Schutz – und Trutzbund”⁵⁷, który swą działalnością objął prawie cały kraj, a w jego radzie naukowej zasiedli niemal wszyscy intelektual-

⁵⁷ Por. U. Lohalm, *Völkischer Radikalismus...* (jak przyp. 19), passim.

ni przywódcy antysemityzmu w Niemczech. Byli wśród nich August Rohling, autor paszkwilu *Talmudjuden*, Artur Dinter, wydawca rozprawy pt. *Die Sünde wider das Blut*, która w krótkim czasie rozeszła się w nakładzie półtora miliona egzemplarzy, twórcy nie mniej popularnych *Protokołów mędrców Syjonu*, a także Dietrich Eckart, Anton Drexler i Gottfried Feder, założyciele Deutsche Arbeiterpartei, embrionu NSDAP. Charakterystyczne było to, że ruch antysemicki w powojennym kraju umiał skutecznie skierować nastroje nienawiści i gniewu w społeczeństwie w łóżyisko wrogości w stosunku do Żydów, a przez swą intensywność poważnie nadszarpnąć zawsze silne w Niemczech więzy lojalności wobec władzy państwowej. Stąd tylko krok prowadził do ulicznego terroru i wiecowych demonstracji, a nawet mordów politycznych, których ofiarami padali żydowscy działacze: Róża Luxemburg, Kurt Elsner, Walter Rathenau, Gustav Landauer, Karl Liebknecht, Martin Erzberger i inni. Jochmann nie miał wątpliwości: antysemityzm służył temu, by opanować masy, zorganizować je i poprowadzić przeciwko Republice Weimarskiej. I służył skutecznie.

I znów przywódcy antysemicy spotykali się z pełnym zrozumieniem ze strony zorganizowanych elit. Popierał ich przede wszystkim korpus oficerski, który podsycanie wrogości wobec Żydów traktował jako koronny argument, pozwalający uwolnić się od zarzutu przegrania wojny⁵⁸. Dlatego armia oczyszczała się z Żydów i dla ratowania twarzy chętnie kierowała na antysemickie wiece takich ludzi, jak Ernst Röhm czy Adolf Hitler. Kontynuowały niechętną Żydom działalność oba Kościoły; wzmagaly je partie polityczne – te z prawicy – Deutschnationale Volkspartei, Deutschvölkische Freiheitspartei, Deutsche Volkspartei czy Bayerische Volkspartei – ale i te, które tradycyjnie uchodziły za ostoję weimarskiej demokracji – Deutsche Demokratische Partei, Zentrum i Sozialdemokratische Partei (SPD), które czyniły stanowczo za mało, by rozprzestrzenianie się antysemityzmu powstrzymać. Nawet krótki czas względnej stabilizacji Republiki oraz fiasko prób Kappa i Hitlera zdobycia władzy drogą zbrojną w pierwszych latach dwudziestych niczego tu nie zmieniły. Wielu Żydów, rozzaczarowanych polityką swych macierzystych partii, decydowało się szukać pomocy u komunistów.

Miarą natężenia antysemityzmu była sytuacja w szkołach wyższych, które – jak to podkreślał Werner Jochmann – jeszcze w poprzedniej epoce stały się spektakularnym forum nagonki na Żydów (*Tümmelplätze antisemitischer Leidenschaften*). Większość uczelni wcześniej zadbała o to, by nie zatrudniać obcych rasowo. Senat Uniwersytetu w Erlangen jako pierwszy, bo już w roku

⁵⁸ W. Jochmann, *Reichswehr und Republik in der Ära Noske – Seeckt*, „Sonntagsblatt Nr. 3, 15. I 1956; idem, *Reichswehr und Republik in der Ära Groener – Schleicher*, „Sonntagsblatt” Nr. 5, 29. I 1956; idem, *Versailles im Lichte der Zeitgeschichte. Zum 40. Jahrestag der Unterzeichnung des Friedensvertrages*, „Hannoversche Allgemeine Zeitung”, 27/28 VIII 1959.

1922, podjął uchwałę o stosowaniu tzw. aryjskiego paragrafu. Coraz więcej profesorów żydowskiego pochodzenia dobrowolnie rezygnowało z pracy w szkolnictwie wyższym i opuszczało Niemcy na długo przed dojściem naziistów do władzy. Na uniwersytecie w Tybindze już w 1931 r. nie było wśród ordynariuszy ani jednego Żyda⁵⁹. Na sławnym Wydziale Przyrodniczym w Getyndze ostali się w późnych latach dwudziestych tylko dwaj fizycy semickiego pochodzenia – Max Born i James Frank. Najbardziej elitarna niemiecka instytucja naukowa – Kaiser-Wilhelm-Gesellschaft – wprowadziła już w 1927 r. zakaz przyjmowania Żydów na nowych członków.

VII

Werner Jochmann nie twierdził, że Republika Weimarska była przedsiönkiem narodowego socjalizmu i niczym więcej; nie utrzymywał, że przywódcy sił politycznych w ciągu tych kilkunastu lat niemieckich dziejów nie marzyli o niczym innym, jak o prostowaniu dróg, które by Hitlera wyniosły do władzy. „Piękne lata dwudzieste” miały swą własną historię, swoje pięć minut, które mogły dawać szansę uratowania demokracji. Ale autor był zdania – i mocno to podkreślał – że od początku szansa ta była nikła. Rzecz w tym, że Hitler, który w 1919 r. debiutował jako antysemitowski agitator i który w 1925 r. wydał pierwszy tom swego traktatu o organizowaniu nienawiści – *Mein Kampf*, rozbudowując ogólnonarodowy ruch skierowany przede wszystkim przeciwko Żydom i w którego „narodowosocjalistycznym światopoglądzie” antysemityzm znajdował poczesne – jak wiadomo – miejsce, zastał w 1933 r. społeczeństwo niemieckie dobrze przygotowane do zaakceptowania jego programu „rozwiązania kwestii żydowskiej”, ba – do uznania tego programu za własny. Wykorzystał fakt, że antysemitowska propaganda okresu wilhelmińskiego, czasu wojny i lat 1918–1923 zdołała wprowadzić szerokie kręgi społeczeństwa w stan takiego podniecenia, które zagłuszało głos tych, którzy chcieli bronić demokratycznego ustroju i zdecydowani byli występować w obronie zagrożonych mniejszości. Bezczytnie przyglądali się oni, jak podmywane były wały ochronne porządku prawnego w państwie. Właśnie ów volkistowski antysemityzm stawał się „górskim potokiem” (*Sturzbach*), który wydrążył koryto dla szerokiego nurtu, którym rozlał się po kraju narodowy socjalizm⁶⁰. Jochmann nie miał wątpliwości: pierwsze wcielenie Hitlera to Hitler – przywódca wszystkich antysemitów. Hitlerowi udało się to, o co na próżno zabiegali jego poprzednicy: stworzenie na

⁵⁹ H. Olszewski, *Zwischen Begeisterung und Widerstand. Deutsche Hochschullehrer und der Nationalsozialismus*, Poznań 1990, passim. Tamże literatura przedmiotu.

⁶⁰ W. Jochmann, *Ausgewählte Dokumente zur Geschichte des Nationalsozialismus...* Kommentar (jak w przyp. 35), s. 19.

miejsu konglomeratu archaicznych i skompromitowanych partii i stronnictw własnego ruchu, kierowanego przez jedną partię nowego typu, ruchu, który do upadłego gotów był walczyć przeciwko Żydom (Nationalsozialismus als säkularer Glaubensbewegung). Uzyskał porozumienie ze społeczeństwem, bo przedstawił się jako jego apostoł; gdzie inni chcieli konfrontacji, on dążył do zjednoczenia i podporządkowania sobie jego głównych sił. Jochmann przyznawał, że na tym polu przywódca NSDAP działał z najwyższą kompetencją i zdecydowaniem (mit verblüffender Sachkenntnis und Vollständigkeit). Od tradycyjnego antysemityzmu ze znakiem „völkisch” w godle, który mógł być dlań niebezpieczną konkurencją, zdystansował się antysemityzmem „rozsądku” (Antisemitismus der Vernunft)⁶¹, antysemityzmem „światopoglądowym”. W przeciwieństwie do Röhma i jego kompanów z SA, którzy pogardzali mieszczaństwem i zamierzali je zniewolić, Hitler postanowił pozyskać je dla swoich celów⁶². Przywódca narodowych socjalistów rychło też zorientował się, że w walce z Żydami nie musi się poważnie liczyć z oporem społeczności Kościoła ewangelickiego⁶³. Jochmann wciąż powtarzał, że szerzony po 1945 r. przez historiografię pogląd, jakoby protestanci przeciwstawiali się narodowemu socjalizmowi, tyle że nie czynili tego dostatecznie odważnie, nie wytrzymuje konfrontacji z faktami. Wstawiali się za emigrantami, ziomkostwami, poszkodowanymi w nalotach bombowych, ale nie czuli się współodpowiedzialni za los Żydów w Trzeciej Rzeszy. „Nie rozmawiali z Żydami, tylko o nich”. A ściślej: wypowiadali się przeciwko nim. Wydali ich wrogom, jak tylko pojawił się Hitler⁶⁴, w wysokim stopniu – zanim się pojawił. Bez zastrzeżeń i z entuzjazmem popierali gospodarczą i zagraniczną politykę narodowego socjalizmu, bo wierzyli, że chroni ich ona przed bolszewikami. Zapowiedź Hitlera, że uczyni z Niemiec „kraj wolny od Żydów” (*Judenfrei*) była im bliska: w jej *obliczu* traciły znaczenie dawne więzy solidarności, stare przyjaźnie i kontakty, wspólnota wyznania. Pisał: „Kto dla dobra państwa czy narodu gotów był poświęcić pomyślność jednostki czy gru-

⁶¹ Ibidem 23: 16 września 1919 r., czyli w dniu, w którym Hitler wstąpił do Deutsche Arbeiterpartei, wydał on oświadczenie, określające jego stanowisko: „Der Antisemitismus als politische Bewegung darf nicht und kann nicht bestimmt werden durch Momente des Gefühls, sondern durch die Erkenntnis der Tatsachen”. I dalej: „Der Antisemitismus aus rein gefühlsmäßigen Gründen wird seinen letzten Ausdruck finden in der Form von Pogromen (sic). Der Antisemitismus der Vernunft jedoch muß führen zur planmäßigen geschichtlichen Bekämpfung und Beseitigung der Vorrechte des Juden, die er nur zum Unterschied der anderen zwischen uns lebenden Fremden besitzt (Fremdengesetzgebung). Sein letztes Ziel aber muß unverrückbar die Entfernung der Juden überhaupt sein”.

⁶² W. Jochmann, *Gesellschaftliche Gleichschaltung in Hamburg 1933: Freiheit des Individuums oder Sicherheit und Schutz der Gemeinschaft?* [w:] U. Büttner, W. Jochmann, *Zwischen Demokratie und Diktatur. Nationalsozialistische Machtaneignung in Hamburg – Tendenzen und Reaktionen in Europa*, Hamburg 1984, s. 93.

⁶³ W. Jochmann w „Fuldauer Zeitung” z 13 IX 1989.

⁶⁴ Idem, *Das 'stille Pogrom' begann bereits 1933*, „Die Welt”, 16 X 1981.

py, myślał i działał nieludzko (*unhuman*). A w tym punkcie identyfikowały się miliony Niemców z Hitlerem. Warstwy oświecone bardziej niż prości obywatele”. Cytował słowa hamburskiego biskupa ewangelickiego Franza Tügela, który w marcu 1940 r. napisał: „Jeżeli państwo naszego führera eliminuje dzisiaj Żydów, to błogosławimy go za to, i nigdy nie dopuścimy do siebie myśli, jakoby Kościół, w każdym razem Kościół Lutra, mógł sam z siebie uznać za właściwe czynienie cokolwiek innego”. Zresztą Jochmann zdawał sobie sprawę, że jego teza o sprawczej roli elit w rozbudzaniu i podtrzymywaniu antysemityzmu nasuwała wygodne alibi w postaci zasady niewiedzy mas o zbrodniach reżimu. *Wiedzano więcej, niż wielu to przyznaje* – pisał w tytule jednego z artykułów prasowych. Skutek był taki, że zwykli ludzie oddychali z ulgą: „To straszne, co oni tam wyprawiali na górze, ale przecież my nie mieliśmy z tym nic wspólnego, o niczym nie wiedzieliśmy”⁶⁵. Dlatego przypominał, że magnesem, który do ruchu Hitlera przyciągał m.in. protestantów, była zapowiedź zbliżenia życia publicznego do pragnień narodu i chronienia go przed wrogiem, czyli w pierwszym rzędzie przed Żydami. Utożsamianie się protestantów z narodem prowadzić musiało do uznania za swoją narodowosocjalistycznej tezy o tożsamości narodu z Hitlerem. I to był główny przejaw kompromitacji niemieckiego Kościoła ewangelickiego. „Ujednolicanie Rzeszy” (*Gleichschaltung*) nigdy by nie było tak przeraźliwie skuteczne, gdyby naciskowi z góry nie towarzyszyła presja z dołu⁶⁶.

Jak widać, Werner Jochmann tylko w latach pięćdziesiątych dokonywał szczegółowej charakterystyki hitlerowskiego totalitaryzmu⁶⁷. Rejestrowanie konstytutywnych cech narodowego socjalizmu pozostawiał innym. Prawda – i na tym polu wypowiadał wiele uwag oryginalnych. Podkreślić należy wagę jego wypowiedzi o taktyce Hitlera w procesie „ujednolicania” Rzeszy, który nie zwracał się nigdy przeciwko partiom, tylko atakował przywódców⁶⁸ i który w żadnym przypadku nie był „słabym dyktatorem”⁶⁹, bo z rozmysłem przestrzegał kompetencyjnego chaosu w swoim otoczeniu (*Führungsschaos*), by tym skuteczniej nad nim panować. Można się oczywiście spierać np. o to, czy jego wczesny pogląd o tym, że władza nigdy nie była dla Hitlera celem samym w sobie, a stanowiła tylko środek mający wesprzeć przeprowadzenie jego zamierzeń światopoglądowych⁷⁰, jest ścisły, ale z pewnością miał rację, gdy nie

⁶⁵ Idem, , [w:] K...des Bistums Osnabrueck, 18, 1985.

⁶⁶ Idem, *Gesellschaftliche Gleichschaltung...* (jak w przyp. 35)

⁶⁷ Czynił to w komentarzu do wydawanych z H.-A. Jacobsenem źródeł do jego „prehistorii” (por. przyp. 34).

⁶⁸ Por. wstęp do *Adolf Hitler. Monologe im Führerhauptquartier 1941–1944. Die Aufzeichnungen Heinrich Heims*, Hrsg von W. Jochmann, Hamburg 1980.

⁶⁹ W. Jochmann, *Ausgewählte Dokumente... Kommentar* (jak w przyp. 35), s. 19.

⁷⁰ Ibidem, s. 70

pozwalał zapomnieć, że jego problemów budowy wielkiej Rzeszy nie można było rozwiązać bez wojny⁷¹. Na przykładzie faktów z historii Hamburga lat trzydziestych prezentował życie codzienne w mieście, los uciemiężanej ludności, metody walki politycznej⁷² oraz cynizm partyjnych bonzów, którzy w służbie Hitlerowi rzadko zapominali o mnożeniu własnego stanu posiadania (Jochmann podkreślał, że skrót NSDAP często rozwiązywano słowami: „Na, suchst Du auch [ein] Pöstchen”?)⁷³.

Na ogół jednak już nie pytał, jak to było, tylko dlaczego tak było? Dlaczego ruch, program i polityka Hitlera zostały zaakceptowane przez większą część społeczeństwa? I w miarę postępu własnych oraz cudzych badań coraz mocniej utwierdzał się w przeświadczeniu o antysemityzmie jako sile napędowej totalitaryzmu. Bez komponentu antyżydowskiego – twierdził – sukcesy hitlerowskiej Rzeszy pozostają niewyobrażalne, czego może dowodzić okoliczność, że kiedy w obliczu klęski w wojnie Hitler stał się niepożądany, nawet opozycjoniści i zamachowcy nie odważyli się skreślić z programów odbudowy nowych Niemiec haseł antysemitycznych⁷⁴.

Czy te konstatacje mogły zmienić opinie poprzedników o przesłankach zwycięstwa narodowego socjalizmu? Czy drogi prowadzące do roku 1933 nie były bardziej „niemieckie” niż to historiografia rodzimego kraju chciała przyjąć do wiadomości? Autor nie odpowiadał na te pytania wprost; może liczył, że robią to zań albo czytelnicy jego prac, albo uczniowie.

VIII

Miejscem, z którego Werner Jochmann wysyłał sygnały aprobaty czy – znacznie częściej – wyrazy niezadowolenia ze stanu kultury historycznej rodaków w Republice Federalnej Niemiec, z pewnością nie była wieża z kości słoniowej⁷⁵. Brał on aktywny udział w życiu społecznym, choć starannie unikał piastowania eksponowanych funkcji publicznych. Był na tyle blisko toczących się na jego oczach wydarzeń, że do głębi rozpoznawał ich mechanikę, a zarazem na tyle daleko, że potrafił postrzegać je i pisać o nich z należyty dystansem.

⁷¹ Ibidem, s. 66 i n.

⁷² W. Jochmann, *Nationalsozialismus und Revolution...* (jak w przyp. 34); U. Büttner und W. Jochmann, *Hamburg auf dem Wege ins Dritte Reich*, Hamburg 1983, W. Jochmann, *Die Gleichschaltung im Reich und in Hamburg*, [w:] *Orientierung, Berichte und Analysen aus der Arbeit der Arbeit der Evangelischen Akademie Nordelbien*, Bd. 1, 1983; idem, *Gesellschaftstliche Gleichschaltung in Hamburg 1933...* (jak w przyp. 35); idem, *Lebensbilder und Dokumentation...* (jak w przyp. 40).

⁷³ W. Jochmann, *Gesellschaftliche Gleichschaltung...* (jak w przyp. 62), s. 109.

⁷⁴ Por. m.in. H. Olszewski, *Zwischen Begeisterung und Widerstand...*; idem, *Kryzys społeczny...* (jak w przyp. 2), s. 23.

⁷⁵ U. Büttner, *Über die Grenzen hinweg...* (jak w przyp. 2), b. pag.

Z autentyczną troską obserwował sposób traktowania przeszłości przez gremia kierownicze polityki zachodnioniemieckiej. Był głęboko zaniepokojony perspektywą, z jakiej syte i zadowolone z siebie społeczeństwo ocenia dzieje Trzeciej Rzeszy w najnowszej przeszłości kraju. Raziło go narastanie prawicowego ekstremizmu, martwił się odchodzeniem od zasad sprawiedliwości społecznej, drażniły przejawy negatywnego stosunku do instytucji państwa (*Staatsverneinung*). Wyrażał przekonanie, że reideologizacja życia publicznego wciąga kraj w szpony tych samych niebezpieczeństw, które w swoim czasie zabiły Republikę Weimarską. Przypominał refren ulubionej piosenki SA, śpiewanej w okresie ulicznych walk z przełomu lat dwudziestych i trzydziestych: *Blut muß fließen, knüppelhaegeldick, wir pfeifen auf die Freiheit der Judenrepublik*. Żądał opamiętania w prowadzeniu sporów politycznych, szacunku dla prawa i większego zaangażowania się w obronę wolności obywatelskich. Obojętność społeczeństwa była dlań równie poważnym zagrożeniem demokracji, jak bezkarność sprawców.

Zdecydowany opór Jochmanna budziły mniej czy bardziej zawoalowane próby historyków i polityków relatywizowania historii najnowszej Niemiec. Nie przyjmował do wiadomości, że dwanaście lat panowania Hitlera w kraju można traktować jako epizod, jako „zły, szkodliwy dysonans” (*böses Zwischenstück*), nieprzystający do pełnej chwały tysiącletniej tradycji⁷⁶ czy „nieszczęśliwy [w niej] przerywnik” (*unglückliche Zwischenphase*). Twierdził że wyłuskiwanie nazistowskiego „epizodu” z dziejów niemieckich przy równoczesnym podkreślaniu odwiecznej przynależności Niemiec do chrześcijańskiego Zachodu nie tylko sprzyja uznaniu konstrukcji o nienaturalnym zerwaniu kontynuacji w dziejach w latach 1933–1945, ale i podsuwa bałamutną myśl, że narodowy socjalizm był dziełem nielicznych, że nad niechlubnym epizodem należy przerzucić most, po prostu wyłączając go z historii kraju. To konsekwencją tej fałszywej konstrukcji było – uważał – przeświadczenie wielu historyków i polityków, że denazyfikacja, wyroki sądowe dla zbrodniarzy, internowania, samobójstwa, stanowią wystarczające rozliczenie z niechcianą przeszłością i – nawet po Oświęcimiu – są niezawodnym znakiem, że stan normalny został już przywrócony.

Jochmann z takim manipulowaniem przeszłością nigdy się nie pogodził. Z autorytetami powojennej historiografii, która od początku próbowała tłumaczyć i usprawiedliwiać narodowy socjalizm, takimi jak Gerhard Ritter, nigdy nie było mu po drodze. Podobnie protestował przeciwko jednostronnemu i wykrętnemu tłumaczeniu zbrodni Hitlera przez sięganie do autorytetów zachodnich, zafascynowanych naciskiem mas, takich jak Ortega y Gasset czy Le Bon,

⁷⁶ Popierał tu stanowisko Theodora Heußa, *Aufzeichnungen 1945–1947*, Hrsg. von E. Pickart, Tübingen 1966, s. 88.

których książki *Powstanie mas* i *Psychologia mas* rychło doczekały się przekładu na język niemiecki i uchodziły już w latach pięćdziesiątych za bestsellery.

Czas na jego generalną krytykę historiograficznego nurtu relatywizującego brunatną przeszłość własnego kraju przyszedł w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, kiedy to w Republice Federalnej rozgorzał głośny spór o miejsce nazizmu, drugiej wojny światowej i zbrodni dokonanych przez totalitarny system (*Historikerstreit*) w najnowszej historii kraju. Zainaugurowali go – jak wiadomo – konserwatywni historycy bliscy prawej strony sceny politycznej, Michael Stürmer⁷⁷, doradca kanclerza Helmuta Kohla, oraz Ernst Nolte, który najpierw na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung”⁷⁸, później w licznych monograficznych opracowaniach, stanął na stanowisku, że Oświęcim nie jest powodem, by w Niemczech zapomnieć o rozwijaniu poczucia narodowej dumy. Jeden z podnoszonych przez konserwatystów wątków, a mianowicie fakt, że zbrodnie Hitlera były poprzedzone masowymi mordami w Armenii, że mordowali Anglicy w Afryce Południowej, a przed komorami gazowymi Oświęcimia był archipelag Gułag, szczególnie zdenerwował Wernera Jochmanna. W znakomitym studium: *Deutschland – ein geschichtslose Land?*, po raz pierwszy wydrukowanym w zbiorze *Gesellschaftskrise und Judenfeindschaft in Deutschland 1870–1945* z roku 1988 podzielił on bez zastrzeżeń punkt widzenia Jürgena Habermasa, czołowego reprezentanta historyków i filozofów liberalnych, że „po Oświęcimiu można narodową świadomość czerpać wyłącznie z tych tradycji, które zostały gruntownie zbadane pod względem ich zgodności z prawdą”.

Wystąpił też ostro przeciwko manipulowaniu metodą porównawczą w badaniu. Pisał: „Porównywanie należy do obowiązków historyka. On zawsze porównywał, choćby po to, by uwypuklić to, co go szczególnie interesuje. Ale właśnie to, co stanowi przedmiot jego zainteresowania, musi być jednoznacznie zdefiniowane. Porównania wzbogacają nasze rozpoznanie, jednakże tylko w przypadku, kiedy jasno się definiuje, co jest porównywalne, gdzie występują odchylenia i co pod żadnym pozorem porównywane być nie może”. W każdym innym przypadku stosowanie komparatystyki ma charakter wybiórczy, prowadzi na manowce i kończy się świadomym fałszem⁷⁹; podobnie jak niepowodze-

⁷⁷ M. Stürmer, *Suche nach der verlorenen Erinnerung. Es geht um innere Kontinuität und außenpolitische Berechenbarkeit*, „Das Parlament” Jg. 36, Nr. 20/21, 24 V 1986.

⁷⁸ E. Nolte, *Vergangenheit, die nicht vergehen will*, „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, 6. Juni 1986. Ogromną literaturę próbowałem scharakteryzować w swoim tekście: *Licht- und Schatten-seiten einer Kontroverse. Bemerkungen zum sog. Historikerstreit*, „Neue Politische Literatur” XXXIV, 1989, H. 2, s. 278–290.

⁷⁹ Za szczególnie brzydki przejaw manipulacji traktował W. Jochmann książkę znanego historyka drugiej wojny światowej Andreasa Hillgrubera *Zweierlei Untergang* (Berlin 1986), w której wydawca – najprawdopodobniej bez wiedzy autora – wznowił i zestawiał obok siebie dwa wyrwane z kontekstu studia zatytułowane: *Die Zerschlagung des Deutschen Reiches* i *Das Ende des europäischen Judentums*. W. Jochmann słusznie zauważał, że mord na Żydach był takim samym gwałtem co rozbięcie Rzeszy.

niem musi się kończyć próba spojrzenia w przeszłość z piedestału władzy i potrzeb bieżącej polityki. Podkreślał: „Nie możemy – jak to już zauważył polski publicysta i polityk [Ryszard] Wojna – jedno akceptować, zaś wszystko inne odrzucić, z uzasadnieniem, że nie wolno nam tego akceptować. Ale to właśnie oznacza, że obok Weimaru zbudowano Buchenwald, i że to sąsiedztwo należy do naszej przeszłości. Przy pomocy konstrukcji [Noltego – H.O.] europejskiej wojny domowej⁸⁰ nie da się tego wyjaśnić. Tylko wtedy, jeżeli ten fakt uznamy, możemy się w sposób przekonujący identyfikować z naszą historią, w której były osiągnięcia, ale i niepowodzenia, postęp i upadki, kultura, ale i jej deficyt. Próby wyłączenia lub relatywizowania określonych okresów lub zdarzeń szkoda demokratyzacji, która pojawia się przed nami jako trwałe zadanie”.

Żywy niepokój Wernera Jochmanna budziła oczywiście także sytuacja, w jakiej znaleźli się niemieccy Żydzi. Po pięćdziesięciu latach, jakie minęły od deportacji i mordów, „Żydzi zamieszkujący Republikę znów czują się zagrożeni” – pisał na łamach prasy⁸¹. W kraju wzrasta obojętność na los tych, którzy przeżyli, Bundestag nie chce dyskutować o „nowym antysemityzmie”, zanika poczucie współodpowiedzialności za wyrządzone zło, maleje gotowość niesienia pomocy potrzebującym, w jałowych sporach o liczby ofiar zatracą się pamięć o sprawcach ludobójstwa⁸². Jochmann nie miał wątpliwości co do tego, że „im bardziej zwiększać się będzie dystans do holocaustu, tym wyraźniej występować będą na światło dzienne powiązania wielu z tym, co się stało, czyli z uczestnictwem w polityce prześladowania. Było dlań oczywiste, że „bardzo wielu Niemców w tym uczestniczyło i jeszcze więcej o tym wiedziało. To właśnie to, co nas powinno zająć”. Dlatego nie wystarcza materialne zadośćuczynienie czy przypominanie „banalności zła”, w którym współczucie idzie w parze z „zimnym jak żelazo rozumem” (Eiseskälte des Intellekts). Rozrachunek z niechlubną przeszłością jest możliwy wyłącznie wtedy, kiedy do dialogu wnosimy własne przekonania i wartości, w tym gotowość porzucenia utartych przekłamań i ideologicznych klisz i kiedy własne interesy podporządkujemy dążeniu do poznania prawdy”. Nie można wytepić starego bezprawia przy pomocy nowego⁸³. I nie powinno się pisanie historii stosunków niemiecko-żydowskich pozostawić wyłącznie badaczom żydowskim. Dlatego jako przewodniczący hamburskiej filii Stowarzyszenia Chrześcijańsko-Żydowskiej Współpracy co-

⁸⁰ E.Nolte, *Der europäische Bürgerkrieg*, 1987.

⁸¹ W. Jochmann, *Die Deutschen verdrängen noch immer die Schuldfrage*, „Hamburger Abendblatt”, 3 III 1986.

⁸² „Die Trümmer sind beseitigt, die finanziellen Verluste ausgeglichen. Wiederaufbau und Wirtschaftswunder brachten weltweit Ansehen zurück. Doch ist damit zur Liquidierung des nationalsozialistischen Erbes nicht alles getan worden” (W. Jochmann, *Es wurde mehr gewußt, als viele zugeben...* (jak w przyp. 65).

⁸³ W. Jochmann, *Salut für eine Zeitschrift. Zum 25-jährigen Bestehen der „Vierteljahrshefte”*, „Die Zeit” nr 18, 28 IV 1978.: „Unrecht kann nicht durch neues Unrecht getilgt werden”.

rocznie organizował Niemieckie Tygodnie Braterstwa (Wochen der Brüderlichkeit). Po wybuchu wojny w Zatoce Perskiej doprowadził do silnie obsadzonej przez środowisko naukowe konferencji pod nazwą „Izrael potrzebuje przyjaciół” (Israel braucht Freunde). W zaproszeniu na spotkanie pisał: „Wraz z wojną w zatoce ujawniły się nowe niebezpieczeństwa. Polityczne i ideologiczne uprzedzenia wobec państwa żydowskiego wielokrotnie urosły do niepokonalnych barier. W związku z tym muszą wszyscy świadomi zdarzeń przeszłości Niemcy stanąć po stronie Izraela i uciskanych w Europie Wschodniej Żydów. Każdy, kto pielęgnuje pamięć o Żydach prześladowanych i zamordowanych w naszym kraju przez narodowo-socjalistyczny reżim bezprawia, a jednocześnie zamyka się w sobie przed obawami i krzywdą żyjących, traci wszelką wiarygodność”⁸⁴. Do pojednania z Żydami przywiązywał Werner Jochmann większą wagę niż do zjednoczenia Niemiec.

IX

O polskim wydaniu wyboru prac Wernera Jochmanna zdecydowały przede wszystkim względy naukowe. Antologia wzbogaca dyskusję o drogach prowadzących do narodowego socjalizmu w Niemczech, która od lat toczy się także w nauce i publicystyce w Polsce, a także o tym, jak powojenne Niemcy sobie z trudną przeszłością radziły. Z tekstów Wernera Jochmanna czytelnik może poznać ten nurt w historiografii niemieckiej, o którym w naszym kraju wie się mniej, nurt równie nowoczesny co głęboko humanitarny. W wydawnictwie pomieszczono prace napisane w ciągu ćwierćwiecza a poświęcone nie tyle temu, czym był narodowy socjalizm, ile udzielające odpowiedzi na pytanie, jak to możliwe, że zwyciężył w „kraju poetów i myślicieli” i wywarł tragiczny wpływ na dzieje Europy. Wybór nie był łatwy, bo autor pochylał się nad tymi pytaniami przez całe twórcze życie, co starałem się przedstawić w powyższym komentarzu. Większość tekstów pochodzi ze zbioru, który opublikowany został pod koniec życia autora: *Gesellschaftskrise und Judenfeindschaft in Deutschland 1870–1945* (Christians-Verlag, Hamburg 1988). Jeden został wyjęty z napisanej wspólnie z Günterem Brackelmannem i Martinem Greschatem rozprawy *Protestantismus und Politik. Werk und Wirkung Adolf Stoeckers* (Hamburg 1982), drugi pochodzi z napisanej wspólnie z Ursulą Büttner rozprawy *Hamburg auf dem Weg ins Dritte Reich* (Hamburg 1983). Wydawca żywi przeświadczenie, że antologia odegra też pozytywną rolę w akademickiej dydaktyce, służąc studentom prawa i administracji, historii i socjologii, filozofii i psychologii społecznej oraz nauk o polityce.

⁸⁴ Cyt. za U. Büttner, Werner Jochmann. *Den Antisemitismus bekämpfen – eine historische Aufgabe...* (jak w przyp. 2).

Karol Jonca



Karol Jonca, znakomity historyk prawa i doktryn polityczno-prawnych, politolog, badacz dziejów współczesnych Śląska i hitlerowskiej Rzeszy, edytor źródeł, redaktor, mistrz i organizator nauki, działacz społeczny, zmarł 13 stycznia 2008 r. Był człowiekiem rzadkich zalet charakteru, które niełatwo połączyć w spójną sylwetkę. Mamy w niej nieudawaną skromność, która nakazywała mu odrzucać z abominacją podsuwaną przez uczniów i przyjaciół ideę wydania książki jubileuszowej, ale zarazem zdrową ambicję, która nieodmiennie prowadziła go do wyznaczonego sobie celu. To pasjonat, który niczego nie potrafił robić „po drodze”. Był otwarty, ale i uparty, stawiał sobie wysokie wymagania, ale i oczekiwał tego samego od innych. Był przyjazny ludziom, lojalny wobec współpracowników, stały w przyjaźni, szarmancki. Oddany wielkim i słusznym sprawom, ujmował wrażliwością na krzywdę. Wyznawał twarde zasady moralne, których bronił walecznie, podobnie jak bronił swoich licznych uczniów, dla których był prawdziwym niekwestionowanym mistrzem. Miał naturę działacza społecznego; pamiętam, z jak wielkim uporem walczył z PKP o to, by w Ślubicach mogły zatrzymywać się pociągi InterCity. Kochał Śląsk, Opolszczyznę, Wrocław, Uniwersytet Wrocławski, macierzysty Wydział. Poznałem go bliżej dopiero w 1973 r., kiedy zjawił się na parę dni w Monachium w Instytucie Historii Współczesnej w celach badawczych. Był wtedy dziekanem Wydziału Prawa i Administracji i od razu w pierwszej rozmowie ujął mnie troską i ojcowskim do niego przywiązaniem. Tęsknił za swoją uczelnią. Wciąż niepokoił się, czy pod jego nieobecność na posterunku sprawy idą w dobrym kierunku. Nie przypuszczał nawet, że zaraz po powrocie do kraju zostanie odwołany z urzędu i to pod absurdalnym zarzutem, że jako urodzony na Śląsku Opolskim, a zatem w ówczesnej Rzeszy, zbyt intensywnie broni spraw niemieckich. Boleśnie to przeżył. Jego śmierć, choć stanowiła konsekwencję długiej choroby, przyszła niespodziewanie, w trakcie realizowania przez Profesora licznych i rozległych planów naukowych, pograżając w smutku środowisko polskich humanistów.

Karol Jonca przyszedł na świat 13 września 1930 r. w Sławięcicach koło Koźła i do ostatnich dni swego życia czuł się bardzo mocno związany z rodzinnymi stronami. Ostatnie dwie książki – *Wielka Armia Napoleona w 1807 r. pod Koźłem* (Opole 2004) i *Dzieje Sławięcic do roku 1945* (Kędzierzyn – Koźle – Sławięcice 2007) poświęcił właśnie tej swojej małej ojczyźnie. Pisał o niej również w wielu wcześniejszych tekstach, a tytuł „Honorowego Obywatela miasta Kędzierzyn-Koźle” z 2000 r. i nazwanie jego imieniem jednej z ulic w tym mieście oraz nadany mu w 2002 r., tytuł „Honorowy Obywatel Województwa Opolskiego” i przyznana w tym samym roku Nagroda im. Wojciecha Korfanteo sprawiły mu – jestem tego pewien – więcej satysfakcji niż wszystkie inne wyróżnienia, jakie stawały się jego udziałem.

W Sławięcicach i Koźlu Karol Jonca ukończył rozpoczętą w 1937 r. edukację w szkole podstawowej. Po wkroczeniu do miasta Armii Czerwonej pracował przymusowo – pod nadzorem funkcjonariuszy radzieckich – w charakterze pomocnika maszynisty w Koźlu-Porcie, gdzie też w 1950 r. ukończył naukę w renomowanym Liceum Ogólnokształcącym, tym samym, do którego uczęszczali m.in. Jerzy Wyrozumski, Jan Trzciński (oba w tej samej klasie co Karol) i Alfred Konieczny. W latach 1950–1954 studiował prawo na Uniwersytecie Wrocławskim, z którym związał się na całe życie. Po złożeniu egzaminu magisterskiego rozpoczął błyskotliwą karierę naukową w seminarium nestora wrocławskich historyków prawa, prof. Seweryna Wysłoucha, zaś po jego śmierci w 1968 r. we współpracy z Franciszkiem Ryszką. Oba w równym stopniu ukształtowali jego rozległe terytorium badawcze. Od Wysłoucha przejął zafascynowanie historią Śląska, w szczególności historią społeczną tej ziemi; od Ryszki pochodziły impulsy do zainteresowania się dziejami Trzeciej Rzeszy. Oba nurty Karol Jonca potrafił zresztą z sobą udalnie połączyć; wiele jego tekstów to prace o roli Śląska w polityce hitlerowskich Niemiec.

Pierwsze publikacje Karola Joncy z lat pięćdziesiątych – noszące ślady tematyki preferowanej przez państwo w okresie tzw. przełomu metodologicznego w nauce, ale i deficytowej, poznawczo niedoinwestowanej, przy tym oparte o solidne podstawy źródłowe i rzetelne w interpretacji – zostały podsumowane w monografii *Położenie robotników w przemyśle górniczo-hutniczym na Śląsku w latach 1889–1914*. Książka przyniosła autorowi doktorat w 1958 r., została opublikowana w Wydawnictwach Uniwersytetu Wrocławskiego dwa lata później i spotkała się z uznaniem krytyki. Kontynuację badań nad historią społeczną Śląska wyrażała obszerna i wnikliwa rozprawa *Polityka socjalna Niemiec w przemyśle ciężkim Górnego Śląska 1871–1914* (1966), która była podstawą jego udanego przewodu habilitacyjnego. Do badań nad historią Śląska w czasach przed pierwszą wojną światową Karol Jonca wracał jeszcze nieraz, najczęściej na łamach „Studiów Śląskich”, organu Instytutu Śląskiego w Opolu, któ-

rych w latach 1969–1984 był zastępcą redaktora i redaktorem naczelnym. Pokłosiem tych badań pozostały m.in. fascynacje historią gospodarczą, teksty publikowane zarówno w formie analitycznych studiów źródłowych, lokowanych na łamach periodyków naukowych (zarys dziejów gospodarczych i społecznych Koźła, Strzelec Opolskich, studium o planach budowy dróg wodnych Odra-Dunaj i Odra-Wisła, rozprawa o stosowaniu ustawodawstwa socjalnego w śląskim hutnictwie cynku przed pierwszą wojną światową), jak i w postaci opracowań syntetycznych, skryptów dla studentów i podręczników akademickich. Były to: *Historia gospodarcza Polski w zarysie do 1939 r.* (1984), *Dzieje gospodarcze Polski do 1939 r.* (1996), *Rozwój gospodarczy Polski do 1939 r.* (wyd. I 2000). Badania nad historią gospodarczą i społeczną prowadzone przez Karola Joncę, choć zajmowały w jego twórczości raczej miejsce uboczne, były wzorem sumienności warsztatowej i wnikliwości analitycznej. To cechy jego pisarstwa, które stanowiły dobrą podstawę dla sukcesu dociekań nad głównym polem jego naukowych pasji i badawczych inwestycji. Były one liczne i doniosłe: dzieje Niemiec w okresie panowania w nich faszystowskiego totalitaryzmu – ruch NSDAP i „ujednolicanie” kraju, polityka hitlerowska na Śląsku, idee narodowego socjalizmu, antysemityzm, problematyka obozowa, brunatne uniwersytety w Niemczech, postawy ludności polskiej – Ślązaków w czasie wojny, los Wrocławia w latach drugiej wojny światowej, ruch oporu przeciwko dyktaturze narodowych socjalistów w samej Rzeszy.

Pionierskie prace Karola Joncy z zakresu niemcoznawstwa odnosiły się do tragicznych dziejów Wrocławia w latach wojny. W 1962 r. podjął on – wspólnie z Alfredem Koniecznym – kompleksowe badania nad dziejami oblężenia i kapitulacji tej skazanej wolą władców Niemiec na zagładę „twierdzy”. Kolejne rezultaty żmudnych poszukiwań autorzy ogłaszali w obszernych tomach: *„Festung Breslau”. Documenta obsidionis* (1962), *Upadek Festung Breslau* (1963), *Kronika dni oblężenia* (1964), *Festung Breslau in den Berichten eines Pfarrers – Paul Peikert* (1974). Były to bestsellery na rynku księgarskim, z których większość wznawiano siedmio- i ośmiokrotnie. Wstrząsająca w swej wymowie i pedantyczna warsztatowo dokumentacja była wciąż obudowywana i uzupełniana nowymi ustaleniami autorów, publikowanymi na łamach periodyków. Karol Jonca wprowadzał w osłupienie swych niemieckich gości, których zawsze osobiście i z satysfakcją oprowadzał po odbudowanym mieście; wiedział wszystko o ludziach tamtych lat, znał niemal każde stanowisko ogniowe, potrafił odtworzyć przebieg frontów, doskonale rozpoznawał konflikty w niemieckim dowództwie, z pietyzmem dochodził do prawdy o ludności polskiej zamieszkującej tamten Wrocław.

Badania nad polityką hitlerowskich Niemiec wobec ludności Śląska zaprzętały umysł Karola Joncy przez całe twórcze życie. Bibliografię jego prac w tej

dziedzinie otwierała ważna monografia *Polityka narodowościowa Trzeciej Rzeszy na Śląsku Opolskim 1933–1940. Studium polityczno-prawne* (1970), która otworzyła mu drogę do profesury. Pisał o aktywności hitlerowskich służb specjalnych w tym regionie, o roli opolskiego gestapo w penetrowaniu administracji prowincji, o sprawie likwidacji polskich nauczycieli we włączonych do rejencji opolskiej powiatach Zawiercie i Blachownia, o udziale śląskiej SS w przygotowywaniu agresji na Polskę, o postępującej brutalizacji polityki Niemiec wobec polskiej mniejszości, o narodowo-socjalistycznej polityce wobec kościołów, o założeniach hitlerowskiej polityki ścigania obywateli sowieckich na Śląsku w czasie wojny, o instrumentalnym traktowaniu problemu ochrony mniejszości narodowych, o wysiedlaniu Niemców i osadnictwie ludności polskiej na obszarze Krzyżowa – Świdnica w pierwszych latach powojennych. Wiele w tych studiach wysiłku pioniera, troski o detal, dbałości o wiązanie konkretnych działań z ogólnymi trendami polityki niemieckiej. Autor starał się o to, by przekonać czytelnika do swoich tez przez dokumentowanie wywodów. Szereg artykułów i rozpraw wydawany był w połączeniu z edycją źródeł, co naturalnie uwiarygodniało komentarz. Taki charakter miały publikacje obejmujące badanie akcji kryjącej się pod kryptonimem „noc i mgła” – zbrodnicego przedsięwzięcia z lat 1941–1944, polegającego na pozbawianiu wolności i wywożeniu w nieznane głównie ludności żydowskiej z krajów Europy Zachodniej. Ich syntezą była wydana po francusku wspólnie z Alfredem Koniecznym monografia-dokument *Nuit et Brouillard* (1981).

Tu dotykamy kolejnego nurtu, stanowiącego ważną część bibliografii prac naukowych Karola Joncy, a mianowicie jego badań nad antysemityzmem w Rzeszy. Z pasją śledził on „prehistorię” prześladowań Żydów w „kraju poetów i myślicieli” – współpracował tu m.in. z zaprzyjaźnionym badaczem niemieckim Wernerem Jochmannem – próbował odpowiedzieć na pytanie o źródła i etapy niemieckiego – bo nie tylko hitlerowskiego – antysemityzmu, prezentował bogaty materiał o smutnym żniwie prześladowań, które miały na celu „ostateczne rozwiązanie” (*Endlösung*) kwestii żydowskiej. Ciekawie przedstawiał martyrologię Żydów wrocławskich. Unikalną w literaturze światowej była tu wstrząsająca monografia – dokument zbrodni: *Noc krzyształowa i casus Herschela Grynszpana*, której pierwsze wydanie ukazało się w 1992 r. i która od razu zajęła poczesne miejsce w naukowym obiegu.

Antysemityzm nie był oczywiście jedyną w opinii Karola Joncy konstrukcją składającą się na zbrodniczą rzeczywistość hitlerowskiego totalitaryzmu. Jako historyk idei, kierownik Katedry tej dyscypliny na Wydziale Prawa, Administracji i Ekonomii Uniwersytetu Wrocławskiego, uważnie pochylał się nad mglistymi zasadami „narodowosocjalistycznego światopoglądu”, który praktykowanie zła nie tylko umożliwiał, ale doń otwarcie zachęcał. Pisał o tzw. socjalistach

z katedry i ich programie rozwijania idei państwa pomocy społecznej, o teorii „wielkiego obszaru” w krajach naddunajskich i bałkańskich, o ewolucji pojęcia państwa prawnego, o teoriach prawa natury w Niemczech, o decyzyonizmie Carla Schmitta, o uzasadnianiu przygotowań wojennych na Wschodzie, o koncepcji państwa wodzowskiego, o miejscu apologii wojny pośród zasad narodowo-socjalistycznego światopoglądu, wreszcie o „ujednolicaniu” uniwersytetów. Były to wątki doniosłe, podnoszone w polskim piśmiennictwie rzadko; traktowane jako legitymizacja polityki terroru i zagłady całych narodów, wiernie uzupełniały zbrodniczy charakter faszystowskiego totalitaryzmu, choć nie stworzyły jego całościowego, spójnego konterfektu. W nawale prac Karol Jonca nie kończył studiów nad napoczętymi tematami; jego ruchliwy umysł wskazywał mu wciąż nowe perspektywy badawcze.

Wątkiem, który autor drążył konsekwentnie i głęboko, był problem antyhitlerowskiego ruchu oporu. Szedł tu śladem, który zostawiali badacze niemieccy, z którymi współpracował przez dziesięciolecia, ale też miał swoje preferencje. Przez prawie trzydzieści lat pochylał się nad „Kręgiem z Krzyżowej” (Kreisauer Kreis), czyli nad tą grupą spiskowców, którzy zwrócili się przeciwko Hitlerowi w dwóch ostatnich latach wojny. Dokonywał starannych studiów biograficznych członków opozycyjnej grupy, poddawał rozbiorowi ich polityczny program, zastanawiał się nad motywami tkwiących w nim postulatów. Wstępnego podsumowania dokonań grupy dokonał w redagowanej przez siebie pracy zbiorowej z 1970 r.: *Studia nad antyhitlerowską opozycją w Trzeciej Rzeszy 1933–1945*. Z czasem przywódca spiskowców z Krzyżowej, hr. Helmuth James von Moltke, zajął karty kilkudziesięciu prac Karola Joncy, który swojego bohatera nie tylko podziwiał, ale i z jego programem w dużej mierze się – jak sądzę – identyfikował. Stąd do swoistej hipertrofii w interpretacji tego programu nie było daleko, również do pomniejszania faktu, że arystokratyczna grupa z Krzyżowej bardziej walczyła z Hitlerem, który przestał gwarantować zwycięstwo, niż z narodowym socjalizmem. Intencje Karola były jednak szlachetne; był słusznie przeświadczony o tym, że dzieje opozycji antyhitlerowskiej należą do historii Niemiec, podobnie jak totalitaryzm i zbrodnie drugiej wojny światowej. Rezultatem były: *Denken mit Moltke. Gedanken über Kreisau und Krzyżowa* (2003) oraz *Myśleć z Moltkem – na drodze do powstania Fundacji Krzyżowa dla Porozumienia Europejskiego* (wyd. II 2006) – dwie książki, które miały przyczynić się do polsko-niemieckiego pojednania, odzwierciedlały apogeum tego etapu w życiu i twórczości Karola Joncy, kiedy współpraca z powojennymi i ponownie zjednoczonymi Niemcami stawała się naczelnym imperatywem jego aktywności.

W ostatnim ćwierćwieczu Karol Jonca wzmógł jeszcze intensywność swej działalności. Należał do członków Senatu Założycielskiego Europejskiego Uni-

wersytetu Viadrina we Frankfurcie nad Odrą. Od 1993 r. prowadził na nim wykłady dla polskich i niemieckich studentów, a w 2001 r. został przez tę uczelnię wyróżniony godnością doktora *honoris causa*. Był członkiem założycielem Towarzystwa im. Edyty Stein oraz Fundacji Krzyżowa dla Porozumienia Europejskiego. Należał do najstarszych i najbardziej znaczących postaci we Wspólnej Polsko-Niemieckiej Komisji do spraw Podręczników Szkolnych z Historii i Geografii, działającej od początku lat siedemdziesiątych pod egidą UNESCO. Cieszył się niekłamanym szacunkiem niemieckich badaczy uczestniczących w pracach Komisji; z wieloma z nich – Gottholdem Rhodem, Hansem-Adolfem Jacobsenem, Wernerem Jochmannem, Jörgem K. Hoenschem, Wolfgangiem Jacobmeyerem, Ernstem Hintzem – połączyły go więzy trwałej przyjaźni i współdziałania.

Najwięcej uczynił dla macierzystego Uniwersytetu. Marek Maciejewski, pierwszy uczeń Karola Joncy, wspomina, że jego mistrz odegrał istotną rolę w uwolnieniu uczelni od jej niechcianego patrona, którym w latach pięćdziesiątych był Bolesław Bierut. Miał swój udział w powołaniu do życia Centrum Studiów Niemieckich i Europejskich im. Willego Brandta. Należał do inicjatorów budowy Biblioteki Uniwersyteckiej, bronił studentów i pracowników przed represjami w stanie wojennym. Był inicjatorem i laudatorem w postępowaniach o nadanie godności doktora *honoris causa* wybitnym Polakom: Janowi Baszkiewiczowi, Edmundowi Osmańczykowi i Jerzemu Giedroyciowi.

Również w ostatnich latach życia brał Karol Jonca żywy udział w krajowym ruchu naukowym. Był członkiem Polskiej Akademii Umiejętności, należał do członków honorowych Instytutu Zachodniego im. Zygmunta Wojciechowskiego w Poznaniu i Instytutu Śląskiego w Opolu, działał w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, później w Instytucie Pamięci Narodowej, był członkiem stowarzyszenia francuskich kombatanów „Nuit et Brouillard”.

Do końca swoich dni Karol Jonca nie rezygnował również z prowadzenia niezwykle ekstensywnego życia twórczego. Wciąż zaskakiwał nowymi tematami publikacji: dwa opasłe tomy *Dekrety prezydenta Eduarda Benesa. Niemcy w czechosłowackiej doktrynie politycznej i prawnej z lat 1920–1945* (2005) oraz *Wojna polsko-sowiecka 1920 roku w dokumentach niemieckiej dyplomacji* (2002) są tego najlepszym przykładem. Jeszcze jesienią 2007 r. przesłał nam dwudziesty dziewiąty tom „swoich”, założonych przez siebie w 1974 r., „Studiów nad faszyzmem i zbrodniami hitlerowskimi”. Do końca też – mimo pogarszającego się stanu zdrowia – brał czynny udział w krajowym i międzynarodowym życiu naukowym. Był człowiekiem Uniwersytetu.

Zdzisław Kaczmarczyk



Zdzisław Kaczmarczyk należał do społeczności mojego Wydziału przez całe dorosłe życie. Był jedną z najdłużej związanych z nim postaci. Od początku lat trzydziestych do przedwczesnej śmierci w roku 1980 traktował Wydział jako swój drugi dom, nie zawsze jedyne, ale niezmiennie główne miejsce pracy. Identyfikował się z nim i czuł za jego losy współodpowiedzialny. Tu studiował, tu zaczynał jako asystent-wolontariusz, tu pokonywał szczeble akademickiej hierarchii, zdobywając naukowe stopnie i tytuły oraz piastując ważne stanowiska. Grał znaczące role; bez niego niejedno może potoczyłoby się inaczej. Z pewnością był jedną z tych osobowości, które współtworzyły wizerunek środowiska historyczno-prawnego, Wydziału i decydowały o jego randze na uczelni. Był człowiekiem Uniwersytetu.

I

Zdzisław Kaczmarczyk był pierwszym moim mistrzem. Spędziłem u jego boku trzydzieści lat, najpierw jako najmłodszy adept, którego trzeba było z mozołem wdrażać do zawodu, z upływem czasu jako uczeń, który powoli stawał się partnerem i współpracownikiem i któremu powierzano zadania wymagające nie tylko zaufania, ale i wiedzy. Nigdy potem tych więzów nie zerwałem. Było zatem dość sposobności, by Mistrza poznać i zrozumieć, choć nie było to zadanie proste, bo „otwierał się” – jak mawiamy modnie – rzadko i niechętnie. Było też dość czasu, by stwierdzić, że dojrzewają we mnie poczucie wielkości zaciągniętego długu i myśl, że formą jego częściowej przynajmniej spłaty może być tylko uchronienie pamięci o nim – jako uczonym i człowieku – przed zapomnieniem.

Zdzisław Kaczmarczyk żył w kilku epokach, w czasach ciekawych, w których – jak mawiał – żyło się trudno, ale w których warto było żyć. Dzieciństwo i młodość spędził w Polsce niepodległej, ledwie odrodzonej po zaborach, a już śmiertelnie zagrożonej. Druga „wielka wojna” zbliżała się nieuchronnie, kiedy stawiał pierwsze kroki jako badacz. Pamiętny 1 września 1939 r., dzień, w którym Rada Wydziału Prawno-Ekonomicznego Uniwersytetu Poznańskiego podjęła uchwałę o wszczęciu jego przewodu habilitacyjnego, rozpoczął okres drugi w jego życiu – czas tułaczki, ponieważ, jednocześnie heroicznej walki o byt i pracy konspiracyjnej, a zarazem kontynuowania badań, których uwieńczeniem była habilitacja na Tajnym Uniwersytecie Ziemi Zachodnich. Potem przyszła burzliwa dekada powojenna: lata pełnego poświęcenia wysiłku przy usuwaniu gruzów pozostawionych przez wojnę i okupanta, czas patriotycznego uniesienia w odbudowywaniu życia naukowego i walki z Niemcami, a zaraz potem okres stalinowskiego totalitaryzmu wraz z jego tzw. metodologicznym przełomem w nauce i trudne zbliżenie z marksizmem. Po śmierci Zygmunta Wojciechowskiego w 1955 r. i krótkiej odwilży popaździernikowej, jaka została zainaugurowana w rok później, Zdzisław Kaczmarczyk osiągnął wyżyny naukowej sławy; stawał się niekwestionowanym liderem swojej dyscypliny nie tylko w środowisku poznańskim i do końca życia swój autorytet i naukowy prestiż systematycznie utwierdzał.

Wykazywał iście renesansowe pasje i zainteresowania. Należał do gorących wyznawców „kreatywnego płodozmianu” w uprawianiu badań. Był bowiem i historykiem ustroju, i znawcą instytucji prawa prywatnego, i archeologiem, i historykiem *tout court* (z preferencjami dla dziejów dyplomacji), i badaczem historii sztuki. Był wytrawnym badaczem przeszłości miast, znawcą architektury i literatury. Władał wieloma językami, doskonale panował nad naukami pomocniczymi historii. Wykazywał autentyczne zamiłowanie do geografii i etnologii; ocalałe z pożogi wojennej karty jego pamiętnika są żarliwym wyznaniem miłości do gór: były dlań „snem”, „cieniem”, „zachwyceniem”. Układał i drukował wiersze, też o górach. Czuł się członkiem „narodu Podhalań”; przez lata kompletował swój strój góralski, a na jednostkę odbywania służby wojskowej wybrał pułk strzelców podhalańskich. Pod koniec roku 1936 napisał rozprawkę pt. *Granice Podhala*, która miała być wydrukowana w „Roczniku Ziemi Górskich”. Nie doszło do tego z powodu wybuchu wojny, bo w jej wirach rękopis zaginął. Już w 1931 r. należał do zespołu redakcyjnego „Dwutygodnika Literackiego”, kierowanego przez Stanisława Witolda Balickiego. Spotykał się z Haliną Brodowską, Emilem Zegadłowiczem, Wojciechem Bąkiem, Zenonem Kosidowskim i Jerzym Braunem.

Patriotyczne wychowanie, wyniesione z domu, burzliwy czas politycznych wstrząsów, atmosfera w środowisku, wreszcie osobowość Mistrza sprawiały,

że Zdzisław Kaczmarczyk żywił głęboko zakorzenione poczucie, iż praca badawcza i powołanie nauczyciela to nie tylko zobowiązanie do podnoszenia zawodowych kwalifikacji, ale i sposób na życie, społeczna misja, służba. Łączył z tym przeświadczenie o odpowiedzialności, jaką ponosi uczony wobec społeczeństwa, zarówno wtedy, kiedy dokonuje wyboru przedmiotu badania, jak i wówczas, kiedy prezentuje jego rezultaty. Nie chciał być badaczem wyłącznie rejestrującym fakty, odkrywającym to, co sterylne i „chemicznie czyste”, zamkniętym na trendy społeczne. Takie *credo* miało ten skutek, że wiele jego znanych tekstów – szczególnie tych, które powstawały w latach czterdziestych – głęboko wkraczało w sferę refleksji politycznej. Oczywiście, podejmując wątki poruszające emocje zbiorowe, ważne poznawczo i społecznie doniosłe, często narażony bywał na pułapki, z jakimi spotykają się i o jakie często potykają się ci, którzy obracają się na ruchomym styku nauki i polityki. Był z pewnością „historykiem politycznym”, np. wtedy, kiedy rozwijał nacjonalistyczne formuły myśli zachodniej, albo wtedy, kiedy w latach pięćdziesiątych w sposób nieskrywany deklarował poparcie dla zasad materializmu historycznego jako „jedynie słusznej” metody badawczej w humanistyce. Ale choć uważnie wsłuchiwał się w głos polityka, przecież to on i tylko on udzielał odpowiedzi na pytania przez polityka stawiane. I on sam rozstrzygał, jakie drogi i jakie środki prowadzą do odpowiedzi zbliżających do naukowej prawdy. Badanie to zatem przede wszystkim żmudny proces dochodzenia do prawdy, on stanowi jej synonim, tworzy jej dopełnienie. Zdawał sobie przy tym sprawę z faktu, że prawda naukowa jest zawsze prawdą danego czasu, którą czas przyszły może zmienić, uzupełnić albo przeobrazić w miarę postępu badania. Dlatego wątpił i badał, wychodząc z założenia, że tylko dyletant i „barbarzyńca” odchodzą od postawy sceptyka, porzucając badanie. Między nauką a polityką nie musi być przepaści, jeżeli metoda dochodzenia prawdy jest oparta na źródłach i naukowo uprawnione są zasady ich egzegezy.

Stąd Zdzisław Kaczmarczyk chętnie zmieniał przedmiot dociekań; drążył dawne tematy i podejmował nowe, wracał do wątków napoczętych, kiedy uznał, że wymagają nowego spojrzenia, że dla poznania faktu czy trendu trzeba inaczej postawić pytanie. Podkreślał, że zmianę dyktuje sama higiena pracy umysłowej, że warsztat trzeba poszerzać. Trwanie w okopach jednego obszaru przynosi znużenie. Historyk pochylający się latami nad jednym tematem wpada w rutynę, kostnieje, pozbawia się szans wydawania wyważonych sądów, ma utrudnione pole prowadzenia badań integralnych. W jednym z wywiadów wyrażał myśl, że drążenie jednego zagadnienia ogranicza mobilność badania, prowadząc od „znużenia monotonością” do odporności na nowe wyzwania,

„otwierające się dla nowych dziedzin”¹. Była to ważna zasada, dzięki której Zdzisław Kaczmarczyk badał to, co uznawał za „ważne” i „godne pamięci”². Zaczynał, jak wszyscy uczniowie Zygmunta Wojciechowskiego, ba – jak wszyscy wielcy historycy prawa z Oswaldem Balzerem i Stanisławem Kutrzebą na czele, od studiów nad instytucjami ustroju i prawa w średniowieczu. Mediewistyka była zawsze uznawana za badawczy rewir, który daje najwięcej korzyści adeptowi nauk o przeszłości: uczyła szacunku dla źródeł i sztuki ich rozbioru, była szkołą rozwijania naukowej wyobraźni, sprzyjała kształtowaniu umiejętności stałego korygowania i poszerzania kwestionariusza pytań. Na kanwie studiów nad immunitetem i niektórymi instytucjami średniowiecznego prawa Zdzisław Kaczmarczyk przeszedł do szeroko zakrojonych dociekań nad Kazimierzem Wielkim i jego epoką. Będzie do nich wracał do końca życia. W trakcie wojny, w związku z nią i jej grozą, podjął problematykę, która była znakiem firmowym szkoły Wojciechowskiego od lat dwudziestych: myśl zachodnią z jej tezą przewodnią o ziemiach leżących nad Odrą i Bałtykiem jako macierzystych ziemiach polskich³. I ta tematyka nigdy nie została przez autora złożona *ad acta*. Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych Profesor włączył do swego naukowego warsztatu badania nad historią ustroju Polski czasów nowożytnych. Nie bez związku z trendami metodologicznymi schyłku powojennej dekady zajął się ustrojem i prawem Odrodzenia i Oświecenia oraz sprawami periodyzacji historii ojczystej. Uczestniczył w opracowaniu ważnych powojennych syntez *Historii Polski* oraz *Historii ustroju i prawa Polski*. Należał do autorów wielotomowej *Historii dyplomacji polskiej*. Wydawał też źródła, zaprzątnięty myślą o akademickiej dydaktyce, ale i kierując się potrzebami badacza profesjonalnych. „Bez wydawnictw źródłowych trudno sobie wyobrazić prowadzenie prac zespołowych” – mówił w czasie sesji Kołłątajowskiej. Wreszcie – wierny swemu zafascynowaniu geografią i historią architektury i sztuki – prowadził z zapałem kompleksowe i wielokierunkowe studia nad historią i rozplanowaniem przestrzennym miast, w Polsce przede wszystkim, ale i na szerokim tle porównawczym. Na tym polu mógł poszczycić się poważnym, wręcz rzadkim sukcesem: udało mu się „zarazić” tematem i porwać za sobą większość kolegów i uczniów.

Tu dotykam od razu problemu Zdzisława Kaczmarczyka jako mistrza. Wywodząc się ze znakomitego seminarium Zygmunta Wojciechowskiego, twórcy poznańskiej szkoły historii prawa, był wybitnym jej kontynuatorem. Tak jak

¹ Wywiad dla „Gazety Zachodniej” z 2 XII 1976. Arch. PAN P iii 68/141.

² Tak – w sposób idiograficzny – ujmował swą misję badacza również Zygmunt Wojciechowski. Por. A.F. Grabski, *Zygmunt Wojciechowski i historia ziem macierzystych Polski*, [w:] Zygmunt Wojciechowski, *Zygmunt Stary*, oprac. A.F. Grabski, Warszawa 1979, s. 5–69 („Klasyki Historiografii”).

³ Z. Wojciechowski, *Rozwój terytorialny Prus w stosunku do ziem macierzystych Polski*, [w:] *Studia historyczne*, Poznań 1933; idem, *Polska-Niemcy. Dziesięć wieków zmagania*, Poznań 1945.

Wojciechowski miał dar przyciągania do współpracy młodych ludzi. Różnił się od swoich rówieśników w katedrach historyczno-prawnych Wydziału może tylko tym, że nie narzucał tematów uczniom. To w dużym stopniu wyjaśniało tajemnicę popularności jego seminarium: wysłuchiwał propozycji kandydata, dyskutował, polemizował i perswadował, nie dyskwalifikował z góry projektów skrajnych i... rzucał na głęboką wodę. W rezultacie w licznym gronie naukowej młodzieży skupionej wokół niego spotykali się autorzy prac o sporym rozrzucie zainteresowań, zarówno tematycznym, jak i chronologicznym: specjaliści prehistorii, archeologii prawnej, badacze ustroju Polski nowożytnej, historii sejmu i ziemskiego samorządu, historycy prawa karnego i organizacji sądownictwa, znawcy historii miast i życia sejmikowego, dziejów rzemiosła, specjaliści prawa średniowiecznego, dziejów regionów, historii ustroju na ziemiach polskich pod zaborem, a nawet badacze dziejów Drugiej Rzeczypospolitej.

Uczniowie należeli do różnych generacji, reprezentowali różne style myślenia, różny typ osobowości i mieli różne wizje pracy. Różnie też potoczyły się ich kariery. Najwcześniej, bo już w latach czterdziestych, spotkali się na seminarium doktorskim Zdzisława Kaczmarczyka Jan Wąsicki i Zbigniew Radwański. Urodzeni w pierwszych latach dwudziestych, obaj z pokolenia Kolumbów, ciężko doświadczeni w czasie okupacji, zdolni i ambitni, najwcześniej pokonali edukacyjne zaległości i uporali się z doktoratami. Pierwszy debiutował rozprawą o konfederacji targowickiej i sejmie grodzieńskim 1793 r.⁴, drugi monografią praw kardynalnych w Polsce⁵. Obie dysertacje zostały z uwagą odnotowane przez krytykę, a książka Z. Radwańskiego weszła na dziesiątki lat do naukowego obiegu, pozostając do dziś jedyną monografią na ten temat. Jak wiadomo – Jan Wąsicki, który z czasem obrał za główny przedmiot swych naukowych zainteresowań dzieje ustroju ziem polskich pod zaborem pruskim – zostać miał zastępcą i następcą Mistrza, zaś Zbigniew Radwański robił błyskotliwą karierę jako od lat pierwszy w kraju autorytet w zakresie cywilistyki, wybitny badacz i organizator nauki. W latach pięćdziesiątych na seminarium pojawił się Witold Maisel, wiekiem najstarszy z uczniów, zaledwie dwa lata młodszy od Mistrza. Maisel był przez lata urzędnikiem, jego naukowy start opóźniał się z powodu braku etatu w Katedrze. Dzięki benedyktyńskiej pracowitości, pasji badawczej i talentowi szybko jednak odrabiał zaległości. Jego doktorat na temat prawa karnego miasta Poznania⁶ i następujące po nim edycje źródłowe z dziejów m.in. organizacji wymiaru sprawiedliwości były wydarzeniami w dziejach dyscypliny, podobnie jak późniejsze, przez niektórych kontrowersyjnie przyjmowane

⁴ J. Wąsicki, *Konfederacja targowicka i ostatni sejm Rzeczypospolitej. Studium historyczno-prawne*, Poznań 1952.

⁵ Z. Radwański, *Prawa kardynalne w Polsce*, Poznań 1952.

⁶ W. Maisel, *Sądownictwo miasta Poznania do końca XVI w.*, Poznań 1961; idem, *Poznańskie prawo karne do końca XVI w.*, Poznań 1963.

teksty o tzw. archeologii prawnej⁷. Witold Maisel był najbliższym intelektualnie uczniem Zdzisława Kaczmarczyka, jako że dzielił wszystkie szerokie zainteresowania Mistrza. Pasjonowała go historia architektury, sztuki, a także dzieje miast, ich ustrój, organizacja władz i sądownictwa oraz rozwój przestrzenny. Na tym polu jednak spotykał się Maisel z ostrą konkurencją w seminarium. Przeszłość miast i obowiązującego w nich prawa fascynowała bowiem również innych uczniów Z. Kaczmarczyka. Należeli do nich przede wszystkim Zofia Kulejewska i Edwin Rozenkranc. Pierwsza badała jurydyki Poznania na progu czasów nowożytnych⁸, drugi był zafascynowany wpływem prawa lubeckiego w miastach Pomorza Gdańskiego⁹. Stał się też szybko pierwszym obok Zbigniewa Zdrójkowskiego znawcą organizacji sądownictwa w regionie. Nurt badań nad miastami reprezentowali w seminarium także utalentowani badacze spoza grona etatowych pracowników Katedry: Grażyna Wróblewska i Wiesław Posadzy. Oboje przez wiele lat ściśle współpracowali z mistrzem w rozpoznawaniu przeszłości miast Polski zachodniej, tj. Ziemi Lubuskiej i Zielonogórskiego. Mogli poszczycić się na tym polu niemałymi osiągnięciami, w formalnym zakończeniu przewodów doktorskich przeszkodziła im jednak przedwczesna śmierć. Status specjalnego gościa był udziałem Andrzeja Wędzkiego, pracownika Polskiej Akademii Nauk, który w czasie seminaryjnych posiedzeń zamieniał się z prawnika w archeologa i prehistoryka, jako że z zapałem prowadził badania nad znaleziskami tłumaczącymi powstanie ośrodka miejskiego w Łądzie koło Konina¹⁰. Temat budził najżywsze zainteresowanie Mistrza. Podziwiałem i do dziś ze wzruszeniem wspominam owo ożywienie, z jakim rozprawiał o przynoszonych na seminarium cegłach i innych znaleziskach z zakresu kultury materialnej wieków średnich. Ożywienie było zresztą tak autentyczne, że wszyscy dawaliśmy się w debatę wciągać. Oczywiście nie oznacza to, że badacze tematów mniej emocjonujących Zdzisława Kaczmarczyka mieli powody czuć się niedocenianymi. Przeciwnie – Mistrz chętnie i z równą uwagą słuchał referatów, jakie wygłaszali Krzysztof Dembski, który pisał rozprawę o odrębnościach w ustroju Wielkopolski w latach 1919–1923¹¹, oraz Jerzy Wiślocki,

⁷ Bibliografię i charakterystykę sylwetki naukowej Witolda Maisla można znaleźć w pracy zbiorowej: *Historia prawa – historia kultury. Liber memorialis Vitoldo Maisel dedicatus*, pod red. E. Borkowskiej-Bagieńskiej i H. Olszewskiego, Poznań 1994, s. 5–37.

⁸ Z. Kulejewska-Topolska, *Nowe lokacje miejskie w Wielkopolsce od XVI do końca XVIII wieku. Studium historyczno-prawne*, Poznań 1964; eadem, *Struktura prawna aglomeracji osadniczej Poznania od XV do końca XVIII wieku*, Poznań 1969.

⁹ E. Rozenkranc, *Początki i ustrój miast Pomorza Gdańskiego do schyłku XVI stulecia*, Gdańsk 1962; idem, *Recepcja prawa lubeckiego w miastach nadbałtyckich*, Gdańsk 1967.

¹⁰ A. Wędzki, *Rozwój osadnictwa i podziały ziemi łądzkiej we wczesnym średniowieczu*, Poznań 1961 (praca niepublikowana); *Początki reformy miejskiej w środkowej Europie do połowy XII w. Słowiańszczyzna Zachodnia*, Poznań 1974. Książka była bestsellerem w swojej dziedzinie.

¹¹ K. Dembski, *Odrębności ustrojowe Wielkopolski 1919–1923. Studium historyczno-prawne*, Poznań 1970.

który wnosił w posagu po okresie terminowania u Janusza Deresiewicza wyniki swych dociekań nad rzemiosłem w miastach Wielkopolski¹². To samo może stwierdzić piszący te słowa, autor przygotowywanej w latach pięćdziesiątych rozprawy o poglądach szlachty na ustrój Rzeczypospolitej w latach 1697–1740 i – w latach sześćdziesiątych – pracy o sejmie Rzeczypospolitej epoki oligarchii magnackiej¹³.

Zespół spotykający się na seminarium doktorskim Zdzisława Kaczmarczyka był liczny, wielopokoleniowy i godny, godny w tym sensie, że iskrzyło w nim impulsami, że tkwił w nim spory przecież naukowy potencjał. Świadczą o tym zawodowe osiągnięcia jego uczestników: Jan Wąsicki, Zbigniew Radwański, Witold Maisel, Edwin Rozenkranc Zofia Kulejewska, Jerzy Wiślocki, Andrzej Wędzki, Henryk Olszewski zostali profesorami, kierownikami katedr, zakładów i zespołów badawczych, członkami różnych naukowych organizacji w kraju i za granicą, autorami prac, które weszły do dziejów dyscyplin historyczno-prawnych, cenionymi nauczycielami akademickimi, organizatorami życia naukowego. Nie byliśmy wspólnotą ludzi, którzy zawsze we wszystkim się ze sobą zgadzali, ale stanowiliśmy wspólnotę, połączoną więzami duchowego powinowactwa i lojalności wobec Mistrza. Mistrz odwzajemniał nasze odczucia i postawy z nawiązką. Pozornie oschły, szorstki, a nawet sztywny, w bezpośrednich kontaktach potrafił zadziwiać bezpośredniością i serdeczną życzliwością. Wylewnością się nie odznaczał, lubił formy „krótkie”, trochę „suche” i konkretne. Przestrzegał dystansu w kontaktach; odziedziczył po swoich mistrzach poczucie hierarchii, które wynikało z autentycznego przeświadczenia o tym, że profesura stanowi niekwestionowany jej wierzchołek, nakazując unikanie form bardziej poufalitych. Nawet z Witoldem Maislem, który – jak się rzekło – był jego rówieśnikiem i z którym łączyły go bliskie więzy porozumienia, zainteresowań i ścisłej współpracy na wielu obszarach i którego chyba najbardziej z nas wszystkich cenił, nigdy – o ile mnie pamięć nie myli – nie przeszedł na koleżeńskie „ty”.

Zdzisław Kaczmarczyk nie należał do płomiennych mówców, z czego chyba zdawał sobie sprawę, bo w czasie oficjalnych wystąpień mówił zawsze – czasami lekko się zacinając – bardzo powoli i raczej niechętnie. Często wracam myślami do swojego kolokwium habilitacyjnego, w czasie którego jako jeden z recenzentów tak długo formułował „obowiązkowe” pytanie (proste w zasadzie i pomyślane jak najbardziej życzliwie), że w końcu obaj się pogubiliśmy: On, bo się zorientował, że swym obszernym, pełnym dygresji wywodem raczej skomplikował poruszony zespół kwestii, i ja, odpowiadając na ten wywód nie

¹² J. Wiślocki, *Organizacja poznańskiego rzemiosła w XVI i XVII wieku*, Poznań 1963.

¹³ H. Olszewski, *Ustrój polityczny Rzeczypospolitej w poglądach szlachty polskiej w czasach saskich (1697–1740)*, Warszawa 1961; idem, *Sejm Rzeczypospolitej epoki oligarchii 1652–1763. Prawo – praktyka – teoria – programy*, Poznań 1966.

tak jak trzeba, bo uleciała mi w trakcie jego artykułowania istota zawartego w nim pytania. Jego kursowy wykład był naturalnie wzorowo przygotowany i należycie sproblematyzowany, a także jasno i dobitnie opowiedziany, ale równocześnie całkowicie wolny od retorycznych fajerwerków, wyprany z błyskotliwych dygresji, takich jakich nie szczędzili nam inni wykładowcy. Odnosiliśmy wrażenie, że mówi jakby pod przymusem, że nie ufa sile perswazji swoich słów, że powoduje nim przekonanie, iż większość studentów przychodzi na Jego wykład tylko z musu, z powodu rygorystycznie przestrzeganej dyscypliny studiów. Przeciętny student wydawał się zresztą istotnie nie wzbudzać w nim większego zainteresowania; uchodził za jednostkę statystyczną. Na giełdzie studenckiej miał niskie notowania jako egzaminator. Ci, którzy spotykali się z nim w roli egzaminowanych w jego gabinecie – prawda, że z reguły byli to ci, którym się nie powiodło – opowiadali potem niestworzone rzeczy o formach, w jakich ich nie tylko „oblewał”, ale i demonstracyjnie lekceważył. Trudno by mi było te opinie potwierdzić w całej rozciągłości. Kilka razy „z urzędu” uczestniczyłem w tych egzaminach jako opiekun grupy i nie zachowałem w pamięci objawów lekceważenia zdających, choć widziałem egzaminatora znużonego, skrajnie zniecierpliwionego, czasem mało uważnego. Dziwiło mnie natomiast nieraz, jak bardzo różniły się nasze wyobrażenia o skali trudności poszczególnych będących przedmiotem egzaminu zagadnień: z przywilejów ziemskich wystarczało znać jeden, by wyjść z notą dobrą, podobnie jedno prawidłowe zdanie o kompetencjach Trybunału Koronnego otwierało drogę do pozytywnej oceny, podczas gdy wikłanie się w wywódzie o ustroju Śląska, o lennie w Inflantach czy związkach Kurlandii z Rzeczpospolitą zwiastowało pewną katastrofę.

Nie będąc natchnionym mówcą, był przecież Zdzisław Kaczmarczyk znakomitym rozmówcą, ujmującym nie tylko znajomością poruszanych spraw, ale i umiejętnością prowadzenia dialogu. Potrafił słuchać i cierpliwie wyjaśniać wątpliwości. Miał dar postrzegania problemów, które umykały naszej uwadze. Był tolerancyjny wobec poglądów, których nie podzielał, ale też strzegł granic, za którymi rozrzut sądów mógł – jego zdaniem – prowadzić do nieporozumień, stawał się irracjonalny, oznaczał bezsens. Dbał przy tym o wysokie standardy naukowe; jego krytyka – często ostra, a nawet brutalna – miała pomagać, nigdy ranić. Na proseminarium, na które tłumnie – wbrew temu, że profesor nie cieszył się sławą przyjaciela młodzieży – zjawiali się studenci ambitni i zdolni, z początku czytaliśmy i komentowaliśmy źródła. Mistrz miał tu swe preferencje: Statuty Kazimierza Wielkiego, Księgę henrykowską w tłumaczeniu Grodeckiego, księgi sądowe wiejskie, wydawane wtedy w ośrodku krakowskim przez zespół Adama Vetulaniego, oraz pamiętniki obyczajowe – Paska, Matuszewicza, Kitowicza. Irytował się, kiedy zbyt często na jaw wychodziły nasze braki w opanowaniu średniowiecznej łaciny. Bawił się natomiast znakomicie i śmiał

do łez (sic!), kiedy słuchał dosadnych opisów Paska czy – to szczególnie – Kito-wicza. Mieliliśmy wrażenie, że sam pragnie się rozerwać, kiedy już znudziło się mu wysłuchiwanie naszych „uczonych” interpretacji tekstów *stricte* prawni-czych. Prawdziwy walor tych proseminariów, które prowadził dla studentów starszych lat i w trakcie studiów tzw. drugiego stopnia, uświadomiłem sobie dopiero później. Uczyły szacunku dla źródeł, odpowiedzialności za słowo, umie-jętności w interpretowaniu wieloznacznych wywodów, stawiania sensownych pytań. Seminarium doktorskie przebiegało już inaczej. Odbywało się wedle z góry na cały rok ustalonego planu. Najpierw przedstawialiśmy kłopoty i pro-bblemy, z jakimi spotykaliśmy się i borykali na co dzień w pracy. Następnie ko-lejno referowaliśmy nasze teksty, którymi były z reguły fragmenty dysertacji, okolicznościowe referaty, czasem recenzje. Potem odbywała się dyskusja, do której Mistrz systematycznie zachęcał i którą pilnie śledził, czyniąc notatki. Na koniec sam zabierał głos i z reguły była to garść refleksji, która miała znaczenie nie tylko dla referenta, a odnosiła się do kwestii, ważnej w danej chwili dla każ-dego z nas. Sporo miejsca i żywe zainteresowanie obecnych budziły zawsze sprawy planowanych wycieczek, zwiedzania zabytków, studiowanie map i ma-teriałów ikonograficznych. Takie seminaria nieraz kończyły się w kawiarni lub w mieszkaniu jednego z uczestników i trwały wiele godzin. Kiedy Mistrz przy-gotowywał kolejną książkę lub kiedy miał wygłosić jakiś referat na ważnej kon-ferencji, czytał tekst seminarzystom. Z uwagą i zrozumieniem słuchał głosów pochwalnych, ale jeszcze bardziej rad był z głosów polemicznych czy krytycz-nych.

Liczne funkcje, jakie sprawował Zdzisław Kaczmarczyk w swojej karierze akademickiej, szczególnie w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, wymaga-ły od niego umiejętnego kierowania ludźmi i zespołami ludzi, nie tylko z poczu-ciem troski o ich rozwój naukowy, ale także w zgodzie z pragmatyką służbową, obowiązującą w szkolnictwie wyższym. Przez całe prawie życie był szefem. Wymagał wiele od swych podwładnych, ale także od siebie; miał dar sprawnego organizowania zbiorowych i indywidualnych działań: żądał pracowitości, dokładności, punktualności od współpracowników, którymi byli przecież z reguły pracownicy zajmujący etaty naukowo-badawcze; sekretarki długo były rzadkością, przyszły kiedy u schyłku lat sześćdziesiątych pojawiły się struktury instytutowe. To myśmy musieli być dyspozycyjni i to nie tylko – jak dziś – przez jedną godzinę w tygodniu; to myśmy zamawiali i kupowali książki, inwentary-zowali je, ustawiali na półkach, pilnowali wypożyczania i terminowych zwro-tów. Równocześnie do nas – asystentów i adiunktów – należało realizowanie „polityki finansowej” katedry, prowadzenie korespondencji, dbałość o sprzęt, czyli o pilnowanie odbioru okresowych przydziałów papieru i przyborów pi-śmiennych, utrzymywanie sprawności maszyny do pisania, przygotowywanie

materiałów potrzebnych do ćwiczeń, którymi były wypisy źródłowe, mapy, skrypty itp. Szczerze mówiąc, ten pozornie rozległy kwestionariusz obowiązków nie wychodził nam na niekorzyść: nie mieliśmy dodatkowych etatów, lubiliśmy barwne życie katedralne, spędzaliśmy na Wydziale sporo czasu, toteż organizacyjne obowiązki uważaliśmy za coś naturalnego; identyfikowaliśmy się z Katedrą i Wydziałem i wykonując czynności także administracyjnej natury uczyliśmy się. Przejmowaliśmy od starszych wiedzę o tradycji Wydziału, a tej fundamentem było m.in. silne poczucie, że ludzie uniwersytetu muszą tworzyć wspólnotę, która nie zna zasad demokratycznej równości, bo jej wierchołkiem w Katedrze jest szef. Wiedzieliśmy zresztą, że poczucie to dzieli on bez reszty.

Zdzisław Kaczmarczyk jako wymagający zwierzchnik lubił być o ważniejszych sprawach informowany i nie zaniebyszał okazji, by swoich pracowników dyskretnie sprawdzać. Kiedy spostrzegł, że coś zrobiono źle, potrafił dać wyraz swemu niezadowoleniu, i to w postaci, która zganionemu nie musiała przypaść do gustu. Ale stan profesorskiego gniewu wykazywał z reguły znamiona przejściowości. O tym, że potrafił zapominać urazy, miałem przekonać się jeszcze nieraz.

W ciągu owych trzydziestu lat, w których dane mi było z prof. Zdzisławem Kaczmarczykiem współpracować (jeżeli ten czasownik nie jest nadużyciem), mój do niego stosunek uległ najbardziej diametralnej zmianie wtedy, kiedy myślałem o nim jako osobowości. Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy w początku października 1950 r., odniosłem wrażenie, że to człowiek szorstki, zimny, skrajnie zarozumiały, ponadto mocno już starszawy (łatwo obliczyć: miał wtenczas 39 lat). Po latach spotykał się z nami inny człowiek: Mistrz ujmował serdeczną bezpośredniością, nieudawaną życzliwością, tryskał humorem, potrafił być duszą towarzystwa, umiał jak mało kto cieszyć się darami życia. Tylko że miał taką już naturę, że trzeba było lat, aby to spostrzec¹⁴.

II

Rodzina Kaczmarczyków pochodziła z Małopolski. Również młodość Zdzisława Antoniego Kaczmarczyka upłynęła w Galicji. Urodził się w Krakowie 19 sierpnia 1911 r. Jego ojciec, Kazimierz – syn Jakuba, posiadającego we wsi Wiśnicz Stary koło Bochni, w pobliżu ruin zamku Kmitów i Lubomirskich, małe gospodarstwo rolne i dorabiającego w kopalni węgla w Morawskiej Ostrawie – doktor historii i profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Jagiellońskiego i członek

¹⁴ Dopiero w czasie kwerendy spuścizny odnalazłem list z 13 listopada 1956 r., adresowany do Wojewódzkiego Oddziału PCK, w którym pp. Kaczmarczykowie zgłaszają gotowość przyjęcia w opiekę dziecka węgierskiego, osieroconego po rewolucji. Oczywiście spełnienie tej prośby nie okazało się możliwe. Por. Arch PAN P III 68/142, k. 34.

PAU, był wybitnym i cenionym badaczem-archiwistą, jednym z najbardziej znanych w swoim pokoleniu organizatorów nauki, który w odrodzonym kraju odegrał poważną rolę w porządkowaniu rozproszonych w okresie zaborów zasobów¹⁵. Jako uczony zasłużył się przede wszystkim wydaniem tomów ksiąg rady miejskiej w Poznaniu¹⁶. Matka Władysława z Nicolaiów prowadziła dom i wraz z mężem troszczyła się o wychowanie obu synów, starszego – Zdzisława i młodszego – Wisława oraz córki Zofii. Burzliwy czas, najpierw zwiastujący wielką wojnę, potem dramatyczne metamorfozy na frontach, coraz bliższa perspektywa odzyskania niepodległego bytu państwowego, wreszcie wydarzenia zwycięskiego roku 1918 sprzyjały kształtowaniu patriotyzmu i poczucia społecznej służby. Zdzisław szybko dojrzewał, od najwcześniejszych lat słuchał rozmów o kraju, poznawał ludzi o głośnych nazwiskach, chłonał opowiadania o dziejach ojczystych. W domu rodziców spotykali się potentaci nauki; stałym bywalcem był Władysław Semkowicz, zjawiali się Michał Bobrzyński i Stanisław Kutrzeba, wpadał ks. Jan Fijałek, czasami ze Lwowa przyjeżdżali Oswald Balzer i Władysław Abraham. Jego pierwszym mistrzem i przewodnikiem był jednak ojciec, który w życiu publicznym bezpośrednio nie uczestniczył, ale dobrze znał rządzące nim prawidła. Kult ojca widoczny był w domu pp. Kaczmarczyków do ostatnich jego dni. Kiedy po latach w trakcie spotkań z uczniami Zdzisław Kaczmarczyk wspominał dzieje pierwszej dekady Polski Odrodzonej, z reguły powoływał się na świadectwo ojca.

Sentyment do Krakowa, zafascynowanie przeszłością szły w parze z umiłowaniem natury, zainteresowaniem geografią, tęsknotą do Tatr i Beskidów. Znał je na wylot i do późnych lat życia, póki starczało czasu i zdrowia, co roku je zwiedzał. To im poświęcał młodzieńcze wiersze, z których wiele ukazywało się w znanych miesięcznikach „Prom” i „Wierchy”. Ogłaszał je pod pseudonimem Stefana Nicolai. Geografia miała być drugą jego naukową miłością.

W roku 1920 rodzina Kaczmarczyków przeniosła się do Poznaniu, w którym prof. Kazimierz Kaczmarczyk objął ważne stanowisko dyrektora Wojewódzkiego Archiwum Państwowego, które będzie piastował nieprzerwanie – z wielkim dla środowiska pożytkiem – aż do przejścia na emeryturę w późnych latach sześćdziesiątych, biorąc przy tym aktywny udział w życiu naukowym. Zdzisław, który w Krakowie ukończył pierwsze klasy szkoły powszechnej, kontynuował naukę najpierw w Gimnazjum im. Ignacego Paderewskiego (1921–1926), potem w ekskluzywnym Liceum im. Karola Marcinkowskiego (1926–1929). W Poznaniu przyszły badacz zetknął się z atmosferą niemniej gorącą od

¹⁵ K. Tymieniecki, *Kazimierz Kaczmarczyk 1878–1966*, „Roczniki Historyczne” 1967, R. 33, s. 283–285; S. Nawrocki, *Kazimierz Kaczmarczyk 1878–1966*, [w:] *Wybitni historycy wielkopolscy*, praca zbior. pod red. J. Strzelczyka, (Historia, 157), Poznań 1989, s. 296 i n.

¹⁶ K. Kaczmarczyk, *Księgi radzieckie poznańskie*, t. I–III, Poznań 1931.

tej, którą znał z rozpolitykowanego Krakowa. Stolica Wielkopolski wciąż jeszcze żywo przypominała miasto frontowe, żyjące zwycięstwem w Powstaniu, chlubiła się przy tym swą polityczną odrębnością od Warszawy, by jednocześnie z pietyzmem hołubić nastroje antyniemieckie i antypruskie. Była centrum polskiej myśli zachodniej. W młodej Wszechnicy Piastowskiej, na którą oczy przyszłego maturzysty kierowały się coraz częściej, uprawiali badania nad historią i współczesnością Niemiec i stosunków polsko-niemieckich wybitni uczeni: archeolog Józef Kostrzewski, etnolog Jan Stanisław Bystroń, antropolog Jan Czekanowski, historycy Bronisław Dembiński i Kazimierz Tymieniecki, językoznawcy Tadeusz Lehr-Spławiński, Mikołaj Rudnicki, ks. Stanisław Kozierowski, Józef Widajewicz, socjolog Florian Znaniecki i historycy prawa Teodor Tyc, Zygmunt Wojciechowski i Marian Zygmunt Jedlicki. W Poznaniu działały znane ośrodki studiów nad Zachodem: Instytut Zachodnio-Słowiański, Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Polski Związek Zachodni i Zachodnia Agencja Prasowa. Tu działała instytucja Powszechnych Wykładów Uniwersyteckich. Tu też redagowano renomowane periodyki poświęcone kwestii niemieckiej: „Slavia Occidentalis”, „Roczniki Historyczne”, „Strażnica Zachodnia”¹⁷. Rozwój myśli zachodniej, coraz wyraźniej nasiąkającej treściami nacjonalistycznymi, śledził Zdzisław Kaczmarczyk z zainteresowaniem, pozbawionym wszelako – jak się wydaje – trwalszego politycznego zaciętrzewienia.

Po złożeniu matury w 1929 r. Zdzisław Kaczmarczyk podjął studia na Uniwersytecie Poznańskim. Jako podstawowy kierunek wybrał prawo, choć decyzja ta nie przyszła mu łatwo. Alternatywą wydawały się studia historyczne na Wydziale Filozoficzno-Historycznym, na którym wykładał znany mu z częstych odwiedzin w domu, zaprzyjaźniony z ojcem i niesłychanie mu imponujący Kazimierz Tymieniecki. Jeszcze bardziej frapowała go geografia, otwierająca perspektywę odkrywania świata, pieszych wędrówek, badań terenowych nad środowiskiem naturalnym człowieka, zapowiadająca możliwość powrotów w Tatry. Swoją notatnik studencki z geograficznych wycieczek przechowywał w domu z wielką starannością¹⁸. Rozterki rozwiązał zresztą „po salomonowemu”; chodził na wykłady Tymienieckiego, poznawał nauki pomocnicze historii, a w roku 1934 zapisał się na geografię jako kierunek poboczny. Wykłady Stanisława Pawłowskiego wspominał do końca z wielką estymą. Jeżeli zaś podjął studia prawnicze jako studia podstawowe, to dlatego, że Wydział ten zaskakiwał rozmachem rozwoju i liczbą studentów, imponował znaczącą rolą, graną w uniwersytecie. Studia prawnicze miały wtenczas silny podkład teoretyczno-historyczny i filozoficzny, kształciły prawników-humanistów, a nie tylko rze-

¹⁷ H. Olszewski, *Między nauką a polityką: Instytut Zachodni w latach 1944–2004*, „Przegląd Zachodni” 2004, R. 60, nr 2, s. 12–19.

¹⁸ Arch. PAN P III 68/139

mieślników w zawodzie, znawców obowiązujących norm. Na Wydziale Prawno-Ekonomicznym wykładali uczeni o znanych i uznanych nazwiskach, cieszący się naukową renomą: teoretyk państwa i konstytucjonalista Antoni Peretiatkowicz, filozof prawa Czesław Znamierowski, cywilista Alfred Ohanowicz, historyk gospodarczy Jan Rutkowski, badacz myśli ekonomicznej Edward Taylor, prawnik-romanista Zygmunt Lisowski, no i Zygmunt Wojciechowski, przybyły w 1925 r. ze Lwowa pierwszy uczeń samego Oswalda Balzera¹⁹.

Zygmunt Wojciechowski odegrał wyjątkową rolę w życiu Zdzisława Kaczmarczyka. W Poznaniu szybko doszedł do sławy, jaka nie była udziałem żadnego z profesorów. Choć był bardzo młody, bo w 1929 r. nie ukończył jeszcze trzydziestu lat, cieszył się niekwestionowanym autorytetem jako świetny badacz. Był już wtedy autorem książek, które należały do klasyki literatury historyczno-prawnej. Rozwijał właśnie wtedy swą koncepcję ziem macierzystych polskich, która głosiła, że naturalnym terytorium etnicznym Polaków są ziemie leżące nad Odrą i Bałtykiem, że odsuwanie Polski od tych ziem i szukanie rekompensaty w ekspansji na Wschodzie było sprzeczne z polską racją stanu i wodą na młyn polityki niemieckiej: kolejno brandenburskiej, krzyżackiej, hohenzollernowskiej, weimarskiej i hitlerowskiej. Niemcy-Prusy to naturalny wróg Polski, a tysiąc lat polsko-niemieckiego sąsiedztwa to dziesięć wieków zmagania – jak napisze później w tytule znanej książki²⁰. Nauka i polityka, patriotyzm i nacjonalizm przeplatały się w pisarstwie Wojciechowskiego i równoważyły. Był uczonym, publicystą i organizatorem życia naukowego, człowiekiem, który porywał otoczenie magnetyczną siłą charakteru i niekłamany autorytetem moralnym, politykiem o niebывалым instynkcie przywódczym, odważnie i umiejętnie broniącym pryncypiów. Stanowił typ działacza charyzmatycznego, który z reguły zwracał się do szerokich warstw rodaków, żywiąc głębokie przeświadczenie o potrzebie – jak podkreślał – „budzenia w społeczeństwie polskim niezbędnych stanów emocjonalnych”. Miał wyjątkowy dar jednania sobie ludzi i dobierania współpracowników; zarażał ich entuzjazmem²¹. Studenci Wydziału, którzy posiadali zmysł humanistyczny i którym nie marzyła się kariera w zawodzie *stricto* prawniczym, chętnie szli na seminarium do Wojciechowskiego. Tak uczynił też Zdzisław Kaczmarczyk.

¹⁹ H. Olszewski, K. Sikorska-Dzięgielewska, *Poznańskie środowisko historyczno-prawne w latach 1919–1939*, [w:] *Studia z historii państwa i prawa*, t. VII, pod red. J. Matuszewskiego, Łódź 2002, s. 215 i n.; por. też *Zarys dziejów Wydziału Prawa Uniwersytetu w Poznaniu 1919–2004*, pod red. K. Krasowskiego, Poznań 2004, *passim*.

²⁰ Z. Wojciechowski, *Rozwój terytorialny Prus w stosunku do ziem macierzystych Polski* [w:] *Studia historyczne*, Poznań 1933.

²¹ H. Olszewski, *Zygmunt Wojciechowski 1900–1955*, [w:] *Wybitni historycy wielkopolscy...*, s. 269–285; idem, *Między nauką a polityką. O biografii Zygmunta Wojciechowskiego. W związku z książką Markusa Krzosi, Für ein Polen an Oder und Ostsee. Zygmunt Wojciechowski (1900–1955) als Historiker und Publizist*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 2003, t. 55, z. 1, s. 313 i n.

Na seminarium Zygmunta Wojciechowskiego spotkał Z. Kaczmarczyk różne indywidualności. Nie brakowało uczestników po uszy zanurzonych w politykę, zwłaszcza w okresie, w którym Profesor ostentacyjnie wspierał ruch narodowy Dmowskiego. Ale byli tam też studenci, którzy wobec polityki zachowywali chłodny dystans i marzyli o karierze naukowej, tacy jak Józef Matuszewski, Kazimierz Kolańczyk, Michał Szczaniecki czy Stefan Weyman. U Wojciechowskiego nikt nie musiał lawirować między nauką a polityką, nikt nie był skłaniany do innych niż ściśle naukowe interpretacji i wyborów. Józef Matuszewski pisał doktorat o immunitecie ekonomicznym w XIII w., Kazimierz Kolańczyk doktoryzował się na podstawie rozprawy o najdawniejszym polskim prawie spadkowym, Stefan Weyman zajmował się cłami i drogami we wczesnym średniowieczu, Michał Szczaniecki badał nadania ziemi na rzecz rycerzy w średniowiecznym prawie ziemskim itp. Mistrz przestrzegał rygorystycznych kanonów pracy naukowej; sprawdzał solidność warsztatu. Do polityki nie zachęcał. W niedawno przeprowadzonej przeze mnie „Rozmowie w redakcji”, drukowanej na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego” Józef Matuszewski cytował skierowane doń słowa przestrogi Wojciechowskiego: „Od polityki niech się Pan, Panie Józefie, trzyma z dala. Inaczej zejdziesz Pan na psy, jak ja”²². Dosadna rada dana uczniowi wyrażała nieskrywany żal, że tak trudno komuś, kto ma przed oczyma jasno wytknięte cele ze sfery polityki, przestrzegać reżimu obowiązującego w badaniu.

Ta sama zasada obowiązywała również w stosunku do Zdzisława Kaczmarczyka. Podjął On temat, którego polityczne implikacje były raczej nikłe. Jakby na potwierdzenie dalekosiężnych planów wobec pierwszego swego ucznia, a zarazem dla podkreślenia ściśle naukowego profilu seminarium Zygmunt Wojciechowski skłonił go do uczęszczania na znane z wysokiego poziomu *privatissima* Jana Rutkowskiego i uzupełniania swych wiadomości na seminarium z etnologii u Jana S. Bystronia. Praca magisterska dotyczyła ekonomicznego immunitetu kościelnego w Małopolsce w XIII w., została napisana na drugim roku studiów i opublikowana w skróconej wersji w „Sprawozdaniach Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk” za rok 1932²³. Nosiła znamiona debiutu, który mógł nie być pozbawiony pewnych niedoskonałości, ale ukazywała talent i pasję badania młodego autora. Została też w dniu absolutorium – 26 września 1933 r. – wyróżniona Brązowym Medalem Uniwersytetu²⁴. Pierwszy sukces, poparty zresztą przygotowanym na seminarium Rutkowskiego i opublikowanym w renomowanym roczniku „Lud” tekście o gospodarce halnej w XVIII w.

²² Z Profesorem Józefem Matuszewskim rozmawiał Henryk Olszewski, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 2002, t. 54, z. 1, s. 404.

²³ Z. Kaczmarczyk, *Immunitet ekonomiczny w Małopolsce w XIII w.*, [w:] *Sprawozdania PTPN*, t. 4 (za rok 1932), nr 1–2, Poznań 1933, s. 7 i n.

²⁴ Arch. UAM 599/476.

w „Państwie Łodygowieckim”²⁵, potwierdzał trafność wyboru przez autora kariery naukowej. Z dniem 1 lutego 1934 r. podjął on pracę w Seminarium historii gospodarczej, historii prawa polskiego i historii prawa na zachodzie Europy w charakterze asystenta-wolontariusza przy Katedrze Ustroju i Prawa Polskiego, kierowanej przez Z. Wojciechowskiego.

Jeszcze jako student Kaczmarczyk podjął badania nad rozprawą doktorską. Temat dysertacji tylko luźno nawiązywał do tematu rozprawy magisterskiej. Tytuł jej brzmiał: *Immunitet sądowy i jurysdykcja poimmunitetowa w dobrach Kościoła w Polsce do końca XIV wieku*. Po rozpoczętej już w roku 1933 i kilka lat trwającej, żmudnej kwerendzie, której z pewnością nie ułatwiała służba wojskowa, praca została ukończona i dzięki staraniom Zygmunta Wojciechowskiego, który pozyskał na jej publikację środki z Funduszu Narodowego i Funduszu Naukowego Uniwersytetu Poznańskiego, w błyskawicznym tempie wydana przez PTPN jeszcze w 1936 r.²⁶ Procedura przyznania stopnia była dość skomplikowana i rozkładała się w czasie. Składając pracę, doktorant „oświadczał i zaręczał pod słowem honoru”, że przedłożoną rozprawę „napisał i wykonał samodzielnie z użyciem tylko źródeł i prac wymienionych w rozprawie”²⁷. Egzamin tzw. ścisły (tj. z przedmiotu podstawowego, którym była historia ustroju i prawa polskiego) oraz egzamin „poboczny” (z historii ustroju i prawa Europy Zachodniej) odbył się 6 marca 1936 r. przed komisją Rady Wydziału, której przewodniczył dziekan Stanisław Kasznica, a członkami byli promotor i pierwszy recenzent Zygmunt Wojciechowski, koreferent Marian Z. Jedlicki oraz Marcin Nadobnik. Udział w pracy Komisji był honorowany, a Jedlicki, który wtedy miał tytuł zastępcy profesora, musiał na wejście do Komisji uzyskać specjalną zgodę Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Obrona właściwa na posiedzeniu plenarnym Rady miała miejsce 17 kwietnia, zaś zatwierdzenie uchwały przez Senat, podpisanie dyplomu przez rektora, dziekana i promotora, a potem uroczyste jego wręczenie nowemu doktorowi następnego dnia, czyli 18 kwietnia 1936 r. Profesor Kazimierz Kaczmarczyk, który oczywiście uczestniczył w uroczystości, tak o niej pisał w sporządzonej notatce: „Promocja odbyła się 18 IV 36 r. w sali XVIII o godz. 10,30. Poza rodziną byli profesorowie Skałkowski, Tymieniecki, Nadobnik, Silnicki, Jedlicki, Widajewicz. Przyszli ludzie z sąsiedztwa, z archiwum, z komisji osobowej zdawczej, przyjaciele (m.in. J. Matuszewski). Egzamin ścisły z wynikiem *summa cum laude* odbył się wcześniej. Doktor był w mundurze, urlopowany i zaraz nazajutrz rano odjechał do Cieszyna do jednostki”²⁸.

²⁵ Arch. UAM 819/5.

²⁶ Z. Kaczmarczyk, *Immunitet sądowy i jurysdykcja poimmunitetowa w dobrach Kościoła w Polsce do końca XIV wieku*, Poznań 1936.

²⁷ Arch. UAM 599/476.

²⁸ Arch. PAN Poznań P III 68/137.

Pytania postawione w monografii immunitetu sądowego i jurysdykcji po-immunitetowej w dobrach Kościoła, która – jak wiemy – ukazała się drukiem prawie równocześnie z rozprawą Józefa Matuszewskiego o immunitacie ekonomicznym w dobrach średniowiecznego Kościoła i pracą Michała Sczanieckiego o nadaniach ziemi rodowi rycerskim, w szczególnie sposób zaprzętała uwagę Zygmunta Wojciechowskiego, który chciał wiedzieć, jakie więzi łączą wczesną, pochodzącą z początków XII w. falę nadawania immunitetów duchowieństwu i rycerstwu z ukształtowaniem się pod koniec XIV stulecia monarchii stanowej ze słabym, zależnym już od feudałów królem. Chodziło mu też o to, czy Kazimierz Wielki miał szansę ten proces słabnięcia władzy patrymonialnej powstrzymać. Zadanie postawione przed Zdzisławem Kaczmarczykiem było dwójako trudne. Po pierwsze, miał wybitnych poprzedników, którzy przywileje immunitetowe poddawali analizie, by wymienić tylko opracowania Romana Grodeckiego, Kazimierza Tymienieckiego i samego Wojciechowskiego. Po drugie – musiał z ich ustaleniami podjąć polemikę, co wymagało znacznego poszerzenia badanego obszaru i nowych, jasnych pytań. Autor zamierzył przedstawić nie tylko przebieg uzyskiwania przez Kościół „praw na polu sądowym”, ale i „określić rozmiar i charakter tych praw²⁹”. Potraktował więc zjawisko immunitetu jako przejaw przenikania do Polski zachodnioeuropejskich pojęć prawnych, jako wyraz kulturalnej jedności Europy. Wyrażał zdanie, że udział Kościoła jako beneficjariusza akcji immunitetowej pozostawał zarówno w związku z feudalizacją naszego ustroju, jak i przyczyniał się do spowalniania jego ewolucji, z poszanowaniem wszakże swoistych cech rodzimego rozwoju. Immunitet sądowy – pisał – przeobraził zasady dotychczasowego ustroju sądownictwa w państwie, pozbawił władzy i dochodów urzędników książęcych, co tylko przyspieszało rozpad absolutystycznej prerogatywy panującego. Pisał o wytworzącej się „przegrodzie” między państwem a wieśniakiem, jako zapowiedzi przyszłego poddaństwa, którego symbolem stawała się władza sądowa państwa patrymonialnego. Charakteryzował status wójtów i sołtysów oraz dowodził, że wzrost dochodów duchowieństwa i rycerstwa, prowadzący do osłabiania władzy centrum, w istotnej mierze przyczyniał się do inauguracji demokracji szlacheckiej. Za jej dodatkową przesłankę uważał fakt, że Polska tkwiła głęboko w rozbiciu dzielnicowym. Jego podsumowanie sprowadzało się do konstatacji: Wiek XIII był stuleciem przełomowym w dziejach rozwoju polskiego społeczeństwa. Stwierdzał: „To wydobywanie się sił społecznych na powierzchnię życia państwowego, u którego początku leży władza absolutna księcia, zaznacza[ła] się przede wszystkim przez uzyskiwanie praw i wolności, jakimi były immunitety”³⁰. Konsekwencją była teza, że ostatni Piastowie, Łokietek i Kazi-

²⁹ Z. Kaczmarczyk, *Immunitet sądowy i jurysdykcja...*, s. 6.

³⁰ Ibidem, s. 18.

mierz Wielki zastali immunitet tak silnie „rozpowszechniony i ugruntowany” zarówno wśród duchowieństwa, jak i rycerstwa, że wszelkie próby jego ograniczenia przez przywrócenie kontroli państwa nad sądownictwem patrymonialnym musiały spalić na panewce. W recenzji z pracy Zygmunt Wojciechowski pisał, że Zdzisław Kaczmarczyk, badając w oparciu o znakomitą znajomość źródeł i literatury obejmujące trzy stulecia, przede wszystkim zaś „serce okresu dzielnicowego”, jakim były lata między 1240 a 1260 r., nie pozostawił czytelnikowi wątpliwości co do tego, że „nie ma bezpośredniego związku między okresem wczesnego immunitetu a późniejszą zasadą zupełnego poddaństwa. W środku stoi próba podjęta przez Kazimierza Wielkiego”³¹.

To stwierdzenie mistrza oznaczało, że Zdzisław Kaczmarczyk dobrze wykonał postawione przed sobą zadanie (praca została uhonorowana Złotym Medalem UP) i zapowiadało rychłe skierowanie jego uwagi ku Polsce Kazimierza Wielkiego. Zanim tak się stało, publikował młody doktor prawa drobne teksty, które powstawały na marginesie wielkich kwerend. Dawał w nim wyraz tym zainteresowaniom, jakie żywił od początku. Można powiedzieć, że w tych tekstach, które miały formę drobnych esejów, polemik, sprawozdań czy – coraz częściej – recenzji (znamienne, że także recenzji z prac seminaryjnych kolegów), można odnaleźć – nieraz w embrionalnej postaci – prawie wszystkie nurtujące go tematy: rozprawki o początkach miast (Giecza, Kalisza, Pilska, Poznań, Sępólno, Bydgoszcz, Wrocławia), o kolonizacji niemieckiej w średniowiecznej Polsce, o obronności kraju, studia historyczno-geograficzne; coraz częściej pojawiało się w nich imię ostatniego Piasta na polskim tronie.

Ostatnie lata trzydzieste były dla Zdzisława okresem intensywnej pracy. Rozpoczęte studia nad monarchią Kazimierza Wielkiego łączył on ze służbą w wojsku. Odbywał ją w 1. Pułku Strzelców Podhalańskich, stacjonującym w Cieszynie, potem w Nowym Sączu. Bez wahania wybrał jednostkę symbolizującą rodzinne strony i uroki gór. Wydaje się zresztą, że służbę wojskową traktował nie tylko jako obywatelską powinność, ale także – początkowo przynajmniej – jako przyjemny sposób pożytecznego spędzania czasu. Służba wojskowa, która w miarę upływu czasu dawała mu z uwagi na bezmyślny dryl coraz mniej satysfakcji, nie przeszkadzała mu we wzorowym wykonywaniu obowiązków na uczelni, w której po doktoracie awansował na stanowisko starszego asystenta. Nie stały się taką przeszkodą także obowiązki rodzinne. Oto bowiem 25 czerwca 1938 r. Zdzisław Kaczmarczyk wstąpił w związek małżeński z Marią Tęsiorowską, geografem, profesorem poznańskich gimnazjów i liceów, harcerką – sanitariuszką i dzielnym towarzyszem w wyprawach górskich. Z małżeństwa tego urodziła się córka Elżbieta.

³¹ Arch.UAM 599/476.

Pracował już wtedy intensywnie nad kompleksowym ujęciem monarchii Kazimierza Wielkiego, która to praca w perspektywie miała liczyć cztery tomy, przedstawiając różne aspekty panowania ulubionego króla: tom I miał objąć ustrój państwa, tom II – stosunki między państwem a Kościołem, tom III – status rycerstwa i chłopów rządzących się prawem polskim, wreszcie tom IV – całokształt problemów związanych z kolonizacją na prawie niemieckim. Świadectwem postępu tych prac były artykuły i rozprawki, publikowane na łamach czasopism, również czasopism regionalnych i w prasie. Wymienić wypada tu m.in. następujące teksty: *Nieznany dokument Kazimierza Wielkiego dla Mszany Dolnej i Górnej z 1365 r.*, wydrukowany w „Kwartalniku Historycznym” (1937), *Kazimierz Wielki a Kalisz*, ogłoszony w „Echu Kaliskim” (1937), *Kiedy Kalisz miał najszczytniejsze czasy?*, opublikowany na łamach „Kuriera Poznańskiego” (1938), *Rządy Kazimierza Wielkiego w Kaliszu*, umieszczony w „Przeglądzie Wielkopolskim” (1939) oraz najciekawszy z nich, figurujący wśród studiów pióra najznamienitszych autorów polskich w drugim tomie Księgi pamiątkowej ku czci Stanisława Kutrzeby, zatytułowany *Organizacja obrony kraju w czasach Kazimierza Wielkiego* (1938).

W czerwcu 1939 r. pierwszy tom dzieła *Monarchia Kazimierza Wielkiego. Organizacja państwa*, wydany nakładem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ukazał się w księgarniach³². W połowie lipca kierownik Katedry Zygmunt Wojciechowski skierował do dziekana Wydziału Prawno-Ekonomicznego UP Bohdana Winiarskiego pismo o wszczęcie na jego podstawie przewodu habilitacyjnego. Członkowie Rady Wydziału otrzymali należne egzemplarze opasłego woluminu, a sprawa została umieszczona w porządku pierwszego powakacyjnego posiedzenia, wyznaczonego na 1 września 1939 r. Posiedzenie rozpoczęło się zgodnie z planem i Rada Wydziału pozytywnie ustosunkowała się do wniosku kierownika Katedry³³. Fakt, że Zygmunt Wojciechowski, wybrany w czerwcu nowym dziekanem, właśnie obejmował urząd, przewodnicząc obradom, mógł zapowiadać szybki tok postępowania w sprawie. To jednak, że same obrady trzeba było kilkakrotnie przerywać i schodzić do piwnic w gmachu Reiffeisena, a to z powodu niemieckich nalotów bombowych na Poznań, rachuby te z pewnością stawiało pod znakiem zapytania. Rozpoczynała się wojna, a wraz z nią mroczny czas okupacji, który nie sprzyjał kontynuowaniu naukowych karier.

III

O wszczęciu przewodu habilitacyjnego Zdzisław Kaczmarczyk dowiedział się z opóźnieniem, albowiem jako sierżant podchorąży w 1. Pułku Strzelców

³² *Monarchia Kazimierza Wielkiego*, t. I: *Organizacja państwa*, Poznań 1939.

³³ Protokół Rady Wydziału w Arch. UAM 599/476. Por. też H. Olszewski, *Wydział Prawa w latach 1919–2004*, „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny” 1999, r. 61, nr 2, s. 7.

Podhalańskich w Armii „Karpaty” i zastępca dowódcy plutonu, był już zmobilizowany i w pierwszym dniu wojny walczył na froncie. Swoją szlak bojowy szczegółowo opisał w pamiętniku, ale nigdy później nie wspominał o swoim udziale w kampanii wrześniowej; pewnie wcześniej inaczej ją sobie wyobrażał. Z zachowanych w archiwum uniwersytetu dokumentów wiemy, że epizod żołnierski skończył się dlań w dniu 17 września, kiedy pod Jaworowem k. Lwowa dostał się do niewoli niemieckiej i umieszczony został w obozie przejściowym dla jeńców wojennych w Krakowie³⁴. Miał sporo szczęścia, bo wielu pracowników macierzystego Wydziału już na początku wojny spotkał tragiczny los. Na froncie zginął doc. Janusz Libicki. W Forcie VII w Poznaniu Niemcy rozstrzelali prof. Romualda Paczkowskiego. Profesor Bronisław Stelmachowski został zamęczony przez NKWD. Nie przeżył obozu koncentracyjnego w Oranienburgu docent Marian Kniat. Wielu profesorów – wśród nich Zygmunt Wojciechowski, Alfred Ohanowicz, Stanisław Kasznica czy Marcin Nadobnik – przebywało w areszcie w charakterze zakładników i przechodziło przez ręce funkcjonariuszy gestapo. Jeszcze inni wyemigrowali, by nigdy już na Wydział nie powrócić; tak postąpili Sułkowski, Zaleski, praktycznie także Bohdan Winiarski. Nie sposób dziś odpowiedzieć na pytanie o liczbę ofiar z grona studentów³⁵.

Jako podoficer rezerwy został Zdzisław Kaczmarczyk pod koniec października 1939 r. z obozu zwolniony i powrócił do Poznania, po to jednak tylko, by po dwóch tygodniach zostać eksmitowany z mieszkania i wraz z rodziną znaleźć się w getcie dla wysiedlonych na ul. Główniej. Na początku grudnia Kaczmarczykowie osiedli na wygnaniu w Ostrowcu Świętokrzyskim, a wkrótce potem – po nawiązaniu kontaktu z Zygmuntem Wojciechowskim, który też uszedł do Generalnego Gubernatorstwa, i w porozumieniu z nim – w Częstochowie. Tam Zdzisław Kaczmarczyk został – dzięki koneksjom ojca – zatrudniony przy porządkowaniu archiwum oraz katalogowaniu rękopisów bibliotecznych oo. Paulinów na Jasnej Górze. W klasztorze częstochowskim pracował półtora roku; w tym czasie nie tylko odtwarzał pozostawione w Poznaniu materiały zebrane do kolejnych tomów swego *opus magnum* o monarchii Kazimierza Wielkiego, ale prowadził seminarium dla alumnów i brał udział w tajnym nauczaniu historii i innych przedmiotów w jednej z miejscowych szkół średnich, podobnie jak czyniła to jego małżonka. Jednocześnie zacieśniał współpracę z Zygmuntem Wojciechowskim, który jako wysoki funkcjonariusz Departamentu Nauki Delegatury Rządu na Kraj zaczął odgrywać coraz znaczącą rolę w ruchu konspiracyjnym. Kontakt z Wojciechowskim miał wywrzeć decydujący wpływ na okupacyjne losy młodego doktora.

³⁴ Arch. UAM 819/5.

³⁵ H. Olszewski, *Wydział Prawa w latach...*, s. 6 i n.

W maju 1941 r. Zdzisław Kaczmarczyk przeniósł się do Krakowa, gdzie rodzina znalazła gošcinę w mieszkaniu państwa Kydryńskich przy ul. Felicjanek, w którym przebywali przez prawie dwa lata, do marca 1943 r. Pobyt u państwa Kydryńskich był głodny, ale tłumny; w mieszkaniu obok p. Kydryńskiej i jej trojga potomków: Juliusza, Mysi i Lucjana oraz rodziny Kaczmarczyków znaleźli schronienie i w miarę bezpieczną przystań Jadwiga Leway, b. dyrektor w Solway'u, oraz aktualny robotnik w tych zakładach... Karol Wojtyła; częstymi gošćmi bywali Teresa i Mieczysław Kotlarczykowie, Józef i Zofia Mitkowsy oraz Wojciech Żukrowski³⁶. Wiosną na zlecenie swego mistrza i szefa w jednej osobie oraz w porozumieniu z prezesem Polskiej Akademii Umiejętności Stanisławem Kutrzebą, a także – jak wynika z zapisu w własnoręcznym życiorysie – za wiedzą Delegatury Rządu Londyńskiego w Krakowie, Zdzisław Kaczmarczyk został – jak kilkudziesięciu przedstawicieli polskiego środowiska naukowego – zaangażowany w miejscowym Instytucie Niemieckiej Pracy na Wschodzie (Institut für Deutsche Ostarbeit = IDO). Decyzja była odbierana kontrowersyjnie i do dziś budzi emocje, także emocje zbiorowe. Placówka o tej nazwie, podlegająca bezpośrednio generalnemu gubernatorowi Hansowi Frankowi, i w jego zamyśle twór na podobieństwo innych uniwersytetów Rzeszy (Reichsuniversitäten), jakie istniały w Strasburgu, w Poznaniu, w Pradze i Dorpacie, stanowiących ośrodki wypadowe hitlerowskiej ekspansji naukowo-kulturalnej na terenach okupowanych lub wcielonych do Rzeszy, nie była do końca wojny w stanie swoich zadań realizować. Ale była instytucją nieufnie traktowaną przez Polaków, którzy postrzegali w niej konia trojańskiego hitlerowskiej propagandy. Już sam fakt, że Instytut zajął część pomieszczeń Uniwersytetu Jagiellońskiego i w perspektywie miał go zastąpić jako ważne centrum nauki hitlerowskiej na „niemieckim Wschodzie”, budził odpór. Dodatkowym czynnikiem negatywnego odbioru była okoliczność, że kadra kierownicza składała się wyłącznie z Niemców, wśród których znajdowało się niewielu pracowników nauki, z reguły trzeciorzędnego formatu. W miarę zbliżania się końca wojny działalność Instytutu coraz wyraźniej traciła na efektywności. Obecność Polaków, którzy wykonywali czynności pomocnicze, miała zapewne różnorakie przyczyny. Dla jednych – mam na myśli personel techniczny, obsługę – stanowiła normalne miejsce zatrudnienia, o które w GG nie było łatwo, dla innych mogła być miejscem zapewniającym bezpieczeństwo osobiste, ułatwiającym przetrwanie, stanowiąc rodzaj polisy ubezpieczeniowej chroniącej przed obozem koncentracyjnym czy wywozem na przymusowe roboty, dla jeszcze innych była szansą na kontynuowanie działalności badawczej. W grę wchodziły też inne motywy. Z jednej strony mogła nimi być mniej czy bardziej skrywana gotowość do kola-

³⁶ Informacje te zawdzięczam p. Marii Kaczmarczykowej.

boracji, będąca wynikiem nie tyle zafascynowania polityką czy ideologią okupanta, ile konsekwencją presji, postawą konformizmu, wyrazem zwykłej ludzkiej słabości. Z drugiej obecność w Instytucie stwarzała pole dla uprawiania skutecznej działalności opozycyjnej. Chodziło o chronienie bezcennych zbiorów, o rozpoznawanie zamiarów kierownictwa Instytutu, o spowalnianie podjętych przezeń prac, wreszcie o informowanie władz podziemia o sytuacji w IDO, który przez pewien czas – na początku, kiedy Rzesza jeszcze odnosiła sukcesy – był oczkiem w głowie gubernatora Franka. W ten sposób do Instytutu przenikali również ludzie, którzy nosili znane nazwiska i których patriotyczna postawa nie była kwestionowana.

Do tej kategorii pracowników należał – takie jest moje mocne przeświadczenie – m.in. Zdzisław Kaczmarczyk, zaprzysiężony już wtenczas przez Wojciechowskiego jako przedstawiciela władz Delegatury Rządu na Kraj członek konspiracji. Później pisał o tym tak: „Zadaniem moim było strzec całości zbiorów naukowych, zrąbowanych przez wyżej wymieniony Instytut krakowskim uczelniom oraz informowanie przedstawicieli polskiej nauki o zamierzeniach hitlerowskich naukowców. Równocześnie rozpocząłem na polecenie prof. Z. Wojciechowskiego opracowywanie całego szeregu prac naukowych i popularnonaukowych z tematyki polskich Ziemi Zachodnich oraz stosunków polsko-niemieckich”³⁷. Oczywiście sprawa oceny działalności podziemnej jest zawsze trudna i zawodna. Niszczącą źródła, umierają świadkowie, u żyjących zmieniają się dystans do epoki i obiektyw, przez który oceniają oni fakty; jakże silnie działa przy tym pokusa, by oceny tej dokonywać pod kątem „standardów” teraźniejszości. Nie wiemy, jaka była cena, którą trzeba było płacić za etat w Instytucie i kto ją ustalał? Nie wiemy, czy niemieckie kierownictwo placówki nie żądało od przyjmowanych do pracy rodzaju deklaracji lojalności, jaka była ich treść i czyje referencje miały wystarczającą wagę? Nie znamy okoliczności, w jakich kierownictwo IDO sprawdzało lojalność polskiej kadry i jak kontrolowało rzetelność wykonywania przyjętych przez nią obowiązków. Zarzut kolaboracji odrzuciłem w monografii Zdzisława Kaczmarczyka, wydanej w serii „Magistri nostri”³⁸

Faktem jest, że okres pracy w Instytucie Niemieckiej Pracy na Wschodzie pozwolił Zdzisławowi Kaczmarczykowi na prowadzenie intensywnych kwerend. To wtedy, w latach 1942–1943, zebrał on materiał do drugiego tomu *Monarchii Kazimierza Wielkiego*, która zostanie opublikowana w 1946 r., począł pisać pierwsze rozdziały do *Kolonizacji niemieckiej na wschód od Odry*, która będzie jednym z bestsellerów roku 1945, oraz zakończył potężny popularnonaukowy tekst poświęcony Kazimierzowi Wielkiemu, zamówiony na początku

³⁷ Życiorys podpisany 30 VI 1977. Zob. Arch. UAM 819/5.

³⁸ Zob. H. Olszewski, *Zdzisław Kaczmarczyk...*, op. cit, s. 51 i n.

wojny za pośrednictwem Zygmunta Wojciechowskiego przez warszawskie wydawnictwo Stanisława Arcta. Pisał je w IDO, korzystał ze zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej oraz z prywatnych księgozbiorów krakowskich badaczy – Władysława Pociechy, Stanisława Kutrzeby oraz z książek, które mu udostępnił Wojciechowski. Do omówienia tych prac powrócę w dalszej części tekstu.

W 1944 r., kiedy Zygmunt Wojciechowski przeniósł się do Warszawy, by stamtąd lepiej kontrolować przebieg odbudowy nauki polskiej, Zdzisław Kaczmarczyk stał się jego najbliższym współpracownikiem w Krakowie, rodzajem stacji przekątnikowej między Milanówkiem, gdzie mieściła się siedziba Wojciechowskiego, a środowiskiem naukowym Krakowa. Jak nikt inny w tym mieście cieszył się zaufaniem naukowej komórki Departamentu Informacji przy Delegaturze Rządu Londyńskiego w Warszawie i osobiście swego Mistrza. Przekazywał polecenia Wojciechowskiego dla prof. Mariana Friedberga³⁹, który był jedną z postaci kierujących podziemiem na UJ, i innych działaczy. Dbał o to, by reakcje tego podziemia szybko i pewnie docierały do Milanówka. Przechowywał też u siebie rękopisy Wojciechowskiego, przeznaczone do publikacji po zakończeniu wojny, m.in. maszynopis jego *Historii politycznej Polski*⁴⁰. Na prośbę zwierzchnika opracował projekt podziału administracyjnego kraju, zarys przewidywanej granicy wokół Szczecina⁴¹ i – wraz z żoną – przygotował mapy do gotowego maszynopisu znanej monografii-manifestu pióra Mistrza: *Polska – Niemcy. Dziesięć wieków zmagania*⁴². Oboje mieli wymierny wkład w wielki rodzący się właśnie w głowie Zygmunta Wojciechowskiego plan oparcia powojennej granicy zachodniej nie na Nysie Śląskiej, a na Nysie Łużyckiej.

W wirach ostatniego roku okupacji dokonał się drugi akt habilitacji Zdzisława Kaczmarczyka. Miał on miejsce na Tajnym Uniwersytecie Ziemi Zachodnich i posiadał niezwykłą oprawę, której wymowy nie jest w stanie osłabić nawet lakoniczny protokół. Oto 30 kwietnia 1944 r. zebrała się w Warszawie, w mieszkaniu prof. Jana Rutkowskiego, Rada Wydziału Prawno-Ekonomicznego Uniwersytetu Poznańskiego – w bardzo szczupłym, kilkuosobowym zaledwie składzie – pod przewodnictwem wybranego na rok akademicki 1939/1940 dziekana Zygmunta Wojciechowskiego, i dokonała wyboru referenta pracy habilitacyjnej Kaczmarczyka nt. *Monarchia Kazimierza Wielkiego*. T. 1: *Organizacja państwa* (Poznań 1939). Referentem został wybrany sam Wojciechowski. Na następnym posiedzeniu Rady, jakie odbyło się dnia 14 maja 1944 r. w mieszkaniu prof. Alfreda Ohanowicza, „praca została uznana za wystarczają-

³⁹ Z. Kaczmarczyk, *Marian Friedberg (1902–1967)*, „Przegląd Zachodni” 1969, R. 25, nr 3, s. 260–261.

⁴⁰ Arch. PAN P III 68/142, k. 2.

⁴¹ Arch. PAN P III 68/63, k. 12.

⁴² Poznań 1945.

cą dla uzyskania docentury” i zważywszy na okoliczności wojny i w zgodzie z przepisami Ustawy o szkołach akademickich, dopuszczającymi w wyjątkowych okolicznościach zwolnienie habilitanta z kolokwium i wykładu habilitacyjnego – uchwalono „uznanie postępowania habilitacyjnego za ukończone pod warunkiem potwierdzenia tej uchwały przez Radę Wydziału, Senat i Ministerstwo, po ustaniu okupacji”⁴³. W ten sam sposób – równolegle – odbyły się habilitacje Jana Zdzitowieckiego i Mariana Kniata. Ta ostatnia nosiła znamię szczególnego tragizmu, jako że Marian Kniat, uczeń Jana Rutkowskiego i badacz wielce utalentowany, zginął w niemieckim obozie koncentracyjnym w kilka dni po uzyskaniu habilitacji⁴⁴.

W październiku 1944 r., czyli w czasie, w którym w IDO już coraz częściej myślano o ewakuacji, Zdzisław Kaczmarczyk podjął wykłady i ćwiczenia na tajnym Uniwersytecie Jagiellońskim z historii prawa polskiego i historii prawa na Zachodzie Europy oraz z historii średniowiecza w Polsce⁴⁵. W grudniu zaś formalnie już pracował w Archiwum Państwowym w Krakowie na stanowisku adiunkta. Kończył swe napoczęte prace i coraz częściej myślał o powrocie do Poznania. Ten jednak – jak wiemy – dawał na siebie czekać.

Ostatnie tygodnie pod hitlerowską okupacją były dla Zdzisława Kaczmarczyka wyjątkowo pracowite i uciążliwe. W grudniu i styczniu trzeba było odbywać niebezpieczne podróże do Milanówka, gdzie Wojciechowski intensywnie przygotowywał podstawy pod dzieło swego życia, Instytut Zachodni. Chodziło też o uzgodnienie stanowisk w innych kluczowych sprawach, dotyczących powojennej organizacji nauki polskiej. Kontakty ze środowiskiem krakowskim, Stanisławem Kutrzebą, Tadeuszem Lehr-Spławińskim oraz przebywającymi w Krakowie profesorami Wydziału Prawa macierzystego Uniwersytetu Poznańskiego zapewniał w znacznym stopniu właśnie Kaczmarczyk. Na szczęście Niemcy wycofali się z miasta – jak wiadomo – bez stawiania oporu, ale do Poznania front dopiero się zbliżał. Kaczmarczyk po latach opowiadał nam z humorem, jak to rankiem 19 stycznia 1945 r., zaraz po wkroczeniu pierwszych oddziałów Armii Czerwonej, w progu krakowskiego mieszkania, które Kaczmarczycy przy ul. Zamenhofska dzielili z innymi wysiedlonymi do GG rodzinami profesorskimi, stanęli dwaj młodzi chłopcy z pytaniem, czy można już zapisać się na Uniwersytet. Jednym z nich był późniejszy wybitny profesor historii i rektor UJ, Józef Andrzej Gierowski (nb. recenzent w moim przewodzie doktorskim z 1959 r.).

⁴³ Protokół w Arch. UAM 819/5.

⁴⁴ H. Olszewski, *Wydział Prawa...*, s. 7.

⁴⁵ Zaświadczenie z 3 kwietnia 1945, podpisane przez Władysława Woltera znajduje się w Arch. PAN P III 68/137. Fragmenty notatek do tych wykładów i repetytoriów zob. w Arch. PAN P III 68/19.

Zdzisław Kaczmarczyk po raz pierwszy przyjechał do Poznania 9 marca 1945 r. W podróży, która miała być rodzajem zwiadu, towarzyszył mu Janusz Deresiewicz, kolega z Wydziału, historyk gospodarczy, uczeń Jana Rutkowskiego. Miasto, w którym zaledwie dwa tygodnie wcześniej zakończyły się walki, przedstawiało straszliwy widok. Również Uniwersytet znajdował się w katastrofalnym stanie. Gmachy były zdewastowane, księgozbiory spalone, rozgrabione lub poukrywane. Uczni, którzy przeżyli koszmar wojny, żyli rozproszeni po świecie i dopiero szykowali się do powrotu; podobnie dopiero wracali studenci. Nie inaczej przedstawiał się Wydział. Obliczanie strat i likwidowanie skutków wojny było zajęciem równie deprymującym co pilnym. Trudno nie wspomnieć ofiarności ludzi, którzy w tym dziele usuwania gruzów uczestniczyli. W strzępach zachowanej dokumentacji, przechowywanej w archiwum uniwersyteckim, najczęściej powtarzają się nazwiska tych, którzy ratowali książki, zabezpieczali sale i przygotowywali się na przyjęcie studentów: byli to wolontariusze i asystenci: Wiktor Pawlak, Alfons Kłafkowski, Stanisław Wąsowicz, Janusz Deresiewicz, Władysław Kufel i wielu innych⁴⁶.

Zdzisław Kaczmarczyk był żarliwym organizatorem i wykonawcą tych prac. Bezwzględnie po przyjeździe tymczasowe władze Uniwersytetu delegowały go do „zabezpieczenia zakładów Wydziału Prawno-Ekonomicznego”; identyczną decyzję podjął delegat rządu do spraw akademickich w Poznaniu, prof. Jerzy Suszko. Młody doktor opracował regulamin prac porządkowych, doglądał szklenia gmachów, zabiegał o przydział i remonty sal wykładowych, zajmował się odzyskiwaniem sprzętu i rewindykowaniem zrabowanych i pochowanych książek. W opracowanym wspólnie z Januszem Deresiewiczem pierwszym sprawozdaniu z dnia 12 marca informował pełniącego obowiązki dziekana Stanisława Kasznicę o miejscach, w których odnaleziono poszczególne części księgozbioru: w Domu Medyka przy Wałach Leszczyńskiego, w Domu Akademickim przy ul. Św. Marcin, w Domu Reiffeisena przy ul. Wjazdowej, w czeluściach korytarzy w Collegium Minus, w podziemiach kościołów św. Stanisława Kostki na Winiarach, św. Małgorzaty na Śródce⁴⁷. W raporcie z 31 marca informował o zwiezieniu części archiwum z Collegium Minus na ul. Stolarską i o restytuowaniu Koła Asystentów; w piśmie z 7 kwietnia donosił o postępie prac przy porządkowaniu akt dziekanatu przy ul. Słowackiego, czym „z wyjątkową pilnością” zajmował się Wiktor Pawlak⁴⁸, pracował przy reaktywowaniu Koła Prawników i Koła Asystentów⁴⁹. Uczestniczył w senackiej komisji do spraw rozdziału „obuwia i materiałów włókiennych”, organizował akcję żniwną. Podpisywał

⁴⁶ *Kronika Uniwersytetu Poznańskiego za lata 1945–1955*, Poznań 1958, s. 72 i inne.

⁴⁷ Arch. PAN P III 68/49, *passim*.

⁴⁸ *Ibidem*.

⁴⁹ *Ibidem*.

– z ramienia rektora – pisma, poświadczające lojalną postawę obywatelską i udział w tajnym nauczaniu. Jednocześnie przygotowywał Wydział do przyjęcia studentów i rozpoczęcia normalnych zajęć. Warto pamiętać, że zapisy rozpoczęły się już 23 kwietnia; zgłosiło się ponad 950 studentów, co umożliwiło rozpoczęcie wykładów już w pierwszych dniach maja. Pełnił trudną funkcję referenta stypendialnego, ułożył plan wykładów i spis osobowy, przygotował projekt uruchomienia egzaminów⁵⁰. Jeździł do Krakowa celem informowania przebywających tam profesorów Wydziału o warunkach podjęcia obowiązków akademickich i wraz z Januszem Deresiewiczem witał ich na dworcu, pomagając w zakwaterowaniu się. Pozostawał też w kontakcie z Zygmuntem Wojciechowskim, dopóki ten przebywał w Milanówku i nie przejął obowiązków dziekańskich, co nastąpiło w połowie marca. Otrzymał od niego m.in. polecenie, by sporządzić wykaz potrzeb mającego powstać Wydziału w Szczecinie⁵¹.

Aktywność Zdzisława Kaczmarczyka w odbudowie Wydziału została przypieczętowana szybkim awansem w akademickiej hierarchii. Na pierwszym powojennym posiedzeniu, które odbyło się 9 kwietnia 1945 r. pod przewodnictwem Zygmunta Wojciechowskiego, Rada Wydziału jednogłośnie zatwierdziła jego habilitację, podobnie jak uczyniła to w stosunku do Jana Zdzitowieckiego i – pośmiertnie – Mariana Kniata. Uchwałę jeszcze w tym samym dniu zatwierdził Senat, a 13 kwietnia – zaakceptował minister oświaty, przyznając mu tytuł docenta. W dziesięć dni później, 19 kwietnia, Zygmunt Wojciechowski złożył w Radzie wniosek o utworzenie dla niego drugiej Katedry Historii Ustroju i Dawnego Prawa Polskiego. Uzasadniał to doświadczeniami innych wydziałów z lat międzywojnia (we Lwowie kierownikami „bliźniaczych” katedr byli Balzer i Dąbkowski, w Krakowie – Kutrzeba i Siemieński, w Warszawie – Smoleński i Rafacz) oraz naukową pozycją i społeczną użytecznością prowadzonych przez nich badań, wreszcie uznaniem, jakie kandydat zaskarbił sobie w pierwszym roku odbudowy uczelni. Sprawa była trudna, do objęcia nowej Katedry pretendowali wybitni i starsi od Kaczmarczyka uczeni: Stanisław Borowski, Wojciech Hejnosz i Seweryn Wysłouch. Niektórzy ankietowani profesorowie – np. Roman Grodecki – forsowali kandydaturę Borowskiego (który zresztą wkrótce zmarł), ale przeważały autorytet i wpływy w środowisku Wojciechowskiego. Wniosek zyskał poparcie zarówno Rady, jak i Senatu oraz resortu. 27 czerwca 1945 r. Zdzisław Kaczmarczyk został zastępcą profesora, zaś już 15 lipca wszczęto procedurę o nadanie mu tytułu profesora nadzwyczajnego. Rada udzieliła poparcia wnioskowi na posiedzeniu dnia 4 września, 15 stycznia zaakceptował go Senat,

⁵⁰ J. Wąsicki trafnie przyrównuje zakres prac wykonywanych wtenczas przez Z. Kaczmarczyka do zadań prodziekana (J. Wąsicki, *Prof. dr hab. Zdzisław Kaczmarczyk*, „Kronika Miasta Poznania” 1977, R. 45, nr 4, s. 70).

⁵¹ Arch. PAN P III 68/73, 80.

a zatwierdził Prezydent dekretem z 7 września 1946 r. Nominacja liczyła się od 15 stycznia 1946 r. Zaledwie trzy lata później Wojciechowski próbował doprowadzić do uzwyczajnienia swego ucznia. Jego recenzja, podobnie zresztą jak recenzja zaproszonego do udziału w postępowaniu Adama Vetulaniego, była entuzjastyczna. Rada Wydziału dała się przekonać, ale już w Senacie padło pytanie, czy awans nie jest przedwczesny. Pismem z 7 grudnia 1949 r. wiceminister Eugenia Krassowska zawiadomiła rektora, że po zasięgnięciu opinii Rady Głównej odroczyła decyzję o mianowaniu Z. Kaczmarczyka profesorem zwyczajnym⁵².

Drobne potknięcie nie zahamowało szybko i harmonijnie rozwijającej się kariery Profesora. W 1946 r. reprezentował on docentów w Senacie UP, w latach 1947–1948 był w nim delegatem Rady Wydziału. Uczestniczył w prowadzeniu Powszechnych Wykładów Uniwersyteckich. Wszedł do komitetu redagującego Kronikę Uniwersytetu, znalazł się w komisji, która miała – na fali postępującej w kraju odwilży – przywrócić etat usuniętemu w 1953 r. z uczelni ks. profesorowi Szczęsnemu Detloffowi. W 1954 r. otrzymał Złoty Krzyż Zasługi, rok później został powołany na stanowisko prorektora Uniwersytetu. Rada Wydziału wystąpiła o utworzenie dlań Zakładu Historii Miast, ze szczególnym uwzględnieniem miast Polski zachodniej⁵³. W marcu 1946 r. studenci Tajnego Uniwersytetu w Krakowie zaprosili go na uroczystą akademię, co wydawało się kończyć sprawę epizodu z pokątnymi, a nieprzyjaznymi interpretacjami jego udziału w pracy konspiracyjnej⁵⁴.

Sukcesy na uczelni, podkreślone ponownym wszczęciem w 1954 r. sprawy uzwyczajnienia, szły w parze ze wzrostem aktywności w środowisku. Kaczmarczyk współpracował z Komisją Historyczną Polskiej Akademii Umiejętności, z Komisją Prawa i Atlasu Historycznego PAU, objął kierownictwo Rady Naukowej w nowo utworzonym Zakładzie Badań nad Polonią Zagraniczną PAN. Jego prace ukazywały się w renomowanych periodykach naukowych, ale autor pisał też na łamach prasy codziennej; szukał kontaktu z czytelnikiem nieprofesjonalnym, jak Wojciechowski wierzył w siłę dobrej popularyzacji wyniku badania. Publikował więc w „Głosie Wielkopolskim”, „Kurierze Szczecińskim”, „Ilustrowanym Kurierze Polskim”, „Gazecie Poznańskiej”, „Nowinach Rzeszowskich”, raz wystąpił na łamach „Trybuny Ludu”⁵⁵. W 1950 r. wszedł do Komitetu Redakcyjnego „Czasopisma Prawno-Historycznego”, w 1954 r. został redaktorem naczelnym utworzonego przez siebie rocznika „Studia i Materiały do Dziejów Wielkopolski i Pomorza”, który miał redagować do końca życia. Pełnił stanowisko sekretarza aktywnej i grającej poważną rolę w powojennym środowisku

⁵² Arch. PAN P III 68/49.

⁵³ Arch. UAM 559/476.

⁵⁴ Arch. PAN P III 68/49.

⁵⁵ Zamieścił tu w 1954 r. recenzję pracy kandydackiej Jana Baszkiewicza.

humanistycznym Poznania Komisji Historycznej PTPN, wkrótce został sekretarzem Wydziału Historii i Nauk Społecznych Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Właśnie z aktywnością w Poznańskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk, którego prezesem i faktycznym kołem napędowym był Wojciechowski, wiązały się pierwsze sukcesy badawcze Zdzisława Kaczmarczyka, które przecież stanowiły trampolinę do jego akademickiej kariery. PTPN drukowało – jak o tym już była mowa wyżej – jego rozprawę doktorską z 1936 r., „Roczniki Historyczne”, główny organ wydawniczy Towarzystwa, udostępniały mu swe łamy. Przede wszystkim zawdzięczał PTPN wydanie obu tomów dzieła życia, którym była *Monarchia Kazimierza Wielkiego*. Nie tylko w uznaniu ich walorów merytorycznych, ale i z uwagi na niezwykle okoliczności, w jakich doszło do ich ukazania się, zasługują one na to, by się nad nimi pochylić. Tom I, obejmujący wykład organizacji państwa, umożliwiający przekroczenie formalnego progu samodzielności naukowej, ukazał się na rynku księgarskim w połowie lipca 1939 r. i już ten fakt sprawiał, że nie mógł stać się naukowym bestsellerem. Wojna zbliżała się milowymi krokami, a w powietrzu czuć było zapach prochu. Niespożyta energia Mistrza wymogła wprawdzie wszczęcie na jej podstawie przewodu, ale nie była w stanie wywołać szerszego zainteresowania krytyki. Z kolei tom II, poświęcony organizacji Kościoła, nauce i sztuce, który ujrzał światło dzienne w roku 1946, pisany w czasie wojny w warunkach dalekich od komfortu, bez dostępu do materiału, który został zniszczony w Poznaniu, był mniej błyskotliwy i bardziej powierzchowny w interpretacji od tomu I. Stąd echo w środowisku nie dorównywało merytorycznej doniosłości treści obu monografii. Trzeba bowiem przyznać, że tezy autora nosiły liczne znamiona nowatorstwa. Wprawdzie dawna historiografia polska nieraz kierowała swe spojrzenie na okres panowania Kazimierza Wielkiego – wciąż w obiegu pozostawały teksty Antoniego Zygmunta Helcla, Romualda Hubego, Jana K. Kochanowskiego, Oswalda Balzera, Stanisława Kutrzeby, Jana Dąbrowskiego i Marceliego Handelsmana – to jednak nie wypracowała syntezy. Stąd Zdzisław Kaczmarczyk wypełniał ważną lukę w piśmiennictwie; książka była potrzebna. Autor był znakomicie przygotowany do podjęcia na tym polu kompleksowych badań. W szczególności zawarte w tomie I refleksje nad ustrojem państwowym zwracały uwagę swą dogłębną i logiczną analizą. Można było się zastanawiać, czy Z. Kaczmarczyk nie dążył do nadmiernego wyniesienia swojego bohatera, kiedy np. dyskredytował panowanie Łokietka, pisząc m.in., że zostawił kraj „u szczytu wyczerpania materialnego”. Można było – jak uczynił to w swej recenzji, ogłoszonej na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego” Wojciech Hejnosz⁵⁶ – podawać w wątpliwość trafność krytyki tezy Balzera o istnieniu jednego ogólnopolskiego statutu.

⁵⁶ W. Hejnosz, rec. w: „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1948, t. 1, s. 133–43.

Zasadnicze tezy Kaczmarczyka uzyskały jednak aprobatę recenzentów. Za słuszne uznano stwierdzenie, że w prowadzeniu polityki terytorialnej Kazimierz kontynuował dzieło ojca, że ponad wszystko chciał „zwiększenia się ziem bezpośrednio zależnych od króla”. Zmuszała do refleksji także teza, iż można stwierdzić niezawodne istnienie dwóch odrębnych statutów dzielnicowych, małopolskiego (starszego) i wielkopolskiego (młodszego). Autor rozstrzygał spór poprzedników o to, czy statuty to dzieło ustawodawcze czy spis prawa zwyczajowego? Udowadniał ponad wszelką wątpliwość, że statut wielkopolski to spis prawa zwyczajowego, podczas gdy statut małopolski to w zasadzie zbiór postanowień monarchy. Nie kwestionowano jego wywodu o błędnej polityce menniczej króla, którą przenikał nadmierny fiskalizm. Podkreślano przenikliwość autora w ocenie skarbowości i wojskowości w państwie Kazimierza. Akceptację znalazł wywód o zasługach monarchy w oczyszczaniu kraju z elementów przestępczych. O ile tom I uznano za „owoc rzetelnego wysiłku i staranności”, o tyle tom II *Monarchia Kazimierza Wielkiego. Organizacja Kościoła. Sztuka i nauka*, głoszący tezę o Polsce jako *patrimonium Petri*, spotkał się z uwagami, w których pochwały przeplatały się z zarzutami zaniedbania i braku staranności w analizie źródeł i literatury. Hejnosz w zakończeniu swego obszernego omówienia wyrażał nadzieję, że zapowiadany tom III będzie bardziej przypominał tom I niż II⁵⁷. Może zbyt słabo uwzględniał okoliczności, w jakich książka powstawała.

Po opublikowaniu dwóch tomów o monarchii ostatniego Piasta na tronie polskim, Zdzisław Kaczmarczyk stał się niekwestionowanym autorytetem w dziedzinie mediewistyki. Było więc zrozumiałe, że wziął czynny udział w poznańskiej inicjatywie wydania przez PTPN – wspólnie z Michałem Sczanieckim i Stefanem Weymanem, pod naczelnym kierownictwem Zygmunta Wojciechowskiego – *Statutów Kazimierza Wielkiego* z pośmiertnego rękopisu Oswalda Balzera. Lwowski historyk prawa podjął – jak wiadomo – żmudny wysiłek zrekonstruowania pierwotnego tekstu statutów, pracy tej jednak – pochłaniany wciąż innymi obowiązkami – nie zakończył. Nie zakończyli jej także poznańscy edytorzy⁵⁸, ale udostępnienie badaczom cennych materiałów w niecałe dwa lata po zakończeniu wojny stanowiło potężną inspirację dla późniejszych badań. W 1948 r. ukazała się natomiast książka *Kazimierz Wielki (1333–1370)*⁵⁹.

⁵⁷ Ibidem, s. 142. Recenzje ukazały się również w prasie. Anonimowy autor pisał w „Gazecie Ludowej” z 30 V 1947, że Kazimierz budował Polskę murowaną „nie tyle z konieczności, czy dla potrzeby, lecz raczej, aby zapobiec nędzy robotników i chłopów”. W omówieniu zamieszczonym w „Kurierze Wielkopolskim” z 1 II 1948 czytamy, że wykład Kaczmarczyka przenika „rzeczowość i chłód optyki historycznej, brak tendencji idealizującej i patosu, a jednocześnie – żywość wykładu”.

⁵⁸ A. Vetulani, recenzja w: „Przegląd Historyczny” 1949, t. 39, z. 1, s. 30–32.

⁵⁹ *Kazimierz Wielki (1333–1370)*, Warszawa 1948

Również ona miała swą „prehistorię”: powstała w czasie wojny w latach 1941–1942 i była rezultatem wspomnianej już uprzednio umowy, zawartej – dzięki wpływom Wojciechowskiego – z warszawską oficyną wydawniczą Stanisława Arcta na początku okupacji. Stanowiła IV tom serii „Biblioteka Wiedzy o Polsce”, a wypłacona zaliczka ułatwiała przetrwanie czasu największego niedostatku. Zdzisław Kaczmarczyk wyszedł w książce poza krąg kwestii ściśle prawniczych. Dawał obraz społeczeństwa i charakterystykę przeobrażającego się układu sił społecznych w państwie, przedstawiał proces rozwarstwiania się rycerstwa-szlachty, rozpatrywał problemy ustroju na szerokim tle epoki, dokumentował jej przełomowy charakter. Ukazywał początki polityki zorientowanej na Wschód. Ale zarazem mocno podkreślał, że Kazimierz do ostatnich dni nie porzucał myśli o rewindykowaniu ziem nadodrzańskich. Pisał: „W umyśle Kazimierza od początku zarysowała się wielka koncepcja Polski zjednoczonej, opartej na Zachodzie o Odrę, na północy o Bałtyk, a na Wschodzie ogarniającej Ruś halicko-włodzimierską. Polska ta ramię w ramię z Węgrami Andegawenów tworzyć miała wielką siłę polityczną panującą nad Europą środkową i wschodnią”⁶⁰. Praca nie pomijała wątków aktualnych politycznie: „Kazimierz Wielki w dzisiejszych czasach »król chłopków« wiąże Polskę piastowską jeszcze silniej z nową Polską nad Wisłą i Odrą”⁶¹. Spotkała się też z pochwalnym odzewem⁶², choć wytykano jej lakoniczność oraz konwencję zbliżającą ją do beletrystyki. Zygmunt Wojciechowski, który prezentował książkę w postępowaniu o nadanie Kaczmarczykowi tytułu profesora zwyczajnego, traktował uwypuklenie tego ostatniego wątku za największy społeczny walor opracowania⁶³.

Do czasów Kazimierza Wielkiego nawiązywał Zdzisław Kaczmarczyk jeszcze później. I my wrócimy do niego w następnym stadium swych uwag.

A jednak to nie Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk było tą instytucją, z którą Zdzisław Kaczmarczyk czuł się w pierwszej powojennej dekadzie związany najsilniej i najbardziej emocjonalnie. Tą instytucją był Instytut Zachodni, stworzony i kierowany przez Zygmunta Wojciechowskiego jeszcze w czasie wojny. Instytut stanowił ważną część politycznej i kulturalnej infrastruktury powojennego kraju; czerpał z niej, ale i silnie na nią oddziaływał. Tworzył wielką, wielopokoleniową wspólnotę, która spotykała się w nim dla rozwiązywania zadań, w których nauka i polityka blisko z sobą sąsiadowały. Ważne, że po rozwiązaniu Polskiej Akademii Umiejętności i Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, w latach, w których młoda Polska Akademia Nauk z nikłymi efektami szamotała się w zmaganiach o autonomię dla badań, Instytut Zachodni symbo-

⁶⁰ Ibidem, s. 378.

⁶¹ Ibidem, s. 287.

⁶² Zob. recenzję Antoniego Madeja w: „Dziś i Jutro” z 1948 r.

⁶³ Arch. PAN 599/476.

lizował ciągłość nauki i zwartość środowiska uczonych. Był sukcesorem polskiej myśli zachodniej, która – korzeniami sięgając lat zaborów – za główne źródło nieszczęść w dziejach ojczystych uważała odsuwanie państwa od Odry i Bałtyku i w Niemcach-Prusach upatrywała pierwszego wroga Polski. Straszliwe doświadczenia, jakie zbierali Polacy w latach drugiej wojny światowej, zdawały się potwierdzać tę prawdę, głoszoną przez koryfeuszy myśli narodowej skupionych ongiś wokół Romana Dmowskiego, w postaci klinicznej. Był też Instytut Zachodni tworem układu jałtańskiego, który przyniósł Polsce przesunięcie jej granic nad Odrę i Nysę Łużycką, jako że wcześniejsza próba stworzenia go na bazie proemigracyjnego Studium Zachodniego, funkcjonującego od 1941 r. w konspiracji, okazała się w radzieckiej strefie wpływów z góry skazana na niepowodzenie. Ziemie te należało nie tylko zagospodarować, ale i stworzyć dla nich rodowód, legitymację zakorzenioną w historii. Był jeszcze jeden powód, dla którego środowisko naukowe zabiegało o utworzenie placówki. Oto Instytut Zachodni stawał się „atrakcyjnym pomysłem na legalną działalność”⁶⁴ dla wielu ludzi okupacyjnego podziemia, działaczy konspiracyjnej organizacji „Ojczyzna”, którzy wobec totalitarnego reżimu byli nastawieni wrogo i którzy również dla komunistycznej władzy byli nie do zaakceptowania. Jeżeli zatem premier Rządu Tymczasowego Edward Osóbka Morawski pozytywnie ustosunkował się do memoriału, przedstawionego mu przez Zygmunta Wojciechowskiego jeszcze w lutym 1945 r., a przewidującego inaugurację prac przez Instytut – to było to możliwe przede wszystkim dlatego, że właśnie w stosunku do zachodniego sąsiada oraz w uznaniu za priorytet włączenia w organizm wyłaniającego się ze zniszczeń wojennych kraju „Ziem Pozyskanych” interes nauki i polityki okazywał się, jeżeli nie tożsamy, to przynajmniej zbliżony. Uczeni potrzebowali państwowego wsparcia, zaś stawiające pierwsze kroki państwo było skazane na pomoc elit, przynajmniej do czasu. Rozumiał to doskonale Wojciechowski, który uznał włączenie w organizm Polski ziem odzyskanych i powszechne uznanie ich za prapolskie, piastowskie za misję swego życia i za jej powodzenie gotów był – jak podobno zwykł mawiać – przyjąć nawet islam⁶⁵.

Zdzisław Kaczmarczyk, myśląc dokładnie w tych kategoriach co Mistrz, zaangażował się w działalność Instytutu od początku, w mocnym przeświadczeniu o słuszności sprawy. Należał do członków-założycieli IZ, jako że jego nazwisko figurowało wśród uczestników posiedzenia organizacyjnego Instytutu w dniu 19 IV 1945 r. Od sierpnia 1946 r. był sekretarzem generalnym IZ, z czasem sekretarzem naukowym, jeszcze później członkiem Komisji Rewizyjnej i przewodniczącym Rady Naukowej. Zajął miejsce w redakcjach organów Insty-

⁶⁴ Z. Mazur, *Antenaci. O politycznym rodowodzie Instytutu Zachodniego*, Poznań 2002, s. 464.

⁶⁵ M. Krzoska, *Für ein Polen an Oder und Ostsee. Zygmunt Wojciechowski (1900–1955) als Historiker und Publizist*, Osnabrück 2003.

tutu – „Przeglądu Zachodniego” i „Tygodnika Zachodniego”. Był jedną z pierwszych postaci w Studium Niemcoznawczym, kierował Sekcją Badań nad Genezą Miast Polski Zachodniej i organizował szkolenie dla działaczy kultury z Ziem Zachodnich. Był gospodarzem konferencji naukowych i roboczych dyskusji, jakie odbywały się w Domu Wypoczynkowym IZ w Osiecznej k. Leszna, co znaczyło, że organizował te sympozja i wygłaszał referaty, ale i dbał o cukier, koks, drewno, transport itp.⁶⁶. Pilnował współpracy z Instytutem Bałtyckim w Bydgoszczy i Szczecinie, organizował Studium Pomoroznawcze w Słupsku. Pisał ekspertyzy na potrzeby chwili: jedna z nich, w sprawie polskości Śląska Cieszyńskiego, kończyła się zdaniem: „Bogactwa naturalne tej ziemi powinny należeć do tych, którzy pracą swych rąk od wieków je pomnażają i wytwarzają”⁶⁷. W 1946 r. myślał nawet o nakręceniu szkoleniowego filmu na temat historii polskiej granicy zachodniej⁶⁸. Był w ciągłych rozjazdach: w Archiwum PAN w Poznaniu przechowywanych jest mnóstwo zaświadczeń o odbytych przezeń podróżach służbowych, wniosków o zgodę na korzystanie z wagonu osobowego, delegacji i przepustek wymaganych przez władze okresu powojennego. Szczególną rolę w życiu Zdzisława Kaczmarczyka odegrały prace przygotowawcze nad wielotomowym cyklem „Ziemie Staropolskie”. Wymagały one wielu zbiorowych wypraw na Ziemie Zachodnie. W ekspedycjach tych, wyprawianych na Śląsk, Ziemię Lubuską, na Warmię i Mazury oraz Pomorze Zachodnie z myślą badania ich przeszłości i zarejestrowania toczącego się na nich życia, brali – jak wiemy – udział przedstawiciele różnych nauk: historycy, onomastycy, geografowie, etnologowie, archeologowie, ekonomiści, socjologowie, historycy sztuki. Gigantyczny wymiar tych doskonale zorganizowanych ekspedycji miał w sobie urok pionierskiej przygody, w której prezentowaniu argumenty ze sfery naukowej, patriotycznej czy wręcz nacjonalistycznej równoważyły się i wzajemnie wspierały. Kierowano się wskazaniem Wojciechowskiego, który wielokrotnie podkreślał potrzebę traktowania Ziem Odzyskanych w kategoriach emocjonalnych, jako urzeczywistnianie racji stanu. „Społeczeństwo – pisał – musi odczuć, że idzie po swoje, że Wrocław, Legnica, Szczecin leżą na takich samych ziemiach polskich, jak Kraków, Poznań i Gdańsk. Społeczeństwo musi przeżyć dzieje polskości tych ziem; trzeba mu pokazać jedno z pierwszych godła państwowych Polski na grobowcu Henryka IV we Wrocławiu, pokazać mu polski Wawel w Legnicy, przypomnieć mu, że Pomorze Zachodnie naszym polskim wysiłkiem zespoliliśmy ongiś z Polską i chrześcijaństwem. Zdajemy sobie sprawę z wielkości naszych zadań. Zdajemy sobie sprawę z historycznej odpo-

⁶⁶ Arch. PAN P III 68/63, *passim*.

⁶⁷ Arch. PAN P III 68/68/9, k. 37.

⁶⁸ Arch. PAN P III 68/117.

wiedzialności na nas ciążącej”⁶⁹. Pod tymi auspicjami ludzie Instytutu ruszali na zachód. Przejechano tysiące kilometrów, zrobiono dziesiątki tysięcy zdjęć, do-tarto do każdego miasta, do każdej niemal wsi i kościółka, do każdego większe-go zakładu przemysłowego, do wszystkich archiwów, gmachów administracyj-nych i chat autochtonów.

Pierwsza wyprawa pod kierownictwem Zdzisława Kaczmarczyka wyruszy-ła we wrześniu 1946 r. na Dolny Śląsk i trwała z przerwami do listopada tegoż roku. Potem prowadził większość pozostałych. Po latach tak opisywał pionier-ski i głęboko patriotyczny ich klimat: „Z jakimż przejęciem przejeżdżaliśmy dawną granicę Polski dwudziestolecia pod Rawiczem i zsiadaliśmy z auta w pierwszej dolnośląskiej miejscowości. Był to przecież dopiero początek dru-giego roku po zakończeniu działań wojennych. W pamięci pozostawała groza, jaka biła od zniszczonego Wrocławia, Głogowa, Kostrzyna nad Odrą czy Pyrzyc. Na polach wały się jeszcze wraki niemieckich czołgów i samolotów, w lasach zalegały stopy wystrzelonych łusek od pocisków armatnich czy skrzyń po amu-nicji. Na stokach moren pomorskich czy lubuskich szczyły zęby ruiny beto-nowych bunkrów. A jednocześnie widzieliśmy, jak w ruiny te i zgłiszcza wkra-czał polski osadnik, prawy właściciel tych ziem, jak brał w uprawę pola, dźwigał mury zniszczonych fabryk, uruchamiał rozbite maszyny”⁷⁰. Tomy „Ziem Staro-polski” liczyły 275 arkuszy druku i ukazały się w łącznym nakładzie 74 300 egzemplarzy. Oczywiście Profesor zdawał sobie sprawę, że dzieło jest w pew-nym sensie „świadomie jednostronne”⁷¹, ale tłumaczył to tym, że jego powsta-waniu towarzyszyło „przekonanie, że polska historia tych ziem jest ich historią najgłówniejszą”⁷². Podzielał je sam bez reszty.

Młodzieńczy entuzjazm, patriotyczno-nacjonalistyczne przerysowania, ele-menty pewnego woluntaryzmu w interpretacji trendów rozwoju „problemu niemieckiego” i postępu w integrowaniu się z macierzą Ziem Odzyskanych przenosił Zdzisław Kaczmarczyk – jak większość badaczy polskich pierwszych lat po wojnie – na całość stosunku do Niemiec i dziejów stosunków polsko-niemieckich. Były one widoczne już w tytułach licznych tekstów pisanych w konwencji publicystycznej, drukowanych w prasie: *Polska leży nad Wisłą i ...Odrą*, *Proces pochłaniania ziem polskich przez Niemcy*, *Wrocław – symbol i serce Śląska*, *Najstarsza granica Polski pod Szczecinem*, i tych, które w prasie ukazać się nie mogły: *„Z dziejów polskich badań nad historią Pomorza Zachod-niego, Tysiąc lat przemian polskiej granicy zachodniej, Rola ziem zachodnich*

⁶⁹ H. Olszewski, *Instytut Zachodni 1944–1994*, [w:] *Instytut Zachodni 1944–1994*, Poznań 1994, s. 24.

⁷⁰ Z. Kaczmarczyk, *Ziemie Staropolskie*, „Przegląd Zachodni” 1955, R. 11, nr 3–4, s. 498.

⁷¹ Ibidem, s. 497.

⁷² Ibidem.

w dobie tworzenia się państwa polskiego za pierwszych Piastów⁷³ itp. Mocniej dochodziły do głosu w rozprawach i studiach, które publikował na łamach „Przeglądu Zachodniego”. Charakterystyczne, że w pierwszych latach bardziej akcentował rolę czynnika geograficznego niż legitymacji historycznej dla nowej granicy na zachodzie. W drukowanym w I tomie „Przeglądu Zachodniego” artykule zatytułowanym *O lewy brzeg średniej i dolnej Odry* z 1945 r., pisany z inspiracji Wojciechowskiego i wspólnie z Leopoldem Gluckiem oraz Marią Kiełczewską, podkreślał, że w polityce polskiej chodzi przede wszystkim o to, aby „poszczególne narody posiadały zwarte z geograficznego punktu widzenia tereny osadnictwa i z tego punktu widzenia naturalne granice”⁷⁴.

Wkrótce potem ukazało się na łamach „Roczników Historycznych” obszerne studium Zdzisława Kaczmarczyka pt. *Czynniki geograficzne w rozwoju dziejowym Polski*⁷⁵. Był to jeden z najlepszych tekstów autora, przemawiający żelazną logiką, erudycyjny, imponujący rozmachem interpretacji, choć niebezpiecznie blisko oscylujący wokół ówczesnej polityki i dziś nie w pełni już oddający ostatnie słowo nauki. Wykazywał znakomite znanstwo warsztatu geografa, dar wielkich rzutów w przeszłość, umiejętność globalnej obserwacji i kunszt wyciągania z egzegezy źródeł o różnej proveniencji syntetyzujących uogólnień. Autor połączył w nim ujęcie „geopolityczne”, ukazane w książce Marii Kiełczewskiej *O podstawy geograficzne Polski*⁷⁶, z koncepcją ziem macierzystych Polski, wyłożonej przez Z. Wojciechowskiego po raz pierwszy w 1933 r.⁷⁷ i potem sukcesywnie pogłębianej. Podsumowując prace nad cyklem „Ziemie Staropolski” pisał w 1947 r.: „Całe nieszczęście Polski polegało na tym, że w XIV w. wycofała się ona ostatecznie z linii Odry, czyli z większości naszych ziem macierzystych i przesunęła swe granice wydatnie na wschód”. Zdzisław Kaczmarczyk krytycznie oceniał pomijanie czy pomniejszanie komponentu geograficznego w badaniach historycznych. Pisał: „[...] Wszelkie procesy dziejowe rozgrywają się nie tylko w czasie, ale i w przestrzeni. Przestrzeń ze zjawiskami geograficznymi jest zasadniczym podłożem, na którym rozgrywa się historia, powinna dlatego być składnikiem każdego zdarzenia, opisywanego przez historyka. Historia polityczna w szczególności nie może obyć się bez elementu przestrzeni, zważywszy na to, że przestrzeń jest podstawowym składnikiem obok ludności

⁷³ Por. bibliografię prac Z. Kaczmarczyka w mojej książce Zdzisław Kaczmarczyk..., s. 120 i n.

⁷⁴ Z. Kaczmarczyk, M. Kiełczewska, L. Gluck, *O lewy brzeg średniej i dolnej Odry*, „Przegląd Zachodni” 1945, R. 1, nr 2/3, s. 61.

⁷⁵ Z. Kaczmarczyk, *Czynniki geograficzne w rozwoju dziejowym Polski*, „Roczniki Historyczne” 1947, R. 16, s. 1–35.

⁷⁶ Poznań 1945.

⁷⁷ Z. Wojciechowski, *Rozwój terytorialny Prus w stosunku do ziem macierzystych Polski. Studia historyczne*, Poznań 1933; cyt. Z. Kaczmarczyk, *Polskie ziemie macierzyste*, „Przegląd Zachodni” 1947, R. 3, nr 6, s. 530.

każdego państwa. [...] Geograficzne jednostki powiązane ze sobą siecią rzeczną, oddzielone przeszkodami w postaci gór, pradolin, wzgórz od innych terenów, stanowią pewien skomplikowany mechanizm naturalny, wytwarzający przez swą rzeźbę terenu, nawodnienie pewne ramy służące życiu, a więc historii. Życie to, acz kierowane przez świadomą wolę człowieka, który może pokonać opór, jaki stawia mu terytorium, lubi jednak często nawracać w naturalne koleiny, zwłaszcza wtedy, gdy brak sił nie pozwala na pokonywanie przeszkód, a wygodniej jest iść linią mniejszego oporu”⁷⁸. Dowodził, że geografia decydowała od początku o niekorzystnym statusie geopolitycznym naszego kraju, co w ostatecznej instancji zawsze negatywnie rozstrzygało o losach polskich. „Piętą achillesową” na zachodzie Polski była Ziemia Lubuska. To szczupłość jej terytorium i brak dopływów lewobrzeżnej Odry sprawiły, że w Lubuszu nie mógł wykształcić się poważniejszy ośrodek krystalizacyjny dla sąsiednich terenów. W rezultacie już w połowie XIII stulecia dokonano się opanowanie tej ziemi, owej „ostatniej marchii polskiej na lewym brzegu Odry”, wysuniętej po Szprewę, możliwe dzięki słabej więzi terytorialnej Lubusza z rozbitą na dzielnice Polską. Na konsekwencje nie trzeba było długo czekać. „Jeszcze gorsza pozycja była udziałem zachodniego odłamu Pomorza, rozsiadłych między dolną Odrą a dolną Wisłą. Katastrofalny brak dopływów Odry dolnej z lewej strony, a dolnej Wisły z prawej osłabiał więź całego Pomorza z Macierzą, a ponadto ułatwiał niebezpieczne przerzucanie elementu niemieckiego na enklawę pruską. Polityka polska skierowała się ku wschodowi, bo ściana wschodnia stawiała mniejszy opór. Tym samym zaprzepaszczone zostały wysiłki Mieszka i Chrobrego. Mądra polityka rewindykacyjna Kazimierza Wielkiego na zachodzie nie mogła już – na dalszą metę – przynieść satysfakcjonującego rezultatu”.

Najgłośniejszym echem odbiło się w kraju ukazanie się monografii Zdzisława Kaczmarczyka *Kolonizacja niemiecka na wschód od Odry*⁷⁹, przygotowanej przez autora podczas wojennego pobytu w Krakowie i wydanej przez Instytut Zachodni w końcu 1945 r. Książka oparta była na wątpliwym podstawie źródłowej, co autor tłumaczył ograniczonym dostępem do źródeł, i niepełnym wykorzystaniem literatury. Stanowiła jakby tom drugi znanej monografii Wojciechowskiego *Polska-Niemcy. Dziesięć wieków zmagania* z 1945 r., była prezentacją jej antyniemieckich sformułowań przez pryzmat kolonizacji przez Niemców ziem Polski, nie tylko zresztą tych, które położone były na wschód od Odry. Autor w całości odrzucał tezy historiografii niemieckiej jako jednostronne i tendencyjne. Krytykował ją za mitologizowanie dziejów Germanów, za podporządkowywanie badań aktualnym trendom niemieckiej polityki wschodniej, za zacieranie polskości Śląska i Pomorza. Słusznie podkreślał, że zjawisko kolonizacji

⁷⁸ Z. Kaczmarczyk, *Czynniki geograficzne...*, s. 2–3.

⁷⁹ Idem, *Kolonizacja niemiecka na wschód od Odry*, Poznań 1945.

nie może być traktowane jako fenomen wyłącznie polityki niemieckiej, albowiem widoczne jest w całej Europie, a i do Niemiec trafiło z Zachodu. Trafnie też zauważał, że kolonizacja ma różne oblicza, należy do różnych sfer życia zbiorowego i z uwzględnieniem wszystkich tych aspektów powinna być badana. Walorem tej w gruncie rzeczy popularnonaukowej pracy, pozbawionej dokumentacji, uniemożliwiającej śledzenie toku wykładu, jest objęcie wywodami całej przestrzeni od czasów prehistorycznych aż po rok 1918. Jej kolejne rozdziały uzasadniały słowiański charakter pierwotnego zaludnienia i kultury ziem polskich, stwierdzały oryginalność średniowiecznej kultury polskiej, poddawały analizie antyniemieckie tendencje u Piastów i podkreślały siłę wpływów romańskich. Po przedstawieniu toku i podsumowaniu wyników kolonizacji niemieckiej w wiekach średnich autor zajął się tzw. drugą kolonizacją, która przypadała na wieki: XVI, XVII i XVIII, by z kolei przejść do kolonizacji prowadzonej przez absolutystyczne monarchie, uczestniczące w rozbiorach Polski, tj. do kolonizacji fryderycjańskiej i józefińskiej. Wykład kończył przegląd kolonizacji w poszczególnych zaborach, z akcentem położonym na czasy Bismarcka i triumfy Hakaty. Tezę rozprawy można by ująć następująco: Kolonizacja, będąca pochodem niemieckości na wschód, to fragment globalnej polityki Niemiec. Jako fenomen pozbawiony politycznego kontekstu nie miała racji bytu: „Była zawsze jednym tylko ze środków germanizacyjnych, a niepodtrzymywana przez siłę polityczną państwa, traciła na sile i ulegała narodowej zatracie”⁸⁰. Kolonizacja nie zniszczyła żywiołu polskiego na terenach ekspansji; ludność „rasowo niemiecka” stanowiła na objętych nią terenach do końca co najwyżej od 10 do 30 %. Niemcy osiągalni swe cele tylko wtedy, kiedy korzystali z potęgi swego państwa i wyciągali miecz.

W istocie autor ten popełniał sam błąd jednostronności, który zarzucał historykom niemieckim. Ale książka dobrze wpisywała się w nastroje powojennego czasu, w którym o interpretację chemicznie sterylną, wypraną z akcentów nacjonalistycznych, przenikniętą obiektywizmem wobec zachodniego sąsiada było bardzo trudno. Błyskawicznie zniknęła też z półek księgarń. Była omawiana na łamach wszystkich najbardziej liczących się czasopism naukowych oraz w prasie. Głos zabierali uczeni tej miary co Kazimierz Tymieniecki, Władysław Rusiński, Krystyna Śreniowska, Witold Hensel. Książkę odnotowano za granicą⁸¹.

Widząc żywe zainteresowanie monografią Zdzisława Kaczmarczyka, kierownictwo Instytutu Zachodniego postanowiło umieścić w planie wydawniczym na rok 1949 drugie jej wydanie, a Zygmunt Wojciechowski rozpoczął starania o tłumaczenie francuskie. Książka miała być wykładem tematu, doprowadzonym do współczesności, a jej tytuł miał brzmieć: *Germanizacja i repolonizacja*

⁸⁰ Ibidem, s. 257.

⁸¹ W.J. Rose, „The Slavonic and East European Revue” 1948, vol. XXVI, nr 67, s. 609–611.

ziem na wschód od Odry⁸². Autor zabrał się raźnie do niezbędnych uzupełnień. Dał pogłębioną charakterystykę historiografii niemieckiej, poszerzył rozdział zawierający wykład o ziemiach macierzystych Polski. Kaczmarczyk, identyfikując kolonizację z germanizacją, podkreślał jeszcze silniej, że tzw. prawo niemieckie nie było przyjmowane niewolniczo, wzmocnił swą wcześniejszą myśl, że za kolonistami stała potęga państwa niemieckiego. Przedstawiał nieprzyjemne stanowisko Republiki Weimarskiej wobec Rzeczypospolitej i grozę okupacji hitlerowskiej. W ostatnim rozdziale poddawał analizie proces odwrotny, a mianowicie repolonizację ziem nad Odrą i Bałtykiem w latach 1945–1949. Konsekwentne wysiedlenie ludności niemieckiej z tych ziem traktował jako akt sprawiedliwości dziejowej.

Drugie wydanie, poprawione i poszerzone, ostatecznie nie ukazało się w druku. Pierwszym powodem był fakt, że Związek Radziecki odszedł już wtedy od teorii rekompensaty w komentowaniu nowej granicy polskiej na zachodzie. Drugim był podział Niemiec i powstanie NRD, wykluczające dawne globalne ujmowanie „problemu niemieckiego” jako problemu politycznego.

Bardziej złożone były przyczyny kłopotów z drukiem *Dziejów Śląska w wiekach średnich*, do której to monografii Zdzisław Kaczmarczyk zbierał materiał w czasie wojny, i która, zamówiona przez Instytut Śląski w Katowicach, w maszynopisie spoczywała od roku 1945 w Państwowych Zakładach Wydawnictw Szkolnych, potem w Wiedzy Powszechnej. Praca zawierała przerysowania w interpretacji, które drażniły cenzorów. Zbyt ostentacyjnie podkreślał autor prasłowiański charakter Śląska, zbyt kategorycznie wypowiadał się o polskości śląskich Piastów, zbyt jednostronnie traktował XIII-wieczny Śląsk jako „nierozzerwalną całość z Polską”. W zakończeniu pierwotnej wersji tekstu pisał: „Nie jest żadną przesadą, jeśli się mówi o polskości etnicznej całego ówczesnego Śląska aż do początku XVI w. włącznie”⁸³. Ostatecznie z ponad 300 stronic wydrukowano pod koniec 1946 r. jedną czwartą pod tytułem: *Krótkie dzieje Śląska w wiekach średnich (do r. 1526)*⁸⁴. Rozprawka nie wywołała większego rezonansu; do obiegu wchodziły wtedy zbiorowe syntezy autorów wrocławskich i katowickich. Zaliczała się wszakże do podstawowej literatury niemcoznawczej w kręgu epigonów dawnej myśli zachodniej, zwłaszcza wśród starych działaczy byłej tajnej organizacji „Ojczyzna”. Niejako „produktem ubocznym” badań Kaczmarczyka nad historią Śląska pozostawała rozprawka *Problem germanizacji Śląska w świetle nowych badań*, ogłoszona w „Przeglądzie Zachodnim” w 1947 r.⁸⁵.

⁸² Arch. PAN P III 68/2, k. 1 i n.

⁸³ Arch. PAN P III 68/1, k. 318 rękopisu.

⁸⁴ Warszawa 1946.

⁸⁵ Z. Kaczmarczyk, *Problem germanizacji Śląska w świetle nowych badań*, „Przegląd Zachodni” 1947, R. 3, nr 11–12, s. 931 i n.

W tle rozległych, ważnych poznawczo i społecznie użytecznych badań Zdzisława Kaczmarczyka nad szeroko rozumianą problematyką „zachodnią” pozornie tylko mniej ważne były jego drobniejsze studia z dziedziny historii instytucji politycznych i prawnych, powstałe w pierwszych latach powojennych.

Ważnym tekstem, który trzeba w tym miejscu wymienić, jest nowatorskie studium, opublikowane w 1948 r. w pierwszym tomie „Czasopisma Prawno-Historycznego” pt. *Reformy stanisławowskie (1764–1795) na tle dziejów państwa polskiego w czasach nowożytnych*. Podkreślając wagę periodyzacji, w której postrzegał doniosły element syntezy historycznej, podejmował w nim polemikę z poprzednikami – Balzerem, Bobrzyńskim, Kutrzebą, Siemieńskim i Wojciechowskim – którzy dzieląc historię ustroju i prawa Polski na okresy, zbyt wielką – jak twierdził – wagę przywiązywali do jednego tylko kryterium podziału, a mianowicie do „stosunku czynnika władzy do czynnika społecznego”. Cezurami w dziejach polskich powinny być zjawiska o wymowie prawnej, podsumowujące rozwój i zarazem wyznaczające ramy dla trendów przyszłości. Zgadzał się co do tego, że taką cezurą był rok 1505, który dawał początek rozwojowi kraju, odmienny od kierunków rozwoju przodujących w Europie państw Zachodu, nie był nią już jednak rok Konstytucji 3 maja. Potraktował też cały okres panowania Stanisława Augusta jako całość, a rok inaugurujący to panowanie jako cezurę doskonałą, bo wyrażającą wolę narodu politycznego przeprowadzenia stopniowych, ale głębokich reform. Od sejmu konwokacyjnego – pisał – przez prawa kardynalne i Radę Nieustającą, aż po ustawę rządową i uniwersały Kościuszki tendencją nadrzędną była naprawa instytucji państwa: „Stąd wydaje się słusznym, ażeby od 1764 r. zacząć nowy okres historii ustroju Polski, wyrażający się w akcji reform, zmierzających na bazie dotychczasowej do usunięcia średniowiecza z aparatu państwowego i do budowy nowoczesnego aparatu, zdolnego do funkcjonowania i utrzymywania się wobec sąsiednich organizmów”⁸⁶. Autor nie krył, że zamierzał w ten sposób okres stanisławowski „oczyścić niejako z sugestii współwiny” za upadek Rzeczypospolitej i rozbiory.

Drugim studium, które wciąż zasługuje na baczną uwagę, była drukowana na łamach II tomu „Czasopisma Prawno-Historycznego” (1949) rozprawa o *Kasztelanach konarskich*⁸⁷. Autor pokazał w nim – nie po raz pierwszy – znakomite opanowanie metody historycznej. Podjął temat na pozór epizodyczny, nad którym jednak na próżno biedzili się poprzednicy: chciał ustalić, kim byli trzej tajemniczy kasztelanowie „konarscy”, zasiadający w sejmie walnym. Dzięki finezyjnej egzegezie źródeł ustalił, że byli to piastuni urzędu koniuszego, którzy tylnymi drzwiami weszli do senatu. Było to możliwe – dowiódł – bo cho-

⁸⁶ „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1948, t. 1, s. 102.

⁸⁷ Z. Kaczmarczyk, *Kasztelanowie konarscy. Studium z historii urzędów ziemskich i nadwornych*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1949, t. 2, s. 1–23.

dziło o urząd, w którego sprawnym funkcjonowaniu panujący byli najżywiej zainteresowani, zarówno dla celów komunikacyjnych, jak i wojskowych. Teza autora pozwalała głębiej wnikać w podstawy ustroju gospodarczego Polski piastowskiej. Umożliwiła m.in. nowe spojrzenie na tzw. osady służebne, prowadziła do wniosku, że osady te wiązały się z „konarskimi” głównie na terenie ziem kujawskiej, sieradzkiej i łęczyckiej.

Trzecią rozprawę z pierwszej powojennej dekady stanowiła niewielka rozmiarami, ale interesująca książka, poświęcona wybitnemu polskiemu prawnikowi i politykowi okresu Odrodzenia, Janowi Łaskiemu. Powstała ona z rozwinięcia referatu, wygłoszonego w czasie uroczystej akademii, jaka w roku 1953 odbyła się w gnieźnieńskim teatrze z okazji nadania imienia sławnego prawnika, kanclerza i prymasa jednej z ulic w mieście⁸⁸. Została napisana w konwencji popularnej, nie miała aparatu naukowego. Łączyła w wykładzie stare nawyki z perspektywami nowego czasu, czasu przełomu w nauce i w myśleniu o nauce. Przypominała tezę o polskości Śląska i Ziemi Lubuskiej, podkreślała zachodnią orientację bohatera („Radowało się serce z każdego zwycięstwa nad znienawidzonymi Krzyżakami, radowało się oko z orłów polskich nad Gdańskiem i Malborkiem...”), jego tęsknotę za przyłączeniem Prus. A jednocześnie traktowała go jako przedstawiciela średniej szlachty, która była postępową i wroga możnowładcom – rzecznikom reakcji. Autor chwalił Łaskiego za zasługi na polu kodyfikacji prawa, za przyjazną postawę wobec artystów i uczonych, za ujmowanie się za mieszczanami i chłopami. Stwierdzał, że „jako przedstawiciel średniej szlachty, znienawidzony przez starą magnaterię, żył z wyzysku chłopą, ale może nie był tak bezwzględny; rozumiał interesy miast, wiązał się z nimi interesami finansowymi”⁸⁹. Książeczka została zakwalifikowana na wystawę wydawnictw naukowych w Paryżu.

Ważną i ulubioną dziedziną aktywności naukowej Profesora była działalność edytorska. Jej metryka sięgała zresztą już lat trzydziestych, kiedy to na łamach „Kwartalnika Historycznego” Zdzisław Kaczmarczyk wydał przywilej Kazimierza Wielkiego dla Mszany z 1365 r.⁹⁰. Po wojnie ogłosił – w serii „Biblioteka Źródeł Historycznych” – kilka ważnych aktów z historii ustroju, przede wszystkim z myślą o potrzebach studentów. Były to: „Artykuły Henrykowskie” (1946), „Konstytucja 3 Maja wraz z ustawą Miasta nasze królewskie wolne w państwach Rzeczypospolitej i Zaręczeniem Wzajemnym Obojga Narodów” (1946), „Prawa kardynalne 1768–1791” (1947) oraz „Konstytucje Grodzieńskie

⁸⁸ *O kanclerzu Janie Łaskim*, Warszawa 1955; por. też Arch. PAN P III 68/3, s. 52.

⁸⁹ Arch. PAN P III 58/6 s. 1 i n.

⁹⁰ Z. Kaczmarczyk, *Nieznany dokument Kazimierza dla Mszany Dolnej i Górnej z 1365 r.*, „Kwartalnik Historyczny” 1937, R. 51, z. 4, s. 712 i n.

z r. 1793 dotyczące ustroju państwa wraz z ustawą Miasta wolne Rzeczypospolitej” (1949).

Po wydaniu Statutów Kazimierza Wielkiego z pośmiertnego rękopisu Balzera – o czym już była mowa wyżej – Zdzisław Kaczmarczyk podjął niebagatelne wyzwanie wydania X tomu „Volumina Legum”, w którym zawarto konstytucje sejmu grodzieńskiego z 1793 r. Wydawnictwo było dziełem zbiorowym, w którego przygotowaniu uczestniczyli również inni przedstawiciele poznańskiego środowiska historyczno-prawnego – Józef Matuszewski, Michał Sczaniecki i Jan Wąsicki. Jeżeli zakończenie wielkiego dzieła, zapoczątkowanego przez Konarskiego i Załuskiego, nie stało się wydarzeniem naukowym, którym mogło być, to m.in. dlatego, że oparte na mylnej przesłance, iż „Volumina Legum” były tylko zbiorem konstytucji sejmowych, a nie zbiorem obowiązującego prawa ziemskiego, zawierało systematyczny zbiór wyłącznie konstytucji ostatniego sejmu, oddany do druku w 1793 r. Krytycy podkreślali, że w tomie powinny się znaleźć także akta konfederacji targowickiej i insurekcji z roku 1794⁹¹. Po niewątpliwym sukcesie, jakim mimo wszystko było wydanie konstytucji ostatniego sejmu z roku 1793, zamierzał Zdzisław Kaczmarczyk wydać diariusz z jego obrad. Podstawę edycji miał stanowić diariusz, znajdujący się wśród rękopisów Biblioteki Czartoryskich w Krakowie. Jako młody asystent zatrudniony w Katedrze skolacjonowałem go wspólnie ze Stefanem Chmielewskim, ale do wydania wtedy nie doszło, prawdopodobnie z braku środków. Diariusz został wydany techniką elektroniczną dopiero w roku 2000⁹².

Powróćmy jednak do głównego nurtu aktywności badawczej, nauczycielskiej i organizacyjnej Zdzisława Kaczmarczyka, która na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych została skonfrontowana z nowymi wyzwaniami

Oto pod koniec lat czterdziestych przyspieszony został proces budowy totalitaryzmu w ustroju Polski, co w nauce znaczyło wzmożony wysiłek na rzecz podporządkowania nauki i środowiska uczonych państwu. Lata stalinizmu, lata złe i nieprzyjemne, miały pokazać odporność ludzi nauki na polityczną presję i ideologię. Do dziś zastanawiamy się nad tym, czy i w jakiej mierze wdrażanie marksizmu do badań było autentyczne, a w jakiej pozorowane i powierzchowne? Czy spotykało się z oporem środowiska i o opór potykało? Czy lata indoktrynacji pozwalały prowadzić rzetelne badania i publikować wartościowe prace? I nie znaleźliśmy dotąd odpowiedzi, którą można by ująć w krótkiej, jednoznacznej formule. Bo po pierwsze, ani przez chwilę nie wolno tracić z pola

⁹¹ Por. recenzję A. Vetulaniego w: „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1953, t. 5, s. 301 i n.

⁹² H. Olszewski (wyd.), *Diariusz sejmu grodzieńskiego 1793 r.*, CD ROM Bibl. Kórń V 0.1.0.1.0; por. też H. Olszewski, *O sejmie grodzieńskim 1793 r. i wydawnictwie jego diariusza*, [w:] *Parlamentaryzm i prawodawstwo przez wieki. Prace dedykowane Profesorowi Stanisławowi Płazie w siedemdziesiątą rocznicę urodzin*, pod red. J. Malca i W. Uruszcza, Kraków 1999, s. 87–100.

widzenia faktu, że uczeni wchodzący w lata stalinizmu należeli do kilku pokoleń, reprezentowali różne style i szkoły myślenia, wyekwipowani byli w rozmaite opcje, sympatie i zobowiązania. Po drugie, należy przypomnieć, że środowisko historyków prawa, choć mocno przetrzebione przez wojnę, pozostało po 1945 r. bardzo silne, m.in. dlatego, że przyjęło do swego grona badaczy z innych dyscyplin prawnych, np. ogólnej teorii prawa czy prawa konstytucyjnego, którzy „ucieczką w historię” schodzili z pierwszej linii tzw. frontu ideologicznego. Badania nad przeszłością instytucji ustroju i prawa zaczęli wtedy uprawiać m.in. Kazimierz Opalek, Grzegorz Leopold Seidler, Andrzej Burda, Konstanty Grzybowski. Oczywiście również sytuacja historyków prawa nie była łatwa. I oni nie mogli metodologicznych dyrektyw marksizmu odrzucić wprost, jeżeli chcieli przetrwać. Reorientacja dokonywała się wszakże siłami samego środowiska, bez komisarzy i „ustawiaczy” z zewnątrz, co pozwalało zachować niejeden element ciągłości w badaniach i skutecznie redukować zło w postaci jednostronnych i tendencyjnych interpretacji.

Oczywistym było, że badania historyczno-prawne przynosiły niejedno dramatyczne przerysowanie. Nie mogło być inaczej, skoro ich otoczka była politycznej natury, stanowiąc fragment walki o podporządkowanie nauki polityce totalitarnego państwa. A totalitarny system – jak wiemy – wymagał nie tylko lojalności, ale i ciągłego demonstrowania współpracy, identyfikowania się z władzą i jej piastunami⁹³. Ich wyrazem był m.in. wymuszony kult Stalina i nakaz uznawania jego prac za ostatnie słowo nauki, zastępujące i niweczące każdy rzeczowy argument. Za test lojalności obywatelskiej i naukowej poprawności uchodziło cytowanie dzieł klasyków i rodzimych przywódców, a także wykazywanie w bibliograficznych zestawieniach osobnego działu „Klasyki marksizmu-leninizmu”. Stanowiło ono z reguły obowiązek pokutny, często formalny, pomyślany obłudnie; było jak polisa ubezpieczeniowa: ubezpieczony czuł się w miarę bezpieczny, choć ubezpieczalnia nie gwarantowała wypłaty odszkodowania. Sprzyjało to konformizmowi, zastępowało bowiem zastane schematy i zwalczane stereotypy nowymi. Marksizm mógł wyrządzić również historii prawa niepowetowane szkody. Ale jego kanony nie musiały unicestwiać podejścia naukowego w badaniu; nie zatrząskiwiał on drzwi do pogłębionych rzetelnych dociekań. Do częściowej przynajmniej akceptacji metodologii marksistowskiej zbliżały badaczy jej postulat ujmowania historii prawa w sposób integralny, nakaz ukazywania więzi ustroju z historią społeczną, dyrektywa nakazująca podejmować badania na stykach dyscyplin, na polach leżących odłogiem, zaniedbanych, zachęta do uprawiania komparatystyki prawnej. Wielu mistrzom nauki historii prawa nieobce były trendy nauki światowej, w szczegól-

⁹³ Por. H. Olszewski, *Uczeni w totalitaryzmie. Przykład niemiecki*, „Zeszyty Naukowe Wyższej Szkoły Zarządzania i Prawa”, t. 1, s. 1–35.

ności nauki francuskiej ze szkołą „Annales”. Stąd apele o postrzeganie przeszłości przez pryzmat zasad materializmu historycznego nie padały na nieprzygotowaną glebę i mogły liczyć na ograniczoną akceptację, pod warunkiem że były podsuwane dyskretnie, taktownie, bez zbędnego patosu i „nowomowy”, no i nie prowadziły do administracyjnych ingerencji w warsztaty⁹⁴.

Zdzisław Kaczmarczyk nie pozostał obojętny na manifesty władz nawołujące do uznania marksizmu za gwarancję niezawodnego medium na osiąganie prawdy. Opowiedział się za nim dość wcześniej i zrazu – jak się wydaje – z przekonaniem. Co było tego przyczyną? Zdaje się, że koegzystowały tu i konkurowały tu z sobą różne przesłanki: autentycznie demokratyczne przekonania, wyniesione z domu i lat młodości, doświadczenia wojny i zgodne z podstawowym kanonem myśli narodowej uznawanie Niemców za głównego wroga Polski, poczucie racji stanu jako wartości najwyższej i lojalność wobec państwa, które stworzyło realne możliwości repolonizacji tego, co utracono w wyniku kolejnych fal germanizowania ziem macierzystych, wreszcie przeświadczenie, że osobisty sukces i społeczne uznanie możliwe są wyłącznie w działaniu konstruktywnym, legalistycznym, pro-etatystycznym. Profesor miał dość życia opozycjonisty i konspiratora, na które skazały go przeżycia okupacyjne. Poza tym, jak wielu polskich humanistów, żywił pogląd, że dzięki marksizmowi można będzie uprawiać badania na wielu płaszczyznach, przyspieszyć je i tym samym uzyskać wyniki lepsze od tych, do których doszli poprzednicy w fachu.

W 1950 r. Zdzisław Kaczmarczyk wstąpił do Klubu Demokratycznej Profesury w Poznaniu, zrzeszającego uczonych usposobionych życzliwie do socjalistycznego państwa, gotowych z nim współpracować; wkrótce został jego przewodniczącym. W 1953 r. wystąpił jednak z niego, kiedy miał poprzec zwolnienie z pracy na Uniwersytecie ks. prof. Szczęsnego Dettloffa za to, że nie okazał wymaganej żalu z powodu śmierci Stalina. Równocześnie został powołany na członka zarządu sekcji historii w Związku Nauczycielstwa Polskiego. W październiku 1950 r. wygłosił w Auli UP wykład inauguracyjny rozpoczęcie roku akademickiego na Uniwersytecie Poznańskim na temat marksistowskiej periodyzacji historii Polski. Charakterystyczne, że tekst wykładu nie zachował się, nie został też – jak nakazywał to uniwersytecki obyczaj – nigdy opublikowany⁹⁵. W tym samym roku Profesor aktywnie uczestniczył w ogólnokrajowych konferencjach historyków prawa, które odbyły się w Toruniu i Poznaniu, a poświęcone były „ujednoczeniu” [podkr. moje – H.O.] dyscypliny w duchu marksistowskim. W „Czasopiśmie Prawno-Historycznym” znalazły się jego sprawoz-

⁹⁴ H. Olszewski, *Jana Baszkiewicza, Powstanie zjednoczonego państwa polskiego na przełomie XIII i XIV w. a rozwój nauki historii prawa w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych XX w. w Polsce*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 2005, t. 57, z. 1, s. 135–147.

⁹⁵ Arch. PAN P III 68/19, k. 8 i n.

danie z obrad toruńskich oraz napisany wspólnie z Michałem Sczanieckim referat o rencie feudalnej w średniowieczu⁹⁶. W 1951 r. znalazł się Z. Kaczmarczyk w ekskluzywnym Komitecie, przygotowującym I Kongres Nauki Polskiej, który miał przypieczętować kierunki i zakres indoktrynacji w nauce. Na przełomie 1951/1952 r. aktywnie uczestniczył w I Metodologicznej Konferencji Historyków Polskich w Otwocku. Brał udział w Konferencji Kołłątajowskiej w 1951 r.⁹⁷, w sesji konstytucyjnej w 1952 r.⁹⁸, w konferencjach poświęconych Odrodzeniu i Oświeceniu był referentem i współorganizatorem wystaw; wygłaszał prelekcje w czasie kursów organizowanych przez władze w związku z przygotowaniem do tych konferencji. *Pars magna fuit* w obchodach Roku Kopernikańskiego. Był referentem na sesji ku czci Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Wreszcie został zaproszony do współpracy przy powstawaniu fundamentalnej *Historii państwa i prawa Polski* pod ogólną redakcją Juliusza Bardacha oraz do współuczestnictwa w tworzeniu reprezentatywnej „Historii Polski” pod ogólną redakcją Henryka Łowmiańskiego.

Wszystkie te gesty dowodziły uznania jego kompetencji badawczych, ale i wystawiały pozytywne świadectwo jego metodologicznej, a więc i politycznej oraz obywatelskiej dojrzałości. W pewnym sensie na nie zasłużył.

Dyrektywy nowej ideologii powoli wsączały się też do jego prac. Nie chodzi tu tylko o to, że pojawiły się w nich cytaty z dzieł Stalina, Engelsa, Bieruta czy innych „klasyków” i że towarzyszyły im wyznania wiary w „jedynie słuszne” zasady materializmu historycznego. To stawało się wtedy niemalże regułą w polskiej literaturze z zakresu nauk humanistycznych i społecznych. Często miało – by tak rzec – podwójne dno. Bo kiedy np. „prawdy” objawione przez klasyków rozpoczynały tok wywodów, grały rolę inwokacji, służyły zmyleniu czujnego cenzora, należało to do ornamentyki wykładu. Tak robiło wielu badaczy, tego wymagał pewien zaakceptowany milcząco przez środowisko i często traktowany z przymrużeniem oka rytuał. Z rezygnacją aprobowano też manifesty, w których gromko wołano o szersze uwzględnienie literatury radzieckiej. Gorzej, gdy treść cytatu czy deklaracji wiary politycznej rozciągała się na treść merytoryczną tekstu, była fundamentem dla tezy wykładu, punktem wyjścia dla krytyki przeciwnika czy przyzwoleniem na zastąpienie racji naukowej przez argument zaczerpnięty ze sfery polityki. Otóż takie konstrukcje myślowe w piśmarstwie Zdzisława Kaczmarczyka z pierwszych lat pięćdziesiątych – choć tylko wtedy – można odnaleźć. Jest nim nadinterpretowanie roli szlachty

⁹⁶ Z. Kaczmarczyk, M. Sczaniecki, *Kolonizacja na prawie niemieckim w Polsce a rozwój renty feudalnej*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1950, t. 3, s. 59 i n.

⁹⁷ Arch. PAN P III 68/86.

⁹⁸ Ibidem. Na sesji tej wygłaszał przygotowany wspólnie z Władysławem Sobocińskim referat *Zagadnienie suwerenności państwa i wolności sumienia w Polsce w XV i XVI w.*

w państwie. W dyskusji na konferencji otwockiej Profesor stwierdzał: „Interes klasowy szlachty litewskiej, białoruskiej i niemieckiej w Inflantach pod hegemonią szlachty polskiej jest najwyższym celem istnienia tego państwa”⁹⁹. Było nim również ostre widzenie trendów przeszłości pod kątem tego, co postępowe, a co reakcyjne i przenoszenie myślenia w tych kategoriach na różnice między szlachtą (szczególnie szlachtą średnią) a magnaterią. Była nim teza, że rządy oligarchii w każdych warunkach stanowiły synonim zła, reakcji, podczas gdy postępowanie szlachty średniej wyrażało symbol postępu. W świetnym składniad studium na temat suwerenności i tolerancji w Polsce epoki Odrodzenia, napisanym wspólnie z Władysławem Sobocińskim i wygłoszonym na sesji Odrodzenia, cytaty z dzieł klasyków prowadziły do nader jednostronnej krytyki polityki Kościoła oraz papieżstwa i do tendencyjnej definicji suwerenności jako zjawiska, w którym *ex definitione* dominują treści klasowe¹⁰⁰. Pochwała Modrzewskiego była dyktowana nie tylko i nie tyle jego obroną chłopą, ile aprobatą wszystkiego, co służyło podporządkowaniu Kościoła państwu. Nie miał wątpliwości, że brak absolutyzmu w ustroju Rzeczypospolitej miał jednoznacznie fatalne skutki dla państwa. W artykule *Rozprzestrzenienie narodowości polskiej nad Odrą i Bałtykiem w późnym feudalizmie*, drukowanym w 1953 r. na łamach „Przeglądu Zachodniego”, Zdzisław Kaczmarczyk nadawał teorii ziem macierzystych Polski treść klasową, podkreślając – w oparciu o słowa Bolesława Bieruta – „błędy rządzącej w Polsce klasy feudałów, która zapomniała o polskim ludzie nad Odrą, a wołała ucisk na Ukrainie, Białorusi i Litwie”¹⁰¹. Tekst *Typ i forma państwa polskiego w okresie demokracji szlacheckiej* z 1955 r. był referatem wygłoszonym na sesji Polskiej Akademii Nauk z 1953 r., który miał pierwotnie tytuł: *Demokracja szlachecka jako forma dyktatury klasowej szlacheckiej*¹⁰². We wstępie do I tomu „Studiów i materiałów do dziejów Wielkopolski i Pomorza” z 1954 r. autor i wydawca zapewniał, że będzie realizował wytyczne II Zjazdu PZPR, pisał o potrzebie pokoju i przyjaźni z ZSRR i NRD oraz zapowiadał preferowanie w druku tekstów z zakresu historii społecznej, będącej zwierciadłem postępu w dziejach. Tom II otwierał hagiograficzny tekst o zmarłym B. Bierucie. Zamieszczone w „Przeglądzie Zachodnim” z 1953 r.¹⁰³ erudycyjne studium o przywileju lokacyjnym dla Poznania z 1253 r. zawiera stwierdzenie, że zadanie, jakie autor przed sobą postawił, można rozwiązać „jedynie na bazie

⁹⁹ Z. Kaczmarczyk, *Typ i forma państwa polskiego w XV i XVI w.*, [w:] *I Konferencja Metodologiczna Historyków Polskich w Otwocku*, t. 1, Warszawa 1953, s. 463.

¹⁰⁰ Arch. PAN P III 68/88.

¹⁰¹ Z. Kaczmarczyk, *Rozprzestrzenienie narodowości polskiej nad Odrą i Bałtykiem w późnym feudalizmie*, „Przegląd Zachodni” 1953, t. 9, nr 1–3, s. 9 i n.

¹⁰² Por. Arch. PAN P III 68/14.

¹⁰³ Z. Kaczmarczyk, *Przywilej lokacyjny dla Poznania z roku 1253*, „Przegląd Zachodni” 1952, R. 9, nr 6–8, s. 142 i n.

metodologicznej marksizmu-leninizmu, w oparciu o wspaniałe osiągnięcia nauki radzieckiej (Tichomirow, Rybakow), po odrzuceniu balastu koncepcji nauki burżuazyjnej, ciężającej na nas swymi aspektami nacjonalizmu, okcydentalizmu i formalizmu prawnego”¹⁰⁴.

W szczególnym stopniu deprymuje dziś lektura tych tekstów z tamtego okresu, w których autor poświęcał na ołtarzu ideologicznej poprawności swoje własne prace. Po raz pierwszy uczynił to w Otwocku, kiedy – jak większość uczestników konferencji – podkreślał epokowe znaczenie pracy Stalina o bazie i nadbudowie. Mówił wtedy w swoim referacie: „Z powyższych słów [Stalina – H.O.] dla historyka nadbudowy wynika konieczność badania form państwa w ścisłym powiązaniu z bazą i zerwania z bezpłodnym formalizmem nauki burżuazyjnej oraz zdania sobie sprawy, że nadbudowa prawna w feudalizmie ma charakter klasowy i czynnie współpracuje z bazą. Stwierdzenie to wypowiadał z tym większą świadomością i ostrością, że zdaję sobie sprawę, iż w dotychczasowych moich pracach, zwłaszcza w monografii o monarchii Kazimierza Wielkiego, brak było wszystkich tych elementów, co doprowadzić musiało do fałszywego, idealistycznego obrazu historycznego”¹⁰⁵. O tym, że wyznanie nie było szczere, że należałoby w nim widzieć przejaw autocenzury, świadczą przechowywane w Archiwum PAN notatki, robione w trakcie kolejnych posiedzeń tej konferencji, a zawierające uwagi o poszczególnych mówcach, przepełnione ironią, zjadliwością, dosadnym dowcipem i wyrazami niesmaku¹⁰⁶. A może było konieczne? Na to pytanie zadowalającej odpowiedzi raczej nie otrzymamy, nie znając wszystkich tworzących oprawę dla sprawy okoliczności. Po raz drugi – i na szczęście ostatni – składał Z. Kaczmarczyk samokrytykę w podsumowaniu swej gigantycznej pracy nad cyklem „Ziemie Staropolski”. Z perspektywy prawie dziesięciolecia oceniał ją jako dzieło nacjonalizmu i personalizmu, wyraz braku zainteresowania dla walki klasowej i dziejów klasy robotniczej, lekceważenia związków, jakie istniały między polskimi i niemieckimi masami ludowymi¹⁰⁷. Stwierdzenie to ma charakter deklaracji, zadziwia i przygnębia; trudno sobie wyobrazić, by nie było inspirowane względami pozanaukowymi.

Pod cienką warstwą werbalnych zapewnień o wierności marksizmowi i jego zbiorowym i indywidualnym fundatorom przemyślał jednak Zdzisław Kaczmarczyk niejedną myśl twórczą i ważną. Wtedy posługiwał się zasadami materializmu dialektycznego w pełni instrumentalnie. I tak odważnie bronił poznańskiego środowiska historyczno-prawnego, kiedy na konferencji toruńskiej

¹⁰⁴ Ibidem, s. 142.

¹⁰⁵ Z. Kaczmarczyk, *Typ i forma państwa w XV i XVI w.*, [w:] *I Konferencja Metodologiczna Historyków Polskich w Otwocku*, t. I, s. 463.

¹⁰⁶ Arch. PAN P III 68/85.

¹⁰⁷ Z. Kaczmarczyk, *Ziemie Staropolski*, „Przegląd Zachodni” 1955, R. 9, nr 3–4, s. 504–505.

zostało ono zaatakowane za trwanie na pozycjach klerykalno-nacjonalistycznych i zdecydowanie protestował przeciwko „przydziałowi” Poznaniowi – w ramach narzucanego środowiskom swoistego podziału zadań – „odpowiedzialności” wyłącznie za badania mediewistyczne. Akceptował nową nazwę dyscypliny, która została zmieniona na „historię państwa i prawa Polski”, bo był zdania, że sprzyja ona – dzięki poszerzeniu konturów dyscypliny – badaniom integralnym. Postulował odejście od praktyki wykładania jej tylko do końca XVIII w.; był zdania, że studenci powinni ją znać „do naszych dni”. Proponował, by w jej wykładzie szerzej uwzględniać historię powszechną, stosując metodę prawno-porównawczą. Uważał, że ustalanie strategii badań i synchronizowanie działalności instytutów historyczno-prawnych w poszczególnych ośrodkach mogłoby się dokonywać na dorocznych posiedzeniach Komitetu Redakcyjnego „Czasopisma Prawno-Historycznego”¹⁰⁸. Na konferencji otwockiej, wbrew opiniom partyjnych historyków, opowiadał się za wyższością cezury 1764, zamiast lansowanej powszechnie cezury 1740; ta ostatnia stanowi być może – przekonywał – cezurę *a quo* epoki wykształcania się układu kapitalistycznego, ale dla historii ustroju i prawa pozbawiona jest znaczenia¹⁰⁹. W referacie *Kolonizacja na prawie niemieckim w Polsce a rozwój renty feudalnej*¹¹⁰, napisanym – jak o tym już wspomniano wyżej – wspólnie z Michałem Szczanieckim i wygłoszonym na poznańskiej konferencji metodologicznej historyków prawa w 1950 r. rehabilitował on dorobek historiografii polskiej, w szczególności prace Rutkowskiego, Tymienieckiego, Łowmiańskiego. Cytując klasyków, ale też uważnie pochylając się nad źródłami, podzielał pogląd Tymienieckiego o braku genetycznego związku między folwarkiem XII i XIII w. a folwarkiem pańszczyźnianym XV czy XVI w. Za Rutkowskim przyjmował, iż skup sołectw był aktem obrony gospodarczej szlachty przed groźną konkurencją własnych sołtysów, że renta pieniężna w trakcie kolonizacji stanowiła zjawisko stosunkowo rzadkie, że nowoczesna pańszczyzna i prymitywna renta odrobkowa to zjawiska całkowicie różne. W rekapitulacji wywodów autorów można przeczytać: „W okresie kolonizacji pierwotny system renty odrobkowej i naturalnej ulega przekształceniu na system czynszowy: renta odrobkowa redukuje się do nieznaczących rozmiarów, pojawia się natomiast renta pieniężna, która występując obok renty naturalnej nie uzyskuje decydującego wpływu, ale też nie wyraża istotniejszych zmian w stosunkach wytwórczych. Ten nurt renty pieniężnej płynąć będzie przez dalsze wieki z tym, że po jego zahamowaniu, związanym z dewaluacją

¹⁰⁸ Idem, *I Ogólnopolska konferencja historyków prawa w Toruniu (28–29 czerwca 1950 r., „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1951, t. 3, s. 364 i n.* Szersza robocza wersja sprawozdania z toruńskich obrad zob. Arch. PAN P III 68/82.

¹⁰⁹ Idem, *Uwagi historyka prawa do projektu periodyzacji dziejów Polski*. [w:] *I Konferencja Metodologiczna...*, t. I, s. 327.

¹¹⁰ Z. Kaczmarczyk, M. Szczaniecki, *Kolonizacja na prawie niemieckim...*, s. 59 i n.

pieniądza i wzrostem pańszczyzny, w przededniu zapanowania stosunków kapitalistycznych wzrośnie wydatnie w związku z osadnictwem olęderskim i podobnym oraz akcją oczyszczania wsi”¹¹¹.

Zdzisław Kaczmarczyk nigdy z marksizmem formalnie nie zerwał, ale jego więzi z nim stale się połuzniały. Nigdy nie opowiadał nam ani o kuluarach obrad w Otwocku, ani o swym stosunku do statusu nauki epoki stalinizmu. W opinii części środowiska wciąż uchodził za badacza partyjnego, tak postrzegali go przynajmniej ci, którzy go mniej znali i mniej dokładnie czytali.

Ważne, że ostantacyjne zbliżenie do marksizmu nie poróżniło go z Zygmuntem Wojciechowskim, przeciwnie – ułatwiało współpracę na zasadzie podziału ról. Współpracował z nim do końca jego dni, przede wszystkim w Instytucie Zachodnim i w Poznańskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Zastępował go w zajęciach akademickich i chronił, jak mógł przed atakami, jakie kierowali w jego stronę przedstawiciele władzy. Był organizatorem uroczystości 30-lecia pracy twórczej Mistrza, która zbiegała się z jubileuszem dziesięciolecia Instytutu Zachodniego i która odbyła się 14 czerwca 1955 r. Wręczał mu wtenczas album z okolicznościowym adresem i naszymi – pracowników Zespołu Katedr Historii Państwa i Prawa Uniwersytetu – fotografiami. W trakcie uroczystości pogrzebowej, która rozpoczęła się w Auli UP i miała charakter podniosłej manifestacji patriotycznej, z głębokim wzruszeniem żegnał swego Nauczyciela w imieniu Rady Wydziału, ale przede wszystkim własnym. Cytował Jana Długosza, który nie doczekał tego, co dane było przeżyć zmarłemu Mistrzowi: „Za szczęśliwego bym się uważał, gdyby łaska Boża pozwoliła mi patrzeć na powrót i połączenie się z królestwem polskim Śląska, Ziemi Lubuskiej i Słupskiej. Wtedy dopiero wesoło zeszedłbym ze świata i do snu wiecznego ległbym spokojnie a słodko”. I kończył zapewnieniem: „Śpij spokojnie, nad Odrą, w Sudetach i nad Bałtykiem czuwa polska straż”¹¹².

Po śmierci wielkiego patriarchy, jakim był Zygmunt Wojciechowski, stał się Zdzisław Kaczmarczyk pierwszym naturalnym kandydatem do zajęcia jego miejsca, zarówno jako badacz, jak i organizator i lider środowiska naukowego. Predestynowały go do tego poważne osiągnięcia w pracy twórczej. Znów był traktowany przede wszystkim jako mediewista, autor fundamentalnych monografii o Polsce Kazimierza Wielkiego, jako kontynuator myśli zachodniej, znawca historii Wielkopolski i Pomorza. Do sukcesji uprawniały go też jego sukcesy na polu organizowania nauki – autorytet nauczyciela akademickiego, aktywność w działalności społecznej, edytorskiej, państwowej i międzynarodowej.

¹¹¹ Ibidem, s. 82.

¹¹² Tekst przemówienia, nigdy niepublikowanego, znajduje się w Arch. PAN w Poznaniu P III 68/21, K. 1–5.

Najbardziej błyskotliwie przebiegała jego kariera akademicka. W połowie lat pięćdziesiątych był już w pełni ukształtowaną osobowością. I zaiste – szybko wspinał się po szczeblach hierarchii uniwersyteckiej. W listopadzie 1955 r. objął kierownictwo Zespołowej Katedry Historii Państwa i Prawa Polskiego, która wchłonęła dawną katedrę Wojciechowskiego. W 1955 został też prorektorem i w rok później kandydował na stanowisko rektora, nie uzyskał jednak poparcia Senatu. W 1956 r. wszedł do senackiej komisji, która przeprowadziła rehabilitację i przywróciła do pracy ks. prof. Szczęsnego Dettloffa. Wyróżnienie miało charakter prestiżowy, jako że chodziło o sprawę, która posiadała wyraźne implikacje polityczne¹¹³. W 1957 r. Zdzisław Kaczmarczyk otrzymał wreszcie powołanie na stanowisko profesora zwyczajnego. W 1966 r. zasiadał w Komitecie honorowym jubileuszu 50-lecia Uniwersytetu. W 1967 został powołany na dyrektora Instytutu Historii Państwa i Prawa i objął kierownictwo Zakładu Historii Państwa i Prawa Polskiego do 1795 r. Funkcje te piastował do końca życia. Prowadził rozległą działalność dydaktyczną. Wykładał historię państwa i prawa Polski, historię ustroju Polski na tle powszechnym oraz – na Wydziale Historycznym – historię Polski w dobie kształtowania się stosunków kapitalistycznych; opiekował się kołem naukowym, no i prowadził seminaria, które pod koniec lat pięćdziesiątych zaczęli opuszczać coraz liczniejsi doktorzy. W Radzie Wydziału i Senacie głos jego słuchany był z uwagą; liczyli się z nim nawet jego oponenci. Stawał się jednym z autorytetów Uniwersytetu. Ukoronowaniem akademickiej aktywności były nagrody Ministra i Rektora oraz odznaczenia państwowe: Medal Komisji Edukacji Narodowej (1959), Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1960), tytuł „Zasłużony Nauczyciel PRL” (1976) oraz Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski (1977).

Nieco bardziej opornie ułożyła się współpraca z Instytutem Zachodnim, który po śmierci Zygmunta Wojciechowskiego stracił swój faktyczny status podmiotu integrującego środowiska humanistyczne w kraju. Walka o sukcesję toczyła się na kilku szczeblach, z udziałem różnych grup nacisku i zakończyła kompromisem, którym było desygnowanie na następcę kierownika placówki Kazimierza Piwarskiego, profesora UJ, przebywającego w stolicy Wielkopolski na przymusowej banicji. Po kilku latach, w 1959 r., Kuratorium IZ powołało Zdzisława Kaczmarczyka na stanowisko wicedyrektora Instytutu, zaś w październiku 1965 na pełniące obowiązki dyrektora. Zrezygnował z niego po roku, gdyż nie chciał dalej znosić nasilającej się presji ze strony władz, które dążyły do upolitycznienia i podporządkowania sobie Instytutu. Całkowite zerwanie z Instytutem, z którym przez ćwierć wieku łączyły go więzy wielostronnego współdziałania, wydawało się mu jednak niemożliwe: pozostał w Kurato-

¹¹³ Por. Arch. PAN P III 68/49.

rium, w redakcji „Przeglądu Zachodniego”, przez jakiś czas pełnił funkcję przewodniczącego Komisji Rewizyjnej IZ. U schyłku życia został jego członkiem honorowym.

Dużo czasu poświęcał na działalność w Poznańskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk, w którym po latach przejął dawne funkcje swojego Mistrza: w 1970 r. został wybrany sekretarzem generalnym, a w 1975 r. prezesem PTPN. Podobnie angażował się w pracę Polskiego Towarzystwa Historycznego: był wiceprezesem (1954) i prezesem jego poznańskiego Oddziału (1961), a następnie członkiem i wiceprzewodniczącym Zarządu Głównego (1961) i przewodniczącym Komisji Rewizyjnej. W latach siedemdziesiątych i tu został wyróżniony członkostwem honorowym. Z ramienia władz PTH współpracował ze stacjami naukowymi Towarzystwa w Zielonej Górze, Koszalinie i Słupsku. Z tego samego tytułu uczestniczył w organizowaniu Powszechnych Zjazdów Historyków Polskich w Krakowie w 1958 r. i w Lublinie w 1963 r. Dopiero w latach sześćdziesiątych zaczął częściej wyjeżdżać za granicę, na konferencje naukowe i badania. Nawiązał ścisłą, trwałą i owocną współpracę z historykami prawa w Czechosłowacji, na Węgrzech, w Bułgarii, Jugosławii i Rumunii, a także we Francji, Belgii i Austrii. Uczni z tych krajów często potem przyjeżdżali do Poznania, co przynosiło nam wielostronne korzyści. Tylko do obu krajów niemieckich jeździł rzadko i raczej niechętnie; widać syndrom wyniesiony z czasów okupacji i pierwszych lat powojennych był w nim głęboko zakorzeniony.

Po sukcesach na polu organizacji i popularyzacji nauki przyszły awanse w dziedzinie społeczno-politycznej i państwowej. Zdzisław Kaczmarczyk był działaczem Związku Nauczycielstwa Polskiego, członkiem władz wojewódzkich Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich i członkiem Rady Naczelnej TRZZ. Pełnił też funkcję przewodniczącego Wojewódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu i należał do władz centralnych tej fasadowej organizacji. W latach 1961–1965 był posłem na Sejm III kadencji z ramienia PZPR.

I w tym czasie społeczne uznanie, mir w środowisku i sława wykraczająca poza granice kraju były nade wszystko funkcją osiągnięć twórczych. Mimo prowadzenia czasochłonnej działalności na niwie organizacyjnej i społecznej, Zdzisław Kaczmarczyk pisał coraz więcej i coraz rzadziej spotykamy w bibliografii jego publikowanych tekstów prace popularnonaukowe, usytuowane na ruchomym styku między nauką a polityką. Wzbudzał zawsze nasz podziw, kiedy wykorzystywał np. okazje, by podrzucić nam jedną czy drugą fiszkę, którą sporządzał w czasie własnych kwerend, a o której wiedział, że może się nam przydać. Stanowiło to znak, że intensywnie pracował nad źródłami i suwerennie nad nimi panował.

Był to dla niego przede wszystkim czas syntez. W swej opinii o nadanie Kaczmarczykowi tytułu naukowego profesora zwyczajnego z 1956 r. rektor

Uniwersytetu, prof. Jerzy Suszko stwierdzał, że w twórczości kandydata zakończył się okres pisania prac o charakterze analityczno-erudycyjnym, a rozpoczął okres tworzenia opracowań syntetycznych, metodologicznie coraz bardziej pogłębianych¹¹⁴. Tak w istocie rzecz się miała.

W 1957 r. ukazał się pod egidą Polskiej Akademii Nauk I tom monumentalnej „Historii Polski” pod ogólną redakcją Henryka Łowmiańskiego, w której Zdzisław Kaczmarczyk wraz z Ewą Maleczyńską był autorem licznych partii wykładu poświęconych średniowieczu. Jeżeli wysiłek autorów trudno wymierzyć jako naukowe osiągnięcie, to dlatego, że całe dzieło, wielokrotnie korygowane przez recenzentów i poddawane skrótom przez redaktora i cenzorów, także w imię politycznej poprawności, nie miało barwy i wyprane było z wszelkiego indywidualizmu. W istocie syntezę redagował H. Łowmiański, historyk – jak wiadomo – wybitny, ale wciąż zmuszany do czynności krojczego. W każdym razie już samo zaproszenie do udziału w wielkiej inicjatywie nobilitowało. Podobnie wyróżnieniem było zaproszenie Z. Kaczmarczyka do udziału w przygotowywaniu wielotomowej syntezy *Historii dyplomacji polskiej*¹¹⁵.

W tym samym roku ukazał się II tom zarysu systemu *Historii państwa i prawa Polski* pod redakcją Juliusza Bardacha¹¹⁶. W tomie tym Zdzisław Kaczmarczyk pisał partie o demokracji szlacheckiej i oligarchii magnackiej. Tom znajdował silne wsparcie w kwerendach źródłowych, zawierał bogactwo wątków i wiele ujęć nowych, pionierskich. Ukazywał on związki nauki historii prawa z ogólną historią Polski, z naukami szczegółowymi o prawie, z historią doktryn politycznych, w mniejszym stopniu z teorią państwa, co jednak było równoważone przez oparcie wykładu na spójnym schemacie periodyzacyjnym. Zawierał wykład źródeł prawa, źródeł poznania prawa, rozdziały o ustroju społecznym i o rozwoju form rządzenia w prowincjach. Elementy syntezy były wzbogacane o monograficzną formę prezentacji zagadnień szczegółowych; książkę zaopatrzone w rozbudowany aparat naukowy i staranne indeksy. Oczywiście recenzenci nie omieszkali grymasić. Wytykano Kaczmarczykowi zasadę dokumentowania tez za pomocą egzemplifikacji, spierano się o cezurę *a quo* okresu oligarchii, którą autor ustalał – orientacyjnie, jako propozycję – na rok 1606, wskazywano na to, że niektóre procesy XVII w., takie jak koncentracja własności, powstawanie latyfundiów czy wtórne rozdrobnienie, były już właściwością rozwoju w poprzednim stuleciu. Ale nawet najbardziej wymagający z krytyków, Władysław Sobociński, przyznawał – i dotyczyło to w pełni także II tomu – że *Historia państwa i prawa Polski* to „dzieło naukowe, bilansujące dotychczasowy

¹¹⁴ Akta osobowe w Arch. UAM 599/476, 8.

¹¹⁵ Z zebranego przez autora ogromnego materiału tylko niewielka część mogła być spożytkowana w druku.

¹¹⁶ *Historia państwa i prawa Polski od połowy XV w. do 1795 r.*, [w:] *Historia państwa i prawa polskiego*, pod red. J. Bardacha, t. 2, Warszawa 1957. Praca była wielokrotnie wznawiana i poszerzana.

dorobek i wytyczające drogi rozwoju nauki historii państwa i prawa Polski”¹¹⁷. Nic dodać, nic ująć. Synteza, służąca przez dziesięciolecia także jako podręcznik, była wielokrotnie wznawiana i za każdym razem poprawiana¹¹⁸.

Był to też czas powrotu do lat panowania Kazimierza Wielkiego. W 1958 r. ukazała się przygotowana wspólnie ze Stefanem Weymanem obszerna monografia, którą poniekąd można traktować jako t. III *Monarchii* i ważny krok w stronę spełnienia obietnicy z 1939 r. ujęcia panowania ostatniego Piasta na tronie polskim w czterech tomach. Stanowiły go *Reformy wojskowe i organizacja siły zbrojnej za Kazimierza Wielkiego*¹¹⁹. Wydana przez Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej książka wypełniała dotkliwą lukę w piśmiennictwie; jej publikacja wychodziła naprzeciw pilnym potrzebom nauki. Oparta na solidnej analizie źródeł, także źródeł z zakresu historii kultury materialnej i literatury, zawierała pionierskie ujęcie tematu: mówiła o prehistorii polskiej wojskowości za Piastów, o wysiłkach króla mających na celu podniesienie obronności kraju, o zmieniających się priorytetach w polityce zagranicznej, o budowie zamków i miast obronnych, wreszcie o wojnach, jakie monarcha musiał prowadzić. Książka nie doczekała się takiego uznania ze strony krytyki, na jakie niewątpliwie zasługiwała.

W kilka lat później, w 1964 r., z okazji jubileuszu 600-lecia Uniwersytetu krakowskiego, Zdzisław Kaczmarczyk przyjął zaproszenie władz UJ do ponownego zabrania głosu na temat rządów Kazimierza, w czasie których Uniwersytet mógł powstać. Wydawało się, że po opublikowaniu czterech opasłych tomów autor niewiele jest w stanie dodać. Tymczasem spotkała nas niespodzianka. Książka stanowiła coś więcej niż syntezę własnych badań; wykraczała poza nie daleko, czemu z pewnością służyły nie tylko nowe kwerendy, ale i konwencja wykładu, który miał charakter narracji, był opowiadaniem, w którym autor chciał przemówić do szerokiej publiczności. Świadczył o tym już wstęp, w którym podkreślono, że Kazimierz to wielki temat, wielki monarcha – ojciec wszystkich Polaków, wielki człowiek. Cytował Niemcewicza:

*Nieraz król po włościach chodził.
I nieraz z kmieciem rozmawiał,
Wspierał w pracach, sprawy godził,
Nagradzał, w błędach poprawiał;
Ceny pochwały nie znano,
Gdy go królem chłopów zwano*¹²⁰.

¹¹⁷ Recenzja w: „Państwo i Prawo” 1957, R. 12, nr 10, s. 557.

¹¹⁸ Na marginesie pragnę podnieść, że zmiany w drugim wydaniu robiliśmy – na prośbę redaktora naczelnego – wspólnie z Profesorem, ponieważ był on wtedy bardzo obciążony innymi obowiązkami i trochę chorował.

¹¹⁹ (wspólnie z S. Weymanem) *Reformy wojskowe i organizacja siły zbrojnej za Kazimierza Wielkiego*, Warszawa 1958.

¹²⁰ Z. Kaczmarczyk, *Polska czasów Kazimierza Wielkiego*, Kraków 1964, s. 7.

Zdzisław Kaczmarczyk dał wykład, będący świetnym przykładem, jak połączyć popularyzowanie wiedzy z oryginalnym oświeceniem problemów i jak w biografii pokazać bohatera jako człowieka swej epoki i na tle tej epoki. Ukazał dramaturgię wydarzeń, historię jako akcję – i to czyniło lekturę jego książki tym bardziej pasjonującą. A równocześnie potrafił ewoluowanie działań monarchy powiązać z prezentacją osiągnięć wewnętrznych, ze statycznym z natury rzeczy przedstawieniem jej organizacji państwowej i prawnej, jej struktur, jej problemów wewnętrznych. Jedno i drugie połączył ze sobą ściśle. Po dynamicznym ukazaniu drogi do ustabilizowania się monarchii, jakże w chwili wstąpienia na tron Kazimierza jeszcze słabej, po przypomnieniu częściowo zrealizowanego programu odzyskania ziem polskich, po przedstawieniu wizerunku „reform, które wzmocniły siłę ustroju stanowego bez dyktatury jednego ze stanów”¹²¹, o wiele lepiej można zrozumieć dzieło Kazimierza. Najpierw przedstawił autor przesłanki rozwoju, ramy, w których dopiero był on możliwy, a potem rezultaty. W końcowym rozdziale, *Zwrot ku Odrze*, pozwolił czytelnikowi pojąć, że ten etap, etap rewindykacji ziem zachodnich, był jedynie wstępem i otwarciem możliwości dla pełnego wykonania zadania, a mianowicie zespolenia w jednym państwie wszystkich ziem piastowskich. Błyskotliwy uczony i niezrównany publicysta-krytyk, Konstanty Grzybowski, nie miał wątpliwości, że monografia poznańskiego badacza nasuwa niejedną analogię ze współczesnością. Widział ją w wielkich kosztach, jakich wymagały i wymagają zawsze reformy w państwie w chwilach przełomu, w gotowości do ustępstw wobec tych, którzy chcą te koszty obniżyć, w fakcie, że głównym bohaterem kolonizacji – i tej z XIV stulecia i tej po roku 1945, skierowanej na ziemie odzyskane – jest zawsze polski chłop, w okoliczności, że żadna kolonizacja nie jest w stanie uniknąć „błędów i wypaczeń” i w tym, że w zmaganiach między władzą a opozycją nieodzowne są szczególne umiejętności postępowania¹²². Tymi pochwalnymi refleksjami dziękował autorowi jeden z najwybitniejszych profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego za włączenie się do obchodów jubileuszowych „jego” uczelni.

W obu dekadach, jakie upłynęły od śmierci Zygmunta Wojciechowskiego, mniej już absorbowała Zdzisława Kaczmarczyka „kwestia niemiecka” jako taka. Istnienie dwóch państw niemieckich i przyjęta *nolens volens* już przez Mistrza zasada *distiguendum est* stawiała zresztą przed epigonami myśli zachodniej karkołomne, jeżeli w ogóle wykonalne zadanie: utrzymywania chłodnego dystansu w traktowaniu Niemiec Zachodnich oraz używania przyjaznego tonu w spojrzeniu na Niemiecką Republikę Demokratyczną. Oczywiście tematyki niemieckiej nie mógł autor całkowicie odrzucać, choćby dlatego, że pełnił odpowiedzialne funkcje w Instytucie Zachodnim i angażował się w sprawy ziem

¹²¹ K. Grzybowski, *Polska Kazimierza Wielkiego*, „Życie Literackie” 1964, R. 14, nr 18, s. 5.

¹²² Ibidem.

zachodnich jako działacz Polskiego Towarzystwa Historycznego, Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich czy Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Nadal więc umieszczał drobniejsze, z reguły okolicznościowe teksty czy to w „Przeglądzie Zachodnim” czy to w jego obcojęzycznych mutacjach, takich jak „Polish Western Affairs” czy „La Pologne et les Affaires Occidentales”, w których zajmował stanowisko wobec aktualnych problemów granicy z Niemcami, zbiorowego bezpieczeństwa w Europie w świetle stosunków z Niemcami czy zagrożeń ze strony zachodnioniemieckiego rewizjonizmu i militaryzmu. Pisał przedmowę na temat zasług koryfeuszy myśli zachodniej na Uniwersytecie Poznańskim w wydawnictwie UAM z okazji jubileuszu 50-lecia uczelni. Czasem chwycił za pióro, by krytycznie odnotować w recenzjach tezy historyków niemieckich, reprezentantów „badań wschodnich” (*Ostforschung*). W 1974 r. napisał ponadstronicowy tekst pt. *Kolonizacja niemiecka i kolonizacja na prawie niemieckim w średniowiecznej Polsce*¹²³, ulokowany w wydanej przez Instytut Zachodni pracy zbiorowej, w której dokonał krytycznego przeglądu rozwoju tych badań w historiografii niemieckiej. Wykazał w nim doskonałe znanstwo tematu i pokazał drogi, jakimi powinni na tym polu kroczyć badacze polscy, chcący go zgłębić.

Najbliższą sercu Zdzisława Kaczmarczyka dziedziną pasji twórczych stała się jednak – jak wiemy – historia miast, ich początków, ich rozplanowania przestrzennego, naturalnej infrastruktury i rozwoju, a także ich wpływu na gospodarkę i kulturę, przeobrażenia społeczne, ustrój oraz politykę regionu i państwa. Jako specjalista dziejów miast był rozpoznawany w świecie; większość jego zagranicznych podróży wiązała się z kwerendami nad tą tematyką; wygłaszane w ich trakcie referaty dotyczyły z reguły problematyki miejskiej. Partnerami w kontaktach, jakie nawiązywał w świecie, byli luminarze nauk o przeszłości miast, tacy jak Vaclav Vanecek, Robert Feenstra, Irzi Kejř, Dietrich Gerhardt, Frantisek Graus. Wielkie pokłady energii rozwijał w inicjowaniu wypraw naukowych czy konferencji poświęconych historii miast. W „Studiach i Materiałach do Dziejów Wielkopolski i Pomorza” najchętniej drukował teksty z tego zakresu. Przeszłość miast była najczęściej poruszonym wątkiem w czasie jego seminariów i wykładów. Przewijała się przez całe jego naukowe życie. Spinała rodzajem klamry wszystkie pozostałe nurty jego zainteresowań twórczych. Symbolizowała uwodzicielską moc nauk o ziemi jako nauki i nobilitowała wpływ przestrzeni na zdarzenia czasu przeszłego; pobudzała wyobraźnię naukową autora. Kilka lat przed śmiercią mówił w wywiadzie udzielonym redaktorowi „Głosu Wielkopolskiego”: „Kiedy pracowałem nad *Kolonizacją*, zwró-

¹²³ Z. Kaczmarczyk, *Kolonizacja niemiecka i kolonizacja na prawie niemieckim w średniowiecznej Polsce*, [w:] *Stosunki polsko-niemieckie w historiografii*, wyd. J. Krasuski, G. Labuda, W.S. Walczak, cz. I, Poznań 1974, s. 218–326.

ciłem uwagę na problem powstawania miast na naszych ziemiach zachodnich. Aby uzyskać pełny obraz sytuacji, zacząłem obserwować prawidłowości w tym względzie na innych terenach – w Czechach, na Węgrzech, potem w Jugosławii¹²⁴. Informacja ta tylko częściowo oddawała istotę rzeczy, albowiem pierwsze przejawy fascynacji Profesora przeszłością miast sięgały – jak o tym już wspomniano wyżej – jeszcze czasów przedwojennych i wpływały z zainteresowań etnologią, geografią i poznawaniem historii architektury i sztuki, w nie-małej mierze wiążąc się także – może przede wszystkim – z badaniami nad historią prawa miejskiego w Polsce. Ich związek z badaniami zachodnimi miał – jak się zdaje – późniejszą metrykę. Już w 1949 r. magistranci i doktoranci Zdzisława Kaczmarczyka odbywali zorganizowane wyprawy, inicjowane i częściowo finansowane przez Komisję Historyczną Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk (1950), Instytut Zachodni (1951–1953) oraz Uniwersytet Poznański. Powstały wtedy swego rodzaju minimonografie o wszystkich większych ośrodkach miejskich Polski północno-zachodniej; otrzymały je m.in. Krosno, Sulechów, Sulęcín, Kalisz, Świebodzin, Lubiąż, Poznań, Drezdenko, Lubusz. Ukazały się one m.in. w dwutomowej pracy zbiorowej pod red. Z. Kaczmarczyka *Miasta polskie w tysiącleciu* (1957), inne – wśród nich Włocławek, Brześć Kujawski, Frankfurt/O i Wschowa – zostały przygotowane do druku. Badano też większe kompleksy osadnictwa miejskiego: Kujaw i Ziemi Dobrzyńskiej, Pomorza Zachodniego, Księstwa Głogowskiego, Ziemi Lubuskiej, Nowej Marchii, Ziemi Sieradzkiej i Wieluńskiej¹²⁵, Gdańska¹²⁶. Były one rezultatem badań globalnych, uwzględniających osiągnięcia dyscyplin pokrewnych i wysnutych z porównań z rozwojem na Rusi, we Francji, Hiszpanii, Niemczech i Włoszech. Pozwoliły też na cenne uogólnienia. W 1961 r. mógł Profesor stwierdzić, że historia miast w Polsce ma charakter rodzimy, samorodny i jest wypadkową licznych uwarunkowań nade wszystko naturalnych, a ich rozwój trwa od IX do XV i XVI w. Wyróżniał cztery etapy tego procesu: 1. okres miast-podgrodzi (X–XI w.), 2. okres miast-podgrodzi i targów (k. XI – pocz. XIII w.), 3. okres przejściowy, na który przypadają narodziny prawa niemieckiego i porzucanie prawa polskiego (pocz. XIII – poł. XIII w.) oraz 4. Okres lokacji miast na prawie niemieckim (pol. XIII – pocz. XV w.)¹²⁷.

W końcu lat sześćdziesiątych Zdzisław Kaczmarczyk wydał wspólnie z Andrzejem Wędkim dwa tomy, które stanowiły logiczną kontynuację wcześniejszych dociekań: *Studia nad początkami i rozplanowaniem miast nad środkową*

¹²⁴ Z. Rola, *Biograf wielkiego monarchy*, „Głos Wielkopolski” z 23 II 1977.

¹²⁵ Arch. PAN P III 68/77.

¹²⁶ Notatki z kwerendy w Arch. PAN P III 68/36.

¹²⁷ Z. Kaczmarczyk, *Początki miast polskich*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1961, t. 13, z. 2, s. 2, 9–43.

*Odrą i dolną Wartą*¹²⁸. Pierwszy obejmował swym zasięgiem dzisiejsze województwo zielonogórskie, drugi – Dolny Śląsk i Dolne Łużyce. Fundamentalna monografia prezentowała historię miast tych ziem od ich ukształtowania się we wczesnym średniowieczu – a właściwie od pierwotnego osadnictwa sięgającego czasów rzymskich – aż po lata po drugiej wojny światowej. W szerokim zakresie uwzględniała ich warunki topograficzne, gospodarcze, rozplanowanie i ustrój. Wskazywała na strategiczne znaczenie regionu w handlu z Zachodem, zwłaszcza z Niemcami. W obszernym podsumowaniu rezultatów zbiorowego wysiłku badawczego autor stwierdzał: „Można powiedzieć, że czasy panowania polskiego w średniowieczu na obszarze dzisiejszego województwa zielonogórskiego dały podstawę pod rozwój prawie wszystkich dziś jeszcze istniejących miast”¹²⁹.

W miarę upływu czasu Zdzisław Kaczmarczyk coraz częściej obejmował swymi badaniami obszar całej słowiańskiej Europy Środkowo-Wschodniej. Wyróżniał się tu syntetyczny tekst o początkach prawa miejskiego na Słowiańszczyźnie, opublikowany w księdze pamiątkowej ku czci Kazimierza Tymienieckiego w 1970 r.¹³⁰. Niestety wiele innych tekstów pozostało w maszynopisie lub rękopisie; nie były jeszcze widocznie – zdaniem autora – dojrzałe do druku; dotyczyły miast w Rumunii¹³¹, Bułgarii¹³², na Węgrzech i w Jugosławii¹³³.

W ostatnich latach swego życia najbardziej przyciągały uwagę Profesora dzieje miast dalmatyńskich. Czarowało go ich piękno, frapowało, że mogły one rozkwiąć mimo słabych warunków naturalnych. W księdze pamiątkowej ku czci Gerarda Labudy pisał: „Słabe rolnictwo, brak wody słodkiej, hamowały ich rozwój ludnościowy. Równocześnie brak było na miejscu i w pobliżu bogactw naturalnych, które umożliwiały szybsze bogacenie się w handlu czy też rzemiosła. Do tego dochodziły też trudne warunki komunikacji z wnętrzem Półwyspu Bałkańskiego. A jednak miasta dalmatyńskie swym wysiłkiem pokonywały te trudności i specjalizowały się w żegludze morskiej i handlu. [...]. Nadmorskie położenie, dobre porty naturalne, łagodny klimat i doskonałe warunki obronne rekompensowały im choć częściowo wyżej wymienione trudności. Wyrósł tu

¹²⁸ Idem, *Rozwój miast nad środkową Odrą i dolną Wartą do końca XV w.*, [w:] *Studia nad początkami i rozplanowaniem miast nad środkową Odrą i dolną Wartą*, pod red. Z. Kaczmarczyka i A. Łędzkiego, t. I: *Województwo zielonogórskie*, t. II: *Dolny Śląsk, Dolne Łużyce*, Zielona Góra 1967, 1970.

¹²⁹ Ibidem, t. II, s. 580.

¹³⁰ Idem, *Początki prawa miejskiego na Słowiańszczyźnie*, [w:] *Europa – Słowiańszczyzna – Polska. Studia ku uczczeniu profesora Kazimierza Tymienieckiego*, Poznań 1970.

¹³¹ Arch. PAN P III 68/44.

¹³² Arch. PAN P III 68/43.

¹³³ Arch. PAN P III 68/142.

jednolity w swej organizacji, zajęciach i kulturze typ miast, które osiągnęły w średniowieczu dość wcześnie, bo w XII w., status miast autonomicznych, cieszących się dużą swobodą w stosunku do tworców politycznych, które wciągały je w orbitę swej zależności (Chorwacja, Wenecja, Serbia, Bizancjum, Węgry)”¹³⁴.

W roku 1976 Zdzisław Kaczmarczyk opublikował drugie w swoim życiu *opus magnum*. Był to I tom uroczej, pięknej zarówno w treści, jak i formie monografii *Miasta dalmatyńskie do początku XV wieku. Przegląd i obraz urbanistyczny*¹³⁵. Przedstawiał w nim środowisko naturalne i proces przestrzennego rozwoju skupisk miejskich w Istrii, w Zatoce Rijeckiej, Dalmacji i pobrzeżu Czarnogóry w okresie od późnego cesarstwa rzymskiego po próg czasów nowożytnych. Monografia poruszała problemy usytuowane na styku wielu dyscyplin nauki; stanowiła kliniczny przykład pożytku płynącego z badania zjawisk należących do różnych układów i regionów geograficznych, do niejednorodnych obszarów etnicznych i kulturowych. Wybitny historyk prawa, Stanisław Russocki, podkreślał w swej recenzji dzieła¹³⁶, że autor „oderwał się od abstrakcyjnego świata norm i wkroczył na niepomierne trudniejszy w badaniu, nader zróżnicowany faktycznie teren socjo-topografii miast. [Pytał] o charakter wkładu Słowian w procesy urbanizacyjne zasiedlonych przez nich obszarów oraz wzajemny stosunek wytworzonych przez nich urządzeń do tych, napływających z zewnątrz wraz z migracjami obcych etnicznie grup mieszczańskich”. Wybitne *opus* pozostało wszakże niedokończone, bo autor nie zdołał napisać dalszych zapowiadanych tomów.

To samo trzeba niestety powiedzieć o rezultatach badań Zdzisława Kaczmarczyka na temat dziejów Poznania, które go interesowały przez całe twórcze życie i którym poświęcał wiele tekstów. Pisał je sam i zachęcał do ich pisania uczniów, w szczególności Witolda Maisla i Andrzeja Wędzkiego. Patronował wydawnictwom źródłowym o przeszłości Poznania i chętnie komentował ich znaczenie w przedmowach do prac publikowanych przez współpracowników i uczniów. Cenne rozdziały jego pióra pisane do *Dziejów Poznania*, poświęcone genezie i rozwojowi grodu, ustrojowi Poznania lokacyjnego oraz zniszczeniu miasta w latach 1307–1309, ukazały się dopiero w roku 1988, prawie dziesięć lat po jego śmierci¹³⁷.

¹³⁴ Z. Kaczmarczyk, *Rola warunków geograficznych w rozwoju miast dalmatyńskich w średniowieczu*, [w:] *Ars historica. Prace z dziejów powszechnych i Polski*, Poznań 1976, s. 208.

¹³⁵ *Miasta dalmatyńskie do początku XV wieku. Przegląd i obraz urbanistyczny*, t. I, Warszawa – Poznań 1976.

¹³⁶ S. Russocki, rec. w: „Nowe Książki” 1977, nr 5, s. 55–56.

¹³⁷ W. Maisel, *Zdzisław Kaczmarczyk 1911–1980*, [w:] *Wybitni historycy wielkopolscy*, praca zbior. pod red. J. Strzelczyka, Poznań 1989, s. 366.

Nic nie zapowiadało przedwczesnego odejścia Profesora, choć nie było tajemnicą, że od kilku lat drąży jego organizm i niszczy groźna choroba. Był jeszcze młody, ze zwykłym u siebie poczuciem obowiązku wykonywał wszystkie powierzane sobie zadania akademickie. Znajdował się na wyżynach naukowej sławy, doszedł do nich tak, jak zdobywał szczyty gór, wytrwale i z pasją, ale pogodnie. Należał do autorytetów w środowisku. W 1976 r. Wydział Prawa i Administracji macierzystego Uniwersytetu uroczystie obchodził jego jubileusz 65. rocznicy urodzin i zarazem czterdziestolecia pracy twórczej. Jako dziekan prezydowałem tej uroczystości i widziałem lepiej może od innych, jak wzruszony i jednocześnie usatysfakcjonowany był Jubilat. Rok później podobnie podniosła uroczystość miała miejsce w Instytucie Historii Państwa i Prawa, którym tyle lat kierował. Połączono ją z wręczeniem mu książki pamiątkowej, przygotowanej przez grono współpracowników, kolegów i uczniów. Był nią specjalny tom „Studiów i Materiałów do Dziejów Wielkopolski i Pomorza”, periodyk przez niego utworzony i od początku do końca przezeń redagowany. I wtedy jeszcze jubilat wydawał się w dobrej formie; tryskał humorem i mówił o ambitnych zamierzeniach na przyszłość.

Profesor Zdzisław Kaczmarczyk zmarł 9 sierpnia 1980 r. w Poznaniu, w przeddzień strajków robotniczych na Wybrzeżu i początku wielkich przeobrażeń w życiu kraju. Do ostatnich dni był aktywny intelektualnie. Tragedią jego i tragedią środowiska było to, że dokonawszy tak wiele, tyle z tego, co zamierzał zrobić, już nie zdążył.

Alfons Klafkowski



Kiedy w roku 1950 podejmowałem studia prawnicze na Uniwersytecie Poznańskim, Alfons Klafkowski był prodziekanem. Kiedy po czterech latach je skończyłem, pełnił funkcję dziekana. Wydawał mi się daleki, wyniosły, ze studentami się nie spotykał, nie traktował ich jak partnerów. Na III roku składałem u niego kursowy egzamin z prawa międzynarodowego publicznego; moje odpowiedzi przyjmował bez zainteresowania, miałem wrażenie, że w ogóle nie interesuje go, o czym mówię. Potem – już jako delegat tzw. pomocniczych pracowników nauki do Rady Wydziału i jej protokolant – obserwowałem, jak prowadzi posiedzenia tego gremium; nie budził powszechnej sympatii grona jej członków; bano się go, bo był pamiętliwy, apodyktyczny i brutalnie traktował szczególnie starą profesurę, z którą rozliczał w ten sposób – jak nie bez racji mówiono – dawne porachunki. Na posiedzeniach iskrzyło od ostrych wymian słownych, za którymi kryły się niezabliźnione konflikty, niektóre o nader starej metryce. Zapamiętałem, jak pewnego razu Klafkowski krzyknął, że do swych adwersarzy „ma zwyczaj strzelać z dział na wprost”; kiedy senior w Radzie – profesor Alfred Ohanowicz, na to spokojnie odpowiedział, że strzelając z dział na wprost, najczęściej trafia się „kulą w płot”, dziekan zakończył posiedzenie Rady i przez pewien okres w ogóle jej nie zwoływał. Ten rodzaj rządzenia, zwanego przezeń „dyplomacją bezpośrednią”, okazywał się jednak nadzwyczaj skuteczny, także wobec władz uczelni oraz w stosunkach z resortem i władzami partyjnymi. Wydział krzepł kadrowo, jego prestiż na uczelni i poza nią coraz wyraźniej się ugruntowywał. Rządy Klafkowskiego sprzyjały konsolidacji w trudnych latach indoktrynacji. Stanowiło to paradoksalnie w dużej mierze zasługę Alfonsa Klafkowskiego, na którego coraz rzadziej spoglądano jako na niebezpiecznego watażkę o niepohamowanych ambicjach własnych, a coraz częściej postrzegać go zaczęto jako człowieka Uniwersytetu. Tę opinię potwier-

dził Alfons Klafkowski jako rektor w latach 1956–1962. Pragnę o tym krótko opowiedzieć w niniejszym tekście.

Alfons Klafkowski obejmował urząd rektora jako elekt, wybrany przez Senat akademicki w wolnych wyborach. Przystępował do jego pełnienia w czasie, który – jak wiemy – przyniósł wielkie przeobrażenia w życiu kraju i budził jeszcze większe oczekiwania. Polska „wiosna w październiku”, oznaczająca odwrót od stalinowskich metod rządzenia krajem i rozpoczynająca krótki okres jego demokratyzacji, stanowiła również w środowisku akademickim ważną cezurę. Znowelizowana ustawa o szkołach wyższych z września 1956 r. podkreślała samorządność uczelni, nakładając na organy szkół odpowiedzialność za los nauki i za przyszłość studiującej młodzieży. Przed nowym rektorem stawały trudne wyzwania, związane zarówno z doniosłością zapoczątkowywanego trendu odnowy, jak i z jego niedoskonałością. Uniwersytet wyszedł z epoki stalinizmu poważnie okaleczony. Wielu wybitnych profesorów przebywało na przymusowej emeryturze, struktury uczelni były nadwężone wskutek likwidacji wielu dyscyplin naukowych i zamknięcia licznych kierunków studiów; kilkuletnia indoktrynacja popsuła klimat w katedrach i na ławach studenckich. Od osobowości nowego rektora, od jego naukowego i moralnego autorytetu, od jego organizatorskiego talentu, operatywności, odwagi i zręczności, a przede wszystkim od jego osobistego zaangażowania w służbę uczelni miała w dużej mierze zależeć przyszłość Uniwersytetu.

Alfons Klafkowski urodził się 2 sierpnia 1912 r. w Poznaniu. Jego ojciec Jan zarabiał jako murarz, matka Władysława, z domu Szczechowiak, zajmowała się wychowywaniem trzynaściorga dzieci. Klafkowski był absolwentem ekskluzywnego Gimnazjum im. Karola Marcinkowskiego, potem Wydziału Prawno-Ekonomicznego Uniwersytetu Poznańskiego, na którym studiował w latach 1931–1936. Debiutował zawodowo w roli dziennikarza w redakcji proendecckiego „Dziennika Poznańskiego”, redagowanego przez Józefa Ciniewicza, a jednocześnie pisał doktorat na temat *Systemu sankcji według art. 16 Paktu Ligi Narodów w wojnie włosko-abisyńskiej w latach 1936–1938* w Katedrze Prawa Międzynarodowego Publicznego u Bohdana Winiarskiego. Wybuch wojny zniszczył materiały zebrane do dysertacji i przerwał plany naukowe, ale na krótko. Klafkowski zapisał piękną kartę w czasie okupacji: był członkiem Armii Krajowej, uczestniczył w powstaniu warszawskim, należał do Sekcji Zachodniej Departamentu Informacji i Propagandy Delegatury Rządu Polskiego w Londynie. Po powrocie do Poznania w roku 1945 wyróżniał się w pracach nad usuwaniem gruzów i odbudową zniszczonego Uniwersytetu. Jeszcze w czasie wojny powstała w Warszawie praca pt. *Okupacja niemiecka w Polsce w świetle prawa narodów*, przygotowana we współpracy z Julianem Makowskim. Praca, która przyniosła autorowi stopień naukowy doktora nauk prawnych, została

wydrukowana w Wydawnictwie Instytutu Zachodniego i spotkała się z żywym i życzliwym przyjęciem krytyki. Rok później opublikował A. Klafkowski drugą monografię – *Podstawy prawne granicy Odra-Nysa na tle umów: jałtańskich i poczdamskiej*. Wkrótce ukazał się szereg drobniejszych rozpraw i studiów, które zwróciły uwagę opinii naukowej na młodego badacza, który podejmował problemy poznawczo ważne i użyteczne społecznie, a przy tym mocno deficytowe. W roku 1947 przedłożył autor pracę habilitacyjną na temat: *Stosunek prawa międzynarodowego do prawa wewnętrznego. Hipoteza prymatu prawa międzynarodowego*. I tu zaczęły się kłopoty. Rada Wydziału Prawa UP wyznaczyła recenzentów w osobach profesorów Antoniego Peretiatkowicza, Bohdana Winiarskiego, Leona Babińskiego i Czesława Znamierowskiego. Winiarski oznajmił, że nie uzyskał zgody Trybunału Haskiego na pisanie recenzji. Znamierowski odmówił wystąpienia w charakterze recenzenta. Powołany w jego miejsce Marian Zimmermann napisał recenzję negatywną, podobnie jak Peretiatkowicz, który m.in. zarzucił autorowi, że w swej pracy nie uwzględnił literatury radzieckiej, w szczególności zlekceważył prace Andreja Wyszyńskiego. Przewód został zamknięty, a habilitant upokorzony.

Niepowodzenie, którego sprawców młody badacz nigdy nie skreślił ze swojej „czarnej listy”, nie przerwało wszakże pomyślnego rozwoju jego kariery. Kiedy w 1953 r. Alfons Klafkowski podsumował swe dociekania książką *Sprawa traktatu pokojowego z Niemcami*, cieszył się już sławą wytrawnego – jednego z najlepszych w Polsce – znawcy spraw niemieckich. W 1950 r. został prodziekanem Wydziału i zastępcą profesora, a w rok później – w związku z ponownym wyborem Bohdana Winiarskiego na sędziego Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze – objął Katedrę Prawa Międzynarodowego Publicznego. W latach 1952–1955 był już dziekanem, dając się poznać jako energiczny i zadziorny, ambitny i niepokorny władarz ważnego Wydziału. Kiedy w 1955 r. otrzymał powołanie na stanowisko profesora nadzwyczajnego, dysponował wszystkimi atutami, by ubiegać się o fotel rektora.

Dnia 11 października 1956 r. Senat wybrał go na rektora na trzyletnią kadencję. Wybór okazał się ważnym wydarzeniem w życiu zarówno samego elekta, jak i całego Uniwersytetu.

Wybrany na rektora przez przytłaczającą większość członków Senatu – jego konkurenci, także prawnicy: Zdzisław Kaczmarczyk i Michał Szczaniecki, otrzymali po jednym zaledwie głosie – Alfons Klafkowski przystąpił do pełnienia urzędu z głęboką świadomością odpowiedzialności za los uczelni i z równie mocnym przeświadczeniem, że wyzwaniom trudnego czasu potrafi sprostać. Poświęcił Uniwersytetowi cały swój czas i talent, identyfikował się z nim; był zdania, że jego dobro stanowi wartość nadrzędną, głęboko przy tym przekonany, że o tym, co służy pomyślności uczelni, wie najlepiej on sam i tylko on. Stąd

jasno i w mocnych słowach lubił określać metody i strategiczne cele swej działalności; nazywał ją – jak już wspomniałem na wstępie – „dyplomacją bezpośrednią”, strategią pozbawioną podwójnego dna, wolną od umizgów i krętowni. Był władczy, ale i rozważny; instynkt polityka podpowiadał mu, gdzie tkwią granice ryzyka w grze, którą prowadził. W wielu kwestiach miał zresztą rację; w końcu nie mógł nie zdawać sobie sprawy również z tego, że udana kadencja na stanowisku rektora może stać się trampoliną dla trwałego sukcesu w późniejszej karierze zawodowej i naukowej.

Wykorzystując zatem klimat „październikowej wiosny” 1956 r. i czując za plecami poparcie uniwersyteckiego elektoratu, Alfons Klafkowski rozwinął nader dynamiczną aktywność na rzecz umocnienia rangi Uniwersytetu w środowisku. Pomagała mu znowelizowana Ustawa o szkołach wyższych i zawarte w niej zasady autonomii i samorządności uczelni. Konsekwentnie głosił, że Uniwersytet im. Adama Mickiewicza stanowi niekwestionowane centrum naukowe i kulturalne miasta i regionu. Toczył też zażarte i często skuteczne batalie w obronie Uniwersytetu z ministerstwem i władzami miasta, w których stawką były etaty, finanse, inwestycje. Wszystko to na progu rozpoczynającej się kadencji znajdowało się w opłakanym stanie. Równie dotkliwy był odziedziczony po czasach stalinowskiej indoktrynacji i ubezwłasnowolnienia kryzys moralny. Mając tego świadomość, Alfons Klafkowski podjął ostrą walkę z tymi, o których sądził, że stają mu na drodze w „odgruzowaniu” – jak mawiał – prestiżu Uniwersytetu. Wdał się w długi spór z władzami o wejście profesorów Uniwersytetu do Komitetu Nagród m. Poznania, żądał jawności procedur przyznawania tych nagród. Zdecydowanie, choć bezskutecznie, protestował przeciwko administracyjnej decyzji władz Poznania skrócenia roku akademickiego w związku z koniecznością oddania domów akademickich na potrzeby Międzynarodowych Targów Poznańskich. Był przeciwny przeniesieniu renomowanych Targów Książki do stolicy. Kiedy na pierwszej fali październikowej odnowy zaczęto rozważać sprawę ograniczenia w Poznaniu pomieszczeń zajmowanych przez władze partyjne, Alfons Klafkowski zgłosił chęć przejęcia gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR na potrzeby uczelni. Podobnie proponował zajęcie kolegium jezuickiego przy pl. Kolegiackim.

Ze szczególną konsekwencją zwracał się rektor przeciwko rzeczywistym i domniemanym przeciwnikom, podważającym hegemonię Uniwersytetu. Uznając za „rewir łowiecki” Uniwersytetu cały północno-zachodni obszar Polski, zwalczał kolejne propozycje powołania do życia Uniwersytetu w Szczecinie. Spierał się z rektorem Akademii Medycznej, Antonim Horstem, i dziekanem Zdzisławem Stolzmannem o zasady podziału kwot z Fundacji Forda, których Uniwersytet był depozytariuszem. Bronił się przed udostępnianiem auli i sal wykładowych instytucjom i organizacjom „z zewnątrz”, jedyny wyjątek czyniąc

dla Filharmonii Poznańskiej. Protestował przeciwko odwlekaniu przez resort decyzji reaktywowania zasłużonego kwartalnika „Ruch Prawniczy i Ekonomiczny”; domagał się, by szpalty zeszytów naukowych UAM udostępniano wyłącznie etatowym pracownikom uczelni. Popadł w konflikt z rektorem Wyższej Szkoły Ekonomicznej, Józefem Górskim, ponieważ ten sprzeciwiał się przywróceniu działalności Sekcji Ekonomicznej na Wydziale Prawa. Krytykował „kibiców” pracujących na drugich etatach poza macierzystą uczelnią. Nazwał „sobiepanami” grupę profesorów Wydziału Filozoficzno-Historycznego – m.in. Kazimierza Tymienieckiego, Józefa Kostrzewskiego i Zdzisława Kępińskiego – za to tylko, że wchodząc w skład komitetu przygotowującego Millenium państwa polskiego, „zataili”, iż ponad wszystko są profesorami Uniwersytetu. Podobny gniew rektora wywołał afisz, na którym prof. Zygmunt Szweykowski figurował jako kierownik tzw. Uniwersytetu Powszechnego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, nie zaś jako profesor UAM. Niechęć cechowała stosunek rektora do Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, które chlubiło się swą niezależnością; członków jego kierownictwa nazywał „maklerami naukowymi”. Od Instytutu Zachodniego domagał się, by na nowo zdefiniował swe drzewo genealogiczne, uznając, że jest „wytworem Uniwersytetu”. Za ciało obce na mapie naukowej kraju uważał Polską Akademię Nauk; przez sześć lat demonstrował wobec niej jawną wrogość: była dlań synonimem naukowego pasożytnictwa, forum uprawiania działań pozornych, podmiotem destrukcji.

„Negatywne” działania, w których płynął pod prąd nie tylko opinii społeczności uniwersyteckiej, ale i polityki władz, przeplatał Alfons Klafkowski z ostentacyjnym popieraniem tej polityki. Włączał Uniwersytet do aktywnego udziału w kultywowanych przez władze państwa inicjatywach: dbał o uczestnictwo w obchodach oficjalnych rocznic, takich np. jak piętnastolecie PRL, dwudziestolecie PPR, zachęcał do udziału w pochodach pierwszomajowych; próbował upowszechniać kult Mickiewicza – patrona Uniwersytetu i wskrzesić tradycję Wszechnicy Piastowskiej. Uznanie *communis opinio doctorum* wzbudziła podjęta z jego inicjatywy przez Senat uchwała o włączeniu dziejów Tajnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich do dziedzictwa Uniwersytetu Poznańskiego.

Traktując znowelizowaną Ustawę o szkołach wyższych z 10 września 1956 r. jako punkt wyjścia do „decentralizacji w myśleniu o Uniwersytecie” i zarazem jako impuls dla rozwijania jego samorządności, która daje szansę wyprowadzenia go ze stanu „ubezwłasnowolnienia”, Alfons Klafkowski przystąpił z właściwą sobie energią do porządkowania spraw w samej uczelni. Wymagały tego zresztą okoliczności: Uniwersytet stawał w obliczu nowych zadań, rozrastał się, wzrastała liczba studentów, powstawały nowe kierunki studiów, rozwijały się studia zaoczne, uruchomione zostały punkty konsultacyjne Uniwersytetu w licznych miastach regionu, pojawiała się pilna potrzeba rewizji wielu dotych-

czasowych struktur. Wierzone, że nauka będzie „rozkwitać w wolności dyskusji i krytyki”. Rektor witał więc z radością powracających z banicji profesorów i przygotowywał dla nich należne im miejsca pracy. Stopniowo udało się powołać niektóre kierunki, które poprzednio – w pierwszych latach pięćdziesiątych – zamknięto. I tak wróciła na Uniwersytet Katedra Socjologii. Przywrócono filologię klasyczną, etnografię, filologię romańską, Polityczno-Prawnych jako zaczątek przyszłej katedry oraz uruchomiono wreszcie Sekcję Ekonomiczną. Rektor był tych zmian inicjatorem i wykonawcą, przy czym za podstawę jego działań służył siedmioletni – pierwszy w historii uczelni – plan rozwoju Uniwersytetu na lata 1956–1965, powstały w dużej mierze dzięki jego wysiłkowi. Plan umożliwił m.in. restrukturyzację Archiwum Uniwersyteckiego, które w 1957 r. otrzymało status samodzielnej placówki naukowo-badawczej w randze Zakładu. Wiele czasu pochłaniały rektorowi sprawy Biblioteki Głównej, która – jak się wyrażał Kłafkowski – była prawdziwym „kotłowskiem spraw personalnych”. Jeszcze więcej energii wkładał on w przywrócenie Uniwersytetowi stanowiącej jego własność, a zabranej mu w 1951 r. drukarni. „Uniwersytet nie może rozwijać się naukowo – mówił w przemówieniu inauguracyjnym w 1957 r. – bez możliwości druku. Nie można mówić o normalnym rozwoju naszego Uniwersytetu, a jednocześnie podawać w wątpliwość potrzebę zwrotu tej drukarni”. Demagogiczny argument władz, że to sami pracownicy drukarni nie chcą powrócić do uczelni, nazywał „argumentem dla kmiotków”. Ostatecznie drukarnia stała się integralną częścią Uniwersytetu w czasie drugiej kadencji rektorskiej Alfonsa Kłafkowskiego.

Połowicznym natomiast sukcesem zakończyły się zamiary rektora usprawnienia pracy Senatu i poddania go własnej kontroli i przez to zniesienia rodzaju dwuwładzy. Sprawa była trudna, bo choć Senat był wciąż jeszcze nieliczny, to przecież składał się z wybitnych uczonych, którzy mając mandat swoich wydziałów, śmiało przeciwstawiali rektorowi swoje racje i nie pozwalali prowadzić się na „krótkiej smyczy”. Spektakularnym tego przykładem była porażka rektora w głosowaniu nad własnym wnioskiem o to, by prodiakani nie mogli zastępować dziekanów na posiedzeniach Senatu. Inna sprawa, że w wielu podstawowych kwestiach Senat zgodnie i godnie z rektorem współpracował, a polemiki Kłafkowskiego z Mikołajem Rudnickim, Wiktorem Steffenem, Alfredem Ohanowiczem czy Romanem Pollakiem, często ostre, a nawet zjadliwe, były twórcze, stały na wysokim poziomie i były – co najważniejsze – nacechowane dążeniem do najlepszych dla uczelni rozwiązań. Trwałą zdobyczą pozostały przyjęcie pożytecznych zasad usprawniających procedowanie tego organu oraz wprowadzenie drogi służbowej między strukturami Uniwersytetu. Rygorystyczne przestrzeganie tej ostatniej było dla rektora formalnym potwierdzeniem jego zwierzchniej władzy w uczelni.

Alfons Kłafkowski chlubił się potencjałem ludzkim, jaki zgromadzono w Uniwersytecie. Chętnie powtarzał, że Uniwersytet tyle jest wart, ile znaczą jego pracownicy. Był też zwolennikiem – jak podkreślał – „śmiałej polityki kadrowej”. Polegała ona przede wszystkim na ściąganiu uczonych na wakujące i nowo tworzone stanowiska, a także na utrudnianiu odpływu profesorów na inne uczelnie. Poszukiwaczy dodatkowych źródeł dochodów poza macierzystą szkołą nazywał dezterami. Od pracowników żądał nie tylko respektowania zasad pragmatyki służbowej, ale i manifestowania swych więzi z Uniwersyte-tem; profesorowie, którzy w jego przeświadczeniu sprzeniewierzyli się tej za-sadzie, nie mogli liczyć na jego pobłażanie. Przekonał się o tym m.in. wspo-mniany profesor prawa Józef Górski, który za rektoratu Kłafkowskiego na próżno czekał na Katedrę Prawa Cywilnego. Wielki niepokój rektora wywoły-wał fakt odchodzenia z Uniwersytetu docentów-chemików z powodu braku pełnego obciążenia dydaktycznego. Krytykował też historyków prawa, szcze-gólnie pełniącego urząd dziekana Józefa Matuszewskiego, za przedkładanie współpracy z historykami nad współdziałanie z własnym Wydziałem.

„Śmiała polityka kadrowa” miała za punkt wyjścia uznanie pracy na rzecz Uniwersytetu za podstawowy obowiązek pracowniczy. Kłafkowski nazywał to pracą „na dwie zmiany”; podkreślał, że „etat to nie tylko pobory”; uważał, że wszelkie „narzekanie na brak sposobności do czynu jest sposobem ukrywania własnej niemocy”. W przemówieniu inauguracyjnym, otwierającym rok akade-micki 1957/58, stwierdzał: „Każdy kto na naszym Uniwersytecie wybiera drogę do wyróżnienia inną niż poprzez pracę, będzie piętnowany jako przemytnik”. Nie krył, że rzetelnego wykonywania obowiązku pracy oczekuje także od pra-cowników partyjnych. Na posiedzeniach Senatu ostro zwracał się przeciwko „wszelkim reliktom średniowiecza uniwersyteckiego” i zwalczał próby star-szych profesorów „zakładania gniazd rodzinnych w katedrach i zakładach”. W czasie burzliwego, trwającego 11 godzin posiedzenia Senatu w dniu 13 września 1959 r., poświęconego sprawie dalszego zatrudnienia na Uniwer-sytecie profesorów, którzy ukończyli siedemdziesiąty rok życia, nie zgodził się na przedłużenie stosunku służbowego profesorom Czesławowi Znamierow-skemu i Stefanowi Rosińskiemu z własnego Wydziału. Miał swoiste poczucie hierarchii akademickiej. Szacunek dla nestorów sąsiadował u niego z niechęcią, mającą swe źródło – być może – w przegranym niegdyś przed własną Radą Wydziału przewodzie habilitacyjnym, w czasie którego o wyniku głosowania przesądziła postawa seniorów. Stawiał więc na młodych; organizował spotka-nia z nimi i cieszył się ich sympatią, choć także od nich żądał ciągłego potwier-dzania swej przydatności przez sukcesy w badaniu i zdyscyplinowanej pracy organizacyjnej w strukturach uczelni. I tak sprzeciwiał się propozycjom prze-dłużenia aspirantury, gdyż był zdania, że doktoranci i tak mają lepsze warunki

pracy i mogą szybciej tworzyć. Studentów nie rozpieszczał. Kiedy w 1957 r. przez Polskę przeszła fala niepokojów w środowiskach akademickich, Klafkowski otwarcie zapowiedział, że u siebie strajków nie poprze. Studenci mają studiować, a nie politykować – mawiał; nawet na utworzenie „Zrzeszenia Chrześcijańskiej Młodzieży Akademickiej” nie wyraził zgody. W dyskusji nad projektem Ustawy o szkolnictwie wyższym z 1958 r. stał na stanowisku, że „udział studentów we władzach jest ordynarną demagogią”. Cytował nawet Władysława Gomułkę, podkreślając, że „roczny wydatek społeczny na jednego studenta jest w Polsce wyższy od przeciętnej płacy wykwalifikowanego robotnika w przemyśle”.

Mimo szeregu kontrowersyjnych i mało popularnych posunięć Alfons Klafkowski cieszył się jako rektor bezspornym autorytetem; zaskarbił go sobie swą aktywnością i bezkompromisowością w działaniu. Był rektor Tajnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich Roman Pollak, delegat Wydziału Filologicznego w Senacie i bynajmniej nie admirał urzędującego rektora, przyznał otwarcie: po latach bezwolnych, wypełnionych wegetacją, wreszcie *habemus papam*. Dnia 4 maja 1959 r. Senat bez głosu sprzeciwu wybrał Alfonsa Klafkowskiego na rektora na drugą kadencję. Po jej zakończeniu w 1962 r. w imieniu Senatu dziękował mu za sześć lat służby Uniwersytetowi jego najczęstszy i najbardziej zaciekle adwersarz, prof. Wiktor Steffen.

Po udanych kadencjach na urządzie rektorskim nic już nie mogło zakłócić szybkiego kontynuowania kariery naukowej i państwowej przez Alfonsa Klafkowskiego. Był jeszcze młody, miał dopiero 50 lat; rzucił się więc w wir pracy z całą właściwą sobie energią i wytrwałością. Przede wszystkim zabrał się do odrabiania zaległości w pracy naukowej. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych powstały te teksty, które miały mu przynieść rozgłos i sławę. Opublikował wtedy swe najważniejsze monografie: *Granica polsko-niemiecka a konkordaty z lat 1929 i 1933* (1958); *Umowa poczdamska z dnia 2 VIII 1945 r. Podstawy prawne likwidacji skutków wojny polsko-niemieckiej z lat 1939–1945* (1960); *Podstawowe problemy prawne likwidacji skutków wojny 1939–1945 a dwa państwa niemieckie* (1966); *Zasady norymberskie w rozwój prawa międzynarodowego* (1966); *Likwidacja państwa pruskiego. Ustawa nr 46 Sojuszniczej Rady Kontroli nad Niemcami* (1967); *Obozy koncentracyjne hitlerowskie jako zagadnienie prawa międzynarodowego* (1968); *Ściganie zbrodniarzy wojennych w Niemieckiej Republice Federalnej w świetle prawa międzynarodowego* (1968); *Prawo międzynarodowe publiczne* (1971); *Układ Polska – RFN z 7 grudnia 1970 r. Podstawy interpretacji w świetle prawa międzynarodowego* (1973). Szereg tych monografii ukazał się w tłumaczeniu na języki zachodnie, umacniając rangę autora jako czołowego badacza prawa międzynarodowego. Teksty Alfonsa Klafkowskiego nie były wolne od pewnych niestaranności; bywało, że

zawierały powtórzenia, wynikające z pośpiechu, w jakim powstawały. Wychodziły z reguły naprzeciw zamówieniom publicznym pod względem tematów, jakie podejmowały, były mało odporne na bieżące trendy polityki. Wszystkie otwierały więc drogi do zaszczytów i godności.

Publikacje zyskały ukoronowanie w wysokich godnościach i wyróżnieniach za działalność twórczą. Alfons Klafkowski wszedł do komitetów redakcyjnych renomowanych czasopism w kraju i za granicą, został członkiem ważnych towarzystw i organizacji naukowych. Uzyskał doktoraty *honoris causa* na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz na Uniwersytecie Wrocławskim. Został laureatem Nagrody Naukowej m. Poznania, a w 1976 r. otrzymał Nagrodę Państwową I stopnia za „wkład w teorię prawa międzynarodowego, a w szczególności za prace o podstawach prawnych granicy polskiej nad Odrą i Nysą Łużycką”. Liczne uniwersytety zagraniczne zapraszały go na wykłady. Wykładał m.in. w Brukseli, Liège, Gandawie, Moskwie, Kopenhadze, Montrealu, Ottawie, Quebecu, Rzymie, Florencji, Mediolanie, Helsinkach, Tampere i w Hadze. W parze z aktywnością badawczą szedł udział w działalności państwowej. Alfons Klafkowski w latach 1972–1976 był posłem na Sejm, zaś w 1978 r. został pierwszym prezesem nowo powołanego do życia Trybunału Konstytucyjnego. Przez wiele lat był członkiem delegacji polskiej na doroczne Zgromadzenia Ogólne Organizacji Narodów Zjednoczonych, uczestniczył w Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie w Helsinkach w 1975 r., brał udział w konferencjach „Okrągłego Stołu” w Londynie, Paryżu, Bostonie i Toronto. W 1978 r. uroczystie obchodzono na Wydziale Prawa i Administracji jego jubileusz 65-lecia urodzin i czterdziestolecie pracy naukowej.

Po osiągnięciu wieku emerytalnego Alfons Klafkowski wycofał się z czynnego życia publicznego i zwolnił tętno pracy naukowej. Po krótkiej chorobie zmarł w Poznaniu w 1992 r.

Leon Koczy



Leon Koczy był wybitnym uczonym i wspaniałą osobowością. Był zarazem postacią tragiczną, ukształtowaną przez okrutne wydarzenia ubiegłego stulecia. Wojna przerwała jego naukową drogę; skazała go na los emigranta, z którego wyrwała go dopiero śmierć. Odcięty od warsztatu, skazany na życie uchodźcy, robił, co mógł, a nawet więcej, by utrzymać się na powierzchni życia naukowego, organizować środowisko na obczyźnie i tworzyć. Zaliczam go do panteonu największych Polaków, jakich znałem. Wspominam go także dlatego, że poznałem go w szczególnych okolicznościach; imponował postawą, dokonaniami, autorytetem, jakim cieszył się wśród Polonii.

Zacznę krótko od biografii Leona Koczego, którą przedstawili zresztą wy-czerpująco moi znakomici poprzednicy: Andrzej Brożek, Zbigniew Wielgosz, Rafał Stobiecki i Gerard Labuda¹. Leon Koczy był Ślązakiem, urodzonym w roku 1900 w Strumieniu, na prusko-austriackim pograniczu, w rodzinie o silnym kulcie polskości. Na Śląsku też zdobył wykształcenie średnie. Po krótkim epizodzie nauczycielskim zapisał się na studia historyczne na Uniwersytecie Poznańskim. Jeszcze w czasie studiów związał się naukowo z Kazimierzem Tymienieckim. Na seminarium tego znakomitego mediewisty powstała jego praca doktorska: *Handel Poznania do połowy XVI wieku*, opublikowana w 1930 r. Praca była oparta na szerokiej kwerendzie źródłowej i – jak stwierdza Gerard Labuda – na długie lata wytyczyła kierunek zainteresowań autora w dziedzinie historii gospodarczej. Po doktoracie wyjechał Koczy jako stypendysta Funduszu Kultury Narodowej na studia do Berlina, Paryża i Kopenhagi. Przywiózł prace,

¹ A. Brożek, *W pierwszą rocznicę śmierci Leona Koczego (25 III 1900 – 1 IX 1981)*, „Poglądy” 1982, nr 17; Z. Wielgosz, *Leon Koczy* [w:] *Wielkopolski słownik biograficzny*, Poznań 1981; R. Stobiecki, *Leon Koczy. Szkic do portretu*, „Teki Historyczne” 2004, t. 23, s. 264 i n.; G. Labuda, *Leon Koczy 1900–1981*, [w:] *Wybitni historycy wielkopolscy*, pod red. J. Strzelczyka, wyd. 2, Poznań 2010, s. 429 i n.

które zapewniły mu trwałe miejsce w dziejach polskiej skandynawistyki i slawistyki. W latach trzydziestych zaczął zwracać baczną uwagę na dzieje Pomorza oraz zakonu krzyżackiego. Wybuch wojny przerwał jednak jego działalność twórczą, częściowo bezpowrotnie zniszczył przygotowane do druku i zdeponowane w Instytucie Bałtyckim materiały. Leon Koczy w mundurze podporucznika przedostał się do Rumunii, potem do Kairu i Palestyny, gdzie wstąpił do formujących się tam Polskich Sił Zbrojnych. W 1943 r. został powołany na kierownika Archiwum Wojsk Polskich na Bliskim Wschodzie. Zadaniem placówki było gromadzenie i opracowywanie dokumentów związanych z działalnością Polskich Sił Zbrojnych, najpierw w Palestynie, potem w Kairze. Okres ten wykorzystał badacz dla podjęcia rozległych kwerend do monografii wypraw krzyżowych. Miało to być *opus magnum* historyka; rękopis zaginął jednak w katastrofie morskiej w drodze do Anglii i autor nigdy już nie zdołał odtworzyć całości tekstu. Po wojnie Leon Koczy znalazł się w Szkocji w Banknock House, gdzie zdeponowano archiwum bliskowschodnie. Po jego rozdzieleniu i przeniesieniu części zbiorów do Londynu Koczy osiadł w Glasgow jako kierownik Biblioteki Oddziału Instytutu gen. Władysława Sikorskiego w Londynie. Spędził tam ostatnie dwie dekady swojego życia, rozwijając niezwykle wszechstronną aktywność publiczną i naukową, o tyle łatwiejszą, że w 1958 r. do Szkocji mogła przyjechać poślubiona *per procuram* żona, która jako wieloletni kustosz dyplomowany w Bibliotece Kórnickiej odegrała poważną rolę w porządkowaniu zbiorów i odciążała Profesora w obowiązkach natury organizacyjnej. Przyjazd p. Marii Kolabińskiej, narzeczonej Profesora jeszcze sprzed wojny, był poprzedzony długimi starciami z władzami polskimi i trzymał w napięciu cały zespół pracowniczy biblioteki. Wysyłaliśmy mu książki, informowaliśmy o wydarzeniach w środowisku uniwersyteckim, słuchaliśmy jego wystąpień w radiu, Kazimierz Tymieniecki opowiadał w referacie dla członków Polskiego Towarzystwa Historycznego z wielkim szacunkiem o spotkaniu i rozmowach ze swoim uczniem, jakie odbył w trakcie Powszechnego Zjazdu Historyków w Rzymie.

O roli granej przez Leona Koczego w środowisku polskich emigrantów na Wyspach przekonałem się naocznie w czasie wizyty złożonej w domu w Glasgow przy ul. Cecil Street 42 w grudniu roku 1979. Gospodarz okazał się niezwykle serdecznym człowiekiem, który racjonalnie i realistycznie spoglądał na świat. Był ciekaw wiadomości z kraju. Interesowało go środowisko na macierzystym Wydziale Historycznym UP. Pytał o mistrzów, o publikacje, o atmosferę. Miał zresztą głęboką wiedzę o tym, co się w kraju dzieje, dysponował rozległą siecią kontaktów z historykami z kraju; każdy bowiem, kto zjawiał się na Wyspach, zawsze śpieszył do Glasgow, by z nim porozmawiać. Leon Koczy nie krył swoich narodowościowych i katolickich przekonań, ale nie zaciętrzewiał

się w dyskusji. Był otwarty. Dla debat toczonych wśród Polonii miał zrozumienie, ale i słowa krytyki; bolały go intrygi w środowisku emigracyjnym, jednostronny i tendencyjny stosunek do spraw krajowych. Polska – powtarzał – jest jedna i leży nad Wisłą, nie nad Tamizą. Odmówił powrotu do kraju, negatywnie odpowiadając na zaproszenie do objęcia Katedry na UP, bo bał się, że politycy obozów na uchodźstwie, a zwłaszcza ich radykalni liderzy, potraktują to jako zdradę stanu. Czuł się też kustoszem cennych zbiorów. Ale tęsknił, wyrzucając sobie, że nie dotrzymał wierności przysiędze doktorskiej. U wielu cieszył się autentycznym autorytetem. Był aktywnym członkiem instytucji naukowych na Wyspach: Instytutu Polskiego im. Władysława Sikorskiego w Londynie, współtwórcą i wiceprezesem emigracyjnego Polskiego Towarzystwa Historycznego, a także przez wiele lat profesorem na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie w Londynie. Uczestniczył w imprezach organizowanych przez Polaków w Szkocji, wygłaszał referaty, był postacią symbolizującą zwartość społeczeństwa.

Do wielkiej nauki już nie wrócił, bo wciąż pozostawał odcięty od źródeł, zajmowały mu też czas codzienne troski, często natury materialnej. Ale z okazji ważnych rocznic zabierał głos, i był to głos uważnie słuchany. W 1964 r. opublikował broszurę pt. *Uniwersytet Krakowski. Sześć wieków w służbie narodu i nauki*. W latach 1966–67 ogłosił – w wersji anglo- i francuskojęzycznej – zbiór dokumentów o dziejach Uniwersytetu krakowskiego w latach 1363–1440 (*University of Cracow. Documents Concerning its Origins*). Opublikował znaną książkę *Mikołaj Kopernik – samouk, geniusz, rewolucjonista* (1977). Pisał recenzje ważnych książek ukazujących się w Polsce. Był chyba jedynym historykiem na uchodźstwie, który utrzymywał do końca swoich dni stały dialog z nauką w kraju.

Śmierć Leona Koczego w 1981 r., dla wszystkich nagła i przedwczesna, była ciosem dla nauki polskiej i polskiej kultury. Jego pogrzeb stał się manifestacją patriotyczną, może jedną z ostatnich tak wielką.

Gerard Labuda



Proszę pozwolić mi zacząć od garści refleksji natury osobistej. Powód jest prosty: Profesor Gerard Labuda był obecny na mojej drodze uniwersyteckiej przez ponad pół wieku, zarówno wtedy kiedy ta droga była prosta, jak i w wtenczas, kiedy wydawała się stroma i wyboista. Każdy student, który przychodził na zajęcia do Collegium Philosophicum przy ul. Matejki 48, gdzie mieściły się katedry historyków prawa i gdzie gospodarzem był Wydział Filozoficzno-Historyczny Uniwersytetu Poznańskiego, musiał się ze sławnym już wówczas uczonym zetknąć i zapamiętać jego lekko pochyloną sylwetkę i zamysłone oblicze, jak z plikiem książek pod pachą, szybkim krokiem zmierzał do salki nr 226 na II piętrze, w której prowadził wykłady i seminaria. W miarę upływu czasu spotykałem go coraz częściej, był bowiem bardzo aktywny, przychodził na każde zebranie naukowe organizowane przez Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego i Komisję Historyczną Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Referował i dyskutował – uparcie, przyjaźnie i cierpliwie, szarmancko, ujmował ogromem wiedzy i wewnętrzną elegancją. Był kopalnią wiedzy; jego świat był światem nauki, do wszystkiego podchodził w naukowy sposób, takim był jako student, publikujący pierwsze książki i jako rektor Uniwersytetu, prezes PAU i PTPN, dyrektor Instytutu Zachodniego. Pomagał wszystkim, którzy doń o pomoc się zwracali. W czasie wielogodzinnych przejazdów na posiedzenia PAU opowiadał cudowne historie o swej kaszubskiej „małej ojczyźnie” i o dawnym Uniwersytecie, o życiu pod okupacją. Mam mu też wiele do zawdzięczenia: czytał mą książkę o sejmie w dobie oligarchii, wskazywał na puste pola badawcze, Był recenzentem mej pierwszej „niemieckiej” książki, prostując wiele nieścisłości i błędów, był niezwykle lojalnym szefem w Radzie Naukowej Biblioteki Kórnickiej i w Oddziale PAN w Poznaniu, współpracował z redakcją „Czasopisma Prawno-Historycznego”. Wręczał mi Medal

Oswalda Balzera, a potem – po wielu latach – w jednej z telefonicznych rozmów zaproponował mi, byśmy zwracali się do siebie po imieniu i do końca w każdej rozmowie tej formy rygorystycznie przestrzegał.

Gerard Labuda był człowiekiem Uniwersytetu. Uniwersytet to kustosz i krzewiciel wartości. Uniwersytetowi trzeba służyć w czasach dobrych i złych, na Uniwersytet nie wolno się obrażać. Służył mu też w wielu rolach. Uczestniczył we wszystkich ważnych uroczystościach. Jakież było nasze przerażenie, kiedy w czasie uroczystej inauguracji roku akademickiego 2010/11 przygotowane dla niego, jako byłego rektora, krzesło pozostało puste. Dopiero po uroczystości dowiedzieliśmy się, że Gerard Labuda odszedł. Zmarł 1 października 2010 r. w wieku 94 lat. Uroczystości pogrzebowe w wielkiej Auli Uniwersytetu były wielką manifestacją patriotyczną. Zwłoki Profesora spoczęły w kaszubskim Luzinie.

Po śmierci Zygmunta Wojciechowskiego w roku 1955 Gerard Labuda przejął niekwestionowane duchowe oraz organizacyjne przywództwo w poznańskim środowisku naukowym i pełnił je – z pasją i wielkim dla tego środowiska pożytkiem – nieprzerwanie przez ponad pół wieku. Należał do badaczy charyzmatycznych, burzył mity w nauce, dysponował rzadką intuicją badawczą i niezmierną skalą zainteresowań twórczych. Był badaczem o formacji pozytywistycznej; uświadamiał nam na każdym kroku, że jesteśmy odpowiedzialni za jakość prezentacji przeszłości. Był historykiem *tout court*, który uparcie zmierzał do prawdy o dziejach państwa, społeczeństwa, kultury, a jednocześnie śmiało i kompetentnie wkraczał na obszar dyscyplin pokrewnych, takich jak archeologia, antropologia kultury, historii sztuki, etnologia, socjologia, prawoznawstwo, psychologia, źródłoznawstwo oraz teoria i metodologia nauki. Z równym oddaniem uczestniczył w działalności publicznej; był wzorem organizatora życia naukowego i wcieleniem obywatelskich cnót. Jego wielostronne dokonania na licznych polach zostały wstępnie omówione w pracy zbiorowej pod redakcją Józefa Dobosza z okazji jubileuszu siedemdziesięciolecia pracy twórczej pt. *Naukowe dzieło Profesora Gerarda Labudy* (Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2006). Zamieszczona w zbiorze bibliografia prac Jubilata za lata 1935–2006 liczy 1875 pozycji. Ocenia się, że zaktualizowany wykaz opublikowanych prac obejmuje więcej niż 2000 tekstów.

Gerard Labuda urodził się w kaszubskiej wsi Nowa Huta koło Kartuz w roku 1916. Edukację w szkole podstawowej rozpoczął w Luzinie, potem uczęszczał do klasycznego gimnazjum w Wejherowie. Przynależność do społeczności Kaszubów pielęgnował przez całe życie; cieszył się też w ich środowisku wielkim autorytetem. Studia historyczne zaczął na Uniwersytecie Poznańskim pod okiem Kazimierza Tymienieckiego, Józefa Widajewicza i Leona Koczego. Czas okupacji niemieckiej spędził w należącym do Ordynacji Wielopolskich Chrob-

rzu w Kieleckiem, w pierw jako archiwista, z czasem jako księgowy w jej niemieckim zarządzie. Doktoryzował się w 1943 r. na Tajnym Uniwersytecie Ziem Zachodnich i uczestniczył w tajnym nauczaniu. W 1946 r. habilitował się na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Poznańskiego i objął Katedrę Historii Słowiańszczyzny. W roku 1950 uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego, w 1956 r. – profesora zwyczajnego. Na Uniwersytecie Poznańskim był prodziekanem Wydziału Humanistycznego (1950/51), a w latach 1962–1965 rektorem. Należał do członków założycieli Instytutu Zachodniego, przez trzy lata (1955–1958) pełnił funkcję zastępcy dyrektora i przez następne trzy (1958–1961) dyrektora. W 1948 r. został członkiem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w latach 1961–1972 był jego sekretarzem generalnym, a od 1972 do 1975 r. jego prezesem. Od roku 1951 członek Polskiej Akademii Umiejętności, po wznowieniu jej działalności w roku 1989 został jej prezesem, w 1994 – prezesem honorowym. Bardzo wcześnie Polska Akademia Nauk przyjęła go do swojego grona: w roku 1964 został członkiem korespondentem, w dwa lata później – członkiem rzeczywistym PAN; w latach 1972–1980 pełnił funkcję prezesa jej Oddziału w Poznaniu, zaś w latach 1984–1989 wiceprezesa PAN. Największe uniwersytety polskie – Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Uniwersytet Gdański, Uniwersytet Wrocławski i Uniwersytet Szczeciński – nadały mu godność doktora *honoris causa*. W 1996 r. Uniwersytet im. Adama Mickiewicza uroczyście odnowił mu doktorat. Otrzymał też prestiżowe nagrody naukowe, m.in. Nagrodę im. Jurzykowskiego (Nowy Jork 1983) i Nagrodę im. Herdera (Wiedeń 1991).

Z imponującego dorobku naukowego Gerarda Labudy trzeba wymienić przede wszystkim jego książki, których napisał kilkadziesiąt. Najważniejsze z nich to: *Studia nad początkami państwa polskiego* (1946, jako t. I: 1987), *Pierwsze państwo słowiańskie: państwo Samona* (1948); *Fragmenty dziejów Słowiańszczyzny zachodniej* (t. I–III, 1960–1974); *Źródła, sagi i legendy do najdawniejszych dziejów Polski* (1960); *Źródła skandynawskie i anglosaskie do dziejów Słowiańszczyzny* (1961); *Polska granica zachodnia* (I wyd. 1971); *Zaginiona kronika z pierwszej połowy XIII wieku w Rocznikach Królestwa Polskiego Jana Długosza. Próba rekonstrukcji* (1983); *Dzieje Zakonu Krzyżackiego w Prusach* (współ z Marianem Biskupem, I wyd. 1986); *Studia nad początkami państwa polskiego* (t. II, 1988); *Pierwsze państwo polskie* (1989); *Mieszko II król Polski (1025–1034). Czasy przełomu w dziejach państwa polskiego* (1992); *Korona i infuła. Od monarchii do poliarchii* (1996); *Słowiańszczyzna starożytna i wczesnośredniowieczna. Antologia tekstów źródłowych* (1999); *Kaszubi i ich dzieje* (2000); *Zapiski kaszubskie, pomorskie i morskie. Wybór pism* (2000); *Święty Wojciech. Biskup – męczennik, patron Polski, Czech i Węgier* (2000–2004); *Święty Stanisław biskup krakowski, patron Polski. Śladami zabójstwa – męczeństwa –*

kanonizacji (2000); *Mieszko I* (2002); *Rzecz o metodach dziejopisarstwa od starożytności do współczesności* (cz. I, 2003); *Historia Kaszubów w dziejach Pomorza* (t. I: *Czasy średniowieczne*, 2006); *Rozważania nad teorią i historią kultury i cywilizacji. Wybór studiów i rozpraw* (2008); *Próba nowej systematyki i nowej interpretacji źródeł historycznych. Z posłowiem* (2010); *O historykach. Kto jest kim w dziejopisarstwie polskim* (2010). Ukazały się trzy antologie prac Gerarda Labudy: *Polsko-niemieckie rozmowy o przeszłości* (1996); *Szkice historyczne X i XI wieku* (2004); *Studia krytyczne o początkach Zakonu Krzyżackiego w Prusach* (2006). Z rozległej działalności redakcyjnej na uwagę zasługują wielotomowa *Historia Pomorza* (od 1969); *Szkice z dziejów Pomorza* (1958–1961); *Dzieje Szczecina* (1962–1998); *Historia dyplomacji polskiej* (1982–2006). Gerard Labuda współredagował „Słownik Starożytności Słowiańskich” oraz periodyki: „Studia Źródłoznawcze” i „Roczniki Historyczne”.

Szczegółowe omówienie twórczości Gerarda Labudy i ocena jego wkładu do nauki historii i całej humanistyki przerastają możliwości jednego badacza. To zadanie dla przyszłych generacji historyków, szczególnie uczniów Profesora. W tym miejscu można co najwyżej podjąć próbę ustalenia zasadniczych cech jego pisarstwa. Wybitny uczony, humanista Henryk Samsonowicz wymienił trzy rysy znamionujące twórczość G. Labudy. Pierwszy stanowi jej niezwykła szerokość horyzontów czasowych i przestrzennych. Drugi to różnorodność typów pisarstwa uprawianego przez Profesora. Trzeci polega na ścisłym i precyzyjnym definiowaniu przedmiotu badania. Wyliczenie to nie wyczerpuje wielowątkowego zagadnienia, ale zasługuje na baczną uwagę jako punkt wyjścia charakterystyki.

Ulubionym polem dociekań Gerarda Labudy było średniowiecze; od niego zaczynał swą przygodę z nauką, do niego ciągle wracał. W studiowaniu wieków średnich uczył się formułować badawcze pytania, doskonalił warsztat i rozwijał badawczą wyobraźnię, ale od mediewistyki jakże łatwo przechodził do studiów nad innymi epokami. Z równą kompetencją wypowiadał się zarówno na temat starożytności, jak i problemów historii współczesnej; ze swobodą przechodził od jednego do drugiej, bo u punktu wyjścia jego badania tkwiło głębokie przeświadczenie o tym, że historia to droga do współczesności, a także świadomość, że praca historyka to wielka odpowiedzialność. Naturalną konsekwencją tego założenia był imperatyw, by pole dociekań stale poszerzać, ujmując przedmiot badania w skali porównawczej, na tle i w ścisłym związku z ogólnymi trendami rozwoju. Gerard Labuda ujmował sprawy Polski i Polaków w szerokim kontekście europejskim. Tu tkwiła tajemnica jego zafascynowania kulturą i cywilizacjami, zafascynowania, które z upływem czasu się potęgowało, wspierając jego „wizję przeszłości”.

W bibliografii Profesora odnaleźć można wszystkie gatunki naukowej prozy. Występują więc w niej obok siebie i wzajemnie się uzupełniają finezyjne rozprawy analityczne i wielotomowe syntezы oraz prace zbiorowe, recenzje, noty krytyczne, teksty polemiczne i obszernie edycje źródeł oraz monografie i traktaty przepojone głęboką refleksją teoretyczną, biografie, hasła w słownikach i encyklopediach, wreszcie prace popularyzatorskie i publicystyczne. Bogactwo form przekazu wynikało stąd, że w twórczości Gerarda Labudy przeważały teksty poświęcone najbardziej skomplikowanym i kontrowersyjnym zagadnieniom polskiej i powszechnej historii.

„Wizje przeszłości” Gerarda Labudy, głęboko poruszające środowisko naukowe, wywołujące entuzjazm badaczy, ale niejednokrotnie także otwierające pola do szerokich i ostrych dyskusji oraz polemik i sporów, oparte były na znajomości i mistrzowskiej interpretacji źródeł. Autor traktował źródło jako historyczny fakt, jako „wytwór ludzi, który uczestniczy w rozwoju życia społecznego i już przez to nabiera jego właściwości”. Jego analizy zawsze miały źródło historyczne za punkt wyjścia i podstawę wnioskowania. To pobudzało refleksję teoretyczną i pozwalało kroczyć także pod prąd lansowanym przez środowiska poglądom i mniemaniom potocznym. Autor konsekwentnie przeciwstawiał się zacieraniu różnic między strefą ideologii a strefą poznawczą.

Gerard Labuda był również historykiem prawa. Na śmiałe wkraczanie na grunt nauk historyczno-prawnych i szerokie uwzględnianie metod stosowanych w badaniach nad historią prawa „skazywały” go zarówno imperatyw ujmowania przeszłości w sposób integralny, jak i przebogata tematyka szczegółowa, jaką uprawiał, narzucająca egzegezę normatywną. Był historykiem prawa, gdy rozważał sprawy krzyżackie, gdy badał ustrój państwa pierwszych Piastów, rozwój chrześcijaństwa i organizacji Kościoła, gdy pochylał się nad dziejami polskiej granicy zachodniej, historii dyplomacji czy poddawał gruntownym analizom dzieje kultury. Autor ściśle współpracował z polskimi i niemieckimi historykami prawa. Recenzował ich podstawowe prace, dyskutował nad kierunkami dalszych badań. Razem z nimi zastanawiał się nad interpretacją późnośredniowiecznych przekazów źródłowych: przykładem spór z Józefem Matuszewskim i Władysławem Sobocińskim na temat zaginionej kroniki w Rocznikach Jana Długosza, polemiczne teksty o Dagome iudex. Spod jego pióra wyszły liczne charakterystyki twórczości naukowej polskich, czeskich i niemieckich historyków prawa: Teodora Tyca, Zygmunta Wojciechowskiego, Kazimierza Tymienieckiego, Herberta Ludata, Jana Adamusa, Jana Baszkiewicza, Henryka Łowmiańskiego, Klause Zernacka, Oskara Kossmanna, Richarda Roepella i innych.

Aktywność Gerarda Labudy jako historyka prawa przejawiała się także na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego”. Pisywał do wielu tomów CPH

głębokie recenzje, kierował do redakcji prace swoich uczniów, pełnił od wczesnych lat pięćdziesiątych rolę przyjaznego i krytycznego doradcy redaktorów. W roku 1951 zamieścił w tomie III znakomity tekst *Stosunek publiczno-prawny Zakonu Krzyżackiego do Rzeszy niemieckiej w świetle Złotej Bulli Fryderyka II z roku 1226*. Dowodził w nim m. in., że podstawą prawną nadania Krzyżakom ziemi chełmińskiej była propozycja księcia Konrada, natomiast w przypadku Prus była nią zasada *quod terra ipsa sub monarchia imperia est contenta*. Artykuł został wydrukowany w tomie zarówno w polskiej, jak i francuskiej wersji językowej. W jubileuszowym tomie z 1973 r. pisał o stosunkach prawno-publicznych między Polską a Niemcami w połowie XII w., polemizując z wcześniejszymi interpretacjami traktatów z Merseburga, Kainy i Krzyszkowa. W latach 2005–2007 kilkakrotnie zabierał głos – w polemice z Dariuszem Sikorskim i Jarosławem Sochackim – na temat stosunków prawno-politycznych Polski z Niemcami w X i XI w. Szczególnie fascynował go zakres uprawnień władczych, jaki otrzymał Bolesław Chrobry od Ottona III na zjeździe gnieźnieńskim. Jego teza głosiła: Uprawnienia Chrobrego do sprawowania adwokacji nad Kościołem polskim i udzielania biskupom inwestytury nie wywodziły się z przejęcia takich uprawnień cesarstwa w Polsce, lecz tkwiły *implicite* w kompetencjach króla, do której to godności cesarz Otton III podniósł króla polskiego w roku 1000 w Gnieźnie.

Miejsce Gerarda Labudy w polskiej nauce historii prawa będzie wymagało gruntownych badań.

Bogdan Lesiński



Bogdana Lesińskiego poznałem w dniu pierwszego zetknięcia się z Uniwersytetem Poznańskim, pełnił bowiem odpowiedzialną funkcję sekretarza Komisji, przed którą w lipcu 1950 r. zdawałem egzamin wstępny na studia. Był wówczas początkującym asystentem w kierowanej przez Zygmunta Jedlickiego Katedrze Powszechnej Historii Państwa i Prawa i prowadził z moją grupą ćwiczenia. Był wymagający i można było się od niego wiele nauczyć. Miał nieduże mieszkanie i małe dzieci, więc popołudnia spędzał w Zakładzie. Często zapraszał mnie do swojego pokoju w Collegium Philosophicum, gdzie gadaliśmy godzinami. Najwięcej o uczelni, środowiskach naukowych i starych profesorach, o których potrafił fascynująco opowiadać. Był prawdziwą kopalnią wiedzy o Uniwersytecie. W przerwach udawaliśmy się do pobliskiego parku, by zaczerpnąć świeżego powietrza, a przy okazji posłuchać transmitowanych przez głośniki zawodów sportowych, meczów bokserskich czy – w maju – etapów Wyścigu Pokoju. Miał naturę mizantropa, wciąż był z siebie niezadowolony, ale zdumiewał dociekliwością badawczą, znakomitym warsztatem i przywiązaniem do zastanych form, ukształtowanych przez mistrzów.

Należał do grona najbardziej aktywnych historyków prawa w Poznaniu w drugiej połowie ubiegłego stulecia. Był nestorem trzeciego pokolenia poznańskiej szkoły historii prawa, założonej w latach trzydziestych przez Zygmunta Wojciechowskiego i rozwijanej po drugiej wojnie światowej przez jego uczniów – Zdzisława Kaczmarczyka, Kazimierza Kolańczyka, Michała Szczanieckiego, Stefana Weymana i Józefa Matuszewskiego. Właśnie z tym ostatnim związał swe naukowe życie; współpracy z Józefem Matuszewskim w badaniach nad dawnym prawem polskim nie położyło kresu nawet przeniesienie się Mistra do Łodzi w latach sześćdziesiątych.

Bogdan Lesiński urodził się 5 maja 1922 r. w Czarnkowie nad Notecią, w którym jego ojciec był obrońcą sądowym i kierownikiem Banku Ludowego, a po 1945 r. członkiem zespołu adwokackiego. Bogdan ukończył I klasę Liceum Humanistycznego w Chojnicach, kiedy wybuchła wojna. Od razu wstąpił ochotniczo do oddziałów Obrony Narodowej i wziął udział w kampanii wrześniowej. Wydostawszy się z niemieckiej niewoli, pracował jako robotnik rolny i uczeń ślusarski, zaś po wysiedleniu do Generalnej Guberni był robotnikiem leśnym, pracownikiem w młynie w Wólce Cycowskiej k. Chełma Lubelskiego. Wkroczenie Armii Czerwonej na Lubelszczyznę zapoczątkowało krótki epizod żołnierski w jego życiu: był kursantem w I Oficerskiej Szkole Artylerii w Chełmie, potem – starszym szeregowym w regularnej jednostce II Armii Ludowego Wojska Polskiego. W czerwcu 1946 r. zdał w Czarnkowie maturę i zapisał się na Wydział Prawno-Ekonomiczny Uniwersytetu Poznańskiego, który ukończył w 1950 r. We wrześniu tegoż roku podjął pracę na macierzystym Wydziale, najpierw jako młodszy asystent w Katedrze Historii Prawodawstw Słowiańskich, kierowanej przez prof. Józefa Matuszewskiego, od lutego 1952 r. jako asystent, starszy asystent i adiunkt w Katedrze Powszechnej Historii Państwa i Prawa u prof. Michała Szczanieckiego. W 1958 r. uzyskał stopień naukowy kandydata nauk na podstawie rozprawy *Stanowisko kobiety w polskim prawie ziemskim do połowy XV wieku*. Habilitował się w 1966 r. na podstawie książki *Kupno renty w średnio-wiecznej Polsce na tle ówczesnej doktryny i praktyki zachodnioeuropejskiej*. W 1967 r. po przejściu Michała Szczanieckiego na Uniwersytet Warszawski – już jako docent – został w nowo utworzonym Instytucie Historii Państwa i Prawa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza kierownikiem Zakładu Powszechnej Historii Państwa i Prawa. W roku 1981 został profesorem nadzwyczajnym, w 1989 r. otrzymał nominację na stanowisko profesora zwyczajnego. Do przejścia na emeryturę w 1991 r. sprawował funkcję kierownika Katedry Prawa Rzymskiego i Historii Prawa Sądowego.

Bogdan Lesiński był człowiekiem prawnym i wrażliwym, powszechnie lubianym i szanowanym; głęboko przeżywał sukcesy i niepowodzenia. Perfekcjonizm i nieudawana skromność nie ułatwiały mu życia, sprawiając, że rzadko był z siebie zadowolony i wciąż podkreślał, że mógł zrobić więcej, a to, czego dokonał, jest dalekie od doskonałości. Nie czuł się wojownikiem i nie miał natury przywódcy. Nie przyjmował też pierwszoplanowych ról w życiu organizacyjnym i społecznym. Zaledwie raz w życiu przebywał służbowo za granicą; pamiętam, że do uczestnictwa w Kongresie Société Jean Bodin w Grenoble z trudem nakłonił go Michał Szczaniecki. W latach 1969–1972 był zastępcą kierownika Zaocznego Studium Prawa na Wydziale, czuł się związany z Poznańskim Towarzystwem Przyjaciół Nauk, zwłaszcza w czasie, kiedy spotkania naukowe Komisji Historycznej PTPN organizował jego Mistrz, Józef Matuszew-

ski. Niepospolite zdolności wykazał jako sekretarz redakcji „Czasopisma Prawno-Historycznego” (1978–1986); identyfikował się z pismem i dbał o jego wysoki poziom; potrafił czytać cudze teksty, poprawiał je cierpliwie, nieraz pisał całe fragmenty od nowa. Jego zasług w redagowaniu CPH nie można przecenić, również jego najczynniejszego udziału w tworzeniu naukowego profilu pisma: prawie połowa z jego stu tekstów, składających się na bibliografię publikowanych prac, ukazała się na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego”.

Należał do charyzmatycznych nauczycieli akademickich. Był wykładowcą, którego chętnie słuchano, cieszył się opinią surowego, ale sprawiedliwego i szanowanego egzaminatora. Prowadził liczne seminarium, które uchodziło za jedno z najlepszych na Wydziale; jego uczestnicy – często pasjonaci historii prawa – zostawali laureatami konkursów i olimpiad. Odbывał uciążliwe podróże do punktów konsultacyjnych Uniwersytetu, bo uważał, że jego obecność w nich to trybut, jaki trzeba płacić studiującym zaocznie. Z tego samego powodu pisał podręczniki i skrypty oraz wydawał drukiem teksty na potrzeby ćwiczeń i konwersatoriów.

Potrafił być uroczym kompanem; darami życia cieszył się z umiarem, a jego łagodny sceptycyzm chronił go przed konfliktami. Nie kolidował też z wysokimi wymaganiami, jakie kierował w stronę innych, ale przede wszystkim odnosił do siebie samego. Miał szerokie zainteresowania: literatura piękna, przyrodoznawstwo, sport i turystyka odzwierciedlały je tylko w części. Gustował w wileńskiej kuchni (z Wilna pochodziła rodzina żony), przyrządzał świetne nalewki. Chętnie wracał wspomnieniami do swych przygód żołnierza-tułacza, a jego dowcipne, przepojone angielskim humorem opowiadania potrafiły rozweselić każdego słuchacza. Ujmował też nieco staromodnym stylem bycia: pisał wciąż na tej samej, z kancelarii ojca przejętej maszynie, ostentacyjnie lekcewał technikę oferowaną przez komputer, miał rzadkie już dziś poczucie wysokiej rangi uczonego w społeczeństwie i strzegł akademickiej hierarchii w formach odziedziczonych po poprzednikach. Jego stosunek do Mistrza miał do końca w sobie tyleż z ucznia i partnera co syna. W roku 1986 z niespotykaną u siebie energią organizował uroczystość odnowienia doktoratu „swojego” profesora. To z tej okazji powstał świetny szkic o twórczości naukowej Józefa Matuszewskiego, drukowany na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego”.

Bogdan Lesiński był z pewnością badaczem wybitnym. Wśród poznańskich historyków prawa mógł poszczycić się – po przeniesieniu się do Łodzi Józefa Matuszewskiego – najlepszym warsztatem. Podziwialiśmy jego głęboką erudycję i wyostrzony zmysł krytyczny, dar jasnego formułowania myśli, znajomość łaciny, nauk pomocniczych historii, intuicję badawczą. Był polihistorem, który dobrze znał dzieje nauki prawa i doktrynę, prawo sądowe, historię społeczną i ustrój.

Miał predyspozycje do tworzenia syntez, każda jego praca kończyła się starannie przemyślanymi konkluzjami. Mistrzostwo w tej dziedzinie znamionowały liczne hasła, jakie pisał dla redakcji „Słownika Starożytności Słowiańskich”, będące skończonymi minimonografiami, a także wywody w podręcznikach, skryptach i wydawnictwach pomocniczych dla studentów. Pisał je we współautorstwie i z różnych dyscyplin akademickiej historii prawa: *Historię prawa* (z W. Rozwadowskim), *Historię prawa sądowego* (z E. Borkowską-Bagieńską), *Wybory tekstów źródłowych z powszechnej historii państwa i prawa* (z J. Walachowiczem), *Historię ustroju w tekstach źródłowych* (z J. Walachowiczem), *Powszechną historię państwa i prawa* (z K. Krasowskim, K. Sikorską-Dzięgielewską, J. Walachowiczem), *Historię państwa i prawa Polski* (z E. Borkowską-Bagieńską, K. Krasowskim, J. Walachowiczem), *Historię państwa i prawa. Wybór tekstów źródłowych* (z A. Gulczyńskim, J. Walachowiczem, J. Wiewiorowskim). Byliśmy zgodni co do tego, że partie jego pióra w tych pracach wyróżniały się precyzją wykładu, zmysłem konstrukcji i umiejętnością uwypuklania kwestii dla opisywanej materii podstawowych.

Ulubionym gatunkiem artykulacji były dlań wszelako małe formy, w których wnioskowanie poprzedzały analizy źródeł, a inspirację stanowiły luki w piśmiennictwie, jakże często błędy i przeoczenia poprzedników. Stąd w jego bibliografii poczesne miejsce zajmują recenzje, których napisał wiele: mają one niezbędne wartości informacyjne, ale z reguły tworzą samodzielne studia. Niektóre z nich – pokaźne wywody krytyczne w formie artykułów recenzyjnych – weszły do literatury przedmiotu jako przykład erudycji i dociekliwości badawczej. Taki charakter posiadały rozważania inspirowane pracami Barbary Waldo i Zygryda Rymaszewskiego na temat prawnych problemów własności ziemskiej w dawnej Polsce, uwagi o kodyfikacji prawa polskiego w XVI w., formułowane na marginesie badań Wacława Uruszczaaka, czy refleksje osnute na kanwie wywodów Stefana Grzybowskiego o dziejach prawa. W wykładach był logiczny, w sądach powściągliwy, we wnioskach ostrożny, ale nie oszczędzał poprzedników, kiedy uważał, że nie mieli racji. Talent, a nawet zaciętrzewienie polemiczne najwyraźniej ujawnił w głośnym sporze z Witoldem Maislem o kontury tzw. archeologii prawnej.

Choć swobodnie wypowiadał się na temat historii prawa wielu epok, badał przede wszystkim prawo wieków średnich. Był urodzonym mediewistą, znawcą źródeł, badaczem norm, doktryny i praktyki sądowej. Najbardziej pasjonowały go prawo rodzinne i prawne formy kredytu, ale z równym powodzeniem pisał o instytucjach prawa obligacyjnego, rzeczowego i spadkowego, z podobną kompetencją uwzględniając problemy tak prawa materialnego, jak i procesowego. Wybierał tematy nie zawsze modne, często drobne, ale zawsze trudne, bo albo wcześniej przez naukę niebadane, albo w nauce sporne. Włączał je do

obiegu i wykazywał ich doniosłość. Na tym m.in. polegał jego wkład w rozwój nauki historii prawa.

Już w swej debiutanckiej rozprawie z 1955 r. Bogdan Lesiński podjął tematykę trudną, o którą spierali się historycy prawa pierwszej powojennej dekady, a mianowicie podstawową instytucję prawa prywatnego, jaką było prawo bliższości. Na podstawie skrupulatnej analizy zachowanych wzmianek w księgach sądowych badał kwestie rozszerzania się koła uprawnionych do wydobywania alienowanych nieruchomości i problem ograniczeń prawa bliższości. Stwierdzał istnienie retraktu, dowodząc, że nabywcy dóbr dziedziczonych groziła ewentualna próba retraktu nie tylko ze strony krewnych męskich. Wykazał, że co najmniej od początku XIV w. przysługiwało kobietom, a także krewnym przez kobiety, prawo do wydobywania wyalienowanych nieruchomości. Uprawnienia retraktowe kobiet – stwierdzał – stanowiły następstwo wykształcenia się praw dziedzicznych kobiet, ściślej zasady dzierżenia dóbr rodzinnych przez kobiety. Dochodził do wniosku, że z początkiem XV w. na znacznym terytorium Polski ustaliły się proceduralne zasady, które jednoznacznie zmierzały do ograniczenia prawa odkupu przede wszystkim przez skrócenie terminów wymaganych tak dla dochodzenia roszczeń retraktowych, jak i dla uiszczenia sumy wykupu. Konkludował, że prawo bliższości uległo w tym czasie znacznemu ścieśnieniu, a jego praktyczne znaczenie stawało się znikome.

W rok 1966 Bogdan Lesiński opublikował jedną z najbardziej znanych i z pewnością także najlepszych prac, poświęconą stanowisku prawnemu kobiety w polskim prawie ziemskim do połowy XV w. Obszerna monografia, wydana w serii „Studia nad Historią Państwa o Prawa” (ser. II), jako wydawnictwo Komitetu Nauk Prawnych PAN, podejmowała obszerny, wymagający doskonałej orientacji w całym systemie prawa późnośredniowiecznej Polski temat, który w literaturze był odnotowany w sposób wielce kontrowersyjny. Jego poprzednicy albo stali na stanowisku, że sytuacja prawna kobiety była silna, równa statusowi mężczyzny (tak np. R. Hube i A. Winiarz), albo też – odwrotnie – sądzili, że prawa kobiety były nader ograniczone (tak np. O. Balzer i J. Rafacz). Bogdan Lesiński szukał odpowiedzi na stawiane sobie pytania w prawie własności, a w szczególności w stosunku do swobodnego dysponowania nią przez kobiety. W oparciu o staranną interpretację źródeł wykazał, że pełnoletnie kobiety niezamężne, które posiadały wydzielony majątek nieruchomy, mogły nim samodzielnie rozporządzać. Mężatka pozostawała w pewnej zależności od męża, ale nie w tym stopniu, w jakim widział to np. Przemysław Dąbkowski, którego zdaniem żona „jak rzecz przechodziła spadkiem na syna, była nabywana drogą kupna, pozbywana przez sprzedaż lub darowiznę; nią płacił mąż swe długi lub swe przekroczenia”. Stwierdził zjawisko przeciwne, że w sprawach własnych mężatki „działają zupełnie swobodnie: sprzedają nieruchomości, za-

stawiają je, dokonują zamiany, występują samodzielnie przed sądem, i to niekiedy z przebiegłością wytrawnego jurysty”. Szczególnie silne było – dowodził – stanowisko wdowy, która rządziła całym majątkiem rodziny, nawet gdy żyły pełnoletnie dzieci. Rządy wdowy zostały podważone dopiero w XV w., kiedy to przyznano jej jedynie dobra posażne i wianne, nakazując resztę oddawać dziedzicom. Odpowiednik silnej i samodzielnej pozycji kobiet w prawie rodzinnym stanowiły wytworzenie się i wzrost ich uprawnień w zakresie dziedziczenia oraz swoboda w prawie procesowym. W dziedzinie prawa karnego kobiety cieszyły się nawet większymi uprawnieniami niż mężczyźni. Dopiero w XIV, a zwłaszcza w XV w. stanowisko kobiety uległo pewnemu osłabieniu.

Praca Bogdana Lesińskiego spotkała się w wysokim uznaniem krytyki. Jan Adamus nazwał ją jedną z najpoważniejszych publikacji historyczno-prawnych tamtych lat. Stanisław Roman wyrażał przeświadczenie, że znakomita książka da początek renesansowi kompleksowych badań nad dziejami prawa prywatnego w dawnej Polsce. Hamburski prawnik Georg Geilke wzywał – pod wrażeniem jej lektury – historyków prawa w Niemczech do podjęcia podobnego wysiłku. Zainteresowanie, jakie wywołała monografia, skłoniło autora do zapoznania z rezultatami swych dociekań czytelnika zachodniego na łamach „Revue historique de droit française et etranzer”.

W latach sześćdziesiątych Bogdan Lesiński skupił się przede wszystkim na instytucjach prawa obligacyjnego. Ukoronowaniem długich i żmudnych dociekań była opublikowana w 1966 r. rozprawa pt. *Kupno renty w średniowiecznej Polsce na tle ówczesnej doktryny i praktyki zachodnioeuropejskiej*. Instytucja, przejęta z praktyki zachodniej, nie była przedtem przedmiotem monograficznych studiów. Kupno renty polegało na tym, że kupujący (rentier, wierzyciel rentowy) nabywał za pewną sumę pieniężną od właściciela nieruchomości (sprzedawcy renty, dłużnika rentowego) określony, okresowy dochód z tej nieruchomości. Ze skąpego i mało wyrazistego materiału źródłowego potrafił autor nie tylko wydobyć częstą obecność obrotu rentami, ale także określić kierunek jego ewoluowania, prowadzącego od renty zastrzeżonej do kupna. Subtelność konstrukcji prawnej instytucji, mającej formy pośrednie, demonstrował on na przykładzie miast, w szczególności Poznania i Krakowa. W prawie ziemskim instytucja była mniej rozpowszechniona, albowiem tu kupno renty, a jeszcze częściej jej darowizna, miały zastosowanie na rzecz instytucji kościelnych. Autor stwierdził zresztą ponad wszelką wątpliwość, że kryzys rent kościelnych przeszedł w pierwszej połowie XVI w. wraz z zaostrzeniem się sporów z duchowieństwem i początkami reformacji. Udowodnił też, że rozwój kupna renty nie pozostał bez znaczenia dla stosunków kredytowych między szlachtą, wpływając na powstanie kupna nieruchomości z zastrzeżeniem odkupu. Krytycy zachęcali Lesińskiego do kontynuowania studiów nad kupnem rent

przez rozciągnięcie pola badań na XVII, XVIII i XIX w., ale na tak szerokie kwerendy autor już się nie zdobył. Kupno renty w średniowiecznej Polsce pozostało ostatnią jego książkową monografią, co nie znaczy, że poniechał on drażenia wątków, które w pracy nie zostały zamknięte.

Rozwinięciem tematyki przedstawionej w rozprawie o kupnie renty było obszerne studium poświęcone „wyderkowi”, czyli sprzedaży nieruchomości z prawem odkupu w prawie polskim. Umieszczał tę instytucję w dziale zobowiązań jako umowę kupna-sprzedaży z zastrzeżeniem prawa odkupu nieruchomości przez sprzedawcę. Porównując wyderkę – zwany niekiedy w źródłach zastawem – z instytucjami prawa rzymskiego, dostrzegał jego podobieństwo – przynajmniej formalne – z rzymską *venditio cum pacto de retrovendendo*. Przedstawił początki instytucji, przywoływał opinie przedstawicieli doktryny – Śmigielskiego, Lipskiego, Zawackiego, Zalasowskiego, poddawał badaniu funkcjonowanie instytucji przede wszystkim w prawie ziemskim. Dochodził do wniosku, że praktyka – przynajmniej od XVI w. – była nieprzychylna uznawaniu praw nabywcy jako pełnego właściciela i szła w kierunku traktowania jego stanowiska tylko jako użytkownika. Twierdził, że dla nabywcy odkup, tj. uiszczenie przez pozbywcę sumy równej cenie nabycia, stwarzał obowiązek zarówno przyjęcia tych pieniędzy, jak i zwrotu nieruchomości (ściślej: jej odsprzedaży) w ręce pozbywcy. Chodziło nie tylko o to, że w razie zwrotu należnej kwoty nieruchomość przechodziła z powrotem na sprzedawcę i że wszystko wracało do stanu sprzed zawarcia umowy. Ważne było – jak wykazał autor – przede wszystkim to, że niedokonanie odkupu mogło w pewnych sytuacjach prowadzić do przekształcenia własności ograniczonej przez klauzulę „na wyderkę” we własność pełną, tj. bez konieczności zwrotu (odsprzedaży) przez nabywcę. W podsumowaniu wyводу Lesiński podkreślał, że sprzedaż nieruchomości z prawem odkupu należała w Polsce na progu czasów nowożytnych do podstawowych prawnych form obrotu kredytowego. Jej uniwersalizm polegał zarówno na tym, że znajdowała ona zastosowanie „w różnych stanach i środowiskach, jak również między osobami z odmiennych stanów”. Po wyderkę sięgały instytucje kościelne, posługiwali się nią mieszczanie, nie unikał jej poszukujący kredytu monarcha. Do dyskusji o prawnych formach kredytu włączył się Bogdan Lesiński jeszcze raz w przenikliwej recenzji pracy Jacka Matuszewskiego, poświęconej zastawowi nieruchomości w polskim prawie ziemskim (1980). Wskazywał w niej m.in. na bogactwo form kredytowania w dawnej Polsce.

W 1972 r. Bogdan Lesiński ogłosił interesującą rozprawkę o przysiędze na duszę jako dowodzie w dawnym prawie polskim. Widział w niej samodzielny środek dowodowy, a nie tylko – jak niektórzy jego poprzednicy (m.in. S. Borowski) – jako środek umacniania zeznań. Przysięga na duszę – znana w Czechach i u Słowian południowych, w Polsce zaś poświadczona źródłowo od połowy XIII w.

– była, jak wykazał autor, nie tyle przeciwieństwem przysięgi sakralnej, ile jej uzupełnieniem. Stosowano ją w sprawach mniejszej wagi. Była przysięgą oczyszczającą w sprawach karnych, w sprawach prywatnych zaś spotykano ją w rozstrzyganiu takich kwestii, jak: stwierdzenie udzielenia poręki, stwierdzenie przeprowadzenia wwiązania w dziedzinie, ustalenie istnienia renty, potwierdzenie uiszczenia, wysokości lub braku długu czy wreszcie stwierdzenie wydania przez wierzyciela listu dłużnego przy uiszczeniu długu. Korzyści, jakie dawała, były oczywiste: uwalniała ona proces sądowy od nadmiaru formalizmu związanego ze stosowaniem normalnej, tj. sakralnej przysięgi. Była też od niej bardziej racjonalna; opierając się wyłącznie na gwarancji moralnej, zbliżona była do późniejszych, a nawet współczesnych nam dowodów.

W roku 1990 Bogdan Lesiński zamknął swe wieloletnie badania nad prejudykami jako źródłem prawa ziemskiego w dawnej Polsce. Prejudykaty – stwierdzał w oparciu o dogłębne studia źródłowe – tworzone już na przełomie XIV i XV w., na co wskazują „Constitutiones et iura terrae Lanciencensis” z pierwszej połowy XV stulecia. Istniała też ustawowa podstawa tworzenia i stosowania prejudykatów – był nią przepis przywilejów nieszawskich z 1454 r. – potwierdzany potem, aż do XVIII w., przez wielu pisarzy-prawników: Łaskiego, Przyłuskiego, Sierakowskiego, Herburta, Sarnickiego, Dreznera, Lisieckiego, Łochowskiego, Słońskiego i Ostrowskiego. Autor znalazł też bezpośrednie dowody na to, że wyroki sądowe stawały się źródłem prawa. Widział w nich normy, które miały obowiązywać w przyszłości: w dziedzinie *casus novi*, spraw nieuregulowanych przez prawo, przy czym szczególną rolę odgrywał tu sąd sejmowy. Wydawano wyroki o mocy prawa, nazywane *decreta in vim stratuti*, *decreta in vim legis*, *decreta in vim legis sapientia* czy po prostu *praeiudicata*. Stosowano – dowodził Lesiński – także zasadę powoływania się w sądach na już wydane wyroki. Autor przekonująco wyjaśniał, że prejudykaty stawały się punktem wyjścia dla tworzenia w zbiorze prawa odpowiednich przepisów, że gromadzono wyroki sądów królewskich w specjalnych zbiorach, a wielu polskich prawników (szczególnie Teodor Zawacki) uważało wyroki za materiał równorzędny z konstytucjami i cytowało je jako obowiązujące prawo. Uznał, że szczególnie ważny w historii prejudykatów był wiek XVI, czas szczytowego rozwoju prawa sądowego w Polsce. Również Trybunał Koronny tworzył wyroki o mocy prawa. Już w XVII w. zaczęto je co prawda zwalczać, jednakże stałe powtarzanie przez szlachtę postulatu nieuznania prejudykatów trybunałskich świadczyć mogło – jego zdaniem – o tym, że jeszcze w XVII w. pozostały one źródłem prawa. Tworzenie prejudykatów w innych sądach przetrwało jednak chyba do końca Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Materiał zebrany i skomentowany przez B. Lesińskiego dowodzi, że wyroki sądowe prawa ziemskiego, przede wszystkim sądów najwyższych (sądu *in curia*, sądu sejmowego, trybu-

nałów), uznawane za obowiązujące zasady prawne, zyskiwały szczególny walor w epoce wielkiej mizერიi legislacyjnej, jaka dała o sobie znać w państwie w XVII i XVIII w.

W 1999 r. Bogdan Lesiński podjął problem nieodpowiedzialności procesowej małoletnich (*dilatio propter minorenitatem*) w dawnym polskim prawie ziemskim. Wywiódł, że nieodpowiedzialność procesowa małoletnich – sierot i półsierot – jako pozwanych, była początkowo absolutna w tym sensie, że mimo posiadania opiekunów, ci ostatni nie mogli swymi działaniami zastępować pupilów w zakresie ich nieodpowiedzialności (*non respondere*) procesowej. Rzucił tym stwierdzeniem nowe światło na sytuację sierot – właścicieli ziemskich i na instytucję opiekuna. Dochodził do wniosku, że zasada nieodpowiedzialności małoletnich sierot przed sądem ulegała stopniowo erozji. Obalał też twierdzenia Przemysława Dąbkowskiego i Stanisława Kutrzeby, którzy traktowali nieodpowiedzialność procesową małoletnich jako szczególną właściwość prawa polskiego. Uznawały ją – podkreślał – prawo francuskie i niemieckie; nie wykluczał, że była zasadą powszechną i pierwotną wśród ludów europejskich, zaś odstępstwa od niej zaczęły się mnożyć w miarę zmian w stosunkach gospodarczych i społecznych. Obecność licznych urzędowych regulacji pisanych – od XIV-wiecznych statutów poczynając – świadczyła, zdaniem autora, o wielkiej wadze tej instytucji dla społeczności szlacheckiej.

W tomie V „Studiów z dziejów państwa i prawa polskiego” zajął się Bogdan Lesiński problemem *ius dispositivum*, przytaczając przykłady przekazów źródłowych, które wskazywały na to, iż w dawnym szlacheckim prawie zobowiązań treść umów kształtowana była głównie przez samych kontrahentów, i to zarówno w prawie procesowym (np. wyłączenie przez strony możliwości apelacji), jak i w prawie materialnym (np. wyłączenie możliwości powoływania się na przedawnienie). Przekonywająco dowiódł, że w systemie dawnych zobowiązań w prawie ziemskim działała zasada wolności umów, czyli swobodnego kształtowania ich treści w stosunkach między członkami stanu szlacheckiego.

Na łamach tego samego periodyku stała się przedmiotem rozważań Bogdana Lesińskiego również choroba umysłowa w źródłach polskiego prawa ziemskiego. Autor podkreślał, że wymóg zdrowia psychicznego – wymóg konstytutywny dla skuteczności czynności prawnej – wynikał z konstrukcji przyjmującej, iż zdrowie fizyczne jest objawem zdrowia psychicznego. Stwierdzał, że pierwsze, stosunkowo nieliczne wzmianki o praktyce sądowej pochodzą z XIV i XV w., zaś ustawowy zakaz składania przez chorego umysłowo wywołujących skutek prawny oświadczeń woli znajdujemy w tekście *Formula processus* z 1523 r. Dowodził, że przez cały wiek XV utrzymywał się brak informacji o opiece nad umysłowo chorym, że dopiero wiek XVII przyniósł pewne dane o kurateli, ustanawianej przez monarchę i zarazem odsłonił różnice między opieką a kuratelą.

Autor komentował konstytucję z 1638 r. O kuratoriach, która wprowadzała nadzór nad ustanawianiem kuratorów przez wprowadzenie wymogu, by przed wydaniem przez króla kuratorii komisarze zbadali, czy rzeczywiście zachodzi przypadek choroby psychicznej i czy chory wymaga kurateli. Miała być zabezpieczeniem domniemych chorych przed nadużyciami – tak ze strony krewnych, jak i – zapewne – kancelarii królewskiej, nie podważając równocześnie zasady, że do kurateli uprawnieni są właśnie krewni. Podkreślał, że jeszcze w początkach XVIII w. stosowano zasadę, iż chorzy (a właściwie pół-chorzy) umysłowo odzyskiwali – podobnie jak to było w prawie rzymskim – zdolność do czynności prawnych w okresie „jasnych przerw” (*lucida intervalla*), tj. przerw w chorobie. Wysuwał w końcu przypuszczenie, że chlubna zasada dobrego traktowania chorych często – zwłaszcza w XVII stuleciu – nie znajdowała pokrycia w praktyce.

W pracy z 2000 r., dedykowanej Stanisławowi Grodziskiemu, Bogdan Lesiński jeszcze raz zajął się opieką tzw. zapisaną (*tutela inscripta*), która polegała na tym, że ustanowienie opiekuna przez ojca następowało w drodze wpisu do ksiąg sądowych. Pojawienie się opieki zapisanej, która zdominowała praktykę prawniczą w Polsce co najmniej od początku XVII w., łączył autor z odpowiednim zapisem statutu warckiego z 1423 r., choć nie wykluczał wcześniejszej jej metryki. Opieka zapisana (w miejsce naturalnej i danej przez króla) oznaczała – twierdził – istotną zmianę w stosunkach rodzinnych, wyrażała osłabianie więzi rodowych, wzrost władzy ojcowskiej oraz coraz silniejszą indywidualizację stanowiska jednostki w życiu gospodarczym i społecznym szlachty. Tekst o opiece zapisanej był ostatnią rozprawą napisaną przez autora. Ukazał się w ostatnim tygodniu jego życia i zamykał bibliografię jego prac naukowych. Znamienne, że autor wracał w nim do tekstu statutu warckiego, od którego analizy rozpoczynał działalność twórczą w połowie lat pięćdziesiątych.

Bogdan Lesiński zmarł 31 marca 2001 r., po długiej i ciężkiej chorobie, samotny po stracie żony i załamany śmiercią młodszego syna. Był jednym z nestorów środowiska polskich historyków prawa; czuł się z nim związany przez ponad pięćdziesiąt lat. Przynależność do niego wyrażały teksty poświęcone przyjaciółom i kolegom. Tom „Studiów z dziejów państwa i prawa polskiego”, którym środowisko to – z inicjatywy badaczy łódzkich – zamierzało uczcić bliiski jubileusz osiemdziesięciolecia jego urodzin i pięćdziesięciolecia pracy twórczej, ukazał się w kilka lat po jego śmierci.

Witold Maisel



Witold Maisel przez kilka dekad drugiej połowy ubiegłego stulecia należał do najbardziej aktywnych i szanowanych przedstawicieli poznańskiego środowiska humanistycznego. Rzadkie zalety charakteru – pracowitość, solidność, skromność i prawość – łączył z głęboką erudycją i szerokością zainteresowań twórczych. Cieszył się sławą historyka prawa o umysłowości polihistora, który uprawiał wszystkie gatunki naukowej prozy: był mistrzem prawniczej egzegezy i twórcą syntez, pisał eseje, kierowane do czytelnika nieprofesjonalisty i zwracał się do przedstawicieli bliskich mu dyscyplin w rozprawach krytycznych, był zasłużonym edytorem i oddanym nauczycielem młodzieży naukowej. Dysponował świetną predyspozycją do pracy twórczej: suwerennie panował nad naukami pomocniczymi historii, uważnie studiował dzieje nauki, nie zaniedbując żadnej okazji, by prawoznawstwo eksponować jako immanentną część nauk o kulturze. To pozwalało mu burzyć przedziały między dyscyplinami, wzniesione przez tradycję akademicką i biurokratów. Badał prawo karne miast i organizację sądownictwa, zajmował się ustrojem późnego średniowiecza, poddawał analizie stanowienie i stosowanie prawa w dawnym Poznaniu, śledził losy prawa niemieckiego w Polsce, pochylał się nad dziejami myśli i praktyki prawniczej, był wybitnym znawcą historii sztuki, historii architektury i administracji miast, twórcą swoistej subdyscypliny prawodawstwa, którą nazwał archeologią prawną. Zaskakiwał dobrą znajomością historii Drugiej Rzeczypospolitej. Renesansowe kontury badawczych pasji miały swe źródło w klimacie środowiska, w jakim wzrastał, w życiowych metamorfozach, na jakie skazywał go burzliwy czas, wreszcie w osobowości mistrzów i doświadczeniach życia uniwersyteckiego.

Witold Maisel urodził się 8 kwietnia 1914 r. w Poznaniu. Żartował, że jest „ostatnim reliktem epoki zaborów”. Pochodził z dobrej mieszczańskiej rodziny,

w której kanony pozytywistycznych postaw kultywowano na równi z tradycjami patriotycznymi i wojskowymi. Te ostatnie darzył – to rzadkość – niekłamanym sentymentem. Jego dziadek Teodor, uczestnik bitwy pod Sedanem, w dniu wybuchu Powstania Wielkopolskiego ostentacyjnie pozbył się pruskich odznaczeń bojowych. Ojciec Franciszek, żołnierz „wielkiej wojny” i powstaniec z lat 1918–1919, organizator czytelnictwa w polskich oddziałach walczących na Litwie, należał do twórców Polskiej Organizacji Wojskowej. W wojnie brali udział wszyscy jego bracia. W dramatycznych dniach zamachu majowego 1926 r. on sam – wraz z kolegami z Gimnazjum św. Jana Kantego – podjął desperacką próbę ruszenia na pomoc prezydentowi Stanisławowi Wojciechowskiemu. W gimnazjum przeszedł przysposobienie wojskowe i nauczył się władać bronią: ochotniczo zgłosił się do służby, kończąc w 1932 r. Szkołę Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu w stopniu kaprała. Z ożywieniem sięgał pamięcią do corocznych ćwiczeń oficerskich. Chciał walczyć na froncie i z goryczą wspominał pełne dłań grozy okoliczności, jakie towarzyszyły mu w ostatnich dniach sierpnia 1939 r. w „walce” o kartę mobilizacyjną, której nie chciano mu wydać ze względu na przebytą gruźlicę płuc. Wcześniej boleśnie przeżył przeniesienie z 5. Pułku Ułanów do 7. Pułku Strzelców Konnych Wielkopolskich, co gwarantowało posiadanie tylko „niebieskiej” karty, zastrzeżonej dla rezerwistów.

Czas niemieckiej okupacji spędził Witold Maisel w Poznaniu, dorywczo pracując, ukrywając się, no i doksztalając. Miał już wtedy dwa egzaminy złożone na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Poznańskiego, zaawansowaną pracę magisterską na temat eremitów reguły św. Romualda, przygotowywaną na seminarium Tadeusza Silnickiego, uczestnictwo w karnistycznym seminarium u Józefa J. Bossowskiego i historyczno-administratywistycznym u Stanisława Kasznicy. Dysponował też bogatym doświadczeniem w łączeniu studiów z pracą zawodową w Zarządzie Miasta. Z mozołem odbywane studia udało mu się ukończyć dopiero w 1945 r. Zapisał się na seminarium doktorskie Kasznicy, ale doktorat musiał poczekać, ponieważ trudne warunki bytowe zmuszały go do kontynuowania pracy zarobkowej. Jej kolejnymi fazami były Poznańska Dyrekcja Odbudowy (w której był naczelnikiem wydziału), Biuro Delegatury Ministra Odbudowy i Pracownia Urbanistyczna Urzędu Miejskiego (w której był projektantem). Jednakże to właśnie aktywność w wojewódzkiej administracji zadecydowała o poświęceniu się pracy naukowej i wyznaczyła jej kierunek. Wymagała bowiem umiejętności ściśle prawniczych, pogłębiała zainteresowanie zabytkami kultury materialnej, narzucała poszukiwania archiwalne, kierując uwagę na historię prawa. Nie dziwi, że jego droga z magistratu do Uniwersytetu zaprowadziła go na seminarium Zdzisława Kaczmarczyka, na którym historia prawa miejskiego, planowanie przestrzenne, ochrona zabyt-

ków dawnej kultury i dzieje architektury miejskiej były ulubionym przedmiotem naukowego rozbioru.

Decydujący w zainaugurowaniu profesjonalnych badań był rok 1956, kiedy to Witold Maisel otrzymał stypendium doktoranckie w Zakładzie Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk, zapewniające mu znośny byt materialny. Pozwoliło ono zrezygnować z absorbującej pracy zarobkowej i bez reszty poświęcić się działalności badawczej. Doktorat obronił dwa lata później; należał z pewnością do nader nielicznych aspirantów tamtego czasu, którym udało się ukończyć przewód w przewidzianym ustawą terminie. Nie był już młody; jego naukowy Mistrz był odeń starszy zaledwie o dwa lata; a seminaryjni i katedralni rówieśnicy mieli od 15 do 20 lat mniej; byli w sytuacji o tyle bardziej komfortowej, że mieli przed sobą większe pole manewru, że mogli sobie pozwolić na „przestoję”, czas swoistego „luzu”. Fakt, że ominął podstawowe szczeble akademickiej kariery – asystenturę i starszą asystenturę – przez długi czas nie pozostawał bez wpływu na jego postawę i na jego samopoczucie. Z jednej strony budził poczucie skrzępowania, czasami osamotnienia – Witold Maisel z dużymi oporami pokonywał tremę w sali wykładowej i nie bez trudu budował własne seminarium – z drugiej wzmagał chęć dogonienia straconego przez wojnę i przeciwności losu czasu, nakazując własnym działaniom narzucać wręcz mordercze tempo. Benedyktyńska pracowitość, niezwykła staranność w wykonywaniu przyjętych na siebie obowiązków, rozległość zainteresowań i pasja badania, a także autentyczny talent pozwoliły mu osiągnąć sukces.

Witold Maisel doktoryzował się na podstawie monografii o sądownictwie miasta Poznania do końca XVI w. (1959) i tym samym postawił pierwszy ważny krok na drodze do zlikwidowania niezawinionego opóźnienia na starcie akademickiej kariery. Zaledwie czterech lat potrzebował na przekroczenie progu formalnej samodzielności naukowej. Jego rozprawa habilitacyjna, poświęcona poznańskiemu prawu karnemu do schyłku XVI w., wydana drukiem w roku 1963, została nagrodzona w prestiżowym konkursie miesięcznika „Państwo i Prawo” i doczekała się wysokiej, w pełni zasłużonej oceny krytyki. Mrówcza praca i wciąż doskonalony warsztat umożliwiły mu już w 1970 r. uzyskać tytuł profesora nadzwyczajnego. W roku 1976 został profesorem zwyczajnym nauk prawnych. Nadgonił stracony czas w dobrym stylu, sięgnął bowiem po najwyższą godność w akademickiej hierarchii jako znany i uznany w humanistyce, nie tylko polskiej – autorytet naukowy. Nie tworzył dla stopni i zaszczytów; był tak „zaprogramowany”, że pracowałby równie intensywnie także w sytuacji, w której awanse by go omijały. Żywił autentyczną estymę dla nauki, dla prawdy, której służyła, i w pełni doceniał jej rolę w doskonaleniu narodowej kultury. Był dumny, że może być godnym jej reprezentantem.

Zaczynał od raportów przedstawiających stan odbudowywanych zabytków Poznania i do końca życia swej pasji historia sztuki i architektury nie zaniebyszał. Jego drobne często, ale jakże ważne rozprawki na tej niwie były i pozostają do dziś niezastąpionym źródłem naszej wiedzy o procesach dźwigania miasta z wojennych ruin, o sukcesach i kłopotach odbudowy starego Poznania, wiarygodnym tym bardziej, że sam tych skomplikowanych działań *pars magna fuit*. Nawiązał wówczas bliskie kontakty z czołowymi polskimi historykami sztuki i architektami: Zachwatowiczem, Tomaszewskim, Pękalskim czy Leykanem. Był stałym współpracownikiem „Kroniki Miasta Poznania”; to na jej łamach, a także w prasie codziennej popularyzował idee restauracji starego Poznania. Nawoływał do adaptacji baszt Jana Baptysty Quadro, wypowiadał się na temat zabudowy wewnętrznej poznańskiego rynku, publikował materiały do historii malarstwa i rzeźby z okresu renesansu, pisał o wykuszach w kamienicach szesnastowiecznego miasta, ostrzegał przed niebezpieczeństwami zagrażającymi poznańskiej starówce, przypominał przepisy dotyczące urbanistyki i ekologii w dawnym Poznaniu. Był niezrównanym prezesem Stowarzyszenia Opieki nad Zabytkami. Organizował wystawy i opiniował projekty ustaw: pełnił stanowisko doradcy gremiów rozstrzygających o losach polskich pomników kultury. Łagodny z natury i skłonny do rozwiązań pojednawczych, potrafił jak lew walczyć o ratunek dla zagrożonych obiektów. Pierwsze naukowe wcielenie Witolda Maisla to z pewnością wizerunek badacza szeroko pojętej historii kultury.

Drugie pole kompleksowych badań mieściło się już bez reszty w naukach historyczno-prawnych. Pasją Witolda Maisla stały się studia nad ustrojem sądów i prawem karnym miasta Poznania. Poświęcił im kilka dziesiątków lat życia; lat żmudnej archiwalnej kwerendy, której początki wyznaczało odnalezienie księgi złoczyńców z XVI stulecia, stanowiącej prawdziwy klucz do otwierania nieznanych kart historii prawa karnego w dawnych miastach. Zresztą pierwsze teksty, stanowiące owoc niezwykle szeroko zakrojonych poszukiwań, nie zapowiadały jeszcze ujęć syntetycznych. Autor jakby dopiero sondował swe szanse nawiązania kontaktu z krytycznym środowiskiem. Pisał o statucie cechu tragarzy z 1581 r., o złodziejskim żargonie w późnośredniowiecznym Poznaniu, o sądzie wyższym prawa magdeburskiego w Poznaniu. Badał księgozbiory mieszczańskie poznańskie, opublikował poznański rękopis *Summy* Rajmunda Partenopejczyka, zainteresował się początkami miast Polski Zachodniej. Były to już wszakże teksty znamionujące doskonałe znanstwo źródeł i umiejętność ich czytania, starannie zorganizowany warsztat, pozwalający rekonstruować fakty, dar stawiania celnych pytań badawczych, pasję dociekania prawdy. Niektóre z tych wczesnych etud zwróciły na siebie baczną i nader życzliwą uwagę krytyków; głos na ich temat zabierali znani badacze polscy, tacy jak Grażyna Wróblewska,

Stanisław Russocki, Brygida Kürbis, Józef Skoczek. Wzbudziły też niekłamanym zachwytem niemieckiego historyka prawa miejskiego Wilhelma Weizsäckera.

Pierwszą próbą zsumowania wieloletnich dociekań stała się książka pt. *Sądownictwo miasta Poznania do końca XVI wieku*, wydana przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe w 1961 r. Witold Maisel odtworzył w niej strukturę sądów działających w Poznaniu w okresie od lokacji miasta na prawie magdeburskim w roku 1253 aż po schyłek XVI stulecia. Przyjętą w monografii cezurę *ad quem* podyktował stan źródeł, jako że dla XVII w. księgi złoczyńców nie zachowały się. Autor gruntownie zajął się również organizacją sądownictwa w mieście, dokonał krytycznej analizy współpracy sądów miejskich z innymi sądami, określił kompetencje urzędników sądowych i personelu pomocniczego, opisał miejsca i narzędzia służące egzekwowaniu wymiaru sprawiedliwości. Wreszcie poddał badaniu akta kancelarii, ustalił dochody i wydatki miasta, zajął się szesnastowieczną literaturą prawniczą, wykorzystywaną w praktyce sądowniczej. Praca miała charakter pionierski, gdyż w istotnym stopniu korygowała stare, pochodzące jeszcze z XIX w. ustalenia nauki niemieckiej. Witold Maisel udowodnił, że w Poznaniu działały sądy, o których badacze nic nie wiedzieli, że funkcjonowali urzędnicy, których istnienia się tylko domyślano, że żywe było współdziałanie sądów miejskich z sądami patrymonialnymi i kościelnymi oraz że poznańskie sądownictwo na progu czasów nowożytnych stanowiło ważne ogniwo w systemie państwowej organizacji wymiaru sprawiedliwości. Monografia została wysoko oceniona przez środowisko, a krytycy nie mieli wątpliwości co do tego, że wnioski autora, choć wysnute z analizy materiału proveniencji poznańskiej, posiadają walor poznawczy w skali całego kraju i tym samym stanowią twórczy wkład do naszej wiedzy o organizacji i funkcjonowaniu sądownictwa miejskiego w dawnej Polsce.

W tym samym czasie, w którym krytycy dokonywali rozbioru monografii poświęconej organizacji poznańskiego sądownictwa, ukazywała się już druga książka Witolda Maisla, przedstawiająca poznańskie prawo karne do końca XVI w. Za cel swych wywodów autor przyjmował „ustalenie systemu poznańskiego prawa karnego materialnego, zbadanie jego dróg rozwojowych oraz porównanie go z praktyką sądów poznańskich”. I ta monografia stanowiła opracowanie pionierskie, wypełniając dotkliwą lukę w literaturze. Autor nobilitował w wykładzie prawo polskie, którego normy, ustanowione w statutach i konstytucjach, i omówione w doktrynie, znajdowały – jak wykazywał W. Maisel – częste zastosowanie w orzecznictwie sądów Poznania. Ale – jak podkreśliła to w swej wnikliwej recenzji opublikowanej na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego” Krystyna Bukowska – równie wielkim sukcesem autora było wykazanie obecności w nim wpływu prawa rzymskiego. Okazuje się, że sięgał on także w prawie karnym do podstawowych instytucji i konstrukcji teoretycz-

nych, takich jak konstrukcja winy, usiłowania, pomocnictwa, okoliczności wyłączających karalność czynu itp. Książka stała się impulsem do wzmożenia badań nad historią prawa sądowego w Polsce; jej życzliwy odbiór skłonił też Witolda Maisla do kontynuowania dociekań na tej niwie. Do końca życia pochylał się on nad prawem karnym i organizacją wymiaru sprawiedliwości w dziejach rodzinnego miasta. W 1979 r. ogłosił na łamach „Studiów i Materiałów do Dziejów Wielkopolski i Pomorza” świetny tekst o torturach stosowanych przez sąd kryminalny Poznania w XVI i XVII w., w wydanych zaś w 1988 r. pod red. Jerzego Topolskiego „Dziejach Poznania” to właśnie spod jego pióra pochodziły rozdziały poświęcone przekształceniom przestrzennym miasta, strukturom ustroju, finansom i gospodarce komunalnej aż po wiek XVIII. Jeszcze w 1993 r. „Kronika Miasta Poznania” zamieściła jego interesującą rozprawę na temat więziennych w dawnym Poznaniu. W przedmowie do tego pośmiertnie mu dedykowanego tomu wydawcy zapisali bardzo prawdziwie: „Bez Jego mrówczej pracy wiedzielibyśmy o Poznaniu znacznie mniej”.

Studia i rozprawy przeplatały się w twórczości Witolda Maisla z licznymi cennymi wydawnictwami źródłowymi o prawie w dawnym Poznaniu. Było dlań sprawą oczywistą, że właśnie prawo miejskie, bogate w treść, a mało znane i słabo udokumentowane – wymaga stałego obcowania uczonego ze źródłami. Podkreślał: „Dla pełnego poznania tego prawa konieczne jest wyszukiwanie i udostępnianie nauce wszystkich jego źródeł. Niewystarczająca jest znajomość zbiorów prawa magdeburskiego, średzkiego, chełmińskiego i lubeckiego, gdyż polskie prawo miejskie nie było monolitem, lecz mozaiką, w której na tle podstawowego prawa niemieckiego rysują się silne wpływy prawa rzymskiego i prawa polskiego, a nie brak też elementów innych – prawa włoskiego, flamandzkiego, francuskiego, a nawet hiszpańskiego. Z tych względów konieczne jest rozszerzenie naszych badań na źródła dotychczas nieuwzględniane”. W roku 1964 ukazała się w jego opracowaniu *Poznańska księga prawa magdeburskiego i miśnieńskiego*, w 1966 r. opublikował *Ortyle sądu wyższego w Poznaniu z XVI i XVII w.*, w latach 1966–1969 wydał w trzech tomach *Wilkieże poznańskie*, a w 1980 r. – *Kodeks przywilejów Poznania XIV w.* Ostatnie jego wydawnictwo źródeł odnoszących się do przeszłości Poznania, a mianowicie *Przywileje miasta Poznania XII –XVIII w.*, nad którym pracował wiele lat, mogło ukazać się dopiero pośmiertnie. Dzięki wysiłkowi edytorskiemu Witolda Maisla jego wydawnictwa źródeł o przeszłości Poznania stały się własnością nauki światowej; były też z najwyższą uwagą odnotowywane na łamach najbardziej renomowanych periodyków polskich i zachodnioeuropejskich. Recenzje opublikowały: „Archeion”, „Ostdeutscher Literaturanzeiger”, „Scriptorium”, „Zeitschrift für Ostforschung”, „Pravnehistoricke Studie”, „Kwartalnik Historyczny”, „Zeitschrift für Savigny-Stiftung für Rechtsgeschichte”, „Revue d’Histoire Ecclé-

siastique”, „Studia Źródłoznawcze”, „Historicki Casopis”, „Roczniki Dziejów Społecznych i Gospodarczych”, „Recherches sur l’histoire des institutions et du droit”, „Czasopismo Prawno-Historyczne”. W opinii niektórych krytyków działalność wydawnicza stanowiła największe osiągnięcie naukowe Witolda Maisla.

Oczywiście Witold Maisel nie był wyłącznie historykiem prawa dawnego Poznania. W równym stopniu zajmowała go przeszłość innych miast Wielkopolski: badał organizację władz i sądownictwo Zielonej Góry, interesował się historią sądu miejskiego prawa polskiego w Kaliszu, studiował wyroki sądu konińskiej Komisji Dobrego Porządku i prawo magdeburskie Pleszewa. Zastanawiał się, czy dawny Kalisz dysponował gilotyną? I na tym obszarze mógł poszczycić się poważnym dorobkiem edytorstwa źródłowego: wydał tom ortyli sądów wyższych miast wielkopolskich z XV i XVI w. Był edytorem statutów i przywilejów kaliskich cechów i kaliskich wilkierzy. Zebrał i wydał wilkierze Chodzieży, statuty cechów Konina z XV–XVIII w., jego przywileje i lustracje. W roku 1982 opublikował dwadzieścia wyroków sądowych z dziejów wymiaru sprawiedliwości Kalisza.

Witold Maisel stopniowo poszerzał pole swych zainteresowań dawnym prawem na cały obszar dawnego państwa polskiego. Podejmował studia nad prawem karnym Prusów na tle porównawczym, nad prawem polskim w państwie krzyżackim XIV–XV w., w tym nad Księgą Elbląską. Zajmował się myślą prawniczą późnego średniowiecza i początkiem czasów nowożytnych, m.in. problematyką prawa karnego w *Kronice* Wincentego Kadłubka i znaczeniem *Formula processus iudicarii* z 1523 r. Wraz ze Zbigniewem Zdrójkowskim przygotował do druku i wydał polski przekład prawa starochełmińskiego, co było wydarzeniem naukowym lat osiemdziesiątych. Wciąż wracał do interpretacji *Summy* Rajmunda Partenopejczyka i sumował wyniki swych kontynuowanych studiów nad wilkierzami w dawnej Polsce. Badał Trybunał Koronny w świetle konstytucji i laudów sejmikowych, pochylał się nad związkami, jakie łączyły sądownictwo miejskie z sądownictwem królewskim w dawnej Rzeczypospolitej. Zajmował się statutami dawnych miast i dziejami kodyfikacji prawa miejskiego. Chętnie przechodził do studiów nad dawnym obyczajem prawnym, czego przykładem był wywołujący żywe zainteresowanie historyków tekst, ogłoszony w „Roczniku Konińskim” zatytułowany: *Zeznania świadków w sprawie ducha Konstantego Lubrańskiego, ukazującego się w XVIII w. w Gostawicach*. Swe przemyślenia coraz częściej publikował w wydawnictwach zbiorowych ukazujących się za granicą. Miarą uznania jego kompetencji były autorstwo kilkunastu haseł w *Małej encyklopedii prawa*, w *Wielkopolskim słowniku biograficznym* i w *Słowniku starożytności słowiańskich*, w szczególności zaś zaproszenie do opracowania historii prawa karnego dawnej Rzeczypospolitej w reprezentatywnej *Historii państwa i prawa Polski* pod redakcją Juliusza Bardacha.

W roku 1976 Witold Maisel opublikował książkę pt. *Wojewódzkie sądy administracyjne w Drugiej Rzeczypospolitej*. Ci, których tą tematyką zaskoczył, nie pamiętali, że już w latach trzydziestych występował autor przed sądami administracyjnymi jako reprezentant władz Poznania i nie czytali jego świetnego tekstu, wygłoszonego na międzynarodowej konferencji historyków prawa w Pécs w 1972 r. Maisel dowodził, że wojewódzkie sądy administracyjne mimo swego pruskiego rodowodu odegrały *per saldo* pozytywną rolę w historii wymiaru sprawiedliwości w Polsce odrodzonej: wzmacniały one pewność prawną w stosunkach między obywatelami a władzami administracyjnymi, zapewniały skuteczną ochronę praw jednostki przed nadużyciami ze strony władz oraz charakteryzowały się stosunkowo wysoką efektywnością działania. Fakt rezygnacji z utworzenia na obszarze odrodzonego państwa sądownictwa administracyjnego drugiej instancji przypisywał autor niechęci sanacyjnego rządu. Książka przełamywała złą historię milczenia na temat prawa i sądów Drugiej Rzeczypospolitej i przyniosła autorowi pozytywne recenzje, a jej wyniki wzbogaciły dyskusję nad reaktywacją Naczelnego Sądu Administracyjnego w kraju.

Ostatnią rozległą dziedziną, w której Witold Maisel ulokował swe pasje badawcze, stała się tzw. archeologia prawna. Zainteresowanie nią miało swój początek w fascynacji historią kultury i sztuki, i pogłębiało się w miarę ugruntowywania się jego przeświadczenia o tym, że między prawem a kulturą nie ma nieprzekraczalnych barier, odwrotnie – że kultura i prawo są na siebie skazane. Wyrażało też pragnienie włączenia do prawoznawstwa bogatej spuścizny wiedzy poza źródłowej, która w badaniach historyków prawa – jego zdaniem – nie była wcześniej traktowana z należyтым respektem.

Swoje *credo* na temat nowej dyscypliny wyłożył w „Czasopiśmie Prawno-Historycznym” w roku 1967. Artykuł miał na celu – twierdził – „zapoznanie polskich historyków prawa z tą nową stosunkowo gałęzią wiedzy, jej przedmiotem, zadaniami, metodami, granicami badawczymi, z jej miejscem wśród nauk historycznych, wreszcie z jej aktualnym stanem za granicą i w Polsce oraz z postulatami na przyszłość”. Chciał wzorem badaczy niemieckich (Karl Amira i Karl Schwerin) poddać systematycznemu badaniu i systematyzacji zabytki materialne i niematerialne o znaczeniu prawnym. Za podstawowe zadanie nowej dyscypliny uznał poszerzenie bazy źródeł poznania prawa, m.in. przez ich „wynajdywanie i krytyczne inwentaryzowanie, przez ustalanie wpływów i zapożyczeń; wynajdywanie niewzmiankowanych w źródłach historii prawa przejawów życia prawnego; wyjaśnianie niezrozumiałych terminów i pojęć spotykanych w źródłach historyczno-prawnych przeprowadzanie badań porównawczych w skali europejskiej, a w dalszej przyszłości również światowej”.

Po kilkunastu latach intensywnych badań archiwalnych i po wymianie myśli w toku licznych konferencji, seminariów i sympozjów, a także po wstępnych

próbach publikacji wyników częściowych badania Witold Maisel ogłosił drukiem pierwszą część swego *opus magnum: Archeologię prawną Polski*. W imponującej rozmachem i śmiałością sądów oraz bogato udokumentowanej syntezie autor zaprezentował „swoją” dyscyplinę jako „naukę pomocniczą historii państwa i prawa, zajmującą się wyszukiwaniem i badaniem: a) obiektów materialnych, które posiadały w przeszłości prawnie ustalony charakter usługowy w stosunku do funkcji stanowienia i realizowania norm prawnych; b) atrybutów, znaków i symboli prawnych; c) form rytuału o charakterze symbolicznym”. Nazwał ją archeologią prawną, wychodząc z założenia, że nie należy zmieniać nazwy, która już uprzednio zyskała sobie w całej niemal Europie – jak twierdził – prawo obywatelstwa. Wywodził, że może ona pomagać historykowi prawa w szczególności na „wstępnym etapie jego pracy, którego celem jest ustalenie wartości historyczno-prawnej danego zabytku, by z uzyskanymi tą drogą informacjami mógł on przystąpić do dalszych etapów pracy badawczej”. W roku 1989 Witold Maisel ogłosił już wcześniej zapowiadaną *Archeologię prawną Europy*. Znowu dał dzieło wielkiej pracowitości, erudycji i pasji badawczej; praca włączała w krąg zainteresowań badacza nowe źródła poznania dawnego prawa, podsuwała nowe perspektywy dociekania, wzbogacała metodykę warsztatu historyka prawa. Pod wpływem głosów krytycznych, kierowanych w stronę wcześniejszej syntezy, autor zawęził kontury dyscypliny. Uznał, że archeologia prawna to „nauka pomocnicza historii ustroju państw i prawa sądowego, zajmująca się wyszukiwaniem i badaniem zabytków materialnych, posiadających w przeszłości prawnie ustalony, instrumentalny charakter w stosunku do funkcji stanowienia i realizowania norm prawnych”. Tym samym pozostawił poza obrębem dyscypliny atrybuty, znaki i symbole prawne, a także formy rytuału prawnego o wymowie symbolicznej. Teza autora wzbudziła tyleż podziw co sceptycyzm. Wielu badaczy skłonnych było zaakceptować ją jako cenną co prawda, niemniej zaledwie jako jedną z wielu metod procedowania historyka prawa, jako jeden z wielu sposobów dochodzenia do prawdy o dawnym prawie. Wszyscy słusznie wskazywali na korzyści płynące z „archeologicznego podejścia” do prawa czy z jego „archeologicznego oglądu”. Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie o recepcję koncepcji Witolda Maisla za granicą. Wydaje się, że bez większych zastrzeżeń została ona przyjęta w krajach niemieckiego obszaru językowego: w Austrii, Niemczech i Szwajcarii. Z pewnością przyczynił się do tego niemiecki przekład *Archeologii prawnej Europy*, dokonany wyłącznym nakładem finansowym autora. Zresztą autor wciąż pogłębiał badania nad poszczególnymi pomnikami archeologiczno-prawnymi, doskonalił warsztat, dyskutował z luminarzami dyscypliny w czasie coraz częstszych wyjazdów zagranicznych, na konferencjach i sympozjach międzynarodowych, w wykładach, na które był zapraszany: do Francji, Szwajcarii, Włoch,

Niemiec, Austrii, Czechosłowacji, Wielkiej Brytanii, Norwegii, Węgier, Rumunii, Holandii, Kanady, Danii i Szwecji, oraz w aktywności, jaką rozwijał w towarzystwach naukowych o zasięgu światowym: w Société Jean Bodin, Société d'Histoire du Droit, Comité International pour la Metrologie Historique i Commission Internationale des Études Slaves. Był współpracownikiem i stałym recenzentem reprezentatywnego dla dyscypliny periodyku „Forschungen zur Rechtsarchäologie und Rechtlichen Volkskunde”, redagowanego przez Louisa Carlena.

Pasja badania i godziny spędzane codziennie w archiwum nie przeszkadzały Witoldowi Maislowi w rozwijaniu żywej działalności na polu uniwersyteckiej dydaktyki i w organizowaniu życia naukowego na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. Wzorowo wykonywał swe powinności akademickie: starannie przygotowywał się do wykładów i konwersatoriów. Był sumiennym opiekunem stażystów; w poszukiwaniu lepszych form kształcenia chętnie eksperymentował. Do ostatnich dni prowadził seminarium doktorskie, na którym wcale spora grupa młodych badaczy zdobywała naukowe ostrogi. Do jego uczniów zaliczali się m.in. profesorowie Jacek Sobczak i Andrzej Gulczyński. Nie uchylał się od funkcji administracyjnych na macierzystym Wydziale: był kierownikiem Zakładu i Katedry Historii Państwa i Prawa Polskiego, zastępcą dyrektora Instytutu Historyczno-Prawnego UAM, dwukrotnie powierzano mu urząd prodziekana. Ale i poza Uczelnią uczestniczył w ruchu naukowym i przejście w 1985 r. na emeryturę w niczym nie osłabiło rozmachu jego aktywności. Działał w Polskim Towarzystwie Historycznym, Poznańskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk, no i – jak już o tym była mowa wyżej – w Stowarzyszeniu Historyków Sztuki. Z licznych odznaczeń najwyżej cenił sobie właśnie te, które otrzymał za niedające się przecenić zasługi dla rozwoju historii prawa i historii kultury: Medal Komisji Edukacji Narodowej, Honorową Odznakę Miasta Poznania, Odznakę „Za zasługi w rozwoju województwa poznańskiego”, odznakę honorową „Za zasługi dla archiwistyki”, Medal honorowy „Za ochronę zabytków województwa poznańskiego”, odznakę „Za opiekę nad zabytkami”.

Witold Maisel zmarł po krótkiej chorobie 15 września 1993 r. Uczonego śmierć zaskoczyła w trakcie realizowania dalszych ambitnych planów twórczych, a środowisko historyczno-prawne Uniwersytetu w toku ostatnich przygotowań do uczczenia jubileuszu jego osiemdziesiątych urodzin. Punktem kulminacyjnym uroczystości miała być księga pamiątkowa. Niestety tom *Historia prawa – historia kultury. Liber Memorialis Vitoldo Maisel dedicatus*, przygotowany przez Ewę Borkowską-Bagieńską i piszącego te słowa, mógł być już tylko księgą wspomnień.

Maria Majchrzak



Dnia 20 maja 2002 r. zmarła po długiej i ciężkiej chorobie Maria Majchrzakowa, emerytowany pracownik obsługi. Należała do najstarszego pokolenia pracowników Uniwersytetu Poznańskiego i z pewnością do postaci najbardziej w nim zasłużonych. Mieliśmy przeświadczenie, że była także jedną z tych osób w Collegium Iuridicum, których obecność na Wydziale symbolizowała ciągłość, trwanie uczelni, stanowiła wyraz głębokiego do niej przywiązania.

Urodzona w 1911 r. w Będlewie k. Poznania i zmuszona do ciężkiej pracy zawodowej związała się z Uniwersytetem Poznańskim natychmiast po ukończeniu 16. roku życia: od 1927 r. była szatniarką, od 1929 r. – sprzątaczką w Collegium Minus. W czasie działań wojennych straciła męża, pracownika Zakładu Fizjologii UP. Wychowując dwoje małych dzieci rozpaczliwie starała się odzyskać etat już w pierwszych miesiącach odbudowy w 1945 r. Udało się to dopiero w czerwcu 1946 r., kiedy to przyjęto ją na wakujący etat sprzątaczkii w Collegium Medicum. Odtąd już się z Uniwersytetem nie rozstawała: była młodszym woźnym kontraktowym, woźnym, starszym woźnym, starszym pedlem, portierem i starszym portierem. Po osiągnięciu wieku emerytalnego pracowała w niepełnym wymiarze godzin: jako starszy portier w Collegium Iuridicum, jako starszy strażnik ochrony mienia, w końcu znów jako starszy portier. Wniosła o rozwiązanie stosunku pracy pod koniec 1995 r. w związku z szybko i niebezpiecznie pogarszającym się stanem zdrowia.

Maria Majchrzakowa była osobą skromną, odpowiedzialną i ofiarną. Strzegła ładu, który jej zdaniem gwarantował sprawne funkcjonowanie akademickiego życia w starym gmachu Reiffeisena. Była władcza, ale miała złote serce. Zdecydowanie, ale przyjaźnie kierowała ruchem studentów, kłębiących się na korytarzach. Pomagała w szczególności tym, którzy przychodzili na pierwszy rok studiów, w razie potrzeby potrafiła jednak ich także karcić; używała przy

tym wyrafinowanych zwrotów, które adresatom głęboko zapadały w pamięć. Więź łączącą ją z Uniwersytetem pojmowała bardzo osobiście. Żywiła owo poczucie dumy, które pozwalało jej wierzyć, że zadania, które właśnie jej powierzano, są dla uczelni i dla Wydziału Prawa zawsze najważniejsze i że ona jedna potrafi im sprostać. Portiernię traktowała jako punkt dowodzenia, z którego należy wydawać rozkazy. Dopóki siły jej dopisywały, przychodziła do Collegium Iuridicum na rozmowy o dawnych czasach i krytycznym okiem obserwowała nowe dla siebie porządki. Lubiliśmy ją, szanowaliśmy i podziwialiśmy: była kopalnią wiedzy o Uniwersytecie; pamiętała doskonale wszystkich, którzy tworzyli uczelnię w pierwszych latach dwudziestych i potem pełnili w niej ważne role.

Uniwersytet odwzajemniał dowody przywiązania, jak umiał i jak mógł, skromnie: wypłacał od czasu do czasu okolicznościowe i jubileuszowe nagrody, postarał się o Brązowy Krzyż Zasługi, Odznakę Honorową Miasta Poznania, Medal 10-lecia Polski Ludowej. W roku 1993 Senat Akademicki przyznał jej Medal „Za zasługi dla UAM”. Bardzo sobie te wyróżnienia ceniła.

Śmierć Marii Majchrzakowej zabrała skromnego Człowieka, który identyfikował się z Uniwersytetem i przez 65 lat wiernie mu służył.

Friedrich Meinecke¹



I

Problem badawczy. Wysoka ranga nauki historii w Niemczech znajduje potwierdzenie w badaniach historyków historiografii. Nie bez racji podkreślają oni, że pod względem rozległości pól badania, precyzji metod i technik badawczych, bogactwa środków emisji oraz liczby publikacji nie miała ona sobie równych tak w drugiej połowie XIX, jak w pierwszej XX w. Za równie bezsporny trzeba uznać społeczny prestiż, jaki był udziałem historyków w tym kraju. Ich twórczość budziła żywe zainteresowanie; wokół rezultatów ich badań toczyły się dyskusje, zakresem swym daleko wykraczające poza kręgi profesjonalistów. Chętnie tłumaczono to faktem, iż Niemcy stanowią naród wyposażony w szczególne predyspozycje do rozprawiania o przeszłości (*ein Volk mit Begabung für Geschichte*). W rzeczywistości jednak przesłanki zasłużonej sławy nauki historii i jej koryfeuszy przedstawiały się bardziej prosto. Oto historiografia niemiecka nie ograniczała się do kontemplowania przeszłości. Większość jej reprezentantów czuła się odpowiedzialna za losy kraju i miała poczucie znaczenia naukowego badania dla rozwiązywania trudnych problemów współcze-

¹ Friedrich Meinecke jest jedynym badaczem w niniejszym zbiorze, którego nie poznałem osobiście i nie mogłem poznać, bo zmarł w roku 1954, w sędziwym wieku prawie stu lat. Obcowalem jednak z jego pracami prawie codziennie w latach, kiedy przygotowywałem monografię *Nauka historii w upadku. Studium o historiografii i ideologii historycznej w imperialistycznych Niemczech*, Warszawa – Poznań 1982. Był wybitnym badaczem, największym konserwatywnym historykiem w wilhelmińskich, weimarskich, totalitarnych i posttotalitarnych Niemczech. Przecierał szlaki, jakie były udziałem długiej i trudnej historii historiografii niemieckiej. Bez uwzględnienia twórczości Meineckiego trudno byłoby zrozumieć dynamiczny rozwój badań historycznych po drugiej wojnie światowej w tym kraju, w tym także tę myśl, która znalazła wyraz w pracach i postawach tych niemieckich autorów, z którymi przyszło mi współpracować i którzy w niniejszym tomie są przedmiotem krytycznego rozbioru.

sności. Pozostawała bliska państwu i najczynniej broniła zasad niemieckiej polityki. Ich nacjonalizm dobrze harmonizował z tendencjami imperialnymi w tej polityce. Łatwo zauważyć, że w poglądach politycznych historyków doby II Cesarstwa, Republiki Weimarskiej oraz hitlerowskiej Rzeszy można było odnaleźć wszystko, co składało się na obraz ideologii i konfliktów ideowych w imperialistycznych Niemczech². Więcej: historycy aktywnie uczestniczyli w kształtowaniu tego obrazu; wnosili doń istotne wartości, ich teoretyczne, wyrafinowane intelektualnie konstrukcje, często rozstrzygały o zmianach jego barw.

Wpływali na jego kształt swą postawą polityczną, osobistym stosunkiem do podstawowych problemów swojego czasu. Mieli niekwestionowane ambicje pełnienia roli ekspertów dla polityki. W praktyce często ulegali jej presji; w swych warsztatach przetwarzali substancję dziejów dla jej potrzeb, „korygowali” obraz przeszłości, sami stawali się bardziej politykami aniżeli uczonymi. Znaczy to, że bez uwzględnienia poglądów i postaw historyków – zwłaszcza historyków rozumujących kategoriami nacjonalizmu, a tych była większość – panorama ideowa i klimat intelektualny Niemiec XIX i XX w. byłyby niepełne i nieprawdziwe.

W niniejszym studium pragnę odpowiedzieć na pytanie o rodzaj powiązań, jakie mogły ujawniać się i jakie faktycznie ujawniały się pomiędzy twórczością uczonego a jego orientacją jako polityka. Chcę zastanowić się nad zmianami, jakie zachodziły w jego poglądach i postawach w związku z przeobrażeniami politycznymi w Niemczech. Zamierzam sformułować garść refleksji o zakresie wpływu tych przeobrażeń na warsztat uczonego, a także ukazać trwałość ideologii historycznej w doktrynie państwa niemieckiego. Tworzywem dla naszego wywodu są pisarstwo i poglądy polityczne Friedricha Meineckego.

² Por. m.in. *Deutsches Geistesleben und Nationalsozialismus. Eine Vortragsreihe der Universität Tübingen*, Tübingen 1965; H. Heiber, *Walter Frank und sein Reichsinstitut für Geschichte des neuen Deutschlands*, Stuttgart 1966; K.F. Werner, *Das NS-Geschichtsbild und die deutsche Geschichtswissenschaft*, Stuttgart i. i. 1967 (zob. rec. G. Labudy z tej książki w Przeglądzie Zachodnim XXV, nr 3, 1969, s. 215-218); F. Selmeier, *Das nationalsozialistische Geschichtsbild und der Geschichtsunterricht 1933-1945*, München 1969; Ch. Weisz, *Geschichtsauffassung und politisches Denken Münchener Historiker der Weimarer Zeit. Beiträge zu einer historischen Strukturanalyse Bayerns im Industriezeitalter*, Bd. 5, Berlin 1970; G.G. Iggers, *Deutsche Geschichtswissenschaft. Eine Kritik der traditionellen Geschichtsauffassung von Herder bis zur Gegenwart*, München 1971 (1 wyd. angielskie z 1968). W literaturze polskiej por. M.in. G. Labuda, *Historiograficzna analiza tzw. Niemieckiego „naporu na Wschód”*, [w:] *Wschodnia ekspansja Niemiec w Europie środkowej*, Poznań 1963; tenże, *Ideologia nacjonalizmu i rewizjonizmu w poglądach na przeszłość stosunków polsko-niemieckich*, Przegląd Zachodni XXII, nr 4, 1966; *Stosunki polsko-niemieckie w historiografii*. Cz. I. *Studia z dziejów z historiografii polskiej i niemieckiej*. Pod. Red. J. Krasuskiego, G. Labudy, A.W. Walczaka, Poznań 1974. Szerzej podejmuję temat w książce pt. *Nauka historii w upadku. Studium o historiografii i ideologii historycznej w imperialistycznych Niemczech*, Warszawa – Poznań 1982.

Friedrich Meinecke był jednym z największych autorytetów nauki niemieckiej w ogóle; jego nazwisko wymienia się często obok nazwisk takich luminarzy, jak: Savigny, Fichte, Hegel czy Ranke. Urodził się w 1862 r., a więc jeszcze przed ugruntowaniem II Rzeszy; zmarł w 1954 r., a więc już po załamaniu się Niemiec hitlerowskich. Rozpoczął u boku współpracowników i uczniów Leopolda Rankego, pobierał lekcje u koryfeuszy szkoły pruskiej – Droysena, Sybella, Treitschkego w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, a także Diltheya; po drugiej wojnie światowej kładł podwaliny pod rozwój historiografii i ideologii historycznej w Republice Federalnej Niemiec. Przez ponad pół wieku wywierał ogromny wpływ na historiografię: od objęcia w 1896 r. redakcji „Historische Zeitschrift” oraz wydania w 1908 r. fundamentalnej na gruncie nauki niemieckiej syntezy pt. *Weltbürgertum und Nationalstaat* aż po książkę – rachunek sumienia: *Die deutsche Katastrophe* w 1946 r. i aktywność organizatorską lat pięćdziesiątych. Autorytet zawdzięczał intelektualnym walorom swego pisarstwa, ale i zakodowanym w nim treściom politycznym. Kilka pokoleń uczniów pomagało mu – najpierw w okresie republikańskim, potem w latach hitleryzmu, wreszcie w powojennych Niemczech zachodnich – utrzymywać naukę historii w ścisłym powiązaniu z dramatycznymi dziejami oraz zmieniającą się teraźniejszością niemieckiego państwa i narodu. Nie wykazywał nadmiaru odporności na działanie czasu i okoliczności: cechowała go gotowość do metamorfoz (Ernst Schulin: *umlernbereiter Historiker*³); potrafił dotrzymywać kroku zmiennej racji stanu. Ale zarazem, trwając na gruncie w zasadzie wciąż tych samych założeń metodologicznych, zachowywał przynajmniej pozory dystansu wobec dylematów chwili i to nadawało jego poglądom cechy pożądanej wiarygodności. Meinecke był w istocie strategiem, a nie tylko taktykiem w swoim działaniu; symbolizował ciągłość i jedność naukowych i politycznych przekonań. Kształtował w dużej mierze nie tylko opinię środowiska naukowego o problemach niemieckich, ale także opinię o tym środowisku w szerokich kręgach społecznych. Widać to wyraźnie w ogromnej literaturze (tej proveniencji zachodnioniemieckiej w szczególności), w której pisarstwo i poglądy Meineckiego traktowano jako świadectwo przewagi w niemieckiej historiografii ostatniego stulecia tendencji humanitarnych, choć konserwatywnych, nad tendencjami ekstremistycznymi z prawa i lewa, i w której każde słowo pochwały skierowane w stronę Meineckiego znaczyło w rzeczy samej pochwałę całej niemieckiej historiografii. Meinecke prezentowany był jako klasyk, który miał zaświadczать morale „cechu” niemieckich historyków⁴.

³ E. Schulin, *Friedrich Meinecke*, [w:] *Deutsche Historiker*, Göttingen 1971, s. 39.

⁴ Twórczość F. Meineckiego doczekała się ogromnej literatury. W tym miejscu trzeba ograniczyć się do pozycji, które zawierają szczegółowe odsyłacze do prac tego autora oraz literatury przedmiotu: E. Schulin, op. cit., 57–58; idem, *Das Problem der Individualität. Eine kritische Betrachtung*.

II

Historyzm. Meinecke w Rzeszy cesarskiej. Friedrich Meinecke był jednym z najwybitniejszych reprezentantów historyzmu w niemieckiej humanistyce⁵. Szedł śladami przetartymi przez Rankego i Diltheya. Głosił odrębność metod i przedmiotu badań humanistyki; dowodził, że świat człowieka – inaczej niż świat przyrody – składa się z działań jednorazowych, niepowtarzalnych, zmiennych; przyjmował historyczny charakter realnej rzeczywistości i zakładał, że każda z epok, instytucji, nacji rządzi się własnymi „wewnętrznymi zasadami”, nieczuła na impulsy z zewnątrz. Tylko w historii można szukać tego, co ludzkie; tylko przy uznaniu zasady indywidualizmu życia społecznego można zrozumieć przeszłość. Metody nauk przyrodniczych, polegające na klasyfikowaniu gatunków, tworzeniu modeli, ujmowaniu prawd stanowiących rezultat badania w dane liczbowe, statystyczne itp. są dla poznania życia i działania ludzi oraz grup ludzkich, prowadzących życie zorganizowane, całkowicie nieprzydatne. Meinecke z dumą podkreślał, że historyzm stanowi największą zdobycz Niemiec od czasów reformacji. Głosił pochwałę historii, jako realnego, racjonalnego strumienia zdarzeń, które można ujmować wyłącznie w pełnym bogactwie ich zmieniających się obrazów; protestował gorąco przeciwko uznaniu historii za nagromadzenie zdarzeń przypadkowych, za synonim chaosu.

Meinecke połączył kult historyzmu z pochwałą „historii duchowej” (*Geistesgeschichte*), historii idei (*Ideengeschichte*). Oczywiście nie kwestionował roli państwa i narodu, jako ważnych i niezbędnych przedmiotów zainteresowania badaczy, żądał jednak od tych ostatnich odpowiedniego „zbliżenia” do filozofii i zrozumienia „filozoficznego ducha” w dziejach⁶.

Próba historii ujmowanej właśnie jako organiczna jedność polityki i idei, a zarazem jako synteza łącząca element uniwersalizmu w dziejach z elementem narodowego ducha, była pierwsza z czterech syntez Meineckego: *Weltbürgertum und Nationalstaat*, ogłoszona drukiem w roku 1908⁷. Wzbudziła ona

tung des Historismus-Werkes von F. Meinecke, „Historische Zeitschrift” 1963, Bd. 197; W. Hofer, *Geschichtsschreibung und Weltanschauung. Gedanken zum Werke F. Meineckes*, München 1950; A.M. Reinhold, *Friedrich Meinecke-Bibliographie*, „Historische Zeitschrift” 1952, Bd. 174, S. 503-523; W. Berthold, „Großhungern” und gehorchen. Zur Entstehung und politischen Funktion der Geschichtsdeologie des westdeutschen Imperialismus, untersucht am Beispiel von G. Ritter und F. Meinecke, Berlin 1960; G. Lozek, H. Syrbe, *Geschichtsschreibung contra Geschichte. Über die anti-nationale Geschichtskonzeption führender westdeutscher Historiker*, Berlin 1964.

⁵ Por. W. Hofer, *Geschichtsschreibung...*, op.cit. s. 257. Por. też J. Krasuski, *Geneza i upadek niemieckiego historyzmu*, „Przegląd Zachodni” 1962, R. 18, nr 5-6, s. 290-300.

⁶ „Historische Zeitschrift” 1908, Bd. 100, s. 6. Meinecke był redaktorem tego najważniejszego organu historyków niemieckich przez 40 lat (1896-1935).

⁷ F. Meinecke, *Weltbürgertum und Nationalstaat, 1908*, Werke V, 1962. W przedmowie czytamy: „Mein Buch beruht auf der Meinung, daß die deutsche Geschichtsforschung, ohne auf die wertvolle Überlieferung ihres methodischen Betriebes zu verzichten, doch wiederum zu freier

kolosalne zainteresowanie w kraju, przynosząc jej autorowi rozgłos i sławę czołowego metodologa historii. Meinecke opisywał w niej przeobrażanie się Niemiec z narodu jako wspólnoty ducha – „narodu kulturalnego” (*Kulturnation*) w strukturę polityczną – „naród państwowy” (*Staatsnation*). U punktu wyjścia wykładu tkwiła teza o „realno-duchowym” charakterze państw i narodów, przejęta od Rankego i reprezentantów szkoły pruskiej w historiografii oraz przeświadczenie o tym, że każdy naród i każde państwo stanowią „indywidualności”, których kształt emanuje na zindywidualizowaną wprawdzie, ale przecież rzeczywistą i ponadczasową (*zeitlose*) ideę⁸. Tylko z perspektywy dziejów idei można prawdziwie odtworzyć powikłane dzieje jednoczenia się Niemiec. Kształt II Rzeszy to odbicie kosmopolitycznej idei w swoiście narodowej szacie – stwierdzał. Powstanie narodowego państwa prusko-niemieckiego było nie tylko i nie tyle sukcesem politycznym; wyrażało nade wszystko „objawienie prawdy filozoficznej”.

Była to konstrukcja indywidualistyczna, a zarazem antydemokratyczna: zjednoczenie stanowiło w wykładzie Meineckiego rezultat aktywności wybitnych jednostek, a nie ślepych sił społecznych. To one stworzyły „narodową ideę”, uwieńczoną jednością polityczną. Przeważali wśród nich myśliciele, a nie mężowie stanu: Möser, Herder, Novalis, Wilhelm v. Humboldt, Schlegelowie, Fichte, Adam Müller, Haller, Hegel, Ranke itp. Również Bismarck był dla autora przede wszystkim myślicielem. Rezultatem tych założeń była dyrektywa, że aby przedstawić dzieje niemieckie zgodnie z wymogami historyzmu, trzeba je pisać nie z punktu widzenia „dziejów społecznych” (*Sozialgeschichte*), lecz jako historię działania „twórczych myślicieli”⁹. Tylko elitarne podejście do substancji dziejów pozwala osiągnąć „indywidualizację tego, co ogólne”¹⁰.

Rozważania Friedricha Meineckiego o przeszłości niemieckiej jako skorelowanym procesie przeobrażeń politycznych struktur i idei stały się podstawą poglądu o stopniowym zbliżaniu się Rzeszy do ideału „prawdziwego państwa”. Ten punkt widzenia wyzwał potrzebę kultu władzy państwowej. Meinecke wykluczał jakikolwiek konflikt pomiędzy interesami państwa jako organizacji władczej a zasadami etyki, a także pomiędzy rozwojem nacjonalizmu a rozkwitem wolności jednostki.

Regung und Fühlung mit den großen Mächten des Staats – und Kulturlebens sich erheben müsse, daß sie, ohne Schaden zu nehmen an ihrem eigenen Wesen und Zwecke, mutiger werden dürfte in Philosophie wie in Politik, ja daß sie erst dadurch ihr eigenstes Wesen entwickeln könne, universal und national zugleich zu sein” (ibidem, s. 1).

⁸ G.G. Iggers, op. cit., s. 261.

⁹ F. Meinecke, *Werke V...*, s. 24.

¹⁰ Por. W. Hofer, op. cit., s. 66: „Das Allgemeine [...] ist für Meinecke ein individualisiertes und konkretgeschichtliches Allgemeines”.

Państwo nie jest bowiem ani „nagim kompleksem” władzy zwierzchniej, ani też prostą sumą jednostek zamieszkujących jego terytorium. Stanowi ono „konkretną manifestację powszechnej idei”, ożywioną w zindywidualizowanej postaci. Państwo jest dobre, bo stanowi wyraz ideału. I nie może ono działać niesprawiedliwie, dopóki postępuje za własnym przeznaczeniem: „gdyż nie może być niewłaściwe, co wyrasta z głębi indywidualnej istoty”¹¹. Oczywiście zdarzało się, że interesy „zdrowego” państwa nie były zgodne z zasadami zwyczaju i praw, jako że prawdziwe narodowe państwo nigdy nie jest oazą spokoju i bezwładu, a tworzy platformę, na której rozgrywa się walka; miało to jednak miejsce tylko wtedy, kiedy mieszano zasady etyki z zasadami abstrakcyjnymi, lub kiedy bardziej ufano prawu pisanemu niż regułom tworzonemu przez wybitnych przodków, którzy jedynie wiedzieli, jak na własnych barkach dźwigać ciężar racji stanu.

Meinecke nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że droga, jaką przeszły Niemcy w latach 1848–1866–1871, była słuszna, choć była stroma i wyboista. Wyrażał przekonanie, iż stanowiła jedyną, jaka mogła doprowadzić do silnego i zjednoczonego imperium. Tylko ona mogła też przesądzić o nowym ustroju Niemiec, ustroju opartym na szacunku dla zasad konstytucjonalizmu i wolności. Silna władza i wolność nie wykluczają się: wolność – twierdził autor – może rozwijać się wyłącznie w państwie silnym. Silnemu państwu obca natomiast jest suwerenność parlamentu. Meinecke zrozumiał, że w roku 1908 rozwiązania Bismarcka nie mogły już zadowalać: sukcesy demokracji i socjalizmu dyktowały kompromis z socjaldemokratami; lekarstwem na społeczny ferment mógł okazać się przede wszystkim demokratyczny system wyborczy.

Meinecke należał w tym okresie do obozu Fryderyka Naumanna, co znaczy, że domagając się reform ustrojowych i postępu w pracach nad ustawodawstwem socjalnym, jednocześnie udzielał aktywnego poparcia polityce imperialnej rządu Rzeszy. Z naciskiem upominał się o wzbogacenie i przyspieszenie ekspansji kolonialnej. Pod tym względem miłe i bliskie mu były hasła ideologów wszechniemieckich, podobnie zresztą jak sympatyczne wydawały się one innym luminarzom historiografii niemieckiej z obozu „młodorankistów”, takim np. jak Hermann Oncken, Hans Delbrück czy Max Lehmann¹².

¹¹ G.G. Iggers, op. cit., s.264.

¹² J. Krasuski, *Fryderyk Meinecke. Historyk – filozof – polityk*, „Kwartalnik Historyczny” 1962, R. 69, nr 1–2, s. 46–47. Autor stwierdza, że Meinecke „umacniał poczucie wartości i niezbędności Niemiec dla Europy i świata”. Krytycznie ujęli miejsce Meineckiego historycy NRD. Syntetyczna *Deutsche Geschichte* konstatuje: „Meinecke suchte den wilhelminischen Machtstaat mit Geistes – und Bildungsglanz zu verziern und konstruierte eine angebliche Identität von Geist und Macht, die dieser verkörperte”.

III

Stosunek do I wojny światowej. Meinecke miał więc wiele powodów, by wybuch wojny w 1914 r. witać z radością. Wierzył, że będzie ona okazją do pojednania rozdartego społeczeństwa, że stanie się rodzajem „wewnętrznej koherencji”, wyrazem „potrzeb państwa”. Satysfakcję dzielił z ogromną większością znanych historyków niemieckich, którzy też – jak Erich Marcks, Karl Lamprecht, Otto Gierke, Adolf Harnack, Hans Delbrück, Ernst Troeltsch, Herman Oncken, Erich Brandenburg, Georg Below, Dietrich Schäfer czy Edmund Meyer – z pietyzmem przygotowywali pod nią grunt w swoich rozprawach. Pod datą 4 sierpnia pisał: „Każda jednostka ma się od tej chwili uważać za część wielkiej armatury państwa, i pozostawiono jej wybór tylko takiego działania, które najszybciej i najskuteczniej jest w stanie wzmocnić moralne i fizyczne siły narodu”¹³. Jeszcze po kilkudziesięciu latach będzie we wspomnieniach wracać do tego pięknego dnia: „Trzeciego sierpnia [1914] przeżyłem jeden z najpiękniejszych momentów w moim życiu, który znów wlał mi w duszę najgłębsze zaufanie do naszego narodu”¹⁴. Wzruszała go zgoda socjaldemokratów na kredyty wojenne; w listach wciąż wracała myśl, że wojna sprawi „wyzwolenie” Niemiec z wszelkich dysonansów na linii władza – duch¹⁵. Pisał, że uczeni są żołnierzami (*erste Garderegiment Wissenschaft*) i powinni współdziałać z oddziałami frontowymi za pomocą mądrej, patriotycznej propagandy¹⁶. W początkowym okresie wojny, w miesiącach znaczących sukcesów niemieckich nie powstrzymywał się od dezyderatów skrajnie szowinistycznych. Opowiadał się za daleko idącymi aneksjami na Wschodzie – w Polsce i Kurlandii, rozwijał plany wysiedlenia z anektowanych terytoriów ludności niemieckiej oraz sprowadzania tam Niemców nadwożańskich. Marzył o utrzymaniu kontroli nad Belgią, o twardym pokoju z Francją i domagał się podjęcia środków, które wzmocniłyby pozycję Rzeszy na morzu¹⁷.

Kiedy zwycięstwo dawało na siebie czekać, a marzenia ustępowały przeciuciom klęski, Meinecke wcześniej od innych stanął na gruncie potrzeby za-

¹³ *Politik und Kultur, Politische Schriften und Reden. Werke II*, Darmstadt 1958, s. 76.

¹⁴ *Strassburg – Freiburg – Berlin 1901–1919. Erinnerungen*, Stuttgart 1949, s. 137. W *Niemieckiej katastrofie* pisał: „Było to dla nas wielką przygodą, że chcieliśmy być światową potęgą” (*Die Deutsche Katastrophe*, Wiesbaden 1946, s. 18).

¹⁵ W artykule pt. *Und nun erst recht!*, ogłoszonym w „Freiburger Zeitung” (6 VIII 1914) czytały: „[...] Man mag unsere Jugend dezimieren auf den Schlachtfeldern unsere Volksgemeinschaft ist unsterblich”. Por. E. Schulin, *Friedrich Meinecke...*, s. 43.

¹⁶ *Strassburg-Freiburg-Berlin...*, s. 145.

¹⁷ Meinecke nie rozumiał wydarzeń, jakie dokonały się w Rosji na początku roku 1917. W liście do Georga v. Belowa z 26 marca 1917 r. donosił: „Seit der russischen Revolution atme ich auf. Ich hoffe, daß sie ähnliches für unsere Lage bedeutet, wie der Tod der Elisabeth für Friedrich den Großen” (*Werke VI*, s. 89).

warcia „rozsądnego pokoju”¹⁸. Doszukiwał się przyczyn niepowodzeń w towarzyszeniu aktywności lewicowych anarchistów. Pragnął dyktatury wojskowej¹⁹. Do końca był przeświadczony o tym, że cele wojenne Rzeszy sformułowane w 1914 r. były słuszne, podobnie jak właściwą do nich drogą była wojna²⁰.

IV

„Republikanin z rozsądku”. Katastrofa roku 1918 spowodowała – jak wiadomo – szok w „cechu” historyków niemieckich. Również Friedrich Meinecke był głęboko przygnębiony. Konstatował z goryczą, iż kraj znalazł się na „dnie fizycznego i moralnego upadku”²¹; widział w rezultacie wojny konsekwencję błędów w polityce społecznej, skutek niedostatków, które umożliwiały siłom lewicy destrukcyjne działanie w najtrudniejszych momentach zmagania²². Wyrażał zdanie, że odpowiedzialność za rok 1918 była udziałem cesarza i kierownictwa wilhelmińskiej Rzeszy. Stwierdzał: „Demokratyzacja musiała przyjść już chociażby dlatego, że powołane do przewodzenia narodowi warstwy w większości zawiodły na polu polityki zagranicznej”²³. Rząd złożył dowód niedojrzałości zwłaszcza wówczas, gdy nie zdecydował się otworzyć wentyli, które by umożliwiły spokojne rozładowanie napięcia wśród mas. Gdyby w odpowiednim czasie przystąpiono do stopniowego wprowadzania w życie reform socjalnych (*bereitwillig, planmäßig, gesetzlich*), do katastrofy i rewolucji najprawdopodobniej w ogóle by nie doszło²⁴. Poważnym błędem – dowodził – było niedocenia nie przez Hohenzollernów siły i aspiracji politycznych mieszczaństwa.

¹⁸ Nie spodziewał się pokoju lepszego od hubertsburskiego – jak pisał w liście do Moritza Ritera (ibidem, s.90) – ale wystarczająco korzystnego jako podstawa dla „dobrej epoki naszej nowej historii”.

¹⁹ Por. F. Klein, *Die deutschen Historiker im ersten Weltkrieg*, [w:] *Die bürgerliche deutsche Geschichtsschreibung von der Reichseinigung bis zur Befreiung Deutschlands vom Faschismus*, Berlin 1965, s. 247.

²⁰ Ibidem.

²¹ List do J.F. Hoffa, 22 I 1919, Werke VI, s. 98. Por. też idem, *Die deutschen Universitäten und der heutige Staat*, (1926), [w:] *Politische Schriften und Reden*, Werke II, s. 406: „Aber unsere damalige Gegner sind auch zum großen Teile unsere heutigen Gegner, und aus der damaligen Spaltung ist die heutige Spaltung historisch unmittelbar erwachsen. Wir streiten nicht mehr um Kriegsziele, aber wir streiten um die Frage, ob die alte politische Welt Deutschlands, die durch jene abenteuerlichen Kriegsziele und Kriegsmittel in den Untergrund gelockt wurde, diesen Untergang geschichtlich verdient hat, ob die neue politische Form, die wir dafür geschaffen haben, ein volles geschichtliches Lebensrecht für in Anspruch nehmen kann”.

²² Por. w szczególności F. Klein, op. cit., passim. O szoku wśród historyków wywołanym katastrofą 1918 r. piszę obszernie w monografii: *Nauka historii w upadku*, passim.

²³ *Zur nationalen Selbstkritik*, (1918), *Politische Schriften und Reden*, Werke II, s. 258.

²⁴ *Nach der Revolution*, München 1919, s. 27.

Nie były te oceny ani pełne, ani spójne. Brak w nich pogłębionej refleksji socjologicznej, potępienia militarizmu niemieckiego, rzetelności w ocenie rewolucji 1918 r. Najwyraźniej w ich podłożu tkwiło dążenie do zbudowania mostów między tradycją monarchiczną i imperialistyczną a nowym republikańskim, powersalskim łaodem.

W rezultacie Friedrich Meinecke znalazł się w grupie, a ściślej na czele grupy tzw. „republikańców z rozsądku” (*Vernunftrepublikaner*), którzy po katastrofie uznali za celowe pojednać się z Republiką Weimarską. Grupa skupiała niewielkich, ale wybitnych reprezentantów. Należeli do niej m.in. Max Weber, Ernst Troeltsch, Konrad Beyerle, Wilhelm Mommsen, Otto Becker, Hans Rosenberg, Hans Delbrück, Herman Oncken, a z młodszych Hans Rothfels, Gerhard Ritter, Hans Herzfeld i Fritz Hartung. Wywodzili się oni z różnych szkół naukowych i różnych ugrupowań politycznych. Łączyły ich nacjonalizm, konformizm i przekonanie, iż racja stanu nakazuje tłumić resentymenty, a zdrowy „rozsądek” polityczny wymaga zaakceptowania republiki. Uznali ją więc i bronili przed atakami ze strony lewicy i skrajnej prawicy. Ale – jak wiadomo – ani uznanie nie było bezwarunkowe, ani obrona konsekwentna.

Polityczne *credo* „republikańców z rozsądku” sformułował Meinecke w znanym zdaniu, pochodzącym z roku 1919: „Zwrócony ku przeszłości pozostaję monarchistą z serca, zwrócony ku przyszłości jestem republikaninem z rozsądku”²⁵. Przyznawał, że ciężko mu się oddycha w nowym, lodowatym klimacie, tak brutalnie „oczyszczonym” z wartości cenionych w przeszłości²⁶. Ale odwoływał się do poczucia realizmu: „Kiedy się nie ma, co się lubi, trzeba polubić to, co się ma. Moje serce było związane z ideą silnej, oświeconej, przyjaznej ludowi monarchii. Idea ta leży w gruzach. Wyżej jednakże aniżeli tę ideę cenię ideał bratersko zjednoczonego narodu [...]. I nie znam lepszych dróg, by się do niego zbliżyć, jak właśnie reguły formalnej demokracji. Oto forma ustroju, która dzisiaj wydaje się nas najmniej dzielić. Ale dodaję od razu, że trzeba – a sadzę także, że można – wypełnić ją nowym życiem wewnętrznym”²⁷. Podkreślał z naciskiem, że republika będzie dobrze służyć narodowym interesom wtedy i tylko wtedy, kiedy przenikać ją będą stare – przedwojenne – treści społeczne i polityczne²⁸. W głoszeniu idei kontynuacji „republikanie z rozsądku” nie pozwolili się dystansować swoim przeciwnikom politycznym z obozu skrajnie nacjonalistycznego, wrogiego Republice Weimarskiej.

²⁵ *Verfassung und Verwaltung der deutschen Republik, Politische Schriften und Reden, Werke II*, s. 281. W bardziej jednoznacznej formie dał wyraz tej samej myśli w sześć lat później, pisząc: „Ich bin nicht aus ursprünglicher Liebe zur Republik, sondern aus Vernunft und vor allem aus Liebe zu meinem Vaterlande Republikaner geworden” (ibidem, s. 377). Por. też E Schulz, *Friedrich Meinecke...*, s. 44; G. Łozek-H. Syrbe, op. cit., s. 47; B. Faulenbach, *Deutsche Geschichtswissenschaft...*, s. 69.

²⁶ *Verfassung und Verwaltung...*, s. 281.

²⁷ *Nach der Revolution...*, s. 117.

²⁸ List do R.H. v. Srbika, 11 VIII 1925, *Ausgewählte Briefwechsel*, Werke VI, s. 117.

Teoretycznego uogólnienia dylematów władzy i stosunku do nowego państwa dokonał Meinecke w drugiej swej wielkiej syntezie: *Die Idee der Staatsräson in der neuen deutschen Geschichte*, wydanej drukiem w roku 1924²⁹. Pod wpływem dramatycznych wydarzeń złagodził autor swe wcześniejsze optymistyczne sądy o wykluczaniu się konfliktów między interesami państwa a zasadami etyki, pomiędzy nacjonalizmem a rozkwitem wolności jednostek³⁰. Doszedł do wniosku, że napięcie na linii władza – wartości duchowe nie można zlikwidować w sposób zadowalający. Dzieje najnowsze dowodzą, iż władza i państwo okazały się nie tylko twórcami wartości kulturowych, lecz także ich niszczycielami. Władza i etyka, natura i duch nie są konstrukcjami tożsamymi; sadowią się często na antypodach życia publicznego i pozostają z sobą w konflikcie.

Obiektywny idealizm i idea harmonii, tak charakterystyczne dla wcześniejszych prac autora, ustępowały teraz miejsca dualistycznemu ujęciu rzeczywistości³¹. Meinecke domagał się, aby rygorystycznie przestrzegać granic, jakie istnieją pomiędzy racją stanu a abstrakcyjnie rozumianą teorią państwa. Racja stanu – dowodził – określa bowiem interes państwa nie wedle obrazu państwa idealnego, ale wedle obrazu państwa, które istnieje w konkretnych warunkach miejsca i czasu. Oczywiście racja stanu nie jest identyczna również z działaniem władczym państwa: doniosłą rolę przy umacnianiu i rozszerzaniu władzy państwowej grają walory ducha, zasady moralności. Strzeżenie równowagi pomiędzy władzą a etosem należy do najważniejszych obowiązków męża stanu³².

Meinecke nie odrzucił więc całkowicie tezy o możliwości harmonii pomiędzy zasadami ducha a władzą. Pewne minimum harmonii jest oczywiste, tyle że nie istnieje ono automatycznie, samo z siebie. Autor wierzył nadal, że państwo jest twórcą wartości wyższego rzędu, jako że zawsze pożąda ono dla podtrzymania swej egzystencji wsparcia ze strony etyki. Nigdy by nie powstały wysokie kultury starożytności, gdyby onegdaj nie stworzyli po temu warunków podówczas despoci. Władza nie polega na nagiej przemocy; musi ona wciąż wychodzić naprzeciw ludzkiemu pożądanemu tego, co naturalne i uduchowione. Władza musi tworzyć zarówno prawo, jak zwyczaj. Ponieważ jednak państwo stanowi scenę, na której rozgrywają się konfrontacje elementów władczych

²⁹ F. Meinecke, *Die Idee der Staatsräson in der neueren Geschichte*, Werke I, München 1957 (wszystkie cytaty wedle tego wydania).

³⁰ Por. G. Iggers, op. cit., s. 270 i n.

³¹ Ibidem, s. 271.

³² „Zwischen Kratos und Ethos” – pisał Meinecke – „zwischen dem Handeln nach Machttrieb und dem Handeln nach sittlicher Verantwortung gibt es auf den Höhen des staatlichen Lebens eine Brücke, eben die Staatsräson, die Erwägung dessen, was zweckmäßig, nützlich und heilvoll ist, was der Staat tun muß, um das Optimum seiner Existenz, jeweils zu erreichen” (*Die Idee der Staatsräson...*, s. 5).

z elementami kulturotwórczymi, bywa ono nieustannie narażone na niebezpieczeństwo nawrotów do stanu barbarzyństwa. Niebezpieczeństwo to wynika z samej istoty państwa. O ile bowiem na wszystkich innych polach aktywności społecznej działają mierniki pozwalające wznosić zapory przed deformacją, to z samym państwem rzecz ma się inaczej. Państwo nie dysponuje „czystą” teorią własnej państwowej egzystencji i zwłaszcza w swojej działalności zewnętrznej nie zawsze potrafi bronić swych wartości przed siłami zniszczenia. Autor bolał nad konsekwencjami przegranej wojny, dochodząc do przekonania, że przyniosła ona dylematy nie do rozwiązania³³.

Tekst autora w istocie nie głosił nowego teoretycznie ujęcia istoty racji stanu. Książka stanowiła „tragiczny” raport o ciągłości i wikłaniu się konfliktów idei państwowej z myślą filozoficzną i polityczno-ustrojową³⁴. Historyk – twierdził Meinecke – może traktować wydarzenia przeszłości wyłącznie w ramach wielkich, w historii aktywnych sił; nigdy nie jest on w stanie ustalić precyzyjnej relacji między „duchem” a zrelatywizowanymi stanami faktycznymi, mającymi miejsce w dziejach³⁵.

Podstawowy – przynajmniej dla okresu od renesansu XVI stulecia – temat myśli politycznej widział Meinecke w konfliktach, jakie rodziły się pomiędzy nauką prawa natury a obiektywnymi faktami historycznymi. Od XVI w. idea państwa jako podmiotu władzy oraz koncepcja państwa jako środka do dobrobytu stały naprzeciwko siebie i wzajemnie się wypierały. Potrzeby państwa absolutystycznego wzmogły w czasach nowożytnych zainteresowanie problemami racji stanu. Ta z kolei utorowała drogę Oświeceniu. Ale Oświecenie zwróciło się przeciwko absolutyzmowi i przeciwko racji stanu jako wartości nadrzędnej w polityce. Na bazie tego konfliktu wyrosła idea państwa jako „indywidualności” – tworu historycznie niepowtarzalnego, jedynego w każdym swoim wcieleniu. Zrozumienie tego faktu nie niweczyło więzi i harmonii pomiędzy interesem państwa a zasadami etyki, ale je bezsprzecznie osłabiało. Przyczyniły się do tego wolnomularstwo, utylitaryzm, racjonalizm, a także technicyzacja życia. Do „zradyzalizowania” racji stanu doszło też dzięki militarystyce, nacjonalizmowi i kapitalizmowi w rezultacie wzrostu aktywności mas i postępów ideologii demokracji. Idea racji stanu – konkludował Meinecke – postawiona została w obliczu sił demonicznych, które poważnie ograniczyły możliwość działania przywódców i mężów stanu.

³³ Ibidem, s. 14: „Das ist die furchtbarste und erschütterndste Tatsache der Weltgeschichte, daß es nicht gelingen will, gerade diejenige menschliche Gemeinschaft radikal zu versittlichen, die alle übrigen Gemeinschaften schützend und fördernd umschließt”.

³⁴ G.G. Iggers, op. cit., s. 272.

³⁵ *Die Idee der Staatsräson...*, s. 10.

Wykład pełen był elementów ekwilibrystyki i niespójności. Autor pragnął ratować niemiecki historyzm i niemiecki idealizm. Mimo iż pod wpływem doświadczeń 1918 r. odrzucił wcześniejszy pogląd o istnieniu jednej uniwersalnej moralności politycznej, nadal bronił polityki kierującej się racją stanu oraz polityków, stawiających interes państwowy ponad wszelkimi zasadami moralności. „Mąż stanu” – pisał – „który przekonany o nieodzowności konfliktów między polityką a zasadami moralności – ratuje indywidualność państwa kosztem zasad moralnych, działa nie wedle specjalnej moralności państwowej, lecz wedle zasad wyprowadzonych z indywidualnej etyki”³⁶. Skora tak, musi istnieć rodzaj identyczności pomiędzy interesami władzy państwowej a wyższym porządkiem rzeczy. Najgroźniejsze niebezpieczeństwa dla międzynarodowej stabilizacji tkwią wcale nie w nauce o prymacie interesu państwa, a w przenikaniu do polityki – w szczególności do polityki zagranicznej – elementów społecznej demagogii i... nacjonalizmu. Ostatnim mężem stanu, który wiedział, jak chronić interes państwa przed niebezpieczeństwami szowinizmu, był Bismarck³⁷. Przeświadczenie to dzielił autor z przeważającą większością badaczy nowożytnej historii Niemiec.

Obce tradycji historiograficznej były natomiast nutki pesymizmu, jakie przenikały wywód Meineckiego. Katastroficzny charakter miała teza o wzrastającym zagrożeniu europejskiej kultury; głęboko pesymistyczny był pogląd, głoszący, że najważniejszym zadaniem państwa jest rozwijanie jego możliwości, przy czym nie tylko chodziło tutaj o możliwości przeprowadzenia aktywnej działalności w dziedzinie gospodarki, usług socjalnych czy działalności kulturalnej: autor miał na myśli przede wszystkim funkcje polityczne i wojskowe państwa. Przejął on pogląd liberałów o państwie jako organizacji służącej podnoszeniu dobrobytu swoich obywateli, ale się nim nie zadowalał. Państwo pozostawało dlań nadal celem samym w sobie. Tak więc, choć protestował przeciwko ubóstwianiu państwa, nie zamykał sobie dróg do uznania mistycznych czy wręcz sakralnych treści niemieckiej organizacji państwowej.

Książka Friedricha Meineckiego mówiła o dramacie „republikanów z rozsądku”, którzy stawali przed niezmiernie trudnym zadaniem połączenia w spójnej formule kultu państwa uosobionego w niechcianej i niekochanej republice z wyobrazeniami i sympatiami wyniesionymi z poprzedniej epoki. Stanowiła dowód, że „rozsądny republikanin” z największym trudem dotrzymywał kroku „monarchiście z serca”. Świadczyła o pojmowaniu lojalności wobec demokracji weimarskiej jako obowiązku, który był w najlepszym przypadku wyborem mniejszego zła³⁸.

³⁶ Ibidem, s. 504.

³⁷ Ibidem, s. 497.

³⁸ W. Hofer (*Geschichtsschreibung...*, s. 231) nazwał Meineckiego „tragikiem historycznego myślenia”.

Poparcie, jakiego autor udzielał Republice Weimarskiej, było więc niepewne, wątpliwe i nietrwałe. Stanowczo domagał się on utrzymania autorytetu dawnego aparatu państwowego i stawał w obronie starego, ponadpartyjnego stanu urzędniczego³⁹. W miarę upływu lat rządów socjaldemokracji i walk frakcyjnych coraz silniej odzywała się u niego nostalgia za silnym prezydentem. Widział w nim namiastkę cesarstwa (*Ersatzkaisertum*), element integracji narodowej, ostoję pośród zamętu i anarchii, symbol życia publicznego opartego na zaufaniu do władzy (*Vertrauensdiktatur*). Marzyły mu się wzory amerykańskie⁴⁰, a silna egzekutywa miała być – jego zdaniem – gwarantem stabilizacji arystokratycznego modelu społeczeństwa. Elitaryzm Meineckiego – choć starszemu niż u innych republikanów kamuflowany – nie może być kwestionowany. Właściwymi podmiotami historii są – jak w pracach z poprzedniej epoki – wybitne osobistości, twórczy myśliciele; to oni wyznaczają rytm dziejów i decydują o ich kształcie. „Von den Wenigen sickert es zu den Vielen hinunter” – podkreślał z naciskiem⁴¹.

Elitaryzm nakazywał autorowi z pewnego dystansu obserwować rozwój republikańskiego ładu. Wysoko oceniał on sojusz Eberta z Hindenburgiem. Wraz z Maxem Weberem i Hansem Delbrückiem miał odegrać pewną rolę przy „ucieraniu” nazbyt jakoby demokratycznych artykułów weimarskiej konstytucji⁴². Pod koniec lat dwudziestych w sposób charakterystyczny reagował na oznaki degenerowania się weimarskiego systemu parlamentarnego ery rządów gabinetowo-prezydialnych: nie traktował ich jako przejawu kryzysu w ustroju, ale ujmował jako szansę przeobrażenia tego ustroju w kierunku bardziej autorytarnym⁴³. Prawda: uznawał demokrację weimarską za „żelazną polityczną konieczność”⁴⁴, głosił potrzebę współdziałania mieszczaństwa z klasą robotniczą, ale jedynym motywem były tu w istocie względy utylitarne, w tym zaś na pierwszym planie dążenie do zapewnienia krajowi spokoju społecznego. Prawdziwy etos ludowładztwa był mu obcy i nienawistny, podobnie jak pozostałym historykom z obozu „republikanów z rozsądku”. W czasie słynnego „zjazdu pojednania” uczonych z Republiką, jaki odbył się w 1926 r. w Weimarze, właśnie w referacie Meineckiego najsilniej rozbrzmiewała nuta tęsknoty za jednością. Podkreślono w nim jednocześnie, iż prawdziwie wol-

³⁹ Od niego pochodziło wezwanie: „Hände weg der Verwaltung” (Werke II, s. 288).

⁴⁰ Zob. B. Faulenbach, op. cit., s. 69; H. Schleier, *Die bürgerliche deutsche Geschichtsschreibung der Weimarer Republik*, Berlin 1975, s. 52; G. Lozek, H. Syrbe, op. cit., s. 50. Ci ostatni wskazują, że po 1924 r. Meinecke skłaniał się ku dyktaturze jako antidotum na wzrost radykalizmu społecznego (*Notstanddiktatur*).

⁴¹ *Zur Geschichte des älteren deutschen Parteiwesens*, (1917), [w:] *Preußen und Deutschland im 19. Und 20. Jahrhundert*, München, Berlin 1918, s. 151.

⁴² H. Schleier, op. cit., s. 51.

⁴³ B. Faulenbach, op. cit., s. 69.

⁴⁴ I. Geiss, *Studien über Geschichte und Geschichtswissenschaft*, Frankfurt a. Main 1952, s. 89.

nym stanie się niemiecki naród dopiero wtenczas, gdy będzie „silny, uzbrojony, zjednoczony”⁴⁵. Referent wskazywał, że tylko w jedności można marzyć o odzyskaniu dla Niemiec należnego im „miejsca pod słońcem”. Wyciągnięte z arsenału wszechniemieckiego popularne hasło służyło jako krytyka powersalskiego systemu i wyrażało *de facto* gotowość powrotu do polityki imperialnej sprzed roku 1914⁴⁶.

Antyegalitaryzm i nostalgia za utraconą przez Niemcy mocarstwowością kazały Meineckemu z bacznością śledzić karierę ruchu hitlerowskiego.

V

Ocena nazizmu. Nie można wątpić, że Meinecke w ostatnich latach Republiki sceptycznie oceniał rozwój nazizmu. Odważnie też zwracał się przeciwko niemu, przynajmniej tak długo, jak długo sądził, że jego zwycięstwo nie jest jeszcze przesądzone. Z drugiej strony łatwo spostrzec, że niedostatecznie wnikliwie oceniał jego istotę oraz niedostatecznie realistycznie – jego możliwości. Można się o tym przekonać na podstawie lektury jego prywatnej korespondencji z przełomu lat trzydziestych: krytyka ruchu hitlerowskiego nie zawsze była głęboka, nie zawsze konsekwentna, nie zawsze szczerza. Meinecke zresztą nigdy – aż po rok 1946 – nie zdobył się na globalną ocenę nazizmu; atakował go z różnych pozycji, zwracał się – zależnie od okoliczności – tylko przeciwko różnym jego składnikom.

Meinecke obawiał się zwycięstwa faszyzmu przede wszystkim ze względów społecznych. Drżał przed nim, jako siłą, która może rozbić z trudem ułożoną współpracę mieszczaństwa i klasy robotniczej. Traktował go jako ruch, który może zerwać te spośród zadzierzgniętych po 1919 r. więzów, które kazały klasie robotniczej Niemiec skupić się wokół Republiki

⁴⁵ K. Sontheimer, *Die Haltung der deutschen Universitäten*, [w:] *Die deutsche Universität im Dritten Reich. Eine Vortragsreihe der Universität München*, München 1966, s. 28.

⁴⁶ W polemice z Belowem i Goetzem Meinecke podkreślał: „Ich verstehe und Teile durchaus den Schmerz um das, wir verloren haben und stehe innerlich zur alten Zeit wie zur Demokratie auch etwas anders als Goetz. Aus Resignation und historisch-politischer Einsicht, nicht aus innerer Neigung bin ich auf den Boden des neuen staatlichen Zustandes getreten. Ich sage das nicht um hier Politik zu treiben und für die neue Staatsform zu werben. Dazu ist unsere Zeitschrift nicht da, wie denn ja auch Anhänger der verschiedensten politischen Richtungen in ihr zu Worte kommen und ihre beiden Herausgeber trotz abweichender politischer Haltung doch wissenschaftlich eintätig zusammenwirken. Aber fordern muss man von jeden Forscher die Kraft und den Willen, das eigene liebgewonnene Ideal der unabweisbaren Erkenntnis historischer Notwendigkeiten unterzuordnen“ („Historische Zeitschrift“ 1925, Bd. 131, s. 155).

i podjąć walkę z komunistami⁴⁷. Zwracał się przeciwko narodowym socjalistom i innym grupom skrajnej prawicy, bo widział w nich groźbę dla społecznego ładu niemal równie poważną jak ta, której sprawcami byli komuniści⁴⁸. Wydawał się szczerze zatroskany ich atakiem na socjaldemokratów i zastanawiał się, jakie hasła socjalne może w trudnej sytuacji schyłku lat dwudziestych przeciwstawić słabe państwo hitlerowskiej demagogii?⁴⁹

Swoista rezerwa była także rezultatem obaw natury „zewnętrznej”. Narzucały ją brutalna agresywność hitlerowskiej polityki oraz jej ostentacyjny prymitywizm. Meinecke obawiał się, że zdziczały ruch nie tylko odwróci od państwa sympatię mas, ale i da początek retorsjom na arenie międzynarodowej⁵⁰. Przychodziło mu to tym łatwiej, że szczerze wierzył, iż korzenie faszyzmu niemieckiego mają parantele międzynarodowe. „Pokój wersalski jest ostatnią i najsilniejszą przyczyną międzynarodowego socjalizmu” — stwierdzał w znanym artykule pt. *Nationalismus und Bürgertum*, ogłoszonym 21 XII 1930 r. na łamach „Kölnische Zeitung”⁵¹. Wersalski „dyktat” jest ojcem nazizmu w tej samej mierze, w jakiej dał początek światowej karierze bolszewizmu⁵². Pogląd, iż nazizm i komunizm to jedno i to samo, będzie raz po raz wracał w tekstach autora⁵³, najczęściej w roli swoistego alibi dla usprawiedliwienia sceptycznego stanowiska wobec nazizmu. Oba systemy – nazizm i komunizm – sprowadzał Meinecke do wspólnego mianownika totalitaryzmu, co mu po wojnie zapewni wdzięczność epigonów.

⁴⁷ „Als es 1919 die Weimarer Nationalversammlung zu wählen galt, hatte ein sehr großer Teil des Bürgertums, geängstigt durch den Bolschewismus, Instinkt genug, denjenigen Parteien zu folgen, die die Republik aufrichten wollten. Aber als man sich wieder sicher fühlte, wuchs die Lust, die alte Zeit wieder zurückzuführen [...]” (Meinecke, *Republik, Bürgertum und Jugend*, (1925), *Politische Schriften und Reden*, Werke II, s. 376).

⁴⁸ W liście do E. Hölzla z 13 VIII 1926 (Werke VI, s. 122) Meinecke podkreślał, że utrzymanie koalicji z socjaldemokratami jest niezbędnym warunkiem trwania weimarskiej demokracji. Historycy NRD (np. Lozek i Syrbe) dowodzą, iż pseudoliberalne i pseudodemokratyczne idee Meineckiego demoralizowały niemieckie społeczeństwo w przeddzień objęcia władzy przez nazistów.

⁴⁹ Por. H. Schleier, op. cit., s. 100.

⁵⁰ Por. art. pt. *Ein Tag des Denkens* (1929): „Faschistische Eisenbartkuren im Innern schwächen uns auch nach außen, denn sie würden in unserer individuellen Lage das Volk sofort zerreißen” (Werke II, s. 429).

⁵¹ Werke II, s. 441.

⁵² Ibidem, s. 445: „Der Versailler Friede [...] ist zum gemeinsamen Schrittmacher für Bolschewismus und Nationalsozialismus in Deutschland geworden”.

⁵³ Ibidem, s. 444: „Kommunismus und Faschismus sind heute die stärksten, geschichtlich wirksam gewordenen Ausprägungen dieses neuen Strebens der Menschen nach Macht und Sicherheit zugleich durch das Mittel des herrschenden Ordens, der bewaffneten Minorität. Der Nationalismus versucht es nachzumachen [...]”.

Meinecke zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa jawnego terroru, proponowanego przez hitlerowców. Przerażeniem napawały go wieści napływające z Italii. Optował zatem za ustrojem demokratycznym, bo ten wydawał mu się zrazu mniejszym złem. W ostatnich miesiącach Republiki gotów był nawet poprzeć niedemokratyczny rząd Papena-Schleichera: chętnie wybaczał mu jego „konserwatywno-feudalno-militarystyczne” skłonności⁵⁴. Nie potrafiły go zdeprymować nawet wyniki wrześnieowych wyborów z 1930 r., które – jak wiadomo – przyniosły NSDAP ogromny sukces w postaci aż 107 mandatów w Reichstagu. Wyrażał zdanie, że wynik wyborów musi wywołać pożądane reperkusje za granicą, jako że powinien skłonić mocarstwa zachodnie – zwłaszcza Francję – do zbliżenia się do rządu Republiki celem wspólnego zapobiegania groźbie społecznej rewolty⁵⁵. Nie dopuszczał myśli o tym, by naziści mogliby się znaleźć w gabinecie Brüninga⁵⁶. Jeszcze w styczniu 1933 r. dawał wyraz przeświadczeniu, że armia – owa ostatnia opoka legalnego rządu – potrafi zapewnić Republice ratunek⁵⁷.

Najgłębszym niepokojem zdawała się go napełniać atmosfera panująca na uczelniach. W liście do najbliższego przyjaciela, Waltera Goetla, z 4 XII 1931 r. skarżył się, iż spalił mu na panewce pomysł wystosowania antyhitlerowskiej odezwy do studentów: po prostu nie mógł znaleźć „8 dobrych nazwisk”, które by jej tekst zechciały firmować. „W istocie ludzie sposobią się już do inauguracji nazistowskich rządów” – konstatował rozczarowany⁵⁸. Nie powiodła mu się też – jak pisał w 1932 r. – próba zorganizowania sympozjum na temat inwazji nazizmu na uniwersytety, znów z powodu braku kandydatów na referentów⁵⁹. Myśl o tym, że inwazja mogłaby się okazać rzeczywistością, przepełniała go trwogą: „Zamknęłaby się wtedy epoka niemieckiej kultury mieszczańskiej, a wraz z nią zniknęłaby synteza państwa i ducha”⁶⁰.

VI

Meinecke a III Rzesza. Ewolucja poglądów politycznych Friedricha Meineckego w latach 1933–1945 oraz jego postawa wobec III Rzeszy dają

⁵⁴ List do S. Rabl, 4 VIII 1932, Werke VI, s. 132.

⁵⁵ List do C. i S. Rabl, 30 X 1930, Werke VI, s. 128.

⁵⁶ Ibidem.

⁵⁷ List do L. Aschoffa, 1 I 1933, Werke VI, s. 135–136.

⁵⁸ List do W. Goetza, 4 XII 1931, Werke VI, s. 131.

⁵⁹ List do Aschoffa, 24 IV 1932, Werke VI, s. 130.

⁶⁰ Z listu do S. Kaehlera, 29 II 1932 (Werke VI, s. 343): „Nur für ein Schicksal, das uns allen einen Hitler als Reichschef aufbrummen konnte, habe ich gar keine Fassung. Da hört dann mein Verstand auf”.

od dawna asumpt do żywego zainteresowania ze strony badaczy. Wywoływały namietności wśród współczesnych; skupiają uwagę historiografii obu państw niemieckich po wojnie: stanowią przedmiot rozlicznych interpretacji w literaturze światowej⁶¹. Podkreślić się przy tym godzi na wstępie, że wnioski, jakie wysuwa się na podstawie nie zawsze wystarczająco wnikliwych i rzetelnych analiz, są wielce rozbieżne. Nie może to zaskakiwać: spór historiograficzny ma w poważnej mierze podłoże ideologiczne. Meinecke wciąż cieszył się sławą największego autorytetu w nauce historii w Niemczech, mimo że od 1932 r. osiągnął wiek emerytalny i już nie wykładał na uniwersytecie, a w 1935 r. przestał pełnić funkcję redaktora „Historische Zeitschrift”⁶². Pozostał „Altmeister der Geistesgeschichte” i w takim charakterze wszedł do historii historiografii; historycy zachodni nie mogli nie pamiętać, że właśnie od niego wyszła pierwsza po kapitulacji w 1945 r. synteza dziejów Niemiec: usprawiedliwienie katastrofy i rachunek sumienia, a zarazem pierwszy program odrodzenia historiografii w państwie zachodnioniemieckim. Grał rolę symbolu, symbolu ciągłości w nauce i ideologii niemieckiej; znaczy to, że ocena jego postawy wobec reżimu Hitlera mogła posiadać wymiar uogólniający: zaświadczała postawę całej „uczonej” historiografii w III Rzeszy, stanowiła wobec tej ostatniej element moralnej rehabilitacji. Stąd liczne nutki apologetyczno-hagiograficzne. Liczni biografowie i historycy historiografii, a wśród nich bogato reprezentowani uczniowie mistrza, chętnie kreowali go na badacza patriotę, który ani przez chwilę nie myślał o pojednaniu z hitleryzmem, który od początku do końca go moralnie dyskwalifikował i który w końcu nie

⁶¹ Por. m.in. R.W. Sterling, *Etics in a World of Power. The Political Ideas of Friedrich Meinecke*, Princeton 1958; G. Schmidt, *Deutscher Historismus und der Übergang zur Demokratie. Untersuchungen zu den politischen Gedanken von Meinecke, Troeltsch, Max Weber*, Lübeck 1964; W. Goetz, *Friedrich Meinecke*, [w:] *Historiker in meiner Zeit. Gesamte Aufsätze*, Köln 1957; G.G. Iggers, op. cit., passim; H. Rothfels, *Friedrich Meinecke. Ein Rückblick auf sein wissenschaftliches Lebenswerk, Trauerrede gehalten in Westberlin am 27 II 1954*, Berlin – Dahlem 1954; idem, *Friedrich Meinecke. Zum 100. Geburtstag am 30. Oktober 1962*, „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, 27 X 1962, nr 251; A.M. Reinhold, *Friedrich Meinecke. Bibliographie...*; L. Dehio, *Friedrich Meinecke – der Historiker in der Krise*, Berlin – Dahlem 1953; F.T. Epstein, *Friedrich Meinecke in seinem Verhältnis zum europäischen Osten*, „Jahrbuch für die Geschichte zur Mittel- und Osteuropa”, 1954, III s. 119–144; W. Bussmann, *Zum Gedanken an seinen 100. Geburtstag*, „Aus Politik und Zeitgeschichte”, 16 I 1963; W. Hofer, *Geschichtsschreibung...* passim; E. Schulin, *Friedrich Meinecke...*, passim; por. też wspomnienia i okolicznościowe publikacje pióra m.in. K.A. v. Müllera (*Zwölf Historikerprofile*, Berlin 1935), H. Onckena (*Forschungen und Fortschritte VIII*, 1932), F. Schnabla („Hochland” 1937, XXX), H.R. v. Srbika (*Historische Zeitschrift* 162). W polskiej literaturze Meineckemu uwagę poświęcali: Z. Wojciechowski (w recenzji z *Die deutsche Katastrophe* w: „Przegląd Zachodni” 1947, R. 3, nr 3); J. Krasuski (j.w.) oraz F. Ryszka (*Państwo stanu wyjątkowego...*, s. 116–117).

⁶² Por. najszerszej H. Heiber, *Walter Frank und sein Reichsinstitut...*, passim.

zawahał się wstąpić do ruchu oporu⁶³. Joachim Fest napisał niedawno, że Meinecke był jednym z najbardziej zacieklej przeciwników nazizmu, tak zasłużonym, jak np. filozof Kurt Huber, jak fizykochemik Otto Hahn czy fizyk Werner Heisenberg⁶⁴. Na drugim biegunie historycy NRD rozwinęli tezę o Meineckem jako historyku, który w decydującym momencie udzielił nazizmowi poparcia, jako że widział w nim alternatywę komunizmu. Podkreślają oni, że postawa jego w państwie hitlerowskim doprowadziła go po katastrofie do grona propagatorów amerykańskiego imperializmu i rzeczników polityki NATO⁶⁵.

Problem jest złożony; na pytanie o postawę polityczną Meineckiego wobec hitlerowskiej Rzeszy z pewnością nie ma jednej odpowiedzi. Stosunek jego do nazistowskiej rzeczywistości stanowił wypadkową dawnych przekonań politycznych oraz wyniesionej z poprzedniej epoki, a zsynchronizowanej z tymi przekonaniami ideologii historycznej. Kształtował on swój do niej stosunek także pod wrażeniem „rewolucji 1933 r.” oraz metod „ujednolicania” życia wewnętrznego Niemiec. Zmieniał go w związku z doświadczeniami własnymi i losem kolegów; poddawał weryfikacjom w chwilach sukcesów i niepowodzeń reżimu. Można więc znaleźć u Meineckiego tych lat mnogość motywów dyktujących jego postawę oraz kształtujących jego polityczną tożsamość: przerażenie i nadzieję, niepewność i selektywną afirmację, rezygnację i zafascynowanie, troskę i dumę. W poglądach i postawach Meineckiego odbijały się niczym w zwierciadle poglądy i postawy bardzo znacznej części „uczonych” historyków niemieckich.

Na początku – jak wiemy – dominowały niepewność i z troskanie: Meinecke nie krył niechęci do narodowego socjalizmu. Metody, za pomocą których naziści sposobili się do intronizacji swych rządów, budziły w nim opór⁶⁶. Podkreślimy jednak, że niechęć nie uległa osłabieniu także w pierwszych miesiącach po „rewolucji”, kiedy Meinecke nie tracił nadziei na rychły upadek prymitywnego reżimu. Przyrównywał Hitlera do szatana⁶⁷,

⁶³ Por. opinie H. Holborna, H. Rothfelsa, H. Barona, F. Gilberta, D. Gerhardta, H. Rosenberga, G. Masura, Chr.A. Vagtsa (*Currents of Thought in Historiographie*, „American Historical Review” 1936/1937, vol. 42, s. 466 i n.). Najpełniejszą rehabilitację zamieścił W. Goetz w rozprawie: Friedrich Meinecke..., s. 345 i n.

⁶⁴ J.J. Fest. *Das Gesicht des Dritten Reiches*, München 1963, s. 355.

⁶⁵ Por. m.in. W. Bertold, *Großhungern und gehorchen...*; G. Lozek, Friedrich Meinecke, [...] *Studien über die deutsche Geschichtswissenschaft...*, II, s. 303–325; idem, *Westdeutsche Natohistoriker zum 100. Geburtstag, Friedrich Meineckes*, „Zeitschrift für Geschichtswissenschaft”, 1963, H. 4, s. 764–768; G. Lozek, H. Syrbe, *Geschichtsschreibung contra Geschichte...* Por. też A.N. Daniłow, *Fryderyk Meinecke i niemieckij burżuaznyj istorizm*, Nowaja i nowiejszaja istorja, Moskwa 1962, nr 2, s. 43–62.

⁶⁶ Por. E. Schulin, op. cit., s. 50–51.

⁶⁷ Th. Schieder, *Die deutsche Geschichtswissenschaft im Spiegel der Historischen Zeitschrift*, „Historische Zeitschrift” 1959, Bd. 189, s. 1–104.

a jego otoczenie do zgrai półgłówków⁶⁸. W jednym z listów do Goetza podniósł, że należy być przygotowanym na najgorsze⁶⁹. Nie ograniczał się zresztą do utyskiwań, które można wytropić w prywatnej korespondencji. Zastanawiał się nad możliwością wystosowania do Hindenburga utrzymanego w dramatycznym tonie apelu o postawienie w stan gotowości armii. Sondował szansę powodzenia memoriału piętnującego niszczycieli Republiki⁷⁰. Dwa dni przed pożarem Reichstagu publicznie ostrzegał przed brunatnym terrorem⁷¹. 22 lutego ogłosił na łamach „Berliner Volkszeitung” artykuł, w którym kreślił przyszłość nazistowskich rządów w ciemnych barwach⁷². Stawiał w nim odważne pytanie, czy powołanie Hitlera na stanowisko kanclerza było aktem, którego wymagała racja stanu? I odpowiadał na nie przecząco, dodając znacząco, że już wcześniejsze dymisje Brüninga i Groenera stanowiły nieporozumienie. Zdawał się szczerze wierzyć, że wyznaczone na marzec wybory przyniosą hitlerowcom klęskę. Traktował nazizm jako zjawisko przejściowe. Pisał, że dopóki głowy nie spadają, trzeba nimi przy najmniej potrząsać na znak protestu⁷³.

Zmiany w postawie uczonego zaznaczyły się, kiedy przewidywana kompromitacja nazistów i ich oczekiwane zejście ze sceny dawały na siebie czekać. Meinecke pośpiesznie łagodził swe krytyczne sądy, a sceptyczne potrząsania sędziwą głową zaczął coraz częściej przeplatać potakiwaniami. Coraz częściej też pojawiało się teraz pytanie o pozytywne wartości hitleryzmu i możliwości „dopasowania” się do nowej rzeczywistości. „Ciągłe staram się dostrzec w owym nowym to, co w nim pozytywne” – zwierzał się Waltherowi Lenelowi. „Bo właśnie jakże często to, co nowe i owocne rodziło się w ciężkim bólu”⁷⁴. Przyznawał, że dotąd nie doceniał ogromu dynamiki, jaką potrafił rozwinąć ruch Hitlera. Dynamika ta imponowała mu niesłychanie: „Tu nie mamy co wymyślać, to trzeba chcieć rozumieć” – stwierdzał⁷⁵. Czasem wracało poczucie bezradności: „My starzy jesteśmy skazani na odejście”; – pisał raz do Goetza – „pociechą pozostaje fakt, że było nam

⁶⁸ List do C. i S. Rabl, 20 XII 1933, Werke VI, s. 142–143.

⁶⁹ List do W. Goetza, 20 II 1933, Werke VI, s. 137.

⁷⁰ H. Heiber, op. cit., s. 191; J. Krasuski, *Fryderyk Meinecke...*, s. 63. Przypomnijmy, że w 1932 r. Meinecke prowadził kampanię na rzecz Hindenburga w prezydenckich wyborach (F. Meinecke, *Wählt Hindenburg!*, Werke VI, s. 460–463).

⁷¹ Wedle relacji własnej, por. Werke VI, s. 484.

⁷² Art. Pt. *Vom Schleicher zu Hitler. Volksgemeinschaft-nicht Volkszerrëissung*, „Berliner Volkszeitung” 1933, LXXX, nr 89, 22 II, Werke II, s. 479.

⁷³ H. Schleier, op. cit., s. 101.

⁷⁴ List do W. Lenela, 7 V 1933, Werke VI, s. 138.

⁷⁵ Zob. J.L. Edinger, *Sozialdemokratie und Nationalsozialismus. Der Parteivorstand der SPD im Exil 1933–1945*, Hannover 1960, s. 200.

dane w bardziej szczęśliwych czasach trzymać rękę ma pulsie życia”⁷⁶. Na ogół jednak starał się zachować optymizm; podkreślał, że jego obowiązkiem jest „do ostatniego tchu [być] dobrym Niemcem”⁷⁷.

To założenie otwierało drogi do koegzystencji, a nawet współpracy z nowym państwem. Nie zamykała jej także polityczna przeszłość autora. Meinecke był nacjonalistą, któremu zawsze bliską była polityka światowa Rzeszy. Nigdy nie dawał powodu, by go posądzano o wrogi stosunek do polityki antysemityzmu. Choć w poprzedniej epoce chętnie afiszował się jako „republikanin z rozsądku”, dzielił z całą niemiecką prawicą szczerą nienawiść do postanowień traktatu wersalskiego i nie ukrywał wrogości do egalitaryzmu, marksizmu i komunizmu. Miał dobre stosunki z Walterem Frankiem, wschodzącą gwiazdą nowej „walczącej” historiografii hitlerowskiej, dyrektorem „Reichsinstitut für Geschichte des neuen Deutschlands”. Jeszcze w 1929 r. ogłosił niezwykle pochlebną recenzję z jego monografii o Adolfie Stoeckerze, będącej w istocie wyznaniem antyżydowskiego zacierzwienia⁷⁸. Aż do końca jego stosunki z ambitnym „prezydentem” będą – mimo różnicy zdań w wielu kwestiach incydentalnych i generalnych – w istocie więcej niż poprawne. Meinecke z umiarkowaniem bronił swych odsuniętych od stanowisk komilitonów; potrafił zdobywać się na rodzaj samokrytyki, kiedy mu wyrzucano trwanie na pozycjach „czystej”, „obiektywnej”, „liberalnej” nauki⁷⁹: „Istnieje mechaniczne i twórcze naśladownictwo” – odpowiadał Schröderowi i Kriekowi, zapewniając ich, że należy go traktować jako epigona „twórczego”, sięgającego do tradycji w sposób selektywny, świadomego potrzeb współczesności⁸⁰.

Nie stał się też Meinecke przedmiotem szykan ze strony władz. Jedynym dotkliwym ciosem było pozbawienie go w 1935 r. funkcji redaktora „Historische Zeitschrift”⁸¹. Kilka razy został ostrzej zaatakowany przez nazistowską młodzież z Instytutu Historii Nowych Niemiec⁸², ale były to ataki tak niewybredne w formie i treści, że nawet współpracujący z Instytutem nestorzy „nowej”

⁷⁶ List do W. Goetza, 18 IX 1934, Werke VI, s. 146–147.

⁷⁷ List do W. Lenela, 7 V 1933, Werke VI, s. 138.

⁷⁸ „Historische Zeitschrift” 1929, Bd. 140, s. 155–156: „Es weht der Atem der Geschichte durch dieses Buch” – pisał. „Wir älteren können dem Jüngeren nur dankbar sein, daß er uns zu einer solchen Klärung des psychologisch und historisch gleich schwierigen Problems verholfen hat”.

⁷⁹ Por. H. Heiber, op. cit., s. 227 i n.

⁸⁰ Zob. recenzję z pracy Waltera Franka pt. *Kämpfende Wissenschaft*, „Historische Zeitschrift” 1935, Bd. 152, s. 101–103.

⁸¹ Zob. m.in. G. Lozek, H. Syrbe, op. cit., s. 235.

⁸² Zob. np. E. Kriek, *Schöpferisches Epigonentum. Eine Antwort... an Friedrich Meinecke, Völkischer Beobachter* (wyd. berlińskie) z 14 VII 1935. Ostrą krytykę zawierały prace G. Schrödera (*Geschichtsschreibung als politische Erziehungsmacht*, 1939), W. Franka, (*Die deutschen Geisteswissenschaften im Kriege*, 1940) oraz Ch. Stedinga (*Das Reich und die Krankheit der europäischen Kultur*, 1940).

akademickiej historiografii chwycili natychmiast za pióro, by go bronić⁸³. Sam przyznawał, że zarówno z Karlem Aleksandrem von Müllerem (np. jego następcą w redakcji HZ), jak Erichem Marcksem czy Heinrichem Ritterem von Srbikiem łączyły go więzy serdecznej przyjaźni. Aczkolwiek odsunięty od wielu stanowisk organizacyjnych – np. członkostwa Komisji Historycznej Rzeszy (Historische Reichskommission) czy Komisji Historycznej Bawarskiej Akademii Nauk – zachował prawo publikowania swoich prac i przez cały czas aktywnie uczestniczył w życiu naukowym⁸⁴.

Wiosną 1936 r. wyszła drukiem ostatnia część fundamentalnej trylogii poświęconej metodologicznym aspektom historyzmu: *Die Entstehung des Historismus*⁸⁵. Praca została entuzjastycznie przyjęta przez krytykę, przy czym wśród kilkudziesięciu recenzentów nie brakowało nazwisk zdeklarowanych zwolenników nazizmu⁸⁶. Podobnie ciepło przyjęto jego zbiory drobniejszych studiów: *Vom geschichtlichen Sinn und vom Sinn der Geschichte*⁸⁷ oraz *Aphorismen und Skizzen zur Geschichte*⁸⁸, oba z 1942 r. Wznowienie *Preußische Gestalten und Probleme* ukazało się w symbolicznej szacie zewnętrznej, z wizerunkiem stalowego hełmu i żelaznego krzyża na okładce⁸⁹.

Nie ominęły go i inne wyróżnienia. W roku 1936 umożliwiono mu wyjazd z żoną do USA celem wygłoszenia wykładów oraz odebrania nadanej mu przez Uniwersytet Harvarda godności doktora *honoris causa*. W tym samym roku uroczyście obchodzono 50-lecie pracy naukowej, a w kilkanaście miesięcy później – 75-lecie urodzin. Szczególnie podniosły charakter miał jubileusz 80-lecia, obszernie komentowany w prasie i radiu, uhonorowany okolicznościowym tomem „Historische Zeitschrift”⁹⁰.

Gesty, jakie reżim Hitlera kierował w stronę pierwszego niemieckiego historyka, miały zabarwienie polityczne. Chodziło o utrzymanie minimum prestiżu nauk humanistycznych za granicą. Chodziło też o akt kurtuazji wobec samej nauki historii, której chciano w ten sposób – być może – wynagrodzić gotowość do współpracy, poniżenie oraz liczne deformacje i okaleczenia. Miały wszakże te akty uznania oparcie również w treści pisarstwa Friedricha Me-

⁸³ H.R. v. Srbik w „Historische Zeitschrift” 1940, Bd. 162, s. 331–333; K.A. v. Müller, ibidem, s. 339–346 i in.

⁸⁴ Por. H. Heiber, op. cit., passim.

⁸⁵ F. Meinecke, *Die Entstehung des Historismus*, Berlin 1936.

⁸⁶ Komplet recenzji prasowych znajduje się w archiwum Instytutu Historii Współczesnej (Institut f. Zeitgeschichte) w Monachium. „Ehrfurcht und Liebe allein können das geistige Band knüpfen zwischen den Persönlichkeiten und der Zukunft” – pisał J.F. Hoff na łamach „Frankfurter Zeitung” (9 II 1936).

⁸⁷ Leipzig 1942.

⁸⁸ Leipzig 1942.

⁸⁹ Zob. G. Lozek, H. Syrbe, op. cit., s. 67.

⁹⁰ „Historische Zeitschrift” 1943, Bd. 167. W tomie pisali m.in. K.A. v. Müller, H.R. v. Srbik, S.A. Kaehler, P. Rasson i G. Ritter.

ineckiego. Bo choć Meinecke nie znalazł się wśród „wojujących historyków” uprawiających badania ze swastyką w roli znaku jakości, przecież sama świadomość znaczenia jego teoretycznych refleksji dla bieżącej polityki nie była mu obca. Przeciwnie: głosił się wrogiem historii niezaangażowanej, przesiąkniętej „zaduchem laboratorium” (*Laboratoriumsgeschmack*). Propagował postawę intuicjonistyczną, traktującą dzieje jako subiektywny twór historyka⁹¹. Znów widział w państwie strukturę o charakterze etycznym, której interesy pozostawały w ostatniej instancji zgodne z ideałami wolności i moralności: „Nie może być niemoralne to, co wywodzi się z najgłębszej indywidualnej jego [państwa – H.O.] natury”⁹². Historyzm nie był przeszkodą na drodze prowadzącej do uznania za wartość ujemną polityki hitlerowskiej, zwłaszcza na obszarze polityki wewnętrznej, ale pozwalał też na postawienie znaku równości pomiędzy zagraniczną polityką Hitlera a niemiecką (wielkoniemiecką) racją stanu⁹³. Stwarzał tym samym podstawę do wzmacniania naizistowskiej tezy o odrębności i wyższości niemieckiej kultury nad kulturą zachodnią. Wszystko to musiało spotkać się z uznaniem brunatnych władców Niemiec, tym bardziej że w miarę rozwoju wydarzeń przynoszących nazistom sukcesy, stosunek historyka do problemów współczesności ulegał systematycznemu ocieplaniu. Meinecke jeszcze bardziej zbliżył się do luminarzy nazistowskiej historiografii. Wielokrotnie zapewniał ich, że coraz lepiej rozumie motywy, jakie zaprowadziły ich do obozu hitlerowskiego⁹⁴. Obok najbardziej zażartych nazistów wystąpił z artykułem w księdze pamiątkowej ku czci Srbika, wydanej z okazji sześćdziesiątej rocznicy jego urodzin⁹⁵. W jednym z listów do córki pisał znamiennie, iż wprowadzie nadal odrzuca „gwałtowne metody” stosowane przez nazistów, ale jednocześnie „aprobuje cały szereg pozytywnych tendencji w ruchu”⁹⁶. Walterowi Goetzowi zwierzał się, że nie miałyby nic przeciwko „stopieniu się” tradycyjnych wartości społecznych z „niektórymi składnikami ideologii nazizmu”, pod jednym tylko warunkiem, że „znów zostanie uznana złota nić łącząca niemiecki duch z duchem Zachodu”⁹⁷. Te i tym podobne wypowiedzi zyskały u schyłku lat trzydziestych zdecydowaną przewagę nad głosem pesymizmu, rezygnacji czy niechęci⁹⁸.

⁹¹ J. Topolski, *Metodologia historii*, Warszawa 1968, s. 112.

⁹² Werke V, s. 83.

⁹³ Zob. m.in. G.G. Iggers, op. cit., s. 294.

⁹⁴ Listy do H.R. v. Srbika, 8 XI 1935, Werke VI, s. 168; do W. Franka, 3 XI 1935, ibidem, s. 163; do K.A. v. Müllera, 10 VII 1942, ibidem, s. 222; do H.R. v. Srbika 13 XI 1941, ibidem, s. 202–203; do W. Andreasa, 6 III 1939, ibidem, s. 184–185.

⁹⁵ *Gesamtdeutsche Vergangenheit. Festgabeschrift zum 60. Geburtstag H. R. v. Srbiks*, München 1938.

⁹⁶ List z 20 XII 1933, Werke VI, s. 143.

⁹⁷ List do W. Goetza, 18 V 1943, Werke VI, s. 216.

⁹⁸ List do S. Kaehlera, 8 X 1935, Werke VI, s. 152: „ Draussen: die Finsterniss sinkt tief und immer tiefer”.

VII

Metamorfozy w czasie II wojny światowej. W sposób najbardziej charakterystyczny reagował Meinecke na ekspansję niemiecką i przebieg działań wojennych. Już pierwsze wielkie triumfy w polityce europejskiej pozbawiły go resztek skrupułów. Z wyraźnym uznaniem przyjął Anschluss Austrii i zajęcie Czechosłowacji. Z satysfakcją śledził napaść na Polskę. W liście do Siegfrieda Kaehlera z 26 września 1939 r. czytamy: „Musiał się Pan cieszyć z tak udanej wyprawy na Polskę. O towarzyszących okolicznościach (*über das Drum und Dram*) musielibyśmy teraz gruntowniej porozmawiać. Właśnie czytam werset 18, 134 Odysei”⁹⁹. Świetne zwycięstwo nad Francją witał z uczuciem „głębokiego wzruszenia, dumy i radości”¹⁰⁰. Sprawność niemieckich dywizji wprowadzała go w najwyższy podziw. Klęskę odwiecznego wroga traktował jako w pełni zasłużoną karę za traktat wersalski¹⁰¹. Pisał, że w dniach tych myślami często wracał do roku 1866: „Wtenczas też tak chcieliśmy, ale jeszcze nie potrafiliśmy”¹⁰². Naiwnie sądził, że powalenie Francji na kolana zakończy wojnę; że stworzy podstawy pod nowy ład w Europie i stanie się pierwszym krokiem ku stanom zjednoczonym Europy, a więc takiej strukturze, która przywróci dawną hegemonię Niemiec na kontynencie¹⁰³. Jeszcze po wojnie będzie uważał za grzech główny Hitlera właśnie to, że nie umiał on wówczas powiedzieć sobie: *halt!*¹⁰⁴.

Euforia ustąpiła wraz z ustaniem błyskawicznych, łatwych zwycięstw. Od jesieni 1941 r. w tekstach Meineckiego znów pojawiły się nuty rozczarowania, pesymizmu, a za nimi... dezaprobaty. Idea „nowego ładu” z Niemcami w roli głównej przestawała fascynować umysł historyka. Meinecke przyznawał, że „stara filozofia historii” już nie wystarcza¹⁰⁵. Zastępował ją silnymi elementami mistycyzmu, szukał pociechy w słowach Goethego, które mówiły o tym, że żadna istota nie może ostatecznie zniknąć z powierzchni życia¹⁰⁶. Z ubolewaniem przyjmował wiadomość o nie-

⁹⁹ List do S. Kaehlera, 26 XI 1939, Werke VI, s. 357.

¹⁰⁰ W liście do S. Kaehlera z 4 VII 1940 (Werke VI, s. 363-364) czytamy: „Freude, Stolz und Bewunderung auf dieses Heer müssen zunächst auch für mich dominieren. Und Strassburgs Wiedergewinnung! Wie sollte da das Herz nicht schlagen. Es war doch eine erstaunliche, und wohl die größte Leistung positive des 3. Reiches, in vier Jahren ein solches Millionenheer neu aufzubauen und zu solchen Leistungen zu befähigen. Und die Hoffnung regt sich leise, daß von diesem Heere aus nun auch im Innern ein freierer Atemraum für unser einen sich bilden könne. Ich will, wie gesagt, in Vielem, aber nicht in Allem umlernen”.

¹⁰¹ List do C. Rabl, 12 XI 1940, Werke VI, s. 192.

¹⁰² List do H. R. v. Srbika, 8 VII 1940, Werke VI, s. 193.

¹⁰³ Ibidem.

¹⁰⁴ F. Meinecke, *Zur Selbstbesinnung*, 16 VI 1945, Werke VI, s. 485.

¹⁰⁵ List do W. Goetza, 1 X 1942, Werke VI, s. 206.

¹⁰⁶ List do S. Rabl, 5 III 1945, Werke VI, s. 238; do W. Goetza, 12 I 1944, Werke VI, s. 233.

mieckich okrucieństwach (dopiero teraz!); przyrównywał zbliżający się upadek niemieckiej kultury do katastrofy świata starożytnego¹⁰⁷.

Wciąż otwarta pozostaje sprawa powiązań Meinecke z ruchem 20 lipca. Enuncjacje na ten temat spisane przez niego samego lub też przez biografów, którymi byli najczęściej uczniowie, nie brzmią przekonująco¹⁰⁸, tym bardziej że pochodzą one zazwyczaj z okresu po 1945 r. Odnotowania w tym kontekście wymaga okoliczność, że przez ostatnie miesiące wojny korzystał Meinecke z gościny hitlerowskiego profesora, barona Götz von Pölnitza¹⁰⁹.

Jeden temat wracał w korespondencji z tych lat jak bumerang: to paniczny lęk przed komunizmem. Skoncentrowanie wszystkich sił na froncie wschodnim stanowi pierwsze przykazanie wojskowej i politycznej strategii – przekonywał¹¹⁰. Nie ma innego wyjścia, jak zacisnąć zęby, trwać w walce przeciwko bolszewizmowi¹¹¹. Obrona przed sowiecką Rosją to „wspólny podstawowy cel, do którego należy dążyć za wszelką cenę”¹¹². Aby tylko narodowi starczyło wewnętrznego hartu, nieodzownego w wojnie totalnej¹¹³. Przygotowujemy się na przyjęcie bolszewizmu; może uda się go przyjąć w innej wersji niż rosyjska?¹¹⁴ Przeraża go fakt, że niemieckiemu żołnierzowi zaczyna imponować bohaterstwo Rosjan¹¹⁵.

Oto zasadnicze myśli, w jakich zawarł Meinecke swój stosunek do realiów ostatnich miesięcy wojny. Nietrudno zrozumieć, że mieściły one już zapowiedź tych tez, z którymi wystąpi on – pierwszy z historyków niemieckich – w kilka miesięcy po jej zakończeniu.

VIII

„Niemiecka katastrofa”. Po katastrofie 1945 r. Meinecke stał się postacią niemalże monumentalną w rozbitym świecie historyków. Jego zawsze poważny autorytet naukowy i moralny wzrósł jeszcze, kiedy

¹⁰⁷ List do L. Dehio, 19 I 1945, Werke VI, s. 233.

¹⁰⁸ Por. W. Goetz, *Friedrich Meinecke...*, s. 246; F. Meinecke do żony, 24 IX 1934, Werke VI, s. 147; L. Dehio we wstępie do F. Meinecke, *Ausgewählter Briefwechsel*, Werke VI, s. X.

¹⁰⁹ Zob. „Braune Universität” 1965, z. 3, s. 98.

¹¹⁰ List do S. Kaehlera, 18 IX 1943, Werke VI, s. 429.

¹¹¹ List do tegoż, 15 XI 1943, Werke V, s. 436–438.

¹¹² List do W. Goetza, 18 V 1943, Werke VI, s. 215–217: „Unser gemeinsames Hauptziel ist, Abwehr des Bolschewismus, unter allen Umständen”.

¹¹³ List do H. R. v. Srbika, 15 IV 1944, Werke VI, s. 403.

¹¹⁴ List do W. Steffensa, 13 XI 1943, Werke VI, s. 218.

¹¹⁵ List do W. Goetza, 22 III 1943, Werke VI, s. 214: „[...] Die Aussicht für uns, bolschewisiert zu werden, ist und bleibt grauenvoll”.

objawiono, że był przeciwnikiem hitleryzmu i należał do ścisłego grona aktywnych przywódców ruchu oporu. Otoczyła go sława, jaka nie była udziałem żadnego z niemieckich badaczy dziejów. Symbolizował siłę „cechu”, miał uosabiać jego warsztatowe mistrzostwo, polityczną dojrzałość, a także niewzruszoność ducha. Mit bohaterstwa umiejętnie szerzył sam, m.in. wtedy kiedy opisywał swój negatywny stosunek do nazizmu lub wtedy, kiedy demagogicznie określał swą życiową drogę jako szlak prowadzący od prawa na lewo¹¹⁶. Zdawał sobie sprawę, iż dawne sympatie do Naumanna mogą być dobrą wizytówką zarówno na użytek rodaków, jak i aliantów, którym był potrzebny jako „dobry” Niemiec. Wiedzano w końcu, że od Meineckiego zawsze można oczekiwać ujmowania przeszłości w organicznym spleceniu z powojenną współczesnością¹¹⁷.

Na gruzach hitlerowskiej Rzeszy sięgnął więc znów po przywództwo w środowisku, choć w momencie zakończenia wojny wchodził w 83. rok życia i od 13 lat przebywał na emeryturze. W roku 1946 podjął dydaktykę na uniwersytecie w Berlinie, ściągając na wykłady liczne rzesze słuchaczy. Po trzech semestrach zrezygnował jednak z katedry, gdyż – jak pisał – nie uważał za przystojne współpracować z profesorami – komunistami¹¹⁸. 27 października 1948 r. został powołany na urząd rektora w nowo założonym tzw. Wolnym Uniwersytecie w amerykańskiej strefie Berlina¹¹⁹. Miał wtedy lat 86 i raczej zadowalał się honorowym piastowaniem swej godności. Jednocześnie rozwinął wszechstronną działalność na polu odbudowy rozbitego i rozproszonego „cechu”. Ściągał swych uczniów do RFN, zabiegał dla nich o katedry; starał się o przyspieszanie procesów rehabilitacyjnych dawnych kolaborantów. Prosił m.in. o poparcie dla Wilhelma Mommsena¹²⁰, a załamanej Sribkowi pisał, że dawne spory naukowe muszą iść w zapomnienie, skoro zwycięzcy i pokonani z 1866 r. znajdują się teraz obok siebie na dnie przepaści¹²¹. Aktywnie brał udział w reaktywowaniu „Historische Zeitschrift”; gorąco rekomendował – skutecznie zresztą – kandydaturę Ludwiga Dehio na redaktora naczelnego; przenikała go obawa, by pismo nie stało się trybuną dla emisji myśli radykalnej, komunistycznej¹²².

¹¹⁶ Z listu z H. Rothfelsa, 17 VIII 1947, Werke VI, s. 284.

¹¹⁷ W liście do W. Hofera, 11 VII 1946, Werke VI, s. 256: „Einheit von Wissenschaft und Leben war mir in der Tat innerstes Bedürfnis”.

¹¹⁸ List do Deutsche Verwaltung für Volksbildung, 27 X 1948, Werke VI, s. 295–296.

¹¹⁹ Werke VI, s. 297–298.

¹²⁰ Por. np. List do L. Dehio, 18 VIII 1951, Werke VI, s. 30.

¹²¹ List z 27 X 1946, Werke VI, s. 258–259.

¹²² List do Rablów z grudnia 1945 oraz do L. Dehio z 22 VII 1947, Werke VI, s. 242, 280–281.

Po roku 1949 wciąż wzmacniał i usztywniał swą orientację prozachodnią. Ze „zrozumieniem” witał utworzenie Paktu Północnoatlantyckiego w 1949 r.¹²³ Wyrażał poparcie dla zimnowojennej polityki Adenauera. W sierpniu 1952 r. pisał do Ludwiga Dehio: „Uważam za wprost nieprawdopodobne, by prowadziła ona do wojny, zarazem jednak za pewne, że wschodnia strefa okupacyjna zostanie obecnie przekształcona w państwo satelickie. To niestety nieuniknione. Główną pociechą pozostaje fakt, że każda inna polityka mogłaby Niemcom przynieść tylko jeszcze większe nieszczęścia”¹²⁴. Miał wtedy 90 lat. Żałował, że likwiduje się Prusy; żywił przeświadczenie, że w sercach Niemców będą one żyły nadal¹²⁵.

W mocnych słowach potępiał teraz nazizm i należy wierzyć, że były to słowa szczere¹²⁶. Ze smętkiem konstatował, że „straszliwy proces wyradzania się ogarnął szerokie warstwy niemieckiego narodu”¹²⁷; niepokoiło go, że „brunatna trucizna wciąż zaprzęta umysły młodzieży”¹²⁸. Krytykę faszyzmu łączył jednak z krytyką socjalizmu; historycy NRD bardzo sugestywnie wywodzą, że komunizm był mu o wiele bardziej nienawistny aniżeli nazizm i że wniósł on istotny wkład w rozwój teorii totalitaryzmu¹²⁹. Meinecke z uwagą śledził wypowiedzi Kurta Schumachera; upatrywał w nim następcę Friedricha Naumanna; widział w nim człowieka, który jest w stanie urzeczywistnić syntezę ideałów nacjonalizmu na bazie innej, niż to próbował robić nazizm¹³⁰; bardziej też „czystego pod względem etycznym”¹³¹.

Miejsce Friedricha Meineckego w powojennych dziejach historiografii związane jest jednak przede wszystkim z faktem, że od niego pochodziła pierwsza po wojnie synteza łącząca w sobie elementy zweryfikowanego, będącego obrachunkiem z przeszłością, obrazu dziejów Niemiec z elementami nowego spojrzenia na problem sił sprawczych w dziejach. Liczyła 177 stron druku niewielkiego formatu i nosiła tytuł *Die deutsche Katastrophe. Betrachtungen und Erinnerungen*. Wydawcą była zasłużona oficyna Eberhardta

¹²³ List do A. Friis, 12 IV 1949, Werke VI, s. 298.

¹²⁴ List do L. Dehio, 15 VII 1952, Werke VI, s. 314.

¹²⁵ List do H. Brüninga, 17 VII 1953, Werke VI, s. 316: „Preußen ist in Wirklichkeit für immer dahin, aber im Geiste lebt es für uns weiter“

¹²⁶ W tekstach pochodzących z pierwszej powojennej dekady, kiedy to chodziło w pierwszym rzędzie nawiązanie kontaktu z nauką zachodnią, dystansowanie się od hitleryzmu było problemem podstawowym.

¹²⁷ List do G. Mayera, 25 VI 1946, Werke VI, s. 253.

¹²⁸ List do W. Steffensa, 22 XI 1945, Werke VI, s. 240–241.

¹²⁹ Por. G. Lozek, H. Syrbe, op. cit., passim. Tamże podana podstawowa literatura NRD.

¹³⁰ Ibidem, s. 264.

¹³¹ List do H. Rothfelsa, 22 VIII 1948, Werke VI, s. 321.

Brockhausa w Wiesbaden. Była jedną z pierwszych książek, jakie w ogóle ukazały się w okupowanych Niemczech¹³².

Niemiecka katastrofa nie stanowiła systematycznego wykładu dziejów Niemiec; miała postać eseju, częściowo wspomnienia; zawierała rozważania nie zawsze wiążące się w całość, zawsze jednak dotyczące kwestii, które głęboko poruszały historyków i opinię publiczną. Zaciążyła poważnie na piarstwie młodszych badaczy w Republice Federalnej Niemiec, wywarła wielkie wrażenie na Zachodzie.

Meinecke nie miał wątpliwości, że załamanie z 1945 r. jest największą i najbardziej tragiczną katastrofą w dziejach Niemiec, choć zarazem podzielał opinię środowiska, że Niemcy nie miały szczęścia w przeszłości, że dzieje ich – jak dzieje żadnego innego narodu – pełne były „trudnych do rozwiązania zagadek oraz nieszczęśliwych zwrotów”¹³³. Gdzie szukać przyczyn katastrofy? Oczywiście w historii. Hitlerizm to zjawisko historyczne i szukanie go poza historią byłoby niedorzeczne. Jego kariera i jego upadek były wszakże tylko w niewielkim stopniu płodem wewnętrznego materialnego i duchowego rozwoju Niemiec. Źródła tragedii tkwiły w „optymistycznych iluzjach Oświecenia i francuskiej rewolucji”¹³⁴. Szedł tu Meinecke – jak widać – zdecydowanie utartym szlakiem historiograficznym, powtarzając, że przesłanek wszelkich nieszczęść XIX w. trzeba upatrywać w racjonalizmie i zachodnioeuropejskiej demokracji. „Narodowy socjalizm” — pisał — „nie jest zjawiskiem, które można wytłumaczyć działaniem przyczyn wewnątrzniemieckich, [...] posiada on swe analogie i źródła w autorytarnych systemach krajów ościennych”¹³⁵. Zwracał uwagę na fakt, że np. we Francji nadmiar demokracji aż dwukrotnie w XIX stuleciu doprowadził do cezaryzmu.

Właśnie wielkie „fale”, jakie znaczyły poprzednie stulecie, miały – zdaniem Meineckiego – zadecydować o deformacjach i kataklizmach współczesności w Europie. Otóż na wzburzonym oceanie XIX w. dwie w szczególności fale goniły się stale, zderzały z sobą i rozchodziły. To fale nacjonalizmu i socjalizmu. Socjalizm wyrastał z demokracji i chciał prowadzić do rewolucji. Ale socjalizm stopniowo opanowano: przez reformy, przez represje i przez nacjonalizm. Ruch nacjonalizmu był bardziej zgodny z rytmem czasu, wyrażał wolę warstw średnich, coraz silniejszych i coraz bardziej licznych wskutek bujnego przyrostu naturalnego na kontynencie. Nacjonalizm przeistaczał się więc w imperializm. „Nie socjalizm, a imperializm widniał na

¹³² F. Meinecke, *Die deutsche Katastrophe. Betrachtungen und Erinnerungen*, Wiesbaden 1946 (poniżej cytuję wedle wydania II z 1947 r.).

¹³³ Ibidem, s. 5.

¹³⁴ Ibidem, s. 10.

¹³⁵ Ibidem, s. 9.

porządku dziennym historii powszechnej, kiedy rozpoczynała się pierwsza wojna światowa” – pisał¹³⁶. Rozumiał zresztą imperializm tak, jak zwykli go byli ujmować inni starzy historycy niemieccy; rozpoznawał go po skutkach, a nie przyczynach; widział go w walce o przestrzeń dla przyszłych pokoleń, w ogólnym wzroście antagonizmów w świecie, w rozbudowie armii, w kolonializmie, w wojnie.

Wojna 1914–1918 była syntezą tego rozwoju, ale zarazem starannie odmierzyła różnice i ustaliła granice pomiędzy tym, co ogólnoeuropejskie, a tym, co niemieckie. W Niemczech fala nacjonalizmu przyszła o 50 lat wcześniej aniżeli fala socjalizmu. Znaczyło to – podkreślał autor – że mieszczaństwo niemieckie zostało panem placu boju wcześniej aniżeli niemiecki proletariatus. Konsekwencje nie dawały na siebie czekać: już w połowie XIX w. „synteza ducha i władzy, elementów kulturotwórczych i państwowotwórczych” zawierała przewagę treści narodowych. Rewolucja 1848 r. – podkreślał Meinecke – była w znacznie mniejszym stopniu „wołaniem o większą wolność” aniżeli „wołaniem narodu o potęgę”, czyli nostalgią za mocarstwowością¹³⁷. W drugiej połowie stulecia nacjonalizm znalazł pożywkę w militarystyce pruskiej, a ściślej w tym, co w tym militarystyce stanowiło wyraz zubożenia ducha (*Kulturwidrig*). Historiografia fałszywie oceniała politykę Bismarcka, nie chcąc przyznać, że przyniosła ona upadek życia kulturalnego. Oczywiście trudno było wtenczas przewidywać, że rozwój wydarzeń zmierza ku hitleryzmowi, ale przecież symptomów, które musiały niepokoić, już wtedy nie brakowało: były nimi burzliwy rozwój antysemityzmu, rewizjonizm w ruchu robotniczym, ewolucjonizm, a także naiwna wiara w stabilność ustroju i autentyczność „państwa prawnego” (*Rechtsstaat*), wreszcie zafascynowanie wyblakłymi, choć uwodzicielskimi ideałami liberalizmu. Próba Naumanna połączenia w jednej syntezie obu fal – fali socjalizmu i fali nacjonalizmu – „jeden z najszlachetniejszych snów w dziejach Niemiec¹³⁸ – przyniosła triumfu w roku 1914, kiedy to socjaliści i nacjonaści razem wyruszyli na wojnę. Wydawało się wtedy, że wymarzony przez Goethego ideał człowieka „kulturalnego”, wyekwipowanego w bogate wnętrze znajdzie spokojną przystań we wspólnocie narodu i państwa. Ale już rok 1915 rozwiązał te nadzieje: mieszczaństwo nie zrozumiało powagi sytuacji; wszczynając wojnę z dwiema największymi potęgami Europy – Rosją i Anglią – na raz, dało dowód skrajnej niedojrzałości politycznej: „Miała to być polityka realizmu (*Realpolitik*), a w

¹³⁶ Ibidem, s. 14.

¹³⁷ Ibidem, s. 21.

¹³⁸ Ibidem, s. 34.

istocie stała się przeciwieństwem takowej”¹³⁹. Dopełnił tragedii rok 1918, prowadząc do niespotykanego przedtem rozziwu pomiędzy ideą socjalizmu a ideą nacjonalizmu. Było więc naturalne, iż pod rządami fatalnej konstytucji i kolejnych ekip małych ludzi hasła urzeczywistnienia socjalizmu narodowego (*nationaler Sozialismus*) przybierały kształt złowrogięgo widma.

Samo zakłócenie równowagi pomiędzy ideą socjalizmu a ideą nacjonalizmu w Republice Weimarskiej nie tłumaczyło jednak jeszcze w pełni kariery hitleryzmu, czyli – jak pisał Meinecke – takiego socjalizmu narodowego, który nigdy nie miał nic wspólnego z programem Naumanna. Zwycięstwo Hitlera było rodzajem wypadkowej zwyczajnego przypadku oraz tego, co typowe, powtarzalne w dziejach; czyli szczególnym zbiegiem okoliczności. Hitler nigdy by nie został kanclerzem, gdyby nie choroba i starcza krótkowzroczność Hindenburga i gdyby nie cukrzyca Groenera, który w decydującym momencie wydał armii rozkaz trwania z bronią u nogi. Armia mogła powstrzymać nazistów, ale kadrowa Reichswehra była podupadła moralnie i bez trudu dała się opętać demagogii Hitlera. Hitler był też czymś zupełnie incydentalnym (*ganz etwas Singuläres*)¹⁴⁰. Meinecke dość mgliście wywodził, że jeżeli uznać Hitlera za „zjawisko” – fenomen, wyrosłe wprawdzie w klimacie epoki, ale zarazem oznakowane jako „przypadek” (*Zufall*), to i wina narodu niemieckiego, który nie mógł go nie dopuścić do władzy, musi zostać uznana za mniejszą¹⁴¹. Naród mógł przewyciężyć kryzys tylko w przypadku, gdyby dłużej pozostawał pod kierownictwem takiego polityka, jakim był np. Brüning.

Czy tkwiły w hitleryzmie jakieś wartości pozytywne? – pytał Meinecke. I odpowiadał: hitlerowski nacjonalizm był patologiczny; oznaczał on odarcie volkizmu z jego treści „pokojowych”, wysoko niegdyś cenionych przez Goethego, Grimma, Herdera; pozbawiał je kultury i elementu autentycznej romantyki. Hitlerowski volkizm był wojowniczy i władczy. Ale właśnie przez to wcale nie typowo niemiecki, odzwierciedlał bowiem fakt, że Hitler rozgrywał swoje największe partie na Wschodzie, gdzie metody totalnego niszczenia przeciwnika były regułą i koniecznością. Zrozumienie tej prawdy stwarzało przed nazistami możliwość pozytywnego działania – mieli oni szansę przywrócić równowagę pomiędzy socjalizmem a nacjonalizmem. Zawiodła praktyka: Hitler rozpoczął wojnę z ZSRR „po dyletancku”, nie był w stosunku do Rosjan konsekwentny, pryncypialny. W gruncie rzeczy bardziej nienawidził zachodnią demokrację niż komunizm. Myślał kategoriami egoistycznymi, a nie

¹³⁹ Ibidem, s. 46.

¹⁴⁰ Ibidem, s. 88.

¹⁴¹ Ibidem, s. 96 i n.

kategoriami interesu narodowego¹⁴². Ponadto zbyt wielu znalazło się w jego otoczeniu kryminalistów, by można było hitlerowski „eksperyment” oceniać dodatnio. Eksperyment ten okazał się „niezdrowy”, ponieważ „wymieszał element narodowy w strasliwym kotle zwyrodniałego i bezgranicznego nacjonalizmu i iluzji rasizmu. Przez to został natychmiast odarty z naturalnych, najlepszych treści socjalizmu [...]”¹⁴³.

Skompromitowany hitleryzm trzeba wykorzeni i zniszczyć. Należy unie możliwić „powrót do bezdroży przeszłości”; trzeba dać odpór tym, którym marzy się jego restauracja. Meinecke nie sądził zresztą, by było to zadanie trudne; zakładał wszakże, iż hitleryzm to zjawisko europejskie; przypominał, iż stanowił on wyraz tęsknoty do „masowego makiawelizmu”; stał na stanowisku, że był syntezą tego, co najbardziej indywidualne. Widział w katastrofie 1945 r. uwięczenie wielu tendencji i wiązał z takim przeświadczeniem nie tylko pogląd o zachowaniu twarzy przez niemiecki naród w latach brunatnego terroru, ale i perspektywę pomyślniejszej przyszłości. W zakończeniu książki stwierdzał: „Nie jest nam potrzebne żadne radykalne przeszkolenie, by znowu skutecznie działać jako członek zachodnioeuropejskiej wspólnoty kulturalnej. [...]. Wolno sądzić, że odrodzony ruch Niemiec wypełni jeszcze swą specjalną, niezastąpioną misję w służbie zachodnioeuropejskiej wspólnoty”¹⁴⁴.

Meinecke był pierwszym po wojnie historykiem, który zaproponował, by za punkt wyjścia i zarazem podstawę interpretacji najnowszej historii Niemiec przyjąć dawne wypróbowane wartości nauki historii; by uznać piśmiennictwo lat hitlerowskich za sprzeczne z tymi wartościami i po prostu wyłączyć z tradycji niemieckiej humanistyki. Tworzył w ten sposób konstrukcje umożliwiającą uznanie ciągłości w dziejach niemieckiej historiografii. Wnioskiem wysnutym z tej konstrukcji była m.in. propozycja wspierania przez badaczy zachodnioniemieckich polityki zachodniej.

¹⁴² Ibidem, s. 120.

¹⁴³ Ibidem, s. 163.

¹⁴⁴ Ibidem, s. 173.

Anna Michalska



Wspomnienie, jakie wygłosiłem w czasie żałobnego posiedzenia Senatu Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, poświęcone pamięci Anny Michalskiej, profesor prawa, wspaniałego człowieka, prawnika humanisty o autentycznej renomie, rokującego najlepsze nadzieje, rozpocząłem od słów: „Losy życiowe i naukowa kariera Profesor Anny Michalskiej miały tok obalający stereotypy. Jej wielkie sukcesy i wielkie dramaty spadały niespodziewanie, uderzały w nią z wielką siłą i nie bilansowały się, nie równoważyły. Cień strasznej choroby sprawiał, że zarówno jej prywatne życie, jak i droga akademicka pozbawione są jakby racjonalności i nie poddają się łatwym ocenom”. Do dziś tak sądzę. Zmarła w wieku 61 lat, po ponad trzydzieści lat trwających zmaganiach z chorobą, dokonawszy wiele, ale daleka od wykorzystania wszystkich drzemiących w niej możliwości.

Anna Michalska urodziła się w czasie wojny w Warszawie, ale już w 1946 r. z rodzicami przeniosła się do Żabikowa pod Poznaniem. Od roku 1960 mieszkała w Poznaniu, gdzie ukończyła liceum ogólnokształcące i rozpoczęła studia prawnicze na Wydziale Prawa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Była nieprzeciętną studentką; prowadziłem z jej grupą ćwiczenia z historii ustroju Polski i mogę to powiedzieć z pełnym przekonaniem. Nie ograniczała swej aktywności do wzorowego wypełniania standardowych obowiązków. Pełniła funkcję przewodniczącej Koła Naukowego Prawników, zajmowała wysokie lokaty w ogólnopolskich konkursach krasomówczych, brała udział w konkursie na opis doświadczeń z praktyk studenckich. Pracę magisterską obroniła na seminarium Józefa Górskiego. Studia kończyła z bardzo dobrą oceną. Nikogo zatem nie zdziwiło, że Uniwersytet ją zatrzymał. Została asystentem, wkrótce starszym asystentem w Katedrze Teorii Państwa i Prawa, kierowanej przez prof. Adama Łopatkę. W 1967 r. obroniła doktorat na podstawie rozprawy pt. *Prawo*

a normy techniczne w Polsce Ludowej. Praca wzbudziła zainteresowanie środowisk prawniczych, uzyskała drugą nagrodę w prestiżowym konkursie na najlepsze prace doktorskie miesięcznika „Państwo i Prawo” i zebrała pozytywne recenzje zarówno w kraju, jak i za granicą. W roku 1974 r. habilitowała się na podstawie całokształtu dorobku naukowego ze szczególnym uwzględnieniem rozprawy na temat *Podstawowe prawa człowieka w prawie wewnętrznym i międzynarodowym*. Znakomita monografia, udane kolokwium i awans na stanowisko docenta wprowadziły ją do grona tzw. samodzielnych pracowników nauki na Wydziale i do najbardziej rozpoznawalnych badaczy, którzy połączyli znajomość teorii prawa i prawa międzynarodowego publicznego.

Przekroczenie progu formalnej naukowej samodzielności nie zmieniło Anny, pozostała taką, jaką była jako studentka – błyskotliwą, atrakcyjną, pogodną dziewczyną, która zwracała na siebie baczną uwagę otoczenia. Fascynowała talentem, spontanicznością, ale i wewnętrzną dyscypliną, która pozwalała jej nie tylko wzorowo wykonywać obowiązki, ale także z umiarem i wdziękiem korzystać z darów życia. Zarażała ambicją i młodzieńczym entuzjazmem. Umiała wszystko: jeździła na nartach i grała w brydża, uprawiała lekkoatletykę, świetnie pływała i grała w piłkę siatkową, ocierając się w tej dyscyplinie o kadrę narodową, znała literaturę i teatr, kochała muzykę, doskonale wykonywała piruety na lodzie, lubiła podróże, no i uwielbiała zgiełk panujący w Collegium Iuridicum. Trzeba bowiem powiedzieć od razu na wstępie, że wśród licznych pasji Anny pasja badania i nauczania od początku lokowała się na samym szczycie. Miała przyjaciół i admiratorów. Jej dom był długo pełen gości. Siedzieliśmy czasami do białego rana.

Wydawało się, że nic nie zmać szybko i harmonijnego rozwoju życia zawodowego Anny Michalskiej. Stopnie i tytuły naukowe przychodziły jakby mimochodem, po drodze; były rezultatem pasji twórczej, pracowitości i talentu, naturalną potrzebą. Wtedy, po pierwszych wielkich sukcesach, zaatakowała ją choroba, która miała ją niszczyć przez ponad trzydzieści lat. Z podziwem i niepokojem obserwowaliśmy heroiczną walkę, jaką toczyła z podstępym zagrożeniem. Starła się normalnie żyć, prowadziła wszystkie powierzane jej zajęcia dydaktyczne, uczyła się języków obcych, wyjeżdżała za granicę, zaciskając zęby i zabierając furę leków, no i prowadziła badania. Do zadumy i zdumienia skłania fakt, że większość swych ponad 150 tekstów – książek, rozpraw i studiów, lokowanych w renomowanych periodykach krajowych i międzynarodowych, artykułów w wydawnictwach zbiorowych – napisała i wydrukowała już w latach coraz bardziej dramatycznej walki o zdrowie i życie.

Światową sławę uzyskała już w latach siedemdziesiątych. Ukończyła kurs prawa międzynarodowego w Akademii Prawa Międzynarodowego w Hadze, uzyskała dyplom praw człowieka i prawa międzynarodowego w Instytucie

Praw Człowieka w Strasburgu. Weszła do elitarnego grona członków Instytutu Praw Człowieka, do Międzynarodowego Stowarzyszenia Prawa Porównawczego, Międzynarodowej Komisji Prawników oraz Stowarzyszenia Prawa Międzynarodowego. Została członkiem Polskiego Komitetu Helsińskiego. Była członkiem, a kilka razy przewodniczącą międzynarodowego jury UNESCO do spraw nagrody za nauczanie praw człowieka, ekspertem Rady Europy, wykladała na prawie wszystkich kontynentach – w Meksyku i na paryskiej Sorbonie, w Strasburgu, Hadze, Gandawie, w Genewie, Maastricht, Oslo i na uczelniach Zimbabwe.

Niemniej aktywny był jej udział w pracach nad doskonaleniem prawa w kraju. Była członkiem Rady Legislacyjnej przy Prezesie Rady Ministrów, ekspertem Komisji Konstytucyjnej RP, członkiem Komitetu Redakcyjnego reprezentacyjnego organu Komitetu Nauk Prawnych – „Państwo i Prawo”, wieloletnim sekretarzem naukowym „Ruchu Prawniczego Ekonomicznego i Socjologicznego”. W pierwszych latach dziewięćdziesiątych rząd polski zastanawiał się nad wysunięciem jej kandydatury na sędziego Międzynarodowego Trybunału Praw Człowieka; równocześnie ubiegała się o wejście do podkomisji Organizacji Narodów Zjednoczonych do walki z dyskryminacją i Ochrony Mniejszości. Przegrała po kilku turach głosowań nieznaczna ilością głosów. Była nagradzana i wyróżniana. No i tworzyła: profesura zwyczajna z roku 1992 stanowiła tylko w niewielkim stopniu faktyczne odzwierciedlenie jej bogatego dorobku dydaktycznego i organizacyjnego, przede wszystkim zaś jej osiągnięć badawczych.

Aktywność naukowa prof. Anny Michalskiej – choć z czasem przerywana i hamowana przez postęp choroby – znajdowała wyraz w podejmowaniu wielu wątków badawczych. Pragnę się zatrzymać nad trzema nurtami obecnymi w jej twórczości.

Pierwszy łączył się z faktem, że była pracownikiem Katedry Teorii Państwa i Prawa, z natury rzeczy mocno zideologizowanej. Mimo że uczestniczyła w pisaniu tekstów forsowanych przez kierownictwo Katedry, przecież nie chciała przyjąć uchwalonego przez Radę Wydziału w 1963 r. tematu doktoratu, który brzmiał: *Przerastanie państwa socjalistycznego w komunistyczny samorząd społeczny*. Po latach wyjaśniała swe stanowisko w rozmowie z Janem Sandorskim z humorem: „Gdybym napisała doktorat o tym nieszczęsnym »przerastaniu«, to zapewne mniej sprawni bibliotekarze umieszczaliby go w katalogu rzeczonym pod hasłem »technologia żywienia«, tak jak w bibliotece genewskiej pod hasłem »medycyna« widniała praca Lenina *O dziecięcej chorobie lewicowości w komunizmie*. A takiej plamy w życiorysie nigdy bym nie zmazała [...]”. Chciałam, by mój problem nadawał się do kontynuacji także po uzyskaniu tytułu doktora habilitowanego. Z góry wykluczałam badania pozostające w zakresie teorii państwa, bowiem przesycona była ona ideologią komunistyczną, a mnie

napawały obrzydzeniem publikacje z cyklu »O dalszy rozwój praworządności socjalistycznej«¹.

Teoria prawa też nie zaspokajała ambicji autorki, nudziła ją; nie odpowiadała jej naukowemu temperamentowi. Opuściła zatem Katedrę Teorii Państwa i Prawa i przeszła do Katedry Prawa Międzynarodowego Publicznego, by rozpocząć przygodę z największą i najbardziej trwałą pasją swego naukowego życia. Tą pasją była międzynarodowa ochrona praw człowieka. W wypowiedzi zamieszczonej w wydanej w 1996 r. na jej cześć z inicjatywy środowiska toruńskiego księdze pamiątkowej wspominała, iż decyzję o porzuceniu Katedry Teorii Państwa i Prawa podjęła pod wrażeniem wydarzeń z marca 1968 r., kiedy to przed gmachem Collegium Iuridicum dochodziło do bicia studentów przez milicję. Prawa człowieka stały się tematyką, która zajmuje w bibliografii Anny Michalskiej najwięcej miejsca i tworzy jakby drugie jej naukowe wcielenie. Tematyce tej poświęcone zostały świetne monografie: *Podstawowe prawa człowieka w prawie wewnętrznym a Pakty Praw Człowieka* (Warszawa 1976), *Prawa człowieka w systemie norm międzynarodowych* (Warszawa – Poznań 1982). W latach dziewięćdziesiątych Anna Michalska opublikowała trzy dalsze poważne monografie poświęcone problematyce praw człowieka: *Komitet Praw Człowieka. Kompetencje, funkcjonowanie, orzecznictwo* (Warszawa 1994), *Skarga a naruszenie praw człowieka do Komitetu Praw Człowieka* (Warszawa 1995) oraz *Europejska Konwencja Praw Człowieka. Podstawowe dokumenty* ((Warszawa 1995). Wszystkie zostały wydane jako pozycje Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. Zawarte w nich przemyślenia zostały rozwinięte w kilkudziesięciu artykułach, rozprawach i studiach, drukowanych w pismach o światowej renomie, w większości w językach obcych – francuskim, angielskim, niemieckim, włoskim, norweskim, serbskim i rosyjskim. W oparciu o doskonałą znajomość źródeł, z uwzględnieniem bogatej warstwy wiedzy pozaźródłowej i z dużą badawczą intuicją, badała autorka status prawa międzynarodowego w zakresie ochrony praw człowieka. Demonstrując rygorystyczną dyscyplinę metodologiczną i terminologiczną, a także umiejętność łączenia źródłowej analizy z syntetycznymi uogólnieniami dokonała uporządkowania katalogu praw człowieka. Dokonywała rozbioru reguł wykładni międzynarodowych aktów prawnych. Wprowadzała ład do katalogu najważniejszych praw człowieka, którymi dla niej były: prawo do życia, równość praw, zakaz tortur, wolność osobista, humanitarne traktowanie, swoboda poruszania się, prawa cudzoziemców, prawo do sprawiedliwego procesu, prawo do prywatności, wolność słowa, prawo rodziny i dziecka do ochrony prawnej. Nie idealizowała tych praw, nie ujmowała ich

¹ Fragment wywiadu udzielonego J. Sandorskiemu, zamieszczonego w księdze pamiątkowej *O prawach człowieka w podwójną rocznicę Paktów*, pod red. T. Jasudowicza, C. Mika, Toruń 1996, s. 13 i n.

jako wartości „chemicznie czystych”, przeciwnie – wielokroć podkreślała, że ich realizacja zależy w wysokim stopniu od charakteru stosunków międzynarodowych, a atmosfera międzynarodowego odprężenia i pokój na świecie stanowią warunek *sine qua non* ich poszanowania.

Z zafascynowania międzynarodową ochroną praw człowieka zrodziła się w latach dziewięćdziesiątych trzecia naukowa pasja Anny Michalskiej: problemy współczesnej biotechnologii i bioetyki, rozwój inżynierii genetycznej, prawo człowieka do integralności genetycznej, etyczne i prawne zagadnienia klonowania. Wieloletnie przemyślenia – rezultat współpracy z biotechnologiem Tomaszem Twardowskim – sygnalizowane w drobniejszych tekstach, zostały podsumowane we wspólnej monografii pt. *Dylematy współczesnej biotechnologii z perspektywy biotechnologa i prawnika*, opublikowanej w roku 2000. Autorzy wyciągają wnioski z drogi, jaką prowadziła od biotechnologii do bioetyki; stwierdzają że inżynieria genetyczna może być dobrodziejstwem dla człowieka, ale niesie też zagrożenia, nie w pełni jeszcze rozpoznane. Niezbędne są regulacje normatywne, które stworzą szansę na optymalizację korzyści i minimalizację zagrożeń. Chodzi nie tylko o to, by dokładnie określić metody i środki, jakie mogą być stosowane dla ochrony prawnej jednostki, ale i o precyzyjne zdefiniowanie celów, do których się zmierza. Warunkiem osiągnięcia porozumienia – pisze Anna Michalska – jest współpraca humanistów (etyków, filozofów, teologów, prawników) z przyrodnikami (biologami, biochemikami, lekarzami, genetykami). Ani jedni, ani drudzy niczego nie dokonają niezależnie od siebie; mimo że mówią różnymi językami, są skazani na współdziałanie. Zaiste trudno o bardziej logiczną i dalekowzroczną prognozę.

Zachowamy prof. Annę Michalską w pamięci jako mądrego człowieka, jako świetną koleżankę, jako osobę wyposażoną w rzadkie cechy charakteru, zdolną do poświęceń, umiejacą walczyć w słusznych sprawach; jako oddanego i utalentowanego akademickiego nauczyciela, darzonego sympatią i szacunkiem. Wyrażam głębokie przeświadczenie o tym, że pozostanie wśród nas w swoich książkach i artykułach, które są tak ważne i które tak znacząco wzbogaciły prawoznawstwo i całą humanistykę. Wyrażam żal, że nie było jej dane stworzenie na macierzystym Wydziale pierwszego w kraju centrum badań nad prawami człowieka, do czego była predestynowana jak nikt inny.

Kazimierz Orzechowski



Profesor Kazimierz Orzechowski był wybitnym historykiem prawa, badaczem przeszłości Śląska, jego dziejów społecznych, organizacji jego systemu politycznego, historii skarbowości. Światowy rozgłos przyniosły mu prace z zakresu historii śląskich zgromadzeń stanowych. Urodził się w 1923 r. we Lwowie w rodzinie inteligenckiej. Tzw. małą maturę uzyskał w X Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza we Lwowie tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej. Egzamin dojrzałości złożył w tejże szkole, przemianowanej przez władze sowieckie na XVI Szkołę Średnią z polskim językiem nauczania. W czasie hitlerowskiej okupacji Lwowa pracował jako robotnik, uczestnicząc równocześnie w tajnym nauczaniu na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza. Po opuszczeniu Lwowa przez Niemców podjął studia na Uniwersytecie im. Iwana Franki na filologii klasycznej. Od 1946 r. kontynuował studia prawnicze na Uniwersytecie Wrocławskim. Ukończył je w 1949 r., by w następnym roku doktoryzować się na podstawie pracy o polskim szkolnictwie powszechnym na Śląsku Opolskim w latach 1922–1937. Stopień docenta uzyskał w 1957 r. na podstawie rozprawy pt. *Chłopskie posiadanie ziemi na Górnym Śląsku u schyłku epoki feudalnej. Posiadanie lassyckie. Studium historyczno-prawne*, opublikowanej przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich w 1959 r. W 1962 r. został profesorem nadzwyczajnym, w 1976 r., – profesorem zwyczajnym. W 1968 r., po śmierci Mistrza, prof. Seweryna Wysłoucha, objął kierownictwo Katedry Historii Państwa i Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego, zaś w rok później Instytutu Historii Państwa i Prawa, którym kierował aż do osiągnięcia wieku emerytalnego. Rozwinął także żywą aktywność społeczną; przez dwie kadencje był posłem na Sejm. Głównym polem działania pozostała jednak dla prof. Kazimierza Orzechowskiego praca badawcza. Wśród ponad 400 prac zwracają uwagę jego pozycje monograficzne: *Ogólnośląskie zgromadzenia stanowe* (1979), *Katastry*

śląskiego podatku szacunkowego, 1527–1740 (1992), *Rachunki śląskich stanów, 1527–1741* (1994) oraz *Podatek szacunkowy na tle systemu daninowego dawnego Śląska 1527–1740* (1999). Profesor Kazimierz Orzechowski jest członkiem korespondentem Polskiej Akademii Umiejętności.

Najczynniej współpracuje z „Czasopismem Prawno-Historycznym”, którego członkiem Komitetu Redakcyjnego jest od 1972 r. Nadal służy Wydziałowi i całemu środowisku swym wielkim doświadczeniem badacza i nauczyciela akademickiego. Bibliografia prac naukowych prof. K. Orzechowskiego za lata 1949–1992, pióra Bożeny i Józefa Koredczuków, zawarta jest w „Acta Universitatis Wratislaviensis”, No 1477, Prawo CCXXII, s. 13–32, za lata 1992–2002 zaś w drukowanym obecnie tomie „Studiów Historyczno-Prawnych” w ramach serii „Acta Universitatis Wratislaviensis”.

HENRYK OLSZEWSKI: Szanowny Panie Profesorze, drogi Kazimierzu! Nasza rozmowa będzie oscylowała wokół tematyki Twoich badań, Twoich publikacji, tajników warsztatu historyka prawa, znaczenia wiedzy źródłowej, roli wrocławskiego środowiska historyczno-prawnego w powojennej historii naszych dyscyplin, historii Śląska, który jest niekwestionowanym bohaterem Twoich badań. Ale zacznijmy ją od początku, którego metryka jest starsza od Twoich związków ze Śląskiem. Kiedy stałeś – latem 1946 r. – we Wrocławiu, zamieniając studia konspiracyjne na normalne prawnicze, miałeś już za sobą dwie epoki, jakże się od siebie różniące: dzieciństwo we Lwowie w domu o starannie pielęgnowanych tradycjach humanistycznych i patriotycznych, a także lata nauki w świetnych lwowskich szkołach oraz czas grozy i bezprawia radzieckiej, niemieckiej i ponownie radzieckiej okupacji. Należysz do pokolenia, któremu wojna zabrała młodość, narzuciła twardą walkę o byt, utrudniła kontynuowanie nauki, skazała na poważne opóźnienie życiowego startu. Czy już wtedy – w latach trzydziestych i w czasie okupacji – dojrzewał w Tobie zamysł zostania prawnikiem, badaczem historii prawa?

KAZIMIERZ ORZECOWSKI: Trudno na to pytanie, a właściwie na cały ich szereg, odpowiedzieć jednoznacznie. Pamiętam, że w domu był komplet „Przeglądu Prawa i Administracji” pod redakcją Ernesta Tilla, było też pierwsze wydanie *Korony* Stanisława Kutrzeby. Ale to wszystko nie wywierało na mnie jakoś wrażenia. Co więcej, w gimnazjum ani historią, ani łaciną nie interesowałem się zupełnie. Po odejściu „pierwszych bolszewików” musiałem zarabiać na utrzymanie rodziny. Pracowałem w niemieckich warsztatach samochodowych. Moja niania, Katarzyna Lonc z Markowej spod Łańcuta, która przyszła do moich rodziców zaraz po moim urodzeniu i pozostała u mnie aż do śmierci, powiedziała mi kiedyś: „Dziecko, gdyby nie ten warsztat, nigdy byś nie wyszedł na ludzi” –

bo dopiero wtedy nauczyłem się starannej pracy. W czasie hitlerowskiej okupacji, za dziewczyną, w której byłem okrutnie zakochany, późniejszej mojej żony, zacząłem studiować prawo na konspiracyjnym Uniwersytecie Jana Kazimierza. Spotykaliśmy się w małych grupkach; najczęściej u Wacława Osuchowskiego w jego kancelarii, często u Kazimierza Przybyłowskiego i Wojciecha Hejnosza. Za „drugich bolszewików” dla tej mojej dziewczyny poszedłem na klasyczną filologię na Uniwersytecie im. Iwana Franki, jak przemianowano UJK. Dobrze pamiętam jeszcze referat, który o Maenechmich Plauta pisałem wówczas u Ryszarda Ganszyńca. Później jednak już tych studiów klasycznych nie kontynuowałem, pozostałem przy prawie. W 1946 r. w ramach tzw. repatriacji znaleźliśmy się w Gliwicach. Trzeba było podjąć systematyczne studia, jako że we Lwowie nie zaliczyłem nawet pierwszego roku. Mając do wyboru Uniwersytet Jagielloński i Uniwersytet we Wrocławiu, wybrałem ten drugi i okazało się, że była to decyzja dla mnie szczęśliwa.

H.O.: Wrocław tamtego roku to przecież przede wszystkim gruzy, góry gruzów...

K.O.: Tak, ale z tych gruzów już wyłonił się Uniwersytet, połączony w jedną uczelnię z Politechniką. Byli już wtedy we Wrocławiu profesorowie z Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie i lwowskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza: Seweryn Wysłouch, Michał Wyszyński, Wacław Osuchowski, Iwo Jaworski, Leszek Winowski, by wymienić tylko historyków prawa. Słuchaliśmy wykładów w pomieszczeniach bez okien, a straż akademicka, chroniąca skromne mienie uczelni, właśnie przestała paradować z karabinami. Moja przygoda z Uniwersytetem i nauką zaczęła się od egzaminu u prof. Wysłoucha z historii ustroju Polski, którego nie zdałem we Lwowie. Na jakieś pytanie odpowiedziałem wedle podręcznika Kutrzeby, co Profesor przyjął, ale ja zapytałem wtedy o Sejm Czteroletni Kalinki, gdzie rzecz ocenił autor inaczej – i Profesor zaczął mnie dalej, teraz już o Kalinkę, wypytywać. Później poprosiłem go o pomoc (bo nie bardzo mieliśmy z czego we Wrocławiu żyć) i załatwił mi posadę woźnego w swojej Katedrze. Prawdziwa przygoda zaczęła się, gdy Profesor wysłał mnie do Opola, gdzie znajdowało się niezniszczone archiwum rejencji. I to był mój pierwszy kontakt z archiwaliami. Z początku byłem kompletnie zagubiony wśród masy półek, pełnych pajaków i pajęczyn, ale w końcu – raczej przypadkiem – „doko-pałem się” do „Minderheitspolitische Lageberichte”, dotyczących polskiej ludności Górnego Śląska. Ściągnąłem je potem do Wrocławia, do Katedry. Dzisiaj znajdują się z powrotem w Opolu, w tamtejszym Wojewódzkim Archiwum. Ale przedtem, gdy mi Uniwersytet zwrócił koszty podróży, mogłem sobie wreszcie kupić pierwsze po wojnie nowe buty.

Inna moja przygoda z nauką powiązała się jednak istotnie w jakiś sposób z gruzami, o których wspominałeś. Mianowicie to z kubłów ze śmieciami, stojących wśród gruzów na ul. Kuźniczej, wyciągnąłem dwie stare mapy Śląska, Scultetusa i Hellwiga, a także kilka dokumentów książąt legnicko-brzeskich z połowy XIV w., i to na nich uczyłem się potem paleografii. Obok rektoratu Uniwersytetu, w sławnym Domu Steffensa (dawnym jezuickim konwikcie), była w tamtych latach składnica, do której zwożono porzucone niemieckie księgozbiory. Profesor kazał nam tam szukać niemieckiej literatury historyczno-prawnej. Rzeczywiście znalazłem tam szereg „dutek”, czyli sądowych legnickich ksiąg z końca XIV i z początków XV w. To dopiero była przygoda.

H.O.: Pomówmy o Sewerynie Wysłouchu. Wielu moich wrocławskich przyjaciół i kolegów mojego pokolenia w każdej rozmowie niezmiennie podkreśla, że był dla tamtejszego środowiska historyczno-prawnego mężem opatrnościowym, nadzwyczajnym człowiekiem, prawdziwym Mistrzem, że był we Wrocławiu tym, kim w Poznaniu był Zygmunt Wojciechowski. Jaki był i dlaczego właśnie on cieszył się największym mirem wśród adeptów nauk historyczno-prawnych?

K.O.: Był szorstki w obejściu, nie okazywał uczuć; znany był z impulsywności w słowie. Wiele wymagał od siebie, ale też od innych. Żądał np., by Katedra stanowiła drugi dom, by pracownicy przebywali w niej od 8 do 22. Przestrzegał hierarchii w formach odziedziczonych po swoich przedwojennych mistrzach, co nie przeszkadzało mu w latach odbudowy miasta i wznoszenia Uniwersytetu dawać przykładów fizycznego zaangażowania; potrafił np. z nami – ze mną i Lesiem Małachowskim (razem w Katedrze pracowaliśmy) ciągnąć przez centrum Wrocławia wózek z wygrzebanymi gdzieś starymi regałami, abyśmy mieli gdzie ustawić gromadzone książki. A przy tym ujmował życzliwością dla ludzi, pomagał im, ilekroć się doń o pomoc zwrócono. Bronił swoich uczniów, o czym sam nieraz się mogłem przekonać na własnej skórze. Miał autentycznie demokratyczne przekonania i na Uniwersytecie Stefana Batorego uchodził za przedstawiciela lewicy. Pamiętam, że ilekroć organizacja partyjna dokonywała przeglądu kadr, zawsze mnie chciano wyrzucić, uznając mnie za klerykała. Gdy sprawa stanęła już na ostrzu noża, prof. Wysłouch udał się do ówczesnego ministra Skrzyszewskiego i bronił mnie mniej więcej tak: „Widzi Pan, ja kiedyś byłem komunistą, a dziś nim nie jestem; Orzechowski też się może zmienić”. Krótko mówiąc, Seweryn Wysłouch był niekwestionowanym liderem w środowisku, narzucał posłuch, choć nigdy za pomocą metod administracyjnych. Pamiętam, że kiedyś natrafiłem na ciekawe źródło, które w nowym świetle stawiało pozycję chłopca-lassyty. Natychmiast chciałem wynik moich spostrzeżeń opublikować i zaniósłem maszynopis Profesorowi do przeczytania; jeszcze wtedy panował taki dobry akademicki obyczaj. Profesor tekst przejrzał, popa-

trzymał na mnie i zapytał, czy moje „odkrycie” to przejaw ogólnych zasad prawa, czy też od nich wyjątek. Odpowiedziałem, że jednoznacznie to z tekstu źródła nie wynika. Wtedy Seweryn Wysłouch zabronił mi to drukować, kazał wrócić do archiwum i tak długo szukać, aż znajdzie pewność, z czym mam do czynienia.

H.O.: Czy był też twórcą naukowej szkoły? Czy szliście na nim, bo był badaczem, który „zarażał” tematyką i rezultatami swych prac?

K.O.: Oczywiście, że taki wpływ istniał, choć czasem był on dostrzegalny tylko pośrednio. Doświadczenia Profesora sprzed wojny, kiedy to – jako lituanista – włączał się czynnie w politykę Drugiej Rzeczypospolitej w stosunku do ludności białoruskiej, zdecydowały – myślę – o tym, że grono młodych wrocławian – a wśród innych ja – zajęło się rzetelnie badaniem spraw ochrony mniejszości polskiej na Śląsku po pierwszej wojnie światowej. Przykładem oddziaływania Mistrza był przecież mój doktorat, nie tylko zresztą on jeden.

Prace przedwojenne Profesora wpływały na mnie również znacznie później, gdy już marzyła mi się historia ustroju Śląska i gdy prowadziłem już pewne prace przygotowawcze. Ongiś bowiem zafascynowały mnie historyczno-geograficzne teksty Profesora o dawnych drogach Polesia (z którego pochodził), o kształtowaniu się granic powiatu kobryńskiego, o tym, jak dawne wewnętrzne granice były wyznaczane przez rozmieszczenie wielkiej i średniej własności ziemskiej, o komunikacyjnych posługach litewskich miast. Nieraz Profesor – na mą prośbę – o tych sprawach opowiadał, również z uwzględnieniem aspektów teoretycznych. O całe lata później stały się one zaczynem dla moich studiów nad terytorialnymi podziałami na Śląsku od wczesnego średniowiecza aż po XX w.

H.O.: Wracam jeszcze do poglądów szkoły, szkoły Seweryna Wysłoucha. Czy istotnie była ona odporna na presję polityki, czy podejmując badania nad przeszłością Śląska, wykazywała dystans wobec oficjalnej tezy polityki polskiej o powrocie na ziemię, które pierwotnie były polskie, piastowskie. W laudacji wygłoszonej przez Seweryna Wysłoucha na uroczystości trzydziestolecia pracy naukowej Zygmunta Wojciechowskiego, która odbyła się pod koniec czerwca 1955 r. w Poznaniu, mowa była o badaniu przeszłości Ziem Odzyskanych jako patriotycznym obowiązku nauki polskiej.

K.O.: Wysłouch i my, jego uczniowie, do swych prac w zasadzie nie wprowadzaliśmy pozanaukowych uwag, chyba że było to treścią uzasadnione. Oczywiście nurtował nas problem narodowościowy na Śląsku, ale staraliśmy się go nie przedstawiać w kolorach biało-czarnych. W spojrzeniu na przeszłość Śląska dominowało przekonanie, że ziemia ta to teren pogranicza, w którym

barwy czarno-białe nie wystarczają i nie oddają istoty rzeczy. Badaliśmy problem tzw. autochtonicznej ludności, czyli po prostu Ślązaków-Polaków oraz tutejszych Niemców, jeszcze pozostałych, konkretniej zaś – Ślązaków-Niemców. To pozwalało spoglądać również na przeszłość Śląska przez okulary inne niż jałtańsko-poczdamskie. To, że w tekstach Franciszka Ryszki, Józefa Popkiewicza, Karola Joncy, Alfreda Koniecznego i innych naszych autorów wciąż wracano do polityki Trzeciej Rzeszy na Śląsku, do zbrodni nazistów, do obozów koncentracyjnych, do konfrontacji i bezprawia, wynikało nie z politycznych infiltracji, ale ze źródeł zawierających dowody świadczące o konfrontacjach wywoływanych przez reżim totalitarny.

H.O.: Przejdźmy do tematów Twoich badań, których niekwestionowanym bohaterem był Śląsk, najpierw tylko Górny, z czasem – cały. Ich ewolucja jest niecodzienna. Prowadzi od spraw szkolnictwa do spraw statusu prawnego chłopów, od historii zgromadzeń stanowych do skomplikowanych kwestii skarbowych. Niezwyčajne jest – w moim odczuciu – nie tyle to, że przeszłości Śląska poświęcona jest każda z ponad czterystu Twoich prac, bo w istocie są to studia daleko wykraczające poza historię regionu, ile fakt, że każda z nich zawiera konstatacje oparte na nowym materiale źródłowym, zmuszającym do nowych przemyśleń. Czytelnik Twoich tekstów nie ma wątpliwości: Kazimierz Orzechowski kocha same dociekania; publikowanie ich rezultatów ma – jego zdaniem – sens tylko wówczas, gdy łączy się z przeświadczeniem, że kwerenda została przeprowadzona w sposób wyczerpujący.

K.O.: Zaczęło się od studiów nad dwudziestowiecznymi aktami opolskiej rejencji. Pewnego dnia czytałem w Katedrze (formalnie wciąż jeszcze byłem wożnym) posyty dotyczące polskiego mniejszościowego szkolnictwa na Górnym Śląsku, kiedy wszedł Profesor i usiadłszy po drugiej stronie stołu, zapytał, co robię. Odpowiedziałem, że marzy mi się „dyplomatariusz”, dotyczący spraw górnośląskiego szkolnictwa. Fakt, że termin „dyplomatariusz” był zupełnie nie na miejscu, uświadomiłem sobie dopiero później. Profesor odrzekł: „Dobrze! Zrób źródłowe wydawnictwo i napisz doktorat na ten temat”.

Zrobiłem jedno i drugie, choć ani zbiór źródeł, ani doktorat o polskim szkolnictwie powszechnym na Śląsku Opolskim w latach 1922–1939 nie ukazały się w całości, lecz tylko we fragmentach.

Potem przez dziesięć lat zajmowałem się sprawami ludności chłopskiej. Początkowo tylko czytałem, ale literatura wydawała mi się mało ciekawa, aż do chwili, w której spostrzegłem, czego mi w niej brakowało: mianowicie prawniczego spojrzenia na rzecz, przy bezwzględnej dominacji problematyki gospodarczej, społecznej i politycznej. A przecież wielkie te procesy były bez reszty

wpisane w ówczesne prawo i jego przemiany. Szczęście się do mnie uśmiechnęło, kiedy natknąłem się na akta Generalnej Komisji dla Śląska, władzy powołanej dla przeprowadzenia reform w rolnictwie, czyli krótko mówiąc – tzw. uwłaszczenia. Były tam umowy dotyczące różnych spraw i wiele wyroków w toczących się sporach. Innymi słowy: dotarłem do źródeł obrazujących funkcjonowanie prawa w całej jego złożoności. Jeszcze wcześniej znalazłem w księgozbiorach tzw. porzuconych, składowanych w Domu Steffena, periodyk z drugiej i trzeciej ćwierci XIX w. Landeskultargesetzgebung, a także fundamentalną dla mnie książkę Kocha, radcy wrocławskiej rejencji *Die Agrar-Gesetze des Preussischen Staates nebst Ergänzungen und Erläuterungen* z 1838 r. Miałem więc w zasięgu ręki wszystko, co niezbędne do spojrzenia na te sprawy oczyma prawnika, historyka prawa. Najpierw starałem się poznać i usystematyzować szczegółowe drogi stosowane przy realizacji reformy rolnej. Napisałem *Postępowanie uwłaszczeniowe na Górnym Śląsku*, wydrukowane przez Zygmunta Wojciechowskiego w „Przeglądzie Zachodnim”, z którego – jako wiadomo – po pewnym czasie miały się wyodrębnić „Studia Śląskie”, redagowane przez mojego Profesora. Następnie opracowałem – na próbę, do szuflady – dzieje reformy jednej z wsi, aby uzmysłwić sobie, czy można ująć cały problem w skali powiatu. Tak powstała rozprawa *Uwagi o przebiegu i rezultatach uwłaszczenia w powiecie kozielskim na Górnym Śląsku* (1952). Badaniami moimi zainteresował się wtedy prof. Juliusz Bardach, który zaproponował mi podsumowanie moich kwerend na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego”. Uczyniłem to tekstem *Przekształcenia praw chłopów do ziemi na Górnym Śląsku w końcu XVIII i w pierwszej połowie XIX wieku* („Czasopismo Prawno-Historyczne” 1954, t. 6, 1). Wkroczyłem nim na szerokie wody historii prawa i po raz pierwszy poczułem specyficzny „smak” uogólnień i dążeń do syntezy

To moje ciągle „grzebanie się” w źródłach dawało też wyniki zgoła nieoczekiwane. Oto np. w dawnej i nie tak dawnej literaturze (Langer 1849, Schueck 1849, później nawet Ziekursch 1915) przyjmowano jako pewnik, że na Górnym Śląsku niepodzielnie panowały najgorsze chłopskie prawa do ziemi, czyli tzw. posiadanie lassyckie. Oznaczało to, że regulacja, czyli uwłaszczenie, w dosłownym znaczeniu powinno było objąć wszystkie gospodarstwa kmiecie i zagrodnicze. Tymczasem z akt Komisji Generalnej, w całości zachowanych, wynikała zaskakująco niska liczba dokonanych regulacji. W odnośnych umowach nazywano zakładanie dla każdego „uregulowanego” gospodarstwa osobnego *folium* w wiejskich księgach gruntowych – i w tym dostrzegłem szansę. Dawne księgi gruntowe z kozielskiego powiatu znajdowały się w sądzie powiatowym w Raciborzu. Pojechałem tam i dosłownie oniemiałem. Początkowe tomy hipoteki kozielskich wsi otwierały folia gospodarstw chłopskich, głównie kmiecych, będących już od lat chłopską własnością; podległą wprawdzie – na prawach

własności podzielonej – ale jednak własnością. Dopiero po nich następowały folia „regulowanych” gospodarstw. Wypisałem je wszystkie (luki były na szczęście znikome), zliczyłem, dodałem do nich liczbę dokonanych regulacji i dopiero wtedy otrzymałem wielkości w przybliżeniu zgodne ze statystykami z ostatniej ćwierci XVIII i pierwszej XIX w. Oszołomiony świetnymi możliwościami natychmiast odwiedziłem wszystkie powiatowe sądy Górnego Śląska i wnet dysponowałem pełnymi danymi o liczebności i rozmieszczeniu chłopskiej własności podległej na całym obszarze Górnego Śląska przed reformą. Dane te opublikowała „Sobótka”, zaś rozważania o księgach i aktach śląskiej hipoteki jako źródle historycznym i historyczno-prawnym wydrukowało „Czasopismo Prawno-Historyczne” (1955, t. 7, z. 1). Po kilku latach żmudnych poszukiwań mogłem wreszcie zebrać ich wyniki w książce *Chłopskie posiadanie ziemi na Górnym Śląsku u schyłku epoki feudalnej. Posiadanie lassyckie*. Została ona opublikowana w 1959 r. i przyniosła mi tytuł docenta.

W tym czasie zająłem się też „drugą stroną równania”, opracowując tekst pt. *Własność feudalna i jej przemiany u schyłku epoki. Głównie na tle stosunków Europy Środkowej i ze szczególnym uwzględnieniem Śląska*. W tekście, drukowanym na łamach „Czasopismoa Prawno-Historycznego” (1957, t. 9, z. 2) proponowałem m.in. rozróżnienie feudalnej własności ziemi i feudalnej własności praw. Propozycja nie znalazła wszakże – kto wie, może słusznie – uchwytnego oddźwięku.

H.O.: Potem przyszedł czas na teksty o historii ustroju Śląska.

K.O.: Zainteresowania moje historią ustroju Śląska były nawet wcześniejsze, sięgały lat pięćdziesiątych, kiedy to Karol Maleczyński proponował mi napisanie krótkich ujęć tej problematyki dla późniejszych okresów w redagowanej przezeń *Historii Śląska*, która ukazała się pod egidą Instytutu Historii PAN. Zrobiłem, czego ode mnie oczekiwano, ale zadowolony nie byłem. Czegoś mi w tym brakowało, choć zrazu nie wiedziałem czego. Rzecz w tym, że nie miałem jeszcze konkretnych wyobrażeń o postaci, jaką powinna posiadać synteza ani – tym bardziej – nie miałem przygotowania teoretycznego. Bakcyl jednak połąkłem i zgodnie z nauką Mistrza skierowałem się „do źródeł”. Spędziłem parę miesięcy w Deutsches Zentralarchiv w Merseburgu, potem pewien czas w Czeskim Archiwum Centralnym w Pradze. Kwerenda była dla mnie trudna, a pierwsze jej wyniki nie odbiegały od rezultatów, jakie dla okresu po 1740 r., czyli po zajęciu Śląska przez Fryderyka II, uzyskał dawno temu Grünhagen. Sytuacja zmieniła się diametralnie dopiero wtedy, kiedy wziąłem się za studiowanie sprawozdań składanych Hohenzollernom przez ich posłów na śląskie sejmy, najpierw z czasów, gdy władali lennami Krosna i Karniowa. Źródła były szczątkowe i pobieżne, ale obiecujące. Dlatego czym prędzej ściągnąłem z Drezna sejmowe spra-

wozdania nadsyłane elektorom z innych sejmów. Zaczął wyłaniać się nowy obraz ustroju Śląska. Wypełniałem go wciąż nowymi materiałami, m.in. w czasie kilkumiesięcznego pobytu w Pradze. Było tego tyle, że pojawiły się zupełnie zasadnicze problemy natury konstrukcyjnej, zwłaszcza że szczupła literatura przedmiotu prezentowała się wręcz bałamutnie. Zacząłem więc znów pisać do przysłowiowej „szuflady”; w ciągu dwóch lat powstał potężnych rozmiarów maszynopis, który – wciąż uzupełniany – stoi jeszcze na moich regałach. Do druku się nie nadawał, wymagał wciąż nowych obróbek, przede wszystkim zaś sięgnięcia wprost do źródeł. Bardo wiele dały mi tutaj śląskie archiwa, zwłaszcza zaś ich tzw. *Acta publica*, zbiory sejmowych uchwał i ważniejszej korespondencji z lat 1526–1741, w tym przede wszystkim zbiór prowadzony przez Radę m. Wrocławia, liczący sto opasłych tomów i mieszczący nieprzebraną kopalnię danych. Trzeba było doń zrobić indeks, trochę na wzór *Chronologii sejmów polskich Władysława Konopczyńskiego*. Każdy „zjazd książąt” (*Fürstentag*) czyli sejm został odnotowany na osobnej karcie, każda jego uchwała, każde zgromadzenie, które formalnie nie było sejmem, ale miało zasięg ogólnos Śląski. Dopiero takie wstępne przymiarki, liczne szczegółowe artykuły i prowadzone dyskusje, umożliwiły mi napisanie rozprawy *Ogólnos Śląskie zgromadzenia stanowe* (1979).

H.O.: Książka była wydarzeniem; recenzje były liczne i ciepłe. Nie ukrywano podziwu dla podstawy źródłowej. Wybitni badacze niemieccy, tacy jak Helmut Coing czy Conrad, podkreślali, że rzecz koniecznie trzeba przetłumaczyć na języki zachodnie.

K.O.: Do przekładu nigdy nie doszło. Nie zabiegałem o to zresztą. Czułem się zmęczony wieloletnimi poszukiwaniami. Potrzebowałem zmiany tematu. Wybór padł na słowo *terra* – ziemia, *Land*, *pays* – tak wszechobecne w średnio-wiecznych źródłach, tak ważne dla zrozumienia przeszłości nie tylko śląskiej, tak zarazem wieloznaczne i pogmatwane, że trudno mu było się oprzeć. Wziąłem więc pod lupę wszystkie drukiem wydane łacińskie źródła narracyjne i prawne z czasów do końca XIV w. i tak powstała „powieść w odcinkach” o znaczeniach tego słowa w tekstach małopolskich, wielkopolskich, śląskich, mazowieckich, pomorskich itd., zsumowana następnie w „Czasopiśmie Prawno-Historycznym” (1983, t. 35, z. 2) w studium *Terra w terminologii polskich źródeł do końca XIV wieku*.

Ostatnią wreszcie moją „miłością” stały się dzieje śląskiej skarbowości, która mnie zresztą zawsze fascynowała jako nieodzowny składnik ustroju Śląska. Owocem są m.in. trzy książki: *Katastry śląskiego podatku szacunkowego*, *Rachunki śląskich stanów* oraz *Podatek szacunkowy na tle systemu daninowego dawnego Śląska*, wszystkie obejmujące lata od 1527 do 1740.

H.O.: Zostałeś historykiem dziejów ustroju społecznego i politycznego Śląska, bo tu miałeś pod ręką źródła. Przystudiowałeś ogromną ich ilość, wykonałeś rzadko spotykany u badaczy kawał żmudnej pracy, którą pewnie niejednen by nazwał „czarną robotą”. Czy czujesz się historykiem prawa jednego regionu i niczym więcej? Przecież w bibliografii Twoich prac wiele jest tekstów, daleko wykraczających poza Śląsk, prac o grubej warstwie refleksji metodologicznej.

K.O.: Odpowiedź moja jest prosta. Dyrektyw czy w ogóle tzw. metodologii nigdy nie lubiłem i nie lubię. Ale interesują mnie metody, a jeszcze bardziej sposoby uogólniania zjawisk, zwłaszcza takich, które by mogły wieść do syntezy. Na ogół we wszystkim, co robiłem i pisałem, poszukiwałem właściwej typologii i systematyzowania, starałem się znajdować kryteria (czasem żenująco proste, np. wielki i mały), które by tym celom mogły najlepiej służyć. Nie wszystkim się to oczywiście podobało. Ale z drugiej strony: jak wiele w ten sposób daje się lepiej zrozumieć.

Jeżeli o te sprawy idzie, to teraz najsilniej zajmuje mnie uogólnianie. To wcale nie jest prosta rzecz. Punktem wyjścia jest zawsze źródłowo fakt, sprawdzony również w swojej wielości. Tymczasem „uogólnienie” to już sprawa zupełnie subiektywna, kwestia mojego odbioru, subiektywnej oceny, wartościowania itd. I gdzie tu jest złoty środek? Gdzie granica między bezspornością wyjściowych faktów i ogólnym obrazem, który przecież ja sam, na swój własny użytek tworzę? Granica, której nie wolno przekroczyć, bo dalej jest już zakłamanie. Że niezamierzone? Że czasami nieświadome? Wiele by mówić o tym.

H.O.: Przejdźmy do innego kompleksu spraw, do Twojego udziału w życiu społecznym i politycznym. Byłeś członkiem Chrześcijańsko-Społecznego Stowarzyszenia, z ramienia ChSS byłeś w latach osiemdziesiątych posłem na Sejm, rozwijałeś w nim żywą działalność. Uczniowie, którzy zestawili bibliografię Twojej naukowej aktywności, doliczyli się aż 88 Twoich wystąpień na forum Sejmu. Na konferencji, która odbyła się w 1993 r. w Sulejowie dla uczczenia pięćsetlecia polskiego sejmiku dwuizbowego, broniłeś sejmiku PRL jako instytucji, która nie zasługuje na potępienie w czambuł. Czy Kazimierz Orzechowski - polityk to ten sam Kazimierz Orzechowski, który lata całe spędzał w bibliotekach i archiwach? Czy uczony może skutecznie chronić się przed presją polityki?

K.O.: Polityka jako taka specjalnie mnie nie interesowała. Podobnie jak moi rodzice nigdy nie należałem do żadnej partii politycznej, co oczywiście nie znaczy, że nie miałem swoich przekonań politycznych i opcji. Moi rodzice walczyli w obronie Lwowa, mój wuj wykrwawił się na śmierć pod Kostiuchnowką. Przed wojną sympatie mojej rodziny były proendeckie, tak samo moje. Wojenne prze-

życia nieodwołalnie położyły im kres. Czas powojenny wymazał stopniowo wszelkie polsko-ukraińskie rankory. Dziś boję się ewentualnego powrotu dawnego agresywnego nacjonalizmu i ksenofobii. Nienawidzę rasizmu. Kto z nas jest „czystej krwi”? We mnie jest krew polska, niemiecka, ruska i ormiańska. I co z tego? Przecież już w XVI w. ktoś powiedział: „Gente Ruthenus sum”, co nie przeszkodziło mu dodać jednym tchem: „Sed natione Polonus”. Tyle jeśli idzie o ideowe podłoże, na jakim mogłaby kształtować się moja ewentualna polityczna postawa i działalność.

Wspomniałeś o moim posłowaniu do Sejmu. Moja przygoda z sejmem PRL zaczęła się niewinnie, od referowania na zebraniach ChSS, niewielkiego ugrupowania tzw. „koncesjonowanych katolików”, papieskich oręddzi w sprawie pokoju. To spowodowało, że znalazłem się na mandatowym miejscu w „wyborach” w VIII i IX kadencji. Przegrać nie mogłem właśnie dlatego, że miejsce było mandatowe. Początki mojego posłowania były trudne, by nie rzec – upokarzające, byłem tylko częścią „maszynki do głosowania”. Ale z czasem dostrzegłem, że wbrew wszystkiemu rozziw między rządzącymi i zwykłym posłem nie był w praktyce tak wielki, jak wydaje się on niekiedy dzisiaj. Okazało się, że można tam wiele zdziałać, przede wszystkim w sprawach zwykłego szarego człowieka, a także w sprawach gospodarczych, często wybierając mniejsze zło. W sejmie uczyłem się i dojrzewałem; z przyjemnością czytałem listy, kierowane do mnie jako posła; oprawione ich tomy stoją u mnie na półkach do dziś. Ale tego nigdy nie traktowałem jako zajęcia równorzędnego z misją uczzonego-badacza. Ktoś, kto zawodowo zajmuje się polityką, prędzej czy później kończy się jako uczony.

H.O.: Wielekroć wypowiadałeś się w swoich publikacjach i wystąpieniach na temat współczesnego Uniwersytetu i kształcenia prawników.

K.O.: Obie materie są sobie bliskie, a ściślej mówiąc wzajemnie się warunkują. To, jak uczyć prawa, zależy w decydującej mierze od tego, jak będziemy traktowali Uniwersytet. Ten ostatni musi umieć dotrzymywać kroku wyzwaniom czasu, ale zarazem dochowywać wierności tradycji. To nie *scientiarum universitas*, lecz *studiosorum universitas*, wspólnota łącząca – jak kiedyś – tych, którzy nauczają, oraz tych, którzy są nauczani. Innymi słowy – w uniwersytecie to nie studenci są dla profesorów, lecz odwrotnie – profesorowie dla studentów. I studium musi o tym wiedzieć, muszą naszą pomoc odczuwać. Co do kształcenia prawników: ofertę dydaktyczną trzeba wciąż wzbogacać, nie można pozostawać obojętnym na fakt, że powstają nowe działy obowiązującego prawa, że świat jest coraz większy, a zarazem coraz mniejszy, że coraz liczniejsze obszary życia publicznego wewnętrznego – międzynarodowego – regulowane są normami prawnymi. Ale właśnie dlatego, że wszystko zmienia się tak szybko i coraz szybciej, należy wydobywać w dydaktyce to, co stabilne i trwałe, co jest

rusztowaniem dla przyszłego prawnika, niezależnie od tego, na jakim stanowisku będzie pracował. Mam na myśli nie tylko dyscypliny teoretyczne, filozoficzne i historyczno-prawne, ale przede wszystkim podstawowe działy prawa pozytywnego, to co w nich najbardziej ogólne, sprawdzone i dlatego niezmiennie.

H.O.: W ostatnim czasie dotarły do mnie materiały konferencji zorganizowanej przez Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego (por. *Humanizacja zawodów prawniczych a nauczanie akademickie*, pod red. Anny Turskiej, Warszawa 2002), z których wynika, że roli nauk społecznych i humanistycznych w studiach prawniczych nie można przecenić. Mądre referaty, interesujące, choć i kontrowersyjne głosy w dyskusji są odpowiedzią na niebezpieczne tendencje, widoczne dziś w praktyce akademickiej. To uzasadnia pytanie, jak należałoby – Twoim zdaniem – ocenić stan dyscypliny i jak postrzegasz jej perspektywy?

K.O.: Sprawa ma dwa aspekty: przedmiotowy i podmiotowy. Zaczniemy od pierwszego. Po latach pracy nad źródłami i po przykrych doświadczeniach, kiedy to musiałem odchodzić od poglądów, na które wcześniej gotów byłem przysięgać, wydaje mi się, że historii ustroju i prawa nie wystarcza już dziś choćby najdokładniejsza faktografia, nawet najstaranniej poparta źródłami. Nie tylko dlatego, że – jak się słusznie mawia – wszystko już kiedyś było. Coraz intensywniej odczuwam brak uogólnień zmierzających do teorii, przy tym nie apriorycznych jakichś „typów idealnych”, lecz w pełni aposteriorycznych, opartych na obserwowaniu przeszłości. Na ich porządkowaniu i systematyzowaniu, na odróżnianiu tego, co tak ogólne, że aż nadrzędne, od tego, co wobec tamtych szczegółowe, osobnicze, tamtym podporządkowane. Starałem się tak postępować; trudno mi doprawdy samemu ocenić, na ile skutecznie. Natomiast martwi mnie podmiotowy aspekt sprawy. Młodzi ludzie zajmujący się historią prawa i działający w naszym otoczeniu często wydają mi się bardzo inni niż my sami byliśmy przed laty. Wiem oczywiście, że dzieli mnie od nich czas dwóch pokoleń i że zasadniczo zmienił się świat ze swoimi wyzwaniem. Kiedyś zaproponowałem bardzo interesującemu młodemu człowiekowi pracę w Katedrze. Zapytał o wysokość poborów i oferty nie przyjął. Rozumiem to nawet: jeśli się ma rodzinę, którą trzeba utrzymać, sprawy materialne nabierają zasadniczego znaczenia. Wiem, jak mało płacą uniwersytety swoim młodym pracownikom. Jednak nie tylko o sprawy materialne tu chodzi. Widzę, w jak wielkim pośpiechu powstają doktoraty młodych adeptów naszych dyscyplin. Boję się, by nie byli „magistri unius libri”; podejrzewam, że wielu z nich traktuje doktorat jako trampolinę do bardziej lukratywnej kariery, która z uprawianiem nauki nie ma – rzecz jasna – nic wspólnego. Nauka bowiem jest jak zaborczo kochająca kobieta: wymaga wyłączności i absolutnej wierności; żąda, by oddać jej całego siebie

i cały swój czas. Nie wydaje się, by ta myśl towarzyszyła młodym. Zwraca również uwagę, że tematyka dysertacji najczęściej mieści się w najbliższej przeszłości, obejmując wiek XX, czasami XIX. Ich autorzy sięgają do źródeł urzędowych, z reguły drukowanych i w maszynopisach, produkowanych masowo i stosunkowo łatwo dostępnych. W związku z tym młodych nie widać w archiwach, a przecież to archiwalia są właściwym światem dla historyka prawa. Prawdziwie kształjące są przy tym źródła średniowieczne: zmuszają do wysuwania hipotez, narzucają znajomość nauk pomocniczych historii (przede wszystkim paleografii), wymagają obcowania z łaciną. Wyjątkowo tylko pojawiają się dziś doktoraty i habilitacje z historii ustroju i prawa wieków średnich; inicjatywy edycji źródeł stają się rzadkością. Strach mnie oblatuje, gdy pomyślę, kto w przyszłości podejmie trud zakończenia krytycznej reedycji *Volumina Constitutionum*, albo kto wróci do gigantycznego zamysłu Oswalda Balzera – do wydania *Corpus Iuris Polonici*.

To istotnie nader pesymistyczny punkt widzenia. Zastanawiam się, czy rzeczywiście jest aż tak źle. Przyznam, że moje własne doświadczenia, jako obserwatora działalności czynnych w środowisku seminariów i jako redaktora wydają się nie uzasadniać wszystkich czarnych perspektyw. Mamy liczne pokolenie bardzo zdolnych doktorantów, wśród których nie brak autentycznych pasjonatów szeroko pojętej historii prawa. A że nie przeważają wśród nich badacze średniowiecza...? Tu się zgadzam, ale czasy najnowsze też są mocno niedoinwestowane w nauce.

H.O.: Chciałbym jeszcze prosić Pana Profesora o podzielenie się z czytelnikami danymi o bieżących zamierzeniach naukowych.

K.O.: Piszę *Historię ustroju Śląska*. Zacząłem ją pisać – jak o tym wspominałem – już w latach pięćdziesiątych. Wielokrotnie pracę przerywałem, ale potem zawsze do niej wracałem, bogatszy w doświadczenia i faktograficzną wiedzę, ale wciąż pełen rozterek i wątpliwości. Dawałem im wyraz w przyczynkach, publikowanych m.in., przez Ciebie w „Czasopiśmie Prawno-Historycznym”. Wstępna redakcja wydaje mi się zaawansowana, bo została doprowadzona do XVI stulecia. Ale ciągle borykam się z kłopotami: ich sprawcą jest sama badana substancja, którą trudno porządkować. Rzecz ponadto w tym, że ramą dla badań historyka prawa jest państwo, państwo jako całość, „mój” Śląsk natomiast nigdy odrębnej politycznej struktury państwowej nie stanowił. Wciąż szukam tego, co usytuowane jest na styku z sąsiadami, co pozwala Śląsk wyróżnić jako całość, pokazać jego struktury na tle innych. Jak już nieraz bywało, weryfikacji dla swoich pytań szukałem w dziejach śląskiej skarbowości. Niedawno przedstawiałem wyniki swoich dociekań na posiedzeniu jednego z Wydziałów Polskiej Akademii Umiejętności. Droga do syntezy całości wiedzy znów przez syn-

tezy częściowe, oparte na własnych poszukiwaniach, ale w dużej na szczęście mierze już także na rezultatach badań prowadzonych przez moich byłych uczniów, zwłaszcza przez Mariana Ptaka, którego szczegółowe studia nad śląskimi księstwami są nieprzebraną skarbnicą wiedzy. Muszę jeszcze coś wyznać; gdy byłem młody, pisało mi się z dużą łatwością. Teraz jest zupełnie inaczej: zrozumiałem wagę słowa; pragnę, by moja synteza nie zawierała sformułowań ogólnikowych lub wieloznacznych, by była konkretna i dla czytelnika jasna.

H.O.: Od pięćdziesięciu lat jesteś związany z „Czasopismem Prawno-Historycznym”. Wniosłeś doń wielki wkład jako autor rozpraw, studiów i recenzji. Ponad 40 Twoich prac zostało zamieszczonych na łamach tego pisma. Należysz do tych, którzy jako członkowie Komitetu Redakcyjnego kształtują profil i to, co można by nazwać polityką pisma. Czy mimo to chciałbyś na zakończenie naszej rozmowy odpowiedzieć coś, co mogłoby przyczynić się do podniesienia poziomu i atrakcyjności „Czasopisma Prawno-Historycznego”?

K.O.: Ponieważ bieżące sprawy załatwiane są przez redaktora w trybie indywidualnych kontaktów oraz na posiedzeniach plenarnych Komitetu Redakcyjnego, ograniczę swą wypowiedź do jednej uwagi pochwalnej i dwóch postulatów, których wagę zresztą zawsze doceniano w redakcji. Podoba mi się, że wysoki na ogół poziom publikacji ogłaszanych na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego” można pogodzić z tradycyjnie liczną obecnością w gronie współpracowników poszczególnych zeszytów autorów młodych. Czasopismo promuje i nobilituje tych, którzy rozpoczynają swą przygodę z nauką; tego osiągnięcia nie można przecenić. Postulaty zaś są mało oryginalne, choć ważne. Oto marzy mi się trochę wyższy poziom krytycznych recenzji. Myślę też, że „Czasopismo Prawno-Historyczne” mogłoby w wyższym stopniu stać się forum wymiany poglądów na wybrane zagadnienia, zarówno tkwiące w samym centrum naszych historyczno-prawnych dyscyplin, jak i graniczących z innymi dyscyplinami humanistycznymi i społecznymi.

H.O.: Dziękuję za rozmowę.

Janusz Pajewski



Janusz Pajewski był wybitnym badaczem dziejów politycznych, organizatorem życia naukowego, zasłużonym nauczycielem akademickim i wychowawcą kadr naukowych, wieloletnim kierownikiem Zakładu Historii Powszechnej Nowożytnej w Instytucie Historii Wydziału Historycznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. W latach 1951–1955 pełnił funkcję prodziekana, w latach 1955–1958 dziekana Wydziału Filozoficzno-Historycznego Uniwersytetu Poznańskiego. Był doktorem *honoris causa* Uniwersytetów w Strasburgu i Poznaniu oraz pierwszym w historii macierzystej uczelni kawalerem najwyższej godności, jaką ona dysponowała, a mianowicie *Palmae Universitatis Studiorum Posnaniensis*. Był odznaczony m.in. Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski z Gwiazdą oraz Wielkim Krzyżem Orderu św. Sylwestra Papieża. Już za życia stał się legendą; symbolizował żywotność akademickich tradycji, a zarazem aprobowanie zmian dyktowanych przez trendy współczesności. Kochał Uniwersytet; jego Uniwersytet to wspólnota mistrzów i uczniów. Wykszttał zastęp uczniów: należeli do nich tak wybitni badacze, jak: Tomasz Szramm, Waldemar Łazuga, Antoni Czubiński, Maciej Serwański. Do ostatnich dni był twórczy jako badacz, zaangażowany w sprawy środowiska, zarażał wiarą i życiowym optymizmem. W czasie jubileuszu 95-lecia urodzin mówił: „Życie jest barwne... Ci, którzy mówią o szarzyźnie życia, są czasem ludźmi szarymi, ...bez wyobraźni, bez inteligencji, bez kultury, bez poczucia humoru”. Wykład inauguracyjny, rozpoczynający rok akademicki 1999/2000, poświęcony losom ojczystym, wygłaszał ze swadą i – jak zwykle – piękną polszczyzną. Mówił do ponad tysiąca zafascynowanych słuchaczy, bez kartki, z pamięci. Prawie do końca aktywnie uczestniczył w pracach Konwentu Godności Honorowych swojej uczelni. Nestor polskich historyków zmarł w Poznaniu 3 grudnia 2003 r. w wieku 96 lat.

Urodził się 5 maja 1907 r. w Warszawie w rodzinie o silnie zakorzenionych tradycjach narodowych i patriotycznych. W szczególności ojciec, Zdzisław Pajewski, ekonomista z wykształcenia, a z profesji dyrektor jednej ze stołecznych fabryk, wpajał mu zainteresowanie dziejami ojczystymi. Dramatyczne dzieje kraju, który był niegdyś wielki, a potem został rozebrany przez sąsiadów, z pewnością były głównym impulsem, który kierował Janusza Pajewskiego na drogę uprawiania badań historycznych. Podobnie działała miłość do Warszawy, z którą związana była jego młodość: Janusz Pajewski często wspominał imponującą manifestację 3-majową 1916 r. w stolicy, pamiętny listopad 1918 r., sierpień 1920 r. Po ukończeniu w 1925 r. warszawskiego Gimnazjum Ziemi Mazowieckiej, zapisał się na Uniwersytet Warszawski. Jako student słuchał wykładów znakomitych historyków: Marcellego Handelsmana, Wacława Tokarza, Ludwika Kolankowskiego, Stanisława Kętrzyńskiego, Jana Kochanowskiego, Oskara Haleckiego. Szczególne wrażenie wywierał na młodym adepcie historii ten ostatni: badacz dziejów politycznych, twórca idei jagiellońskiej, erudyta i porywający wykładowca. Pajewski bez wahania związał się właśnie z jego seminarium. Haleckiego najcieplej też wspominał w swoich pamiętnikach *Przeszłość z bliska. Wspomnienia* (Warszawa 1983).

Wielka estyma dla Haleckiego zadecydowała o tematyce pierwszych prac Janusza Pajewskiego. Były one poświęcone polityce Rzeczypospolitej XVI w. wobec Węgier, Turcji, Moskwy, ukazywały dzieje dyplomacji z szerokim uwzględnieniem kontekstu europejskiego. W kręgu Oskara Haleckiego powstały – jego rozprawa doktorska *Stosunki polsko-węgierskie i niebezpieczeństwo tureckie w latach 1516–1526* (1930) i monografia, która stała się podstawą habilitacji z 1933 r., *Węgierska polityka Polski w połowie XVI wieku (1540–1571)*. Pionierskie studia, które spotkały się z życzliwym przyjęciem krytyki, pozwoliły Januszowi Pajewskiemu nie tylko podjąć działalność akademicką na Uniwersytecie Warszawskim, ale i przejąć wykłady na innych uczelniach stolicy: w Wyższej Szkole Dziennikarstwa (1937) oraz w Szkole Nauk Politycznych (1938). Do historii polityki polskiej w dawnej Rzeczypospolitej wracał autor wielokrotnie w latach późniejszych.

Drugim nurtem zainteresowań badawczych Janusza Pajewskiego w latach trzydziestych stała się biografistyka. Jego pasje na tym polu, których efektem były biogramy znanych postaci, publikowane w różnych renomowanych periodykach i wydawnictwach encyklopedycznych (takich jak „Przegląd Powszechny”, „Kultura”, „Czas”, Encyklopedia Nauk Politycznych), wynikały z przekonania, że bohaterami historii są osobowości i indywidualności – mężowie stanu, mecenas kultury, przywódcy kształtujący opinię publiczną. Uzupełniały one i niejako koronowały aktywność autora jako historyka dziejów politycznych.

Rozległość fascynacji naukowych Janusza Pajewskiego wcześniej znalazła potwierdzenie w stopniowym przesuwaniu się jego uwagi na obszar historii współczesnej. Przedmiotem publikacji stawały się wydarzenia, które rozgrywały się niemal na jego oczach: pisał o przymierzu austriacko-niemieckim i kryzysie bośniackim lat 1908–1909, o układach lokarneńskich, o polityce zagranicznej Mussoliniego, o Małej Entencie, dał syntetyczny szkic: *Polska. Zarys historii czasów najnowszych*.

Obok badań nad genezą pierwszej wojny światowej oraz odrodzeniem państwa polskiego coraz częściej podejmował Janusz Pajewski problematykę niemiecką, poddając wnikliwym analizom rozwój sytuacji w powojennych Niemczech i dzieje stosunków polsko-niemieckich. Kiedy w roku 1933 rozgorzała ostra dyskusja nad przywiezioną przez delegację niemiecką na Powszechny Kongres Historyków w Warszawie książką pod redakcją Alberta Brackmanna i Karla Brandiego *Deutschland und Polen*, młody historyk zamieścił w „Przeglądzie Powszechnym” obszerny tekst pt. *Głos uczonych niemieckich o Polsce*, w którym krytycznie ustosunkował się do nacjonalistycznych tez najbardziej znanych badaczy dziejów „niemieckiego Wschodu” i stosunków niemiecko-polskich. Uznał książkę za szkodliwą – przede wszystkim z uwagi na tendencję – wykazania za wszelką cenę, choćby wbrew oczywistej prawdzie, iż Niemcy były stale stroną dającą, oczywiście wartości dodatnie, Polska zaś stale stroną biorącą. Rzecz jasna, że tego rodzaju poglądy szerzone pod pseudonaukową banderą, utrudniają już nie porozumienie polsko-niemieckie, ale po prostu zrozumienie przez społeczeństwo niemieckie Polski i spraw polskich. W zakończeniu wywodu stwierdzał: „Na polskim świecie naukowym ciąży nietrudny, sądzimy, obowiązek udzielenia uczonym niemieckim naukowej odpowiedzi i przedstawienia dziejowych stosunków polsko-niemieckich w sposób wolny od wszelkich tendencji, a jeśli pewną tendencją zabarwiony, to tą jedynie dopuszczalną w badaniach naukowych – tendencją wykrycia prawdy za wszelką cenę”.

Druga wojna światowa uniemożliwiała prowadzenie systematycznej pracy naukowej. Janusz Pajewski zarabiał na życie, mając się rozmaitych zajęć. Jednocześnie brał udział w działalności konspiracyjnej: uczestniczył w tajnym nauczaniu, był pracownikiem Biura Informacji i Propagandy oraz Sekcji Praw Zagranicznych Delegatury Rządu na Kraj; na zlecenie Zygmunta Wojciechowskiego przygotował dla Wydawnictwa Arcta podręczniki historii Polski nowożytnej oraz napisał rozprawę o Zigmuncie Auguście, a także tekst do pracy zbiorowej *Polska i Czechy*. Prace te uległy zniszczeniu w czasie powstania.

Zaraz po wojnie Janusz Pajewski rozwinął niezwykłą energię na polu organizacji życia naukowego. Wznowił zajęcia na Uniwersytecie Warszawskim, podjął wykłady w Szkole Głównej Handlowej i w Szkole Nauk Politycznych, a nawet przez pewien czas pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych na stano-

wisku wicedyrektora departamentu do spraw repatriacji. Był też pełnomocnikiem rządu do spraw zabezpieczenia mienia kulturalnego na Śląsku.

Jesienią 1946 r. docent Pajewski przeniósł się do Poznania, stając się od razu jednym z filarów Wydziału Filozoficzno-Historycznego Uniwersytetu Poznańskiego oraz Instytutu Zachodniego. Poznań pociągał go swymi tradycjami badań niemcoznawczych, stanowił niekwestionowane centrum myśli zachodniej, w Poznaniu powstawał pierwszy w Polsce, kierowany przez Zygmunta Wojciechowskiego, prężny ośrodek studiów nad Niemcami i historią stosunków polsko-niemieckich. Studia nad historią Niemiec miały stać się głównym nurtem badań J. Pajewskiego.

Wydarzeniem późnych lat czterdziestych była ogłoszona w 1947 r. nakładem Instytutu Zachodniego książka *Niemcy w czasach nowożytnych (1517–1939)*, która wraz z równoległe opublikowaną pracą Kazimierza Tymienieckiego *Niemcy w czasach średniowiecza*, stanowiła pierwszą prezentację całości dziejów Niemiec w historiografii polskiej. Praca nosiła wszelkie znamiona ówczesnej literatury poświęconej Niemcom i problemowi niemieckiemu. Szła w niej jednym śladem też monografia Zygmunta Wojciechowskiego *Polska – Niemcy. Dziesięć wieków zmagania* (1945), zawierając silne i zrozumiałe po doświadczeniach wojennych akcenty nacjonalistyczne w ocenie niemieckiej polityki. Dostrzegał to potem sam Janusz Pajewski, kiedy przyznawał, że książkę pisał powodowany wieloma emocjami wywołanymi okropnościami wojny, dosyć zapalczywie. Rodzajem aneksu do tej monografii był tekst, ogłoszony drukiem w tym samym roku wespół z Włodzimierzem Głowackim, *Analogie rewizjonizmu niemieckiego* (1947). Porównywał w nim wypowiedzi powojennych przywódców niemieckich dotyczące polityki wschodniej z postawą polityków Niemiec weimarskich, dochodząc do wniosku o ewidentnym kontinuum tej polityki. Pisał: „Niebezpieczniejszy w danej chwili od ducha Hitlera jest duch Stresemanna”. Żądał reedukacji całego narodu niemieckiego, co mieli mu za złe koryfeusze nauki marksistowskiej.

W trudnych latach pięćdziesiątych Janusz Pajewski opublikował niewiele. Marksistą nie był, a wysnute z materializmu historycznego zasady interpretowania historii współczesnej były dlań nie do przyjęcia. Jeżeli aktywnie uczestniczył w życiu akademickim, pełniąc m.in. funkcję prodziekana i dziekana swojego Wydziału i godność jego reprezentanta w Senacie uczelni, to wynikało to z cech jego osobowości. Był człowiekiem twardych zasad, ale nie miał natury wojownika, szukał dróg do mądrego kompromisu, przedkładając to, co łączy, nad to, co dzieli. Spoglądał na rozgrywające się na jego oczach wydarzenia z dystansem, ale nie potrafił stać z boku; czuł się odpowiedzialny za stan korporacji, za los swych uczniów, za przygotowanie studentów. Dzięki elegancji w kontaktach jednał sobie ludzi, ufał im, miał dar skutecznego negocjowania.

Symbolizował ciągłość w środowisku; był autorytetem, który nie bał się dokonywać trudnych wyborów. Argumenty czerpał z doświadczeń badacza, konflikty rozładowywał perswazją, przykładem, anegdotą. To jemu zawdzięczamy, że Uniwersytet Poznański nie musiał przyjąć nazwy Uniwersytetu imienia Marcina Kasprzaka, Juliana Marchlewskiego czy Feliksa Dzierżyńskiego. Pamiętam, jak na jednym z posiedzeń kierowniczych gremiów UP profesor tłumaczył delegatom Komitetu Wojewódzkiego PZPR, że włączenie do nazwy uczelni nazwiska wybitnego rewolucjonisty, ale zarazem mistrza rewolucyjnego terroru i w dodatku polskiego szlachcica, mogłoby się odbić ujemnie na przewodniej tezie wiary Polaków, że to zwycięstwo wielkiej rewolucji październikowej zadecydowało o polskiej niepodległości w 1918 r., i w następstwie obniżyć temperaturę przyjaznych uczuć Polaków do ZSRR. Genialny argument przemówił do władz PRL, bo sprawę zastąpienia Feliksa Edmundowicza Adamem Mickiewiczem – też przecież niełatwą – załatwiono szybko i bezboleśnie. W czasach, kiedy okcydentalizm był piętnowany jako zjawisko podejrzane politycznie, niemal jako synonim zdrady interesu narodowego, Janusz Pajewski odważnie upominał się o rozwijanie więzów współpracy z nauką zachodnią. Bliska mu była w szczególności nauka francuska, w której – jak wielu przedstawicieli swojej generacji – widział gwarancję swoistej przeciwwagi dla nacjonalistycznej i rewizjonistycznej nauki niemieckiej.

Tematyka niemiecka wciąż jednak zajmowała poczesne miejsce w publikacjach Janusza Pajewskiego, choć w tekstach swoich nie wychodził on już poza cezurę roku 1939. Wracał do „prehistorii” procesów współczesności, szukał źródeł totalitaryzmu faszystowskiego. Pisał więc o penetracji Bliskiego Wschodu przez wilhelmińskie Niemcy, o konfliktach między junkrami a mieszczanami na przełomie stuleci, o genezie rewizjonizmu na lewicy, o gospodarczo-społecznych przesłankach niemieckich planów strategicznych w okresie poprzedzającym pierwszą wojnę światową, o kształtowaniu się niemieckiej polityki imperialnej. Często ostro, choć zawsze taktownie, polemizował z nacjonalistycznymi ujęciami historyków zachodnioniemieckich i z uznaniem witał rozprawę Fritza Fischera *Griff nach der Weltmacht. Die Kriegszielpolitik des kaiserlichen Deutschland 1914–1918* (1961), w której odsłonięto prawdziwe cele polityki światowej Rzeszy, które doprowadziły do roku 1914. Ukoronowaniem „niemieckich” badań Janusza Pajewskiego była jego monografia *Mitteleuropa. Studia z dziejów imperializmu niemieckiego w dobie pierwszej wojny światowej* (1959). Książka traktowała o mało wcześniej znanych niemieckich projektach stworzenia polityczno-gospodarczego bloku środkowoeuropejskiego pod egidą Rzeszy. Oparta na solidnej podstawie źródłowej monografia weszła do klasyki literatury niemcoznawczej i została entuzjastycznie przyjęta przez krytykę.

Do problematyki niemieckiej wracał autor odtąd przeważnie w kontekście wciąż żywych zainteresowań sprawami polskimi. Tak trzeba ocenić jego rozprawę *Polityka mocarstw centralnych wobec Polski podczas pierwszej wojny światowej* (1962), redagowane przezeń prace zbiorowe *Dzieje Hakiaty* (1966) i *Problem polsko-niemiecki w traktacie wersalskim* (1968) oraz obszerną monografię *Wokół sprawy polskiej. Paryż – Lozanna – Londyn 1914–1918* (1970), poruszającą losy kwestii polskiej w czasie wojny na szerokim tle polityki mocarstw.

Ta ostatnia rozprawa zwiastowała już definitywny powrót do tematyki polskiej, a zarazem zapoczątkowywała okres wielkich syntez Profesora. Dzieje polskie w trakcie i po pierwszej wojnie światowej obejmowały przede wszystkim dwa potężne tomy. Pierwszy, napisany jeszcze w latach sześćdziesiątych, ale opublikowany ze względów cenzuralnych dopiero w roku 1978, to *Odbudowa państwa polskiego 1914–1918*, drugi – powstały już w Trzeciej Rzeczypospolitej to *Budowa Drugiej Rzeczypospolitej 1918–1926* (1995). Obie monografie wyrażały nowe spojrzenie na odradzanie się państwowości polskiej i dawały wszechstronną analizę dziejów Polski pod rządami konstytucji marcowej. Obie zawierały też wszystkie cenne cechy znamionujące pisarstwo Janusza Pajewskiego: rzetelność źródłową, świetny warsztat, rozmach interpretacji, nieskazitelność formy przekazu. To samo można powiedzieć o dwóch najbardziej znanych jego syntezach: o *Historii powszechnej 1871–1918*, wydanej po raz pierwszy w 1967 r., potem wielokrotnie wznawianej i poprawianej – stanowiącej ostatni tom wielkiej serii edytorskiej Państwowego Wydawnictwa Naukowego, oraz o *Pierwszej wojnie światowej 1914–1918* (1991). Obie są dziełami głębokiej erudycji, talentu badawczego, pracowitości.

Odejście prof. Janusza Pajewskiego jest wielką stratą dla nauk o przeszłości. Bolesnie odczuwa je poznańskie środowisko humanistyczne, w którym cieszył się głębokim autorytetem. Ze szczególnym smutkiem przyjmują je liczni uczniowie Profesora.

Zbigniew Radwański



Trudno nie rozpocząć tego smutnego wspomnienia od ogólnej charakterystyki sylwetki i kilku osobistych refleksji o zmarłym w dniu 20 grudnia 2012 r. Profesorze. Zbigniew Radwański, nestor prawników polskich, był wybitnym uczonym – humanistą, autorem fundamentalnych dzieł z wielu dziedzin prawoznawstwa, współtwórcą współczesnej cywilistyki polskiej, teoretykiem i historykiem prawa, wychowawcą wielu pokoleń młodzieży naukowej oraz – co równie ważne – niezastąpionym organizatorem życia naukowego. Wielki autorytet moralny i sławę zdobywał dzięki talentowi, pasji dociekania, pracowitości i niesłychanej dyscyplinie intelektualnej, włożonym w badania, lecz także w liczne funkcje pełnione w życiu publicznym. Grał w nim wiele pierwszoplanowych ról. Był rektorem Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, członkiem rzeczywistym Polskiej Akademii Nauk, wiceprezesem PAN, przewodniczącym jej Komitetu Nauk Prawnych, przewodniczącym Prezydium Oddziału PAN w Poznaniu, wiceprzewodniczącym Komisji do spraw Reformy Prawa Cywilnego i przewodniczącym Sekcji Prawa Cywilnego Materialnego. Przewodniczył Radzie Legislacyjnej przy Prezesie Rady Ministrów, Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Cywilnego, był redaktorem naczelnym tomów „Systemu Prawa Cywilnego” i redaktorem „Systemu Prawa Prywatnego”, wieloletnim redaktorem kwartalnika: „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny”. Wywarł głęboki wpływ na stan prawa i poziom prawoznawstwa także swoim recenzjami, ekspertyzami, inicjatywami, wykładami i seminariami. Za zasługi został wyróżniony m.in. najwyższym odznaczeniem państwowym – Orderem Orła Białego. Uniwersytet Szczeciński nadał mu godność doktora *honoris causa*, macierzysty Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu odnowił jego doktorat po 50 latach aktywności twórczej. Zaiste niewielu uczonych tak bardzo związanych było z ideą Uniwersytetu i tak wiele dla niego zrobiło.

Zbigniew Radwański pochodził z Chojnic, gdzie urodził się 31 sierpnia 1924 r. w rodzinie prawniczej; jego ojciec był notariuszem. Należał do pokolenia Kolumbów. Wojnę przeżył w Generalnej Guberni, jej ostatnie lata na robotach przymusowych w Niemczech. Potrafił o tym opowiadać barwnie, z dystansem i poczuciem humoru. Po zdaniu matury w 1945 r. w Stargardzie Gdańskim podjął studia prawnicze na Uniwersytecie Poznańskim. Ukończył je w 1948 r. i od razu został przyjęty na stanowisko asystenta w Katedrze Historii Państwa i Prawa Polskiego. Pod kierunkiem prof. Zdzisława Kaczmarczyka napisał pracę doktorską na temat praw kardynalnych w dawnej Polsce, którą obronił w roku 1950. Po uzyskaniu doktoratu przeszedł do Katedry Prawa Cywilnego UP. Był jej pracownikiem, z czasem kierownikiem aż do przejścia na emeryturę w roku 1994. Pod kierunkiem wybitnego uczonego, jakim był Alfred Ohanowicz, uważany za twórcę poznańskiej szkoły cywilistycznej, Zbigniew Radwański szybko pokonywał kolejne etapy kariery akademickiej. W roku 1955 ukończył pracę, która miała być jego rozprawą habilitacyjną, otwierającą drogi do formalnej samodzielności naukowej, ale nie doszło do kolokwium, bo habilitację zniósła „proradziecka” ustawa z roku 1951. Przez dziewięć lat był docentem, jakby po drodze składając również egzamin sędziowski i egzamin adwokacki. Nie byłby sobą, gdyby obu nie ukończył z pierwszymi lokatami, *summa cum laude*. W 1964 r. został profesorem nadzwyczajnym, w 1977 r. – profesorem zwyczajnym. Ukoronowaniem jego uniwersyteckiej drogi było przyjęcie funkcji rektora Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w arcytrudnym dla uczelni okresie stanu wojennego. Trzeba mieć nadzieję, że w biografii Profesora, jaką z pewnością napisze w przyszłości ktoś z jego licznych i już dziś znakomitych uczniów, bilans sprawowania przezeń tej funkcji zostanie szczególnie wnikliwie potraktowany. Był bowiem wielkimrektorem. W ostatnich dwóch dekadach Zbigniew Radwański wciąż pozostawał obecny w życiu macierzystej Uczelni, mimo że punkt ciężkości jego aktywności twórczej przeniósł się już do struktur Polskiej Akademii Nauk. Władzom PAN jakby z nieba spadł; był dynamiczny i nie uchylał się od prac administracyjnych. Rychło wybrano go przewodniczącym Komitetu Nauk Prawnych i włączono do Prezydium. Po napisaniu statutu PAN został wiceprezesem korporacji, osiągając jedno z najwyższych stanowisk, jakie w Polsce może stać się udziałem uczonego.

Zbigniew Radwański nie był człowiekiem tuzinkowym; miał naturę przywódcy, organizatora. Był „krótki” w obejściu, przerażająco konkretny, rygorystycznie przestrzegał wykonania zaplanowanych działań. W przemówieniu wygłoszonym podczas zorganizowanego przez Wydział spotkania z okazji 70-lecia urodzin Jubilat podkreślał, że najważniejszą zasadą postępowania w jego życiu pozostawało działanie racjonalne, wypełnione sensowną aktywnością. Żartował, że pojął za żonę profesora pediatrii, bo wiedział, że kiedy przyjdzie

starość, a z nią rozpocznie proces dziecinnienia, taki związek będzie dobrym przykładem racjonalności. Potrafił organizować działania podległych sobie zespołów i nie wyobrażał sobie, by jego współpracownicy wykazywali w powierzonych sobie rolach jakąkolwiek intelektualną ospałość. Tu i ówdzie utyskiwano, że traktuje swoich pracowników instrumentalnie. Przyznawano wszelako zgodnie, że wiele wymagając od innych, najwięcej wymagał od siebie. Był racjonalny także w organizowaniu swego wypoczynku: Pływał, biegał, czytał, mądrze i z umiarkowaniem korzystał z darów życia. Starannie dobierał rozmówców; umiał być duszą towarzystwa; do rzeczowych dyskusji zawsze można go było namówić.

Był jednak przede wszystkim znamienitym prawnikiem – znawcą obowiązującego prawa. Badanie było jego największą życiową pasją. Spotkać się można z poglądem, że należał do najwybitniejszych prawników XX w., a nawet największych polskich prawników cywilistów w całej historii nauk prawnych. Jego prace obejmowały kwestie fundamentalne dla prawnika; były ważne poznawczo i społecznie użyteczne. Wnosiły do nauki prawa cywilnego zdobycze innych nauk humanistycznych i społecznych, uwzględniały dorobek innych nauk humanistycznych i społecznych i na inne działy prawoznawstwa oddziaływały. Szczególnie silnie zaznaczały się w nich osiągnięcia teoretyków prawa. Współpracował z nimi przez kilkadziesiąt lat, co m.in. pozwalało mu ujmować prawo jako koherentny system norm, którego części są ze sobą ściśle powiązane. Badał instytucje należące do wszystkich kodeksowych działów prawa cywilnego: części ogólnej, prawa rzeczowego, zobowiązań, prawa spadkowego i prawa rodzinnego. We wszystkich przyczyniał się do zmian judykatury i z czasem „wymuszał” swym stanowiskiem zmiany regulacji prawnej. W opublikowanej w 1956 r. rozprawie *Zadośćuczynienie pieniężne za szkodę niemajątkową. Rola i funkcja społeczna* podważył powszechnie podówczas obowiązującą tezę o niezgodności tej instytucji z tzw. socjalistycznym systemem wartości. W pracy *Najem mieszkań w świetle publicznej gospodarki lokalami* (1961) pokazał mistrzostwo w spojrzeniu na zawarte w prawie niespójności w traktowaniu odrębnej własności lokali i ich najmu. Kapitałnym osiągnięciem – wydarzeniem naukowym – była Jego *Teoria umów* z 1977 r. – dzieło wielkiej odwagi intelektualnej, głębokiej przenikliwości badawczej, erudycji oraz suwerennego panowania nad technikami prawno-porównawczymi i literaturą światową. Profesor Adam Olejniczak, uczeń Zbigniewa Radwańskiego, ocenił w przemówieniu na żałobnym posiedzeniu Senatu i Rady Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, że bez uwzględnienia ustaleń tego dzieła „nie da się obecnie napisać poprawnie żadnej pracy naukowej w zakresie prawa kontraktów”. Połączeniem wiedzy teoretycznej ze znajomością praktyki światowej była też pierwsza w polskiej literaturze prawniczej monografia poświęcona

wykładni oświadczeń woli pt. *Wykładnia oświadczeń woli składanych indywidualnym adresatom* (1992), napisana z pilnej potrzeby przystosowania polskiego systemu prawnego do standardów obowiązujących w krajach Europy Zachodniej. Monumentalnym zwieńczeniem dzieła życia Zbigniewa Radwańskiego pozostają tzw. Zielona Księga (czyli jak sam ją określał: „optymalna wizja Kodeksu cywilnego w RP”) i Księga pierwsza Kodeksu cywilnego oraz opracowane pod jego redakcją i z jego najczynniejszym udziałem wielotomowe systemy – powstały w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych *System prawa cywilnego* i powstały w ostatniej dekadzie *System prawa prywatnego*, oba będące najlepszymi biletami wizytowymi polskiego środowiska prawniczego. Ich syntezą dla akademickiej dydaktyki są pozostawione przez autora podręczniki: *Prawo cywilne. Część ogólna; Zobowiązania. Część ogólna i Zobowiązania. Część szczegółowa*.

Zbigniew Radwański był także historykiem prawa. Od historii prawa rozpoczął. Historia prawa ukształtowała jego osobowość uczonego i trwale obecną pozostawała w jego warsztacie. Na seminarium Zdzisława Kaczmarczyka powstała jego dysertacja doktorska: *Prawa kardynalne w Polsce*, wydana nakładem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w roku 1952. Praca była osiągnięciem pionierskim, poświęconym tematowi ważnemu w ustroju dawnej Rzeczypospolitej, weszła do klasyki, pozostała opracowaniem, którego potem już nikt monograficznie nie kontynuował. Przynosiła ona nowy interesujący materiał obrazujący genezę praw kardynalnych, zawierała opartą na rzetelnej kwerendzie i przenikliwej prawniczo argumentacji egzegezę konstytucji sejmów epoki Stanisława Augusta. „Ubocznym produktem” poszukiwań źródłowych były drukowane na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego” *Uzupełnienia do Chronologii sejmów polskich* Władysława Konopczyńskiego (1951). W latach pięćdziesiątych Zbigniew Radwański, wspólnie z Janem Wąsickim, opublikował na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego” dwa ważne artykuły: *Najważniejsze zmiany w polskim prawie cywilnym w okresie Oświecenia* (1952) oraz *Wprowadzenie pruskiego prawa krajowego na ziemiach polskich* (1954). Badania nad obowiązującym prawem przez cały czas konsekwentnie łączył z dociekaniem nad ich genezą i ewoluowaniem w przeszłości. Stąd zrozumiałe, że autorowi powierzano doniosłe zadania także jako historykowi prawa. Zbigniew Radwański napisał potężny rozdział w *Historii państwa i prawa Polski w latach 1918–1939* (tom V, cz. 2), poświęcony prawu materialnemu i procesowi cywilnemu w Polsce Odrodzonej, oraz był głównym referentem na Ogólnopolskim Zjeździe Katedr Historyczno-Prawnych w Zajączkowie pod Poznaniem w 1995 r. Przedstawił tam swoje *credo* na temat prawa cywilnego w PRL. Znakomity tekst został wydrukowany w „Czasopiśmie Prawno-Historycznym” w roku 1996.

Jako teoretyk prawa cywilnego Zbigniew Radwański ustosunkowywał się również do wzajemnych relacji między prawem współcześnie obowiązującym a jego przeszłością. W 1970 r. wziął on udział w rozpisanej przez redakcję „Czasopisma Prawno-Historycznego” ankiecie na temat miejsca dyscyplin historyczno-prawnych wśród nauk historycznych i nauk prawnych. Żądał intensyfikacji badań nad instytucjami prawa rzymskiego i nad „feudalnym i kapitalistycznym prawem prywatnym” oraz oczekiwał od historyków prawa, że będą rozwijali problemy „z punktu widzenia ich użyteczności dla pozytywnego prawa cywilnego”[...] „by cywiliści mogli bezpośrednio zużytkować wyniki badań historycznoprawnych dla swoich potrzeb”. Pisał, że historycy prawa powinni dysponować dobrą znajomością prawa obowiązującego i ubolewał, że w porównaniu w czasami Wróblewskiego, Chlamtacza, Lisowskiego i Koschembahr-Łyskowskiego „zdarza się to coraz rzadziej”. Domagał się też od dogmatyków prawa zwracania baczniejszej uwagi na problemy historii prawa. Sformułował listę priorytetowych dla cywilisty problemów w badaniach historyków prawa. Pozwalam sobie ją przypomnieć. Obejmowała ona: „1. Rozwój instytucji prawa własności. 2. Rozwój instytucji osoby prawnej i tworów jej podobnych. 3. Historię ksiąg wieczystych na ziemiach polskich. 4. Historię ubezpieczeń na ziemiach polskich. 5. Rozwój i kształtowanie się cywilnej formy małżeństwa. 6. Sytuację prawną dzieci – w tym także dzieci pozamałżeńskich – na tle poszczególnych formacji społeczno-ekonomicznych. 7. Stosunki majątkowo-małżeńskie w dawniejszych systemach prawnych w powiązaniu z prawem spadkowym. 8. Rozwój historii prawa patentowego i autorskiego. 9. Zasady odpowiedzialności kontraktowej i deliktowej w przeszłości. 10. Problem kodyfikacji polskiego prawa cywilnego w przeszłości. 11. Zagadnienie prawa podmiotowego – problem szczególnie nadający się do opracowania przez historyka doktryn politycznych” („Czasopismo Prawno-Historyczne” 1970, t. 22, z. 1, s. 202). Sam najaktywniej uczestniczył w likwidowaniu owych „białych plam” i cieszył się, kiedy czynili to inni. Przykładem tu nader pochlebna recenzja monografii Andrzeja Gulczyńskiego, opublikowana już pośmiertnie na łamach 64. tomu „Czasopisma Prawno-Historycznego”. Swą wizję historii prawa jako propedeutyki współczesnego prawa cywilnego Zbigniew Radwański wprowadzał w życie w wychowaniu akademickim, uzasadniał ją m.in. tym, że w programie studiów prawniczych przedmioty historyczno-prawne ulokowane bywają na pierwszym roku studiów. Była ona obecna również w jego podręcznikach i skryptach oraz w jego wykładach. Pamiętam, że w latach 1952 i 1953 prowadził on dla studentów drugiego stopnia na Uniwersytecie Poznańskim nader interesujący i pożyteczny wykład: Historia źródeł polskiego prawa cywilnego.

Nieoczekiwane odejście Profesora, w pełni – jak się wydawało – sił witalnych i w trakcie realizowania ambitnych naukowych planów, przepełnia głębokim żalem i poczuciem niepowetowanej straty.

Stanisław Russocki



Stanisława Russockiego poznałem bliżej w sierpniu 1966 r. na jubileuszowym XX Kongresie Commission Internationale pour l'Histoire des Assemblées d'Etats, renomowanej organizacji międzynarodowej powołanej do życia z inicjatywy badaczy polskich przez Powszechny Kongres Historyków, obradujący w 1933 r. w Warszawie. Obrady ważnej, niesłuchanej aktywnej i zasłużonej Komisji po raz pierwszy po wojnie odbywały się w kraju socjalistycznym, w Rostoku, i symbolicznie zamykały okres izolacji środowisk humanistycznych NRD. Wydarzeniem była obecność czołowych historyków prawa z Niemiec Zachodnich. Kongres był poświęcony roli podejścia prawno-porównawczego w badaniach nad stanowym parlamentaryzmem. Przygotowaniami do Kongresu kierował znany historyk mediewista Heinrich Sproemberg, który jednak krótko przed rozpoczęciem obrad zmarł. Trzyosobowej polskiej delegacji przewodniczył znamienity badacz, Karol Górski, profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Dla mnie była to pierwsza międzynarodowa konferencja, na którą zostałem zaproszony, chyba pierwszy w ogóle wyjazd za granicę. Zawdzięczam go prof. Juliuszowi Bardachowi, który zrezygnował z wyjazdu na moją korzyść. W Rostoku zobaczyłem kwiat ówczesnych historyków prawa. Byli tam Emil Lousse, Helmut Koenigsberger, John Gilissen, François Dumont, Percy-Ernst Schramm, Gerard Oestreich, Vaclav Vanecek, Antonio Marongiu, Werner Conze, Jean Gaudemet, Hartmut Boockmann, Georges Bonis, Werner Ogris i wielu innych. O Karolu Górskim, który cieszył się widocznym szacunkiem i sympatią uczestników, w ogóle nie wspominam. W tym dostojnym gronie Stanisław Russocki czuł się jak ryba w wodzie. Okazało się, że jest stałym uczestnikiem światowych spotkań, doskonale władał językami, znał wszystkich, wszyscy znali jego, był uważnie słuchany, miał naprawdę wiele do powiedzenia.

Po powrocie z Rostoku łączące nas więzy porozumienia stale się zacieśniały. Stach był wspaniałym kolegą, zawsze gotowym do przychodzenia drugiemu z pomocą. Można było z nim całymi godzinami dyskutować; był erudytą, który wciąż potrafił zaskoczyć głęboką znajomością rzeczy. Kiedy coś przyrzekał, był jak Zawisza. Należał do najbardziej pożytecznych współpracowników redakcji „Czasopisma Prawno-Historycznego”. Napisał wiele świetnych tekstów; najwięcej zwięzłych not recenzyjnych, w których opracowywaniu był mistrzem. W bibliografii zawartości „Czasopisma Prawno-Historycznego” za lata 1948–2013 wciąż zajmuje pierwsze miejsce pod względem liczby publikacji, choć od jego przedwczesnej śmierci w roku 2002 minęło już tyle czasu. Był fanatykiem nauki; historia prawa autentycznie go pasjonowała. Jego temperament kazał mu się dzielić z czytelnikiem bieżącymi, wciąż nowymi przemyśleniami. Dlatego niechętnie pisał duże teksty, zżymał się na myśl, że nauczyciel akademicki musi ciągle zdobywać stopnie i tytuły, wołał drobne formy. Uważał, że postęp w nauce dokonuje się przez rozwój krytyki, takiej, która jest przekonywająca wtedy, gdy jest precyzyjna, zwarta i nie każe długo na siebie czekać.

Russocki pochodził ze Lwowa. Jako *exul et peregrinus* chodził do szkoły podstawowej i gimnazjum w Grójcu. Maturę uzyskał w Warszawie w roku 1949 r. w Liceum im. Juliusza Słowackiego. W tymże roku rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim. Już jako student drugiego roku został zatrudniony na stanowisku zastępcy asystenta w nowo utworzonym Instytucie Historii Prawa UW. Po uzyskaniu magisterium został powołany na asystenta i przez pół wieku pokonywał wszystkie kolejne szczeble uniwersyteckiej kariery: w roku 1960 obronił pracę doktorską, w 1973 r., habilitował się, w roku 1983 uzyskał tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego, w 1993 r. – tytuł profesora zwyczajnego. Pełnił też funkcje naukowo-organizacyjne: był wicedyrektorem Instytutu Historii Prawa, kierownikiem Zakładu Historii Państwa i Prawa Polski, przewodniczącym Rady Naukowej IHP. Wykazywał wielką aktywność w Komitecie Nauk Historycznych Polskiej Akademii Nauk, współredagował „Acta Poloniae Historica” oraz przez lata przewodniczył sekcji Polskiej w Commission Internationale pour l’Histoire des Assemblées d’Etats. W tym ostatnim charakterze organizował XXI Kongres Commission w Warszawie w 1970 r. Był też członkiem Towarzystwa im. Jeana Bodina dla Historii Porównawczej Instytucji Prawnych; w 1976 r., wspólnie z Michałem Szczanieckim, organizował światowy Kongres tej organizacji w Warszawie.

Stanisław Russocki był wybitnym historykiem prawa. Był autorem płodnym i krytycznym. Nauka była jego sposobem na życie; należał do twórczych sceptyków, odkrywał nowe pola badania, stawiał ważne i odważne pytania, burzył mity naukowe, często wracał do kwestii uznawanych przez poprzedników za rozwiązane. Nadawał im nowe życie. Był dobrym duchem zjazdów na-

ukowych. Kiedy miał zabrać głos, maruderzy ściągali na salę, bo i oni wiedzieli, że powie coś ciekawego, twórczego.

Miał szerokie, renesansowe zainteresowania, ale serce jego biło dla badań nad średniowieczem. Był urodzonym mediewistą: fascynował go stan źródeł tej epoki, wymagający szczególnie sprawnego warsztatu, rozwijający wyobraźnię badawczą, uczący precyzyjnie stawiać pytania, wymagający połączenia wiedzy empirycznej z teoretyczną, źle znoszący ujęcia monokauzalne. W jego twórczości uwidaczniają się cechy tego pisarstwa, które postrzegał u swoich mistrzów – Juliusza Bardacha w pierwszym rzędzie, ale także Jakuba Sawickiego i Karola Korany'ego, na których seminaria pilnie uczęszczał. Z badaczy zachodnich największy wpływ wywarli nań Marc Bloch i Antonio Marongiu, w pewnej mierze także węgierski uczony George Bonis.

Zaczął od studiów nad historią prawa i ustroju społeczno-politycznego Mazowsza, które w latach pięćdziesiątych było ważnym przedmiotem naukowego rozbioru na seminariach mistrzów. Drugim polem naukowej penetracji było zagadnienie formowania się parlamentaryzmu w średniowiecznej Europie. Im poświęcił najwięcej uwagi. Trzecim stała się kultura polityczna i prawna wieków średnich. Kultura była spoiwem dla prawno-porównawczych ujęć Stanisława Russockiego. Jego poszukiwania określenia kultury przenikają wszystkie jego teksty. Była dla autora czynnikiem rozstrzygającym o stanie świadomości zbiorowej, grała kolosalną rolę w kształtowaniu więzi społecznych

Studia nad ustrojem Mazowsza wypełniały bibliografię jego prac w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Russocki nawiązywał do ustaleń Kazimierza Tymienieckiego, polemizował z tezami swego starszego kolegi na seminarium Juliusza Bardacha, Bogdana Sobola, wnosił do tych badań konstrukcje nowe, świeże. Pisał o statutach książąt mazowieckich, zajął się wolnością kmiecia, zabierał głos na temat statusu prawnego miejscowego rycerstwa i szlachty, zwrócił uwagę na formy władania ziemią w prawie ziemskim dzielnicy, badał związki zachodzące między tymi nadaniami a obowiązkiem służby wojskowej, poddawał badaniu genezę tzw. rodów gniazdowych, interesował się sztuką gotycką epoki książęcej, wreszcie sumował stan wiedzy o miejscu Mazowsza w dziejach średniowiecza Polski. Jako znawca średniowiecznego Mazowsza stał się największym – po Kazimierzu Tymienieckim – autorytetem w kraju.

Największe zasługi położył jednak Stanisław Russocki jako mediewista – badacz genezy parlamentaryzmu. Był – jak to podkreślał Juliusz Bardach – przedstawicielem korporacyjnej szkoły historiograficznej, której najwybitniejszym przedstawicielem był Antonio Marongiu i która uwypuklała sprawczą rolę przemian społecznych w średniowieczu i za ich emanację uważała ciała zbiorowe skupione wokół władcy, a więc i rady możnych, z czasem zgromadzenia stanów. „Genetyczno-dynamiczne” podejście skłaniało do akcentowania roli

czynnika społecznego w kształtowaniu się tych ciał. Narzucało też zastosowanie w badaniu metody prawno-porównawczej. Stanisław Russocki badał kształtowanie się pre- i protoparlamentarnych form na Rusi, a szczególnie w Czechach i na Węgrzech. Zaczął od badania oddziaływania średniowiecznego Kościoła na kulturę epoki oraz od przedstawienia wpływów kościelnych sądów prowincjonalnych na struktury i formy zgromadzeń przedstanowych. Stwierdzał, że średniowieczny Kościół włączony w system organizacji politycznej ulegał mediewalizacji. Uznał też, że uczestnicy tych zgromadzeń występowali jako pojedyncze osoby, a nie jako reprezentanci poszczególnych grup stanowych. Podejście porównawcze okazało się równie pomocne przy badaniu prawa oporu wobec panującego, uwydatniając zasadniczą relację między monarchą a aktywnymi politycznie grupami społecznymi. Z kolei autor zajął się zagadnieniem beneficjum jako podstawy systemu społecznego we wczesnośredniowiecznych państwach słowiańskich, badał stosunki między panującym a możnymi, dochodząc do wniosku o przewadze monarchy nad oligarchami. W 1973 r. Stanisław Russocki podsumował swe wcześniejsze badania nad protoparlamentaryzmem Czech do początku XIV w. Fakt, że we władzy w Czechach uczestniczyli możni, nie zaś ogół rycerstwa, spowodował, iż zgromadzeniem reprezentującym elitę władzy stały się wiece urzędnicze. Nie miał wątpliwości, że o powstaniu i rozwoju zgromadzeń stanowych, także w Czechach, zadecydowały przeobrażenia w ustroju społecznym, czyli „pluralizm interesów grupowych, dążeń, idei, programów”. Powiązanie organizacji stanowej z konstrukcją narodu politycznego – to pojęcie bardzo przemawiało do autora – pozwalało głębiej i ostrzej postrzegać system monarchii stanowej jako struktury społecznej i politycznej. Pod koniec życia, uzbrojony w głęboką wiedzę o kierunkach rozwoju parlamentaryzmu w Europie, Stanisław Russocki jeszcze raz wrócił do początków parlamentaryzmu polskiego. Juliusz Bardach w następujących punktach ujął jego osiągnięcia w tej dziedzinie: 1) W średniowiecznej Polsce, podobnie jak w innych krajach, nie było miejsca na monarszy absolutyzm. 2) Podobnie jak gdzie indziej – ustrój społeczno-polityczny Polski Piastowskiej miał charakter monarchiczno-oligarchiczny. 3) Zgromadzenia stanowe o charakterze reprezentacyjnym pojawiły się dopiero w XV stuleciu. 4) Szczególną wagę w kształtowaniu podstawy szlacheckiego parlamentaryzmu – sejmików ziemskich, przypisywał S. Russocki przywilejom nieszawskim z 1454 r. 5) Powstanie sejmu jako organu reprezentującego społeczność stanową, w Polsce wyłącznie szlachtę, przypadło – jak sądzi S. Russocki na drugą połowę XV w.

Jesteśmy wdzięczni Stanisławowi Russockiemu, człowiekowi Uniwersytetu, za to, co zrobił. Jego prace wciąż są odkrywcze.

Franciszek Ryszka



Śmierć zabrała nam Franciszka Ryszkę 31 marca 1998 r. niespodziewanie, w trakcie wygłaszania wykładu na Uniwersytecie Warszawskim. Wiedzieliśmy wprawdzie, że od pewnego czasu choruje i nie czuje się dobrze, ale jednak nagłe odejście zaskakiwało i przerażało. Ryszka bowiem miał ambitne plany naukowe, do których zmierzał z determinacją; wydawał się uosobieniem nie-
spożytej energii. Był uczonym niebanalnym, takim, jakiego Uniwersytet najbardziej potrzebuje – twórczym, niespokojnym, dociekliwym. Traktował swe zobowiązania wobec uczelni serio, trochę jak świątynię, trochę jak salon intelektualny. Burzył mity i stereotypy zakorzenione w historiografii i życiu publicznym. Żył w przeświadczeniu, że postęp w nauce dokonuje się najlepiej w stałej wymianie poglądów, jest rozmową. Stąd był wszędzie obecny, dobrze się czuł zarówno w sali seminaryjnej, jak i przy kawiarnianym stoliku. Był stałym uczestnikiem rozlicznych konferencji, czuł się obywatelem świata. Jego ruchliwy umysł, autentyczny patriotyzm, głęboka erudycja, wrażliwość na sprawy społeczne i urok osobisty budziły szacunek i sympatię. Umacniały jego autorytet intelektualny i moralny zarówno poważne osiągnięcia naukowe, fascynacje badawcze i publicystyczne, jak i działalność nauczycielska. Urzekła skala jego naukowych zainteresowań i różnorodność podejść do badanej materii. Był „historykiem naszych czasów”, którymi były dwa ostatnie stulecia, u punktu wyjścia których tkwiły Oświecenie i Wielka Rewolucja Francuska. Często przekraczał – ukształtowane przez tradycję akademicką i biurokratów – granice między dyscyplinami humanistycznymi; w swych tekstach był i historykiem prawa, i badaczem ustroju, historykiem społecznym, historykiem idei i kultury, filozofem i socjologiem polityki

Franciszka Ryszkę otaczał nimb wielkiego humanisty, ale słuchanie jego wystąpień i lektura jego prac skłaniały odbiorcę do niepokoju, budziły podziw,

ale i rozniecały kompleksy. Wiele wymagał od otoczenia i potrafił być bardzo surowy w ocenie wysiłku innych. Jakby zapominał o tym, że on sam poruszał się po orbicie, do której niejednemu trudno się było wspiąć. Pamiętam, że Ryszka nie był zbudowany moją pierwszą „niemiecką” książką o historiografii i ideologii historii w Niemczech schyłku XIX i XX w; pisząc w recenzji w postępowaniu o uzwyczajnienie, że tylko jedna książka polskiego autora jest od niej gorsza (*nomina sunt odiosa*). Ja zaś we wcześniejszej recenzji krytykowałem sposób formułowania przezeń wykładu w podręczniku z historii doktryn politycznych i prawnych. Nasze zbliżanie się do siebie trwało lata i wymagało aż trzech bruderszaftów. Dopiero z czasem zrozumiałem, że Ryszka nie odtwarza faktów, które są znane w obiegu naukowym, a poddaje je krytycznym ocenom, bo poszukuje dla nich nowego kontekstu.

Franciszek Ryszka urodził się i wychował na Kresach Wschodnich – w Kniażówce, rodzinnym majątku matki Anny z domu Wańkowiczówny. Lata młodości i dojrzewania opisał sugestywnie w wydany w 1994 r. *Pamiętniku inteligenta*. Był żołnierzem drugiej wojny światowej, zaczynając od konspiracji w Armii Krajowej, kończąc zaś w I Armii Ludowego Wojska Polskiego. Za postawę w walkach o Wał Pomorski i Berlin odznaczony został Krzyżem Walecznych. Po wojnie związał się z Wrocławiem, tam studiował prawo i pod kierunkiem Seweryna Wysłoucha rozpoczął karierę naukową. Rychło stał się jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci w środowisku naukowym tego miasta. Grał tu ważne role i wielokrotnie wracał tu w charakterze prelegenta, redaktora, członka gremiów naukowych. Czuł się pionierem, kapłanem nauki, który z ruin dźwiga miasta i uniwersytet. Karol Jonca opowiadał mi, że Franciszek kilka razy prosił go – pół żartem, pół serio – o to, by na jego nagrobku wyraźnie zaznaczono, że nie był członkiem Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego. W roku 1959 przeniósł się Ryszka do Warszawy, podejmując pracę w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk. Od lat osiemdziesiątych był profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, jego Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych. Tyle formalnego wprowadzenia.

Franciszek Ryszka szybko pokonał kolejne szczeble naukowej drogi. Jej ukoronowaniem był wybór na członka korespondenta PAN i mocne więzy współpracy z wybitnymi uczonymi o światowej sławie – z Konstantym Grzybowski, Wernerem Jochmannem, Martinem Broszatem i Jörgem K. Hoenstem, Janem Baszkiewiczem i Johnem Greenville’em. Sława Ryszki rychło bowiem przekroczyła granice kraju: wykładał na Uniwersytecie w Hamburgu, w paryskiej École des Hautes en Sciences Sociales, wszedł do rad naukowych Instytutów Historii Współczesnej w Monachium i Hamburgu. Stał się jedną z centralnych postaci w pracach Wspólnej Polsko-Niemieckiej Komisji do spraw rewizji podręczników szkolnych akredytowanej przy UNESCO. Reprezentował

polską naukę na prestiżowych kongresach i konferencjach międzynarodowych. Przyswajał polskiemu czytelnikowi klasyków historii współczesnej i nauk o polityce z krajów zachodnich.

Aktywność twórczą Franciszek Ryszka rozpoczął od badań nad historią gospodarczą i społeczną Śląska. Stanowiły one wtedy – na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku – ważny fragment strategicznych planów naukowych, jakie starało się urzeczywistniać środowisko wrocławskie pod kierunkiem Seweryna Wysłoucha. Jego rozprawa doktorska z 1951 r. na temat klasowych aspektów ruchu narodowego na Górnym Śląsku nie mogła ukazać się drukiem. Trwałym natomiast dorobkiem z tego okresu pozostała napisana wspólnie z Józefem Popkiewiczem monografia *Przemysł ciężki Górnego Śląska w gospodarce Polski międzywojennej (1922–1939)* z roku 1959. Do studiów nad historią gospodarczą Ryszka już nie wrócił, choć nigdy nie przestał się interesować historią społeczną; skłaniały go do tego wyraźne predyspozycje socjologicznego podejścia do badanej materii. Nie zerwał także z historią prawa *sensu stricto*, czego wyrazem było powierzenie mu redakcji syntezy dziejów Polski Ludowej oraz pomnikowej historii państwa i prawa polskiego za okres 1918–1939, w której sam napisał rozdziały poświęcone prawu karnemu i procesowi karnemu za lata 1944–1950.

W ostatnich latach pięćdziesiątych głównym obszarem zainteresowań naukowych Franciszka Ryszki stała się najnowsza historia Niemiec. Badał drogi i bezdroża „konserwatywnej rewolucji” w Republice Weimarskiej, poddawał rozbiorowi pisarstwo Hansa Kelsena i Carla Schmitta, studiował politykę hitlerowską na Śląsku, analizował zasadę wodzostwa w polityce Trzeciej Rzeszy. W roku 1962 ukazała się drukiem pierwsza jego „niemiecka” książka: *Noc i mgła*, zawierająca przenikliwe spojrzenie na ustrój hitlerowskiego państwa, pionierska w literaturze polskiej „wewnętrzna” historia nazizmu. Wkrótce Franciszek Ryszka opublikował najbardziej znane swe dzieło: *Państwo stanu wyjątkowego. Rzecz o systemie państwa i prawa Trzeciej Rzeszy*, którego pierwsze wydanie ukazało się w roku 1964, następne zaś – przerobione i uzupełnione – w latach 1974 i 1985. Imponująca erudycją książka była pionierskim w literaturze naszego kraju rozbiorem nazizmu. Podejście autora była integralną analizą historyka ustroju, i socjologa, i politologa, a zarazem mistrzowskim wykładem porównawczo potraktowanej niemieckiej myśli politycznej. Jedną z najbardziej fascynujących warstw wykładu były w niej wątki komparatystyczne, sięgające do perspektywy europejskiej, a zarazem ukazujące fenomen narodowego socjalizmu w jego historycznym kontekście. Książka stanowiła polemikę z jednostronnymi i tendencyjnymi ujęciami rodzimymi i wyrażała sprzeciw wobec obiegowych, zabarwionych powłoką nacjonalizmu, ustaleniom tych badaczy niemieckich, którzy albo demonizowali znaczenie rewolucji z roku

1933, albo zamierzali – poprzez „relatywizowanie” okresu hitlerowskiego – wyprowadzić go poza historię „kraju poetów i myślicieli”. Ryszka spoglądał na nazizm chłodnym okiem, ukazując zarówno rodzime antecedencje skomplikowanego fenomenu, jak i uwarunkowania europejskie. Analizował struktury i „ideologię niemiecką”, zżymał się na ujęcia monokauzalne. Już w tym dziele starał się odróżnić faszyzm od autorytaryzmu. Kategorycznie protestował przeciwko zaliczaniu Hiszpanii i Portugalii do rodziny ustrójów faszystowskich. W kraju dzieło Franciszka Ryszki weszło do klasyki, w historiografii zachodnioniemieckiej odnotowano je z pewnym niepokojem; dla szerokiej opinii publicznej pozostało pracą mało znaną. Niestety, trzeba powtórzyć słowa żalu, wypowiedziane przez licznych analityków twórczości Ryszki, że nikt w Polsce jakoś nie pomyślał o przekładzie ważnej monografii na języki zachodnie.

Niedoceniona pozostała także trzecia z książek Ryszki, poświęconych problematyce nazizmu, najbardziej prawnicza, traktująca ustrój faszystowski jako synonim zbrodni i bezprawia: *Norymberga. Prehistoria i ciąg dalszy* (1982). Autor dał w niej precyzyjny wykład anatomii zbrodni napastniczej, przypominając gigantyczny wysiłek prawników włożony w uzgodnienie jurydycznych formuł, niezbędny dla wszczęcia procesu przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym, a także wysiłek polityków, którzy do Norymbergi doprowadzili. Autora zafascynowała denazyfikacja: żmudne krystalizowanie się jej koncepcji i jej urzeczywistnianie się w praktyce, także w praktyce wymiaru sprawiedliwości. Sprawie odpowiedzialności karnej za przestępstwa wojenne i ściganiu zbrodni poświęcił on wiele późniejszych tekstów, niejednokrotnie tekstów publikowanych w konwencji publicystycznej.

Franciszek Ryszka dopiero po latach „zdobył” historyków i politologów Niemiec Zachodnich, kiedy zaczął publikować swe teksty o meandrach ruchu oporu przeciwko Hitlerowi i kiedy zabrał głos w ogólnoeuropejskiej debacie, jaka rozgorzała na temat miejsca Trzeciej Rzeszy, drugiej wojny światowej i jej zbrodni we współczesnej historii Niemiec (*Historikerstreit*). Stał się teraz dla nich jednym z pierwszych wiarygodnych partnerów dyskusji zza żelaznej kurtyny, tym cenniejszym, że dysponującym rozległą wiedzą o „ideologii niemieckiej” wieku XIX. Tematy, do których z uporem powracał, miały fundamentalne znaczenie w toczącej się w Republice Federalnej dyskusji nie tylko wokół przeszłości, ale i przyszłości Niemiec. Były nimi nauka prawa w Niemczech w XIX i XX w., kryzys myślenia pozytywistycznego, wielość dróg prowadzących do nacjonalizmu, głęboko zakorzeniony w dawnym społeczeństwie rodowód antysemityzmu, decyzyonizm jako wiodąca teoria polityczna. Franciszka Ryszkę intrygowały też doktryny Mc Luhana i Herberta Marcuse, program Nowej Lewicy w Stanach Zjednoczonych, tajemnica renesansu anarchizmu. Anarchizmowi hiszpańskiemu z lat 1868–1936, nurtowi w nauce polskiej zupełnie nieznanemu,

poświęcił potężne, dwutomowe dzieło (*W kręgu zbiorowych złudzeń*, 1991). Podsumowaniem zainteresowań historią myśli politycznej i prawnej stał się podręcznik *Historia doktryn politycznych i prawnych*, napisany wspólnie z Janem Baszkiewiczem, wielokrotnie wznawiany.

Badania nad historią myśli politycznej i prawnej od lat koegzystowały w twórczości Franciszka Ryszki z zafascynowaniem nauką o polityce. Najbardziej wyrafinowanymi intelektualnie były tu syntezy: *Wstęp do nauki o polityce. Uwagi metodologiczne* (wyd.I 1978) i *Nauka o polityce. Rozważania metodologiczne* (1984). Obie sytuowały go w rzędzie najwybitniejszych politologów w Polsce. Ale Franciszek Ryszka – przedstawiciel „pesymistycznego nurtu filozofii polityki” (Artur Bodnar) – uprawiał naukę o polityce również jako autor drobniejszych studiów; poświęcał je partiom politycznym w systemach rządów państw Europy Zachodniej, analizie podstawowych pojęć, rozważaniom z zakresu semantyki politycznej. Był wreszcie politologiem jako autor błyskotliwych przemyśleń osnutych na marginesie recenzowanych książek – Adama Schaffa, Jerzego Topolskiego, Marka Sobolewskiego, Joachima C. Festa, Edmunda Osmańczyka czy Herberta S. Levine’a, a także jako twórca szkiców o kulturze niemieckiej, drukowanych w „Polityce”, a ostatnich latach najczęściej na łamach „Odry”.

Warto podkreślić, że Franciszek Ryszka, którego poglądy były bliskie lewicy, protestował przeciwko hiperkrytycznemu stosunkowi do Polski Ludowej i tworzeniu wokół niej „czarnej legendy”. Jego wygłoszony na zjeździe historyków prawa w Zajączkowie k. Poznania i drukowany w „Czasopiśmie Prawno-Historycznym” referat o miejscu Polski Ludowej w dziejach państwa i narodu polskiego był erudycyjnym wezwaniem do podjęcia gruntownych kompleksowych badań nad tym okresem.

Michał Sczaniecki



Michał Sczaniecki, doktor praw, profesor zwyczajny Uniwersytetu Warszawskiego, kierownik Zakładu Powszechnej Historii Państwa i Prawa oraz przewodniczący Rady Naukowej Instytutu Historyczno-Prawnego Wydziału Prawa i Administracji UW, doktor *honoris causa* Uniwersytetu w Grenoble, członek wielu krajowych i zagranicznych towarzystw naukowych, współzałożyciel i redaktor naczelny „Czasopisma Prawno-Historycznego” zmarł w Warszawie po ciężkiej i długiej chorobie. Odszedł wybitny uczony, zasłużony organizator nauki i popularyzator wiedzy, wielki przyjaciel i oddany wychowawca młodzieży akademickiej, niezrównany działacz społeczny, człowiek o głębokiej kulturze humanistycznej i bezspornym autorytecie moralnym, gorący patriota, żołnierz drugiej wojny światowej i pionier, działań na rzecz ugruntowania polskości Ziemi Zachodnich i Północnych.

Michał Sczaniecki urodził się 26 maja 1910 r. w Łaszczyńcu, niedaleko Rawicza, w rodzinie ziemiańskiej, w której bardzo żywe były tradycje niepodległościowe i w której z pietyzmem kultywowano postawy aktywności społecznej. Pradziad – Józef Sczaniecki – był uczestnikiem powstania kościuszkowskiego; jego bratanek – Ludwik – adiutantem Jana Henryka Dąbrowskiego, pułkownikiem w powstaniu listopadowym, działaczem wolnomularstwa narodowego, przyjacielem Libelta. Dziad – Michał Sczaniecki – należał do czołowych przywódców Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego, walczył w powstaniu styczniowym, potem zaś kilkakrotnie posłował do parlamentu pruskiego, broniąc w nim praw Polaków. Ojciec Profesora – Władysław – czynny działacz kółek rolniczych, doszedł do godności pułkownikowskiej w Powstaniu Wielkopolskim. Matka – Jadwiga z Plucińskich – za zorganizowanie i prowadzenie powstańczego szpitala w Miejskiej Górcie została odznaczona Wielkopolskim Krzyżem Powstańczym. Klimat intelektualny i atmosfera patriotyzmu, w jakiej

wzrastał Michał Szczaniecki, miały odegrać niemałą rolę w ukształtowaniu jego osobowości i jego losów życiowych.

W 1927 r. Michał Szczaniecki ukończył słynne gimnazjum poznańskie Marii Magdaleny, już wtenczas zwracając na siebie uwagę jako czynny działacz w Towarzystwie im. Tomasza Zana. Studia prawnicze podjął na Uniwersytecie Poznańskim (1927–1930) i kontynuował je w Krakowie (1930–1932). Uczęszczał na seminaria Stanisława Kutrzeby, Władysława Semkowicza oraz – najdłużej – Zygmunta Wojciechowskiego. Właśnie Zygmunt Wojciechowski wycisnął na młodym adepcie nauk historyczno-prawnych najsilniejsze piętno: pozyskał go tematyką swej twórczości, znanymi walorami swego warsztatu – ujmowaniem zjawisk w szerokiej perspektywie historycznej, ale także – i to przede wszystkim – naukowym poziomem swego pisarstwa, połączonym z wysokim poczuciem odpowiedzialności obywatelskiej. I jemu imponował dynamiką działania, talentami organizatorskimi, bogactwem inicjatyw. Na seminarium Z. Wojciechowskiego powstała praca magisterska Michała Szczanieckiego pt. *Immunitet sądowy klasztorów śląskich* (1930), a następnie praca doktorska pt. *Nadania ziemi na rzecz rycerzy w Polsce do końca XIII wieku*, obroniona w 1937 r., zaś ogłoszona drukiem w 1938 r.

W 1938 r. Michał Szczaniecki poślubił Marię Ponikiewską. Z małżeństwa tego urodziły się córki: Teresa Maria i Monika Maria.

W 1937 r. Michał Szczaniecki wyjechał – za sprawą Z. Wojciechowskiego – wyjechał na dalsze studia do Francji. Odbił je pod kierunkiem dwóch wybitnych uczonych: François Oliviera-Martina i Louisa Halphena. Zakończył je chlubnie, bo książką, która stanie się podstawą habilitacji (*Essai sur les fiefs-rentes*), ale dopiero po dziewięciu latach. Wybuch wojny zmienił bowiem życie Michała Szczanieckiego, zmuszając go do przerwania badań. Podporucznik rezerwy, absolwent Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii z 1933 r., stał się od razu współorganizatorem akcji ochotniczych zapisów do armii polskiej we Francji. W połowie września 1939 r. był członkiem pierwszej ekipy organizującej polski obóz wojskowy w Coëtquidan w Bretanii. Oficer ewidencyjny obozu, oficer łącznikowy przy dowództwie w Rennes, następnie oficer obserwacyjny 2. Dywizjonu 1. Pułku Artylerii Lekkiej 1. Dywizji Grenadierów, brał udział w walkach na Linii Maginota w Wogezach. Za swą postawę dwukrotnie został odznaczony Krzyżem Walecznych oraz Croix de Guerre. Ranny, dostał się do niewoli niemieckiej, w której przebywał do maja 1945 r. W obozie jenieckim (Oflag XVII-a w Edelbach) Michał Szczaniecki rozwinął niezwykle intensywną działalność organizacyjną i dydaktyczną. Zorganizował i wspólnie z Janem S. Langrodem kierował pracą konspiracyjnego Studium Prawa dla polskich oficerów, tajnie afiliowanego do francuskiej Université de Captivité (jak wiadomo absolwenci tego studium po wojnie nostryfikowali swe dyplomy na Uni-

wersytecie Jagiellońskim). Sam prowadził wykłady i seminarium z historii prawa polskiego oraz z historii ustroju krajów Europy Zachodniej.

Powrócił do Poznania we wrześniu 1946 r., habilitował się i objął adiunkturę w Katedrze Powszechnej Historii Państwa i Prawa Uniwersytetu Poznańskiego, kierowanej zrazu przez Józefa Matuszewskiego, potem przez Mariana Zygmunta Jedlickiego. Po śmierci tego ostatniego w 1955 r. sam objął jej kierownictwo, najpierw jako profesor nadzwyczajny (1954), następnie jako profesor zwyczajny (od 1959). Pozostawał na tym stanowisku przez 10 lat, kiedy to w 1965 r. przejął osieroconą po Karolu Koranyim Katedrę Powszechnej Historii Państwa i Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Funkcję tę piastował aż do swego przedwczesnego odejścia.

Drogi życiowej Michała Szanieckiego nie odmierzały jednak tylko kolejne tytuły naukowe i godności w hierarchii akademickiej. Jego działalność daleko wykraczała poza progi uniwersyteckie i zacisze gabinetu uczonego. Cechą jego osobowości była niezwykle wprost aktywność, która mu kazała zawsze najczynniej uczestniczyć w życiu społecznym i naukowym kraju i regionu. U podstaw tej aktywności tkwiły głęboki patriotyzm i realizm polityczny – podbudowane intensywnymi badaniami własnymi, umożliwiły mu pełne zrozumienie doniosłości przełomu, jaki dokonał się w Polsce w połowie lat czterdziestych, i poparcie dróg odbudowy i rozwoju kraju w okresie następnym. Zaakceptował nową rzeczywistość ze wszystkimi implikacjami. „Chciałbym powiedzieć, że z tą Polską zrośłem się najsilniej i czuję się za jej losy odpowiedzialny” – te słowa pochodziły od jego mistrza, Zygmunta Wojciechowskiego, ale przypominając je na kartach „Czasopisma Prawno-Historycznego”, sam się pod nimi jednoznacznie podpisywał¹.

Z radością powitał powrót Polski na ziemię nad Odrą, Nysą Łużycką i Bałtykiem. Po przyjeździe w 1946 r. do Poznania, który w drugiej połowie lat czterdziestych stał się najaktywniejszym ośrodkiem polskiej nauki historycznej oraz najważniejszym centrum badań niemcoznawczych, od razu rzucił się w wir pracy, jakby chciał odrobić lata spędzone w oflagu. W pierwszej powojennej dekadzie był najbliższym współpracownikiem Z. Wojciechowskiego, który go bardzo cenił, słusznie uważając, że każde podjęte zadanie wykona wzorowo. Łatwo spostrzec, że wszędzie gdzie działał, czynił to z myślą o asymilacji Ziemi Zachodnich i Północnych z Macierzą. Nie sposób objąć opisem wszystkie pola, które uprawiał jako organizator nauki i popularyzator wiedzy. Trzeba ograniczyć się do spraw najistotniejszych.

Poważny ciężar gatunkowy miał udział Michała Szanieckiego w pracach Instytutu Zachodniego (IZ). Pod kierunkiem Zygmunta Wojciechowskiego brał

¹ Por. *Wspomnienie o Zygmuncie Wojciechowskim*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1955, t. 7, z. 2, s. 338.

udział we wszystkich ważniejszych ekspedycjach naukowych, jakie kierowano na tereny – jak to określono – Ziemi Odzyskanych. Uczestniczył w przygotowaniach wielotomowego cyklu „Ziemie Staropolski”, pracował w Sekcji Onomastycznej Instytutu Zachodniego, waleśnie przyczynił się do sukcesu wyprawy badającej pracę osadników na ziemi lubuskiej. We wstępie do tomu poświęconego temu, jakże mu bliskiemu, regionowi stwierdzono później: „[...] Ekspedycja dokonała objazdu 4000 km na Ziemi Lubuskiej, docierając do każdego miasta, do każdej niemal wsi czy kościółka, do każdego większego zakładu przemysłowego, do wszystkich archiwów, gmachów administracyjnych, chat autochtonów”². Po latach Michał Szczaniecki sam stanął na czele Instytutu Zachodniego, pełniąc obowiązki jego wicedyrektora (1959–1962) oraz dyrektora (1962–1964). Jednocześnie ściśle współpracował z innymi instytutami Ziemi Zachodnich. Był członkiem Instytutu Śląskiego w Opolu, Śląskiego Instytutu Naukowego w Katowicach, uczestniczył w pracach Rady Naukowej Ośrodka Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie, pełnił obowiązki sekretarza Komisji Koordynacyjnej Instytutów Ziemi Zachodnich.

Ważnym uzupełnieniem tej doniosłej „zachodniej” działalności Michała Szczanieckiego była jego aktywność w innych towarzystwach i instytucjach naukowych: w Poznańskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk (PTPN), Polskim Towarzystwie Historycznym (PTH), Stowarzyszeniu Historyków Sztuki (SHS) czy Towarzystwie Rozwoju Ziemi Zachodnich (TRZZ). Z PTPN związał się najwcześniej, bo jeszcze w 1947 r. Był członkiem jego Komisji Historycznej oraz Komisji Nauk Społecznych, sekretarzem Wydziału II, zastępcą sekretarza generalnego i – najdłużej – przewodniczącym Komisji Upowszechniania Nauki PTPN. Wielostronną owocną działalność rozwinął w PTH. Od 1956 r. był członkiem jego Zarządu Głównego i członkiem Komisji Historyczno-Prawnej. Aktywnie uczestniczył w pracach Rady Naukowej Stacji Naukowej PTH w Słupsku. Pełnił też funkcję przewodniczącego Rady Naukowej PTH w Zielonej Górze oraz przewodniczącego Lubuskiego Towarzystwa Naukowego. Podobnie zadziwiał pomysłowością i wielością inicjatyw jako działacz poznańskiego oddziału Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Był współorganizatorem Muzeum Historii w Poznaniu (1949), opracował projekt działu historycznego Muzeum w Lesznie (1950) i Gorzowie (1951), zorganizował wystawę Kopernikowską w Poznaniu (1953) oraz współdziałał – ogromnym nakładem pracy – przy utworzeniu Muzeum Kopernika we Fromborku (1953).

Na najgłębszy szacunek zasługuje działalność Michała Szczanieckiego w Towarzystwie Rozwoju Ziemi Zachodnich. Piastował tu odpowiedzialne stanowi-

² *Ziemia Lubuska*, „Ziemie Staropolski”, Poznań 1950, t. 3, s. 8.

ska: był wieloletnim prezesem oddziału TRZZ w Poznaniu, członkiem władz naczelnych Towarzystwa, ale najczęściej i najchętniej pracował na pierwszej linii frontu – jeździł z odczytami do najmniejszych i najbardziej odległych miejscowości, organizował wakacyjne „Studia Ziem Zachodnich”, tworzył Akademickie Koła Lubuszan, Koszalinian, Warmiaków i Mazurów³. Za zasługi na polu krzewienia polskości Ziem Zachodnich i Północnych oraz w dziedzinie ugruntowania wiedzy o nich Michał Sczaniecki był wielokrotnie wyróżniany: honorowymi odznakami za zasługi w rozwoju województw poznańskiego, zielonogórskiego, koszalińskiego, Odznaką Zasłużonego Działacza TRZZ, Odznaką Zasłużonego Działacza Kultury, Złotą Odznaką Honorową m. Poznania, honorowym członkostwem TRZZ oraz Lubuskiego Towarzystwa Kultury.

Nie można pominąć jego działalności w Polskiej Akademii Umiejętności, gdzie brał udział w pracach Komisji Słowianoznawczej i Komisji Historycznej oraz w rozlicznych placówkach Polskiej Akademii Nauk. Ograniczamy się do przypomnienia, że uczestniczył w pracach Instytutu Nauk Prawnych PAN, Komitetu Nauk Prawnych oraz Komitetu Nauk Historycznych, że przez wiele lat pełnił funkcję wiceprzewodniczącego oraz przewodniczącego Rady Naukowej Biblioteki PAN w Kórniku, że był członkiem Rady Towarzystw Naukowych i Upowszechniania Nauki PAN.

Poważny autorytet, jaki zdobył Michał Sczaniecki w szerokich kręgach społeczeństwa polskiego, był w dużej mierze efektem jego autorytetu naukowego. Pozostawił poważny dorobek twórczy: bibliografia jego prac przedstawia się okazale, przy czym wiele w niej pozycji interesujących, o trwałej wartości, dużym walorze poznawczym i niespornych zaletach metodologicznych. Jego piśmarstwo cechują – solidność warsztatu i umiejętność szerokiego ujmowania przedmiotu badania, a także różnorodność naukowych zainteresowań. Umiał harmonijnie łączyć pasję badacza i entuzjazm działacza społecznego; zarówno jego działalność organizatorską i popularyzatorską, jak i jego twórczość naukową przenikało zrozumienie dla społecznych wartości naukowego badania i poczucie odpowiedzialności za jego rezultat.

Bardzo wcześnie, bo już przed wojną, Michał Sczaniecki zapewnił sobie uznanie nauki światowej, zwłaszcza francuskiej. Ugruntowało się ono jeszcze w ostatnich latach przed jego zgonem, czego wyrazem były członkostwo Société d'Histoire du Droit i Commission Internationale pour l'Histoire des Assemblées d'Etats oraz wspomniany doktorat *honoris causa* Uniwersytetu w Grenoble.

³ J. Kurowiecki, *Pole zdarzeń minionych*, „Odra” 1970, nr 7/8, s. 11.

Debiutem naukowym, a zarazem pierwszą książką Michała Szczanieckiego były *Nadania ziemi na rzecz rycerzy w Polsce do końca XIII wieku* (1938)⁴. Autor podjął w niej próbę rozwiązania zasadniczego dla genezy społeczeństwa średniowiecznej Polski, a spornego w nauce zagadnienia, czy rycerska własność ziemi wywodziła się z nadań monarszych, czy stanowiła w swej większości własność alodialną. Formułując odpowiedź na to pytanie, M. Szczaniecki wyodrębnił regiony starego osadnictwa od terenów branych pod uprawę w trakcie, głównie trzynastowiecznej, kolonizacji. Dla terenów starego osadnictwa – w wyniku sumiennej i wyczerpującej kwerendy – ustalił dane o 52 nadaniach monarszych, a dla terenów nowej kolonizacji – 135 nadań. Istotne znaczenie miało stwierdzenie, że nadania na terenach z dawna zamieszkałych były stosunkowo niewielkie, podczas gdy na terytoriach dopiero branych pod uprawę obejmowały znacznie większe obszary.

Wiążąc to z faktem, że w dokumentach do końca XII w. dało się ustalić istnienie na terenach starego osadnictwa przeszło 100 posiadłości rycerskich oraz 20 majątków możnowładczych, Michał Szczaniecki formułował pogląd, że bazę społeczną wczesnośredniowiecznej państwowości polskiej stanowiło z dawna osiadłe na tych terenach rycerstwo. Równolegle ograniczał pojęcie regale ziemi do obszarów niestanowiących własności rodów rycerskich. Teza o nieistnieniu powszechnego regale ziemskiego monarchy przyjęła się w nauce polskiej, podobnie jak trafne spostrzeżenie, że związanie prawa własności ziemi ze służbą wojskową rycerstwa było zjawiskiem późniejszym, które ugruntowało już istniejące prawo własności. To zaś przyczyniło się z kolei do przeobrażenia regale ziemi we własność dóbr domeny, która objęła tereny niebędące w posiadaniu rycerzy i Kościoła.

Nadania ziemi wywołały żywe odgłosy w czasopiśmiennictwie naukowym; omawiała je także prasa. W obszernym artykule, ogłoszonym w „Kurierze Porannym”, Zygmunt Wojciechowski poddawał analizie różnice poglądów na genezę rycerskiej własności ziemi i wskazywał trafnie, że u podłoża tych różnic „czaiła się niekiedy przesłanka treści ogólnej: przekonanie o możliwości zdecydowanego wpływu państwa na kształtowanie się warstw społecznych, względnie przekonanie, że proces ten dokonuje się przy małym udziale władzy państwowej”⁵. Zagadnienie to miało nie tylko znaczenie dla odległej przeszłości. Opowiadając się za drugim rozwiązaniem, Z. Wojciechowski rozwijał drogą mu wówczas tezę o „niezmiernym archaizmie polskich urządzeń społecznych”, a zwłaszcza o więzi rodowej, która miała stanowić podstawę ustroju społecz-

⁴ Szczegółowe dane bibliograficzne zawiera *Bibliografia prac M. Szczanieckiego*, opracowana przez H. Izdebskiego i M. Wąsowicza i opublikowana w tym samym numerze „Czasopisma Prawno-Historycznego”, co pierwodruk niniejszego tekstu (dalej: *Bibliografia*).

⁵ *Jak powstała wielka własność rycerska?*, [w:] „Kurier Poranny” z 19.2.1938 r.

nego Polski aż do XIV stulecia⁶. Rozważania te szły dalej, niżby to wynikało z podbudowanych źródłowo ustaleń M. Szczanieckiego.

Jeżeli dziś jesteśmy skłonni przypisywać większą rolę władzy państwowej w kształtowaniu się społecznego ustroju Polski średniowiecznej, a doceniając znaczenie organizacji rodowej rycerstwa rozpatrujemy ją w kontekście współczesnych stosunków feudalnych, nie pozostaje to w sprzeczności z ustaleniami M. Szczanieckiego. Ustalenia te przeciwdziałają natomiast skutecznie upowszechnieniu krańcowej tezy, reprezentowanej ongiś przez M. Bobrzyńskiego, o omnipotencji wczesnośredniowiecznego państwa i plastyczności uległego mu, bezwolnego społeczeństwa. W opozycji do niej formułował też polemicznie swoją teorię rodową Polski średniowiecznej Z. Wojciechowski.

Jak już wiemy, lata bezpośrednio poprzedzające drugą wojnę światową Michał Szczaniecki spędził w Paryżu, pracując pod kierownictwem prof. F. Oliviera-Martina nad zagadnieniem lenn rentownych. Rezultatem intensywnych i gruntownych studiów była wspomniana monografia *Essai sur les fiefs-rentes*, która została wydrukowana w 1946 r. w Paryżu w „Publications de la Société d'Histoire du Droit”. O tym, że spotkała się ona z żywym oddźwiękiem, świadczy aż 13 recenzji, z których 9 zamieszczono w najpoważniejszych czasopismach naukowych Anglii, Belgii, Francji, Szwajcarii i Stanów Zjednoczonych. W Polsce ich autorami byli m.in. Karol Koranyi, Tadeusz Manteuffel i Jan Rutkowski. Zainteresowanie budziły zarówno temat, jak i sposób ujęcia. Michał Szczaniecki podjął się zbadania mało znanego dotąd zagadnienia lenn rentowych ustanawianych w postaci kwot wypłacanych periodycznie lennikom przez skarb monarchy czy wielkiego pana feudalnego. Instytucja ta pojawiła się we Francji u schyłku XI w., rozwinęła się w następnych stuleciach, a zakończyła swój żywot w XV w. Zwrócenie przez niego uwagi, że lenna rentowe były rozpowszechnione również w Anglii, stało się asumptem dla szczegółowego ich zbadania przez angielskiego badacza B.D. Lyona⁷.

Ogólna koncepcja przemian ustroju feudalnego, która leżała u podstaw studium Michała Szczanieckiego o lennach rentowych, wywodziła się z inspiracji Marca Blocha. Zafascynowany jego kapitalnym dziełem *La société féodale*, które cytował niejednokrotnie⁸, przedstawiał lenna rentowe w kontekście metamor-

⁶ W latach pięćdziesiątych Z. Wojciechowski poddał to stanowisko rewizji. Podnosząc nadal znaczenie więzi rodowej w organizacji społecznej polskiego średniowiecza, stwierdzał, że ówczesne rody rycerskie „stoją w antytezie do starej organizacji rodowej”, gdyż „powstały [...] na gruncie jej rozkładu i pognębienia” („Studia historyczne”, Warszawa 1955, s. 243; por. też s. 307–308, przyp. 82).

⁷ D. Lyon, *The Money Fief under the English Kings (1066–1485)*, „English Historical Review”, April 1951, gdzie podkreślenie, że *Essai sur les fiefs-rentes* stało się podmiotem i punktem wyjścia dla podjętych przez tego autora badań.

⁸ *Essai*, s. 5, 14. Wpływ M. Blocha na pracę M. Szczanieckiego odnotowała też Ph. Wolff, *Du nouveau sur la féodalité*, „Annales: Economies Sociétés-Civilisations” 1947, nr 4, s. 484–485.

foz świata feudalnego, którego ekonomika, struktury społeczne i mentalność ewoluowały zgodnie z ogólnym kierunkiem przemian.

Michał Szczaniecki wykazał, że ustanawianie lenn rentowych stało się możliwe dopiero wtedy, gdy królowie i wielcy feudałowie rozporządzali już znacznymi zasobami pieniężnymi, a wartość ziemi wzrosła na tyle, że senior wolał obciążyć skarb, niż pomniejszać swoją domenę. Upowszechnieniu lenn rentowych sprzyjało i to, że umożliwiały one ustanowienie lenna poza terytorium podległym seniorowi (np. lenn królów angielskich we Francji), co miało istotne znaczenie polityczne. Umacniały też – przejściowo – więź zależności lennei, bowiem każde uchybienie obowiązkom wasala mogło spowodować wstrzymanie wypłaty renty. Podporządkowywało to lennika seniorowi w większym stopniu, niż gdyby był dzierżycielem lenna gruntowego, ale w konsekwencji prowadziło do zacierania się różnic między lennem a np. umową zaciągu do służby wojskowej.

Te obserwacje zostały przyjęte z uznaniem przez krytykę, która podkreśliła nowatorstwo i walor badań ukazujących, jak w miarę rozwoju gospodarki towarowo-pieniężnej instytucje feudalne zmieniały swoje treści, zachowując – do czasu – dawne formy. Zarówno J. Rutkowski, jak K. Koranyi podtrzymali pogląd o związkach między nadaniami lenn rentowych a formowaniem się systemu zaciężnego. O ile jednak Rutkowski kładł nacisk na skromną początkowo proveniencję dzierżycieli lenn rentowych rekrutujących się m.in. z żołnierzy pozostających bezpośrednio na służbie seniora⁹, to Koranyi upatrywał w lennach rentowych ważki element rozwoju wojsk zaciężnych opartych na umowach z osobami, które w zamian za otrzymaną sumę zobowiązywały się do wystawienia oddziału wojska i same już dokonywały zaciągu¹⁰. Nawiązał on tu do ustaleń M. Szczanieckiego, że nieraz obok lenna rentowego występowała umowa o zaciągu żołnierza, co świadczyło o odrębnej genezie, ale też dowodziło zbliżania się roli obu tych instytucji.

Wagę *Essai sur les fiefs-rentes* uwydatnił profesor Wydziału Prawa i Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu w Grenoble, Jean Maillet, który w 1959 r. w czasie uroczystości nadania Michałowi Szczanieckiemu doktoratu *honoris causa* tego Uniwersytetu podkreślił, że *Essai* „rychło stał się pracą klasyczną, a francuscy historycy prawa poznali [dzięki niej] i poznają nadal tę oryginalną instytucję, dotąd prawie im nieznaną”¹¹.

Powrót w 1946 r. do Polski postawił przed Michałem Szczanieckim nowe ważne zadania naukowe. Były to zadania związane z przyłączeniem do Macie-

⁹ RDSG 1947, t. 9, s. 217–218.

¹⁰ „Czasopismo Prawno-Historyczne”, 1948, t. 1, s. 175–176.

¹¹ „Université de Grenoble. Cérémonie de réception de docteurs honoris causa, 7 novembre 1959”, s. 20.

rzy ziem nad Odrą i Bałtykiem; stanowiły – szerzej mówiąc – następstwo przemian społeczno-gospodarczych, jakie dokonały się w Polsce. Znalazłszy się – o czym już wyżej wspomniano – ponownie w orbicie działań Zygmunta Wojciechowskiego, podjął się współpracy z kierowanym przez niego Instytutem Zachodnim i z zapałem przystąpił do urzeczywistnienia rozlicznych i trwałych inicjatyw poznańskiego środowiska naukowego.

Do inicjatyw takich należało wydawnictwo „Słownika Starożytności Słowiańskich” (w skrócie SSS). Jako sekretarz redakcji podjął się M. Sczaniecki pracy podstawowej, jaką było ustalenie zestawu haseł dla projektowanego dwutomowego Słownika. W rezultacie prac zespołowych, którym patronowali główny redaktor Zygmunt Wojciechowski i przewodniczący komitetu redakcyjnego Tadeusz Lehr-Spławiński, ale których wykonanie należało do Sczanieckiego, opracował i opublikował założenia wydawnicze i zestaw 3000 haseł dla *Słownika Starożytności Słowiańskich*¹². Dowodem wartości tego zestawu jest to, że choć z czasem SSS przeobraził się w wielotomowy słownik typu encyklopedycznego, hasła zestawione przez M. Sczanieckiego pozostały jego trzonem.

Działalność w Instytucie Zachodnim spowodowała, że Michał Sczaniecki skupił swoje zainteresowania głównie na problematyce Ziemi Lubuskiej i Pomorza Zachodniego. Plon jego udziału w ekspedycji naukowej na Ziemię Lubuską, o której była już mowa, stanowił cykl artykułów w „Przeglądzie Zachodnim”, który następnie ukazał się w postaci osobnej publikacji *Z dziejów polskości na Ziemi Lubuskiej* (1948), oraz dzieło zbiorowe *Ziemia Lubuska* (1959), którego był współautorem i współredaktorem zarazem.

Tematyka Ziemi Lubuskiej była Michałowi Sczanieckiemu szczególnie bliska ze względu na to, że stąd wywodziła się jego rodzina. Pilnie więc śledził ślady polskości na tej ziemi, znajdujące m.in. wyraz w utrzymywaniu się polskich nabożeństw już po zwycięskiej reformacji w XVII i XVIII w., a w sporadycznych przypadkach nawet do początku XX stulecia; zauważając trafnie, że stereotyp „Polak-katolik” ukształtował się na ziemiach zachodnich dopiero w XIX w., wypowiedział tuż obok pogląd, że „protestantyzm [...] odegrał aktywną rolę germanizacyjną”, co nie wynika *explicite* z przedstawionych faktów.

Kwestia germanizacji była bardziej złożona. Łączyła się ona z całokształtem nader skomplikowanej problematyki etnicznego i politycznego pogranicza, która i dziś tak pasjonuje badaczy. Na terenie Ziemi Lubuskiej, gdzie ścierały się polskie i niemieckie wpływy kulturowe, nawet rodziny szlacheckie nie zawsze miały sprecyzowaną świadomość narodową. Nie zawsze dawało się także ustalić ich polskie czy niemieckie pochodzenie. Nieraz część rodziny germanizowała się, gdy druga pozostawała polską. Zdarzało się też, że rodziny pochodzenia

¹² M. Sczaniecki, *Hasła do Słownika Starożytności Słowiańskich*, „Przegląd Zachodni”, 1951, nr 7/8, s. 624–629. Zob. też poz. 83 i 84 *Bibliografii*.

niemieckiego ulegały w całości lub w części spolonizowaniu. Podobne były losy Sczanieckich, których linia wielkopolska zasłużyła się bardzo sprawie polskości Poznańskiego, podczas gdy druga, pozostała na Ziemi Lubuskiej, pisała się von Sztenzen (od gniazda rodzinnego Sczaniec – po niemiecku Sztenzen; w powiecie świebodzińskim) i miała niemiecką świadomość narodową¹³.

Związany licznymi węzłami – również przyjaźni osobistych – z Francją, śledził M. Sczaniecki uważnie poświęcone problematyce feudalizmu publikacje francuskie i frankofońskie. Nie zdziwi więc nas, że pierwsza w Polsce relacja o kapitalnym dziele M. Blocha wyszła spod jego pióra. Informował też w recenzjach zamieszczanych na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego” i innych periodyków historycznych o ważnych pracach F.L. Ganshofa, N. Didier, G. Duby, L. Halphena i innych. Szczegółowo zaprezentował dzieło swego mistrza F. Olivera-Martina – *Histoire du droit français des origines à la Revolution*¹⁴.

Generalne widzenie feudalizmu w optyce dynamiki społecznej Marca Blocha, twórcze zastosowanie wynikających stąd ujęć w badaniu lenn rentowych stworzyły przesłanki recepcji przez M. Sczanieckiego nowych założeń metodologicznych, które od schyłku lat czterdziestych torowały sobie drogę w polskich naukach historycznych i prawnych. Zrozumienie złożonych powiązań wzajemnych między ekonomiką i stosunkami społecznymi a prawem, dorobek francuskiej szkoły socjologicznej, uodporniły skutecznie M. Sczanieckiego przeciw jednostronnemu ekonomizmowi. Stąd od początku lat pięćdziesiątych twórczość naukowa M. Sczanieckiego, wzbogacając się o nowe wartości metodologiczne, potrafiła uchronić się przed uproszczeniami, które zaciążyły negatywnie nad niektórymi obszarami polskiej historiografii tej doby.

Nowe ujęcia metodologiczne znalazły wyraz w kapitalnej rozprawie M. Sczanieckiego (napisanej wspólnie z Z. Kaczmarczykiem) *Kolonizacja na prawie niemieckim w Polsce a rozwój form renty feudalnej*¹⁵. Podjęła ona kluczowe dla dziejów Polski średniowiecznej zagadnienie relacji między nowymi formami gospodarki towarowej i pieniężnej a zmianą form renty, która z naturalnej i odrobkowej przeobrażała się w rentę pieniężną w postaci czynszu nieograniczającego aktywności gospodarczej chłopów i łączącego się z ich usamodzielnieniem w sferze stosunków osobistych, w postaci prawa wychodu, oraz organizacyjno-prawnej, w postaci samorządnej wsi na prawie niemieckim. Autorzy wykazali, że system świadczeń i uprawnień chłopów oraz towarzyszących im instytucji określanych ogólnym mianem prawa niemieckiego stanowił wy-

¹³ *Z dziejów polskości...*, s. 46-47.

¹⁴ Poz. 32, 33, 34, 38, 74, 75, 80 *Bibliografii*.

¹⁵ Rozprawa stanowiła rozszerzony tekst referatu wygłoszonego na II Ogólnopolskiej Konferencji Historyków Prawa w Poznaniu 25.11.1950 r. Konferencja ta odbyła się w ramach przygotowań do I Kongresu Nauki Polskiej w 1951 r. Obszerne sprawozdanie z niej zamieścił M. Sczaniecki w „Czasopiśmie Prawno-Historycznym” 1951, t. 3, s. 400-422.

kształconą formę prawną nowych postaci gospodarki, a jego recepcja w Polsce, choć ułatwiona i w pewnym stopniu przyśpieszana przez imigrację elementu niemieckiego, miała zakres o wiele szerszy, niżby to wynikało z etnicznego zasięgu tego osadnictwa. Ustalenia rozprawy, łączące udanie elementy analizy i syntezy, weszły na trwałe do nauki historycznej i historyczno-prawnej.

W latach następnych M. Szczaniecki podjął wykład monograficzny poświęcony państwowości zachodniopomorskiej. Stanowił on podsumowanie jego badań i przemyśleń dotyczących dziejów ustroju feudalnego na pograniczu polsko-niemieckim. Zaabsorbowany pracami natury organizacyjnej i dydaktycznej, które obciążały go zwłaszcza po przedwczesnej śmierci Z. Wojciechowskiego, nie zdobył się na *wyczerpującą* monografię, a zawarł swe ustalenia w dwóch obszernych studiach zatytułowanych *Główne linie rozwoju feudalnego państwa zachodnio-pomorskiego* (1955-1956). Ta pierwsza w nauce polskiej próba ujęcia przemian ustroju politycznego Pomorza Zachodniego od czasów najdawniejszych po XIX w. nie utraciła dotąd, mimo rozwoju badań pomoroznawczych, swoich walorów poznawczych. Szczaniecki uwydatnił odrębności rozwoju politycznego Pomorza Zachodniego, gdzie wczesnofeudalne republiki miejskie powstały wcześniej, niż ugruntowała się obejmująca całość terytorium władza monarsza¹⁶. Stąd względna słabość władzy książąt zachodniopomorskich, którzy nie potrafili podporządkować sobie miast, zwłaszcza gdy wzmocnione o napływ elementu niemieckiego, zdobyły instytucjonalne podstawy samodzielności w postaci samorządnej organizacji miejskiej związanej z potężnym Związkiem Hanzeatyckim. W rezultacie okres rozdrobnienia feudalnego przeciągnął się na Pomorzu Zachodnim w głąb drugiej połowy XV w. (1478). Szczaniecki trafnie podniósł jako specyfikę zachodniopomorską, że okres rozdrobnienia feudalnego zbiegł się tam z rozwojem stanów. W następnym okresie późnej monarchii stanowej (1478–1648) wpływowe korporacje hamowały – na ogół skutecznie – tendencje proabsolutystyczne niektórych władców.

Wiele uwagi poświęcił Michał Szczaniecki dziejom ustroju Pomorza Szwedzkiego, które zachowało swoją odrębność aż do początków XIX w. Przyłączenie reszty posiadłości szwedzkich na południowym wybrzeżu Bałtyku w 1815 r. do Prus zamyka ostatecznie – sądzić należy – dzieje państwowości zachodniopomorskiej, której koniec M. Szczaniecki przesunął aż do połowy XIX stulecia.

Zaangażowanie w prace Instytutu Zachodniego oraz zwrot w kierunku badań ustroju Pomorza Zachodniego spowodowały, że M. Szczaniecki interesował

¹⁶ K. Tymieniecki w obszernej recenzji w „Rocznikach Historycznych” (1958, t. 24, s. 251–260) zaakcentował m.in. fakt, że o ile w republikach miejskich zyskiwała przewagę więź terytorialna, o tyle poza nimi nadal utrzymywały się na Pomorzu Zachodnim XI–XII w. więzi rodowe, ograniczając poważnie możliwości władzy monarszej. Pracę w całości Tymieniecki ocenił jako „interesującą i wysoce użyteczną”, podnosząc kompetencje jej autora.

się coraz bardziej niemiecką spuścizną. Jego zawsze docieklive recenzje eksponowały problemy węzłowe i sporne. Przeradzały się one niekiedy w artykuły problemowe poruszające istotne zagadnienia ustroju feudalnego. Taki m.in. charakter ma rozprawa *Problem przymusu lennego* (1965), do której asumpt dała mu książka Waltera Goetza, *Der Leihzwang*. Zajął się w niej zasadą przymusu lennego, zgodnie z którą monarcha lub pan feudalny był zobowiązany w ciągu roku i dnia nadać opróżnione lenno. Chodziło o to, by lenna takie nie zwiększały dóbr domen, ale wracały do rycerstwa, gdzie liczba pretendentów z reguły przewyższała liczbę lenn będących do rozporządzania. Wskazując, że obowiązek ten w Niemczech – w przeciwieństwie do Francji – nie został sformułowany w postaci normy ogólnej, Szczaniecki rozwinął i uzasadnił pogląd, że w dziedzinie przymusu lennego decydującą rolę odgrywała praktyka. O tej decydował zaś układ sił pomiędzy seniorem a wasalami. Tytułów prawnych, będących podstawą nadania, nigdy nie brakło, ale punkt ciężkości spoczywał w sferze stosunków społecznych i ich odbicia w polityce.

Uzdolnienia syntetyczne, którym sprzyja na ogół dydaktyka uniwersytecka, ujawnił Michał Szczaniecki na szerszą skalę jako współautor wielotomowej *Historii Polski*, wydawanej przez Instytut Historii PAN. W tym zbiorowym wydawnictwie, podjętym w 1953 r., jego pióra jest rozdział poświęcony monarchii wczesnośredniowiecznej obejmującej – według przyjętej przez redaktora tomu periodyzacji – XI i pierwszą połowę XII w. Te półtora stulecia znalazły pod piórem M. Szczanieckiego równie dokładne, jak klarowne ujęcie. Zwraca uwagę integralność wykładu, łącząca w harmonijną całość zjawiska określone przez warunki naturalne, formy gospodarki, stosunki społeczne, wydarzenia polityczne, ustrój państwowy i kulturę. Syntezą stanu wiedzy drugiej połowy lat pięćdziesiątych¹⁷ stał się rozdział o polskiej monarchii wczesnośredniowiecznej, będący w znacznym stopniu punktem wyjścia dla późniejszych szczegółowych badań nad tym, jakże istotnym dla dziejów ojczystych, okresem.

Doświadczenia pracy nad syntezą typu podręcznikowego, pilna obserwacja doświadczeń francuskich historyków prawa, publikujących podręczniki historii ustroju politycznego i społecznego (*Histoire des institutions et des faits sociaux*) po reformie programu studiów prawniczych we Francji w 1958 r.¹⁸, wreszcie wieloletnia praktyka zamiłowanego wykładowcy zaowocowały w drugiej połowie lat sześćdziesiątych. Wówczas to, po przeniesieniu się do Warszawy, M. Szczaniecki podjął przygotowanie podręcznika *Powszechnej historii państwa*

¹⁷ Dyskusję nad drukowaną makietą tomu pierwszego, odbytą 5–9.2.1956 r., zreferował szczegółowo „Kwartanik Historyczny” 1956, t. 63, nr 3, s. 3–110. Uwagi dotyczące partii pióra M. Szczanieckiego zawarte są m.in. na s. 24–30. Po dyskusji pracę nad tekstem prowadzono nadal, przy czynnym udziale redaktora tomu prof. Henryka Łowmiańskiego. Tom I część 1 ukazał się w 1958 r. i miał kilka reedycji.

¹⁸ Zob. poz. 39, 40, 41, 121 *Bibliografii*.

i prawa. W latach 1968–1969 ukazał się dwutomowy podręcznik, którego tom pierwszy obejmował państwo feudalne wraz ze wstępem poświęconym starożytności klasycznej, a tom drugi był poświęcony państwu burżuazyjnemu. W trzecim wydaniu całość materiału została połączona w jednej obszernej książce. *Powszechna historia państwa i prawa* stanowi *opus vitae* M. Sczanieckiego. Zawarł w tym dziele nie tylko wielkie bogactwo erudycji, ale również przemyślenia nad idealnym kształtem dydaktycznym podręcznika oraz optymalnym sposobem zastosowania założeń metodologicznych, które od początku lat pięćdziesiątych pogłębiał i rozwijał. Rezultatem było dzieło, które już od wielu lat służy nie tylko studentom wszystkich wydziałów prawa w Polsce, ale stanowi również cenne *vademecum* dla historyka i prawnika.

W recenzji pierwszego tomu podręcznika Jan Baszkiewicz ocenił go jako „dzieło wielkiego talentu i kolosalnej erudycji”. Recenzent podkreślił zwięźłość dzieła, umiejętność syntezy, nawiązywanie od przeszłości do spraw współczesnych, które – jak pisał – „ożywiają wywody i uczą zrozumienia dla ciągłości procesów dziejowych, dla trwałości form i zmian treści”. „Zwraca uwagę – pisał dalej J. Baszkiewicz – znakomite potraktowanie problematyki ustroju społecznego [...]. Wzajemne zależności w tej mierze, zasadniczy priorytet stosunków ekonomiczno-społecznych, zakres autonomicznego rozwoju instytucji politycznych oraz prawnych, ich wtórne oddziaływanie na sferę ekonomiki, układ sił społecznych – wszystko to przedstawione zostało, nie waham się i tu użyć tego określenia, po mistrzowsku”¹⁹. Ten wywód wymagającego i nieskorego do pochwał recenzenta jest świadectwem wartości podręcznika, który autor udoskonalał w każdej kolejnej edycji.

Z największym uznaniem podnosili wszyscy krytycy²⁰ osiągnięcie, jakie stanowiło przesycenie całego wykładu problematyką porównawczą. Jej zastosowanie wynika z ogólnej konstrukcji podręcznika, który łączy systematyczne przedstawienie ustroju politycznego wybranych państw z partiami o charakterze syntetyzującym, gdzie autor powołał również przykłady zaczerpnięte z ustroju czy prawa innych krajów. Tak więc konkretna opisowość cechująca podręczniki Iwo Jaworskiego i Karola Koranyiego została uzupełniona o część syntetyczno-porównawczą, w której M. Sczaniecki nawiązał do tradycji wykładu Stanisława Estreichera. Omawiając zastosowane rozwiązania, Konstanty Grzybowski konstatawał, że „analityczna część książki służy w ten sposób części syntetycznej i jako zasób wiadomości o faktach i jako pokazanie poszczególnych, bo do jednego państwa ograniczonych procesów historycznych, by potem pokazać proces historyczny [...] jako całość, jako ogólną unię rozwoju”²¹.

¹⁹ „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1969, t. 21, z. 1, s. 197–198.

²⁰ Zob. poz. 46, 47 *Bibliografii*.

²¹ „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1970, t. 22, z. 2, s. 247.

Zwrócono uwagę, że w ujęciach porównawczych M. Sczaniecki skupiał wywód wokół zagadnienia suwerenności narodu i praw dotyczących udziału obywateli w życiu politycznym. Konstanty Grzybowski zauważył najtrafniej, że M. Sczaniecki wyszedł tu od demokratycznej zasady suwerenności ludu, czyniąc osiã swoich rozważań odpowiedź na pytanie, w jakim stopniu, i o ile w rzeczywistości, a o ile fikcyjnie, zapewniają one demokrację, czyli udział w rządzeniu, „gdy ostatni, a raczej przedostatni liberał”, jakim miał być S. Estreicher, koncentrował swoje wywody wokół naturalnych praw jednostki i praw parlamentu w stosunku do egzekutywy²².

Pozycja wywodów syntetycznych jest zaakcentowana nie tylko od strony treści, ale i ilości poświęconego im miejsca. Według obliczeń recenzentów stanowią one ponad jedną czwartą część tekstu pierwszego tomu, ale ujęcie porównawcze znajduje również wyraz w stałym odsyłaniu od jednego paragrafu do innych, zmuszającym czytelnika do porównań ukazujących analogie i różnice, więc skłaniających do refleksji naukowej, stanowiącej podstawę czynnego stosunku do przedstawionego w podręczniku materiału. Za zaletę uznała też krytyka elastyczną periodyzację unikającą „wtłaczania historii państwa i prawa różnych narodów do wspólnych i sztywnych podziałów czasowych”, co nie przeszkodziło Autorowi wyeksponować dat o znaczeniu powszechno-historycznym²³.

W tomie drugim na plan pierwszy został wysunięty burżuazyjny konstytucjonalizm. Klarownie i precyzyjnie pokazano funkcjonowanie monarchii konstytucyjnej i republiki parlamentarnej. W kształtowaniu i rozwoju ich mechanizmów Michał Sczaniecki uwydatnił znaczenie ideologii, zwłaszcza programów partii politycznych i doktryn ustrojowych. Pozwoliło to Bogusławowi Leśnodorskiemu użyć jako tytułu artykułu recenzyjnego zwrotu: „Pierwsze są idee, wtórne są instytucje”²⁴, co znajduje pełne uzasadnienie dla tomu drugiego, pozostającego w centrum uwagi recenzenta.

W odniesieniu do *Powszechnej historii państwa i prawa* formułowano również postulaty i uwagi krytyczne. O ile te drugie dotyczyły kwestii szczegółowych, o tyle pierwsze sugerowały rozbudowę partii dotyczących państw leżących poza kręgiem Europy Zachodniej, stanowiącym główny przedmiot zainteresowań autora i obejmującym ok. 90% całości tekstu. W szczególności dopominano się o uwzględnienie krajów należących do wspólnoty socjalistycznej, ale również i krajów pozaeuropejskich. Postulaty szły także w kierunku szerszego uwzględnienia – obok ustroju politycznego – instytucji prawa sądowego, które zostało

²² Ibidem, s. 248–249. Za „ostatniego liberała”, można sądzić, K. Grzybowski uważał siebie.

²³ Rec. W.M. Bartla [w:] PiP 1970, nr 12, s. 1002.

²⁴ „Kwartalnik Historyczny” 1971, t. 78, nr 3, s. 657. Zwrot ten, jak podał B. Leśnodorski, został zaczerpnięty z książki Andrzeja Burdy, *Polskie prawo państwowe*, (wyd. 2, 1965).

ograniczone do szeroko potraktowanej historii źródeł prawa, a także prawa administracyjnego i administracji. Nie wszystkie te postulaty autor akceptował. Bronił swojej koncepcji selektywnego wyboru, wydobywającego treści najważniejsze z punktu widzenia współczesności. I nie był w tym odosobniony. Nawiązując do sporu o zakres podręcznika, recenzent jego przedostatniego wydania, Kazimierz Orzechowski, pisał, że przyjęte odnośnie do prawa sądowego rozwiązanie „uważam za jedyne i najszcześniejsze [...]”. Próba nadania bardziej systematycznego omówienia prawa sądowego musiałaby chybić; obciążałaby szczegółami tekst i zatarałaby zasadnicze linie rozwojowe, których uznanie [...] jest jednym z największych walorów całego dzieła”²⁵.

Recenzję swoją Kazimierz Orzechowski zaczął od stwierdzenia: „Pisanie podręczników jest zadaniem trudnym i niewdzięcznym. Trudności te rosną w dwójnasób, gdy idzie o dyscyplinę jeszcze stosunkowo młodą oraz gdy założeniem jest nowe ujęcie metodologiczne i odmienny niż dotąd teoretyczny punkt widzenia”²⁶. W świetle tego wypada też ocenić wniosek końcowy, który brzmi, iż podręcznik M. Sczanieckiego stanowiący niezmiernie udatne połączenie tekstu dydaktycznego i poważne osiągnięcie naukowe, jest „wielkim wydarzeniem nie tylko w polskim świecie historyczno-prawnym, ale w ogóle w polskiej nauce”²⁷.

Wielorakie wartości i sukces dydaktyczny podręcznika²⁸ stanowiły ukoronowanie tej pasji Michała Sczanieckiego, która kazała mu przywiązywać wielkie znaczenie do dydaktyki uniwersyteckiej i dowodziły bezspornego talentu, jaki w tej dziedzinie wykazywał. Należał bowiem Michał Sczaniecki do tych nauczycieli akademickich, których działalność określić można jako wzorcową. Swe obowiązki pojmował szeroko, wychodząc z założenia, że należy do nich nie tylko przekazywanie studentom niezbędnego pensum wiedzy, ale także kształtowanie ich charakterów i postaw. Był wrogiem rutyny uniwersyteckiej. Świetny wykładowca, znakomity kierownik seminariów dyplomowych i magisterskich, cierpliwy, choć wymagający egzaminator, jak mało kto rozumiał studentów i ich potrzeby. Szukał też wciąż nowych z nimi kontaktów i form współdziałania. Już w latach pięćdziesiątych stworzył i wspólnie ze Zdzisławem Kaczmarczykiem prowadził jedno z pierwszych w Poznaniu kół naukowych, doprowadzając je po

²⁵ K. Orzechowski, *Nowy podręcznik powszechnej historii państwa i prawa*, „Nowe Książki” 1973, nr 21, s. 46-47.

²⁶ Ibidem, s. 45.

²⁷ Ibidem, s. 50.

²⁸ Jego uzupełnieniem był pożyteczny, wysoko przez krytykę naukową i samych studentów oceniony *Wybór źródeł do historii państwa i prawa w dobie nowożytnej* (zob. poz. 49 *Bibliografii*). Wybór tylko w nieznacznym stopniu nawiązywał do tekstów opracowanych w swoim czasie przez M.Z. Jedlickiego, a zredagowanych i wydanych przez M. Sczanieckiego w roku 1955.

kilku latach do znaczących osiągnięć²⁹. Wielokrotnie powierzano mu obowiązki opiekuna najmłodszych roczników studenckich. Był organizatorem ogólnopolskich konkursów na najlepsze prace magisterskie z dziedziny historii państwa i prawa. Posiadał największe zasługi w stworzeniu dorocznych olimpiad historyczno-prawnych, imprezy, która do dziś stanowi udany sprawdzian wiedzy historyczno-prawnej najmłodszych studentów prawa i która zarazem poważnie podniosła prestiż dyscyplin historyczno-prawnych na wydziałach prawa i administracji³⁰. Jak długo mu zdrowie dopisywało, osobiście czuwał nad ich przebiegiem, nieodmiennie przewodnicząc sądowi konkursowemu. Wśród wielu inicjatyw na polu unowocześniania dydaktyki na szczególną uwagę zasługują rozpisana przezeń i zamieszczona na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego” ankieta na temat nauczania przedmiotów historyczno-prawnych na wydziałach prawa w państwach Europy. Sam dokonał prezentacji stanu nauczania historii prawa w Polsce³¹. Zapał i osiągnięcia w działalności dydaktyczno-wychowawczej zjednały Michałowi Szczanieckiemu sympatię i szacunek szerokich rzesz młodzieży akademickiej. Wyrazem ich było nadanie mu Odznaki Honorowej Zrzeszenia Studentów Polskich oraz Odznaki Honorowej Ruchu Kół Naukowych przy Radzie Naczelnej Zrzeszenia Studentów Polskich. Cieszył się też uznaniem władz akademickich. Świadczą o tym nagrody ministra za szczególne osiągnięcia w działalności dydaktyczno-wychowawczej, Złota Odznaka Związku Nauczycielstwa Polskiego oraz przyznany mu w 1972 r. tytuł „Zasłużony Nauczyciel PRL”.

Szczególnie poważną rolę odegrał Michał Szczaniecki jako redaktor „Czasopisma Prawno-Historycznego”³². Jak wiadomo – związał się z nim od początku; był jednym z jego współzałożycieli, pełniąc w latach 1948–1952, u boku Zygmunta Wojciechowskiego i Zygmunta Lisowskiego, obowiązki sekretarza redakcji. Potem – od tomu piątego – nieprzerwanie już sam kierował agendami „Czasopisma”, stając na czele Komitetu Redakcyjnego. Włożył w przygotowanie wydanych z jego udziałem 53 zeszytów o łącznej objętości prawie 1500 arkuszy wydawniczych tyleż pracy, co serca. Swą aktywnością i swym doświadczeniem w sposób decydujący wpłynął na obecny kształt pisma i systematycznie przyczyniał się do ugruntowywania jego wysokiego poziomu naukowego i edytorskiego. Oczywiście, wzbogacał treść poszczególnych zeszytów również jako

²⁹ Por. H. Olszewski, *Z pracy studenckiego koła naukowego historyków prawa*, „Studia i Materiały do Dziejów Wielkopolski i Pomorza” 1955, t. 1, s. 315 i n.

³⁰ Zob. poz. 125 *Bibliografii*.

³¹ Zob. poz. 119 i 120 *Bibliografii*.

³² Działalność redakcyjna Michała Szczanieckiego była zresztą o wiele bogatsza. Założył oraz redagował kwartalnik „Polish Western Affairs” (1959–1964), był członkiem kolegów redakcyjnych „Studiów i Materiałów do Dziejów Wielkopolski i Pomorza”, „Prac Sekcji Historii Poznania” przy PTH, „Przeglądu Zachodniego” oraz „Revue Occidentale”.

autor; prawie jedna czwarta jego prac ogłoszona została na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego”. Warto przypomnieć, że właśnie tu ukazały się m.in. jego pionierska, dwuczęściowa rozprawa poświęcona głównym liniom rozwoju państwa zachodniopomorskiego, studium o przymusie lennym w dawnej Rzeszy Niemieckiej czy wreszcie jego oceny stanu nauki historii prawa pisane z okazji 10. rocznicy Polski Ludowej oraz 20-lecia „Czasopisma Prawno-Historycznego”³³. Jeszcze bardziej godne podniesienia są jego rozliczne inicjatywy zmierzające do nadania „Czasopismu” rangi autentycznego reprezentanta nauk historyczno-prawnych w Polsce i promotora w kształtowaniu ich dalszego dynamicznego rozwoju.

Miał głęboko zakorzenione poczucie obowiązku inspirowania przez „Czasopismo Prawno-Historyczne” kierunków badań historyczno-prawnych i nie zgadzał się z tymi, którzy sądzili, iż może ono ograniczyć się do grania roli *sui generis* – jak zwykł mawiać – „skrzynki na listy”. W 1968 r. stwierdzał: „»Czasopismo« może przypisać sobie niemałą zasługę na polu propagowania i przyswajania polskim historykom prawa nowoczesnej metodologii. Dokonywało się to zarówno przez publikowanie artykułów i materiałów kładących nacisk na ogólne i bardziej szczegółowe problemy metodologiczne, jak i – w większej jeszcze mierze – przez aktywną pomoc i współpracę redakcji z autorami nad udoskonalaniem ich prac przed ich oddaniem do druku. Pomoc ta było szczególnie pożyteczna w latach, w których rozpoczynano dopiero stosowanie w badaniach metody materializmu historycznego i nietrudno było o jego wulgaryzację czy o popadnięcie w ekonomizm. Jak można sądzić »Czasopismu« udało się szczęśliwie te rafa wyminąć [...]. Bilans 20 lat działalności »Czasopisma Prawno-Historycznego« wskazuje na wiele osiągnięć, ujawnia w pełni, że »Czasopismo« rozwijało się zasadniczo w kierunkach właściwych i w sposób dla rozwoju nauk historyczno-prawnych w Polsce pożyteczny. Bilans ten odsłania jednak również niejedne braki i wskazuje potrzebę ich przezwyciężania w dalszej pracy”³⁴.

Kierując się troską o to, by „Czasopismo Prawno-Historyczne” dobrze służyło rozwojowi nauk historyczno-prawnych, Michał Sczaniecki dbał, by często gościła w nim problematyka metodologiczna: z jego to inicjatywy opublikowano w tomie 16. wszystkie materiały kolokwium historyczno-prawnego, które odbyło się w Warszawie w ramach IX Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w 1963 r.³⁵ Przywiązywał duże znaczenie do ogłaszania w „Czasopiśmie Prawno-Historycznym” w miarę wyczerpujących sprawozdań ze zjazdów ka-

³³ Zob. poz. 87 i 118 *Bibliografii*.

³⁴ M. Sczaniecki, *Dwadzieścia lat „Czasopisma Prawno-Historycznego”*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1968, t. 20, z. 2, s. 20–21.

³⁵ „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1964, t. 16, z. 1, s. 283–317.

tedr i innych konferencji odbywanych z udziałem historyków prawa. Przyczynił się w niemałym stopniu do nobilitacji u schyłku lat pięćdziesiątych historii doktryn polityczno-prawnych. Dzięki Michałowi Szczanieckiemu redakcja „Czasopisma Prawno-Historycznego” ogłosiła w 1969 r. ankietę na temat miejsca, jakie dyscypliny historyczno-prawne zajmują lub zajmować powinny – jako dyscypliny graniczne – wśród nauk historycznych i prawnych³⁶. Redakcja kierowała się dbałością o dalsze zbliżenie prac podejmowanych przez historyków prawa do badań uprawianych przez przedstawicieli innych dyscyplin historycznych i prawniczych oraz o udoskonalenie profilu „Czasopisma” przez dostosowanie go do potrzeb tych dyscyplin. Liczne odpowiedzi na sformułowane w ankiecie pytania: „W jaki sposób łamy »Czasopisma Prawno-Historycznego« mogą służyć dalszemu zacieśnianiu związków i współpracy historyków prawa z przedstawicielami innych dyscyplin historycznych i prawniczych?” pozwoliły niewątpliwie ulepszyć pracę redakcji. Pod kierunkiem swego redaktora „Czasopismo Prawno-Historyczne” konsekwentnie dążyło do stałego poszerzania kręgu swych współpracowników. Michała Szczanieckiego cieszył każdy udany debiut, a jednocześnie nie pomijał żadnej okazji po temu, by udzielić arkuszy „Czasopisma” wybitnym uczonym z zagranicy. Pisali zrazu przede wszystkim przedstawiciele nauki historii prawa państw zachodnioeuropejskich, z czasem coraz częściej reprezentanci krajów socjalistycznych. Podobnie z właściwą sobie starannością czuwał, by pismo stale wzbogacało swój serwis informacji naukowej przez podnoszenie jakości i zwiększanie liczby ogłaszanych recenzji, not recenzyjnych oraz materiału ilustrującego życie naukowe w świecie.

Jego przedwczesna śmierć była – i jest – również dla redakcji „Czasopisma Prawno-Historycznego” niepowetowaną stratą. Do ostatnich miesięcy czynny i – jak zwykle – pełen optymizmu włożył Michał Szczaniecki ogrom pracy w przygotowanie XX Kongresu Société Jean Bodin, który przypadł na 400-lecie wydania fundamentalnego dzieła Bodina: *Sześć ksiąg o Rzeczypospolitej*. Przewycierając cierpienie, zmagając się z chorobą, która okresami odrywała go od biurka, włożył wiele wysiłku w przygotowanie referatu *Jean Bodin a Polska*, który wygłosił na inauguracyjnym posiedzeniu Kongresu 25 maja 1976 r. w Sali Lustrzanej Pałacu Staszica w Warszawie³⁷. Referat ten wykazał, jak duże zainteresowanie w Europie Zachodniej doby odrodzenia budziła Polska i jak znaczne miejsce w twórczości Bodina zajęły fakty dotyczące jej dziejów i ustroju. Michał Szczaniecki był też organizatorem odbytego w ramach Kongresu kolo-

³⁶ „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1969, t. 21, z. 2, s. 165–191 oraz 1970, t. 22, z. 1, s. 195–203.

³⁷ *Sprawozdanie z XX Kongresu Société Jean Bodin*, pióra H. Izdebskiego i A. Zakrzewskiego. „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1977, t. 29, z. 1, s. 167–169.

kwium poświęconego ekspansji dzieła Bodina, z którego referaty łącznie z jego tekstem ukazały się na łamach „Czasopisma”³⁸.

Cennym uzupełnieniem referatu i kolokwium była wystawa pod tymże co referat tytułem. Michał Szczaniecki ułożył jej scenariusz i doglądał organizacji, służąc na co dzień konsultacją i pomocą bezpośrednim wykonawcom. Wystawa stanowiła znakomitą ilustrację tekstu referatu, pogłębiając go i rozszerzając, bo prezentując dzieła współczesnych Bodinowi autorów polskich i obcych, z których czerpał swoją wiedzę o Polsce, a również recepcję dzieła Bodina w polskiej nauce i publicystyce. Obecni na Kongresie uczeni wielu krajów wysoko ocenili zarówno referat M. Szczanieckiego, jak i wystawę, wyciągając płynący z nich wniosek o jedności kulturalnej Europy doby odrodzenia, a także stuleci następnych, które czerpały z dorobku renesansu.

Takie było ostatnie, cenne i ważne, naukowe dokonanie Michała Szczanieckiego.

³⁸ „Czasopismo Prawno-Historyczne” t. 29, z. 2, 1977, s. 1–89.

Edward Serwański



Nie był osobistością, ale był indywidualnością. Był badaczem rzetelnym, ale niekonwencjonalnym. Pasje Edwarda Serwańskiego znajdowały swe zwieńczenie w twórczości badawczej, w przywracaniu pamięci o przeszłości, w jej dokumentowaniu i upowszechnianiu. Pasja dociekania i potrzeba dzielenia się jego wynikami z innymi lokowała się na szczycie wyznawanych przezeń wartości. Ale od razu uwaga: badanie i pisanie dyktował burzliwy czas, doświadczenia zebrane w barwnym i dramatycznym życiu. Nie zostałby autorem książek naukowych i popularyzatorem wiedzy, gdyby nie był żołnierzem, harcerzem, konspiratorem, organizatorem, działaczem społecznym i politykiem. Jego sylwetka twórcy i nauczyciela miała niezawodne zaplecze w tych właśnie formach aktywności. Przydawały one jej wiarygodności, pogłębiały autentyzm wywodów, odsłaniały nagą – najczęściej okrutną – prawdę o historii współczesnej.

Teksty Edwarda Serwańskiego były czytane z uwagą, budząc żywe zainteresowanie w szerokich kręgach społeczeństwa. Każde ukazanie się kolejnej jego publikacji stanowiło wydarzenie, stawało się asumptem dla zabrania głosu przez recenzentów, dla autorskich spotkań, artykułów polemicznych, namiętnych nieraz sporów w gremiach intelektualnych. O rękopisy zdjęte przez cenzurę zaczęły zabiegać biblioteki i archiwa. Maszyna do pisania, na której wystukiwał swe wspomnienia z powstania warszawskiego i informacje o zbrodniach nazistów, była ekspozowana na wystawach. Niezwyčajna popularność jego prac nie jest tajemnicą; stanowiła rezultat wagi samej materii, o której pisał i która tworzyła jednorodną bryłę tematyczną. Ale była też zwyczajnym płodem jego niezwyčajnej osobowości, w której sąsiadowały ze sobą, wzajemnie się uzupełniały i czasem ścierały rzadkie cnoty człowieka o dużym formacie intelektualnym i moralnym. Był nie tylko więziony, ale i nagradzany, był za swoje

działania szanowany, ale i nienawidzony. Choć unikał spektakularnych godności i zaszczytów, w każdym momencie życia zwracał uwagę nieprawdopodobną aktywnością. Osiągnął naukową renomę, mimo że do akademickich stopni i tytułów nie przywiązywał jakiegokolwiek nadzwyczajnej wagi. Zdobywał je z trudem, nie został zwyczajnym profesorem Uniwersytetu. Środowisko akademików traktowało go poważnie, ale z dystansem.

Bez uwzględnienia tych aspektów wszelka ocena twórczości naukowej i intelektualnego formatu Serwańskiego musiałaby być niepełna i niesprawiedliwa.

Edwarda Serwańskiego poznałem 29 czerwca 1955 r. Wypadło, że wracaliśmy razem z pamiętnego i wielokrotnie opisywanego w literaturze jubileuszu 30-lecia pracy naukowej Zygmunta Wojciechowskiego i zarazem 10-lecia Instytutu Zachodniego. Zapamiętał mnie, bo byłem zaproszony na uroczystość jako aspirant w kierowanym przez Jubilata Instytucie Historii Państwa i Prawa UP i wręczałem Jubilatowi kwiaty od zespołu pracowników, zaś on – od lat jeden z najbliższych współpracowników Wojciechowskiego – kończył odczytywać okolicznościowe przemówienie Mistrza, jako że ciężki chory Jubilat nie miał już na to dość sił. Mój rozmówca dzielił się ze mną swymi wrażeniami pełnymi wewnętrznej rozterki: miał żal do Jubilata, że tak ostentacyjnie identyfikował się z Polską Ludową, deklarując współodpowiedzialność za jej losy, ale zarazem żywił wdzięczność za to, że w *exposé* mowa była o Polsce, której miejsce jest nad Odrą, Nysą i Bałtykiem. Rok później – było to już w czasie krótkiej popaździernikowej odwilży – opowiadał mi w przepełnionym tramwaju o swoich okrutnych przejściach. Używał mocnych słów, tak że współpasażerowie rozglądali się wokoło z nieskrywanym niepokojem. Był odważny i raczej mało rozważny. W 1966 r. dane mi było spędzić z nim kilkunastodniowy urlop, w czasie którego „odkryłem” inne jego niezwykłe cechy osobowości: entuzjazm młodzieńca, duże rezerwy sił witalnych, twardość zasad moralnych, spontaniczność, pogodę ducha i przyjazny stosunek do otoczenia. Potem w latach osiemdziesiątych często już dyskutowaliśmy o sprawach polsko-niemieckich, o niemieckiej historiografii, o rewizjonizmie zachodnioniemieckiej polityki, o roli NRD w trudnym polsko-niemieckim dialogu historiograficznym. Poprawiał moje listy, bo dopiero uczyłem się języka niemieckiego. Miałem w nim gorącego rzeczownika też mojej pierwszej „niemieckiej” książki, opublikowanej w 1982 r., choć sam już wtedy wiedziałem, jak wiele w niej było przerysowań. Cieszył się, że ktoś znowu „wygarnął” niemieckim historykom. Wiadomo, że stosunek do „sprawy niemieckiej” ulegał zmianom pokoleniami; wydaje mi się, że Serwański myślał wciąż tak, jakby czas zatrzymał się w latach czterdziestych.

Głębokie poczucie polskości, odporność na metamorfozy podsuwane przez świat bieżącej polityki w tym samym stopniu co żywy umysł, prawość w dzia-

łaniu, młodzieńcza werwa, benedyktyńska pracowitość oraz głębokie poczucie odpowiedzialności za wypowiedane poglądy i postawy tkwiły u podstawy wybranej tematyki badania i decydowały o sposobie jej prezentowania. Wszystkie te cnoty łączyły z nieudawaną skromnością. Edward Serwański nigdy nie podkreślał swych kombatanckich zasług i nigdy nie uważał się za wierzyciela swojego państwa.

Był właściwie „skazany” na patriotyzm. „Ojczyzna” była słowem, które jako dziecko najczęściej słyszał w domu rodziców w Hamburgu, gdy to Polska budziła się do swej drugiej niepodległości. Kiedy wrócił do odrodzonego kraju, w 1920 r., czuł się już – wynika to z jego wspomnień – w pełni świadomie członkiem tej ojczyźnianej wspólnoty, mimo że miał dopiero parę lat. Ojczyzną była Polska, ale też Wielkopolska, rodzimy Ostrów Wielkopolski. W czasie wojny „Ojczyzna” stała się organizacyjnym fundamentem jego żołnierskiej i konspiracyjnej aktywności. Do ojczyzny odwoływał się – płacąc za to wysoką cenę – w latach powojennych. „Ojczyzna” to Polska usytuowana nad Odrą i Bałtykiem. Słowo „Ojczyzna” miało więc dlań swe mutacje; oznaczało „małą ojczyznę” w znaczeniu, jakie jej swego czasu nadawał Alexis de Tocqueville, czyli wspólnotę rodzinną, lokalną i samorządną, a zarazem „wielką Ojczyznę”, którą była Polska jako macierz zrzeszająca wszystkich Polaków. Zawsze był zdania, że Polska jest jedna. Kiedy to stwierdzał, bliski był poglądom Jerzego Giedroycia, który – jak wiadomo – konsekwentnie protestował przeciwko budowaniu drugiej Polski nad Tamizą. Nauki Giedroycia przypominał mi też wtedy, kiedy podkreślał, że interes Polski to sprawa na tyle nadrzędna, że nie może stać na przeszkodzie współpracy z „innowiercami”, nawet gdyby byli komunistami. Polak-patriota – powtarzał słowa Paderewskiego – nie rządzi Polską, powinien jej służyć. Niechciany przez reżim, odrzucony i więziony, z czasem zaledwie tolerowany przez władze, nie zaprzestał głosić, że racja stanu nakazuje prowadzić politykę – jak modnie dziś mawiamy – „ponad podziałami”, a tą racją jest przede wszystkim strzeżenie granicy zachodniej z 1945 r. Z ciężkim sercem towarzyszył 13 lutego 1945 r. Zygmuntowi Wojciechowskiemu w jego przeprawie przez Wisłę do siedziby rządu Osóbki-Morawskiego i choć odmówił uczestnictwa w rozmowie, akceptował nadrzędny cel wyprawy, którym była zgoda komunistycznego premiera na prowadzenie działalności przez Instytut Zachodni. Po latach przypominał z pasją: „Milion partyjniaków kolaborowało w sprawie integracji ziem zachodnich z milionami suwerennych Polaków-obywateli”.

Edwarda Serwańskiego trudno nie zaliczyć do kontynuatorów polskiej myśli zachodniej, może nawet do jej epigonów. Reprezentował ten jej wariant, który mniej akcentował sformułowania narodowo-demokratyczne, bardziej zaś – narodowe czy ściślej ogólnonarodowe. Nie wnikał już tak dogłębnie jak jego poprzednicy w uzasadnianie historycznych i piastowskich praw Polski do ziem

pozyskanych w 1945 r. Nie sądził zresztą, że posiada na tym polu dostateczne kompetencje. Rzadko sięgał piórem do czasów poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej, które przecież dobrze znał z lektury. Niechętnie i lakonicznie pisał o polityce Bismarcka, o rugach, o pruskiej ustawie wywłaszczeniowej z 1908 r., o walce Polaków w zaborze pruskim przeciwko germanizacji. W ostrych słowach potępiał politykę sanacji. Nienawidził Piłsudskiego i dyskredytował zamach majowy z 1926 r.; podpisał się dopiero pod przemówieniem Becka z 5 maja 1939 r., znanym ze stanowczej zapowiedzi dania Niemcom odporu w zbliżającej się konfrontacji. Czasami można odnieść wrażenie, że prawdziwa historia Polski zaczęła się dlań w roku 1939, z wybuchem wojny, okupacją i zbrodniami niemieckimi, a wygrana w wojnie musi przynieść Polsce ziemie macierzyste nad Odrą.

Był reprezentantem tego pokolenia „aktywistów zachodnich”, którzy – jak Maria Kiełczewska, Jan Jacek Nikisch, Leopold Gluck, Eugeniusz Pauksza, Eugeniusz Romer, Kirił Sosnowski – traktowali sprawę polskiej granicy na Odrze, Nysie i nad Bałtykiem jako fundamentalny i nadrzędny kierunek polskiej polityki. Oczywiście, że myśl narodowa z lat Polski Odrodzonej była w tekstach Serwańskiego nie do przeoczenia, jej pochodzący od Dmowskiego imperatyw państwa silnego jednością narodu – także. Jak jego towarzysze wyrażał też pogląd, że naród jest pojęciem o randze demiurga, że państwo to potwierdzenie życia narodowego, że odrodzenie państwa to sygnał, że istnieje tam już świadomy swej siły naród. Serwański Dmowskiego nie cytował; pewnie także dlatego, że pora, w której przyszło mu działać twórczo, temu stanowczo nie sprzyjała. Potwierdziły mu to lata spędzone w więzieniu. Ale konstrukcje endeckie z pewnością kryły się za fasadą myśli zachodniej.

Jego mistrzem przez cały czas był Zygmunt Wojciechowski. Za Wojciechowskim powtarzał, że ziemie zachodnie są prapolskie, że to one od X w. tworzyły korpus ziem macierzystych, że stopniowe odchodzenie Polski od linii Odry stanowiło w przeszłości źródło wszystkich polskich nieszczęść. Jak Wojciechowski, nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że polityka Hitlera nie jest jakimś epizodem w dziejach kraju sąsiadów, a stanowi prostą kontynuację dawnej polityki margrabiów brandenburskich, Krzyżaków, Hohenzollernów i hakatystów oraz całkiem świeżej daty wrogości, okazywanej drugiej Rzeczypospolitej przez rząd Stresemanna. Zgodnie z kanonem obowiązującym działaczy obozu „ojczyźnianego”, myślał „kategoriami terytorium, narodu i konstelacji międzynarodowej”. Miał też jak oni kłopot ze zdefiniowaniem swego stosunku do Niemiec, kiedy te w 1949 r. zostały podzielone. Z trudnością mu przychodziło używanie cieplejszych tonów w ocenie polityki NRD. Ale jako realista nie mógł nie przyjąć do wiadomości, że komunistyczne państwo wschodnioniemieckie *nolens volens* uznało przesunięcie polskich granic nad Odrę. Stąd za Wojciechow-

skim powtarzał: *distinguendum est*. We wstępie do studium *O społeczeństwo polskie na Ziemiach Odzyskanych* dał swym poglądom napełniejszy wyraz, kiedy stwierdzał: „Powrót Polski nad Odrę, Nysę i Bałtyk, na nasze dawne ziemie macierzyste, jest jednym z najbardziej doniosłych wydarzeń na przestrzeni dziejów narodu i państwa polskiego. W idei powrotu i w nowej naszej polityce zachodniej streścić się mają dziś wszystkie ambicje nowo narodzonej Rzeczypospolitej”. I dalej: „O ile pokolenie nasze spełnić ma w zupełności ważną rolę dziejową i sprostać ciężkiemu zadaniu, należy wszystkimi siłami dążyć do jak najżywszego pogłębienia procesu terytorialnej unifikacji całego państwa polskiego. Jest to pierwszy postulat naszej siły politycznej i pełnej niezależności Polski”. Marzył o tym, by w nowym państwie zebrać wszystkich rodaków, również tych, którzy dawno opuścili kraj. Nawet Polska komunistyczna pozostawała dlań Polską; był zatroskany o jej losy przez całe życie: „idealista, oddany całkowicie pracy organicznej” (Władysław Bartoszewski). Nie potrafił stać z boku. Idee romantyka i postawa pozytywisty równoważyły się w jego twórczości i sumowały. Był pozytywistą, który wszelako nigdy nie przestał być romantykiem, i zarazem romantykiem, który za wszelką cenę chciał realizować kanony pozytywistów. Powiedziałbym nawet, że wątki romantyczne i idealistyczne w jego tekstach przeważały. Jak jego pierwszy książkowy bohater, Wojciech Kętrzyński, uważał się za „rewindykatora polskości”; i wzorem Kętrzyńskiego często i chętnie wprowadzał do swego wykładu „momenty natury osobistej”. Właśnie owa osobista perspektywa, z jakiej spoglądał na wydarzenia i je oceniał, owo przeświadczenie, że to, co rozgrywało się na jego oczach, miało znaczenie dla Polski najważniejsze, fakt, że najczęściej pisał o kwestiach, w których osobiście uczestniczył, które rozgrywały się blisko niego i do których musiał mieć emocjonalny stosunek, sprawiały, że wielu odnosiło wrażenie, iż w jego postawie i w jego twórczości czasami zacierały się dystynkcje między postawą uczonego i publicysty.

To uzasadnia nieodzowność podjęcia próby odpowiedzi na pytanie, jaką formację intelektualną i jaki format uczonego Edward Serwański reprezentował.

Droga Edwarda Serwańskiego do nauki i środowiska akademickiego odbiegała od standardów. Odebrał świetne wykształcenie humanistyczne. Po starannej edukacji domowej uczył się w dobrym ostrowskim gimnazjum. Znajomość greki, łaciny, francuskiego, nie mówiąc oczywiście o niemieckim, okazały się przydatne w czasie studiów na Uniwersytecie Poznańskim. Sprzyjały pogłębianiu wiedzy z wielu dyscyplin humanistycznych i społecznych. Sprawiały też, że w jego twórczości zacierały się dystynkcje między dyscyplinami, ukształtowanymi przez tradycyjne podziały w strukturach akademickich i umacniane były przez biurokratów. Edward Serwański był prawnikiem i historykiem,

socjologiem i psychologiem, znawcą mechanizmów życia gospodarczego i geografii, z zamiłowania – pedagogiem. Dysponował rozległą wiedzą o kulturze, tej wielkiej, wykładanej *ex cathedra*, ale i tej życia codziennego, która była udziałem prostych ludzi i ich wspólnot.

Wojna stała się wszelako tak wielką wyrwą w jego rozwoju, że musiała pozostawić w jego naukowym ekwipunku trwałe ślady. Edward Serwański, pochłonięty mnóstwem obowiązków społecznych i organizacyjnych, wciągnięty w wir prac harcerskich, oświatowych, pisarskich, nigdy – jak się wydaje – nie przeszedł solidnego seminarium uniwersyteckiego. Zygmunt Wojciechowski, z którym związał się w ostatnich latach wojny, po 1945 r. był zbyt zajęty pracą organizatora nauki, stratega i politycznego lidera inteligencji w Poznańskim, a także walką o obronę zagrożonych pozycji w instytucjach, którymi kierował, by znaleźć czas na dokształcanie nawet najbardziej bliskich sobie uczniów. Robił to chętnie i – jak wiadomo – z wielkim powodzeniem tylko przed wybuchem wojny, kiedy stworzył poznańską szkołę historii prawa.

Wszystko to sprawiało, że Edward Serwański miał kłopoty ze zbudowaniem prawdziwego warsztatu. Można nawet zastanawiać się nad tym, czy niezwykły temperament pisarski, wartkie tempo, jakie nadawał swej pracy, mnogość zainteresowań i ruchliwość umysłu w ogóle umożliwiały mu poświęcanie budowaniu takiego warsztatu należytej uwagi? Jego „seminarium” – burzliwy czas. Czas ukształtował zarówno tematy badania, jak i sposób ich prezentowania czytelnikowi.

Na niedoskonałość warsztatu Edwarda Serwańskiego jego krytycy zwrócili uwagę bardzo wcześnie. Z powodu uchybień natury formalnej, w szczególności zaś w następstwie dość niefrasobliwego sposobu dokumentowania tez, upadła pierwsza próba obrony doktoratu w latach pięćdziesiątych. Krytyczne opinie wyrażano w trakcie przewodu habilitacyjnego. Recenzenci i dyskutanci chwalili kontury pól jego badań, byli pełni uznania i podziwu dla erudycji autora, ale zastanawiali się nad trafnością przyjętej konwencji wykładu. Podkreślano, że w jego tekstach, szczególnie zaś w stanowiącej podstawę habilitacji monografii *Wielkopolska w cieniu swastyki*, często temperament publicysty bierze górę nad chłodnym spojrzeniem mędrca ze szkiełkiem w oku. Zarzucano autorowi, że w jego wykładzie zbyt wątkiem jest warstwa refleksji teoretycznej, że brak w niej elementów komparatystyki, i znowu – że przywiązuje on zbyt małą wagę do starannego dokumentowania swoich tez. Pojawiały się wątpliwości, czy właściwy pozostaje stosunek autora do ustaleń poprzedników w fachu? Padały zarzuty wybiórczego traktowania źródeł i niedostatku krytycznego wobec nich stanowiska.

Tylko niektóre z uwag krytyczno-polemicznych były – jak sądzę – uprawnione. Recenzenci dali się zwieść wartkim stylem narracji, nie zadali sobie tru-

du dostatecznego wnikięcia w klimat badanej przez autora substancji, nie doceniali swoistości materiału źródłowego, na jakim autor zmuszony był oprzeć swe wywody. Zresztą Edward Serwański dzielnie i przekonująco bronił swych racji. Odrzucał zarzut o lekceważenie archiwalnych źródeł jako absurdalny. Prowadził przecież rozległe kwerendy, ale zarazem wykazywał, że na obszarze jego dociekań substancji żywej waga dokumentu nie zawsze posiada cechę wiarygodności, zwłaszcza kiedy chodzi o dokumenty stworzone przez politykę okupanta. Podkreślał, że jako badacz podejmujący tematy „gorące” czy wręcz „wybuchowe”, bywał zmuszony do korzystania z relacji, wspomnień, zapisków, które posiadają większą wartość dowodową, zwłaszcza jeżeli pochodzą od tych, którzy jak on spoglądali na badaną rzeczywistość „z pierwszej linii frontu”. Nie przyjmował też do wiadomości tych głosów, które dotyczyły braku lojalności wobec osiągnięć poprzedników. Oczywiście działał niekonwencjonalnie. Ich wywody całymi partiami cytował w tekście głównym wykładu, zamiast – zgodnie z warsztatowym kanonem – w przypisach. Chciał w ten sposób podnieść rangę ich osiągnięć, chętnie przyznawał ich autorom rolę rzeczywistych pionierów, jeżeli oczywiście na ten komplement – jego zdaniem – zasługiwali. Luki w przypisach wynikały z pewnością stąd, że wiele prac miało w założeniu autora być pracami „programowo” popularnonaukowymi, skierowanymi do szerokiego kręgu czytelników, nieoczekujących – jak sądził – drobiazgowych wskazówek o proveniencji poruszanego zagadnienia. Walczył z cenzurą, której zapisy dla autorów częstokroć przewidywały usuwanie będących dowodami odnośników do źródeł. Czasami odnosi się wrażenie, że po prostu nużyło go detaliczne odsyłanie do warsztatu cudzego wysiłku, przyjmował jego zdobycze jako niewątpliwie, „z dobrodziejstwem inwentarza”. Naturalnie potrafił też prowadzić polemikę, a nawet miażdżyć adwersarza, gdy był atakowany przy pomocy argumentów pochodzących spoza sfery nauki, gdy u podłoża krytyki tkwiły zasady ideologii, wnoszone ze świata polityki. Tak było np. wtedy, kiedy został zaatakowany za – jak twierdzono – niedocnienie roli ruchu robotniczego i ludowego w działalności konspiracyjnej. Niezmiennie krytyczny był jego stosunek do nauki niemieckiej, o której – jak Wojciechowski – sądził, że jest „jedną z współwinowajczyń minionej wojny” i że „w osobach prehistoryków oraz historyków tworzyła fałszywe obrazy przeszłości i tym samym wytwarzała we własnym narodzie przekonanie o słuszności jego zdobytych tytułów”. Inna sprawa to fakt, że Edward Serwański potrafił odchodzić od zastanych, przez pokolenia rozwijanych i także przez siebie hołubionych mitów, uprzedzeń i stereotypów, choć czynił to rzadko i nie bez pewnego ociągania się. Zdawał sobie sprawę z tego, że „jego” źródła – relacje świadków, wspomnienia pisane „na gorąco”, zapiski „z pierwszej chwili”, ankiety tworzone w ogniu, pochodzące „z pierwszej linii frontu” muszą być wciąż weryfikowa-

ne, uzupełniane i korygowane. Nie kwestionował, że patos jest wrogiem obiektywizmu, że jego porywającym wywodom nieraz brakuje – jak to kiedyś ujął Zygmunt Wojciechowski – spokoju. Zawsze wszakże chciał odkrywać prawdę. W dążeniu do prawdy widział sens swej pracy jako uczonego. Rozumiał, że droga do prawdy jest mozolna i długa, że prawda jest zawsze prawdą swojego czasu. Dlatego wciąż wracał do rozpoczętych na progu swej drogi naukowej tematów, drążył je, uzupełniał nowymi faktami, na nowo stawiał badawcze pytania, jeżeli był zdania, że wymaga tego nowa epoka. Zadawał pytania nawet wówczas, kiedy wątpił, bo miał świadomość tego, że sceptycyzm to klucz do prawdy, czyli że uczony musi być sceptykiem.

Pochylając się nad dziełem Edwarda Serwańskiego, warto pamiętać o tych okolicznościach, w tym o dylematach upływającego czasu. Czas ten miał w jego twórczości swoje cezury. Pierwszy okres w działalności twórczej to z pewnością lata wojny i czas usuwania powojennych gruzów. Trwał do uwięzienia w roku 1948 i był okresem heroizmu. Drugi przypada na lata powrotu do pracy w Instytucie Zachodnim i poszukiwań zgodności naukowych pasji z potrzebami instytucji, czas niezwyklej aktywności badawczej i społeczno-organizacyjnej, który wszakże nie zakończył się pełnym sukcesem osobistym, jeżeli takim sukcesem miało być przekroczenie progu formalnej samodzielności naukowej i zbliżenie do środowiska Uniwersytetu. Uniwersytet – jak wiadomo – nie przyjmował już kandydatów ze „złymi papierami”, obciążonych politycznie. Trzeci okres obejmuje rok 1970, w którym ukazało się *opus magnum* Serwańskiego: *Wielkopolska w cieniu swastyki*, i rok 1971, w którym dokonał się akt jego habilitacji. Następne dekady przyniosły względną stabilizację i możliwość podsumowywania prowadzonych wcześniej i wciąż kontynuowanych badań w książkowych syntezach. W ramy tych cezur, które oczywiście mają swe słabości i mogą być przedmiotem kontrowersji, chciałbym włożyć elementy krytycznego rozbioru dzieła uczonego.

Ponad pół wieku trwająca przygoda Edwarda Serwańskiego z nauką rozpoczęła się w ostatnich dwóch latach wojny. Tematów nie musiał szukać, dostarczał je w nadmiarze tragiczny czas. Młody adept nie był „człowiekiem z ulicy”, miał ukształtowane poglądy, wyraźnie określone preferencje, liczne koneksje. Ważnym impulsem były funkcje, jakie pełnił i jakie traktował jako naturalne zobowiązanie. Przypomnijmy, że kiedy wybuchła wojna, był harcmistrzem, instruktorem Wydziału Zagranicznego Kwatery Głównej ZHP. We wrześniu 1939 r. brał udział w obronie Warszawy, a następnie wstąpił do konspiracyjnej organizacji „Ojczyzna”, tworząc jej terenowe ogniwa w południowej Wielkopolsce. Był współorganizatorem organów Delegatury Rządu na tym terenie i jej łącznikiem z Poznaniem. Współtworzył tajne szkolnictwo, prowadził akcję pomocy społecznej, opracowywał instrukcje dla Szarych Szeregów. W 1942 r.

został pełnomocnikiem Biura Zachodniego Delegatury Rządu na Wielkopolskę. Wchodził w skład Kuratorium Wojennego, powołanego przez Delegaturę. Od 1943 r. pracował w Sekcji Zachodniej Departamentu Informacji i Prasy Delegatury Rządu i w Wydziale Zachodnim Głównej Kwatery Szarych Szeregów. Brał czynny udział w Powstaniu Warszawskim. Świadomość wagi dokumentowania hitlerowskich zbrodni i pozostawienia jak najdokładniejszych świadectw postaw ludności polskiej w czasie wojny stała się imperatywem w jego naukowej aktywności. Ważne impulsy przysły od Zygmunta Wojciechowskiego, z którym nawiązał kontakt w trakcie prac organizacyjnych nad uruchomieniem Studium Zachodniego. Rychło stał się w tych pracach na tyle przydatny, że Mistrz nazywał go „łanem Rzeczypospolitej”, co nie tylko – jak skromnie wspominał Serwański – było wyrazem uznania dla jego wyjątkowej operatywności w przemieszczaniu się między kordonami wznoszonymi przez wroga, ale *de facto* stanowiło globalny rodzaj hołdu dla rozmiarów jego poświęcania się w codziennym niebezpiecznym działaniu, jego patriotycznego zapamiętania się.

Pierwszy tekst pióra Edwarda Serwańskiego ukazał się drukiem w czerwcu 1943 r. Była to sposobem konspiracyjnym przygotowana obszerna praca zbiorowa, zawierająca charakterystykę dramatu polskiego w pierwszych trzech latach wojny, opis przestępstw, jakich dopuszczał się niemiecki okupant, bohaterstwo ludności polskiej, przemyslenia skierowane w powojenną przyszłość. Jej tytuł brzmiał: *Z pierwszej linii frontu*; książka została wydana jako tom trzeci „Biblioteki Wielkopolskiej”, wydawnictwa Departamentu Informacji Rządu na Kraj w nakładzie pięciu tysięcy egzemplarzy, co było prawdziwym ewenementem edytorskim, zwłaszcza że w tym samym roku rzecz ukazała się także w Oficynie Książnicy Polskiej w Glasgow. Co do rozmiaru wkładu w treść dzieła przez poszczególnych badaczy długo nie było zgodności poglądów, m.in. dlatego, że praca była wydana anonimowo. Po latach, po zebraniu wielu opinii w wydawnictwie poświęconym „Ojczyźnie” w serii „Biblioteka Instytutu Zachodniego” z 2004 r., wątpliwości zostały poważnie zredukowane. Edward Serwański był z pewnością *pars magna* tej ważnej także pod względem politycznym edycji. Jego tekst nie jest oczywiście pozbawiony ewidentnych elementów konwencji publicystycznej – prostoty języka wymagał nieprofesjonalny adresat – ale wywody przenika dążenie do uchwycenia prawdy. Brak aparatu dowodowego był nieuniknionym następstwem niezwykłych warunków, w jakich praca powstawała, wynikał też z przeświadczenia o słuszności sprawy, redaktorzy liczyli na zaufanie adresata, którym byli nie tylko wojskowi, ale i cywile. *Z pierwszej linii frontu* jest dziś bibliofilskim rarytasem.

W latach Powstania Warszawskiego Edward Serwański był duszą szeroko zakrojonej akcji zbierania materiału o heroizmie i martyrologii mieszkańców stolicy. Przed zakończeniem wojny udało się opublikować tylko jeden tekst.

Było to źródłowe studium pt. *Powstanie Warszawskie VIU II – IX 1944 w świetle faktów i dokumentów*, które miało zwrócić uwagę opinii publicznej na wydarzenia rozgrywające się w Warszawie. W ślad za tym niewielkim studium przyszły większe zbiory, które mogły ukazać się wprawdzie dopiero po zakończeniu wojny, ale przygotowywane były i napisane zostały jeszcze w wirze wojennych i powstańczych wydarzeń. Mam na myśli trzy poważne wydawnictwa, które należały do pierwszych pionierskich prac dokumentujących życie codzienne w powstańczej stolicy i których poznawczego, a jeszcze bardziej psychologicznego znaczenia nie można przecenić. „Prawda – pisał – tkwiła w straszliwej grozie przeżyć ankietowanych ludzi”. Wydawnictwo zawierało bowiem obszernie relacje i wspomnienia świadków tragicznych i bohaterskich wydarzeń: to *Zbrodnia niemiecka w Warszawie 1944 r.*, wydawnictwo opracowane przez Edwarda Serwańskiego wspólnie z Ireną Trawińską, *Dulag 121 – Pruszków* oraz wydane dopiero w połowie lat sześćdziesiątych *Życie w powstańczej Warszawie*. Wszystkie one tworzyły jednorodną całość, zarówno pod względem celu przyświecającego twórcom, jak i co do sposobu zbierania materiału i zawartości woluminów. Gigantyczne przedsięwzięcie, którego plan przedstawił Edward Serwański w Milanówku, zaakceptował Zygmunt Wojciechowski, a patronowali mu m.in. Maria Kiełczewska, Bożena Stelmachowska, Wanda Brzeska i Kazimierz Tymieniecki. Niezwykła kwerenda, tocząca się „przy odgłosach dalekich walk”, określona kryptonimem „Iskra-Dog” i będąca – jak pisał Serwański – ustawicznym prowokowaniem niebezpieczeństwa, została słusznie nazwana mianem najbardziej sensownej i jedynej możliwej w ówczesnych warunkach formy „konspiracji naukowej”. Polegała na dokumentowaniu zbrodni niemieckich popełnionych w czasie Powstania Warszawskiego, miała odsłonić przynajmniej część prawdy o zamiarach eksterminacyjnej polityki okupanta, świadomie traktowana była jako kwerenda, z której w przyszłości zrodzi się synteza całości. Ten charakter akcji trzeba podkreślić z naciskiem, albowiem autorów przedsięwzięcia nieraz spotykały później zarzuty, że operowali źródłami jednostronnymi i tendencyjnymi, czyli nie w pełni wiarygodnymi. Edward Serwański nie miał wątpliwości, że uzyskany materiał nie wypełnia wszystkich standardów właściwych egzegezie badanej substancji w normalnych, gabinetowych warunkach, że będzie on w przyszłości wymagał konfrontacji ze źródłami niemieckimi i innymi dokumentami, które konspiratorom były niedostępne. Za sprawę nadrzędną uważał jednak zabezpieczenie materiału pochodzącego od uczestników wydarzeń, „żywego” i „ulotnego”. Pisał: „Fakt zebrania materiału na miejscu – na peryferiach pola straszliwej bitwy – i to na gorąco, od ludzi, ofiar i świadków, w których oczach można było czytać jeszcze przeżyte tragedie, wycisnęła charakterystyczne piętno na relacjach. Cechuje je ostrość widzenia, świeżość wspomnień i bezpośredniość przeżyć”. Drugą kwestią, która ze społeczności prowadzącemu „Iskrę-Dog” przysparzała niemałych trudności, były

elementarne problemy natury materialnej i technicznej. Znów warto oddać głos głównemu wykonawcy i koordynatorowi akcji: „Skala codziennych życiowych kłopotów miała ogromną rozpiętość, bo poczyniała się od sprawy odzieży i zaopatrzenia, wyżywienia, kwater i braku pieniędzy, poprzez zagadnienia czystej techniki organizacyjnej, aż do najpoważniejszych rozważań nad problematyką dokumentacji. Rozważania nad naukową i prawną stroną pracy na tle osobistej nędzy były wynikiem odwrócenia normalnej hierarchii potrzeb, w której na czele stoi zapewnienie bytu. Pokonywanie trudności technicznych kosztowało niemało wysiłków. Rękopisy trzeba było natychmiast przepisywać. Wiele bowiem osób żądało bezwzględnie zniszczenia protokołów. W tym czasie pod Warszawą brak było materiałów piśmiennych i kalki; trzeba było wysyłać ekspedycje do Częstochowy. Nie było pod ręką maszyn do pisania; nie było na miejscu zaufanych maszynistek. Kłopoty z lokalami pracy urastały wprost do fantastyki. O melinach, o schowkach nie było wówczas mowy. Rower był rzadkością. Pomijając pomoc E.K.D. przemierzać trzeba było rozległe tereny podwarszawskich skupisk pieszo”.

Trzeba też było pracować szybko, bo czas działał przeciwko żywym, życie trwało krótko, życie zarówno ankietowanych, jak i ankietorów. Mimo tych kłopotów prace posuwały się naprzód żwawo, w czym największe zasługi miał właśnie Edward Serwański. Akcja dokumentacyjna rozpoczęta w Brwinowie, kontynuowana następnie w Milanówku, rozwinęła się później w wielu innych miejscowościach – Pruszkowie, Piastowie, Ursusie, Włochach, Podkowie Leśnej, Grodzisku, Józefowie, Nadarzynie, Komorowie, z czasem w Piasecznie, Skolimowie, Konstancinie oraz Skierniewicach i Łowiczu. Pod koniec wojny dotarto z akcją do Piotrkowa, Częstochowy, a nawet Krakowa, nie wszędzie oczywiście z równym efektem.

W rezultacie powstało – w postaci ponad stu wybranych z imponującej liczby ponad 250 przygotowanych do publikacji, z pietyzmem wydanych i ze znawstwem sygnowanych protokołów – wydawnictwo, które przedstawiło pierwszy w literaturze polskiej obraz powstańczej Warszawy o poważnej wartości poznawczej. Weszło ono po wojnie w skład reprezentacyjnej serii Instytutu Zachodniego w Poznaniu „Documenta Occupationis Teutonicae”, a Zygmunt Wojciechowski napisał w przedmowie doń znamienne słowa: „Publikowany poniżej materiał to jakby nowy tom »Lites ac res gestae«. Gdy się czyta zeznania ludzi uchodzących z ognia i mordu w Warszawie, narzuca się porównanie z zeznaniami składanymi w roku 1339”. Miał na myśli rozmiar bestialstwa i zbrodni, które ujawnił proces sądowy przeciwko Krzyżakom, odbyty w mazowieckiej Warszawie przed sześciuset laty. Rzetelna dokumentacja zawarta w zbiorze *Zbrodnia niemiecka w Warszawie* sprawiła, że tom został załączony do akt procesu norymberskiego przeciwko głównym zbrodniarzom hitlerowskim w 1946 r.

Powstały na kanwie tej samej co *Zbrodnia niemiecka* kwerendy tom pt. *Dulag 121 – Pruszków* ma nieco inny charakter. Nie tyle jest zbiorem relacji opowiedzianych przez świadków, ważną podstawą materiałową dla spodziewanej syntezy Powstania Warszawskiego, ile opowieścią życia obozowego w Pruszkowie, w którym Niemcy urządzili „Dulag”, czyli obóz przejściowy dla ewakuowanej ludności burzonej po powstaniu stolicy (*Dulag = Durchgangslager*). Jego napisaniu towarzyszyła myśl, aby – jak pisał autor – „dokonać pełnego zestawienia relacji osób przechodzących przez obóz pruszkowski i w ten sposób uzyskać możliwie jak najdokładniejszy obraz i właściwą charakterystykę »Pruszkowa«”. Zadanie, jakie podjął wydawca, nie było łatwe, przede wszystkim dlatego, że limit arkuszy, jaki mu oddano do dyspozycji, należał do nader skromnych, a i materiał, jakim dysponował, nie mógł zostać uwieczniony nowoczesną, obejmującą całość tematyki syntezą. Podstawę źródłową wydawnictwa tworzy kilkadziesiąt protokołów i zeznań, w tym dwa zbiorowe opowiadania i dwa szersze sprawozdania. Reszta to relacje, raporty, spostrzeżenia, formułowane przy tym w różnej konwencji – od literackiej po reportersko-sprawozdawczą. Autor przetransponował ten mało przenikliwy i słabo usystematyzowany materiał na monografię obozu, opowiedzianą za pomocą rozmaitych przekazów, nieraz w tym celu dzielonych i rozrywanych, wyrrywanych z kontekstu, w jakim pierwotnie były spisane. Praca daje zatem odpowiedzi na podstawowe zagadnienia, jakie zawierać powinna naukowa monografia – takie jak miejsce i charakter obozu, działania komendantury, panujące w obozie warunki higieniczne, organizacja kuchni, wizytacje, życie więźniów itp. – ale jego wykład składał się z ilustracji, wyjętych z materiału różnej proveniencji. Książka stanowiła jednak pracę o ewidentnej wartości poznawczej, przede wszystkim dlatego, że była pierwszym tego typu opracowaniem w polskiej literaturze obozowej. Doczekała się ona wielu pochlebnych recenzji i stanowiła impuls dla dalszych pogłębionych już i bardziej integralnych dociekań. Sam wydawca będzie wracał jeszcze nieraz do problematyki obozowej, choć już w kontekście zainteresowań badawczych Wielkopolską.

Trzecią częścią „trylogii” Edwarda Serwańskiego, poświęconej Powstaniu Warszawskiemu, był obszerny tom pt. *Życie w powstańczej Warszawie. Sierpień – wrzesień 1944. Relacje – dokumenty*, który – jak o tym wspomniano już wyżej – mógł ukazać się nakładem Instytutu Wydawniczego Pax dopiero w 1965 r. Stanowił on – co zrozumiałe – kontynuację wcześniejszych opracowań, ale był też ich uzupełnieniem i rozwinięciem. Zawierał w głównej swej partii przedruk 48 dokumentów-relacji, kronikę powstania oraz rozbudowany aparat naukowy: bogaty materiał ilustracyjny, w znacznej mierze publikowany po raz pierwszy, aneksy w postaci fotokopii dokumentów, skróty nazwisk i pseudonimów, obszerny rejestr odnośników w postaci przypisów, no i wstęp, w którym

zawarto szczegółowe omówienie tej literatury przedmiotu, która pojawiła się po roku 1946. Charakterystyka tego piśmiennictwa wypadła dość blado, powierzchownie, ale deficyt ten z nawiązką równoważyła wartość samych dokumentów, które z reguły są obszerniejsze od drukowanych we wcześniejszych tomach, a dzięki temu, że zawierają też relacje, które znalazły się w posiadaniu autora po 1946 r., także ciekawsze i bardziej sugestywne.

Życie w powstańczej Warszawie to książka-dokument o bezsprzecznej wartości poznawczej i społecznie użyteczna, przemawiająca ukazanymi argumentami zarówno do czytelnika profesjonalnego, jak i do szerokiej publiczności. Zamieszczone i skomentowane w niej relacje eksponują społeczne zjawiska w powstaniu, przedstawiają organizacyjne struktury, w jakich upływało życie ludności cywilnej w zajętych przez oddziały polskie dzielnicach Warszawy, wpisują w obraz walki konterfekt codziennego życia mieszkańców miasta, które z każdym dniem zamieniało się w ruiny i zgłiszcza. Szczególnie przejmujący jest zawarty w relacjach obraz okrutnych metod walki stosowanych przez okupanta, dążącego przy pomocy bombardowań, terroru i wysiedlania ludności oraz podpalania całych dzielnic do złamania oporu powstańców. Na obwolucie książki wydawca pisał: „*Życie w powstańczej Warszawie* to wstrząsający swym realizmem dokument tamtych tragicznych dni, ukazujący bezmiar poświęcenia, cierpienia i cichego bohaterstwa mieszkańców powstańczej Warszawy, zdolnych nawet w ruinach ginącego miasta organizować swój krwawo wywalczony niepodległy byt, gotowych poświęcić największe wartości dla jego obrony, dokument mówiący słowami suchych relacji, do jak wielkich ofiar zdolny jest człowiek, gdy kieruje nim bezgraniczne umiłowanie wolności”. Patos tych słów nie był tanim chwytem ze świata marketingu i reklamy – jak byśmy to może dziś określili. Wydawnictwo doczekało się licznych omówień, zostało zauważone na Zachodzie, a wszyscy recenzenci pozytywnie je ocenili, choć nie wszyscy potrafili docenić, jak wielkim wysiłkiem autora i wydawcy zostało opłacone.

„*Skok w Polskę Ludową*” był dla Edwarda Serwańskiego trudny i... bynajmniej nie triumfalny. Skomplikowanymi okazały się sprawy bytowe i zawodowe, decydującymi – zaszłości natury politycznej. Absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Poznańskiego, ale żaden prawnik z wyboru, dopiero szukał swej drogi. Prowadziła ona od intensywnej działalności społecznej – m.in. na stanowisku naczelnika Wydziału Społeczno-Politycznego i kierownika Referatu Programowego Zarządu Głównego Polskiego Związku Zachodniego, a także konsultanta w Ministerstwie Ziem Odzyskanych, w resorcie sprawiedliwości, do zatrudnienia w Instytucie Zachodnim, dokąd ściągnął go Zygmunt Wojciechowski, wtedy niekwestionowany lider środowiska humanistycznego Wielkopolski. Został zatrudniony w Pracowni Badania Dziejów Okupacji Hitlerowskiej w Polsce, z którą nie rozstał się właściwie aż do przejścia na emeryturę w roku 1993.

Nie czuł się w Instytucie człowiekiem „z ulicy”: dysponował piękną kartą kombatanta – działacza Delegatury Rządu, żołnierza Związku Walki Zbrojnej, Armii Krajowej, Szarych Szeregów, uczestnika tajnego nauczania; w starym otoczeniu działaczy „Ojczyzny”, którzy spotkali się w Instytucie, mógł czuć się wśród swoich. W końcu był też autorem dwóch ważnych książek, a kiedy podejmował pracę, Instytut akurat zapowiadał rychłe ukazanie się trzeciej; jak już wiemy, miała ukazać się po dwudziestu latach. Rzecz w tym, że pojawiły się przeszkody w kontynuowaniu starych i podejmowaniu nowych tematów naukowych. Z jednej strony wiele obszarów zdążyli już „zagospodarować” starsi i bardziej odeń utytułowani badacze; z drugiej coraz głębsze korzenie zapuszczający ustrój totalitarny w Polsce stwarzał bariery, które dla Serwańskiego były groźne i okazały się nie do sforsowania. Uzgodniony z Z. Wojciechowskim temat doktoratu: *Ziemie Zachodnie Drugiej Rzeczypospolitej „wcielone” do Rzeszy a Generalne Gubernatorstwo. Studium porównawcze prawno-polityczne*, nie został doprowadzony do końca, ba – jak się wydaje – nie został nawet podjęty, a faktyczne przyczyny tego faktu nie przedstawiają się jasno. W latach, które od euforii odbudowy wiodły do metodologicznego „przełomu”. Edward Serwański miotał się zatem między starymi tematami, związanymi z dziejami okupacji, a nowymi, dotyczącymi integracji z macierzą ziem zachodnich oraz dziejami okupacyjnymi Wielkopolski. Chciał pisać wielkie dzieła, wsparte na solidnej podstawie źródłowej, pionierskie i służące polityce zachodniej nowego państwa, a tymczasem coraz częściej spychany był na margines wielkich zespołowych przedsięwzięć. W autobiografii z 2003 r. pisał o swym dorobku z lat 1945–1948 bez zbytniej satysfakcji, mimo że pod niejednym względem był to dorobek pokaźny i społecznie wartościowy, choć nie zawsze ogłoszony drukiem. Spróbujmy się nad nim chwilę pochylić.

Z rozpraw odkrywczych z pewnością zasługuje na wzmiankę ogłoszony na łamach „Przeglądu Zachodniego” tekst poświęcony tajnemu nauczaniu; odsłaniał nowe fakty, uzasadniał potrzebę poszerzania wiedzy o nim, widział w nim „przejaw życia narodowego”, ważny „front walk polsko-niemieckich”. Większy jeszcze walor przypisuję cytowanej już pracy programowej: *O społeczeństwo polskie na Ziemiach Odzyskanych*, zwanemu studium *Polski na starym dziejowym szlaku* oraz próbie socjologicznego ujęcia podziałów społecznych występujących na ziemiach zachodnich. Wszystkie te prace były pisane i drukowane z inspiracji Polskiego Związku Zachodniego. Pierwsze powojenne lata przyniosły też pierwsze próby krytycznego spojrzenia na dorobek innych. Recenzje odnosiły się do prac ważnych i głośnych – o Polakach na Ziemi Lubuskiej i na Łużycach, o dziejach Dolnego Śląska, o monografii Odry i drukowane były w „Strażnicy Zachodniej”, „Polsce Zachodniej” i w „Kurierze Wielkopolskim”. Serwański najczęściej zabierał głos na łamach prasy. W prawie stu tekstach

publicystycznych, jakie napisał w latach 1945–1948, dotknął wielu zespołów kwestii: spraw okupacji niemieckiej, jej okropności i jej heroizmu, procesu Greisera i problemu odpowiedzialności zbrodniarzy wojennych, przemian, które dokonywały się na obszarze Niemiec, szeroko ujmowanych spraw kultury, wydarzeń rozgrywających się na obszarze Wielkopolski, przede wszystkim zaś historii i współczesności ziem zachodnich. Charakteryzowały się właściwymi wszystkim tekstom autora cechami: szczerym z troskaniem o losy polskie, odruchami niechęci i obawą o odrodzenie imperialnej polityki niemieckiej, autentycznym sentymentem do swojej „małej ojczyzny”, jaką była dlań Wielkopolska. Wiele tekstów nigdy nie doczekało się publikacji: były to głównie prace traktujące o ziemiach zachodnich, instruktarzowe i programowe, opracowane w konwencji popularnonaukowej na potrzeby Zarządu Głównego Polskiego Związku Zachodniego, należały do nich także wykłady i liczne referaty wygłoszone na konferencjach i sympozjach, prelekcje radiowe.

W marcu 1948 r. historia dogoniła Edwarda Serwańskiego; został aresztowany i skazany na siedem lat więzienia za udział w Delegaturze Rządu. W jego aktywności naukowej nastąpiła czteroletnia przerwa.

Prawdziwym darem Opatrzności było, że zwolniony z więzienia we Wronkach pod koniec 1951 r. Edward Serwański mógł powrócić do Instytutu Zachodniego. Zawdzięczał to swemu mistrzowi Zygmuntowi Wojciechowskiemu, którego pozycja w okresie stalinowskiej indoktrynacji co prawda mocno osłabła, podobnie jak stan zdrowia, ale który wciąż dysponował charyzmą, pozwalającą mu wywierać wpływ na organizację nauki w regionie i na los podległych i ufających mu ludzi. Serwański nie zajął jednak miejsca w dawnej Pracowni Badania Dziejów Okupacji Hitlerowskiej w Polsce IZ. W swej autobiografii podkreślał on, że nigdy nie zrozumiał motywów tej decyzji szefa, który odsuwając go od kontynuowania badań nad okupacją, kazał mu być kronikarzem Instytutu i rejestrować – właśnie rejestrować, w mniejszym już stopniu komentować – wydarzenia i trendy charakteryzujące rozwój w państwach niemieckich. Z perspektywy dziesiątków lat sprawa wydaje się przejrzysta: Wojciechowski wiedział, że sytuacja wymaga roztoczenia parasola ochronnego nad byłym więźniem, oskarżonym i skazanym – jak by nie było – za faszyzowanie życia publicznego w Polsce. Musiał on zejść z „pierwszej linii frontu ideologicznego” – [zmylić pogonie] i zmiana tematyki badawczej była najlepszym po temu sposobem. Z tego samego powodu również marzenia o doktoracie z zakresu tematyki zachodniej nie wchodziły w grę. Doktoratem miała być monografia o Wojciechu Kętrzyńskim, synu Stanisława. Książka pt. *Syn odzyskanej ziemi (Wojciech Kętrzyński)* została opracowana w bardzo krótkim czasie i zapobiegliwie skierowana do druku w Wydawnictwie Pax.

Edward Serwański od razu „polubił” swojego bohatera, ale tekst rozprawy zdradzał – zwłaszcza w pierwszym wydaniu – poważne braki warsztatowe. Zresztą sam autor zakwalifikował go do literatury popularnonaukowej. Chciał przede wszystkim dotrzeć z wykładem do szerokich kręgów społeczeństwa. W dodatku ostrożny wydawca pozbawił go aparatury naukowej, recenzenci grymasili; o tym więc, by rozprawa została przyjęta jako dysertacja doktorska, o czym myślał Mistrz, nie mogło być mowy. Zresztą Zygmunt Wojciechowski zmarł w październiku tego roku, stawiając ucznia w trudnej sytuacji.

Edward Serwański był i tym razem rygorystycznie lojalny wobec czytelnika, nie obiecywał mu dzieła wyrafinowanego teoretycznie, naukowego bestsellera. *Syn odzyskanej ziemi* miał być – jak to ujmował we wstępie – „próbą publicystycznego i po części literackiego zarysu życia i popularnego ujęcia dorobku naukowego Wojciecha Kętrzyńskiego”. Ukazywał kolejne jego życia: „niemieckie” lata wczesnej młodości, studia w Królewcu i powolne wchodzenie w środowisko polskie, udział w powstaniu styczniowym, czas spędzony w pruskim więzieniu, dekady spędzone w Ossolineum. Jego rozważania wspierały się o dobrą znajomość prac bohatera, ale programowo odarte zostały z „kontekstu społeczno-politycznego. Stanowił – jak się wydaje – najbardziej osobistą z książek Edwarda Serwańskiego, taką, w której autor identyfikował się z bohaterem, sam przemawiał jego głosem, przejmował jego punkt widzenia. W swej egzegezie autor nie pomijał *stricte* naukowych wątków w pisarstwie Kętrzyńskiego. Doceniał on, że działalność naukowa warmińsko-mazurskiego badacza nie była prostym podporządkowaniem celom politycznym, wielokrotnie przypominał, że Kętrzyński nie uprawiał „zabawy w regionalizm naukowy”, że „nie tylko zwalczał fałszywe tezy nauki niemieckiej dla potrzeb polskiej polityki niepodległościowej”, i nie pisał o polskości Mazur i Prus Wschodnich „tylko po to, by je Polsce zwrócić. Ale nie przeczył, że „punktem wyjścia jego aktywności naukowej stały się momenty natury osobistej”. Stąd punkt ciężkości w wykładzie spoczywał przede wszystkim na ukazywaniu jego wizerunku bojownika o powrót Polski na Warmię i Mazury.

Poglądy i postawy Kętrzyńskiego zostały więc uformowane w książce na podobieństwo poglądów i postaw jej autora. Kętrzyński to „rewindykator polskości”, „pomnożyciel polskości” ziem zachodnich, Warmii i Mazur, „wielki jałmużnik, który zabiegał o pomoc materialną i moralną dla germanizowanego ludu polskiego na tamtych terenach”. Stanowił okaz „typowego autochtona”, który szukał Słowian daleko w Europie Zachodniej. Wreszcie symbolizował proces „repolonizacji kulturalnej”: nie tylko „ujawnił prawdę dziejową i tytuły historyczne Polski do Prus. Rewindykował także ludzi”, albowiem „odkrywając zagubioną polsność rodzin mazurskich, warmińskich i pomorskich, odkrywał najgłębsze pokłady narodowościowej struktury tych ziem, wydobywał na świat-

tło codzienne warstwy kultury polskiej, które drzemały tylko pod społecznym pokostem niemieckim. Odkrywał prawdę, że polskość – choć spoczywająca jak gdyby w stanie nieświadomości – zdolna jednak była rozbudzić się w sercach i umysłach ludzi”. Nie dają się przeoczyć te partie książki, które wyrażają myśl Edwarda Serwańskiego, że Kętrzyński to protoplasta idei zachodniej, tworzący pomost między czasem zaborów a powojenną współczesnością: Pisał: „Dla niego polską była tak prawda historyczna Prus Wschodnich, jak i prawda czasów jemu współczesnych.[...] . [Kętrzyński] z historycznych prawd i z ówczesnej prawdy życia wywodził prawa polityczne. Na tej zasadzie Polska Ludowa przywróciła nam Ziemię Zachodnią”.

Syn odzyskanej ziemi nie „przeorał pługiem naukowej krytyki” – jak chciał tego autor – twórczości Wojciecha Kętrzyńskiego, ale książka dobrze wpisywała się w hasła myśli zachodniej.

Do myśli politycznej Wojciecha Kętrzyńskiego Edward Serwański już w większych pracach nie wracał. Jego zainteresowanie skupiło się zrazu na sprawach Górnego Śląska, z czasem – i tym razem już na trwałe – na Wielkopolsce.

Śląsk był od początku jednym z priorytetowych kierunków badawczych uprawianych w Instytucie Zachodnim, dla Edwarda Serwańskiego zrazu był tylko tłem dla jego fascynacji dziejami polskimi w czasie drugiej wojny światowej. Ale badacz szybko potrafił wnikać w tematykę śląską właśnie przez potraktowanie jej jako części dziejów okupacji hitlerowskiej na ziemiach Polski.

Pierwsze teksty o Śląsku pochodziły już z lat pięćdziesiątych, obejmując szeroki wachlarz ważnych zagadnień: zakres funkcjonowania języka polskiego na tym obszarze, przymusową służbę ludności polskiej w wermachcie, politykę narodowościową na Górnym Śląsku w pierwszym okresie wojny. Drukowane w renomowanym „Przeglądzie Zachodnim”, oparte na wnikliwych badaniach empirycznych, miały w wysokim stopniu charakter pionierski. Były też zapowiedzią ich zaprezentowania w książkowej syntezie. Została ona przygotowana w 1960 r., stała się podstawą doktoratu na Uniwersytecie Poznańskim w tym samym roku i nosiła tytuł: *Hitlerowska polityka narodowościowa na Górnym Śląsku*. Została opublikowana w Wydawnictwie Pax trzy lata później.

Książka była rezultatem żmudnych poszukiwań archiwalnych, prowadzonych w Poznaniu, Katowicach i Berlinie. Czerpała ze źródeł polskich i niemieckich różnej proveniencji; uwzględniała dane odnalezione w aktach wehrmachtu (OKW), w dokumentach niemieckich władz cywilnych, w aktach procesów zbrodniarzy wojennych i w wyrokach rehabilitacyjnych sądów; oczywiście czerpała też z literatury przedmiotu, już wtedy przecież niemałej. Monografia podsumowywała wcześniejsze studia autora i je konsumowała, ale też pogłębiała i poszerzała. I tak autor ukazywał pierwszorzędą rolę, jaką w polityce narodowościowej Trzeciej Rzeszy grała walka o wyrugowanie języka polskiego

z obiegu – przez niszczenie polskich książek, likwidowanie polskiego szkolnictwa, zakaz mowy polskiej, przez zwalczanie ośrodków tajnego nauczania pozaszkolnego. Poważny walor poznawczy posiadają wywody o udziale Polaków w wojsku niemieckim, o zasadach wpisywania na niemiecką listę narodowościową, wreszcie dobrze udokumentowane refleksje o formach oporu przeciwko germanizowaniu Śląska. Nowatorski charakter miały analizy autora odnoszące się do statusu ludności śląskiej wpisanej na listę i udziału dezertierów w walce z Rzeszą. Podobać się muszą i budzą szacunek te uwagi, które wskazują na złożoność badanej materii. Górny Śląsk, poddawany rozbirowi Edwarda Serwańskiego, nie ma barw czarno-białych; w jego obrazie znajdujemy plamy, które podważają powojenną tezę o monolitycznej polskości ludu śląskiego.

Stopniowo jednak zaczął Edward Serwański lokować swoje pasje twórcze w badaniu okupacji na obszarze historycznie rozumianej Wielkopolski. Nigdy zresztą od niej całkiem nie odchodził; metryka zainteresowań dziejami okupowanej Wielkopolski sięga początków kariery naukowej badacza. Dowodzą tego jego dwie monografie obozów utworzonych w czasie wojny: obozu jenieckiego w Ostrzeszowie i obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem oraz w postaci obszernej książki wydany opis wydarzeń kampanii wrześniowej 1939 r. w Wielkopolsce. Potwierdzały je obszerne prace, pochodzące jeszcze z ostatnich lat pięćdziesiątych: studium na temat wielkopolskiego podziemia w czasie wojny, rozprawka o kulturze ziem zachodnich, drukowana w obcojęzycznych mutacjach „Przeglądu Zachodniego”, oraz rozważania o życiu teatralnym w okupowanej w Wielkopolsce czy wreszcie teksty o zbrodniach wermachtu, popełnionych w powiecie tureckim, i cenne materiały do procesu eksterminacji w Kraju Warty.

Wszystkie te teksty tworzyły prolegomena do książkowej syntezy dziejów Wielkopolski w czasie drugiej wojny światowej. Nosiła ona tytuł *Wielkopolska w cieniu swastyki* i została wydana – jak większość wcześniejszych książek Edwarda Serwańskiego – przez Instytut Wydawniczy Pax. Była nie tylko najobszerniejszą, ale i najważniejszą książką autora. Wyrażała jego naukową tożsamość, tworzyła ramy określające jego miejsce w historiografii drugiej wojny światowej, stanowiła podsumowanie wieloletnich badań i przemyśleń, była klinicznym wręcz połączeniem tych cech warsztatu, po których badacz był rozpoznawany i oceniany. Trzeba od razu też podkreślić, że to również książka, długo uznawana za najbardziej kontrowersyjną pracę autora.

Wielkopolska w cieniu swastyki jest gruntowną, najbardziej w literaturze obszerną monografią, napisaną z wielorakiej perspektywy i poruszającą najliczniejsze wątki zbiorowego życia ludności wielkopolskiej w czasie okupacji niemieckiej podczas drugiej wojny światowej. Oczywiście autor wracał do tematów, które już wcześniej były przedmiotem jego zainteresowania i zostały

przezeń opisane, rozwijał jednak poprzednie wypowiedzi, uzupełniał je nowym materiałem, prostował to, co uważał za przestarzałe, niepewne i błędne, stawiał nowe pytania badawcze, narzucone przez zmieniony przez czas stan badań.

Autor rozpoczął od ukazania obrazu Wielkopolski w czasie kampanii wrześniowej i pod władzą wojskową Niemiec. Odślonił zamiary okupanta, ogólne wytyczne jego polityki oraz dyrektywy hitlerowskich władz odnoszące się do ludności polskiej. Następnie omówił urzeczywistnianie tej polityki zmierzającej do wyniszczenia Polaków na tym terenie. Przedstawił cały system eksterminacji bezpośredniej i pośredniej, ataki na Kościół oraz dewastowanie rodzimej kultury. Dał zarys wysiedleń i wywłaszczeń oraz przypomniał formy biologicznej zagłady. Starał się ukazać, jak wszystkie te środki wiązały się z sobą i oddziaływały na siebie, tworząc spójny złowrogi system, który każdego Polaka stawiał poza prawem i skazywał na niebyt. W tych wywodach był oczywiście bardziej kompilatorem niż odkrywcą. Wykorzystywał – i tym razem podkreślał: całkowicie lojalnie – dorobek poprzedników oraz wcześniejsze swoje ustalenia. Tłumaczył, może niezbyt szczęśliwie: „Nie napisałem studium historycznego o tzw. Kraju Warty ani też o hitlerowskiej polityce narodowościowej, która dotyczyła zarówno grupy społecznej polskiej, jak i niemieckiej..., lecz książkę o społecznych dziejach polskiej ludności w czasie hitlerowskiej okupacji na terenie Wielkopolski”. Tym usprawiedliwiał „pewną dysproporcję między wykorzystaniem źródeł archiwalnych a publikacji”. Można jednak w pełni zgodzić się z autorem, kiedy podkreślał, że „niedostatek wiedzy o pracy konspiracyjnej jest nieporównywalnie większy aniżeli o sprawie eksterminacji”.

Nowatorski i do dziś unikalny charakter mają te partie pracy, które poświęcone zostały ruchowi oporu w Wielkopolsce. Mowa w nich o warunkach pracy niepodległościowej – terrorze policyjnym, technice walki i stopniu jej natężenia w poszczególnych regionach, wreszcie o konspiracji wojskowej, o udziale w ruchu oporu Kościoła katolickiego i o tajnym ruchu oświatowym. Nie pominięto postaw patriotycznych w środowiskach artystycznych. Autor stwierdzał z przekonaniem – i ta myśl przewija się przez całą książkę – że Wielkopolan charakteryzowało „wyjątkowe poczucie legalizmu” wobec polskich władz konspiracyjnych. Podejmując niezmiernie powikłany i trudno uchwytny, złożony temat stosunku do konspiracji ze strony organizacji i stronnictw politycznych działających w Wielkopolsce, dochodził do wniosku, że Wielkopolanie – niezależnie od politycznych opcji rodem z lat międzywojnia – byli szczególnie predystynowani do grania roli „głównego inspiratora i organizatora” działalności konspiracyjnej: najlepiej wśród Polaków znali Niemców, szkołą ich walki z niemczyzną był czas zaborów, uczyli się od swoich wrogów umiejętności organizacyjnych, byli obeznani z niemieckim obyczajem i niemiecką kulturą.

W podsumowaniu wywodów podkreślał – może z pewną przesadą – że „ludność Wielkopolski dojrzała do zmian, jakie ją czekały dzięki powszechnemu uczestnictwu w ruchu oporu”. Jakby pieczętując to zdanie, pytał o rolę Wielkopolan wysiedlonych lub zbiegłych do Generalnego Gubernatorstwa w aktywności konspiracyjnej. Próbie odpowiedzi na to pytanie poświęcił stustronicowy rozdział swego *opus*. Nie wszystkich przekonał, ale trudno nie stwierdzić jeszcze raz, że stąpał po dziewiczym gruncie i jego tekst stanowi prawdziwą kopalnię nieznanego wcześniej nauce materiału faktograficznego. Podobnie „odbarwiał” z koloru biało-czarnego obraz społeczeństwa wielkopolskiego, kiedy dowodził, że „w miazmatach okupacji odrodziła się idea solidaryzmu społecznego”, którą zresztą oceniał jako anachroniczną, ale o której sądził – poniekąd słusznie – że „mobilizowała [ona] i koncentrowała wszystkie siły konspiracji wobec sprawy naczelnej – wyzwolenia kraju”.

Dzieło Edwarda Serwańskiego – choć nierówne, miejscami nazbyt esejistyczne, wyrażające wiele ocen znamionujących „przeżywanie” historii przez jej uczestnika, ale nacechowane pietyzmem w dochodzeniu do prawdy, wnosiło do nauki o postawach Polaków w drugiej wojnie światowej poważne wartości poznawcze i metodologiczne. Do tych drugich zaliczyłbym pojemną definicję ruchu oporu przeciwko totalitarnemu systemowi, był on dla autora sumą „wszelkich przejawów psychicznego i społeczno-gospodarczego przeciwstawiania się zamiarom okupanta”, a więc nie tylko działaniem przy użyciu przemocy. Widziałbym je także w próbie wprowadzenia do naukowego obiegu nowych danych o martyrologii narodu polskiego w wojnie. *Wielkopolska w cieniu swastyki* łączyła solidną egzegezę detali badanej substancji z syntetyzującymi uogólnieniami, narracja znamionowała dążenie do ukazania czytelnikowi obrazu polskich dziejów w jego tragicznych, a zarazem heroicznych odsłonach. Książka wprowadzała do literatury wątki trudne i kontrowersyjne w nauce interpretowane, wyrażała silne przeświadczenie autora o wychowawczych zadaniach nauki historii. Miała przemawiać do szerokich kręgów społeczeństwa, stanowić lekcję dla młodego pokolenia rodaków. Elementy subiektywizmu, pewnej jednostronności w doborze materiału, prowadząca do uproszczeń emocjonalna forma przekazu musiały zatem stanowić tej postawy jedną z nieuniknionych konsekwencji.

Dzieło *Wielkopolska w cieniu swastyki* wywołało kolosalne zainteresowanie krytyki. Obszerne recenzje zamieściły nie tylko prasa i tygodniki kulturalne, ale także renomowane periodyki naukowe: „Kwartalnik Historyczny”, „Dzieje Najnowsze”, „Przegląd Zachodni”, „Polish Western Affairs”, „La Pologne et les Affaires Occidentales”, „Roczniki Dziejów Ruchu Ludowego”, „Przegląd Lubuski”. Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk zorganizował ogólnopolską dyskusję na temat jej tez. W głosach krytyków przeważały tony pochwalne, a nawet apo-

logetyczne, ale nie brakowało też słów ostrej nagany. Strofowano autora za kompilacyjny kształt pierwszych wstępnych rozdziałów, za „ojczyźnianą” perspektywę potraktowania tematu, czyli za niedocenienie ruchu robotniczego i ludowego w wielkopolskim ruchu oporu, za pominięcie niektórych, np. pamiętnikarskich źródeł, za powierzchowny sposób potraktowania działalności konfidentów i kolaborantów, za mankamenty propozycji periodyzacyjnych autora. Zarzuty te pojawiły się też w czasie kolokwium habilitacyjnego w uwagach recenzentów.

Edward Serwański bronił swych pozycji umiejętnie i przekonująco zarówno w czasie kolokwium, które nareszcie pozwoliło mu przekroczyć próg formalnej samodzielności naukowej, jak i w późniejszych publikacjach. Poświęcał je w lwiej części Wielkopolsce lat wojny i okupacji. Pisał o szkolnictwie polskim, o hitlerowskim terrorze i eksterminacji nauczycielstwa, o niemieckim szkolnictwie dla dzieci polskich w latach okupacji Wielkopolski. Podejmował też tematykę bardziej kompleksową: był autorem rozpraw i studiów o myśli zachodniej i działalności politycznej Wielkopolan, zastanawiał się nad tradycją zachodnią elit Poznania, nad zbrodniami wermachtu popełnionymi w czasie kampanii wrześniowej, nad stratami osobowymi w kulturze artystycznej Poznania. Powracał do badań nad losem Żydów w obozie w Chełmnie nad Nerem, do oddziaływania Powstania Warszawskiego na losy Wielkopolan, do dziejów Ostrowa Wielkopolskiego. W 1990 r. ukazało się jego obszerne i świetnie udokumentowane opracowanie dotyczące dziejów Ostrzeszowa, dwa lata później – gruntowna monografia Ostrowa Wielkopolskiego.

W latach osiemdziesiątych Edward Serwański zaskoczył środowisko naukowe ogłoszeniem w druku materiałów rzucających ważne światło na przebieg i rezultat tzw. „krwawej niedzieli” z 3 września 1939 r., kiedy to cywile Niemcy ostrzelali w Bydgoszczy cofające się oddziały wojsk polskich, które zmuszone były do użycia broni i spowodowały ofiary. Wiadomo, że spór o okoliczności towarzyszące wydarzeniom bydgoskim do dziś rozpala wyobraźnię uczonych i polityków w Polsce i Niemczech. Spór miał swoje fazy szczególnego natężenia: konserwatywni historycy zachodnioniemieccy w latach osiemdziesiątych uważali dzień bydgoskiej „prowokacji” za właściwy początek drugiej wojny światowej. Włączenie się Edwarda Serwańskiego do tego sporu, który w istocie był częścią kontrowersji wokół roli nazizmu w historii Niemiec, roli drugiej wojny światowej i zbrodni dokonywanych przez totalitarny reżim w tym kraju, świadczyło o tym, że właściwie nigdy nie tracił on z pola badania spraw trudnego i często jakże złowrogiego polsko-niemieckiego sąsiedztwa. We wstępie do wydanych materiałów podkreślał zresztą, że materiały do tomu zbierał dla Instytutu Zachodniego już w latach 1959–1961. Przeprowadzał wtedy szeroko zakrojone przygotowania: przesłuchiwał świadków, zbierał

relacje i wspomnienia, weryfikował dokumenty, dokonywał badań terenowych i wizji lokalnych. Potem ten materiał uzupełniał w archiwach niemieckich, no i studiował piśmiennictwo. „Celem pracy – podkreślał – jest danie lepszego niż dotąd poglądu na antecedeny wydarzeń bydgoskich, a przez zamieszczenie relacji kompetentnych osób z ówczesnej administracji państwowej, jak i czołowych postaci w życiu miasta Bydgoszczy” miała ustalić podstawowe fakty. Miała też „uzupełnić naszą wiedzę o charakterze dywersji” i „upamiętnić w umysłach potomnych ofiary, które pochłonął hitlerowski »odwet«”. Pomieszczone w niej dokumenty nie pozostawiają wątpliwości co do tego, że akcja dywersantów nie była aktem spontanicznym, a została wcześniej starannie przygotowana przez władze w Berlinie.

Lata dziewięćdziesiąte ubiegłego stulecia, ostatnia dekada w życiu Edwarda Serwańskiego, była okresem wznowień, wspomnień, rekapitulacji. Ciężka i długotrwała choroba uniemożliwiała mu badania empiryczne w archiwach. Pisał teraz mniej, choć wciąż dochowywał wierności zasadzie misji uczonego, polegającej na upowszechnianiu i popularyzowaniu wiedzy. W 1994 r., a więc już po upadku systemu totalitarnego w Polsce, Edward Serwański jeszcze raz powrócił do tematu, który bodaj najbardziej osobiście towarzyszył mu od czasów młodości i który głęboko przenikał całą jego twórczość, choć nie zawsze był w niej – ze zrozumiałych względów – usytuowany na pierwszym planie. To problem „Ojczyzny” – organizacji, z którą czuł się najściślej związany i w której odnajdywał – w czasie wojny i po jej zakończeniu – wszystkich swoich osobistych i politycznych przyjaciół. „Ojczyzna” była dlań pierwszym „słowem kluczowym” – jakby dziś powiedział zapalony miłośnik technik elektronicznych. Przez kilka lat czekał na możliwość podsumowania jej dziejów; głos zabrał na łamach reprezentatywnego kwartalnika Instytutu Historii PAN „Dzieje Najnowsze”, a okazją doń stała się książka wrocławskiego historyka i politologa Bronisława Pasierba: *Polska myśl polityczna okresu II wojny światowej wobec Niemiec* z 1990 r. Obszerne studium było najbardziej wnikliwą i najbardziej negatywną z recenzji, jakie napisał Edward Serwański. Tekst jego, powstały – jak wynika z przedmowy – z inicjatywy towarzyszy broni, czyli całego środowiska „Ojczyzny”, był pochwałą tej organizacji. Jego teza brzmiała: „Ojczyzna” to ruch narodowy, reprezentatywny dla całej Polski, wykształcony „w sensie historycznym” na bazie poważnych osiągnięć polskiej humanistyki w Polsce Odrodzonej w 1918 r., o korzeniach z przełomu stuleci. Była – dowodził – szkołą solidaryzmu narodowego i prac organicznych, a zarazem kuźnią myśli niepodległościowej na obszarze zaboru pruskiego. Tymczasem B. Pasierb nie wspomina o niej słowem. „Ojczyzna” straciła w jego rozprawie podmiotowość, została „upaństwowiona”, jej dorobek wtopiono w działalność innych organizacji politycznych. Edward Serwański ubolewał, że książkę tę Instytut Zachodni noszący imię jednego z twórców „Ojczyzny” nie tylko wydał, ale i nagroził.

W tych zdaniach zawarte jest także *credo* niekonwencjonalnego badacza, który tworzywa do swych utworów szukał w trendach i doświadczeniach, które rozgrywały się na jego oczach, ba – w których sam aktywnie uczestniczył. Powtórzę, że być może nie dane by mu było być człowiekiem Uniwersytetu – uczonym i popularyzatorem wiedzy, gdyby jednocześnie nie był żołnierzem i konspiratorem, działaczem politycznym, harcerzem, społecznikiem i nauczycielem.

Marek Sobolewski



W maju 1983 r. straciliśmy Marka Sobolewskiego; wszyscy straciliśmy: najbliżsi współpracownicy i uczniowie w Instytucie, środowisko Krakowa, cała humanistyka polska, środowisko prawników i polityków, ludzie kultury. Marek Sobolewski był profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Jagiellońskiego, uczonym o niezwykle rozległej skali zainteresowań twórczych, zasłużonym wychowawcą, autorytetem naukowym i moralnym. Dręczony ciężką chorobą zachował pogodę ducha i niezwykle hart woli. Był osobowością, która wywierała poważny wpływ na otoczenie. Wpływ ten utrzymuje się do dziś.

Marek Sobolewski przez całe życie związany był z Krakowem. W Krakowie urodził się 27 kwietnia 1925 r., w Krakowie uczęszczał do szkół, tu też uzyskał świadectwo dojrzałości. Droga do matury nie była jednak łatwa; zagroziła ją wojna. Marek Sobolewski wstąpił do ruchu oporu, od 1943 r. był członkiem Armii Krajowej. Przeszedł tajne przeszkolenie wojskowe i latem 1944 r. rozpoczął służbę partyzancką w oddziale „Jędrusia” w Sandomierskiem. Jako partyzant zdobył odznaczenia bojowe i stopień sierżanta – podchorążego. Zaraz po wyzwoleniu zapisał się na Wydział Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Magisterium uzyskał w 1948 r., by potem przez rok odbywać służbę w szkole oficerów rezerwy. Ukończył ją z pierwszą lokatą, ale kariera wojskowa nie pociągała go. W październiku 1949 r. Marek Sobolewski został asystentem wolontariuszem w Katedrze Prawa Państwowego UJ. Z katedrą tą i jej kierownikiem, Konstantym Grzybowskim, który miał mu być nie tylko mistrzem, ale i przyjacielem najbliższym, związał się na lata całe. Doktoryzował się w 1955 r. na podstawie rozprawy pt. *Reprezentacja w ustroju współczesnych demokracji burżuazyjnych*. Niezależność głoszonych poglądów i mądry nonkonformizm sprawiły, że jego dalsze awanse naukowe następowały już wolniej. Profesorem nadzwyczajnym został na początku lat siedemdziesiątych, profesorem zwyczajnym dopiero

u ich schyłku. Szczęśliwie nie okazało się to przeszkodą w powierzaniu mu licznych funkcji i godności akademickich oraz obowiązków organizatora nauki na uczelni. Był wieloletnim kierownikiem Studium Administracji na macierzystym Wydziale, potem przez wiele lat pełnił funkcję dyrektora Instytutu Nauk Politycznych UJ. Po śmierci Konstantego Grzybowskiego objął kierownictwo najstarszej w kraju Katedry historii doktryn politycznych i prawnych. Został członkiem Komitetu Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk, rozwijał działalność w Polskim Towarzystwie Historycznym i Polskim Towarzystwie Nauk Politycznych, był członkiem Krakowskiego Oddziału Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, współpracował z Instytutem Zachodnim im. Zygmunta Wojciechowskiego w Poznaniu. Prowadził liczne seminarium, w którym dojrzewali intelektualnie jego następcy – wśród nich Jacek M. Majchrowski, Krystyna Chojnicka, Michał Jaskólski. Wiele czasu i serca poświęcał akademickiej dydaktyce. Wykładał liczne przedmioty: naukę o Polsce i świecie współczesnym, podstawy marksizmu-leninizmu, ustrój PRL na tle porównawczym, najnowszą historię powszechną, polskie prawo państwowe, ustroje współczesnych państw burżuazyjnych, historię doktryn politycznych i prawnych, naukę o partiach i systemach partyjnych, teorię polityki, podstawy nauk politycznych. Rezultaty swoich doświadczeń badawczych prezentował na licznych krajowych i międzynarodowych konferencjach i sympozjach. Wykładał w Heidelbergu, Paryżu, Bordeaux, Salzburgu, Bolonii, Hamburgu, Moskwie, Berlinie Zachodnim, na uniwersytetach amerykańskich. Był świetnie przygotowany do podejmowania zadań najważniejszych i najtrudniejszych.

Poczesne miejsce w środowisku Marek Sobolewski zawdzięczał przede wszystkim swojej niezwykłej osobowości. Miał błyskotliwy intelekt, rozległe zainteresowania; dar przekonywania do swoich przemyśleń. Był typem myśliciela; surowy w ferowaniu ocen, ale zarazem życzliwy i tolerancyjny; miał dar jednania sobie przyjaciół. Swoim adwersarzom nigdy nie odmawiał szacunku. Kontakt z nim był frapujący. Wiele razy miałem sposobność słuchać jego krytycznych uwag w czasie posiedzeń Centralnej Komisji do spraw Stopni Naukowych i Tytułu Naukowego. Były one nacechowane wysoką kulturą słowa. Od Marka można też było uczyć się mądrego relaksu po ciężkiej pracy; kochał góry, był redaktorem „Wierchów”; o jego pasji chodzenia po nich przypomniła góralska kapela, która grała w czasie pogrzebu na rakowickim cmentarzu.

Po tym, co podkreśliłem, nie dziwi, że cechami pisarstwa Marka Sobolewskiego były rozległość zainteresowań twórczych, umiejętność wyprowadzania z gruntownych analiz źródeł frapujących twierdzeń globalizujących, a także ujmowanie spraw polskich – obowiązującego w Polsce prawa, dziejów ustroju politycznego, a także historii polskiej myśli społecznej i politycznej – na szerokim tle problemów Europy i świata. Nie lekcewał detalu, ale detal był dlań

tylko elementem dowodzenia prawd o walorze ogólnym. W jego wywodach zacierają się dystynkcje między warsztatem prawnika, politologa, socjologa i historyka. Chyba właśnie w tym najwięcej ważył wpływ Konstantego Grzybowskiego. Twórczość Marka Sobolewskiego stanowiła zaprzeczenie tradycyjnej faktografii jako kanwy narracji, przeciwnie – nasycona była refleksją teoretyczną i dążeniem do metodologicznego pogłębienia uprawianych dziedzin. Pasjonował go bieg życia politycznego aż do jego form nowoczesnych i współczesnych. Celina Bobińska trafnie napisała na łamach „Historyki” o metodzie pracy jednego z najbliższych współpracowników pisma: „Jego diachroniczna dyscyplina połączona z odwagą socjologicznego myślenia o czasach jeszcze niezamkniętych, dążenie do modelowego uporządkowania idei i doktryn, bez zagubienia czegokolwiek z ich historycznego uwikłania – to były cechy umysłu Marka”.

Walory ujmowania przedmiotu badania w sposób całościowy, świadomie naruszający ukształtowane i pielęgnowane przez akademicką tradycję podziały akademickie na poszczególne dyscypliny, pokazał już w pierwszej swojej książce: *Rola austromarksizmu w rewolucji 1918 r. w Austrii* (1956). Za główny cel postawił sobie „ukazanie związków między ideologią polityczną prawicy socjaldemokratycznej a procesem obrony i umacniania burżuazyjnego ustroju”, zagrożonego po roku 1917. Chciał „zobrazować, w jakim stopniu polityka grupy rządzącej [tj. kierownictwa austriackiej socjaldemokracji] zgodna była z wcześniej wykształconą ideologią polityczną”. Wyrażał zdanie, że „może to [...] dać pewien przybliżony obraz odwrotnego oddziaływania poglądów politycznych na ustrój polityczny i stosunki społeczne, a pośrednio na bazę [...]. Ten związek między doktryną a kształtowaniem się ustroju” – podkreślał – „został ukazany w pracy tylko przez zestawienie dwóch końcowych ogniw łańcucha wzajemnych zależności: z jednej strony przedstawiono doktrynę, z drugiej historyczny rozwój ustroju. I choć nie poddawał analizie dróg, jakimi przenikał wpływ doktryny, ani form, jakie przybierał, ważne było samo postawienie problemu, umożliwiało bowiem autorowi ująć doktrynę austromarksizmu „jako jednego z podstawowych czynników wpływających na rozwój ustroju Austrii w latach rewolucyjnych [...] i widzieć w tym rozwoju zwrotne oddziaływanie doktryny na stosunki społeczne”. W latach pięćdziesiątych było to metodologiczne *credo* poważnym wydarzeniem w piśmiennictwie naukowym.

W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku podstawowym kierunkiem badań Marka Sobolewskiego stało się prawo konstytucyjne. Poświęcił mu kilkadziesiąt rozpraw i studiów; prezentował wyniki swych dociekań i przemyśleń na rozlicznych konferencjach i zjazdach naukowych w kraju i za granicą. Interesował się kwestiami najważniejszymi i najżywiej w nauce dyskutowanymi. Pisał o konstytucji PRL, dał znakomity wstęp do konstytucji Republiki Federalnej

Niemiec, badał – z wielorakiej perspektywy – instytucje zachodniej demokracji, rozwijał intensywne wielopłaszczyznowe studia nad prawami i wolnościami obywatelskimi, kierował baczna uwagę na sprawy parlamentaryzmu, poddawał analizie funkcję państwa, problem suwerenności, interesował się systemami wyborczymi i stosunkiem reprezentantów do wyborców, podejmował skomplikowane zagadnienia ratyfikacji umów międzynarodowych i typologii ustrojów świata współczesnego. Obszar jego badań rozpościerał się od Polski i krajów socjalistycznych w Europie po Stany Zjednoczone Ameryki, Maroko i Gwineę.

Badanie splątanych problemów współczesnego konstytucjonalizmu nie osłabiło zainteresowań Marka Sobolewskiego dla historii ustroju i dziejów ideologii. Przeciwnie: uważał, że wielu odpowiedzi na pytania nurtujące konstytucjonalistę czy politologa szukać trzeba właśnie w przeszłości i w naukach o przeszłości. Ukazał to dobitnie w książkach *Reprezentacja w ustroju współczesnych demokracji burżuazyjnych* (1962), *Od Drugiego Cesarstwa do Piątej Republiki. Z dziejów politycznych Francji 1870–1958* (1963) oraz *Zasady demokracji burżuazyjnej* (1969). W każdej z nich u podstawy sądów generalizujących tkwiły rozważania z dziedziny mechaniki władzy, funkcjonowania ideologii oraz dialektyki historycznego rozwoju.

Studia nad instytucjami zachodniej demokracji skierowały baczna uwagę Marka Sobolewskiego na problematykę partii politycznych. Widział w nich ważny faktor tendencji i mechanizmów przenikających współczesne ustroje kapitalistyczne. Już we wstępie do monografii *Od Drugiego Cesarstwa do Piątej Republiki* pisał: „Te dwa problemy: partie polityczne i instytucje prawno-ustrojowe są w mej książce ściśle z sobą sprzęgnięte; stanowią właściwie jeden temat, tak jak w rzeczywistości oba te zjawiska są nierozdzielne”. W 1974 r. ujrzało światło dzienne jedno z najbardziej znanych i najbardziej cenionych dzieł Marka Sobolewskiego: *Partie i systemy partyjne świata kapitalistycznego*, kilkakrotnie wznawiane. Książka pozostaje w zakresie poruszanej tematyki dziełem niemal encyklopedycznym; stanowi dobry przykład mądrze sterowanej erudycji. Jeden z recenzentów stwierdzał: „Uczciwość intelektualna autora, odwaga w atakowaniu trudnych i czasem drażliwych problemów, wszechstronność w ich badaniu i rozważa w rozwiązywaniu pozwoliły [autorowi] poszerzyć pod wieloma względami horyzont wiedzy o partiach i ich systemach”. Po raz pierwszy w literaturze polskiej dokonano w niej wyłożenia teorii partii i zachodnich systemów partyjnych. Pokazano rezultat gruntownych studiów nad historią partii, nad etapami ich historycznego rozwoju. Wywody Marka Sobolewskiego są pionierską w politologii Europy próbą porównawczego ujęcia tych dziejów. Celina Bobińska pisała: „Książka wykazuje charakterystyczne dla Autora zacięcie metodologiczne. Budowana na osi diachronicznej, na kanwie narracji historycznej stanowi styk rozmaitych dziedzin humanistyki. Jest próbą

przedstawienia dziejów partii politycznych krajów o zbliżonym typie i synchronii rozwojowej jako przemian struktur. Wśród historycznych odrębności rozmaitych krajów i czasów autor tropi typologię owych struktur". Tej pracy, jak i innym, towarzyszył rozmach erudycyjny, znanstwo i rzetelne uwzględnienie piśmiennictwa światowego. Uzupełnieniem książki były prezentowane w różnych drobniejszych tekstach wyniki studiów nad zagadnieniami instytucjonalizacji partii politycznych, nad rolą systemów politycznych w kontrolowaniu władzy państwowej, nad programami partii gaullistowskiej i partii centrum we Francji, nad drogą wiodącą partii komitetowej do partii wyborców. W roku 1975 Marek Sobolewski odpowiadał na łamach „Historyki” na pytanie praktycznie bodaj czy nie najtrudniejsze dla badacza: Jak pisać historię partii politycznych?

Marek Sobolewski był jednym z czołowych reprezentantów nauki historii doktryn politycznych i prawnych, i to nie tylko w Polsce. Trudno zresztą specjalnie wydzielać tę dyscyplinę jako przedmiot osobnego zainteresowania autora. Pozostawał on bowiem historykiem idei, historykiem ideologii, znawcą doktryn we wszystkich swoich utworach. Wynikało to m.in. z głoszonego przezeń naukowego *credo*, zakładającego, że idee, koncepcje, teorie, programy są ważnym, a nawet niezbędnym fragmentem społecznej rzeczywistości i nie mogą być usuwane poza pole badania, jeżeli uczony chce ujmować przedmiot swych dociekań integralnie. Nie brak naturalnie w twórczości Marka Sobolewskiego prac, które badaniom doktryn były poświęcone specjalnie. Trwałą wartością pozostają jego drukowane w „Historyce” rozważania nad teorią i metodologią historii doktryn czy drukowane w „Czasopiśmie Prawno-Historycznym” studia nad systematyką współczesnych doktryn politycznych, nad teorią rewolucji czy nad dawną kulturą polityczną i prawną. Najbardziej frapował go liberalizm, w którym widział reprezentatywną ideologię świata kapitalistycznego i w którego hasłach dostrzegał istotne i trwałe elementy w panoramie doktryn współczesności. Syntezą jego wcześniejszych dociekań stała się ogłoszona wspólnie z Barbarą Sobolewską nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego książka *Myśl polityczna XIX i XX wieku. Liberalizm*. Zawierała wykład pojęcia i ewolucji liberalizmu i obszerny wybór tekstów, obrazujący kształt i rozwój tej doktryny. Nikt, kto interesuje się ideową panoramą czasów nowożytnych, nie może – i nie będzie mógł w przyszłości – przejść obojętnie obok ustaleń zawartych w tej książce, w seminaryjny sposób definiującej i dyferencjonującej rozmaite wersje i stadia tej doktryny.

Ważna książka z ważnymi tekstami Marka Sobolewskiego ukazała się w roku 2003. Są to *Pisma nieznanne i rozproszone*. Trzeba było aż dwudziestu lat, które upłynęły od przedwczesnej śmierci autora, by większość z nich mogła zostać ogłoszona drukiem w kraju. Zasługa to uczniów Profesora – Krystyny

Chojnickiej i Michała Jaskólskiego – oraz Wydawnictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, którzy podjęli się przygotowania edycji, zaskarbiając sobie oczywiście naszą wdzięczność. Nader pochlebną recenzję tomu zamieścił Juliusz Bardach w swych wspomnieniach, wydanych przez Wandę Sudnik w 2004 r. (*W obiektywie nauki i w lustrze pamięci. O uczonych, pisarzach i politykach XIX i XX wieku*).

Upływ czasu wypełnionego niezwykle licznymi i doniosłymi wydarzeniami z dziejów narodu i państwa nie zdezaktualizował bowiem spraw, które autor poddawał analizie w wydanym tomie. Przeciwnie: życie nadało jego rozważaniom nową wymowę, wiele jego tez znalazło potwierdzenie, inne wciąż skłaniają do zadumy.

Bo też Marek Sobolewski należał do pierwszych prawników, którzy byli tak znakomitymi znawcami nauk o polityce i historykami idei. Starłem się to podkreślić w swym wspomnieniu o nim, ogłoszonym w dziale „In memoriam” na łamach „Czasopiśma Prawno-Historycznego”. Najszerzej mówiłem o nim, kiedy przed laty zorganizowano na Uniwersytecie Jagiellońskim konferencję poświęconą Konstantemu Grzybowskiemu, którego Marek Sobolewski był najbliższym uczniem, współpracownikiem i przyjacielem. Podkreślałem już wtedy z mocą, że Marek nie był jakimś cieniem swego Mistrza, epigonem; miał twórczy umysł, wykazywał niezależność głoszonych poglądów; był partnerem, który podsuwał propozycje w równej mierze, w jakiej je odbierał. Z pewnością dzielił z Konstantym Grzybowskim rozległe zainteresowania i pasje dla wielu dyscyplin. Był prawnikiem konstytucjonalistą, socjologiem władzy, historykiem ustroju i idei. Burzył administracyjno-biurokratyczne podziały włączone onegdaj do akademickiej tradycji. Dysponował wiedzą, która umożliwiała mu podejmowanie szerokich, nowoczesnych i na międzynarodowej bazie źródeł opartych studiów komparatystycznych. Jego domeną były tematy trudne i ważne, leżące odłogiem, nieraz celowo zaniedbywane. Prowadził – jak wiadomo – ważne poznawczo i użyteczne społecznie prace nad teorią państwa i typologią partii politycznych, bacznie śledził trendy rozwoju w historii idei, należał do znawców zachodnioniemieckiego konstytucjonalizmu, głęboko wnikał w tkankę ustroju Francji i państw strefy francuskich wpływów w Afryce. Był niekwestionowanym autorytetem w dziedzinie badań nad liberalizmem XIX w. i niezrównanym analitykiem kolejnych faz jego odradzania się w XX stuleciu. Jak Konstanty Grzybowski imponował głęboką wiedzą o myśli Drugiej Rzeczypospolitej, ujmując sprawy polskie – obowiązujące w Polsce prawo, dzieje ustroju polskiego oraz historię polskiej myśli społecznej i polityczno-prawnej – na szerokim tle problemów Europy i świata. Na pewno szedł też tą samą drogą co Mistrz, kiedy wyrażał przeświadczenie, iż „idee, koncepcje, teorie, programy są niezbędnym i ważnym fragmentem społecznej rzeczywistości i nie mogą być usuwane poza pole badania, jeżeli uczoney chce ujmować przedmiot swych dociekań integralnie”. Wiemy, że ta ważna konstatacja nie pozostawała ciekawostką bez pokrycia.

Niedawno uczestniczyłem w wieczorze wspomnień o Michale Sczanieckim, zorganizowanym przez Instytut Historii Prawa UW: zastanawialiśmy się tam, jak zmarli przed laty mistrzowie naszych dyscyplin – tacy właśnie jak Konstanty Grzybowski i Michał Sczaniecki – przyjęliby rewolucję 1989 r. i byliśmy zgodni, że witaliby ją jako wyzwolenie, także początek wolności w badaniu. Myślę, że nie może być wątpliwości co do tego, że podobnie widziałby ją i jej następstwa Marek Sobolewski, że podobnie by o nich pisał. To zresztą nie tylko sprawa poglądów, a temperamentu. Marek Sobolewski był mniej impulsywny w wyciąganiu wniosków z badania od Konstantego Grzybowskiego; choć równie logiczny w prowadzeniu pióra wykazywał większy spokój w egzegezie. Marek Sobolewski ukrywał emocje, nawet w tekstach publicystycznych nie odchodził od chłodnej analizy i od narzuconego sobie dystansu. Był ostrożny w formułowaniu wniosków, pytał, zastanawiał się, często stwierdzał, że można tak, ale można też inaczej. Pasjonowała go polityka; wszystko o czym pisał, mieści się w nowocześnie pojmowanych naukach o polityce. I można o nim powiedzieć to, co właściwie odnosi się do nielicznych: Marek Sobolewski był wystarczająco blisko polityki, by o niej wszystko wiedzieć, a zarazem dostatecznie od niej daleki, by o niej pisać z zachowaniem kanonów nauki. Pozostawał uczonym – teoretykiem nauk o polityce zwłaszcza wtedy, kiedy badał zdarzenia, które rozgrywały się na jego oczach; w wir politycznej gry dawał się wciągać tylko w latach wczesnej młodości.

Wydawcy tomu zawarli w nim antologię tekstów Marka Sobolewskiego, a nie postarali się np. o tradycyjną księgę pamiątkową z artykułami uczniów, współpracowników, kolegów. Księga już była w latach osiemdziesiątych (*Idee – państwo – prawo*, pod red. J.M. Majchrowskiego, ZNUJ. Prace z Nauk Politycznych, z. 28, Kraków 1981); wiadomo, że Jacek Majchrowski, który był jej inicjatorem i redaktorem, miał spore kłopoty z doprowadzeniem wydawnictwa do skutku. Największym mankamentem ksiąg jest to, że nie zabiera w nich głosu sam autor-jubilat. Tym razem na szczęście stało się inaczej, w książce pisze Marek Sobolewski, a wszystko inne stanowi tylko niezbędny ornament.

Spróbuję sprostać bynajmniej niełatwej roli oceniającego książkę, której wartość podnosi fakt, że znalazły w niej pomieszczenie – jak głosi tytuł – prace nie tylko nieznanne, bo rozproszone, ale i drukowane po raz pierwszy, zestawione z maszynopisów, czasami nie w pełni jeszcze – jak się wydaje – gotowe do druku, zawierające luki i niedopowiedzenia.

W tomie, podzielonym na trzy części, znalazły się – na początku – ważne i znane studia o konstytucjonalizmie oraz teorii i metodologii historii doktryn politycznych, publikowane w czasopismach naukowych w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Część drugą stanowi tekst przeznaczonej do druku w Państwowym Instytucie Wydawniczymi, ale niepublikowanej, bo zdjętej

przez cenzurę książki, zatytułowanej *Obywatele w stanie wyjątkowym*. Autor Wstępu do tomu, Michał Jaskólski, stwierdza, że rozprawa stanowiła pokłosie działalności autora w Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”. Część trzecia to studium *Granice reformowalności systemu komunistycznego*, napisane w połowie roku 1982 od razu z myślą o publikacji w wydawnictwie bezdebitowym. Ukazało się ono już po śmierci autora, w 1983 r., nakładem niezależnego, choć lokalnego i mniej znanego pisma społeczno-politycznego „Dokumenty i Analizy”. Fragmenty jego publikowały wcześniej krakowskie „Bez dekretu” i „Tygodnik Powszechny”, a także „Kontakt”.

Uwzględnienie w tomie drobnych i wczesnych, ale ważnych tekstów o charakterze metodologicznym uważam za pomysł szczęśliwy. Rozpoczyna je ważna rozprawa o instytucjonalizacji i personalizacji władzy państwowej. Trudny i kontrowersyjny w literaturze światowej problem rozpatruje Marek Sobolewski przez pryzmat teorii organizacji, gdyż tylko ona pozwala – jak przekonywająco dowodzi – przewyciężyć sztywne przeciwstawienie sobie władzy osobistej i zinstytucjonalizowanej. Autor kwestionuje, jakoby można było w odniesieniu do współczesności mówić o kryzysie władzy zinstytucjonalizowanej, przede wszystkim dlatego, że formy organizacyjne państwa wciąż podlegają rozwojowi. I nie stanowi to sprzeczności, albowiem czynnik instytucjonalny i czynnik personalny w systemie władzy nie tworzą przeciwstawnych typów władzy, a elementy, które się wzajemnie uzupełniają.

W innym studium pyta autor o charakter zasady suwerenności ludu: czy jest to zasada prawna, zasada polityczna czy tylko element ideologii ustroju? Autor stoi na stanowisku wieloznaczności samego pojęcia władzy suwerennej.

Aspekty prawnicze usytuowane są w nim na pierwszym planie, umożliwiają bowiem – po pierwsze – uznanie, że nikt nie ma tytułu prawnego do wykonywania zwierzchnictwa nad władzą państwową, po drugie zaś – przyjęcie, że system władzy państwowej to osobny, zamknięty system, niestanowiący części żadnego innego systemu władzy. W konsekwencji suwerenność ludu nie może być oderwana od koncepcji delegacji: suwerenny lud zostaje poddany władzy swoich „agentów”. Jego uprawnienia są trojaki, polegając 1) na prawie wybierania niektórych, ale podstawowych dla państwa organów kierujących (lub mających kierować) działalnością całego aparatu państwowego, 2) na prawie wyrażania swoich opinii o rządzeniu państwem i 3) na prawie współdecydowania z organami państwa w procesie rządzenia. Autor jest kategoryczny tylko wtedy, kiedy stwierdza, że w modelu systemu rządzenia nader rzadko jest wiele miejsca na klasyczne pojęcie władzy suwerennej. Również suwerenność ludu to w praktyce tylko władza do udzielania inwestytury do rządzenia, nie zaś jakaś „pełnia władzy”.

Dobrze się stało, że w antologii znalazły się dwie znakomite i należące do klasyki rozprawy, poświęcone potrzebie historycznego ujmowania zjawisk politycznych i wzajemnemu przenikaniu się ideologii i politycznych decyzji. Pierwsza mówi o tym, jak badanie historyczne kształtuje warsztat politologa, a także o tym, jak badania politologiczne mogą poszerzać horyzonty historyka ustroju i historyka idei. Druga stanowi ciekawy przegląd systemów politycznych, w których ideologizacja polityki występowała ze szczególną siłą, i w których charyzmatyczni przywódcy byli jednocześnie eksponentami pewnych ideologii lub przynajmniej symbolem tych ideologii, ideologii, które miały do odegrania kilka podstawowych funkcji: funkcję legitymacyjną, funkcję hamulca ograniczającego swobodę manewru podejmowania decyzji oraz funkcję motywacyjną w ich podejmowaniu. Autor doskonale wie, że o przykłady decyzji politycznych motywowanych wyłącznie zasadami ideowymi jest niezwykle trudno w systemach „negatywnych”. Inaczej jest tylko w systemach liberalnych.

Wykładu liberalizmu w antologii zabraknąć nie mogło, gdyż Marek Sobolewski był jednym z największych znawców tego nurtu. Wnikliwa analiza jego dziejów prowadziła go do wniosku, że współczesny liberalizm – a był nim liberalizm czasów Waltera Lippmanna, liberalizm lat siedemdziesiątych – nie uległ fundamentalnej przemianie, jest jednak – zarówno jako ruch polityczny, jak i doktryna polityczna – mimo zasadniczych cech wspólnych – fenomenem mocno zróżnicowanym, który wymaga intensywnych kompleksowych badań.

Postulat badania panoramy idei i konfliktów ideowych XX stulecia zaczął Marek Sobolewski urzeczywistniać w dwóch znakomitych tekstach, które musiały znaleźć się w książce. To rozważania o niektórych problemach teorii i metodologii historii doktryn politycznych, drukowane kiedyś w „Historyce” oraz synteza historii doktryn politycznych trzech ćwierćwieczy ubiegłego stulecia, po raz pierwszy opublikowana na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego”. W pierwszym studium autor zajął się – na bazie gruntownej analizy źródeł – m.in. skomplikowanym problemem powtarzalności niektórych wątków doktrynalnych i wpływem idei na praktykę ustrojową oraz ich upowszechnianiem w tkance społeczno-ustrojowej. Domagał się badań nad zmiennością poszczególnych haseł w obliczu przeobrażeń politycznych. Nie obiecywał zresztą łatwego sukcesu; podkreślał, że rozważania o wpływie doktryn na praktykę muszą pozostać otwarte dla intuicji, jako że wszelkie próby nadania im empirycznej ścisłości są ryzykowne i często zawodzą. Był zwolennikiem historii idei, w której jest miejsce dla refleksji psychologicznej, socjologicznej i filozoficznej. Nie lekcewał też korzyści, jakie dawał – w ograniczonym zakresie – marksizm: oczywiście nie jako światopogląd czy trybut płacony za możliwość publicznego zabierania głosu, a jako metoda pomagająca ujmować zjawiska społeczne globalnie. Pokazał to w próbie systematyki współczesnych

doktryn politycznych, o której przed chwilą wspomniałem, najlepszej, jaka – w moim przekonaniu – została napisana w latach siedemdziesiątych.

Drugą i zasadniczą, i zarazem najobszerniejszą pracą, wypełniającą wydany tom napisał Marek Sobolewski jako socjolog władzy, teoretyk kultury politycznej, badacz demokracji w ustroju współczesnej Polski. Pierwsze jej rozdziały, poświęcone teorii kultury politycznej i tradycji, pochodzą – jak się zdaje – z lat siedemdziesiątych i we fragmentach były prezentowane na konferencjach naukowych, a nawet publikowane. Część główna, obejmująca współczesność, jest odpowiedzią badacza na wydarzenia sierpniowe 1980 r. i – jak wspomniałem wyżej – zaledwie w niewielkiej części doczekała się dotąd druku w wydawnictwach bezdebitowych. Ostatnie strony monografii, wydane już pośmiertnie, noszą tytuł *Obywatele w stanie wyjątkowym*; tytułem tym objęli wydawcy całą część II edycji, słusznie przyjmując, że stan wojenny w Polsce był najważniejszym impulsem dla wykładu, w którym autor ani przez chwilę nie przestał być uczonym, na gorące i przełomowe przeobrażenia spoglądającym z dystansu i powściągającym emocje, badającym polską rzeczywistość czasu wielkiego przełomu przez pryzmat kultury politycznej i w oparciu o metodę G. Almonda, którego cenił niezwykle wysoko.

Autor stawia pytania, mnóstwo pytań. Pyta m.in. o to, czy jesteśmy społeczeństwem raczej aktywnym politycznie, czy raczej biernym, aktywizującym się tylko wyjątkowo i na krótko? Jak to jest z rzekomym polskim anarchizmem i opozycją wobec władzy państwowej jako zasadą wypływającą z charakteru narodowego Polaków? Czego można spodziewać się, a czego spodziewać się nie należy po polskim patriotyzmie? Jak jesteśmy przygotowani do demokracji? Jakiego rodzaju rządów muszą natrafić w polskim społeczeństwie na szczególnie opór?

Teza Marka Sobolewskiego brzmi: „Polska kultura polityczna tworzy szczególnie złe warunki dla ustroju totalitarnej dyktatury i wszystkich jego »słabszych« odmian, zwłaszcza jeżeli mają one narodowo podejrzaną legitymację. Polacy reagują nieprzychylnie na ograniczanie ich wolności indywidualnych, zwłaszcza zaś wolności słowa. Polską kulturę polityczną cechuje zamiłowanie do krytyki władzy, trudno poddające się hamulcom. Władza ograniczająca wolność staje się niepopularna i wyalienowana [...]”. Ale – jak podkreśla Marek Sobolewski – orientacje i postawy społeczeństwa polskiego nie są korzystne także dla systemu kapitalistycznego, opartego na idei konkurencji, osobistych osiągnięć i ryzyka, nierówności i przywilejów majątkowych. W pewnej mierze są one nawet bardziej „funkcjonalne” wobec ustroju socjalistycznego, ponieważ ten dopuszcza w ograniczonym zakresie drobną gospodarkę indywidualną i ma silne akcenty spółdzielcze. „Sądzę” – pisze Marek Sobolewski – „że socjalizm legitymuje się w oczach społeczeństwa głównie dwoma ideałami – dobrobytu

indywidualnego i sprawiedliwości społecznej. Jeśli w dłuższej perspektywie czasu system socjalistycznej gospodarki nie będzie w stanie zrealizować tych dwóch zespołów orientacji – żadna inna wartość nie będzie go dłużej bronić”. Pewne możliwości konfliktu wartości i postaw między różnymi grupami społecznymi występują u nas – jego zdaniem – na tym właśnie obszarze.

Odpowiadając na pozostałe pytania, Marek Sobolewski stwierdza, że jesteśmy społeczeństwem o średnim, czyli normalnym stopniu upolitycznienia, posiadającym wszakże „dużą zdolność do znacznego aktywizowania się w wyjątkowych warunkach kryzysu politycznego”. Wówczas wskaźniki upolitycznienia wzrastają. Kiedy zaś władza narzuca Polakom obce im formy życia politycznego, społeczeństwo zamyka się w skorupie obojętności, a gotowość do politycznej aktywności maleje, by powiększyć się ponownie w sprzyjających okolicznościach. Autor pisze: „Indywidualizm Polaków, głęboko zakorzeniona kultura wolności dyskusji i krytyki powodują, że są społeczeństwem trudnym do rządzenia. Fakt, że od wielu pokoleń władza państwowa nie chciała lub nie umiała uzyskać należytego zaufania ludności, powoduje, że postawa większości społeczeństwa wydaje się anarchiczna. Brak posłuszeństwa i dyscypliny nie jest jednak, po większej części, cechą charakteru narodowego; jest następstwem charakteru władzy rządzącej. Polacy długo są gotowi obdarzać władzę kredytem zaufania (lub przynajmniej lojalności) i nie od razu manifestują obywatelskie nieposłuszeństwo. Właściwości, które ujawniły się dotąd tylko w szczególnych okazjach stanu wyjątkowego, takie jak zdolność do tworzenia spontanicznej organizacji, pomysłowość i energia działania, wysoka świadoma dyscyplina i solidarność, objawiają się w Polsce zawsze wtedy, gdy pęka gorset krępujący swobodę ruchów społeczeństwa. Nie są to więc właściwości wyjątkowe, ale wyjątkowe były dotąd tylko okazje pozwalające na ich ujawnianie”. Innymi słowy: Polacy mają właściwości obywatelskie, są wyczuleni na sprawy narodowe, ale ujawnić je mieli dotąd okazje tylko sporadycznie, w stanie wyjątkowym. Patriotyzm ten zresztą nie odzwierciedla się w stosunku Polaków do pracy, nie rzutuje na cały ten wielki obszar stosunków wewnętrznych, na którym ujawnia się wielość społecznych interesów.

Doskonale rozumiejąc znaczenie przełomu roku 1980, Marek Sobolewski daleki był od absolutyzowania powstałej perspektywy. Demokracja, powołanie władzy opartej na społecznym zaufaniu, nie rozwiążą spraw polskich ani automatycznie, ani definitywnie. Demokracja jest ścieraniem się postaw i poglądów, kompromisem, a nie harmonią interesów. Demokracji należy się uczyć, jej ustabilizowanie wymaga czasu. Trzeba długotrwałego wysiłku, by w społeczeństwie zwyciężyły te postawy i te orientacje, które odpowiadają wyobrażeniom kultury obywatelskiej. Pojawiła się „wielka szansa, ale tylko szansa” – pisze Marek Sobolewski. Dla jej urzeczywistnienia trzeba demokratyzacji istniejącego

ustroju. Zdaniem autora osiągnięcie postępu na tej drodze nie było niemożliwe, jako że mechanizm ustrojowy realnego socjalizmu uważał on za reformowalny, tyle że „w określonych granicach, na tyle jednak szerokich, że przynajmniej teoretycznie pozostawiających znaczny margines dla eksperymentowania”.

Tej ostatniej kwestii – fundamentalnej – poświęcił Marek Sobolewski – swą rozprawę pt. *O granicach reformowalności systemu komunistycznego*, stanowiącą część III recenzowanego tomu. Praca, której pierwodruk – jak już o tym była mowa wyżej – ukazał się w drugim obiegu w roku 1983 – nosi już znamiona szerszych dyskusji posierpniowych, i nie mam wątpliwości, że wnosi do tych dyskusji wiele nowych wątków. Autor mówi już o zasadniczej niereformowalności systemu, zastrzegając się, że niereformowalny nie znaczy niezmienny. Niereformowalność systemu w mniejszym stopniu dotyczy gospodarki, w pełni natomiast odnosi się do zasad konstytucyjnych reżimu, w tym przede wszystkim do nienaruszalności zasady wyłącznej władzy aparatu komunistycznej biurokracji, ukrytej za regułą kierowniczej roli partii, a w konsekwencji tego za wrogością wobec demokracji. „Demokracji czy demokratyzacji – pisze – w ramach systemu nie da się wynegocjować, mechanizmy systemu nie pozwalają na dobrowolną demokratyzację”. Czyli: system komunistyczny nie jest zdolny do demokratyzacji. Opcja na rzecz dyktatury wyniknęła w historii bolszewizmu z chęci utrzymania władzy, niezależnie od tego, czy było to wywołane osobistym interesem grupy rządzącej, przywiązaniem do władzy jako wartości samej w sobie, autotelicznej, czy ideowym złudzeniem, że tylko w ten sposób można zrealizować ideał komunistycznej wolności w przyszłości. Marek Sobolewski przypominał, że żaden z przywódców bolszewickich nie był demokratą z przekonania i żadne kierownictwo partii komunistycznej nie rezygnowało z przyciągania do aparatu elementu negatywnego. Przyciągały ich uwagę charakter partii i jej zasady taktyczne: bezwzględność w realizowaniu celów, faktyczne hołdowanie zasadzie, że cel uświęca środki, gotowość posługiwania się ludźmi i metodami najbardziej moralnie odpychającymi, spora obojętność na koszty rewolucji nieposzanowanie reguł prawa i moralności, swoista dwulicowa „filozofia polityczna”, centralizm partyjny itp.

Na koniec refleksja pochwalna i zarazem smutna. Diagnozy i prognozy Marka Sobolewskiego zachowały aktualność w nauce, a wiele z nich sprawdziło się w praktyce społecznej po 1989 r. Aktualną pozostaje zjawisko określane za Stefanem Nowakiem mianem „próżni socjologicznej”. Nie zmieniło się, a nawet pogłębiło zamykanie się Polaków w „małych społeczeństwach”. Pozostała nieufność w stosunku do państwa, pod adresem którego kieruje się żądania, których nie spełniło państwo w minionej epoce, które wciąż wydaje się – jak określa to Szacki – „anonimową potęgą, od której w istocie wszystko ostatecznie zależy i od której lepiej trzymać się z daleka”. Nie zmienił się – *grosso modo* –

konterfekt naszych elit, który jak w wizerunku PRL kreślonym przez Marka Sobolewskiego pozostał „ciemny”; nie spełnia oczekiwań parlament, który był dla Marka Sobolewskiego – konstytucjonalisty gwarantem procesów demokratyzacyjnych. Nie będę tego wyliczenia kontynuował.

Książka, która z ponaddwudziestoletnim opóźnieniem dotarła do naszych rąk, była i pozostała do dziś ważnym wydarzeniem naukowym, jednym z najważniejszych w nie tak przecież długiej historii nauk o polityce, nie tylko w Polsce. Juliusz Bardach pisze o niej w antologii *W obiektywie nauki i w lustrze pamięci* (2011), że „pozwała ona lepiej docenić wartości, dojrzałość i bogactwo myśli badawczej, stylu i niezależności tego wybitnego reprezentanta krakowskiej szkoły historii doktryn, stosunków społecznych i politycznych i konstytucjonalizmu”. Nic dodać, nic ująć.

Eleonora Szembel



O funkcjonowaniu Uniwersytetu i jego wydziałów decydują nie tylko profesorowie i asystenci. Sprawne działanie Uniwersytetu to także rezultat ofiarnej pracy licznych komórek administracji i obsługi. Szczególne znaczenie przypadało tu sekretariatom wydziałów, w których odbywał się codzienny kontakt studenta z uczelnią. W dobiegającej stu lat historii mojego macierzystego Wydziału Prawa przewinęło się wiele osób o niezapomnianych zasługach. Pragnę krótko powiedzieć o tej z nich, która odcisnęła się najsilniej w mojej pamięci. To Eleonora Szembel. Znał ją każdy przychodzący na studia prawnicze i każdy, kto je kończył w latach międzywojnia, i każdy, kto studiował prawo w pierwszym dwudziestoleciu po wojnie. I ona znała każdego. Była instytucją, traktowaliśmy ją jak kogoś, kto się utożsamia z Uczelnią i Wydziałem, jak ktoś, kto reprezentuje ducha Uniwersytetu.

Eleonora Szembel miała trudne dzieciństwo i trudną młodość. Urodziła się 25 marca 1901 r. w Tule w Związku Radzieckim. Ojca straciła, gdy miała siedem lat. Po jego śmierci osiedliła się z matką w Mińsku Litewskim, gdzie w 1919 r. otrzymała świadectwo dojrzałości po ukończeniu ośmioklasowego gimnazjum humanistycznego im. Emilii Plater. O tym, że należała do dobrych uczennic, świadczy świadectwo dojrzałości. Świadectwo to Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego decyzją z dnia 14 czerwca 1929 r. uznało za równoznaczne z maturą państwowej humanistycznej szkoły średniej. Mińsk Litewski Eleonora Szembel opuściła w roku 1920, przenosząc się z matką do Poznania, gdzie rok później rozpoczęła studia polonistyczne na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Poznańskiego. Nie ukończyła ich jednak z powodu ciężkiej sytuacji materialnej w rodzinie. Pozostała pasja do pisania wierszy. Zmuszona do podjęcia pracy zarobkowej, przyjęła stanowisko sekretarki dziekanatu Wydziału Prawno-Ekonomicznego UP. Pracowała w tym charakterze do

O d p i s

1918 - 19. Q.f.f.q.s.

Rada Pedagogiczna 8-klasowego Gimnazjum Żeńskiego imienia Emilji Platerówny w Mińsku Litewskim zaświadcza niniejszym, że SZEMBELÓWNA ELEONORA wyznania rzymsko-katolickiego, urodzona dn. ... r. ... w miejscowości w Tule wstąpiła do klasy rzeczonoego Gimnazjum na podstawie świadectwa z VI klas, 8-mioklas. szkoły żeńskiej P.T.P.O.W. w Mińsku. Przez czas swego pobytu w Gimnazjum im. Emilji Platerówny Szembelówna Eleonora sprawowała się wzorowo. Z przedstawionych przez nią świadectw szkolnych jest widoczne, że przed wstąpieniem do rzeczonoego Gimnazjum sprawowała się wzorowo. W dniach od - maja do - czerwca r. 1919 Szembelówna Eleonora zdawała w Gimnazjum imienia Emilji Platerówny, wobec wyznaczonych do tego komisji egzaminacyjnych, egzaminy dojrzałości. Przez czas swego pobytu w szkole oraz na egzamin dojrzałości Szembelówna Eleonora wykazała poniższe postępy :

Religia	5 (Celujaco)	!Przyroda.....	5 (Celujaco)
Język Polski.....	5 (Celujaco)	!Fizyka.....	5 (Celujaco)
" Rosyjski.....	5 (Celujaco)	!Chemja.....	5 (Celujaco)
" Francuski.....	5 (Celujaco)	!Historja Polski....	5 (Celujaco)
" Niemiecki.....	5 (Celujaco)	!Historja Powszechna	5 (Celujaco)
" Łaciński.....	5 (Celujaco)	!Geografia	5 (Celujaco)
Arytmetyka.....	5 (Celujaco)	!Pedagogika.....	5 (Celujaco)
Algebra.....	5 (Celujaco)	!Psychologia.....	5 (Celujaco)
Geometria.....	5 (Celujaco)	!Ekonomja Polityczna	-
Trygonometria.....	5 (Celujaco)	!	!

Na podstawie powyższego, Rada Pedagogiczna 8-klasowego Gimnazjum Żeńskiego imienia Emilji Platerówny w Mińsku Litewskim przyznała i uchwaliła wydać Szembelównie Eleonorze niniejszy

P A T E N T D O J R Z A Ł O Ś C I .

Rada Pedagogiczna
(podpisy) za Przełożoną
Członkowie
(podpisy)

Mińsk Lit. dn. 22go sierpnia
1919 r.
Nr 4 Pieczęć z napisem w otok
"Dyrekcja Szkoły Żeńskiej
Polskiej im. Emilji Plater"

Rada Szkolna
Prezes (podpis nieczytelny)
Członkowie



Sekretariat
Uniwersytetu Poznańskiego

Zgodność odpisu z oryginałem poświadczam:

Poznań, dn. 26.8.19

Kierownik Sekretariatu
Uniwersytetu Poznańskiego

Archiwum Uniwersytetu im. A. Mickiewicza stwierdza,
że niniejsza foto-kserokopia, wydana została
z aut. sygn. AUAM ... 263 / 122
Ważność prawa ...

wybuchu wojny, zrazu jako „prowizoryczny urzędnik”, od 1932 r. – jako „urzędnik stały”. Wojnę i okupację przeżyła w Poznaniu, poddawana – jak wielu – różnym represjom ze strony okupanta. W 1940 r. zaczęła pracować jako „domowa klejarka torebek papierowych i kopert”. Wyszczepizowawszy się w tej pracy, dostała się – już w charakterze robotnicy stałej do Drukarni Ziółkowskiego, późniejszej firmy „Pohl & Lucht”. Jesienią 1944 r. została wyznaczona do kopania rowów dla zbliżającego się frontu, pracując ciężko w różnych miejscowościach „Kraju Warty”. Nadejście Armii Czerwonej zastało ją w Poznaniu. Niezwłocznie po zakończeniu oblężenia zgłosiła się do pracy w dziekanacie Wydziału Prawa. Brała najczynniejszy udział w przywracaniu Wydziałowi możliwości podjęcia normalnej działalności. Jak wielu powracających do swych obowiązków profesorów i asystentów uczestniczyła w odbudowie księgozbiorów, odgruzowywała korytarze przyznanych Uniwersytetowi gmachów, organizowała pracę sekretariatu

Jako bezpośredni zwierzchnik młodzieży w zakresie spraw administracyjnych była stanowcza, a nawet groźna, ale wszyscy wiedzieli, że ma złote serce. Dla studentów była prawdziwą matką, mogli liczyć na życzliwą pomoc, ilekroć znaleźli się w tarapatach. Pracowała do późnych godzin wieczornych, niczym mrówka (przyłgnął do niej przydomek „biedronka”), mając do pomocy przez długie lata do pomocy tylko jedną koleżankę (którą była równie znakomita Aleksandra Ryxówna). Była prawą ręką wszystkich kolejnych dziekanów, którzy też wystawiali jej najlepsze referencje, z których tylko niektóre przechowywane są dziś w Archiwum UAM. Jej obecność w dziejach Wydziału potwierdzano we wspomnieniach profesorów i pamiętnikach absolwentów. Cytowano pisane przez nią wiersze.

Jerzy Walachowicz



Był profesorem zwyczajnym nauk prawnych, wieloletnim kierownikiem Katedry Historii Ustroju Państwa na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, badaczem ustroju późnego średniowiecza, zasłużonym działaczem społecznym. Odszedł 11 września 2014 r., w trakcie realizowania ambitnych planów naukowych, z dala od zgiełku uczelnianej codzienności, niespodziewanie. Jego śmierć była dla nas i dla Uniwersytetu wielką stratą.

Jerzy Walachowicz przez całe życie czuł się związany z Poznaniem. W Poznaniu się urodził w 1932 r. i przemierzał kolejne etapy swej naukowej drogi; pracował tu po osiągnięciu wieku emerytalnego; tylko w ostatnich latach dojeżdżał do Szczecina, by na tamtejszym Uniwersytecie wykładać powszechną historię państwa i prawa. Nie krył dumy ze swych robotniczych korzeni; dojrzał w klimacie patriotyzmu i tradycji katolickich. Jego ojciec był żołnierzem kampanii wrześniowej i zginął w ostatnich dniach wojny w czasie wyzwolenia Poznania. Dla matki Marii (zd. Grzelak), córek Marii i Barbary oraz młodszego brata Tadeusza, późniejszego księdza i profesora prawa kanonicznego oraz historii ustroju, Jerzy długo był najpewniejszym oparciem.

W roku 1951 Jerzy Walachowicz podjął studia prawnicze na Uniwersytecie Poznańskim. Miał szczęście, bo na wzorowego studenta rychło zwrócił uwagę prof. Michał Sczaniecki, wielki uczony i wspaniały człowiek. Jerzy Walachowicz stał się pierwszą postacią seminarium prowadzonego przez Mistrza, przewodniczył kołu naukowemu przy Zespole Katedr Historyczno-Prawnych, stawał się badaczem. Mistrz zastępował mu ojca. Po zakończeniu studiów, w 1955 r., został zatrudniony jako asystent w Katedrze Powszechnej Historii Państwa i Prawa. W 1961 r. doktoryzował się na podstawie rozprawy *Monopole księżęce w skarbowości wczesnofeudalnej Pomorza Zachodniego*. Praca została opubli-

kowana dwa lata później w serii „Prace Komisji Historycznej Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk”. W roku 1970 habilitował się. Podstawą przewodu była rozprawa *Landwójtostwo na Pomorzu Zachodnim. Kształtowanie się zarządu terytorialnego w dobie pokaszteleńskiej*, wydana przez Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w 1969 r. Po opublikowaniu w 1980 r. książki *Geneza i ustrój polityczny Nowej Marchii do początków XIV wieku* (ogłoszonej w serii Komisji Historycznej PTPN), ale także po przedłożeniu długiej listy drobniejszych, choć ciekawych poznawczo tekstów Jerzy Walachowicz został profesorem, wprawdzie nadzwyczajnym (1984), potem zwyczajnym (1993).

Profesor Jerzy Walachowicz należał do osobowości szczerze wyposażonych w przymioty potrzebne w pracy na Uniwersytecie; to one skierowały nań przyjazną uwagę i sympatię środowiska. Był człowiekiem prawym, łagodnym, cichym i skromnym, wręcz nieśmiałym. Oszczędnie oceniał swe osiągnięcia i zawsze z pewnym ociąganiem się wręczał kolegom nadbitki świeżo publikowanych prac. Był życzliwy ludziom, niezmiennie gotowy im pomagać, a jednocześnie wymagającym, szczególnie wobec siebie samego. Szanował studentów i starannie przygotowywał się do każdego wykładu i seminarium. Kierował katedrą metodami perswazyjnymi, nigdy w sposób władczy. Bronił wartości zastanych: rodziny, religii i Kościoła, uczciwości w polityce i niezmiennie czynił to z wielkim taktem, bez zaciętrzewiania się. Cenił hierarchię wiedzy: dowody lojalności i więzi łączące go ze środowiskiem najbardziej wyraziście przekazał w biografii Michała Sczanieckiego (w serii „Magistri nostri”) oraz we wspomnieniach o późniejszych współpracownikach w Zespole Katedr: Witoldzie Maislu i Bogdanie Lesińskim. Ujmował otoczenie nieco staromodnym stylem bycia: niechętnie prowadził samochód, rzadko posługiwał się techniką elektroniczną, unikał przesady w korzystaniu z uroków życia towarzyskiego. Oczywiście poczucie służby nie pozwalało mu uchylać się od działalności organizacyjnej i społecznej. Bywał opiekunem grup studenckich, uczestniczył w egzaminach wstępnych na studia, działał w radach pedagogicznych, pełnił funkcję prodziekana, był aktywnym członkiem Polskiego Towarzystwa Historycznego, angażował się w działalność Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Przez lata całe służył mieszkańcom swojej dzielnicy, podpoznańskich Smochowic, pełniąc społecznie funkcję przewodniczącego lokalnego samorządu. Był inicjatorem i organizatorem Ogólnopolskiego Zjazdu Historyków Prawa, który w 2004 r. odbył się w Szczecinie i obejmował problematykę podstaw materialnych państwa. Było czymś znamiennym, że nie wyraził zgody na to, by na okładce opasłego tomu z materiałami zjazdu figurowało jego nazwisko. Wyszedł z założenia, że jego osobisty wkład w redagowanie książki był zbyt nikły; tę satysfakcję zostawiał uczniom, którzy mu pomagali. Pamiętamy natomiast dobrze, jak z zażenowaniem i wzruszeniem odbierał w 2002 r. dedykowany mu przez sro-

dowisko historyków prawa z okazji siedemdziesiątej rocznicy urodzin i 45-lecia pracy naukowej tom *Studia z historii ustroju i prawa*.

Najwięcej pozostawił Jerzy Walachowicz po sobie jako badacz. Badanie było jego pasją. Pisał i publikował nie dla stopni i tytułów; tworzył, bo był ciekaw odpowiedzi na stawiane pytania badawcze, dociekał prawdy. W procesie tworzenia najwyraźniej ujawniały się rzetelność jego warsztatu, świeżość metodologiczna, perfekcyjna znajomość źródeł i poczucie odpowiedzialności za słowo. Autor lokował swe teksty w renomowanych periodykach; pisał dla „Słownika Starożytności Słowiańskich”, „Studiów Źródłoznawczych”, „Studiów i Materiałów do Dziejów Wielkopolski i Pomorza”. „Przeglądu Zachodniopomorskiego”, najczęściej do „Czasopisma Prawno-Historycznego”, z którym czuł się najbliżej i najtrwalej związany. W jego bibliografii figurują obok siebie prawie wszystkie gatunki naukowej prozy: monografie łączące dociekanie analityczne z ujęciem syntetyzującym, wydawnictwa źródeł, studia i rozprawy, ułożone w czasopiśmie i pracach zbiorowych, teksty krytyczne, materiały obrazujące ruch naukowy, podręczniki akademickie i skrypty, pisane – w różnej wersji – we współpracy z koleżankami i kolegami z Zespołu Katedr: Ewa Borkowską-Bagieńską, Krystyną Sikorską-Dzięgielewską, Bogdanem Lesińskim i Krzysztofem Krasowskim. Wiele artykułów ogłaszał w księgach pamiątkowych dedykowanych mistrzom, kolegom, przyjaciółom.

Imponuje tematyka prowadzonych przezeń badań. Jerzy Walachowicz był przede wszystkim badaczem dziejów Pomorza Zachodniego, Ziemi Lubuskiej, Nowej Marchii w wiekach średnich. Ten wątek przewija się konsekwentnie przez całą bibliografię jego tekstów. Był kontynuatorem badań swych poprzedników, reprezentantów poznańskiej szkoły historii prawa – Zygmunta Wojciechowskiego, który kładł podwaliny pod koncepcję ziem macierzystych Polski nad Odrą i Bałtykiem, Józefa Matuszewskiego, Zdzisława Kaczmarczyka, badaczy średniowiecznego Śląska i ziem Słowian Zachodnich, no i Michała Szczanieckiego, który jako pierwszy włączył do nauki średniowieczne dzieje Pomorza Zachodniego i Ziemi Lubuskiej. Debiutował obszerną rozprawą o rozwoju immunitetu sądowego na Pomorzu Zachodnim w XII i XIII w., po czym zajął się monopolami książęcymi w skarbowości tego regionu i kształtowaniem się zarządu terytorialnego w dobie pokaszteleńskiej, potem wpływami Brandenburskiej na ustrój Pomorza Zachodniego i ustrojem Nowej Marchii. Podjął sporne zagadnienie przywilejów grodowych na ziemiach zaodrzańskich do XIV w. i badał podziały dynastyczne na Pomorzu Zachodnim w czasach Askańczyków i Wittelsbachów. Poddawał wnikliwej analizie organizację i polityczne znaczenie biskupstwa zachodniopomorskiego i charakteryzował Żywoty św. Ottona jako ważne źródło do dziejów społeczeństwa i państwa Polski Północno-Zachodniej w średniowieczu. Uważnie śledził relacje między księciem a stanami

w okresie Gryffitów oraz lokacje miast w dobie askańskiej. Wciąż wracał do przywilejów, jakie uzyskiwało społeczeństwo zachodniopomorskie, i do danin, jakie musiało płacić; pisał o salinach i solarzach, o młynnem i biskupiej dziesięcinie. Dawał rozbiór instytucji sołectwa i starostwa, wnikał w pracę mennicy, w funkcjonowanie urzędu margrabiego i w organizację zwierzchnictwa terytorialnego biskupów w Kamieniu Pomorskim. Żaden badacz nie będzie mógł w przyszłości przejść obojętnie obok tych ustaleń, jakie poczynił Jerzy Walachowicz, mimo że jego pionierskie studia nad ważnymi dziejami ustroju społecznego i politycznego średniowiecznego Pomorza nie zostały niestety zamknięte w książkowej syntezie. Posiadają one wartość trwałą, podobnie jak posiadają ją wnikliwe recenzje, które autor pisał na marginesie prac polskich i niemieckich autorów, traktujące o średniowieczu w ustroju Pomorza Zachodniego, Ziemi Lubuskiej i Brandenburgii.

Zygmunt Wojciechowski



I

Sławnego profesora Zygmunta Wojciechowskiego poznałem w październiku 1950 r., kiedy rozpocząłem studia. Wykładał na pierwszym roku historię państwa i prawa polskiego. Nie był dobrym wykładowcą; opowiadał o postawianiu państwa Piastów, o Thietmarze i „Dagome iudex”, wciąż wracał do przesieki, jaką Krzywousty zbudował przeciwko Niemcom pod Lesznem. Chorował już; mówił cichym głosem, z trudem łapiąc oddech i raczej nie interesował się tym, czy szczerlnie wypełniający salę XVII Collegium Minus pierwszorzoczniacy go słuchają czy nie. Zresztą wykłady często albo wypadały, albo prowadził je w zastępstwie dr Stefan Weyman, uczeń Wojciechowskiego, adiunkt w katedrze, później dyrektor Biblioteki Polskiej Akademii Nauk w Kórniku. Odmienionego Profesora zobaczyłem, kiedy dane mi było znaleźć się na studium drugiego stopnia. W małym gronie mówił fascynująco. Nie trzymał się jakiejś systematyki; opowiadał o tym, co go w danej chwili frapowało, po prostu uchylał furtkę prowadzącą w warsztat. Cieszył się wielkim autorytetem; kiedy zadzwonił portier, że pod gmach Collegium Philosophicum przy ul. Matejki 48/49, w którym na drugim piętrze zajmowaliśmy kilka pomieszczeń, przyjechał Wojciechowski, jego uczniowie Zdzisław Kaczmarczyk, Józef Matuszewski i Michał Szczaniecki (nie mówiąc o młodszych) w te pędy zbiegali po schodach, by wysłuchać instrukcji od szefa. Zdumiewały – magiczna siła, jaka w nim drzemała, dar przewodzenia, poczucie odpowiedzialności za innych, wielka dla nich życzliwość. Rzec można – charyzmatyczny przywódca. Każdy z nas mu coś zawdzięczał. Był recenzentem mojej pracy magisterskiej, zaprosił do dyskusji nad jej tezami badaczy z bratniego Wydziału Filologicznego, zabierał głos w dyskusji nad koncepcją mego doktoratu (pracy kandydackiej), interesował się moją sytuacją materialną. Jako najmłodszy pracownik w Zespole Katedr Historyczno-Praw-

nych na Wydziale Prawa UP wręczałem mu kwiaty w czasie jubileuszu trzydziestolecia pracy twórczej i dziesięciolecia Instytutu Zachodniego. Wkrótce potem nieoczekiwanie dla nas zmarł. Miałem wrażenie, że pół Polski uczestniczy w pogrzebie.

Pragnę podzielić się garścią refleksji, jakie mi się nasunęły w czasie studiów nad życiem i twórczością tej niezwykle barwnej osobowości. Zygmunt Wojciechowski przez trzydzieści lat był profesorem Wydziału, który na swoją dyscyplinę, na całą polską humanistykę wywierał wielki wpływ, a jednocześnie z pasją uczestniczył w życiu publicznym. W ostatniej dekadzie przed wojną i w ciągu pierwszego dziesięciolecia po roku 1945 należał do najbardziej rozpoznawalnych i znaczących postaci w poznańskim środowisku. Napisano już o nim wiele tekstów, ale nie wyczerpują one wszystkich znamion dobrej biografii i w niejednym przypadku zawierają tezy kontrowersyjne, jak kontrowersyjny był on sam. Moje kompetencje do podjęcia tematu są skromne, ale poświadczają bliskość: Byłem uczniem najstarszego ucznia profesora, czyli uważałem się za jego naukowego wnuka. Jestem kawalerem Medalu Oswalda Balzera, ofiarowanego temu wielkiemu historykowi prawa przez społeczeństwo Lwowa i pośmiertnie przekazanego przez rodzinę Wojciechowskiemu, który z kolei kazał wybić trzy kopie z brązu celem wyróżnienia nim badaczy mających osiągnięcia w badaniach nad ustrojem i historią stosunków polsko-niemieckich. W 1948 r. Wojciechowski założył „Czasopismo Prawno-Historyczne”, w redakcji którego pracuję od ponad już 50 lat. Od czasu do czasu pisałem o nim drobne teksty, nigdy zresztą nie wyrzekając się zamiaru napisania większej biografii naukowej. W obecnym składzie Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza nie ma już nikogo, kto by go osobiście znał i pamiętał.

Wojciechowski był historykiem, który z pasją uczestniczył w polityce i wykazywał nieprzeciętny talent organizatora życia zarówno naukowego, jak i publicznego. Taką odpowiedź na pytanie, kim był, formułują w zasadzie wszyscy jego biografowie. Działalność twórcza, aktywność na niwie politycznej oraz sukcesy w pracy organizatorskiej funkcjonowały u niego w myśl prawa o naczyniach połączonych, były elementem współkonstituującym jego sylwetkę uczonego i obywatela, sąsiadowały w niej, wzajemnie się przenikały i uzupełniały. Szedł w tym śladem niejednego klasyka historiografii polskiej, z Joachimem Lelewelem i Michałem Bobrzyńskim na czele. Bogata twórczość Zygmunta Wojciechowskiego wciąż jeszcze może być przedmiotem naukowego badania, mimo że Andrzej Feliks Grabski w swej znakomitej charakterystyce koncepcji macierzystych ziem Polski i autora *Zygmunta Starego* oraz niemiecki badacz Markus Krzoska, którego gruntowna biografia pisarstwa Wojciechowskiego wywołała w naszym kraju ożywioną dyskusję, dokonali w tym zakresie istotnego postępu.

Wojciechowski był historykiem i politykiem. Pytanie zatem, jakie stawiano w literaturze już wiele razy, brzmi: czy zafascynowanie polityką i zobowiązania natury politycznej nie prowadziły u niego do upolityczniania nauki, do pospiesznych uogólnień, do przemycania do warsztatu też bieżących trendów politycznych? Odpowiedź na te pytania nie jest łatwa. Nie ma jednego paradygmatu na określenie nauki i naukowego faktu. Obowiązkiem uczonego humanisty jest rzetelne badanie rzeczywistości społecznej. Proces badawczy nie jest wszelako i nie może być odporny na impulsy pochodzące z zewnątrz. Pytania badawcze narzucane są przez okoliczności, zależą od klimatu intelektualnego, od potrzeb społecznych, od bieżącej gry politycznej. Właśnie polityka najczęściej gości w gabinecie uczonego. Narzuca mu styl myślenia, dyktuje priorytety, podsuwa rozwiązania. Można powiedzieć, że nauka i polityka sąsiadują z sobą, przenikają się wzajemnie i uzupełniają. Między nauką a polityką mamy swego rodzaju symbiozę, polegającą na tym, że polityk korzysta z dorobku uczonego, a presja, by naukę wprowadzić do polityki i polityce ją podporządkować jest duża. Badacz oczekuje także od polityki i polityka wsparcia; uczestniczy w jej kształtowaniu, traktując swą postawę jako obywatelską powinność.

Spośród dyscyplin humanistycznych i społecznych nauka historii wpływa na współczesność najsilniej. I odwrotnie: Od historyka polityk domaga się najczęściej odpowiedzi na pytania dyktowane przez trendy w polityce. Zygmunt Wojciechowski widział w tym misję historyka. Nie był „historykiem politycznym” w tym znaczeniu, w jakim bywali np. ci niemiecko-pruscy badacze, których sam ostro zwalczał, a którzy często bez skrupułów naginali historyczne fakty dla potrzeb tej polityki, jaką prowadziły Republika Weimarska i III Rzesza. Pisał: „Największym zadaniem polityki jest umiejętność wydobywania ze społeczeństwa tkwiących w nim sił, umiejętność wydobywania ich w chwili, która o przyszłości społeczeństwa rozstrzyga”¹. Świat bez historii nie istnieje; gdyby istniał, byłby kaleki. Przeszłość jest wśród nas, dopada nas, czy tego chcemy czy nie, czasami wypycha nas do przodu, innym razem jakby przytrzymuje za rękę; tak czy inaczej jesteśmy w niej unurzani po uszy. Pisał o tym pięknie już Ludwik Krzywicki. To kanon, że przeszłość tworzy drogę prowadzącą ku teraźniejszości, drogę frapującą, pełną wiraży, wybrzuszeń, odwrotów, która jednak nie zna obejść czy objazdów². Poddajemy ją osądowi w odnajdywaniu korzeni, w poszukiwaniu legitymizacji naszych działań, interesują nas elementy ciągłości w naszej historii. I nie ma tu nic do rzeczy, że z reguły spoglądamy na przeszłość wybiórczo, traktujemy jak garderobę ze starociami, niezbędnymi nam na

¹ Z. Wojciechowski, *Grunwald*, „Przegląd Zachodni” 1945, nr 1, s. 4.

² K. Grzybowski, *Refleksje sceptyczne*, I, Kraków 1969.

szczególne okazje³. To, co brzydko nazywamy polityką historyczną, tkwi u podstaw świadomości historycznej, więcej, współtworzy kulturę polityczną. Świadomość przeszłości jest wielkim dobrem szczególnie wtedy, gdy przeszłość ta sama jest – jak w Polsce – kręta i przerywana, pełna dramatów. Pamiętajmy, że to nie prawnicy byli architektami kultury politycznej w trudnych latach zaborów; byli nimi historycy, wśród nich historycy ustroju i prawa, pochyleni nad rozwiązywaniem tajemnic upadku dawnej Rzeczypospolitej i tworzący wizję odrodzenia państwowości po latach niewoli. Mieli świadomość, że uczony dąży do prawdy, a prawda jest zawsze prawdą danego czasu⁴. Jakże łatwo tu o przerysowania.

Pragnę przedstawić Państwu zarys sylwetki Zygmunta Wojciechowskiego, w którego twórczości nauka i polityka przez cały czas były obecne, równoważyły się i z sobą ścierały; który w literaturze przedstawiany bywa jako najwybitniejszy „historyk polityczny”, jako uczony, który ma swoją misję w polityce i zarazem jako działacz polityczny, który wspiera się o świetny warsztat badawczy i wywiera na naukę przemożny wpływ⁵. Był prezesem Powszechnych Wykładów Uniwersyteckich i jeździł potajemnie do Niemiec na spotkania z Polonią, organizował dla niej szkolenie obywatelskie. Pełnił funkcję dziekana, wybrany na ten urząd w czerwcu 1939 r. Przewodniczył Radzie Wydziału na posiedzeniu w dniu 1 września 1939, kiedy trzeba było przerywać obrady z powodu niemieckich nalotów bombowych. Kierował I Katedrą Historii Państwa i Prawa Polskiego. Prowadził świetne seminarium, które wydało znakomitych uczniów, profesorów: Michała Sczanieckiego, Zdzisława Kaczmarczyka, Józefa Matuszewskiego, Stefana Weymana, Kazimierza Kolańczyka. W czasie wojny kontynuował nauczanie na Tajnym Uniwersytecie Ziemi Zachodnich. Kierował nauką w podziemiu jako wysoki reprezentant Delegatury Rządu na Kraj. Przeprowadził m.in. habilitacje Zdzisława Kaczmarczyka, Jana Zdzitowieckiego i Mariana Kniata (zamordowanego w Oranienburgu), zatwierdzone

³ J. Tazbir, *Pożegnanie z XX wiekiem*, Warszawa 1999.

⁴ K. Grzybowski, op. cit.

⁵ Najważniejsze prace o Z. Wojciechowskim: A.F. Grabski, *Zygmunt Wojciechowski i historia ziem macierzystych Polski*, [we wstępie do:] Z. Wojciechowski, *Zygmunt Stary 1506–1548*, „Klasyki Historiografii Polskiej”, Warszawa 1979, s. 5–69; M. Mroczo, *Zygmunt Wojciechowski jako historyk polskich ziem zachodnich oraz stosunków polsko-niemieckich*, „Przegląd Zachodni” 1985, nr 1, s. 98–113; B. Piotrowski, *O Polskę nad Odrą i Bałtykiem. Myśl zachodnia i badania niemcoznawcze Uniwersytetu Poznańskiego (1919–1939)*, Poznań 1987; Z. Mazur, *Antenaci. O politycznym rodowodzie Instytutu Zachodniego*, Poznań 2003; M. Krzoska, *Für ein Polen an Oder und Ostsee. Zygmunt Wojciechowski (1900–1955) als Historiker und Publizist*, Osnabrueck 2003 (i tocząca się wokół tej książki dyskusja); H. Olszewski, „Najmilejszy i najznakomitszy” uczeń Oswalda Balzera. *O lwowskich powiązaniach Zygmunta Wojciechowskiego*, w: *Studia Historycznoprawne. Tom poświęcony pamięci Profesora Kazimierza Orzechowskiego*, pod red. A. Koniecznego i P. Jurka, *Acta Universitatis Wratislaviensis* nr 3270 (Prawo CCCXI), s. 58–72.

w 1945 r. przez Radę Wydziału⁶. Stworzył Instytut Zachodni, noszący do dziś jego imię; by uzyskać zgodę premiera Rządu Tymczasowego Edwarda Osóbki Morawskiego na jego działanie, przepłynął łódką na Pragę niemal nazajutrz po wkroczeniu Armii Czerwonej do stolicy). Był ofiarnym prezesem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, członkiem Polskiej Akademii Umiejętności, od 1951 r. – członkiem założycielem i członkiem Prezydium Polskiej Akademii Nauk, członkiem Komisji Konstytucyjnej. W roku 1948 – powtarzam – założył „Czasopismo Prawno-Historyczne”⁷. Choć znany był z nacjonalistycznych i katolickich poglądów i często krytykowany przez władzę ludową, potrafił zachować swe imperium aż do przedwczesnej śmierci w roku 1955. Uczony i patriota, który zaskarbił sobie głęboki autorytet, autor kilkudziesięciu książek i setek artykułów, człowiek o silnym instynkcie przywódcy, odważnie i rozważnie broniący swoich racji. Mimo wątłego zdrowia prowadził niesłychanie intensywne życie. Jego towarzysze mówili o trawiącym go nieustannie ogniu, był stworzony do bezpardonowej walki o cele, które przed sobą stawiał, „trzeźwy romantyk”, gotów do kompromisów realista, był w tym działaniu niebywale skuteczny⁸. Walczył o Polskę nad Odrą i Bałtykiem – to był cel jego życia. Mówił o sobie, że przyjąłby islam, bruderszaft ze Stalinem wypił, gdyby to gwarantowało trwałą obecność Polski nad Odrą i Bałtykiem⁹. Uosabiał optymizm i niezachwianą wiarę w sukces: W otwartej pocztówce z wycieczki do Szczecina w 1937 r. pisał: „Zwiedzaliśmy dziś Wały Chrobrego. Tu będzie po wojnie rezydował polski wojewoda pomorski”¹⁰. Miał wyjątkowy dar jednania sobie ludzi; porywał otoczenie magnetyczną siłą charakteru, potrafił zarażać młodzieńczym entuzjazmem. W razie potrzeby sięgał do argumentów populistycznych. Wierzył, że trzeba „budzić w społeczeństwie niezbędne stany emocjonalne”. Wiele jego tekstów miało znamiona „orędzi do narodu”. Podkreślał: „Społeczeństwo musi odczuć, że idzie po swoje, że Wrocław, Legnica, Szczecin leżą na takich samych ziemiach polskich, jak Kraków, Poznań i Gdańsk. Społeczeństwo musi przeżyć dzieje polskości tych ziem: trzeba mu pokazać jedno z pierwszych godła państwowych Polski na grobowcu Henryka IV we Wrocławiu, pokazać mu śląski Wawel w Legnicy, przypomnieć mu, że Pomorze Zachodnie naszym polskim wysiłkiem zespoliliśmy ongiś z Polską i chrześcijaństwem. Zdajemy sobie

⁶ H. Olszewski, *Zdzisław Kaczmarczyk (1911–1980)*, „Magistri nostri”, Poznań 2005, s. 41 i n.

⁷ Por. H. Olszewski, *50 lat „Czasopisma Prawno-Historycznego”. Referat redaktora wygłoszony w czasie jubileuszu pisma w dniu 10 grudnia 1998 r.*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1999, t. 51, z. 1–2, s. 534 i n.

⁸ Por. L. Koczy, *Śp. Zygmunt Wojciechowski 1900–1955*, „Teki Historyczne” 1955/1956, t. 7, s. 152–153.

⁹ Por. M. Grochowska, *Dla swoich pobudka, dla wrogów przestroga*, cz. 3, „Gazeta Wyborcza” z 21 stycznia 2005.

¹⁰ Arch. PAN Poznań, sygn. 5v III–8.

sprawę z historycznej odpowiedzialności na nas ciężącej”¹¹. Podejmował głośne polemiki z przedstawicielami różnych odłamów historiografii niemieckiej i polskiej bynajmniej nie dlatego, że ich reprezentanci wykazywali szacunek dla faktów i metod przyjmowanych w naukach o przeszłości, ale dlatego, że dostrzegał we wnioskach wysnuwanych z ich badań niezrozumienie lub niedostatek zrozumienia dla wielostronnych politycznych implikacji, w jakie uwikłany jest historyk, mający świadomość społecznych treści badań i głębokie poczucie odpowiedzialności za ich rezultat. Może dlatego w pisarstwie Wojciechowskiego przeważają nie drobiazgowa egzegeza i mikrografia, a wielkie tematy i wielkie konstrukcje¹².

Pochodził ze Stryja w Galicji Wschodniej (gdzie urodził się 27 kwietnia 1900) i już w genach – można sądzić – łączył pasję dla nauki z zamiłowaniem do służby Polsce. W rodzinie pielęgnowano tradycję powstańczą; ojciec Konstanty był nauczycielem w miejscowym gimnazjum, po 1918 r. zaś profesorem historii literatury polskiej na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Ze Lwowem wiązał się też okres młodości Zygmunta. Wielką wojnę przeżył początkowo na ławie szkolnej, potem w Polskim Korpusie Posiłkowym, do którego zgłosił się ochotniczo, jeszcze później w armii austriackiej, do której go wcielono, wreszcie na Uniwersytecie Jana Kazimierza, gdzie zaczął od studiów medycyny, skończył historię oraz z czasem zaliczył I rok studiów na Wydziale Prawa. Miał znakomitych mistrzów: Jana Ptaśnika, Stanisława Zakrzewskiego, Franciszka Bujaka. Najsilniej związany był z Oswaldem Balzerem, najwybitniejszym historykiem polskim przełomu stuleci. Od Balzera przejął pasję do badań mediewistycznych, swoiste spojrzenie na początki państwa polskiego, ujmowanie procesu historycznego w sposób integralny, przede wszystkim zaś poczucie służby społecznej¹³. W seminarium Balzera powstały pierwsze poważne studia monograficzne Wojciechowskiego: *Momenty terytorialne organizacji grodowej w Polsce piastowskiej* (1924), *Ze studiów nad organizacją państwa polskiego za Piastów* (1924), *W sprawie Regnum Poloniae za Władysława Łokietka* (1924). Ścisłą więź z Balzerem utrzymywał Wojciechowski do końca życia Mistrza. Wyrazem tego był m.in. nadany mu przez Uniwersytet Poznański, z inicjatywy Wojciechowskiego – „najznakomitszego i najmilejszego” ucznia, doktorat *honoris causa*, pierwszy w dziejach Rady Wydziału Prawa UP¹⁴.

Kiedy w 1925 r., w 26. roku życia, znalazł się w Poznaniu na Wydziale Prawa UP, był już badaczem dojrzałym, uznanym mediewistą. Wkrótce renome

¹¹ Cyt. za H. Olszewski, *Miedzy nauką a polityką: Instytut Zachodni w latach 1944–2004*, „Przegląd Zachodni” 2004, R. 60, nr 2, s. 15

¹² A.F. Grabski, op. cit., s. 6.

¹³ H. Olszewski, „Najmilejszy i najznakomitszy uczeń Oswalda Balzera... (jak w przyp. 6), s. 59 i n.

¹⁴ Ibidem, s. 66 i n.

potwierdziła udana habilitacja. Przywiózł też ze Lwowa w pełni ukształtowaną koncepcją polityczną. Nawiązywała ona do poglądów Romana Dmowskiego, wyłożonych w pracy *Niemcy, Rosja i kwestia polska* z 1908 r., ale była otwarta również na wartości obozu sanacyjnego, co narzuciło Wojciechowskiemu swoją ewolucję w działalności politycznej, która prowadziła od obozu narodowego do Związku Młodych Narodowców, później do Ruchu Narodowo-Państwowego, w końcu do Klubu 11 Listopada. Mawiał: „Wielka myśl to jest Dmowski, wielka praktyka to Piłsudski”¹⁵. Większość tekstów publicystycznych ogłaszał na łamach „Awangardy Państwa Narodowego”¹⁶.

Równie szybko stał się cenionym organizatorem nauki i działaczem społecznym. Uczestniczył w pracach Towarzystwa Naukowego w Toruniu oraz Instytutu Bałtyckiego w Gdyni; był twórcą jego badawczego programu. Utrzymywał żywy kontakt z Instytutem Śląskim w Katowicach oraz Towarzystwem Nauki i Sztuki w Gdańsku. Prowadził Powszechne Wykłady Uniwersytetu Poznańskiego, które w latach 1934–1939 organizowane były często – z jego przede wszystkim inicjatywy – w Prusach Wschodnich, w Olsztynie, Sztumie, Kwidzynie i Szczytnie. Już w 1927 r. powołany został na stanowisko sekretarza Komisji Historycznej Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W prowadzonym przezeń seminarium dojrzewały rozprawy doktorskie uczniów, przyszłych profesorów historii prawa: Zdzisława Kaczmarczyka, Józefa Matuszewskiego, Michała Sczanieckiego, Kazimierza Kolańczyka, Stefana Weymana.

Wybuch wojny, który – jak to już przypominałem – zastał Wojciechowskiego na stanowisku dziekana Wydziału Prawno-Ekonomicznego UP, rozpoczął dlań okres bardzo trudny, a zarazem heroiczny. Po zwolnieniu z obozu dla zakładników wojskowych w Poznaniu udał się, oczywiście *incognito* – poszukiwany przez gestapo – do Krakowa, stamtąd do Warszawy i Milanówka. I wtedy nie poniechał pracy twórczej i konspiracyjnej. Można powiedzieć, że to w czasie wojny powstały jego najważniejsze teksty, w większości zresztą opublikowane dopiero po jej zakończeniu. W Warszawie zakończył redagowanie rozpoczętej w Poznaniu syntezy pt. *Państwo polskie w wiekach średnich*, która jeszcze w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych pełnić będzie rolę akademickiego podręcznika dla studentów prawa¹⁷. W roku 1942 ukończył znany tekst *Polska – Niemcy. Dziesięć wieków zmagania*¹⁸, uważany przez niego samego za rozwinię-

¹⁵ Słowa W. Chrzanowskiego. Cyt. za M. Motaś, „Myśl Polska”, z 1–6 maja 2005, s. 16.

¹⁶ Zbiory pism publicystycznych Z. Wojciechowskiego zob. Z. Wojciechowski, *Myśli o polityce i ustroju rodowym*, Poznań 1935; idem, *Myśli o polityce* (ser. II), Poznań 1937; idem, *Pełnia racji ideowych podstawą zjednoczenia*, Poznań 1939.

¹⁷ Idem, *Początki chrześcijaństwa w Polsce na tle stosunków niemiecko-wieleckich*, w: *Studia historyczne*, Poznań 1946.

¹⁸ Francuskie tłumaczenie: *L'état polonais au Moyen Âge. Histoire des institutions*, Paris 1945.

¹⁸ Poznań 1945.

cie opracowania z 1933 r. o rozwoju terytorialnym Prus, stanowiącego pierwotną wersję koncepcji ziem macierzystych Polski. Wydany po raz pierwszy w 1943 r. w Warszawie pod konspiracyjnym tytułem: *Karol Szajnocha. Szkice historyczne*, t. I, Warszawa 1938, stanowił *credo* autora w kwestii interpretacji historii stosunków polsko-niemieckich. Wreszcie w 1944 r. napisał wspólnie z małżonką, Marią Wojciechowską, zarys dziejów polskich w czasach piastowskich i jagiellońskich¹⁹. Wtedy to – w roku 1940 – ujrzała światło dzienne wydrukowana potajemnie – z jego inicjatywy – w oficynie Uniwersytetu Jagiellońskiego rozprawa doktorska Kazimierza Kolańczyka. Nie zrezygnował też z działalności politycznej i organizacyjnej. Związał się z grupą „Ojczyzna”, wywodzącą się ze środowisk endeckich²⁰, i z jej ramienia miał ścisłe kontakty z Biurem Delegatury Rządu na Kraj. Był kierownikiem Wydziału Nauki – z jego inicjatywy – zaś po powstaniu warszawskim – do stycznia 1945 r. – wicedyrektorem departamentu. Pod koniec wojny coraz częściej inicjował działania mające służyć budowie nowego ustroju, który w końcu zaakceptował – jak powiedział – ze wszystkimi jego implikacjami.

W kwietniu 1945 r., a więc jeszcze przed zakończeniem wojny, wrócił do Poznania z oficjalnym poparciem premiera Rządu Tymczasowego dla swoich rozległych planów organizacyjnych. W ich centrum znalazł się Instytut Zachodni, działający pod jego kierownictwem w dwojakim wcieleniu – jako towarzystwo naukowe i jako placówka naukowo-badawcza, skupiająca najwybitniejszych niemcoznawców polskich. Instytut rozwinął wówczas intensywną i rozległą działalność na polu badań historycznych, etnologicznych, onomastycznych, socjologicznych, geograficznych, prawniczych oraz językoznawczych, których celem było uzasadnienie praw Polski do nowo pozyskanych ziem na zachodzie i północy oraz zintegrowanie ich z Macierzą. Zygmunt Wojciechowski nie tylko opracował program działalności Instytutu; on sam jego *pars magna fuit*. Trwałą wartością prac tej placówki z pierwszej dekady jej istnienia pozostały wielkie serie wydawnicze z zakresu niemcoznawstwa: „Studium Niemcoznawcze”. „Ziemie Staropolskie”, „Monografia Odry”, „Badania nad Okupacją Hitlerowską w Polsce”, „Documenta Occupationis Theutonicae”, „Hitlerowskie Prawo Okupacyjne”, „Biblioteczka Ziemi Lubuskiej” oraz „Materiały do Dziejów Nowożytnych Ziemi Zachodnich”.

Jednocześnie Zygmunt Wojciechowski odbudowywał zasłużone Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, był jego sekretarzem generalnym, następnie prezesem. Nie zaniedbywał też uniwersyteckiej dydaktyki, dopóki mu dopisywało zdrowie. Rozwijał aktywność także na innych polach: brał udział w życiu licznych organizacji społecznych i naukowych, organizował zjazdy i konferencje

¹⁹ M.Z. Wojciechowski, *Polska Piastów – Polska Jagiellonów*, Poznań 1946.

²⁰ A.F. Grabski, op. cit., s. 23.

naukowe. Wykazywał niesłabnące zainteresowanie wciągnięciem zachodnich i północnych ziem Polski na naukową mapę kraju. Wypowiadał się za otwarciem uniwersytetu w Toruniu, za uruchomieniem w Gdańsku wyższego studium morskiego oraz studium ekonomiczno-politycznego w Szczecinie jako filii Uniwersytetu Poznańskiego²¹. W 1952 r. pisał o pilnej konieczności utworzenia ośrodka humanistycznego na Górnym Śląsku²². Był założycielem i pierwszym redaktorem naczelnym „Czasopisma Prawno-Historycznego”, wznowił dawne, zerwane przez wojnę kontakty z badaczami francuskimi. Wszedł do świeżo powołanej wtedy do życia Polskiej Akademii Nauk i aktywnie uczestniczył w jej pracach, choć irytowały go formalizm i biurokracja, towarzyszące początkom jej działalności. W czasie wspomnianej wyżej uroczystości własnego trzydziestolecia działalności i dziesięciolecia Instytutu skarżył się na uciążliwe wyjazdy, które uczonego odrywają od pracy twórczej. Mówił wówczas: „Uczonemu musi być pozostawiony czas na długi proces twórczy. [...]. Jest rzeczą znaną, że do obory, w której znajdują się krowy przed udojem, nie wolno przed tym udojem wchodzić człowiekowi obcemu pod groźbą katastrofalnego spadku wysokości udoju. Tymczasem uczonego w każdej chwili i w każdym czasie wolno wezwać i nikt się tak bardzo nie troszczy o warunki jego procesu twórczego”²³. Po długiej i ciężkiej chorobie Zygmunt Wojciechowski zmarł 11 października 1955 r. Pożegnanie z nim w wielkiej auli Uniwersytetu Poznańskiego zgromadziło kwiat nauki polskiej i było wielką manifestacją patriotyczną. Uczonemu nie było już dane zakończyć prac nad dziełem, które miało wieńczyć jego twórczość, a mianowicie nad monografią Bolesława Chrobrego i jego czasów.

Zygmunt Wojciechowski nie był metodologiem nauki. Nie wyłożył też w sposób całościowy swej koncepcji historii Polski; własny punkt widzenia na przeszłość prezentował za pomocą ilustracji, fragmentarycznie i okazjonalnie, rozrzucając luźne uwagi po rozmaitych tekstach, także tekstach o charakterze publicystycznym. Był zwolennikiem idiograficznej koncepcji dziejów. Traktował historię jako sumę zdarzeń indywidualnych i niepowtarzalnych. Interesowało go to, co „godne pamięci”, wyróżniające się wyjątkowością. To on i tylko on chciał decydować, co w przeszłości było ważne i wyjątkowe. Zamierzał w ten sposób „strzec się – jak pisał – przed tzw. faktografią, tj. powtarzaniem faktów znanych, rekonstruowaniem faktów dotąd nieznanych i nawiązywaniem jednych i drugich na nić zdarzeń ujętych chronologicznie”²⁴. W innym miejscu stwierdzał – „że bez państwa żaden naród nie powstał”, że „fakt istnienia pań-

²¹ Z. Wojciechowski, I Toruń, i Gdańsk, i Szczecin, „Przegląd Zachodni” 1946, R. 2, nr 4, s. 378–379.

²² Por. „Przegląd Zachodni” 1952, R. 8, nr 3–4, s. 334.

²³ Por. wyżej przyp. 6.

²⁴ Z. Wojciechowski, *Początki chrześcijaństwa w Polsce...*, s. 122

stwa daje początek idei państwowej, która jest jednoznaczna z ideą narodową”²⁵. W roku 1932 autor pisał: „Badanie historyczne wykazuje ponad wszelką wątpliwość, że u wrót jego narodowości stoi organizacja państwowa [...]. Tymi drogami kształtuje się i świadomość narodowa, i historia narodowa”²⁶. W ujęciu takim dostrzegał największe szanse skutecznego demaskowania przeciwników w naukowym przede wszystkim, ale i politycznym dyskursie. Pozwalało ono na zbliżenie do obozu sanacji, ale i nie zrywało więzi z obozem narodowym.

Wyjątkowość polskiego procesu dziejowego znajdowała u Wojciechowskiego wyraz w uznaniu, że genezę państwa Piastów najlepiej wyjaśnia teoria rodowa. Ustrój rodowy – podkreślał Wojciechowski za Balzerem²⁷ – to podstawa najstarszej organizacji społecznej na ziemiach polskich. Ród tworzył „najistotniejszą komórkę rozwojową”, dynastia Piastów powstała z „zespołu rodów polskich”. Ustrój rodowy stał się podstawową komórką armatury państwa. Teoria rodowa sprowadziła na Zygmunta Wojciechowskiego falę krytyki – atakowali ją frontalnie marksiści, ale i przedstawiciele starych szkół historiograficznych²⁸. Krytycy nie przyjmowali jednak do wiadomości, że teoria ta grała u Wojciechowskiego negatywną rolę w rozwoju wczesnofeudalnej Polski, jako że tworzyła ona przeszkodę w ukształtowaniu się silnej władzy królewskiej, sprzyjała separatyzmowi i tkwiła u podstaw słabości Polski w konfrontacji z ekspansją wschodnią Niemiec. Ukazywała też w pełni młodszość cywilizacyjną Polski. W długim, nieudanym pościgu za Zachodem zawiniła „sprawa szlachecka”, która sprawiła, że „w Polsce nie wykształciły się ani warunki dla umocnienia się absolutyzmu królewskiego, ani nie wyrósł jakikolwiek inny czynnik, który by na podobieństwo niemieckich panów terytorialnych mógł być pochwycić władzę”. Ustrój wiejski rozzuchwalał szlachtę, powiększając zarazem warstwę „niewolników”, czyli przywiązanych do ziemi chłopów. Dramatem była słabość miast i mieszczaństwa, pozbawionych korzyści z koniunktury na polskie zboże na Zachodzie. Jeszcze większą tragedią było, że kolonizacja miejska w Polsce stanowiła w swym początkowym stadium ruch przede wszystkim niemiecki i że w jego następstwie obcy żywioł nie miał ogólnopństwowych ambicji politycznych, okazując – podobnie jak czynili to Żydzi – „wyraźną niechęć do polskości”²⁹. System reprezentacji politycznej bez udziału miast ostatecznie przypieczętował fiasko ewentualnego zbliżenia między miastami a monarchą. Przyśpieszony, znaczony przywilejami proces kształtowania

²⁵ Idem, *Myśli o polityce*, ser. II, s. 16; A.F. Grabski, op. cit., s. 31.

²⁶ Z. Wojciechowski, *Upadek i odrodzenie narodu*, [w:] „Kurier Warszawski” (odc. 16)

²⁷ A.F. Grabski, op. cit., s. 34.

²⁸ Por. J. Adamus, *Polska teoria rodowa*, Łódź 1958, s. 245 i n.

²⁹ Z. Wojciechowski, *Upadek i odrodzenie narodu...*, (odc.14)

się stanu szlacheckiego, idący w parze z pogarszaniem się sytuacji chłopą, prowadził do sytuacji, w której równowaga społeczna coraz dalej odchodziła się od „punktu idealnego”. Dodatkowym czynnikiem negatywnym na tej drodze okazała się unia z Litwą i – jako jej następstwo – ekspansja na ziemiach litewsko-ruskich. W polityce Rzeczypospolitej Obojga Narodów z wielokrotnością się słabości wewnętrzne państwa i powiększyło się owo odchylenie od „punktu idealnego”. Do kryzysu gospodarczo-społecznego przyłączył się kryzys sejmowania po zmianach wprowadzonych unią. Zygmunt Wojciechowski trafnie upatrywał w zmienionym po 1569 r. składzie izb sejmowych przesłankę zjawiska paraliżu ustawodawstwa, w tym także przesłankę *liberum veto*, które – jego zdaniem – było „obłądną interpretacją pewnej normy prawa zwyczajowego”³⁰. Za równie poważne źródło upadku Rzeczypospolitej uznawał wojny z połowy XVII stulecia; przyniosły gospodarczą katastrofę i kryzys społeczno-polityczny. Pisał: „Społeczeństwo było [...] ciężko chore. Zbyt szybkim był rozwój wewnętrzny, zbyt szybko młode wolne rody rycerskie uzyskały przemożny wpływ na wykonywanie władzy państwowej, dzięki czemu z jednej strony ostatecznie ugruntowały jednostronność budowy społeczno-gospodarczej, z drugiej zaś uniemożliwiły powstanie silnej władzy państwowej. Zbyt szybko zasady tego ustroju społecznego przeniesiono na wielkie obszary wschodnie...[...]. Młode społeczeństwo polskie zbyt szybko asymilowało formy życia ustrojowego starszych rozwojem społeczeństw zachodnich”³¹. Proces „leczenia” Rzeczypospolitej należało – twierdził – rozpocząć – jak to radził już Konarski – od szlachty i jej urządzeń ustrojowych. Teza jednak, iż naród polski upadł w XVIII w. nie dlatego, że stracił zdolność do życia, a dlatego, że tę wolę do życia właśnie objawił, sytuowała jej autora pomiędzy obiema tradycyjnymi szkołami historiograficznymi. Dystansował się od obu, choć łączył w swym piśmarstwie elementy tak jednej, jak i drugiej. Jakkolwiek był badaczem przede wszystkim dziejów państwa i jego ustroju, to przecież tam, gdzie wyjaśniał „procesy długiego trwania” w dziejach ojczystych, nie stronił od integralnego traktowania historii, takiego, w którym gospodarka, społeczeństwo, polityka i ustrój nie tworzą systemu jednostronnego zdeterminowania, lecz układają się w organiczny system wzajemnego wpływu.

Inaczej nieco, bardziej emocjonalnie, z silniejszym uwzględnieniem komponentu politycznego, wypowiadał się w kwestii niemieckiej. Problem niemiecki dominował w twórczości Wojciechowskiego; przenikał także te jego teksty, które poświęcone były innej tematyce. Wynikało to z identyfikowania się z kanonem Dmowskiego, że Niemcy – Prusy to główny, śmiertelny wróg Polski. Przeciwwstawiał się tezie o normańskim pochodzeniu pierwszego władcy Pol-

³⁰ Zob. A.F. Grabski, op. cit., s. 42.

³¹ Ibidem.

ski³². Widział w niej polityczne uzasadnienie niemieckiej agresji na ziemie Słowiańszczyzny i wielokrotnie podkreślał, że monarchia Piastów obejmowała tereny stanowiące pierwotne terytorium polskiego osadnictwa. Obejmowała Szczecin i ujście Odry: „Nikt nie dotrze do Gniezna, posuwając się *iuxta flumen Odderam* – pisał w komentarzu do „*Dagome iudex*”³³. Protestował też przeciwko przekonaniu wielu niemieckich historyków, głoszących, że Polacy to naród pozbawiony zdolności państwowotwórczych. W świetnie napisanych pracach o najstarszym ustroju plemiennie-szczepowym i administracji oraz o ustroju politycznym Śląska występował przeciwko tezie o wczesnośredniowiecznym germanizowaniu się prowincji oraz pruskiemu pogładowi o poniechaniu polskich roszczeń do Śląska za czasów Kazimierza Wielkiego. Wciąż jakby na nowo pochyłał się nad zagadnieniem znaczenia odsunięcia Polski od ujść Odry, a następnie Wisły. W roku 1933 r. spod jego pióra wyszła pierwsza synteza dziejów stosunków polsko-niemieckich pt. *Rozwój terytorialny Prus w stosunku do ziem macierzystych Polski*³⁴, stanowiąca zresztą rozwinięcie wcześniejszych przemysłów. Zygmunt Wojciechowski pisał: „Dzieje rozwoju terytorialnego Polski pouczają dosadnie, jakie następstwa może wywołać utrata ujść rzek, stanowiących kręgosłup osadniczy danego narodu”³⁵. W pracy tej zawarta była koncepcja, która przenikała umysł Wojciechowskiego od czasów lwowskich i która tworzyła apogeum rozwijanej w Poznaniu od dziesięcioleci myśli zachodniej, a mianowicie koncepcja ziem macierzystych Polski. Ziemie macierzyste Polski – tłumaczył autor – to obszar od Odry i Nysy Łużyckiej po Bug, będący pierwotnym terytorium polskiego osadnictwa oraz najstarszą podstawą terytorialną państwa polskiego. Głównym „motywem przewodnim dziejów Polski” było opuszczanie tych ziem przez tragiczne w skutkach przesuwanie się polityki polskiej na wschód. Oto po wspaniałej epoce Chrobrego, kiedy to „prawa, które dynastia piastowska pozyskała w stosunku do ziem polskich, były obręczą żelazną, narzuconą szeregowi szczepów, które na tej drodze przekształciły się w państwo i naród”³⁶, przyszedł czas opuszczania tych ziem nad Odrą. Najpierw opuszczono ujście rzeki, potem Ziemię Lubuską, w końcu doprowadzono do utraty Śląska. „Klin brandenburski” i państwo krzyżackie umożliwiły przyśpieszenie tego procesu. Droga od traktatu krakowskiego do traktatu welawsko-bydgoskiego była samobójczą dla Polski. „I znów najsurowiej trzeba ocenić politykę polską z przełomu XVI i XVII w., która zezwalała na narastanie państwa Hohenzollernów, okalają-

³² Por. H. Olszewski, *Zygmunt Wojciechowski 1900–1955*, [w:] *Wybitni historycy wielkopolscy*, pod red. J. Strzelczyka, Poznań 1989, s. 281

³³ Z. Wojciechowski, *Polityczne znaczenie Odry w czasach historycznych*, „Przegląd Zachodni” 1947, R. 3, nr 2, s. 719.

³⁴ Toruń 1933.

³⁵ Z. Wojciechowski, *Rozwój terytorialny Prus ...*, s. 43.

³⁶ *Ibidem*, s. 23.

cego Wielkopolskę i Pomorze Gdańskie. Żadne tłumaczenie nie usprawiedliwi tych posunięć, jeżeli na tej drodze uzyskiwano sukcesy w innych stronach państwa, to były one opłacone zbyt wysoką ceną. Na ogół można powiedzieć, że od połowy XVI wieku polityka państwa polskiego ulega wyraźnemu wykołajeniu³⁷. Okazało się to najwyraźniej wtedy, gdy doszło do rozbiorów, w których mocarstwowe już Prusy odegrały pierwszorzędą rolę. Politykę Polski Odrodzonej w 1918 r. oceniał Wojciechowski krytycznie jako bezmyślną, szkodliwą dla interesów państwa kontynuację polityki Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Wcześniej też rozpoznał grożące Polsce niebezpieczeństwo ze strony hitlerowskich Niemiec. Studiował *Mein Kampf* i *Der Mythos des zwanzigsten Jahrhunderts* Rosenberga, śledził doniesienia, jakie codziennie przynosił „Völkischer Beobachter”, jeździł z wykładami do Prus Wschodnich, w 1937 r. przebywał *incognito* na Zjeździe NSDAP w Norymberdze. Wiedział lepiej od innych, co przyniesie Polakom wojna. W trakcie niemieckiej okupacji – znajdując potwierdzenie najgorszych przewidywań, tropiony przez gestapo, działacz podziemia w Krakowie i Warszawie, dokonywał czynów znamionujących patriotyzm, odwagę cywilną oraz mądrość polityka i organizatora nauki. Dużo pisał; to w czasie wojny powstały książki i artykuły, które później – w latach 1945–1946 – drukował w Instytucie Zachodnim³⁸.

W roku 1945 Zygmunt Wojciechowski z radością witał powrót Polski do piastowskich granic. Nikt bardziej od niego nie był uprawniony do uznania, że ziemie pozyskane to ziemie odzyskane, akt dziejowej sprawiedliwości, werdykt historii, który sprawił, że sytuacja w Europie osiągnęła stan równowagi, zbliżając się do swego „punktu idealnego”. W zakończeniu swej najsilniej przesiąkniętej duchem nacjonalizmu i wrogości wobec Niemiec-Prus książce, zatytułowanej znamienne: *Polska – Niemcy. Dziesięć wieków zmagania*³⁹, napisanej w czasie wojny, a wydanej jako tom inauguracyjny wydawnictwa Instytutu Zachodniego, konstatawał: „W miejsce niemieckiego »Drang nach Osten« przychodzi epoka ponownego słowiańskiego marszu na Zachód. Kto tego zjawiska nie rozumie, nie pojmie nowej epoki, nie dostrzeże miejsca dla Polski w otaczającej ją rzeczywistości. U progu drugiego tysiąclecia Polska ponownie zaciąga straż nad Odrą”⁴⁰.

Po wojnie Zygmunt Wojciechowski znalazł się wśród lojalnych obywateli Polski Ludowej, ale zarazem w ostrym konflikcie z nauką i propagandą nie-

³⁷ Ibidem, s., 42.

³⁸ Powstały wtedy jego ważne książki: *Państwo polskie w wiekach średnich. Dzieje ustroju*, Poznań 1945; *Polska – Niemcy. Dziesięć wieków zmagania*, Poznań 1946; *Zygmunt Stary (1506–1548)*, Warszawa 1946; *Polska Piastów – Polska Jagiellonów*, Poznań 1946 (współ z Marią Wojciechowską).

³⁹ Z. Wojciechowski, *Polska – Niemcy...* (jak w przyp. 30).

⁴⁰ Ibidem, s. 262.

miecką, z czasem zachodnioniemiecką, dla której koncepcja ziem macierzystych Polski była nie do przyjęcia. Nie można jej było bronić, nie popadając z konflikt z ustaleniami i poglądami nacjonalistycznego nurtu zakorzenionego w pracach historyków niemieckich. Autor nie zawsze dochowywał wierności rzymskiej maksymie, głoszącej potrzebę dyskusowania *suaviter in modo, fortiter in re*; dawał się ponieść temperamentowi, selekcjonował fakty, formułował pośpieszne uogólnienia, ale nikt z uczonych w Polsce nie obciążył niemieckiej nauki tak silnie za serwilizm polityczny jak on. Atakował przedstawicieli pruskiej szkoły historiograficznej⁴¹. Wskazywał na znanego wszechniemieckiego badacza Georga von Belowa jako głównego doradcę rządów Bethmanna-Hollwega i Gustawa Stresemanna, którzy traktowali Polskę Odrodzoną jako państwo sezonowe⁴². Odważnie występował przeciwko nacjonalistycznym i rewizjonistycznym konstrukcjom zawartym w reprezentatywnym wydawnictwie nauki niemieckiej, przywiezionym na Powszechny Kongres Nauk Historycznych w Warszawie⁴³. W recenzji ze znanej książki Fryderyka Meinecke *Die deutsche Katastrophe*⁴⁴ z 1946 r. podkreślał, że stan zatrucia umysłów był i pozostał w Niemczech wciąż bardzo silny. „Dokonuje się może denazyfikacja, ale nie widzimy deintoksykacji pruskiej”⁴⁵. Nestorowi historyków niemieckich przypominał, że „nauka niemiecka jest jedną ze współwinowajczyń minionej wojny. W osobach prehistoryków i historyków tworzyła fałszywe obrazy przeszłości i tym samym wytwarzała we własnym narodzie przekonanie o słuszności jego zdobywczych tytułów”⁴⁶. W postowie do swej książki *Polska – Niemcy. Dziesięć wieków zmagania* stwierdzał: „Antypolski program Adolfa Hitlera jest syntezą poczynąń wszystkich jego poprzedników, od Henryka II po Wilhelma II, a zwłaszcza doskonałą syntezą działań brandenburskich i krzyżackich”⁴⁷. Rozciąganie zbrodniczej polityki III Rzeszy wobec Polski na całe tysiąclecie dzieje stosunków niemiecko-polskich było oczywistym przerysowaniem, które brało się z klimatu lat wojny, w których ta książka była pisana, oraz z atmosfery pierwszych lat powojennych. Wojciechowski ciężko przeżył podział Niemiec i powstanie NRD. Chwalił politykę tego państwa, bo nakazywała to podówczas poprawność

⁴¹ Por. H. Olszewski, *Nauka historii w upadku. Studium o historiografii i ideologii historycznej w imperialistycznych Niemczech*, Warszawa – Poznań 1982, s. 38 i n.; idem, *Dzieje Polski XVII i XVIII w. w ocenie reprezentantów historiograficznej szkoły pruskiej*, [w:] *Strefa bałtycka w XVI–XVIII w. Polityka – społeczeństwo – gospodarka*, red. J. Trzoska, Gdańsk 1993, s. 71–83.

⁴² Por. „Kwartalnik Historyczny” 1934, R. 48, s. 841 i n.

⁴³ H. Olszewski, *Friedrich Meinecke. Z dziejów ideologii konserwatyzmu w Niemczech*, [w:] *Studia z dziejów myśli politycznej w Niemczech w XIX i XX wieku*, red. H. Olszewski, Poznań 1982, s. 143 i n.

⁴⁴ F. Meinecke, *Die deutsche Katastrophe. Erinnerungen und Betrachtungen*, Wiesbaden 1946.

⁴⁵ Z. Wojciechowski, *Katastrofa Niemiec w oświeceniu historyka niemieckiego*, „Przegląd Zachodni” 1947, R. 3, s. 687.

⁴⁶ Ibidem.

⁴⁷ Idem, *Polska – Niemcy*..., s. 258–259.

polityczna (pisał: istnieje zasadnicza różnica między dwoma państwami niemieckimi: należy to uwzględnić: *Distinguendum est*)⁴⁸. Czy jednak wypowiadał te słowa z przekonaniem? I tu nauka i polityka przeplatały się, walczyły z sobą i się równoważyły.

II

W piśmiennictwie poświęconym poglądom i postawom Zygmunta Wojciechowskiego pojawiają się przemilczenia i skłonności do uproszczeń. Występują one zarówno w poważnych studiach o walorze poznawczym, jak i w licznych tekstach publicystycznych⁴⁹. Mają swą przyczynę m.in. w tym, że Wojciechowski działał na wielu polach, a jego aktywność miała różnoraki wymiar. Był uczy-nym i publicystą⁵⁰, organizatorem nauki i działaczem społecznym, był pasjo-natem, w którym „palił się jakiś wewnętrzny ogień”⁵¹, i wielkim wizjonerem, imponował rozległymi horyzontami intelektualnych zainteresowań, miał natu-rę charyzmatycznego przywódcy i dar skupiania wokół siebie ciekawych ludzi, zarażał ich energią i dbał o zaspokajanie ich codziennych trosk i potrzeb. Żył niesłychanie intensywnie, pisano że „gdzie się jawił, tam się coś działo; co wziął do ręki, to mu się udawało”⁵². Spór dotyczy oceny stosunku tego, co naukowe w twórczości poznańskiego historyka prawa, do tego, co w niej polityczne, a zatem, jak należy odpowiadać na pytania w sprawach, w których prawdy wy-nikające z badań popadają w konflikt z prawdami wnoszonymi do nauki z ze-wnątrz, najczęściej ze sfery polityki. Kontrowersje obejmują obszar etyki uczo-nego, rozciągają się na problem granic patriotyzmu, dotyczą racji stanu i obowiązków badacza wobec państwa, poruszają zagadnienie roli nauk histo-rycznych w życiu narodu. Oczywiście nie może być zadaniem niniejszego przy-czynku wyczerpujące ustosunkowanie się do wszystkich przytaczanych w lite-raturze kwestii spornych. Zadanie, jakie przed sobą stawiam, jest o wiele skromniejsze. Zamierzam tu przeciwstawić się jednemu tylko mitowi, jaki po-kutuje w piśmiennictwie, twierdzeniu mianowicie, jakoby w życiu i twórczości Zygmunta Wojciechowskiego brakowało elementu kontynuacji w dokonywa-nych przezeń wyborach. Konstrukcję tę narzucił *nota bene* sam badacz, który w znanym i wielokrotnie cytowanym przemówieniu wygłoszonym w czasie

⁴⁸ Idem, *Distinguendum est*, „Przegląd Zachodni” 1949, R. 5, nr 9/10, s. 185–186.

⁴⁹ H. Olszewski, „Najmilejszy i najznakomitszy” uczeń Oswalda Balzera... oraz *Pożytek z klasy-ków*, [w:] *Themis a Polska Nowa* (w druku).

⁵⁰ Publicystykę przedstawił świetnie Z. Mazur, op. cit., passim. Por. też tekst B. Grochowskiej, op. cit.

⁵¹ J. Makowski, *Pamięci Zygmunta Wojciechowskiego*. „Za i Przeciw” 1958, nr 46.

⁵² L. Koczy, *Śp. Zygmunt Wojciechowski 1900–1955*, „Teki Historyczne” 1955–1956, t. 7, s. 152–153.

jubileuszu 30-lecia swej pracy naukowej określał swe życie jako czas podzielony na „trzy epoki geologiczne”, jakimi były okres lwowski („to czasy monarchii habsburskiej, legitymizmu austriacko-węgierskiego z c.k. namiestnikiem i c.k. generałami, to coś jakby z filmu”), lata poznańskie w Polsce Odrodzonej („będącej w niektórych odcieniach jak gdyby ostatnim echem czasów saskich”) i ostatnie dziesięciolecie przypadające na Polskę Ludową („okres, w którym żyję i działam”). Otóż ta swoista periodyzacja nie pokrywa się w pełni z rzeczywistością. Przenosząc się w 1925 r. do Poznania, historyk nie zamknął za sobą okresu lwowskiego ani jako uczonego, ani jako działacza społeczny; pozostał lwowiakiem i wciąż czuł się uczniem Oswalda Balzera. Trzeba pamiętać, że rozwijana przezeń w latach 30. teoria macierzystych ziem polskich, konstrukcja, która – jak wiemy – najbardziej przyczyniła się do ugruntowania jego sławy jako uczonego i obywatela – miała swą metrykę urodzenia już przed przybyciem do Poznania. Jednym słowem – pragnę krótko omówić niektóre z owych więzi, które połączyły Wojciechowskiego trwale ze Lwowem i tamtejszymi luminarzami nauk historyczno-prawnych, z Owaldem Balzerem na czele.

Jak już wspominałem wyżej, Zygmunt Wojciechowski przyszedł na świat w Stryju w ówczesnej Galicji Wschodniej, ale dzieciństwo i lata szkolne spędził już we Lwowie⁵³, gdzie jego ojciec Konstanty otrzymał posadę nauczyciela gimnazjalnego. Zygmunt Wojciechowski wspominać będzie po latach, że środowisko, w którym się wychowywał, przesiąknięte było silnymi akcentami patriotycznymi i demokratycznymi. Wiemy, że Lwów stanowił ośrodek, w którym ścierały się z sobą najróżniejsze tendencje polityczne, reprezentowane przez rozmaite siły, poczynając od konserwatywnych Podolaków na prawicy, a na ludowcach i socjalistach na lewicy kończąc⁵⁴. Silne wpływy zdobył tu ruch narodowodemokratyczny, który później miał znaleźć w Zygmuncie Wojciechowskim, admistrato-rze Romana Dmowskiego, gorącego zwolennika. Lwów to także centrum, w którym z pietyzmem kultywowano tradycje powstańcze. W domu Wojciechowskich często słuchano opowiadań dziadka o wydarzeniach 1848 r. we Lwowie, o powstaniu na Węgrzech, w którym uczestniczyło dwóch jego stryjów. W pamięci Zygmunta zachowały się też opowiadania dziadka ze strony matki, Antoniego Buczowskiego, o powstaniu z roku 1863, w którym brał udział. Żywe tradycje powstańcze wywarły silne piętno na jego młode lata przed pierwszą wojną światową.

⁵³ Drogę życiową Z. Wojciechowskiego przedstawili najobszerniej A.F. Grabski (op. cit., s. 6 n.) oraz K. Tymieniecki (*Sp. Prof. dr Zygmunt Wojciechowski*, „Życie i Myśl” 1955, nr 5/6, s. 1–5). Ze wspomnień pośmiertnych najbardziej ścisły faktograficznie charakter ma tekst S. Weymana (*Zygmunt Wojciechowski*, „Sprawozdania PTPN” 1955, 19, s. 370–383), najbardziej interesujące są wszelako wspomnienia samego Zygmunta Wojciechowskiego wypowiedziane w trakcie jubileuszu 30-lecia pracy naukowej i 10-lecia Instytutu Zachodniego („Przegląd Zachodni” 1955, R. 11, nr 5–6, s. 293–302).

⁵⁴ A.R. Grabski, op. cit., s. 9–10.

Zygmunt Wojciechowski, który na Łyczakowie z reguły spędzał czas z dziećmi z rodzin rzemieślniczych i chłopskich, rozwijał w sobie przekonania demokratyczne; nigdy nie uczęszczał do szkół prywatnych i – jak wspominał – od początku żywił abominację do tzw. paniczyków. Wybuch wojny zastał go w VI Gimnazjum, a do piątej klasy przez rok uczęszczał w Brnie, dokąd został ewakuowany jego ojciec, po tym jak wojska rosyjskie zajęły Lwów. Zanim zdał w przyspieszonym trybie egzamin maturalny, przeżył barwny epizod żołnierski, zgłaszając się na ochotnika do służby w Polskim Korpusie Posiłkowym⁵⁵. Służba, najpierw w armii austriackiej⁵⁶, potem w Wojsku Polskim – którą Z. Wojciechowski zresztą sobie wysoko cenił – opóźniła podjęcie normalnych studiów uniwersyteckich o całe trzy lata, choć nie osłabiła woli kontynuowania nauki. Uzyskał wtedy – poświęcając na to czas urlopów – zaliczenie dwóch trymestrów na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Lwowskiego. Prawdziwe studia uniwersyteckie rozpoczął dopiero w kwietniu 1921 r. na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jana Kazimierza, ukończył je już jednak w marcu 1924 r. doktoratem z zakresu historii powszechnej średniowiecznej oraz historii nauk społecznych i ekonomicznych⁵⁷. Został wtedy natychmiast przyjęty na stanowisko starszego asystenta w Zakładzie Nauk Pomocniczych Historii UJK – u Jana Ptaśnika, promotora w przewodzie doktorskim. Zachował go we wdzięcznej pamięci, ale bliżej się z nim nie związał. Nie pociągała go ani historia miast, ani żmudne kwerendy w archiwach, których nigdy zresztą nie podjął, bo nie odpowiadały jego temperamentowi badawczemu, skłonnemu bardziej do pracy syntetycznej niż analitycznej. Nie podjął też współpracy z innym badaczem, który cieszył się renomą w środowiskach mediewistycznych, Stanisławem Zakrzewskim. Cenił go za „krytyczny stosunek do wszelkiego przedstawienia historycznego”, miał wszakże za złe, że mówił studentom na wykładzie tylko to, co go w danej chwili interesowało, i tym samym „nie dawał wyobrażenia o istotnym stanie wiedzy w przedmiocie”. Wytykał mu, że „problemy rejestrował, ale ich nie rozwiązywał”. Podobnie z dystansem odnosił się do Franciszka Bujaka. Podziwiał metody pracy, jakie rozwijał F. Bujak ze swymi rzeszami seminarzystów, do których zresztą przez

⁵⁵ Wykazał w trakcie służby wojskowej zmysł taktyczny, hart ducha i odwagę cywilną. W ponańskim Archiwum Uniwersyteckim zachował się rozkaz d-cy grupy artylerii mjr. Łodzińskiego z 16 stycznia 1919 r., w którym zawarto pochwałę podchorążego Zygmunta Wojciechowskiego, komendanta prawego skrzydła ataku za „nadzwyczaj dzielne i bohaterkie zachowanie wobec przeważającego nieprzyjaciela”, w którym „wziął do niewoli 50 Ukraińców i odbił 4 armaty krakowskiej i 2 przemyskiej baterii”. Nieco później – 19 marca 1919 r. – Z. Wojciechowski odznaczony został „za dzielność i wierną służbę Ojczyźnie ku pamięci przebytych bojów w obronie Lwowa i Kresów Wschodnich w r. 1918–1919” odznaką honorową „Orlęta” od d-cy armii Wschód Rozwadowskiego (Archiwum UAM 208/59).

⁵⁶ Służba w armii austriackiej została – po zerwaniu Piłsudskiego z państwami centralnymi – przerwana internowaniem w obozie na Węgrzech i skierowaniem na front włoski.

⁵⁷ A.F. Grabski, op. cit., s. 9.

jakiś czas sam należał, ale historia gospodarcza nie przypadła mu do gustu; sukces w badaniu bywał tu okupiony zbyt wielkim nakładem pracy i czasu spędzonego nad porządkowaniem materiału źródłowego. Umysłem i sercem Zygmunta Wojciechowskiego zawładnął Oswald Balzer, najznakomitszy w swoim czasie znawca historii prawa polskiego, od roku 1887 profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza, autor fundamentalnych dzieł i zasłużony organizator życia naukowego, oddany patron rzesz młodzieży naukowej w latach zaborów i w Polsce Odrodzonej po pierwszej wojnie światowej, cieszący się wielkim autorytetem nie tylko naukowym, ale i moralnym, w szczególności odkąd w roku 1897 ogłosił sławny, komentowany w całej Europie *List otwarty do dra Teodora Mommsena*, w którym odrzucał jego tezę o tym, iż Słowianie są cywilizacyjnie „młodszy”⁵⁸.

Na pytanie, dlaczego Wojciechowski związał się z Balzerem na dobre i na złe, odpowiadał on sam w cytowanym podsumowaniu swej naukowej drogi w roku 1955 następująco. „Jeżeli obecnie zastanawiam się nad przyczynami, dla których zwróciłem się do pracy naukowej pod kierunkiem Oswalda Balzera, to myślę, że jednym z powodów był element prawidłowości, jaki wynikał z jego ujęcia. Oczywiście nie jest to prawidłowość marksistowska i nie zamierzam tu przeprowadzać takiej paraleli. Ale to była już pewna prawidłowość. Przedwojenny burżuazyjny historyk topił się w powodzi luźnie rzuconych faktów i szczegółów. Nie umiano tego uporządkować i usystematyzować. U Balzera było jednak wszystko systemem i układało się w jeden obraz. Co prawda była tam tendencja do statyczności obrazu. My dziś na zjawiska chcemy patrzeć bardziej ewolucyjnie. Balzerowska historia ustroju była jednak przede wszystkim statyczna, aczkolwiek podawała genezę instytucji. Ale oczywiście nie można od jednego pokolenia i od jednego człowieka żądać nadmiernie wiele”.

Wypowiedź tę należy czytać z uwzględnieniem społecznych i politycznych okoliczności, w jakich została sformułowana. Wydaje się bowiem, że Z. Wojciechowski jakby usiłował dawać do zrozumienia, że dzieło Balzera – mimo jego niedoskonałości – również w Polsce socjalistycznej należy uznać za trwałą wartość w historii historiografii polskiej, która może symbolizować wyboistość, ale i dawność polskiej drogi do marksizmu w nauce. Może nobilitując mistrza, usiłował naprawić własną nadszarpniętą reputację w oczach władz PRL-u? Bo wielkość jego misji, polegającej na jak najszybszym i najpełniejszym zintegrowaniu nowo pozyskanych ziem nad Odrą i Bałtykiem z resztą ziem macierzystych Polski, z pewnością narzucała kompromis z polityką komunistycznego państwa. To jednak zespół spraw, które będą wymagały dalszych badań.

Wojciechowski traktował Balzera nie tylko jako swego naukowego patrona, ale jako badacza, który podejmował tematy węzłowe w dziejach polskich, po-

⁵⁸ Ibidem, s. 9–10.

zwalające lepiej zrozumieć szlaki wiodące z przeszłości ku teraźniejszości. Za takie uważał badania nad początkami państwa polskiego, komparatystyczne studia nad przeszłością Słowian, zainteresowania historią Śląska, miejscem Polski w kulturze europejskiej. Imponował mu „postawą uczciwości badawczej”, bliskie mu były formy prowadzonych przez Balzera polemik naukowych, jego zafascynowanie samym trybem dociekania, pracowitość i systematyczność. Ujmował zaangażowaniem w służbę publiczną, której wcześniej uczył go ojciec, długoletni sekretarz „Macierzy Polskiej” we Lwowie⁵⁹. W roku 1955 wspominał: „Zetknąłem się z moim profesorem dopiero po zapisaniu się na Uniwersytet, na pierwszych uniwersyteckich wykładach, na wiosnę 1921 roku. Od tego jednak czasu przez lat dwanaście, aż do śmierci Balzera w roku 1933, łączył mnie z nim stosunek bliskiego przywiązania ucznia do profesora. Pamięć tego nauczyciela pozostawiła trwałe ślady w mojej sylwetce psychicznej”⁶⁰.

Tu dotyczył – sądzę – istoty rzeczy. W sylwetce psychicznej Wojciechowskiego sąsiadowały z sobą pryncypialność z uczuciowością, nakazem opieki nad uczniami⁶¹. Jak podkreślał Leon Koczy⁶² – postawę uczciwości badawczej „odwzajemniał dozągoną lojalnością wobec mistrza, nawet bez chęci wyzwolenia się spod jego uroku”. Traktował Balzera jak drugiego ojca. Posyłał mu swoje teksty do wglądu i skwapliwie wykorzystywał uwagi Mistrza, informował o swoich planach badawczych i wrażeniach z podróży zagranicznych. W *Księdze pamiątkowej ku czci Balzera* z 1925 r. zamieścił wykaz jego prac⁶³. Nagabywany przez Przemysława Dąbkowskiego zgodził się napisać nawet jego biografię naukową⁶⁴. Przyjeżdżał do Lwowa na uroczystości rodzinne Balzerów, a w

⁵⁹ Jego imperatyw, głoszący, że „człowiek tyle jest wart, ile jest pożyteczny społeczeństwu” często wracał w tekstach Z. Wojciechowskiego.

⁶⁰ Oba cytaty por. „Przegląd Zachodni” 1955, R. 11, nr 5–6, s. 295–296.

⁶¹ Dostrzegał to J. Adamus, który sam należał do admiratorów Balzera, od czasu gdy otrzymał odeń negatywną recenzję we własnym przewodzie habilitacyjnym, i który krytykował teorię rodową zarówno w ujęciu Balzera, jak i Wojciechowskiego (J. Adamus, *Polska teoria rodowa*, Łódź 1958, s. 201 i in.). Pierwszemu zarzucał skłonności patriarchalne i populizm (Balzer nie był człowiekiem, który by był skłonny walczyć o prawdy niepopularne), drugiemu – zaślepienie miłością do Balzera (ibidem, s. 203). Zob. J. Bardach, *Jan Adamus (1896–1962). Próba charakterystyki naukowej*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1963, t. 15, z. 1, s. 327 n.

⁶² L. Koczy, op. cit., s. 152.

⁶³ *Bibliografia prac Oswalda Balzera (1873–1925)*, t. I, Lwów 1925, s. XV-LH i osobna nadb., s. 41.

⁶⁴ Do tego nie doszło z powodu zdecydowanego protestu samego Balzera, który do swego ucznia pisał: „[takiej pracy] bezwarunkowo sobie nie życzę. Jest na to czas po śmierci, kiedy się może oceniać spokojnie i bez żadnego już wiązania się wobec żyjącego autora, ponadto uniknie autor podejrzeń, że robi sobie reklamę, bo nikt nie przypuści, żeby taka rzecz mogła być ogłoszona bez jego wiedzy i zgody, niejeden nawet rzuci podejrzenie, że za jego usilnym staraniem czy inicjatywą. Mimo takiej wyraźnie sprzeciwianej mojej myśli Dąbkowski udał się do Pana o napisanie takiej rzeczy. Dziękuję Panu serdecznie za Jego życzliwość dla mnie i oświadczoną gotowość napisania tej rzeczy, ale z przyczyn dopiero co przywiedzionych proszę Go z całym naciskiem, ażeby tej myśli zaniechał; ogłoszenie takiej pracy o wspomnianym charakterze stałoby się dla mnie naj-

poznańskim domu Wojciechowskich nie zapomniano nigdy, że z seminarium Balzerów wywodziła swój naukowy rodowód także dr Maria Świeżawska, żona Profesora. Te więzi kultywowano także po śmierci mistrza w 1933 r. Kiedy w 1954 r. reaktywowano serię II „Studiów nad historią państwa i prawa” Zygmunt Wojciechowski domagał się od władz Polskiej Akademii Nauk, by respektować w stopce serii, że studia zostały „założone przez Oswalda Balzera”⁶⁵. Jeszcze w semestrze letnim 1953/1954 poświęcił swojemu profesorowi cały wykład dla studentów tzw. drugiego stopnia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Poznańskiego.

Balzer w pełni odwzajemniał okazywany mu szacunek i liczne wyrazy przywiązania. Nie tylko drukował prace swego ucznia w lwowskich oficynach⁶⁶, ale i cierpliwie odpowiadał na listy i przesyłki z nadbitkami mimo chronicznego braku czasu. Czynił uwagi merytoryczne, krytykował, ale i słał słowa otuchy. Nieraz zawierały te listy treści bardziej osobiste, co u tego badacza, który trafnie uważany był za kustosza zasad akademickiej hierarchii, było rzadkością. Nie krył osobistej sympatii do swego ucznia i używał nader konfidenckiego tonu. Tak przedstawiała się reakcja Balzera na przesłaną mu bibliografię swych prac, przygotowaną przez młodego poznańczyka i zawierającą spis także literackich tekstów Mistrza: „Wydobył Pan na jaw wszystkie najcięższe grzechy mojej młodości, kiedy głowę zaprzętały mi ładne panienki, a nadmiar zainteresowania się niemi szukał ujęcia w beletrystyce [...]. Choć mi te pierwociny mojego autorstwa nieraz więcej dawały satysfakcji osobistej niż niejedna późniejsza praca naukowa; myślę, że przyszła historia literatury okaże się względna dla mnie, i o rzeczach tych zachowa dyskretne milczenie”⁶⁷.

Innym razem, odpowiadając na sprawozdanie ucznia z podróży do Berlina, pytał przekornie: „A czy miła kawiarenka przy rogu ulic Friedrich- i Charlottenstrasse, którą tak chętnie frekwentowałem jako student berlińskiego uniwersytetu, istnieje jeszcze po dziś dzień? Pozostało mi wiele wspomnień z cza-

większą przykrością [wyróżnienie Balzera – H.O.]. Przepraszam stokrotnie, że tymi sprawami moimi osobistymi zawracam Panu głowę i proszę przyjąć wyrazy prawdziwego poważania i szacunku, Pani ucałowania rączek Balzer” (List O. Balzera z 8 października 1931, Archiwum Oddz. PAN w Poznaniu P111-38).

⁶⁵ List do Komitetu Nauk Prawnych PAN z 23 stycznia 1954 r., Archiwum Oddz. PAN w Poznaniu (sygn. III-8/6).

⁶⁶ We Lwowie ukazały się nie tylko otwierające listę publikacji Wojciechowskiego monografie z roku 1924: *W sprawie Regnum Poloniae za Władysława Łokietka, Ze studiów nad organizacją państwa polskiego za Piastów* (1924) i *Momenty terytorialne organizacji grodowej w Polsce Piastowskiej*, ale także późniejsze monografie: *Ustrój polityczny ziem polskich w czasach przedpiastowskich* (1927), *Sądownictwo prawa polskiego w dobie przedimmunitetowej* (1930), *Ze studiów nad organizacją państwa polskiego za Piastów* (1934). Balzer umożliwiał Wojciechowskiemu druk w ukazujących się we Lwowie pracach zbiorowych oraz oddawał do jego dyspozycji łamy „Kwartalnika Historycznego”.

⁶⁷ List Balzera z 16 marca 1926, Archiwum Oddz. PAN w Poznaniu (sygn. P-III-8).

sów młodzieńczej mojej łobuzerii”⁶⁸. Nie krył satysfakcji, gdy uczeń podjął polemikę z którymś z aktualnych adwersarzy we Lwowie (np. gdy spierał się z S. Zakrzewskim), lubił, gdy z korespondencji z Poznania w ujemnym świetle przedstawiani byli Żydzi: Intensywna wymiana listów trwała aż do śmierci Balzera.

Sukcesy naukowe młodego badacza zwróciły nań uwagę Wydziału Prawa Uniwersytetu w Poznaniu, gdzie właśnie zapowiadał się wakat na stanowisku kierownika Katedry Historii Ustroju i Prawa Polskiego, jako że piastujący tę funkcję Abdon Kłodziński uzyskał upragnione widoki na powrót na Uniwersytet Jagielloński. Zygmunt Wojciechowski został zaproszony do wygłoszenia wykładu w Poznańskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk, gdzie na zebranych, wśród których była większość członków poznańskiej Rady Wydziału, wywarł „bardzo korzystne wrażenie”⁶⁹. Rozpoczęły się negocjacje o jego pozyskanie na poznańską wszechnicę⁷⁰. Konsultowany w tej sprawie Oswald Balzer nie był przeciwny wysunięciu kandydatury swego ulubionego ucznia, ale stawiał warunki, które dla przyszłego habilitanta nie były wcale lekkie. „Najbliższa rzecz, jakiej od niego [Z. Wojciechowskiego – H.O.] zażądałem, to zdanie przynajmniej egzaminu historyczno-prawnego, skoro już nie można myśleć o pełnym studium prawa. Przrzekł mi, że zda go w jesieni. Do habilitacji ma jeszcze napisać nową pracę, której zarys przedstawił w Poznaniu na posiedzeniu TPN, ma ona być gotowa w listopadzie lub w grudniu. Po czym z mojej strony nie będzie żadnych trudności z habilitacją, uważam go za wybitnie uzdolnionego kandydata, przy czym niezmiernie zamiłowanego w nauce. Przy tym i w Poznaniu należałoby na razie poprzestać na poruczeniu mu tylko zastępstwa; z nominacją zaś na profesora nadzwyczajnego wstrzymać się do dalszej jeszcze pracy. Kwestię studiów we Francji uważam za bardzo ważną, zwłaszcza ze względu na jego uzdolnienie, gdyż tkwi w tym rękojmia, że potrafi wiele stąd skorzystać. Sądzę nawet, że lepiej byłoby, gdyby je mógł odbyć zaraz, bo potem trudniej już przerywać, gdy się rozpoczęło zawód nauczycielski, a nadto może zrodzić się pokusa zaniechania ich, a byłoby szkoda. Rozumie się jednak, [że] muszą tu znowu być uwzględnione potrzeby Uniwersytetu waszego – więc nie przesądzając rzeczy pozwalam sobie tylko polecić łaskawej rozwadze szanownych Panów sprawę niniejszą. Dodaję jeszcze, że mam na myśli habilitację wyłącznie z historii ustroju Polski; do habilitacji z całej historii prawa polskiego brakuje ukończonego studium prawniczego oraz osobnych prac z zakresu polskiego prawa sądowego. Inna sprawa, że w razie potrzeby można zlecić także wykład prawa sądowego polskiego, jako zastępcy. Sądzę, że przy swoim uzdolnieniu i częściowym stu-

⁶⁸ List z 20 września 1929, ibidem.

⁶⁹ List dziekana E. Taylora do O. Balzera z 5 czerwca 1924 (Archiwum UAM 208/59).

⁷⁰ Drugim kandydatem był dr Michał Grażyński, późniejszy wojewoda śląski, ibidem.

dium prawniczym dałby sobie radę także i w tym charakterze. Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania. Powolny sługa O. Balzer”.

Warunki te Wojciechowski przyjął i w terminie spełnił, co skłoniło Radę Wydziału do otwarcia mu przewodu i powołania recenzentów. Zostali nimi Balzer i Jan Rutkowski. Recenzja Mistrza, polegająca na szczegółowym rozbiore trzech przedstawionych monografii kandydata, była obszerna i wnikliwa. Nie brakowało w niej akcentów krytycznych. Jej autor dystansował się nieco od tych poglądów Wojciechowskiego, które miały wyrażać zgodność z jego poglądami. Ale konkluzja była pozytywna: Balzer podkreślał zrozumienie autora dla zagadnień z zakresu historii ustroju, jego rzadkie u historyków prawa wykształcenie historyczne, łatwość w „ogarnianiu wielkiego materiału, zdolność do kombinowania, oryginalność i samodzielność, no i wielkie zamiłowanie do pracy naukowej”. Balzer wnosił o dopuszczenie kandydata do kolokwium, z zastrzeżeniem wszelako, że habilitacja dotyczyć będzie tylko historii ustroju Polski, nie obejmie natomiast historii prawa, a to ze względu na nieukończenie studiów prawniczych. Recenzent wyraził nadzieję, że kandydat powiększy w przyszłości swą bibliografię o utwory o treści ściśle historyczno-prawne”. Drugi recenzent, Jan Rutkowski, poparł ten wniosek („wobec wyczerpujących wywodów profesora Balzera [...] w całej rozciągłości, bez zbędnego rozbioru” materii). Rada Wydziału jednogłośnie przyjęła recenzje, wyznaczyła kolokwium na 19 grudnia 1925 r., a ponieważ Balzer usprawiedliwił swą nieobecność na kolokwium⁷¹, na drugiego egzaminatora zaproszono Kazimierza Tymienieckiego. Kolokwium wypadło pomyślnie i zakończyło się jednomyślną uchwałą o przyznaniu *veniam legendi*; podobnie jak przyjęcie wykładu, który dotyczył powstania państwa polskiego i pierwszych wieków jego istnienia. Mimo absencji Balzera „duch” jego unosił się nad obu posiedzeniami w przewodzie, co stanowiło odbicie jego wielkiego autorytetu naukowego i moralnego w młodym środowisku poznańskiego Uniwersytetu, jak i znajdowało potwierdzenie w wypowiedziach samego habilitanta, który o dokonaniach twórczych swojego Mistrza wyrażał się z głębokim, prawie nabożnym szacunkiem.

Autorytet Balzera był wyczuwalny również w trakcie postępowania o nadanie Wojciechowskiemu tytułu profesora nadzwyczajnego jesienią 1928 r. Na wniosek wybranej Komisji pod przewodnictwem dziekana J.J. Bossowskiego Rada Wydziału zwróciła się wtedy o recenzję do czterech autorytetów historii prawa; profesorów: Oswalda Balzera i Przemysława Dąbkowskiego z Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, Stanisława Kutrzeby z Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Stefana Ehrenkreutza z Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Balzer, Dąbkowski i Ehrenkreutz poparli kandydaturę Wojciechowskiego i ponie-

⁷¹ Obecność Balzera na kolokwium błędnie sugeruje M. Mroczko, op. cit., s. 101.

kąd zrozumiałe, że Rada się za nim opowiedziała, ale równie znamienne było, że nad zdaniem odrębnym Stanisława Kutrzeby, który na pierwszym miejscu swej listy wymieniał Adama Vetulaniego, a Wojciechowskiemu wytykał błędy w jego publikacjach, przeszła ona bez dyskusji do porządku.

Oswald Balzer przyjechał do Poznania tylko raz, w roku 1926, by odebrać nadany mu przez Uniwersytet Poznański doktorat *honoris causa*. Choć źródła tego nie przekazują, można sądzić, że nieformalnym inicjatorem i gospodarzem tego wydarzenia był Zygmunt Wojciechowski⁷². Akt promocji miał miejsce 12 czerwca 1926 r., w wypełnionej publicznością wielkiej auli Uniwersytetu i miał podniosły przebieg⁷³. Stanowił on wydarzenie naukowe z dwóch przynajmniej powodów. Za pierwszy trzeba uznać okoliczność, że był to pierwszy doktorat honorowy poznańskiej wszechnicy, nadany na wniosek Wydziału Prawno-Ekonomicznego UP. Drugi stanowiło to, iż był to akt o znamionach niemal sentymentalnych, jako że w Radzie zasiadało wielu uczonych, którzy do stolicy Wielkopolski przenieśli się właśnie ze Lwowa. Poza Zygmuntem Wojciechowskim byli to profesorowie Tadeusz Brzeski (b. docent Uniwersytetu Jana Kazimierza), Marcin Nadobnik (b. adiunkt w Katedrze Statystyki UJK), Alfred Ohanowicz (b. adiunkt Prokuraturii Generalnej we Lwowie), Antoni Peretiatkowicz (b. profesor prawa konstytucyjnego i teorii prawa UJK), Jan Rutkowski (b. docent UJK, historyk gospodarczy), Tadeusz Silnicki (docent prawa kościelnego i kanonicznego UJK) oraz Józef Widajewicz (historyk, wykładowca na Wydziale gościnie) i Marian Zimmermann (b. st. asystent w Katedrze Prawa Administracyjnego UJK)⁷⁴. Lwowiacy trzymali się razem i grali poważne role na Uniwersytecie Poznańskim; należeli do grona „ojców-założycieli” poznańskiej uczelni i piastowali w niej już ważne urzędy – rektora, dziekana, delegata do Senatu. Niektórzy pamiętali seminarium Balzera, wszyscy darzyli go szacunkiem.

Oczywiście nikt z poznańskich uczonych nie mógł wtedy poszczycić się tak dobrą znajomością twórczości Balzera ani nie był tak blisko z nim związany duchowo jak Zygmunt Wojciechowski. Nadanie mistrzowi doktoratu *honoris causa* na Uniwersytecie Poznańskim stworzyło mu też sposobność do chwycenia za pióro, by podjąć pierwszą próbę charakterystyki naukowej Mistrza. Jej tekst wydrukował on w czterech odcinkach na łamach proendeckiego „Dziennika Poznań-

⁷² Dane ilustrujące kulisy doktoratu honorowego zawdzięczam informacjom prof. Alfreda Ohanowicza, jednego z założycieli Wydziału w 1919 r., który sam był uczestnikiem seminarium doktorskiego Balzera.

⁷³ Obszernie relacjonowała ją poznańska prasa. Na przykład „Kurier Poznański” (nr 266 i 268) wydał osobne odbicie z jej szczegółowym opisem oraz tekstem przemówień pt. *Oswald Balzer doktorem honoris causa Uniwersytetu Poznańskiego*.

⁷⁴ Cyt. za: K. Krasowski, *Wydział Prawno-Ekonomiczny Uniwersytetu Poznańskiego w latach 1919–1939*, Poznań 206, s. 92–94, tab. 6.

skiego”⁷⁵. Był to z pewnością najlepszy tekst z zakresu historii historiografii, jaki kiedykolwiek Wojciechowski napisał. Imponował zawartością, był erudycyjny, ale celny w spostrzeżeniach, nade wszystko zaś wolny od elementów hagiografii.

Zygmunt Wojciechowski przedstawił teorię rodową i podzielił drugą z będących przedmiotem sporu z Kutrzbą tezę Balzera, a mianowicie jego pogląd na konstytucję *Nihil novi*. Zgadzał się, że Balzerowe badania praktyki sejmowej wykazały, że do kompetencji sejmu należał „cały zakres ustawodawstwa państwowego”, z wyjątkiem spraw, „które są rozwinięciem, co najwyżej niezasadniczą zmianą ustaw już istniejących”. Brał też w obronę Mistrza w jego sporze ze Stanisławem Zakrzewskim i Michałem Bobrzyńskim o przyczyny wad ustroju i upadku Rzeczypospolitej, przy okazji odrzucając zarzut o „przeroście badań ustrojowych”. Tekst kończył się zwartym opisem sylwetki naukowej Balzera: „Historyk prawa; historyk, obdarzony w pełni zmysłem historycznym, a uzbrojony w doskonałe narzędzie metody historycznej, normy prawne traktujący jako wytwór życia społecznego. Równocześnie prawnik, normy prawne, których powstanie historycznie wyjaśniał, ujmujący w nienagannej konstrukcji dogmatycznej. Klasyczny analityk, a równocześnie znakomity syntetyk, który przy tym zawsze gotów jest do „walki z własnymi argumentami”. I który swego największego dzieła jeszcze nie napisał. Miała nim być *Historia ustroju Polski*”.

Po raz ostatni Zygmunt Wojciechowski odwiedził mistrza jesienią 1932 r. Nic wtedy jeszcze nie zapowiadało kresu życia badacza, który był w dobrej formie. Stało się jednak inaczej, bo Oswald Balzer zmarł po krótkiej chorobie 11 stycznia 1933 r. Wtedy Wojciechowski stał się ponownie kandydatem do napisania biografii naukowej zmarłego. Przygotował ją z pełnym poparciem środowisk prawnohistorycznych i historycznych w ciągu zaledwie paru miesięcy i opublikował w „Kwartalniku Historycznym”⁷⁶. Było to obszerne, ponad sto stron liczące studium, w którym poddał on obiektywnej, rzetelnej analizie twórczość Mistrza. Wyrażał zdanie, że Balzer to „jeden z największych uczonych, jakich Polska kiedykolwiek posiadała, autor tekstów, które nigdy nie stanowiły produktu znamionującego rzemiosło, a były dziełami tworzonymi „z pasją twórczą przy pełnym działaniu kompleksów emocjonalno-intuicyjnych”⁷⁷. Rozwinął swe oceny teorii rodowej, stwierdzając, że od czasów rozprawy *O następstwie tronu w Polsce* przez długi szereg innych studiów przewijało się wykazywanie przez Balzera różnych

⁷⁵ Z. Wojciechowski, *Oswald Balzer jako historyk ustroju Polski. Z powodu promocji na doktora prawa honoris causa Uniwersytetu Poznańskiego*, „Dziennik Poznański” 1926, nr 130–134. Korzystam tu z osobnej, uzupełnionej przez autora nadbitki z paginacją 5–25.

⁷⁶ Z. Wojciechowski, *Oswald Balzer*, „Kwartalnik Historyczny” 1933, R. 47, nr 1, s. 321–446 i os. nadb. s. 130. Skrócona wersja francuska ukazała się pt. *Oswald Balzer et les problemem de l'histoire du droit polonais*, „Revue historique de droit français et étranger” 12, 1933, s. 291–323. Odnótował śmierć mistrza także w „Myśli Narodowej” z 29 stycznia 1933, s. 66–68.

⁷⁷ Z. Wojciechowski, *Oswald Balzer...*, s. 324.

przejawów ustroju rodowego w społecznym i politycznym życiu Polski. Ukazywał dzieło Balzera przy pomocy ocen jego orędowników, ale i przeciwników. Podkreślał jego intuicję i temperament polemiczny, wytworność w obęjściu z ludźmi, „rozkosz docierania do prawdy”. Podkreślał preferowane przezeń metody pracy w prowadzeniu seminarium, wysoki poziom wymagań w stosunku do uczniów: „Powtarzał nam zawsze, że każdy z nas powinien pracę tak przygotować, jakby miał stanąć przed areopagiem uczonych”⁷⁸. Służył ojczyźnie „przez pracę dla kultury duchowej” – podkreślał. W podsumowaniu pisał: „W czasach, gdy Polska pozbawiona była własnej państwowości, gdy własne wojsko zastępowały legendy o śpiących rycerzach w Tatrach, myśl o państwie polskim schroniła się była do pracowni Zmarłego”⁷⁹. Stawiał swego mistrza na równi z Pawłem Włodkowicem, Janem Długoszem, braćmi Śniadeckimi i Lelewelem.

Na zakończenie niniejszych uwag kilka zdań poświęcę złotemu medalowi, stanowiącemu efekt bliskiej i długotrwałej więzi łączącej Wojciechowskiego i Balzera. O medalu tym trzeba wspomnieć choćby dlatego, że jego historia jest niezwykajna. Medal ufundowało społeczeństwo Polski Odrodzonej w podzięce za zasługi położone przez Oswalda Balzera dla nauki i sprawy polskiej przez 45 lat pracy naukowej i obywatelskiej. Medal, odlany z dukatowego złota wysokiej próby, o wadze 270 g i średnicy 6 cm, wykonany przez rzeźbiarza Piotra Wojtowicza i wybity w Państwowej Mennicy w Warszawie, został wręczony badaczowi 4 grudnia 1928 r. na uroczystym posiedzeniu Prezydium Honorowego i Komitetu Obywatelskiego we Lwowie. Wzruszony jubilat kierował wtedy słowa podziękowania do licznych dostojników, w tym imiennie także do Zygmunta Wojciechowskiego, który przemawiał w imieniu uczniów. Mówił – do niego się przede wszystkim zwracając – o powołaniu badacza, dla którego nauka powinna być jak „słońce ożywcze”, a „umiłowanie nauki, umiłowanie naukowej pracy, umiłowanie dla niej samej jest najlepszą rękojmnią jej trwałego napięcia, jej wydatności, jej niezawodnego powodzenia”⁸⁰. Medal przetrwał wojnę w zbiorach rodzinnych. W 20. rocznicę śmierci Balzera jego córka, Helena Szadkowska, rozporządzeniem ostatniej woli zmarłego i w imieniu rodziny przekazała medal Zygmunтови Wojciechowskiemu jako jego „najmilejszemu i najznakomitszemu uczniowi”⁸¹. Przyjmując medal, Z. Wojciechowski powiedział, że traktuje dar jako „sztandar przechodni”, którym wyróżniać się będzie najlepszych historyków oraz historyków prawa i przekazał go Zarządowi PTPN. Medal jednak po śmierci Profesora zginął w niewyjaśnionych okolicznościach i dopiero po la-

⁷⁸ Cytował tu słowa Władysława Semkowicza, *ibidem*, s. 413.

⁷⁹ *Ibidem*, s. 438.

⁸⁰ „Słowo Polskie” nr 338 z 7 grudnia 1928.

⁸¹ List Z. Wojciechowskiego do Zarządu PTPN z 24 marca 1953 (ze zb. Wandy Wojciechowskiej).

tach Maria Wojciechowska kosztem wielu wyrzeczeń odtworzyła go ze środków własnych wraz z trzema replikami z brązu. Prezydium Polskiej Akademii Nauk zaakceptowało wolę Marii Wojciechowskiej i ustanowiło regulamin jego przyznawania, wedle którego o każdorazowym wyniku konkursu miało decydować jury wyznaczone przez Prezydium Oddziału PAN w Poznaniu. Wtedy oryginał medalu ponownie został skradziony, a repliki z brązu przyznano tylko trzykrotnie, bo deklaracja władz PAN o gotowości wybicia dalszych replik nie doczekała się realizacji⁸². Laureatami Medalu im. Oswalda Balzera zostali kolejno badacze powiązani ze szkołą Zygmunta Wojciechowskiego: Kazimierz Jasiński (1983), kontynuator badań zainaugurowanych przez Z. Wojciechowskiego w seminarium Balzera, Józef Matuszewski (1983) – jeden z pierwszych doktorantów Wojciechowskiego, i piszący te słowa (1988), jego naukowy „wnuk”, podejmujący poznańską – „niemiecką” – tematykę Wojciechowskiego⁸³. Na tym zakończył się „epizod” medalowy, smutny, potwierdzający wszelako trwałość więzi łączących Wojciechowskiego z Mistrzem⁸⁴.

⁸² List prezesa PAN do M. Wojciechowskiej z 24 października 1988 r. (ze zb. Wandy Wojciechowskiej).

⁸³ Pierwszy otrzymał Medal za trytomowe dzieło *Genealogia Piastów śląskich*, drugi – za osiągnięcia w badaniu prawa polskiego wieków średnich, trzeci – za prace w zakresie studiów nad ustrojem dawnej Polski oraz historii stosunków polsko-niemieckich.

⁸⁴ Warto dodać, że z przekazaniem przez rodzinę Balzera Medalu jego imienia przedstawicielom młodego pokolenia badaczy łączył się akt przekazania przez córkę Oswalda Balzera sumy 40 000 zł na pomoc „biednym studentom”. Pieniądze te jury pod przewodnictwem Zygmunta Wojciechowskiego – w porozumieniu z kierownikami seminariów Uniwersytetu Poznańskiego – rozdzieliło między studentów, którzy stawali na progu karier naukowych. Między nimi znajdował się piszący te słowa (dane w zb. W. Wojciechowskiej).

Klaus Zernack



„Nauka służy interesowi publicznemu jedynie wówczas,
kiedy z pomocą rzeczowej kompetencji występuje przeciwko
fałszywym pretensjom do wszechobecności”.

I

Zamiast wstępu. Składany do rąk Czytelnika tom zawiera zbiór tekstów Klausa Zernacka. Znany uczony, dziś już nestor historyków niemieckich, pisał je – wielokroć konfrontowany ze zmieniającymi się wyzwaniami czasu i w tkance różnych okoliczności, z potrzeby rozumu i serca, w ciągu paru dziesiątków lat – i publikował w różnych uznanych i mniej renomowanych, i stąd trudno dostępnych w naszym kraju, periodykach i wydawnictwach zbiorowych. Nie jest pierwszym przedstawicielem nauk o przeszłości, który gości na łamach Poznańskiej Biblioteki Niemieckiej. Pamiętamy, że w 1997 r. ukazała się antologia Jürgena Kocki, autora pionierskich tekstów z zakresu metodologii historii społecznej (t. 4: *O historii społecznej Niemiec*), że w 1999 r. dał wybór swych pism badacz dziejów Republiki Weimarskiej Christoph Kleßmann (t. 7: *Sporne problemy współczesnej historii Niemiec. Studia i szkice*), że w latach 2000–2001 autorami ważnych tomów byli Hans-Adolf Jacobsen (t. 11: *Imperatyw pokoju, polityka i wojna w XX wieku*), Reinhart Kosseleck (t. 12: *Semantyka historyczna*) oraz Peter Steinbach (t. 15: *Opór – sprzeciw – rezystencja. Postawy społeczności niemieckiej w Trzeciej Rzeszy a pamięć zbiorowa*). Refleksja o przeszłości własnego kraju i o drodze prowadzącej go z przeszłości ku współczesności była zresztą obecna w każdym z pozostałych woluminów, czy to poświęconych tytanom niemieckiej humanistyki, czy to zawierających reprezentatywne wypowiedzi zbiorowe: historyków literatury, socjologów, filozofów czy teologów. Nie mogło być inaczej także dlatego, że nie *news historyczny*, lecz *habitus*, nie „zdarzeniowość, a mentalność” sytuują się w centrum zainteresowania wydawców serii, lecz to, że Biblioteka postrzega przedmiot owego zafascynowania

w kategoriach „długiego trwania”. Piękne przesłanie o tym, że „niemiecko-polskie sąsiedztwo zobowiązuje” do „rozumnej refleksji”, zwłaszcza wtedy, gdy „pamięć sąsiedztwa różni mocno, a niepięknie”, ale dzieląc, zarazem łączy, w pełni uzasadnia wprowadzenie Klausa Zernacka do grona autorów Poznańskiej Biblioteki Niemieckiej.

Klaus Zernack jest pierwszym autorem serii, który prawie całe swe twórcze życie poświęca badaniu przeszłości stosunków niemiecko-polskich. Postrzega on niemiecko-polskie sąsiedztwo jako ważne zjawisko dziejów Europy, Europy Środkowo-Wschodniej w szczególności. Jest Europejczykiem, szukającym odpowiedzi na trudne pytania o „prahistorię” bogatego sąsiedztwa, na przemian oddalającego od siebie i zbliżającego do siebie Niemców i Polaków. Wykazuje nie tylko znakomitą znajomość polskiej historii, ale i żywi dla Polski wiele szacunku i sympatii. A równocześnie nie przestaje być przedstawicielem nauki swojego kraju; nie protestuje przeciwko temu, co w rodzimej tradycji naukowej uznaje za wartościowe i trwałe, wiele konstrukcji poprzedników przejmuje z uczuciem satysfakcji, ale zarazem odważnie przeciwstawia się poglądom irracjonalnym, zawierającym zarzewie destrukcji. Przy tym nie stawia sobie za główny cel badania mnożenia wiedzy o samych zdarzeniach; bardziej od historii zdarzeń (*Geschehensgeschichte, Ereignisgeschichte*) interesuje go rozumienie historii i jej losów (*Verstehensgeschichte, Wirkungsgeschichte*). Pragnie zrozumieć powikłaną przeszłość, by lepiej zrozumieć teraźniejszość. Jest nie tyle rejestratorem faktów, ile filozofem dziejów, który na bazie zastanego rozpoznania faktograficznego odsłania więzi między zdarzeniami, szuka trendów, porównuje, tropi prawidłowości, interpretuje, polemizuje, prostuje, rzuca pytania, formułuje badawcze pytania. Wiąże z sobą niemieckie i polskie doświadczenia, wykazując rzadką szerokość zainteresowań twórczych, o wyraźnych wszakże preferencjach tematycznych; do raz napoczętych przemyśleń wraca chętnie, powiedziałbym nawet – z uporem. Wszystko to łączy ze stałym obcowaniem z poprzednikami w historiografii. Zernack to historiograf, która ma wizję przeszłości i który wysnutymi z niej perspektywami dzieli się z czytelnikiem. Można powiedzieć, że Zernack pracuje przy otwartej kurtynie. Z pewnością nie ma dziś drugiego historyka w Niemczech, który by tak głęboko znał i dokładnie starał się rozumieć twórczość swoich polskich partnerów i który by – z jednej strony – tak reprezentatywnie przedstawiał trendy w nauce niemieckiej, z drugiej zaś – tak często płynął pod prąd opinii środowisk naukowych w swoim kraju. Klaus Zernack grał i wciąż gra pierwszoplanową rolę w usuwaniu gruzów z pól, na których rozgrywały się niemiecko-polskie spory historiograficzne. Należy go zaliczyć do tych, od których można się uczyć, jak przeciwnika w dyskursie przemieniać w partnera i jak wymianę ciosów przeobrażać w naukowy dialog.

II

O trudnym niemiecko-polskim dialogu historiograficznym. Historiografia wyraża pamięć zbiorową, jest jak tlen, którym oddychają narody. Rejestruje i wyjaśnia trendy przeszłości oraz utrwała osiągnięcia i niepowodzenia w badaniu. W historiografii narody kreślą obraz własny i wizerunek innych. Szczególnie historiografia krajów sąsiadujących z sobą wystawiana bywa na pokusy ujęć jednostronnych, a nawet tendencyjnych; chętnie operując mitami i stereotypami, wyraża kompleksy, ulega uprzedzeniom, a stawiana w obliczu zadań kierowanych w jej stronę spoza sfery nauki, chce być rzecznikiem racji stanu, podporządkowuje się presji opinii publicznej i naciskowi polityków. Historia historiografii stosunków niemiecko-polskich może służyć tu za przykład kliniczny. Jest tak już choćby dlatego, że dzieje Polski i Niemiec się wzajemnie warunkują, ściślej nawet – konstytuują, w tym mianowicie sensie, że się na znacznych obszarach uzupełniają czy wręcz pokrywają. Nie ma dziejów polskich bez uwzględnienia części niemieckich i nie ma dziejów niemieckich bez części polskich¹. Jakże często bywało, że zachód Polski oznaczał niemiecki wschód. Wielowymiarowość sąsiedztwa, bogactwo przeobrażeń na pograniczu – które bywało prawdziwym poligonem różnic w poglądach i które nierzadko przenosiło się na cały obszar obu krajów – wyrażali ludzie, prawo, idee, ale jakże często na te same zespoły zjawisk, na badaną substancję, spoglądano przez pryzmat dyktowany przez impulsy importowane do nauk ze świata polityki, z największym natężeniem w chwilach przełomu, na wirażach historii².

Zrozumiałe, że skomplikowane i wielopiętrowe więzi zachodzące w stosunkach polsko-niemieckich między nauką historii a polityką próbowano pomniejszać, wstydliwie ukrywać czy wręcz negować; często z determinacją i z autentycznym oddaniem występowano w obronie zasady czystości nauk historycznych. Po obu stronach. Pamiętamy znane wypowiedzi naszych mistrzów epoki pozytywizmu, które miały strzec zasady wolności nauki od politycznych infiltracji. Tadeusz Korzon chwalił naukę historii, która winna zaspokajać ważne potrzeby w taki sam sposób, jak czynią to botanika, zoologia czy mineralogia³. Władysław Smoleński podkreślał, że historykowi nie wolno ani na krok wychodzić

¹ K. Zernack, *Die Geschichte Polens und die Geschichte der deutsch-polnischen Beziehungen in der deutschen Geschichtswissenschaft*, 1994 (Referat przygotowany na posiedzeniu Wspólnej Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej do spraw Historii i Geografii przy UNESCO w Poznaniu w maju 1994 r., maszynopis powielany),

² Por. H. Olszewski, *Polska – Niemcy. Z dziejów trudnego historiograficznego dialogu*, [w:] *Wielokulturowość polskiego pogranicza. Ludzie – idee – prawo*, pod red. A. Lityńskiego i P. Fiedorczyka, Białystok 2003, s. 19–30.

³ Cyt. za M.H. Serejski, *Miejsce pozytywistycznej szkoły warszawskiej w historiografii polskiej XIX wieku*, „Kwartalnik Historyczny” 1955, R. 62, nr 3, s. 77.

poza to, co jest odkrywaniem, rejestrowaniem i objaśnianiem zjawisk⁴. Aleksander Kraushar wywodził, że historia może być użyteczna jedynie wtedy, kiedy jest bezstronną; nawoływał do „spokojnej i beznamietnej analizy faktów”⁵. Również historycy niemieccy składali deklaracje na temat nauki, której najszczytniejszym celem jest ustalanie prawdy, obiektywnej i trwającej w „chemicznej” czystości, odpornej na impulsy polityki⁶. Dewiza Leopolda Rankego, by poprzestawać na odtwarzaniu tego, „jak to właściwie było”, długo zaliczana bywała do kanonu naukowego dociekania. Służenie prawdzie nie oznaczało oczywiście głuchoty i obojętności na trendy czasu i potrzeby narodu. Richard Roeppele, współpracownik Polskiej Akademii Umiejętności i członek honorowy Polskiego Towarzystwa Historycznego, mówił z trybuny Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w 1880 r., że „[...] nauka nie może dzielić narodów, ona je łączy”⁷. Piękne słowa pozostawały w sferze deklaracji: nie uwzględniały już ducha czasu i tego politycznego kontekstu, który rzucał długi cień na stosunek cesarstwa do sprawy polskiej. Historia stała się instrumentarium polityków, którzy interpretacje przeszłości wykorzystywali dla sterowania świadomością polityczną, częstokroć dla manipulowania nią. W ferworze wzajemnych oskarżeń, jakie wypowiadano pod wpływem politycznych powiązań i zobowiązań badaczy, uchodziły uwadze szerokiej opinii rzetelne dociekania o ewidentnych walorach poznawczych, których i w toku najbardziej zaciekle prowadzonych sporów nie brakowało. Przeważały ujęcia nacechowane uprzedzeniami, wrogością, postawami nacjonalizmu i ksenofobii. Przyczyniał się do tego m.in. fakt, że badania historyczne Niemców i Polaków skazane były na uwzględnianie swego asynchronizmu w dziejach sąsiadujących z sobą wspólnot. Asynchronizm miał rodowód polityczny i odciskał się w nauce historii w związku ze zmieniającymi się kolejami dziejów, w których – w czasach najnowszych – wzloty u jednych z reguły sąsiadowały z upadkami u drugich. Kiedy wilhelmińska Rzesza przygotowywała się do wielkiej wojny, Polacy w zaborze pruskim rozpaczliwie bronili narodowej egzystencji. Gdy odrodzona Rzeczpospolita wskrzeszała i umacniała swą obecność w rodzinie państw niepodległych, Niemcy otrząsały się z szoku po katastrofie roku 1918 i utracie ziem na wschodzie. Kiedy załamał się w Niemczech totalitaryzm narodowosocjalistyczny, Polska wchodziła w orbitę totalitaryzmu komunistycznego. Po 1945 r. po obu stronach

⁴ W. Smoleński, *Szkoły historyczne w Polsce. Główne kierunki poglądów na przeszłość*, [w:] *Wybór pism*, wstęp C. Bobińska, Warszawa 1954, s. 511.

⁵ A. Kraushar, *Ze wspomnień osobistych o Adolfie Pawińskim*, „Kwartalnik Historyczny” 1897, R. 11, s. 518–519.

⁶ Por. G. Rhode, *Die Geschichte Polens in der deutschen Geschichtsschreibung*, [w:] *Nationalgeschichte als Problem der deutschen und der polnischen Geschichtsschreibung*, Braunschweig 1983, s. 107 i n.

⁷ Cyt. za K. Zernack, op. cit. (jak w przyp. 1).

Łaby lizano rany, ale czyniono to odrębnie, w izolacji od siebie, w klimacie wrogości charakterystycznym dla podzielonej Europy. Skutek był taki, że między stronami brakowało elementu równorzędności i partnerstwa, tak nieodzownych dla prowadzenia dialogu. Strony mówiły różnym językiem, kierowały się odmienną hierarchią wartości, a obrachunek z własną przeszłością podsuwał różne tematy i różne pomysły ich rozwiązania. W tej sytuacji o jednolitą interpretację przeszłości – w szczególności przeszłości wzajemnych stosunków – było bardzo trudno.

Początki niemieckich, obejmujących Polskę, badań wschodnich nie mają dziś dobrej reputacji. W swoim czasie jednak ich instrumentalna użyteczność zaskarbiała im wysokie oceny. Zjednoczenie Niemiec kierowało uwagę historyków niemieckich na Rosję i – w pewnej mierze – na Bałkany jako teren wspólnej penetracji nauki niemiecko-austriackiej, która wspierała powstanie w przyszłości Wielkich Niemiec. Polski nie było na politycznej mapie Europy i żaden protagonista pruskiej polityki nie wiązał kariery „małych Niemiec” tak fundamentalnie z zachowaniem istniejącego statusu sprawy polskiej, jak Bismarck i jego historycy⁸. W opinii wielu niemieckich autorów rozbiory definitywnie zamykały dzieje Polski jako państwa; były aktem dziejowej sprawiedliwości. Zarówno przedstawiciele tzw. pruskiej szkoły historiograficznej z Droysenem, Sybelem i Treitschkiem⁹, jak i badacze wszechniemieccy z Schäferem i Belowem czy reprezentanci teologii wojny z roku 1914, marzący o należnym Rzeszy „miejscu pod słońcem”, stali na gruncie pochodzącej jeszcze z okresu romantyzmu konstrukcji, która głosiła, że naród, który dopuścił do utraty własnego państwa, nie zasługuje na to, by mu je zwrócić¹⁰. Zaporowa polityka wobec sprawy polskiej, w tym wobec polskiej historii, prowadziła do stanu, w którym nacjonalizm – imperialny i integralny nacjonalizm Niemców oraz emancypacyjny, walczący o prawo do życia nacjonalizm Polaków – coraz bardziej oddalał od siebie obie historiografie. Imperialna polityka Rzeszy, wymagająca uzasadniania niemieckości „Wschodu”, rzucała długi cień na trendy w historiografii Cesarstwa. W powstających w pierwszej dekadzie XX w. seminariach i katedrach historii Europy Wschodniej nie podejmowano problematyki polskiej, ignorując głosy polskich historyków i publicystów¹¹. Wspomniany Roeppeł mógł opubli-

⁸ K. Zernack, *Die Geschichte Preußens und die deutsch-polnischen Beziehungen*, [w:] idem, *Preußen – Deutschland – Polen. Aufsätze zur Geschichte der deutsch-polnischen Beziehungen*, Hrsg. von W. Fischer und M.G. Müller, Berlin 1991, s. 126.

⁹ Zob. H. Olszewski, *Dzieje Polski XVI – XVIII w. w ocenie historiograficznej szkoły pruskiej*, [w:] *Strefa bałtycka w XVI–XVIII w. Polityka – społeczeństwo – gospodarka*, red. J. Trzoska, Gdańsk 1993, s. 71 i n.

¹⁰ Idem, *Nauka historii w upadku. Studium o historiografii i ideologii historycznej w imperialistycznych Niemczech*, Warszawa – Poznań 1982, *passim*.

¹¹ A. Lawaty, *Das Ende Preußens in polnischer Sicht. Zur Kontinuität negativer Wirkungen der preußischen Geschichte auf die deutsch-polnischen Beziehungen*, Berlin 1986, s. 15 i n. Historyk Otto

kować tylko pierwszy tom swej *Historii Polski*, doprowadzony – jak wiadomo – tylko do roku 1302.

Po roku 1918 sytuacja musiała naturalnie ulec zmianie. Odzyskanie przez Polskę niepodległości nie pozwalało zbywać dziejów polskich i wypowiedzi polskich badaczy milczeniem. Historiografia niemiecka miała teraz bronić polityki rewizji postanowień traktatu wersalskiego i być dostarczycielką argumentów na rzecz powrotu utraconego Wschodu. Traktując Polskę jako „państwo sezonowe”, czerpiąc z teorii „ziemi kulturowej i narodowej” (*deutscher Volks- und Kulturboden*)¹² stawiała sobie za cel wykazywanie młodszości, sc. niższości cywilizacyjnej Polski. Wyrazem tego trendu była praca zbiorowa *Deutschland und Polen. Beiträge zu ihren geschichtlichen Beziehungen*, przywieziona przez delegację niemiecką na Międzynarodowy Kongres Nauk Historycznych w Warszawie w roku 1933. Praca zawierała krytyczne – w części wręcz agresywne – oceny tysiącletnich dziejów polskich, spisane przez czołowych badaczy okresu Republiki Weimarskiej, a data jej ukazania się ułatwiła uznanie jej przez historyków polskich, którzy solidarnie jej tezom się przeciwstawili, za zapowiedź zwrotu całej nauki niemieckiej od historiografii zorientowanej nacjonalistycznie, ale przecież wciąż pracującej za pomocą metod naukowych, w stronę ideologii narodowosocjalistycznej z całą jej arogancją i politycznym konformizmem.

W Trzeciej Rzeszy względna równowaga między nauką a polityką w historiografii niemieckiej przestała istnieć definitywnie, i rozwodzić się nad przesłankami tego stwierdzenia nie ma potrzeby. Ukazywać się mogły wtedy tylko takie publikacje, które były zgodne z zasadami polityki Hitlera i wspierały idee tzw. narodowosocjalistycznego światopoglądu. Spektrum rozciągało się zresztą szeroko: od wydanej w 1934 r. książki mieszkającego w Polsce Kurta Lücka pod wiele mówiącym tytułem *Niemieckie siły sprawcze w rozwoju Polski* (*Deutsche Aufbaukräfte in der Entwicklung Polens*) po naukowo-propagandową aktywność takich instytucji, jak berlińska *Placówka wydawnicza* (*Publikationsstelle*) w kierowanym przez Brackmanna Tajnym Pruskim Archiwum Państwowym w Dahlem, w której na użytek wewnętrzny tłumaczono polskie prace historyczne i poddawano je zgodnej z wytycznymi NSDAP interpretacji, tworząc w ten sposób podwaliny pod badania wschodnie rozumiane jako jedna z ważnych nauk walczących (*Kampfwissenschaft*) w służbie państwa wodzowskiego¹³. W czasie

Hoetzsch pisał o „polskim niebezpieczeństwie” i chciał w 1906 r. w Akademii Królewskiej w Poznaniu uruchomić program badań nad „pruskim i słowiańskim Wschodem”. Wydawane przezeń pismo „Ostland” nosiło podtytuł: „Jahrbuch für ostdeutsche Interessen”.

¹² Por. H. Olszewski, *Die deutsche Ostforschung zwischen Wissenschaft und Politik*, [w:] E. Oberländer (Hrsg.), *Polen nach dem Kommunismus*, Stuttgart 1993, s. 83 i n.

¹³ A. Brackmann (Hrsg.), *Deutschland und Polen. Beiträge zu ihren geschichtlichen Beziehungen*, München – Berlin 1933. Por. wypowiedzi w „Rocznikach Historycznych” 1933, R. 9, s. 280–304) oraz w „Kwartalniku Historycznym” 1934, R. 48, s. 776–886.

drugiej wojny światowej działalność ta była wspierana m.in. przez placówki ulokowane na ziemiach Rzeczypospolitej, takie jak seminarium historyczne Uniwersytetu Rzeszy w Poznaniu (Reichsuniversität Posen) czy Instytut Niemieckiej Pracy na Wschodzie (Institut für Deutsche Ostarbeit) w Krakowie, w którym ze względów przede wszystkim politycznych, ale i praktycznych zatrudniono – problem do dyskusji: na ile skutecznie – także kilkunastu badaczy polskich¹⁴. W rezultacie pogłębiała się podległość historiografii polityce, co łączyło się ze wzrostem nacjonalizmu i uniemożliwiało połuznienie gorsetu polonofobii. Nieliczne teksty, które oparły się temu trendowi, były krytykowane i dotyczyły tematów marginalnych. Było to złe dziedzictwo, z którym odradzającej się po 1945 r. niemieckiej historiografii trudno będzie się uporać.

Historycy polscy też nie dążyli do dialogu. Odzyskanie państwa w 1918 r. i antypolska polityka Republiki Weimarskiej powodowały zerwanie dotychczasowych wątków naukowych kontaktów. Myśl powołania polsko-niemieckiej komisji ekspertów, którzy by dokonali przeglądu podręczników szkolnych i zastanowili się nad usunięciem z nich skrajności, jaka wyszła od niemieckiego pacyfisty Helmuta Gerlacha w roku 1924, została przez stronę polską zignorowana¹⁵. Polscy badacze stali się rzecznikami wersalskiego ładu, podbudowywali historycznymi argumentami jego postanowienia, zwracając się przeciwko wszystkiemu, co mogłoby zagrozić odzyskanej niepodległości i dać atuty do ręki zwolennikom rewizjonistycznej idei, głoszącej, że Odrodzona Polska to tylko „państwo sezonowe”. Głęboko polityczne konotacje wyrażała polska myśl zachodnia z jej podstawową tezą, obwieszczającą, że pierwotne obszary polskiego osadnictwa to ziemie nad Odrą, Nysą i Bałtykiem i że wypieranie Polaki z nich przez Brandenburgię, Zakon Krzyżacki i Prusy jako forpocztę Niemiec, stanowiące charakterystyczną cechę dziejów ojczystych, stanowiło praprzyczynę wszystkich polskich nieszczęść¹⁶. Rezultatem był wizerunek Prus-Niemiec jako śmiertelnego wroga Polski. Po roku 1919 zwolennicy myśli zachodniej znaleźli instytucjonalne ramy dla swej aktywności w nowo powstałej Wszechnicy Piastowskiej, czyli w Uniwersytecie Poznańskim. To tu uprawiali badania nad historią i współczesnością Niemiec i stosunków polsko-niemieckich znani uczeni: archeolog Józef Kostrzewski, etnolog Jan Stanisław Bystroń, antropolog Jan Czekanowski, historycy Bronisław Dembiński i Kazimierz Tymieniecki, ję-

¹⁴ Por. A. Rybicka, *Niemiecki Instytut Pracy Wschodniej (Institut für Deutsche Ostarbeit), Kraków 1940–1944*, Warszawa 2002, s. 139 i n.

¹⁵ Por. H. Olszewski, *Helmuta Gerlacha rozważania o ideologii i polityce niemieckiej w latach 1890–1935*, [w:] *Myśl polityczna od historii do współczesności*, red. B. Stoczek i M. Jaskólski, Kraków 2000, s. 313 i n.

¹⁶ H. Olszewski, K. Sikorska-Dzięgielewska, *Poznańska szkoła historii prawa. Refleksje o badaniach niemoznawczych w latach 1939–1949*, [w:] *Studia z dziejów historia państwa i prawa*, Poznań 202, s. 275–294.

zykoznawcy Tadeusz Lehr-Spławiński, Mikołaj Rudnicki, ks. Stanisław Kozirowski, Józef Widajewicz i historycy prawa Teodor Tyc, Zygmunt Wojciechowski i Marian Z. Jedlicki. W Poznaniu żywa była tradycja Powszechnych Wykładów Uniwersyteckich i działały znane ośrodki studiów nad Zachodem: Instytut Zachodniosłowiański, Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Polski Związek Zachodni, Zachodnia Agencja Prasowa – oraz redagowano renomowane periodyki poświęcone kwestii niemieckiej: „Slavia Occidentalis”, „Roczniki Historyczne”, „Strażnica Zachodnia”¹⁷. Zbrodnie drugiej wojny światowej i ideologia głosząca powrót Polski na prastare – jak mówiono – ziemie piastowskie, a także polityka rewizjonizmu terytorialnego Niemiec Zachodnich sprawiły, że obraz stosunków polsko-niemieckich, wypełniony elementami wrogości i walki, został zadekretowany przez nowe władze jako jeden z najważniejszych czynników narodowej integracji¹⁸. Stąd do ideologii antyniemieckiego nacjonalizmu nie było daleko, do wybiórczego obchodzenia się ze źródłami – tym bardziej; najdalej było do atmosfery sprzyjającej naukowej współpracy, skoro sylwetkę niemieckiego partnera-przeciwnika najpełniej uosabiały ziomkostwa, wysuwające żądania rewizji jałtańskiego i poczdamskiego ładu. W następstwie kariery robiło takie ujmowanie historii wzajemnych relacji, w którym przechodzono do porządku nad wszystkim, co niegdyś łączyło oba kraje. Brzemienne w negatywne skutki musiało być już choćby to, że wizerunek sąsiada obejmował z reguły całe tysiąclecie. W tytule znanej rozprawy, nawiązującej do przemysłów z lat trzydziestych, napisanej w czasie okupacji i ogłoszonej drukiem w 1945 r. jako tekst inauguracyjny działalności wydawniczej Instytutu Zachodniego, Zygmunt Wojciechowski oznajmiał, że stosunki między Polską a Niemcami to dzieśnięć wieków zmagania¹⁹. Badacze polscy – Józef Feldman, Kazimierz Piwarski, Marian Friedberg i Kazimierz Tymieniecki – mówili jednym głosem, kiedy zbrodnie Hitlera traktowali jako prostą kontynuację polityki margrabiów brandenburskich, Krzyżaków, Hohenzollernów – protoplastów współczesnych organizacji przesiedleńczych. W recenzji znanej książki Friedricha Meinecke *Die deutsche Katastrophe. Erinnerungen und Betrachtungen*²⁰ z 1946 r. Wojciechowski wyrażał przekonanie, że historycy niemieccy, głosząc idee zafascynowania wojną oraz wysuwając historyczne tytuły zdobyczne mające uzasadnić niemiecką misję na Wschodzie, ponoszą współodpowiedzialność za wybuch,

¹⁷ Por. H. Olszewski, *Miedzy nauką a polityką: Instytut Zachodni w latach 1944–2004*, „Przegląd Zachodni” 2004, R. 60, nr 2, s.14; idem, *Zdzisław Kaczmarczyk 1911–1980*, Poznań 2005, s. 59 i n.

¹⁸ R. Jaworski, *Die polnische Westforschung zwischen Politik und Wissenschaft*, [w:] E. Oberländer (Hrsg), *Polen nach dem Kommunismus*, Stuttgart 1993, s. 94 i n.

¹⁹ Z. Wojciechowski, *Polska – Niemcy. Dziesięć wieków zmagania*, Poznań 1945.

²⁰ Wiesbaden 1946.

²¹ Idem, *Katastrofa Niemiec w oświeceniu historyka niemieckiego*, „Przegląd Zachodni” 1947, R. 3, nr 7–8, s. 687.

przebieg i rezultat zarówno pierwszej, jak i drugiej wojny światowej²¹. Uwalnianie się z gorsetu tych wyobrażeń następowało powoli i dokonywało się pośród trudności importowanych do nauki m.in. ze świata polityki, także polityki NRD. Jeszcze w późnych latach sześćdziesiątych dwaj historycy niemałego formatu – Gerard Labuda i Jerzy Krasuski – próbowali zebrać kwestie, które w ujmowaniu stosunków polsko-niemieckich w przeszłości były sporne. Lista była długa i obejmowała problemy, które sięgały od średniowiecza po rozbiory i od czasu międzywojnia aż w późne lata czterdzieste²².

Jak by nie oceniać motywów i podtekstów aktywności historyków polskich pierwszej powojennej dekady na polu ujmowania „problemu niemieckiego”, który stanowił ważną część ówczesnego „frontu ideologicznego”, przewaga zainteresowania dziejami sąsiada była po stronie polskiej. Historycy niemieccy (zachodnioniemieccy) znajdowali się w trudniejszej sytuacji, a nieliczni badacze, którzy podejmowali krytyczną rozprawę z poprzednikami we własnym środowisku – tacy jak Werner Philipp, Gotthold Rhode, Herbert Ludat, Hans Roos czy Eugen Lemberg – stawali przed zadaniem ogromnie niewdzięcznym. Trzeba pamiętać o stratach w materialnej i osobowej substancji, które przecież również w Niemczech były po 1945 r. ogromne. Należy uzmysłowić sobie ogrom deficytu moralnego, który nie pozwalał godzić się z utratą „niemieckiego Wschodu”. Nie można wreszcie tracić z pola widzenia okoliczności, że nowa sytuacja polityczna na kontynencie wymuszała, a w każdym przypadku prowokowała do trwania w postawach sprzyjających nacjonalizmowi i konfrontacji. Obecność komunizmu na Wschodzie, istnienie konia trojańskiego, jakim była NRD, wreszcie wejście Polski na drogę totalitaryzmu stalinowskiego w poważnym stopniu utrudniały krytyczne rozliczenie się z niepiękną przeszłością, uniemożliwiając tym samym również „nowy początek” ujmowania przeszłości Polski. Próbowano raczej ratować to, co jeszcze uratować było można. Kiedy np. Hermann Aubin przekonywał, że zmienione podziały w Europie Środkowo-Wschodniej automatycznie rewidują zadania nauk o „niemieckim Wschodzie”, w tym mianowicie sensie, że narzucają wystawienie krajów za żelazną kurtyną poza Europę sensu *stricto*, oznaczało to w gruncie rzeczy trwanie na dawnych pozycjach historiograficznych, sprawdzonych w Republice Weimarskiej²³. Jak komunizm stanowił przesłankę ideologizowania warsztatu uczonych polskich, tak antykomunizm oddalał od rzeczowych racji stanowisko uczonych niemieckich. Zrozumiałe zatem, że w latach pięćdziesiątych – w pierwszej dekadzie Republiki Federalnej Niemiec – historiografia zachodnioniemiecka albo unikała dialogu, albo ujmowała problem stosunków z Polską w kontekście konfliktu

²² *Stosunki polsko-niemieckie w historiografii*, red. J. Krasuski, G. Labuda, A.W. Walczak, t. I-III, Poznań 1974, 1987, 1991.

²³ „*Zeitschrift für Ostforschung*” 1 (1952), s. 13–16.

Zachód – Wschód. Było to widoczne w opublikowanej w 1956 r. ekspertyzie zachodnioniemieckiej Komisji do spraw Wychowania, a także w Zaleceniach Konferencji Ministrów Kultury poszczególnych krajów RFN, które miały jednoznacznie antykomunistyczne zabarwienie²⁴. W tym stanie rzeczy nie mogło dziwić, że bodaj jedyną wspólną osobliwością nauk historycznych w Polsce i w Niemczech Zachodnich było zgodne ignorowanie jednostronnie demaskatorskich tendencji eksponowanych w tekstach publikowanych w NRD²⁵.

Rezultaty przychodziły powoli. W latach sześćdziesiątych wielkie obszary niemiecko-polskiej historii wciąż były domeną nauki polskiej, mimo że pojedyncze, w niektórych przypadkach wartościowe prace autorów niemieckich – mam na myśli teksty Jörga Hoenscha, Gottfrieda Schramma, Hansa Roosa czy Gottholda Rhodego – zdawały się zasadę *Polonica non leguntur* przełamywać. Otwierał drogi do dialogu ocieplający się klimat, wynikający z coraz częstszego wywodzenia przez stronę polską powojennej granicy zachodniej nie z mapy czasów piastowskich, a z politycznych postanowień mocarstw w latach czterdziestych. Oddalało odeń – w Niemczech – niedoceniające historii regionalnej, krajowej, zaniedbania na polu badania przeszłości Prus, Pomorza czy Śląska, czyli traktowanie pogranicza jako muru, czegoś, co dzieli, nie zaś jako szerokiego pasa o wielokulturowej tradycji i wielowarstwowej wspólnocie interesów.

Wyraźne przeobrażenia stały się dostrzegalne dopiero w latach siedemdziesiątych. Były one możliwe w związku z ogólnym odprężeniem politycznym w Europie oraz początkami normalizacji we wzajemnych stosunkach między PRL a RFN. Na odprężeniu współpraca między polską nauką historyczną a niemiecką zyskała najwięcej, bo jakkolwiek z jednej strony stosunki niemiecko-polskie były historycznie mocno obciążone, to z drugiej dochodziła do głosu gotowość współdziałania, a i dobre przygotowanie stron do prowadzenia dialogu zaczęło się liczyć. Polscy historycy byli fachowcami i podobnie jak ich niemieccy partnerzy mieli wiele dobrej woli w wyjaśnieniu badanej substancji; uwagę zwracały coraz bardziej stabilne więzy między środowiskami, instytucjami i specjalistami poszczególnych zagadnień. Kształtował się klimat, w którym dyskusje oraz chęć poznania i zrozumienia się zaczęły stopniowo torować drogę do „unaukowienia” badań nad niemieckim Wschodem i polskim Zachodem. Pokazały to niemiecko-polskie kolokwia na wyspie Reichenau, dalej – debata, do jakiej doszło w kuluarach Światowego Kongresu Historyków w Bukareszcie w 1980 r., międzynarodowe sympozja organizowane przez niemiec-

²⁴ K. Zernack, *Das Jahrtausend deutsch-polnischer Beziehungsgeschichte als geschichtswissenschaftliches Problemfeld und Forschungsaufgabe*, [w:] W.H. Fritze i K. Zernack (Hrsg.), *Grundfragen der geschichtlichen Beziehungen zwischen Deutschghen, Polaben und Polen*, Berlin 1976, s. 33 i n.

²⁵ H. Olszewski, *Die deutsche Historiographie über Polen aus polnischer Sicht*, [w:] D. Dahlmann (Hrsg.), *Hundert Jahre Osteuropäischer Geschichte. Vergangenheit, Gegenwart und Zukunft*, Stuttgart 2005 (=Quellen und Studien zur Geschichte des östlichen Eurropa), s. 288.

kie fundacje, takie jak Alexander von Humboldt-Stiftung²⁶, Friedrich Ebert-Stiftung czy Robert Bosch-Stiftung, dalej – działalność grupy roboczej Germania-Slavica przy Wolnym Uniwersytecie w Berlinie Zachodnim, wreszcie intensywna wymiana uczonych między Komisją Historyczną w tym mieście (Historische Kommission zu Berlin) a Instytutem Historii Polskiej Akademii Nauk.

Na tym tle trzeba wyróżnić przede wszystkim dzieło Polsko-Zachodnioniemieckiej Komisji do spraw Podręczników Szkolnych z Historii i Geografii, jaka powołana została w 1972 r. na mocy postanowień traktatu między Polską a Republiką Federalną z 7 grudnia 1970 r. o podstawach normalizacji wzajemnych stosunków. Pierwotnym zadaniem Komisji było – jak wiadomo – dokonanie przeglądu spornych problemów w dziejach niemiecko-polskich stosunków – od średniowiecza po czas po 1945 r. – i oczyszczenie podręczników w obu krajach z fałszu, jednostronności i tendencyjności ujęć, w szczególności uwolnienie ich od elementów rasizmu i nacjonalizmu. Po czterech latach intensywnych, twardych, ale przecież rzeczowych rozmów, prowadzonych z udziałem czołowych badaczy z obu stron, udało się sformułować i opublikować Zalecenia (*Empfehlungen*)²⁷. Zalecenia w syntetycznej, lakonicznej, w kilku przypadkach w wręcz dyplomatycznej formie oddawały aktualny stan badań i formułowały perspektywę i kierunki ich prowadzenia w przyszłości. Były – jak to określał Klaus Zernack (I/9,12) – „szczególnego rodzaju historiografią” i wyrażały „ optymizm intelektualny”. Stanowiły one niewątpliwie sukces historiografii polskiej, ale ukazały też siłę i morale historiografii niemieckiej. Wymagały one akceptacji czynników politycznych i oświatowych: i o ile w PRL nie było z tym problemów, a władze interesowały się właściwie tylko formami ich odbioru przez opinię zachodnioniemiecką, o tyle w Niemczech Zachodnich wywołały one ostre kontrowersje o poważnym ciężarze emocjonalnym i ewidentnych implikacjach politycznych. I trzeba podkreślić z głębokim szacunkiem sposób, w jaki historycy niemieccy – uczestnicy negocjacji w Komisji – bronili w poszczególnych landtagach (szczególnie w tych, w których przewaga należała do chadeków i liberałów) i w mediach powziętych uzgodnień przed zarzutami wyprzedzały tradycyjnych niemieckich wartości i korzenia się przed komunistyczną propagandą. Odważnie występowano przeciwko tezie przeciwników, głoszących pogląd o „demagogii” czy wręcz „kiczu” pojednania, i zwolennikom tzw. zaleceń alternatywnych. Trafne wydaje się stwierdzenie, że jeżeli kiedykolwiek po roku 1848 na forum niemieckich organów przedstawicielskich roz-

²⁶ Por. mój art. *Die Bedeutung der Alexander von Humboldt-Stiftung für Polen*, [w:] *Alexander von Humboldt-Stiftung. Mitteilungen* nr 67 Juli 1996, Bonn 1996, s. 52–53.

²⁷ *Empfehlungen für Schulbücher der Geschichte und Geographie in der Bundesrepublik Deutschland und der Volksrepublik Polen*, [w:] *Internationales Jahrbuch für Geschichts- und Geographielehrer*, Bd. XVII, Braunschweig 1977, s. 155–184. Wydano je w obu krajach w łącznym nakładzie 300 tys. egzemplarzy.

legał się głos szacunku i niekłamanej sympatii dla Polski, to właśnie wtedy – w latach 1976–1977²⁸. Bilans Zaleceń przewyższał też wszystko, co pozostawiły po sobie inne podobne komisje bilateralne, czynne w wielu krajach, w tym komisja polsko-enerdowska, a także komisje, które ukształtowały się na innych kontynentach, np. w Azji.

Zalecenia stały się zarzewiem stałej współpracy naukowej historyków obu krajów, a jej efektem były fachowe konferencje organizowane na przemian w Polsce i Niemczech w szerokim reprezentatywnym składzie, poświęcone fundamentalnym, wymienionym w Zaleceniach kwestiom spornym. Około dwadzieścia konferencji polsko-niemieckich odbyło się na przestrzeni kilkunastu zaledwie lat, które zajęły się newralgicznymi kwestiami w przeszłości wzajemnych stosunków. Były to m.in. problem krzyżacki, rola Śląska i Pomorza w historii stosunków niemiecko-polskich w średniowieczu i potem na progu czasów nowożytnych, reformy i ustrój epoki oświecenia, problem rozbiorów, stosunki polsko-niemieckie w okresie powstań narodowych i Wiosny Ludów, industrializacja, społeczne przeobrażenia i rozwój ruchu socjalistycznego, rozwój wzajemnych relacji w trudnych latach 1919–1932, problematyka naroduwa w historiografii, wzajemne stosunki w latach nazizmu, formy oporu przeciwko narodowemu socjalizmowi w latach drugiej wojny światowej, a także ewoluowanie stanowisk w pierwszej dekadzie po roku 1945. Ponieważ materiały konferencji każdorazowo były publikowane w obu językach, po raz pierwszy mogli niemieccy rzeczoznawcy w zakresie historii Polski i stosunków niemiecko-polskich zwracać się bezpośrednio do polskiego czytelnika. Gremium ekspertów, którzy w tych spotkaniach uczestniczyli, stale się powiększało, i można powiedzieć, że co prawda na treść podręczników dyskusje uczonych nie wpływały lub wpływały nieznacznie i z opóźnieniem, choćby dlatego, że podręczników szkolnych nie pisali uczeni, to przecież niekwestionowanym zwyczajcą tych rozmów pozostała sama nauka historii. Redukcja różnicy zdań dawała się zauważyć już w samych Zaleceniach; tak było w ocenie początków państwowości polskiej, rozbiorów, polityki Republiki Weimarskiej i hitlerowskiej Rzeszy wobec Drugiej Rzeczypospolitej. Później doszło do zbliżenia stanowisk w ocenie problemu krzyżackiego i stosunków niemiecko-polskich w latach drugiej wojny światowej, które przestały być „ polem bitewnym ” przenikającym literaturę obu krajów. Nie ma też już dziś poważniejszych rozbieżności w ujmowaniu średniowiecznych procesów kolonizacyjnych.

W ostatnim ćwierćwieczu pogłębianie naukowej współpracy potwierdzały coraz liczniejsze monografie, traktujące nie tylko i nie tyle o pograniczu, czyli

²⁸ Por. W. Jacobmeyer (Hrsg.), *Die deutsch-polnischen Schulbuchempfehlungen in der öffentlichen Diskussion der Bundesrepublik Deutschland. Eine Dokumentation*, [w:] *Studien zur internationalen Schulbuchforschung*, Bd. 26, Braunschweig 1979.

o historii wzajemnych stosunków między państwami, ale kompetentne i poddające wnikliwej analizie „wewnętrzna” przeszłość sąsiada. Obok badaczy niemieckich starszej generacji – Jörga K. Hoenscha, Herberta Ludata, Hansa Roosa, Oskara Kossmanna, Gottfrieda Schramma – coraz większa aktywność w dialogu stawiała się udziałem przedstawicieli młodszego pokolenia – Michaela Ludwiga, Petera Böhninga, Wolfganga Jacobmeyera, Hansa-Jürgena Bömelburga, Jörga Hackmanna, Michaela G. Müllera, Hansa Henninga Hahna, Andreasa Lawaty’ego – świetnie przygotowanych warsztatowo i, co z pewnością stanowi nowość, językowo. Nie inaczej zresztą przedstawiała się rzecz w nauce polskiej. Miejsce starych mistrzów zaczęli zajmować młodzi. Wolni od uprzedzeń poprzedników, erudyci i poliglоти, żywo uczestniczący w międzynarodowym ruchu naukowym i znający trendy nauki światowej, mieli wszelkie dane, by godnie reprezentować polskie niemcoznawstwo (by posłużyć się tym źle kojarzącym się i niemodnym już terminem) w dialogu wokół dziejów Polski, Niemiec i historii wzajemnych stosunków.

W kontekście tego ożywienia trudno nie wspomnieć o przykładach służących poznaniu i współdziałaniu naukowemu w wymiarze infrastruktury instytucjonalnej i organizacyjnej. Młode generacje badaczy dysponują coraz lepiej wyposażonymi warsztatami, a ich aktywność twórcza znajduje – w obu krajach – szerokie społeczne uznanie. Powstało Centrum Historii i Kultury Europy Środkowo-Wschodniej (Zentrum für Geschichte und Kultur Ostmitteleuropas) w Lipsku, w latach dziewięćdziesiątych utworzono we Wrocławiu Centrum Willy’ego Brandta, kontynuując działalność Instytut Herdera (Herder-Institut) w Marburgu oraz Niemiecki Instytut Polski (Deutsches Polen-Institut) w Darmstadt – oba nieustannie racjonalizujące pracę. Przed piętnastu laty powstał w Warszawie Niemiecki Instytut Historyczny (Deutsches Historisches Institut), którego naukowy mecenat i popularyzatorsko-edytorska misja, a jeszcze bardziej styl jego działalności, zyskały mu szacunek w naszym kraju. Codziennie stały się polsko-niemieckie konferencje historyków na różnych szczeblach. Nie można przecenić roli, jaką w kształtowaniu się polsko-niemieckiej wspólnoty badawczej odgrywają niemieckie i niemiecko-polskie fundacje czy działające na podstawie umów o współpracy uniwersytety. Poznański Instytut Zachodni, niegdyś największe okno wystawowe nacjonalistycznie zorientowanej myśli zachodniej, dziś umiejętnie wiąże badania nad historią najnowszą Niemiec i wzajemnymi relacjami z tym, co łączy oba kraje w zrastającej się Europie. Nauka polska z uwagą i życzliwością odnotowuje korzystne zmiany w paradygmacie ujmowania spraw polskich w Niemczech. Wykazuje też własne inicjatywy, które nowy paradygmat stabilizują. Wyżej wspomniano o zasługach Poznańskiej Biblioteki Niemieckiej, na łamach której udostępniono odbiorcy polskiemu pisarstwo klasyków historiografii niemieckiej. Nie można nie zauważyć

wielkiego zainteresowania, z jakim w Polsce spotkał się polski przekład antologii pism Herberta Ludata²⁹, rzeczowej reakcji na monografię Karla Dietricha Erdmanna o ekumenicznym walorze nauk o przeszłości, czy żywej dyskusji, jaką niedawno wywołała książkowa biografia Zygmunta Wojciechowskiego pióra Markusa Krzoski³⁰. Dowodem współdziałania na polu zwalczania uprzedzeń odziedziczonych po minionych epokach są m.in. podręcznik stosunków niemiecko-polskich w historii współczesnej – wspólne dzieło polskiego i niemieckiego badacza, dokumentacja zbierająca polską politykę niemiecką XX stulecia oraz opracowywana przez zespół pod kierunkiem Bogdana Wachowiaka wielotomowa historia Brandenburgii i Prus³¹.

„Unaukowianie” spojrzenia na dzieje niemiecko-polskich stosunków następowało powoli, drogą niewolną od wiryżu, a nawet odwrotów, ale systematycznie. Było i pozostało procesem niezakończonym i trudnym. Miało swoich negatywnych i swoich pozytywnych bohaterów. Pośród tych drugich z pewnością wyróżnia się Klaus Zernack, który w rozplątywaniu napotykanego gordyjskiego węzła i torowaniu szlaków prowadzących do niemiecko-polskiego zbliżenia w nauce *pars magna fuit et est*.

III

Klaus Zernack: osobowość i dzieło. Biografia naukowa Klaus Zernacka nie odbiega daleko od standardów, do których jesteśmy przyzwyczajeni; jego *curriculum vitae* było normalnym wspinaniem się po szczeblach drogi, tworzących etapy dojrzewania i rozwijania się osobowości badacza, organizatora nauki i nauczyciela akademickiego. Urodził się w 1931 r. w Berlinie i w tym mieście też rozpoczęła się jego naukowa kariera. Studiował na Wolnym Uniwersytecie historii, filozofii i filologii. Po dwóch latach przeniósł na Uniwersytet w Münster, by kontynuować pogłębianie historii u Wernera Conzego i Herberta Ludata, a zarazem podjąć studia slawistyczne u Dietricha Gerhardta oraz skandynawistyczne u Williama Foerstego. Mistrzów miał więc znakomitych, przy czym najbardziej fascynował go Ludat, badacz dziejów Słowiańszczyzny i historii stosun-

²⁹ H. Ludat, *Słowianie – Niemcy – Europa*. Wybór prac, przetłumaczył i w posłowie zaopatrzył J.M. Piskorski, Marburg – Poznań 2000.

³⁰ M. Krzoska, *Für ein Polen an Oder und Ostsee. Zygmunt Wojciechowski (1900–1955) als Historiker und Publizist*, Osnabrück 2003 (Einzelveröffentlichungen des Deutschen Historischen Instituts Warschau, Bd 8). Monografia była recenzowana we wszystkich znaczących czasopismach specjalistycznych w Polsce.

³¹ Na razie ukazał się I tom: B. Wachowiak przy współudziale A. Kamieńskiego, *Dzieje Brandenburgii-Prus na progu czasów nowożytnych (1500–1701)*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2001.

ków niemiecko-polskich, wybitny znawca historii Polski, współpracujący, ale i przez dziesięciolecia spierający się z koryfeuszami nauki polskiej³². Pierwsze badawcze pasje objęły wszakże problematykę skandynawską, trochę niejako z konieczności, jako że Zernack dzięki rocznemu stypendium znalazł się w 1955 r. na Uniwersytecie w Uppsali. Zebrał tam materiał do doktoratu, który obronił w 1957 r. w Münster. Dysertacja pt. *Studien zu den schwedisch-russischen Beziehungen in der zweiten Hälfte des 17. Jahrhunderts*. T. I: *Die diplomatischen Beziehungen zwischen Schweden und Moskau von 1675 bis 1689*, opublikowana rok później w renomowanej serii „Gießener Abhandlungen zur Agrar- und Wirtschaftsforschung des europäischen Ostens”³³, spotkała się z uznaniem krytyki. Młody badacz zresztą był już wtedy asystentem w nowo utworzonym na Uniwersytecie w Gießen, a kierowanym przez Ludata, Instytucie Kontynentalnych Badań Agrarnych i Gospodarczych. Ludat miał też rozstrzygający wpływ na podjęcie przez swojego ucznia kompleksowych badań nad historią Słowian

i Europy Wschodniej. Rezultatem była znakomita habilitacja, poświęcona zgromadzeniom ludowym u Słowian zachodnich i wschodnich: *Die burgstädtischen Volksversammlungen bei den Ost- und Westslaven. Studien zur verfassungsgeschichtlichen Bedeutung des Vece*³⁴. Monografia przyniosła autorowi nie tylko szacunek garstki zachodnioniemieckich specjalistów „badań nad Wschodem”, ale i ordynariat oraz kierownictwo Katedry Historii Europy Wschodniej na Uniwersytecie we Frankfurcie nad Menem. Po dwunastu latach pobytu na tej uczelni, ukoronowanej pełnieniem godności dziekana, Klaus Zernack znów znalazł się w Gießen, tym razem już jako następca zmarłego Mistrza i kierownik dynamicznie rozwijanego przez siebie seminarium historii Europy Wschodniej. Ukoronowaniem tej fazy działalności była monografia: *Osteuropa. Eine Einführung in seine Geschichte* (München 1977). Książka weszła do klasyki powojennej niemieckiej literatury o Europie Wschodniej, a uznanie krytyki utwierdziło autora w słuszności obranej tematyki dociekań. W 1984 r. przyjął on propozycję objęcia Katedry Historii Nowożytnej w Instytucie Fryderyka Meinecke na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie Zachodnim. Kierował nią aż do przejścia na emeryturę w roku 1996.

³² Por. J. Piskorski, *Herbert Ludat (1910–1993) – historyk Słowiańszczyzny Zachodniej i stosunków polsko-niemieckich*, [w:] H. Ludat, *Słowianie – Niemcy – Europa* (jak w przyp. 29)

³³ Biografię naukową K. Zernacka najszerzej przedstawił J. Strzelczyk w laudacji z okazji nadania doktoratu honorowego niemieckiemu historykowi w 1989 r.: *Klaus Zernack – w służbie porozumienia polsko-niemieckiego*, [w:] *Nicolaus Zernack. Doctor honoris causa Universitatis studiorum Mickiewiczianae Posnaniensis*, Poznań 1990, s. 9 i n.

³⁴ (=Gießener Abhandlungen zur Agrar- und Wirtschaftsforschung des europäischen Ostens, Bd. 33), Wiesbaden 1967.

W ciągu kilkunastu „berlińskich” lat Klaus Zernack utwierdził swą wysoką pozycję w elicie historyków niemieckich oraz zyskał uznanie na forum międzynarodowym, sprawując ważne funkcje w zorganizowanym życiu naukowym, skupiając wokół siebie liczne grono utalentowanych uczniów oraz kontynuując i intensyfikując badania. Należy do czołówki organizatorów nauki w swoim kraju; zasiada w prezydium sekcji historii Niemieckiego Towarzystwa Badań nad Europą Wschodnią, jest członkiem Rady Naukowej Towarzystwa im. Herdera w Marburgu i członkiem Rady Doradczej Niemieckiego Instytutu Polskiego w Darmstadt. Był jednym z założycieli, potem przewodniczącym, sekcji stosunków polsko-niemieckich, wreszcie – od 1986 r. – przewodniczącym zasłużonej Komisji Historycznej w Berlinie Zachodnim (Historische Kommission zu Berlin). Jest wydawcą lub współwydawcą i redaktorem renomowanych periodyków: „Jahrbücher für Geschichte Osteuropas”, „Jahrbuch für die Geschichte Mittel- und Ostdeutschlands” oraz „Berliner Jahrbuch für osteuropäische Geschichte”. Przewodniczy Societas Jablonoviana w Lipsku, przez lata należał do Rady Naukowej Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Organizował prestiżowe i owocne w rezultaty międzynarodowe konferencje z udziałem Polaków: „Podstawowe problemy stosunków dziejowych pomiędzy Niemcami, Połabianami i Polakami” (1976), „Modernizacja i społeczeństwo narodowe pod koniec XVIII i w XIX w. ” (1979), „Polska i kwestia polska w dziejach monarchii Hohenzollernów 1701–1871” (1982), „Uwarstwienie i rozwój społeczeństw Polski i Niemiec w XVI i XVII w. ” (1983), „Demograficzne i społeczne zmiany w Europie Środkowo-Wschodniej w średniowieczu” (1989)³⁵. Prawie wszyscy jego uczniowie – a wykształcił ich wielu – zostali skierowali do prac nad historią Polski i szeroko rozumianych dziejów stosunków niemiecko-polskich, traktowanych jako fragment przeszłości Europy Środkowo-Wschodniej. To wybitni badacze, o głośnych już dziś nazwiskach, mający niesłabnące poczucie przynależności do szkoły naukowej Zernacka: Michael G. Müller, Andreas Lawaty, Fikret Adanir, Michael Ludwig, Lothar Dralle, Hans-Jobst Krautheim, Bernhard Friedmann, Wolfram Fischer, Günter Barudio, Christian Lübke, Markus Krzowska, J.R. Wolf, Jörg Hackmann. Wszyscy oni są autorami interesujących monografii, dobrze znanymi środowisku historycznemu w Polsce; kompetentnie korzystającymi z dorobku polskiej historiografii, przecząc niejako tezie Mistrza, często wypowiedzianej przezeń z goryczą w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX w., jakoby w Niemczech *Polonica non leguntur*. Ich teksty ukazują się coraz częściej w Polsce i po polsku. To jeden z ważnych elementów wpływu warsztatu Zernacka, który nie tylko część swych ważnych utworów publikował na łamach polskich czasopism naukowych, ale i dbał o obecność

³⁵ J. Strzelczyk, Klaus Zernack (jak w przyp. 32), s. 20

klasyki polskiej historiografii na rynku niemieckim. Był mianowicie inicjatorem wydawanej od 1997 r. przez Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie serii „Klio in Polen”. Seria miała podnieść znajomość dzieł wyróżniających się autorów polskich w Niemczech i przyczynić się do umocnienia prestiżu dyscypliny w tym kraju. We wstępie do pierwszego tomu, zawierającego przekład książki Benedykta Zientary *Świt narodów europejskich. Powstawanie świadomości narodowej na obszarze Europy pokarolińskiej*³⁶, podkreślał swe zafascynowanie siłą, z jaką polski historyk, którego nazywał najlepszym „pośrednikiem” między nauką polską a niemiecką, rozprawia się z mitami i stereotypami pokutującymi w historiografii³⁷. Wchodził do grona członków założycieli Wspólnej Niemiecko-Polskiej Komisji do spraw Podręczników z Historii i Geografii, działającej pod egidą UNESCO. Był jej „dobrym duchem”, przez długi czas współprzewodniczył jej pracom. Wraz z innymi historykami niemieckimi współpracującymi z Komisją poddawał krytyce zalecenia alternatywne, jako pozbawione warsztatu metodologicznego, przeżarte nacjonalizmem i niewiedzą o Polsce, która była – jego zdaniem – „głównym grzechem Niemców”. Z wieloma humanistami polskimi – Gerardem Labudą, Marianem Biskupem, Władysławem Markiewiczem, Antonim Czubińskim, Edmundem Cieślakiem, Henrykiem Samsonowiczem, Januszem Tazbirem, Jackiem Staszewskim, Benedyktem Zientarą – łączyły go i łączą nadal więzy współpracy. Cenił historyków polskich: za to, że dzięki głębokiej wiedzy potrafili przemawiać wieloma „językami badawczymi”, za „wysoki stopień niezależności wobec uzurpacji systemu leninowskiego”, za szczerą republikanizm (I/3, 2), choć nieraz ich krytykował za polonocentryzm, za niedostatek refleksji w kategoriach uniwersalistycznych, za etniczny nacjonalizm i „nadwrażliwą dumę narodową” (III/1,2). W roku 1989 Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu nadał mu godność doktora *honoris causa*, w roku 1997 uczynił to Uniwersytet Warszawski. I było coś symbolizującego trendy zwyciężające w historiografii obu krajów, że promotorem w tym drugim akcie był Marian Wojciechowski, syn Zygmunta, którego Zernack konsekwentnie krytykował za stronnictwo i nacjonalizm. Od 1994 r. Klaus Zernack jest członkiem zagranicznym Polskiej Akademii Nauk, od 1996 – członkiem zagranicznym Polskiej Akademii Umiejętności. Antologia jego pism wydana w Niemczech z okazji 60-lecia urodzin spotkała się w Polsce z pozytywnym oddźwiękiem³⁸,

³⁶ B. Zientara, *Frühzeit der europäischen Nationen. Die Entstehung von Nationalbewußtsein im nachkarolingischen Europa. Mit einem Vorwort von K. Zernack* (Deutsches Historisches Institut Warschau. Klio in Polen, I), Osnabrück 1997.

³⁷ Ibidem, s. 7–9.

³⁸ K. Zernack, *Preußen – Deutschland – Polen. Aufsätze zur Geschichte der deutsch-polnischen Beziehungen*. Hrsg. von W. Fischer und M.G. Müller, Berlin 1991. Por. artykuł recenzyjny J.M. Piskorskiego, *Prusy, Niemcy i Polska w badaniach naukowych Klausa Zernacka*, w: „Roczniki Historyczne” 1993, R. 59, s. 122 i n.

w poświęconej mu księdze pamiątkowej z okazji jubileuszu 65. rocznicy urodzin pisali liczni przedstawiciele nauki polskiej³⁹.

Szacunek, jaki zaskarbił sobie Klaus Zernack w środowisku humanistycznym w naszym kraju, jest – rzecz zrozumiała – prostą wypadkową faktu, że od pierwszych lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia aż po obecną dekadę bieżącego Polska stanowiła najbardziej fundamentalne i trwałe tworzywo w jego warsztacie twórczym, niezależnie od tego, że początki jego dociekań obejmowały przede wszystkim Szwecję, a ostatnie z dotychczasowych – nade wszystko Rosję. I w jednym, i w drugim przypadku Polska pozostawała przecież głównym, choć czasami występującym jakby w tle ważnych ogólnych trendów, bohaterem jego wywodów. Również wtedy, kiedy pisał o dziejach Słowiańszczyzny Połabskiej, kiedy poddawał analizie wzajemne relacje zachodzące u Słowian wschodnich między władzą książęcą a czynnikiem ludowym, kiedy badał wpływ Słowian na powstawanie i rozwój Berlina, czy kiedy funkcjonowanie instytucji wieców u Słowian wiązał ze zgromadzeniami słowiańskich miast grodowych. Badania nad dziejami Słowiańszczyzny w Europie Środkowo-Wschodniej służyły pomocą w stawianiu pytań badawczych, odnoszących się już jednoznacznie do średniowiecznej Polski, w szczególności do porządkowania wiedzy o znaczeniu kolonizacji niemieckiej i istoty demograficznych, społecznych, kulturowych i prawnych ruchów kierujących się z Zachodu na Wschód. Były też ważne dla nowego paradygmatu ujmowania dziejów Śląska, tradycyjnie budzącego w historiografii obu krajów poważne kontrowersje. Zernack przesunął ten paradygmat z płaszczyzny etniczno-narodowej na sferę historii struktur społecznych, procesów gospodarczych i metamorfoz w dziedzinie kultury i zaznaczających się w nim przeobrażeń świadomości. Wykazywał tu zresztą – powtórzmy to jeszcze raz – znakomite znawstwo piśmiennictwa polskiego. Świadczą o tym jego wczesne teksty, relacjonujące stan nauk historycznych w naszym kraju w latach „metodologicznego przełomu” w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych i w okresie tuż po nim. Wymieńmy odkrywcze zwłaszcza dla niemieckiego czytelnika teksty: *Von der traditionellen zur marxistischen Verfassungsgeschichte des polnischen Mittelalters* (1963)⁴⁰, *Zwischen Kritik und Ideologie. Die methodologische Situation auf dem polnischen Historikerkongress in Breslau. Protokollauszüge und Kommentar* (1964)⁴¹ oraz *Mittelalterliches Polen. Probleme der polnischen Mediävistik auf dem polnischen Historikerkongress in Krakau 1958. Protokollauszüge und Kommentar* (1964)⁴². Do niemiecko-pols-

³⁹ „Berliner Jahrbuch für osteuropäische Geschichte” 1996, nr 1.

⁴⁰ „Jahrbücher für Geschichte Osteuropas”, NF 11 (1963), s. 237–262.

⁴¹ *Quellenhefte zur Geschichtswissenschaft in Osteuropa nach dem Zweiten Weltkrieg*. Hrsg. von H. Ludat und G. Rhode, Reihe Polen, Heft 2, Köln – Graz 1964.

⁴² Ibidem, Reihe Polen, Heft 3, Köln & Graz 1964.

kich dyferencji na temat możliwych interpretacji polskiego i nie tylko polskiego średniowiecza, które traktował jako klucz otwierający drzwi do zrozumienia późniejszych dziejów państwa polskiego i sąsiedztwa między Niemcami a Polską, wracał autor jeszcze nieraz i czyni to do dziś.

Z podobnym uporem stawiał pytania odnoszące się do czasów nowożytnych. Widoczne to już w pierwszej obszerniejszej z tej dziedziny pracy: *Polen – Geschichte einer europäischen Nation* (1960)⁴³, a także w drobniejszych tekstach, np. w studium *Zwischen Anarchie und Absolutismus. Polens Weg im 17. und 18. Jahrhundert* (1961)⁴⁴ oraz w rozprawce *Stanislaus August Poniatowski. Probleme einer politischen Biographie* (1967)⁴⁵. Poruszał w nich materię również delikatną co żywo interesującą – i różniącą – badaczy polskich i niemieckich, kompetentnie i rzeczowo, i – jak zwykle – w szerokim ujęciu komparatystycznym. W 1973 r. opublikował dwa teksty, które potwierdzały jego głęboką wiedzę o historiografii polskiej nie tylko w odniesieniu do wieków średnich: *Brandenburgische Landesgeschichte in der polnischen Geschichtswissenschaft*⁴⁶ oraz *Schwerpunkte und Entwicklungslinien der polnischen Geschichtswissenschaft nach 1945*⁴⁷. W szczególności drugi z nich został przyjęty w Polsce z uznaniem.

Klaus Zernacka głęboko i autentycznie poruszało żywe zainteresowanie historią w Polsce i rezonans, jaki głos historyka wywoływał w szerokiej opinii publicznej naszego kraju. Zastanawiał się nad przesłankami tego fenomenu i dostrzegał je w szczerym republikanizmie polskiego myślenia historycznego. W wykładzie wygłoszonym na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza z okazji przyjmowania doktoratu *honoris causa*, zatytułowanym *Nieodzowność republikańskiego myślenia o historii*, cytował słowa Benedykta Zientary, który pisał, że „bez przywołania historycznej wiedzy i myślenia w kategoriach historycznych nie może być społecznego rozwoju człowieka” i podkreślał, że republikański „zmysł” to konstytutywna cecha polskiej historiografii⁴⁸. Dowodził, że napięcia między monarchizmem a republikanizmem w badaniach nad przeszłością były w Polsce silniejsze aniżeli sprzeczności między wigami a torysami w Anglii, gibelinami i gwelfami we Włoszech i Niemczech czy między zwolennikami koncepcji małoniemieckiej i wielkoniemieckiej. W republikańskiej koncepcji, biorącej swój początek w pisarstwie Lelewela i kontynuowanej przez kolejne gene-

⁴³ W pracy zbiorowej: *Liegt Polen noch in Europa?*, Gießen 1960, s. 9 i n.

⁴⁴ „Der Remter” 7 (1961), s. 344 i n.

⁴⁵ „Jahrbücher für Geschichte Osteuropas” NF 15 (1967), s. 371 i n.

⁴⁶ *Geschichte und Verfassungsgefüge. Frankfurter Festgabe für Walter Schlesinger*, Hrsg. von W. Lammers, Wiesbaden 1973, s. 1–34.

⁴⁷ „Historische Zeitschrift”, Sonderheft 5 (1973), s. 203–323.

⁴⁸ K. Zernack, *Die Unentbehrlichkeit republikanischen Geschichtsdenkens. Bemerkungen zur Geschichte und Aktualität der Geschichtswissenschaft in Polen und Deutschland*, [w:] Nicolaus Zernack – doctor honoris causa Universitatis studiorum Mickiewiczianae Posnaniensis, Poznań 1990, s. 25.

racje badaczy, postrzegał źródło optymistycznej i zarazem demokratycznej misji nauki historii. Z niej też wywodził swą tezę o emancypatorskim, defensywnym charakterze nacjonalizmu Polaków. Ku republikanizmowi prowadził Polaków m.in. „strukturalna umiejętność dawnej Rzeczypospolitej asymilowania obcych wpływów” (III/7,3), „procesy modernizacyjne bez absolutyzmu” (I/4, 13) oraz „konserwatywny rozwój nauk historycznych” (I/4, 7). Za wyraz optymizmu w prezentowaniu tej osobliwości polskich dziejów i polskich dociekań skłonny był uznać prace Marii Wawrykowej i – z pewnymi zastrzeżeniami – także Jana Adamusa⁴⁹.

Klaus Zernack rzadziej zajmował się badaniem czasów najnowszych. W rezultatach pracy innych znajdował wszakże potwierdzenie swoich hipotez i swych metodologicznych dyrektyw: o jedności historii kontynentu i potrzebie badania dziejów polskich z uwzględnieniem europejskiego kontekstu, o wpływie polityki mocarstw na losy polskie, o „negatywnej polityce” Prus i Rosji wobec sprawy polskiej co najmniej od XVIII w., o przesłankach i następstwach rewolucji 1989 r. dla Europy i nauk o przeszłości, kiedy to „całe stulecie zostaje postawione z głowy na nogi”⁵⁰ i innych, o których jeszcze będzie mowa. Dlatego z takim zainteresowaniem czyta się jego syntetyczne studium z 1996 r. o wpływie Polski na zmiany w europejskim systemie państw od rozbiorów do ustanowienia Rzeszy⁵¹, jego rozprawę o Krakowie i jego uniwersytecie z 1999 r.⁵², tekst o faktycznym wpływie rewolucji rosyjskiej na losy Polski z 2000 r.⁵³, artykuł o północno-wschodniej polityce w historiografii epoki Republiki Weimarskiej⁵⁴ i o sporach obu historiografii, które można – jego zdaniem – wyjaśnić jedynie dzięki rozumieniu historii średniowiecza („aus der Tiefe der mittelalterlichen Geschichte”) z 2004 r.⁵⁵, o konieczności różnicowania oceny stanu badań wschodnich w narodowosocjalistycznej Rzeszy⁵⁶, wreszcie poszczególne

⁴⁹ Ibidem, s. 29, 33.

⁵⁰ K. Zernack, 1989 – *Ein Jahrhundert wird auf die Füße gestellt*, [w:] *Studien-Stiftung. Jahresbericht* 1992, Bonn 1993, s. 185–202.

⁵¹ K. Zernack, *Polens Einfluß auf die Wandlungen des europäischen Staatensystems von den Teilungen bis zur Reichsgründung*, [w:] *Das europäische Staatensystem im Wandel. Strukturelle Bedingungen und bewegende Kräfte seit der Frühen Neuzeit*, Hrsg. von P. Krüger, München 1996, s. 123 i n.

⁵² Idem, *Krakau – Ne cedat Academia*, [w:] *Stätten des Geistes. Große Universitäten Europas von der Antike bis zur Gegenwart*, Hrsg. von A. Demandt, Köln – Weimar – Wien 1999, s. 205 i n.

⁵³ Idem, *Polen und die Oktober-Revolution*, [w:] *1917–1918 als Epochengrenze?* Hrsg. von H. Sundhaussen und H.-J. Torke, Wiesbaden 2000, s. 121 i n.

⁵⁴ Idem, *Die deutsche Nation zwischen West und Ost*, [w:] *Nationalgeschichte in der deutschen und in der polnischen Geschichtswissenschaft*, Braunschweig 1983, s. 67 i n.; idem, *Der historische Begriff „Ostdeutschland” und die deutsche Landesgeschichte*, [w:] *Die Deutschen in der Geschichte des nördlichen Ostmitteleuropa*, „Nordost-Archiv. Zeitschrift für Regionalgeschichte” NF Bd I, 1992, H. 1, s. 157 i n.

⁵⁵ Idem, *Mediävistische Forschungen zur Osteuropäischen Geschichte*, [w:] D. Dahlmann (Hrsg.), *Hundert Jahre Osteuropäische Geschichte*, Stuttgart 2005, s. 71 i n.

⁵⁶ Idem, *Die Geschichte Polens* (jak w przyp. 1).

rozdział *opus magnum* o dziejach sąsiedztwa polsko-rosyjskiego: *Polska i Rosja. Dwie drogi w dziejach Europy* z 1994 r.⁵⁷. Autor stawia w nim sobie nadzwyczaj ambitne zadanie. Chce – jak Plutarch – prześledzić „wielowiekową historię Polaków i Rosjan, [jaką] łączy szczególna »struktura wzajemnych odniesień«”⁵⁸, zamierza przeprowadzić „analizę i historiograficzną obiektywizację subiektywnych nastawień i akcentów, jakimi poszczególne narody nacechowały historyczne stosunki z sąsiadami”⁵⁹. Synteza Zernacka prezentuje sąsiedztwo Polski i Rosji od jego początków z całym bagażem problemów; nie tylko politycznych czy militarnych, ale i społecznych, kulturalnych, religijnych. Autor obserwuje je krytycznie i z dużego dystansu, w układzie wzajemnych odniesień, ze szczególnym uwzględnieniem roli Prus i Niemiec w dziejach tych państw. Można stwierdzić, że historia Polski i Rosji, ogarniająca całe tysiąclecie, stanowi dla autora niejako pretekst – jak napisał to polski wydawca na obwolucie tomu – do nowego, niestereotypowego spojrzenia na dzieje tej części Europy; tworzy zwieńczenie 100-letnich badań nad Wschodem. Jak cała twórczość Klausa Zernacka jest nie tyle rejestrowaniem faktów, chronologicznym zapisem zdarzeń, ile opowiadaniem o logice procesów „długiego trwania”, rozprawą, w której przeważają wątki metodologiczne i polemiczne. Bo Autor, który zbudował nowoczesny warsztat, który pozwala rekonstruować przeszłość, wykorzystuje go przede wszystkim do podsumowań, jest – powtórzmy – metodologiem, filozofem historii.

IV

Filozofia historii stosunków niemiecko-polskich. Do prawdy o istocie złożonych, wielowarstwowych i ewoluujących stosunków niemiecko-polskich w przeszłości – wywodzi autor – może prowadzić tylko zrozumienie nieodczowności ich problematyzowania. Nie tylko bowiem natrętna polityka, ale i medialny szum rodzą dziś – w czasie wzrostu koniunktury na wiedzę o historii współczesnej – niebezpieczeństwo upowszechniania mitów i półprawd, stereotypów i uprzedzeń. W zgiełku różnej proveniencji „paplaniny” łatwo zacierają się dystynkcje między nauką a ideologią, realnością a pobożnym życzeniem, prawdą a dyletantyzmem; w pokusach zmierzających do „niekontrolowanej interdyscyplinarności” tkwi niebezpieczeństwo „rozmycia kompetencji właściwej nauce”. Trudny niemiecko-polski dialog historiograficzny znał jedno i drugie.

⁵⁷ Idem, *Polen und Rußland. Zwei Wege in der europäischen Geschichte*, Berlin 1994: pol. wyd. Warszawa 2000.

⁵⁸ Ibidem.

⁵⁹ Ibidem, s. 11.

Nauki nie stać na skracanie dystansu wobec działań „metodologicznie niekontrolowanych”, „szybujących w powietrzu” (I/2, 2). Ma ona obowiązek zachowania metodologicznej czujności również wtedy, kiedy spełnia funkcję popularyzatora, upowszechniając rezultat badania. Już w roku 1976 pisał ostrzegawczo: „Nauka służy interesowi publicznemu jedynie wówczas, kiedy z pomocą rzeczowej kompetencji występuje przeciwko fałszywym pretensjom do wszechobecności” (I/2,3). Waga tej dyrektywy znajduje potwierdzenie w dwóch zespołach okoliczności, występujących w zmieniających się i wielowarstwowych uwarunkowaniach: pierwszym z nich jest uporczywość, z jaką historyczne relacje między Polakami a Niemcami od lat oddziałują na kształt ich aktualnych stosunków, drugim zaś – uznanie tysiącletniej przestrzeni tych stosunków jako punktu wyjścia dla łatwych i płytkich uogólnień. Oczywiście tysiącletni kontekst w ujmowaniu sprawy historii niemiecko-polskich stosunków jest niezbędny. Chodzi jednak o to, by był on chroniony przed instrumentalizowaniem go dla celów bieżącej politycznej gry i postrzegany zarówno jako „obszar problemowy”, jak i jako „badawczy postulat”.

Swoistość dziejów stosunków niemiecko-polskich i doświadczenie licznych sporów o ich charakter, przenikających historiografię – twierdzi Klaus Zernack – wymagają oparcia refleksji teoretycznej na stałych, sprawdzalnych w badaniu empirycznym figurach teoretycznych. Dwie z nich uznaje on za szczególnie ważne. Pierwszą stanowi postulat ujmowania tych stosunków jako pochodnej idei jednej historycznej Europy, różnej na Zachodzie i Wschodzie, czasem dzielącej się i dzielonej, ale ostatecznie zawsze jednej. Drugim jest konieczność przyjęcia, że Europa była kontynentem wielkich i małych, ale równouprawnionych narodów. Obie są sobie bliskie, przenikają się i uzupełniają, czasami ściągają. Obie też stanowią dla autora podstawę do namysłu nad całą historią niemiecko-polskiego sąsiedztwa.

Klaus Zernack wychodzi z założenia, że najważniejszą treść historii ostatniego tysiąclecia stanowi europeizowanie się Europy. Kontynent „Europa” to jednak pojęcie, które można definiować zarówno ze względu na jego treści logiczno-językowe, jak i postrzegać w kategoriach historycznych, podobnie jak pojęcie „Europa Środkowo-Wschodnia”. Autor nawiązuje do koncepcji Oskara Haleckiego, który przedstawiając w książce: *Limits and Divisions of European History* z 1950 r.⁶⁰ – jak stwierdza – „najbardziej jak dotąd zasadny przestrzenno-historyczny podział Europy”, dawał początek istnieniu „odrębnej dyscypliny badawczej zajmującej się historią Europy Wschodniej” (s.I/2,5). Zernacka przekonuje w szczególności Haleckiego „interpretacja pierwiastka narodowego jako zasady kształtującej proces rozwoju historycznej Europy i jej historycznych

⁶⁰ Niemieckie wydanie: *Europa. Grenzen und Gliederung seiner Geschichte*, Darmstadt 1957.

regionów”. Pisząc o europejskiej kulturze jako syntezie dziedzictwa klasycznego antyku oraz chrześcijaństwa polski badacz łączył ją – pisze Zernack – z trzecim faktorem, mianowicie z samodzielnym rozwojem kultur własnych poszczególnych ludów i narodów (I/2,6). Na tej podstawie Halecki przeciwstawiał Europie starej, obejmującej obszar antycznego Imperium Romanum, Europę nową, która nigdy w skład starożytnego imperium rzymskiego nie wchodziła. Stanie się ona Europą dopiero za sprawą pojawienia się europejskich narodów, czyli pod wpływem państwa frankońskiego i na terenach przyległych do Bizancjum. Dlatego też – tak Klaus Zernack – przyjęcie, iż treść ostatniego tysiąclecia stanowi europeizacja Europy, oznacza zarazem logiczne uznanie, iż „historia naszego kontynentu formuje się dopiero w trakcie powstawania nowej Europy, pozaantycznej, pozakarolińskiej i pozabizantyńskiej” i tym samym jest „Europą narodów”. A zatem nie kontynuacja kulturowa, lecz akulturacja, mająca za skutek chrystianizację i nacjonalizację całej Europy musi być substancją, nad którą powinny koncentrować się dociekania historyka Europy Wschodniej. Teza ta doprowadziła Zernacka do doniosłego wniosku: w europeizacji Europy, czyli w procesie rodzenia się chrześcijańskiej rodziny narodów Europy, który dokonał się w okresie od IX do XII w., aktywnie uczestniczyło wiele narodów: Rosjanie, Polacy, Czesi, Węgrzy, Słoweńcy i Chorwaci, Serbowie, Bułgarzy, Niemcy, Duńczycy i Szwedzi. (I/2,9). O europejskości kontynentu stanowi okoliczność, że tworzył on swoistą równorzędność między zamieszkującymi go wielkimi i małymi narodami (I/1,3). Tej prawdy uczy spojrzenie na polityczną mapę Europy. Ale uczy też o tym, że w historii Europy nie brakowało potęgującego się wraz z upływem czasu deficytu odporności na zmiany tej równorzędności, która przestała funkcjonować po rewolucji francuskiej i rozbiorach Polski, by odzyskać pierwotny kształt dopiero w wyniku wielkich przeobrażeń roku 1989.

Spojrzenie na przeszłość Europy, podkreślany przez Zernacka fakt, że Europa Środkowo-Wschodnia to obszar zamieszkały przez małe narody, łączony przezeń z ukształtowaniem się tożsamości narodowej, zwanej przez niego też – chyba niebyt precyzyjnie – zasadą narodową, zmuszała go do odpowiedzi na niełatwe pytania o konstytutywne cechy narodowych wspólnot, o trendy zaznaczające się w ich rozwoju, wreszcie o przesłanki wzajemnych relacji. Szedł tu śladami rozumowania czeskiego badacza i politycznego emigranta Frantiska Graussa, który zasadę narodową definiował jako podstawową strukturę europejskiego świata państw i który podnosił, że o ile na Zachodzie naród był w swej egzystencji zabezpieczony przez organizację państwa, to na Wschodzie istniały narody pozbawione państwa, choć będące wspólnotami językowymi i kulturalnymi, dysponujące silnym poczuciem przynależności do wspólnoty. Wykorzystywał też przemyslenia warszawskiego mediewisty Benedykta Zientary. Jak Zientara, uważał, że już w średniowieczu istniała świadomość wspól-

not etniczno-politycznych, która ze względu na wypełniające ją społeczno-psychiczne treści nie różniła się od nowoczesnej świadomości narodowej. Świadomość ta była wypadkową rozwoju lokalnego i regionalnego, a także uniwersalnej okcydentalizacji kulturowej. Podkreślał, że na połaciach środkowo-wschodnich kontynentu proces powstawania narodów dokonywał się z pomocą wielkich pchnięć, czyli w czasach wstrząsów. Pierwsze pchnięcie przypadło na IX i X stulecie, kiedy to powstała większość europejskich narodów. Drugie obejmowało czas aktywnego formowania się świadomości narodowej w XII–XV w. Wreszcie trzecie polegało na tworzeniu się państwa narodowego w XIX i XX w., aż do epokowych przemian, których symbolem były przeobrażenia 1989/1990 r.

Klaus Zernack nie sformułował filologicznej definicji narodu, jego „zasada narodu” ukazywana jest przez ruch wspólnoty, jej funkcjonowanie i to przez przykłady funkcjonowania w relacji z innymi narodami. Podkreślał on od początku, że narody [przynajmniej od ich chrystianizacji] „zyskują własną określoną indywidualność narodową dopiero przez wywieranie wpływu na relacje z innymi narodami” (I/2,14). Prawdę tę potwierdzają zarówno pozytywne, jak i negatywne przykłady. Oto niechrześcijański lud Słowian połabskich został wyeliminowany z mapy narodów, bo zabrakło mu przestrzeni, w której mogłyby kształtować stosunki z innymi narodami. Pisał: „Pogańska siła oporu doprowadziła [...] mimo centralnego położenia geograficznego, do izolacji Słowian połabskich, w rezultacie uniemożliwiając im transformację epoki – zbudowanie narodu” (I/2,14). Naród średniowieczny żył z ruchów osadniczych i kontaktów handlowych równie owocnie jak z aktywności ośrodków miejskich, które coraz skuteczniej konkurowały z działalnością dworu. Stosunki między Dolnymi Niemcami a Skandynawią czy ruch na linii Praga – Zagrzeb były tego dobrą ilustracją. Z kolei na progu czasów nowożytnych stosunki międzynarodowe były inspirowane i profitowały z nowego ustroju mocarstw, w szczególności z absolutystycznego aparatu władzy, z jego kosmopolitycznym stanem urzędniczym, korpusem oficerów i systemem wojsk zaciężnych oraz załączkami oświeceniowego systemu edukacji. Później na rozwój europejskiej infrastruktury coraz silniej wpływały wielostronne powiązania rynkowe, ekspansja gospodarcza, której wyrazem były przykładowo eksport polskiego zboża, wzajemne zależności między brytyjskim a holenderskim budownictwem okrętowym czy ożywiona wymiana handlowa na morzu między Anglią a Rosją. Od wojny trzydziestoletniej stosunki międzynarodowe znaczone były m.in. przez powracające fale migracyjne: oto Francuzi znajdowali drugą ojczyznę w centrum kontynentu, Polacy w dziewiętnastowiecznych Niemczech południowych i Francji, Rosjanie po rewolucji październikowej w krajach Zachodu. Rozwój przemysłu, emigracja za ocean, nie na ostatnim miejscu także ponadpaństwowe formy manipulowania ideologią w trakcie powstawania bloków i zimnych wojen sta-

nowiły kolejny impuls. W tej tkance budowano wciąż nowe kontury tożsamości własnego narodu, nadając mu barwy korzystne czy wręcz apologetyczne, i rozwijano wizerunek innego, wizerunek pejoratywny. Tak przedstawiał się obraz stosunków między narodami Europy, skreślony przez Klausa Zernacka jeszcze przed rewolucją 1989 r., a mianowicie w roku 1976⁶¹. Miał on tworzyć punkt wyjścia dla podjęcia bardziej kompleksowych i systematycznych badań nad historią stosunków między narodami europejskiej rodziny ludów.

Swe poglądy na rolę wzajemnych stosunków między narodami i państwami Klaus Zernack rozwinął w fundamentalnej monografii *Polska i Rosja. Dwie drogi w dziejach Europy* ⁶², w której jako szczególną „strukturę wzajemnych odniesień” badał wielowiekową historię Polaków i Rosjan, której metodologiczne dyrektywy miały jednak walor ogólny. Stwierdzał, że skoro europejskość Europy przejawia się w tym, że jej dzieje są dziejami narodów, a nauka historyczna XX stulecia traktuje historie narodów jako element składowy dziejów kontynentu, to nie sposób pomijać podstawowy element struktury dziejów Europy, jaką stanowi ich relacyjność, czyli układ wzajemnych odniesień. Pisał: „Narody konstytuują się w toku etapowych procesów nie tylko same z siebie, lecz także we wzajemnych odniesieniach. Intensywność takich oddziaływań między narodami zależy od pozycji historii danych narodów zarówno w przestrzenno-geograficznej, jak i politycznej i kulturalnej strukturze kontynentu. Bezpośrednie sąsiedztwo prawdopodobnie silniej zintensyfikuje wzajemną »kreację« niż położone bardziej odległe. Lecz także przestrzenne oddalenie może zostać przezwyciężone, to znaczy – okazać się bez znaczenia, za sprawą »linii życia« politycznego, które wynikają z określonych przesłanek ponadnarodowych, europejskich czy uniwersalno-historycznych”. Przypominał stosunki Francji i Polski we wczesnych czasach nowożytnych, wskazywał na francuską *barrière de l'Est* i nowożytną politykę Anglii wobec Rosji. Ale podkreślał też odwrotną stronę medalu: „Więzy dziejowych zależności mogą z epoki na epokę ulegać rozluźnieniu i przyjmować nowy kształt”. Dobrych przykładów – pisał – dostarczają dzieje stosunków między Szwecją a Rosją. „Wreszcie przy wszelkich stopniach intensywności dają o sobie znać momenty subiektywne: jakiś naród może się izolować od partnera i jednocześnie szukać własnego profilu w relacji z nim także wtedy, gdy ów partner zajmuje silniejszą pozycję międzynarodową. Tak negatywnie utrwaliło się na długo nasze niemieckie spojrzenie na francuskiego sąsiada, podobnie wyglądały stosunki Greków i Turków czy Chińczyków i Japończyków”⁶³. Z kolei myśl historyczna Polaków czy Czechów długo preferowa-

⁶¹ Tekst *Das Jahrtausend der deutsch-polnischen Beziehungsgeschichte als geschichtswissenschaftliches Problemfeld und Forschungsaufgabe* (w niniejszym tomie 1/2).

⁶² Poniższe cytaty pochodzą z I wydania polskiego: Warszawa 2000.

⁶³ Ibidem, s. 8–9.

ła interpretację własnych dziejów, w której akcent padał na „potrzebę odgraniczenia od historii Niemców”. U jednych i drugich silne było kierowanie spojrzenia z Zachodu na Wschód, choćby jako „kompensacja kompleksu niższości wobec »starszego« pod względem cywilizacyjnym sąsiada na Zachodzie. Ten prosty wzorzec myślenia wschodnio-zachodniego w historiografii europejskiej osiągnął w Polsce swój »biegun wschodni«, osiągając apogeum w pogardzie i polskim poczuciu wyższości⁶⁴, będąc widocznym w nastawieniu polskiej historiozofii do Rosji. Historia stereotypów polsko-rosyjskich ściśle wiązała się z romantyzmem oraz narodzinami i rozwojem nauki historii, co stwarzało nośną płaszczyznę odniesień między Polakami a sąsiadami, znajdując kulminację w okresie obu wojen światowych, które – jak słusznie pisze Zernack – dopiero teraz dobiegają końca: „Pod znakiem narzuconej przez stalinizm przyjaźni polsko-sowieckiej po 1945 r. możliwe i łatwe stało się nawet odwrócenie dyspozycyjnej ideologicznie świadomości dziejowej – konkretnie: starych potencjałów antyrosyjskich – w dodatkowy efekt antyniemiecki”⁶⁵.

Wyciągając wniosek z owego „błądzenia świadomości dziejów narodów europejskich po takich drogach i bezdrożach” Zernack stawia przed historykami wielkie, ale i odpowiedzialne zadanie: „Jest nim analiza i historiograficzna obiektywizacja subiektywnych nastawień i akcentów, jakimi poszczególne narody nacechowały historyczne stosunki z sąsiadami. Badanie musi dotyczyć ich genezy i znaczenia. Tym samym »historia odniesień« staje się metodyczną procedurą, która wymaga innego postępowania niż wtedy, gdy się ma do czynienia z tradycyjnymi stosunkami dyplomatycznymi i handlowymi albo z uważanymi za dyscyplinę historii i politologii stosunkami międzynarodowymi. W przeciwieństwie do obiegowych tez badawczych, badanie »historii odniesień« – rozumianej jako istotny element w procesie kształtowania się narodów europejskich – musi obejmować bardzo szerokie spektrum czynników kształtujących te odniesienia.

Takim czynnikiem o fundamentalnym znaczeniu jest europejska świadomość wspólnoty, której podstawę kulturową stanowi chrześcijaństwo. Lecz czynnik ten od początku zawierał też elementy kontrastywne: mowa o wielkich rozłamach w Kościele chrześcijańskim w wyniku średniowiecznej schizmy i reformacji. Następnie trzeba przypomnieć o potrzebie odrębności, której celem było odróżnienie własnej współprzynależności narodowej od innych grup ukonstytuowanych politycznie. Wszelako dopiero w samym »przebiegu« tych relacji ujawnia się cała moc dziejowa owego wyobrażenia, jakie jeden naród ma o drugim; metoda badająca dzieje odniesień nie poprzestaje na czysto »imago logicznym« ustaleniu i opisie obrazów – wizerunków siebie i innych”.

⁶⁴ Ibidem, s. 9.

⁶⁵ Ibidem, s. 11.

Jeszcze raz szczególną uwagę zwracał Klaus Zernack na czynnik terytorialny. Dowodził: „Gdy narody izolują się, powstają strefy narodowej dyfuzji oraz silne antagonizmy, ponieważ w rozbudowę i umocnienie korzystnych dla narodu granic państwowych inwestuje się zawsze wielkie energie narodowo-społeczne. W czasie średniowiecznego tworzenia się narodów nastąpiło osiedleńcze przemieszanie europejskich grup etnicznych w uniwersalnym procesie zagospodarowywania ziem (aż do wyczerpania rezerw gruntowych); znaczenie tego zjawiska trudno przecenić. W epoce nowoczesnej nowy wariant takiego przemieszczania przyniosły przemysłowe migracje zarobkowe – ten wariant ujawnia silniejszą niż w średniowieczu potrzebę odgraniczania się społeczeństw. Widać to także na przykładzie ruchów migracyjnych pojedynczych czy też małych grup, pobudzanych impulsem politycznym i wyznaniowym: takie są fale emigracji w historii nowożytnej. One również mają ogromne znaczenie dla obrazu relacji między narodami”.

Autor wreszcie wracał także do problemu wagi pozycji narodów w uniwersalnych dziejach gospodarczych, co odnosiło się w szczególności do przełomu XVII i XVIII w., kiedy to za sprawą handlu zagranicznego wykształcała się dynamika własna gospodarczego systemu komunikacji, którą opisuje się terminem rynku światowego. „Strukturę odniesień na tym rynku miarodajnie określiły typowe narody handlowe. Wypada też wciąż poważnie traktować skutki, jakie w dziejach owych odniesień wywołały rozprawy wojenne: z jednej strony braterstwo broni, z drugiej – okupacja (w sensie czynnym i biernym) głęboko oddziałują na zaangażowane narody. Wystarczy przywołać choćby wielkie przykłady »przednowoczesnego« obrazu Szwecji, jaki mieli pamiętający o XVII w. Niemcy i Polacy”⁶⁶.

Zernack konkluduje: „Tego rodzaju ogólne determinanty, szkicowane tu bez aspirowania do kompletności, powinny znajdować potwierdzenie tam, gdzie dzieje odniesień cechowała szczególna intensywność”. Taki przypadek odnosił się do relacji polsko-rosyjskich. Ale w jeszcze wyższym stopniu determinanty te odzwierciedlały stosunki niemiecko-polskie. Śledził je autor przez dziesiątki lat, próbując znaleźć klucz, który by mu pozwolił znaleźć dla nich racjonalne wytłumaczenie, ująć w możliwie logiczne, uniwersalne zasady, po prostu zrozumieć. Że podejmował się zadania ogromnie trudnego, przekonywał się nie raz.

Trudność ujęcia niemiecko-polskich stosunków w racjonalnej formule była – twierdził – następstwem nie tylko i nie tyle ich tysiącletniego wymiaru i ich zmiennej, ale przecież wciąż wysokiej intensywności, ile tkwiła w tym, że charakteryzowały się one szczególnymi, subiektywnie wyznaczanymi priorytetami w ich ocenie przez partnerów, obu partnerów. Tę okoliczność autor wysuwał

⁶⁶ Ibidem, s. 12–13.

na plan pierwszy; cytował jednego ze swoich poprzedników, kiedy przypomniał, że w historii niemiecko-polskich relacji było „wszystko prócz obojętności”. Inną ich cechą charakterystyczną są różnice w sposobie i powszechności wzajemnego postrzegania się: podczas gdy w Niemczech do wizerunku wschodniego sąsiada przykładano na ogół mniejszą wagę, wśród Polaków sprawa niemiecka niezmiennie lokowała się na szczycie hierarchii ideowych wartości. Autor przytaczał obiegową formułę, głoszącą, że każdy Polak chętnie traktuje siebie jako specjalistę w sprawach niemieckich.

Różne punkty wyjścia w spojrzeniu na sąsiada w dziejach relacji polsko-niemieckich nie przeczą wcale – twierdzi Klaus Zernack – wyłożonym przezeń uniwersalnym pryncypiom zasady narodowej. Przeciwnie – potwierdzają je, choć nie są jeszcze do końca rozpoznane. Czy zresztą powinniśmy poświęcać swój wysiłek rekonstruowaniu minionych wydarzeń, zachowując równocześnie „dystans wobec mitów i rytuałów z odnajdywaniem tożsamości? Czy uda nam się – badaczom stosunków niemiecko-polskich – kiedyś ten cel osiągnąć? I czy tego właśnie chcemy?” Twierdząca odpowiedź wynika z samej substancji dziejów, która pełna jest symboli i która zawsze symboli potrzebowała; symboli, które podkreślały to, co oba narody dzieliło, ale jeszcze bardziej to, co łączyło. W inauguracyjnym niniejszy tom przeglądzie dziejów niemiecko-polskiego sąsiedztwa (*Stosunki niemiecko-polskie w zarysie historycznym*), napisanym w 2000 r. Zernack obejmuje je klamrą, wyznaczoną przez daty dwóch wizyt niemieckich przywódców w Polsce, które w równym stopniu stanowiły akt pokory wobec ofiar: tej złożonej w 1000 r. przez cesarza Ottona III i tej, którą w 1970 r. złożył Willy Brandt, a w dwadzieścia lat później, w Krzyżowej, Helmut Kohl. W Gnieźnie „Polska od razu awansowała do głównej potęgi w nowej, czwartej części świata – Sclavinii”, w Warszawie przed pomnikiem getta położono podwaliny pod gwarancję bezpieczeństwa ze strony Niemiec, definitywnie kończąc z epoką, w której odmawiały one Polsce prawa do podmiotowości, a która trwała od czasów wielkiego elektora i której symbolem były: rok 1657 a potem lata 1701, 1717, 1721, 1733, 1772, 1795, 1815, w postaci katastrofalnej wszakże dopiero lata 1848–1871. *Renovatio imperii* w roku 1000 to świadectwo równorzędności polskiego i niemieckiego *regnum*. Przyjęcie chrztu otwierało szanse współdziałania; plany ekspansji Piastów zyskały polityczne wsparcie Rzeszy. Polacy i Niemcy wspólnie sparaliżowali proces powstawania narodu u północno-zachodnich Słowian. Polsko-niemiecki związek interesów uwidocznili zdławienie powstania Wietętów w 983 r. Co prawda gnieźnieński model współpracy upadł (I/3,5), ale jego pozytywny wpływ na polsko-niemieckie relacje zmienił się dopiero w wyniku rozwoju regionalnego w czasach dojrzałego średniowiecza, którego impulsy prowadziły z Zachodu na Wschód (I/3,5). Mimo to przez 700 lat stosunki niemiecko-polskie układały się

stosunkowo poprawnie; były normalne w tym sensie, że nie odbiegały od charakteru stosunków między innymi narodami. Można dla tej epoki mówić o „zrównoważonej dynamice wzajemnych relacji” (ibidem, 6).

Pogorszenie wzajemnych stosunków przyszło etapami, wraz ze wzrostem potęgi Hohenzollernów i ich dążeniem do wymazania Rzeczypospolitej z mapy Europy, co z kolei wymagało zacieśniania więzi Prus z Rosją, by osiągnąć stan katastroficzny w latach jednoczenia się Rzeszy. Między Petersburgiem a Berlinem wytworzył się wówczas system obustronnego panowania nad Polską, system „negatywnej polityki” wobec sprawy polskiej. Partykularne interesy przerwały zatem dawne, trwające od 1466 r. stabilne stosunki między krajami niemieckimi a Polską. W związku z tym że Polska stała się słabym ogniwem w systemie europejskich państw, „negatywna polityka” stała się atrakcyjna dla mocarstw ościennych i wykazywała też zdumiewającą trwałość. Była kontynuowana w Republice Weimarskiej, która dalej prowadziła ją w „duchu pruskim”, nie bacząc na to, że porewolucyjna Rosja jest już innym podmiotem międzynarodowym. Z nowymi granicami nie pogodzone się jednak ani nad Sprewą, ani nad Newą. Nawet wybuch drugiej wojny światowej nie położył kresu owej negatywnej polityce, bo zerwanie z dawną pruską tradycją polityki wschodniej nastąpiło dopiero po uruchomieniu planu Barbarossa w roku 1941. Wojna wszelako nie zbliżyła do siebie Polaków i Rosjan. Połączyła ich tylko w jednym, w dążeniu do poskromienia niemieckiego „parcia na Wschód”. Stąd *Finis Borussiae* był w Polsce przyjęty dobrze, by nie powiedzieć entuzjastycznie, a gwarancją jego stabilności miała być nowa polityka demograficzna z nowymi granicami na Zachodzie i masowymi przemieszczeniami ludności. Po Zgorzelcu pozostał zły, wrogi wizerunek Republiki Federalnej Niemiec. Tym gorszy, że Bonn, utrzymując rewizjonistyczny kurs wobec Polski, stosunkowo rychło, bo już w 1956 r., nawiązało stosunki dyplomatyczne z ZSRR i wielkodusznie pogodziło się z utratą Prus Wschodnich z Królewcem.

Powyższe, stosunkowo wcześniej przez Klausa Zernacka formułowane szkice na temat trendów w dziejach relacji odnoszących się do całej tysiącletniej przestrzeni niemiecko-polskiego sąsiedztwa, długo nie znajdowały zrozumienia ani w polskiej, ani w niemieckiej historiografii. Autor ubolewał zwłaszcza nad poważną niechęcią do ujęcia problemu w schematy periodyzacyjne, jaką postrzegał w nauce niemieckiej. Nie wykazywała ona należytego dystansu wobec „nieprzemyślanych, teoretycznych hybrydyzacji naukowych” (II/6 3-4?), chciała działać zgodnie z racją stanu (co nieodmiennie oznacza naukowy regres – jak nadmienia Zernack), odwracała się od studiów nad historią regionalną, która zawsze sprzyja neutralności badawczych postaw. Uważał, że do lat siedemdziesiątych jedynie Herbert Ludat podjął to wyzwanie, najpełniej w pracy z 1957 r. *Die deutsch-polnischen Beziehungen im Lichte ihrer geschichtlichen Vorausset-*

zungen⁶⁷. Ludat rozróżnił sześć epok w historii stosunków niemiecko-polskich, istotniejszą rolę przypisując wiekom średnim niż nowożytnym. Początkowa przypadała na pierwszą fazę westernizacji, czyli na ustanowienie państwa i chrystianizację w okresie od X do XII w. Druga obejmowała wtórny etap westernizacji w erze kolonizacji (XII–XIV w.). Trzecia, przypadająca na wiek XV, charakteryzowała się zwróceniem się Polski na Wschód, ustaniem napływu niemieckich osadników, pokojową polonizacją niemieckiego mieszczaństwa oraz pokonaniem Krzyżaków. Czwartą wyznaczał ustrój demokracji szlacheckiej, oferujący możliwości asymilacji mniejszości (także mniejszości niemieckiej) i różnorodność w kulturze. W piątej, przypadającej na XVII i XVIII w., widoczne były jeszcze elementy „polsko-niemieckiej solidarności stanowej w walce z absolutyzmem”. Szósta, trwająca od czasu rozbiorów, zamykała obustronne stosunki nowoczesnymi formami antagonizmu i tragicznym pogorszeniem się wzajemnych stosunków.

W propozycji periodyzacji pióra Ludata dostrzegał Zernack embrion własnej, z wielką konsekwencją rozwijanej później tezy, głoszącej, że przez kolejne stulecia, aż po schyłek Rzeczypospolitej Obojga Narodów, stosunki niemiecko-polskie były „normalne”, zaś ich tragiczne w skutkach zantagonizowanie nastąpiło dopiero w czasach najnowszych.

Polscy badacze nie przeciwstawili koncepcji Ludata równorzędnej – zdaniem Zernacka – propozycji periodyzacyjnej. Akcentowane przez nich kryteria odznaczały się co prawda większą różnorodnością, ale zarazem były bardziej jednostronne, poddane presji czynników pozanaukowych. Autor jako przykład podawał prace Mariana Friedberga i Józefa Feldmana i ostro krytykował syntezę Zygmunta Wojciechowskiego, który w tysiącletniej historii niemiecko-polskich stosunków dostrzegał jedynie elementy narastającego konfliktu, rozciągając obraz katastrofalnego ich wizerunku z XIX i XX stulecia na cały okres od średniowiecza poczynając. Stronniczość historiozofii Wojciechowskiego szła tak daleko, że – jak twierdził – odcięli się od niej nawet marksistowscy historycy polscy, obradujący w 1950 r. nad wypracowaniem nowej strategii ujmowania historii stosunków polsko-niemieckich. Przewyciężyli oni bowiem jednostronne kryteria periodyzacyjne, podejmując próbę oparcia ich na szerszym uniwersalnym podłożu historii gospodarczej, społecznej i ustrojowej i tym samym unikając wikłania się w schematycznych dyrektywach materializmu historycznego. Wrocławskie spotkanie – tak Zernack – ujęło historię polsko-niemieckich stosunków w gorset czterech cezur, w których spotykały się kryteria o charakterze uniwersalnym z narodowymi. Pierwsza epoka sięgała do XIII w., czyli jej granicą *ad quem* był czas największego natężenia kolonizacji. Druga,

⁶⁷ „Nachrichten der Gießener Hochschulgesellschaft” 26 (1957), s. 171 i n. Cytuję za Zernackiem I,2, 29.

obejmująca lata 1320–1454, na pierwszy plan wysuwała konflikty wewnętrzne i międzynarodowe, oscylujące wokół kwestii restytucji władzy monarchów piastowskich i długotrwałych sporów z Zakonem. Trzecią fazę, rozciągającą się od hołdu pruskiego po trzeci rozbiór uznano za epokę „względnej równowagi w ramach uniwersalistycznej idei Rzeczypospolitej szlacheckiej”. Była to „epoka szans, które jednak z różnych powodów uległy zaprzepaszczeniu”, prowadząc do rozkładu wewnętrznego państwa, rozbiorów i w efekcie do fatalnego antagonizmu, który cechował ostatnią epokę, epokę obejmującą lata 1795–1939. Oczywiście autor uważał za w pełni zrozumiałe, że i ów marksistowski horyzont ujmowania stosunków polsko-niemieckich nacechowany był elementami owego instrumentalizmu, który nakazywał podległość racjom politycznym.

Klaus Zernack nie godził się również z periodyzacyjną propozycją pochodzącą od Gerarda Labudy, a sformułowaną w jego książce na temat historii polskiej granicy zachodniej⁶⁸, choć sam pomysł monograficznego omówienia kwestii „ruchomej” granicy między oboma państwami jako odrębny problem badawczy uznał za fascynujący. Gerard Labuda – jak wiemy – ujmował historię stosunków polsko-niemieckich w sześć odsłon. Pierwsza, obejmująca wieki od X do XIII, była okresem granic trwałych, które utrzymywały się mimo niemieckiego naporu. Druga przyniosła w XIII i XIV stuleciu rozpad polskiej granicy zachodniej. Czas od XIV do XVIII w. to skomplikowane konflikty wokół „rzekomo” trwałych granic. Czwarty etap to epoka zaborów, w której co prawda nie istnieje granica w dawnym rozumieniu, ale nie zanika, a wręcz nasila się walka o jej odtworzenie w kształcie pierwotnym. Lata między wojnami przyniosły pozorną stabilizację granic z roku 1772. Czas po 1945 r. to wreszcie epoka, w której stworzono przesłanki dla powrotu polskiej granicy do punktu wyjścia z okresu monarchii piastowskiej. Zrozumiałe, że Zernackowi nie odpowiadała koncepcja Labudy (i jego wersja „piastowska” by nie rzec – jak pisze – „poznajska”), który – zdaniem niemieckiego autora – poszukiwał przesłanek „powrotu Polski nad Odrę i Nysę Łużycką” i polemizował z autorami, którzy nową granicę Polski postrzegali wyłącznie jako rezultat niemieckiej klęski w drugiej wojnie światowej. Nie przekonała go „demograficzno-politycznie” uzasadniana teza Labudy o ucieczce elementu niemieckiego ze Wschodu na Zachód w okresie uprzemysłowienia. Proponował rozważenie tego problemu „w szerszym kontekście niemieckiej polityki wschodniej i politycznego systemu mocarstwowego w Europie” (I/6,s.4).

Wyżej oceniał Zernack wtedy – w roku 1976 – najnowszą publikację Instytutu Zachodniego w Poznaniu: pierwszy tom pracy zbiorowej *Stosunki polsko-niemieckie w historiografii. Studia z dziejów historiografii polskiej i niemieckiej*

⁶⁸ G. Labuda, *Polska granica zachodnia. Tysiąc lat dziejów politycznych*, Poznań 1969.

z 1974 r.⁶⁹ Widział w niej efekt solidnych studiów monograficznych, próbę zbilansowania badań nad historią stosunków niemiecko-polskich, niepozbawionych politycznych implikacji, ale przecież rzetelnych i – co najważniejsze – pionierskich, takich, na jakie nauka niemiecka zdobyła się dopiero później. Trzeba powiedzieć generalnie, że Zernack wysoko oceniał wkład historiografii polskiej w unaukowanie niemiecko-polskiego dialogu historiograficznego. Chwalił swoich partnerów za uczciwe pochylenie się nad newralgicznymi kwestiami w historii tych stosunków (*Knotenpunkte*), za prace nad formowaniem się narodu, za wysiłek włożony w studiowanie dziejów zakonu krzyżackiego, za badania regionalne (*Landesgeschichte*) nad przeszłością Śląska, Pomorza, Brandenburgii i Prus, nad historią Gdańska, no i za efekty badań nad dziejami najnowszymi. Tu najbardziej skutecznie starano się – o co zawsze zabiegał – „myśleć kategoriami drugiej strony” (III/4).

Największe znaczenie Klaus Zernack przypisywał badaniom nad stosunkami niemiecko-polskimi w średniowieczu. Interesował się nimi najżywiej; od nich zaczynał. W średniowieczu ulokowane były – jak wiemy – idee tkwiące u punktu wyjścia jego filozofii wzajemnych relacji. Jego obraz niemieckich osiągnięć nie wypadł optymistycznie. Nie wszystkie interesujące prace na ten temat mogły znaleźć pomieszczenie w niniejszym tomie. W referacie poświęconym średniowiecznym niemieckim badaniom nad historią Europy Wschodniej, wygłoszonym w Berlinie w 2002 r. z okazji setnej rocznicy ustanowienia pierwszego w krajach niemieckojęzycznych seminarium Historii Europy Wschodniej⁷⁰, dochodził do deprymującej konstatacji, że ostatnie stulecie z trudem dorównywało mającym do dziś wartość naukową syntezom historii Polski pióra Richarda Roeppele i Jacoba Caro czy historii średniowiecznej historiografii w Polsce, opublikowanej przez Heinricha Zeissberga w 1872 r.⁷¹ Epoka wilhelmińska nie wydała bowiem niczego, co wzbogacałoby wiedzę o Polsce w wiekach średnich. Tylko nieznacznie zmieniła się sytuacja w Republice Weimarskiej, kiedy to historiografia niemiecka, protestując przeciwko nowym granicom na Wschodzie, co prawda chętnie sięgała do argumentów z obszaru mediewistyki, ale przy tym od razu wpadała w sidła polityki. Oczywiście, że rewizjonizm nowych Niemiec był w części przynajmniej reakcją na polską myśl zachodnią, której oś, jaką była koncepcja ziem macierzystych polskich, musiała odwoływać się do średniowiecza. Nie zmieniało to faktu, że ani po 1918, ani – tym bardziej – po 1933 r. nie było szans na unaukowanie kompleksowych badań nad historią

⁶⁹ Tom I pod red. J. Krasuskiego, G. Labudy, A.W. Walczaka, Poznań 1974.

⁷⁰ K. Zernack, *Mediävistische Forschungen* (jak w przyp. 55).

⁷¹ R. Roeppele, *Geschichte Polens*. Erster Teil, Hamburg 1840; J. Caro, *Geschichte Polens*. Zweiter bis fünfter Teil (1300–1506), Gotha 1863–1888; H. Zeissberg, *Die polnische Geschichtsschreibung des Mittelalters*, Leipzig 1872.

niemiecko-polskich stosunków. Co więcej, również epoka podziału Niemiec długo nie sprzyjała – z różnych względów, jak już o tym była mowa wyżej – ich oddemonizowaniu. Badania nad średniowieczną historią stosunków z Polską do dziś pozostają niedoinwestowane, ale ich postęp wydaje się systematyczny, choć nierównomierny i dokonuje się – co autor podkreśla często z przekonaniem – nie bez poważnego udziału strony polskiej.

W różnych tekstach – często w rozprawach, które powstawały w ramach prac Komisji Podręcznikowej⁷² – Klaus Zernack z satysfakcją odnotowywał zbliżanie się stanowisk badaczy w newralgicznych kwestiach i tym samym coraz częstsze oznaki akceptacji dla swojego stanowiska metodologicznego, zakładającego postrzeganie wieków średnich jako rodzaju laboratorium, w którym rodziła się Europa drugiego tysiąclecia, integralna i jedna, choć zarazem różna i podzielona, w której niemiecka myśl wschodnia i polska zachodnia jeszcze się nie pokrywają, choć spojrzenia na nie się zbliżają. Rezultaty przychodziły powoli, ale przychodziły. Zernack stwierdzał znaczne złagodzenie kontrowersji w sprawie całokształtu stosunków między Germanami a Słowianami. Przyszłość dialogu upatrywał we włączeniu doń „kontekstu kulturowo-historycznego”. Uważnie śledził proces kształtowania się świadomości narodowej europejskich elit. Powtarzał z uporem: „Historia Europy to jedna historia różnych historii narodowych. [...]. O europejskości naszego kontynentu stanowi historia jej poszczególnych narodów [...]. Narody wzajemnie się konstytuują w oparciu o przebiegające etapami procesy *nation building*”(II/7, s.1). Chrześcijańskie Regnum Poloniae schyłku X wieku stało się ważnym podmiotem okcydentalizacji [westernizacji] Europy pozakarolińskiej; chrystianizacja otworzyła jej wrota do europeizacji. Impuls założycielski był u Polaków, Czechów i Węgrów silny, dając tym narodom możliwość rozwijania własnej, niejako zastępczej tradycji królewskiej w oparciu o świadomość narodową elit. Dzielił w pełni pogląd Benedykta Zientary, że fundament mediewistycznego dociekania musi być „europejski horyzont”, że ten europejski kontekst wymaga jednak także uwzględniania kontekstu regionalnego. Proces „uzachodowienia” wiązał z transferem kulturowym z Zachodu na Wschód. Był on możliwy, bo – tu Zer-

⁷² Poza tekstami umieszczonymi w niniejszym tomie trzeba wymienić: *Die Arbeit der deutsch-polnischen Schulbuchkommission. Zum Stand der Diskussion*, „Gegenwartskunde” 3 (1977), s. 305 i n.; *Das deutsch-polnische Verhältnis als historisches und als aktuelles Problem*, [w:] *Deutsch-polnische Schulbuchempfehlungen*, 1980, s. 20 i n.; *Ancien Regime und modernes Zeitalter in Mitteleuropa*, [w:] *Polen und Deutschland im Zeitalter der Aufklärung. Reformen im Bereich des politischen Lebens, der Verfassung und der Bildung (XIII, Deutsch-polnische Schulbuchkonferenz der Historiker in München 1980)*, Braunschweig 1982, s. 125 i n.; *Gedanken zur 20. Deutsch-Polnischen Schulbuchkonferenz der Historiker 1987*, „Internationale Schulbuchforschung” 9 (1987), s. 201 i n.; *Völkerbeziehungen als Problem der Geschichtswissenschaft. Methodologische Grundfragen der deutsch-polnischen Schulbucharbeit*, [w:] *Między historią a teorią, Festschrift für Jerzy Topolski*, Warszawa 1988, s. 508 i n.

nack znów powoływał się na wynik badań Zientary – świadomość narodowa w średniowieczu różniła się od późniejszej tylko co do zakresu i stopnia intensywności⁷³. Był zgoła niezbędny po to, by – jak pisał – „historia całej Europy postantycznej, jako właściwa historia Europy, mogła zyskać trwałe podstawy w drugim tysiącleciu po Chrystusie” (II/5,19). Domagał się szczegółowych badań i chwalił pracę Zdzisława Kaczmarczyka, który w 1974 r. dokonał szczegółowego bilansu badań historycznych nad kolonizacją niemiecką w Polsce⁷⁴. Później z uznaniem wypowiadał się o monografii Jana Piskorskiego, prezentującego tę kolonizację na szerokim, właśnie europejskim tle. Widział w niej, jak polski autor, apogeum ogólnoeuropejskich procesów osadniczych⁷⁵.

Również stosunki brandenbursko-polskie Klaus Zernack rozpatrywał w tle procesu akulturacji, prowadzącego z Zachodu na Wschód, postrzegając w nim cywilizacyjne i kulturalne zbliżanie się Europy „barbarzyńskiej” do jej starego, porzymskiego epicentrum. Tak przedstawiał średniowieczny rozwój Berlina i Warszawy, wykorzystując interesująco możliwości metody komparatystycznej i uwzględniając zdobycze nauk pokrewnych, odnoszące się do substancji miejskiej, komunikacji, przepraw rzecznych. Pisał w końcu o trzech etapach poszerzania się niemiecko-polskiego horyzontu wzajemnych stosunków u schyłku X stulecia, w których Brandenburgia pełniła rolę „zwornika”: za Herbertem Ludattem i Gerardem Labudą wyróżniał okres „bezpośrednich impulsów Zachód-Wschód w ramach frankijsko-niemieckiej polityki wschodniej przed 940 r., okres „konkurencyjnej ekspansji z Zachodu i Wschodu” na słowiańskie kraje, położone między Łabą i Odrą (940–963) oraz okres polsko-niemieckiej współpracy w ramach planu Renovatio Imperii Romani (963–1002). Chciał zerwać w ten sposób z ostrym przeciwstawianiem sobie tradycyjnego ujmowania tej kwestii w kontekście wyobrażeń o niemieckim posłannictwie kulturowym na Wschodzie i równie nacjonalistycznego traktowania jej przez wschodnich sąsiadów w kategoriach nieprzerwanego niemieckiego „parcia na Wschód”. Zbieg ten był nieodzowny m.in. dla rozwinięcia jego koncepcji Prus w dziejach Niemiec i – przede wszystkim – Polski oraz w kształtowaniu stosunków niemiecko-polskich.

„Prusy” stanowiły jeden z najczęściej pojawiających się w pisarstwie Klause Zernacka tematów; są w nim obecne od prawie 40 lat. Refleksja autora nad Prusami i ich historią najsilniej nacechowana jest elementami teoretyczno-filozoficznymi. Autor z wyjątkową konsekwencją stara się na tym polu dać uj-

⁷³ K. Zernack, *Vorwort zu Zientaras, Frühzeit der europäischen Nationen*, s. 8.

⁷⁴ Miał na myśli obszerny tekst poznańskiego historyka prawa pt. *Kolonizacja niemiecka i kolonizacja na prawie niemieckim w średniowiecznej Polsce*, [w:] *Stosunki polsko-niemieckie w historiografii*, t. I, red. J. Krasuski, G. Labuda, A.W. Walczak, Poznań 1974, s. 218–326.

⁷⁵ J. M. Piskorski, *Kolonizacja wiejska Pomorza Zachodniego w XIII i w początkach XIV w. na tle procesów osadniczych w średniowiecznej Europie*, Poznań 1990.

ście swemu dążeniu do uniwersalizacji obrazu omawianej materii. Nie tylko z tego względu, że Prusy trwale wpisały się w los dwóch wielkich narodów – Niemców i Polaków. Także dlatego, że w poglądach na Prusy i ich historię ześrodkowywały się najważniejsze spory historiograficzne w obu krajach, poddawane silnej ideologizacji zwłaszcza w czasach napięć i kryzysów. Wynika to ze szczególnego charakteru samych Prus, które od początku – jak podkreśla Zernack – grały rolę zwornika niemiecko-polskiego sąsiedztwa, przejmując jakby „historiograficzną odpowiedzialność” [podkr. moje – H. O.] za jego stan, także w okresie, w którym ich już nie było. Monarchia Hohenzollernów była państwem, które od swego zarania stanowiło część Europy Środkowo-Wschodniej, którego „mateczniki” – Marchia Brandenburska i Prusy, powstałe w kraju Prusów w wyniku misji, panowania zakonnego i osadnictwa – uznawały „prymat polityki wschodniej”, która musiała pozostawić głębokie ślady na rozległej przestrzeni niemiecko-polskiej przeszłości⁷⁶. Niemniej, dopóki Prusy potrafiły „unikać zajmowania stanowiska w kwestiach dotyczących ambicji Niemców do stworzenia państwa narodowego”⁷⁷, poruszały się one po pewnym gruncie. Były państwem usytuowanym między narodami i przez długie lata ich granica z Polską była stabilna, „normalna”. Dopiero w drugiej połowie XVII stulecia – w następstwie Welawy, Oliwy, Andruszowa, a także jako rezultat zmian w systemie europejskich mocarstw, z których dwa o najstarszej tradycji, właśnie Rzeczpospolita Obojga Narodów i Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego wchodziły w stan głębokiego kryzysu – musiały one szukać partnerów do gry w międzynarodowym koncercie nowych mocarstw, z których najsilniej poczęła o sobie dawać znać Rosja, a wschodnia część kontynentu przestała być przedmiotem starań o zachowanie politycznej równowagi. Klaus Zernack przypomina, że akurat wtedy, kiedy w Warszawie obradował sejm „Sicińskiego”, dwór w Poczdamie obezwładnił brandenburskie stany (III/1, s. 12). Rozpoczęła się epoka polityki rozbiorowej, a jej kolejnymi ważnymi etapami były wojna północna i sejm niemy w 1717 r., potem system nysztadzki z 1721 r. i ostatnie bezkrólewie, kiedy to Prusy otrzymały od Rosji wolną rękę w rozgrywaniu kartą polską. Mogły one spełnić swe mocarstwowe ambicje, rozbudzone w czasie wojny północnej przez Rosję, tylko kosztem Polski. Rozpoczął się czas „negatywnej polityki” wobec sprawy polskiej. To ona przesądziła o rozbiorach, a nie – jak przyjmowała dotąd większość historyków nie tylko niemieckich, ale nade wszystko niemieckich – wewnętrzna słabość Rzeczypospolitej. Klaus Zernack odrzucał tezę, głoszącą, że dostosowanie zabranych

⁷⁶ Por. K. Zernack, *Pruska polityka wobec Polski a polski wizerunek Prus*, [w:] *Polacy i Niemcy. Historia – kultura – polityka*, red. A. Lawaty, H. Orłowski, Poznań 2003 (Poznańska Biblioteka Niemiecka, t. 17), s. 178.

⁷⁷ Ibidem.

terytoriów do struktur absolutystycznego państwa było poważnym osiągnięciem cywilizacyjnym monarchii Hohenzollernów, które wpłynęło na ożywienie myśli reformatorskiej w Prusach, w szczególności w Prusach Wschodnich. O historiografii, która rozbiory traktowała jako akt dobrodziejstwa na rzecz kraju, niezdolnego do egzystencji, wyrażał się z przekąsem. Był zdania, że za swą politykę Prusy płaciły wysoką cenę, albowiem na ziemiach polskich wizerunek Prus systematycznie się pogarszał. Dotyczy to w szczególności okresu po debacie na temat Polski, jaka miała miejsce w Kościele św. Pawła we Frankfurcie latem 1848 r. i potem po utworzeniu Związku Północnoniemieckiego w 1866 r., kiedy to Prusy definitywnie stały się rzecznikiem jedności Niemiec, której fundamentem miało być utrzymanie podziału Polski jako rękojmi rozwiązania tzw. małoniemieckiego. Tym samym zakończyły one swój byt jako „państwo między narodami”, a niemiecki Wschód przestał być polskim Zachodem. Autor pisał: „Dawniej Prusy były jednocześnie niemieckim Wschodem i polskim Zachodem, a mówiąc ściślej: w starym państwie pruskim istniała świadomość tego, że na jego wschodnich obszarach przecinają się niemiecki Wschód i polski Zachód – historycznie, kulturowo, a zwłaszcza w politycznej świadomości ludzi”. Rezultatem zwrotu pozostał pogłębiający się nacjonalizm, który po stronie prusko-niemieckiej miał charakter imperialny, wyekwipowany w ogólnoniemieckie zadania misyjne, po polskiej zaś obronny, „emancypatorski” czy „funkcjonalny”, w którym stawką było przetrwanie. Po zjednoczeniu w 1871 r. Prusy przystąpiły do kopania własnego grobu⁷⁸, ukonstytuowały się „Pruso-Niemcy” (Preussen-Deutschland); w Niemczech Bismarcka nie było bowiem miejsca na odstępstwo od zasady, że Prusy i Niemcy to jedno i to samo, podobnie jak nie było ustępstwa od uznania, że historia Prus to organiczna część historii Niemiec. Niemiecki Wschód nie był już polskim Zachodem. Pozostał tylko ten pierwszy.

Zernack wielokrotnie podkreślał, że pod tym względem nic się nie zmieniło po roku 1918. Nie pomogło odejście Hohenzollernów i rozplątanie się Prus w Niemczech. Stare problemy pozostały. Jak słusznie podkreśla autor, Republika Weimarska nie potrafiła dostrzec w „pierwszym rozbiórce Prus” przesłanki pozwalającej przeformować przestarzałe zasady polityki wschodniej. Pisał: „Tradycje borusjańskie uniemożliwiały niemieckim historykom odpowiednią reakcję na powstanie nowej Europy środkowowschodniej. Tym bardziej było to niemożliwe w Rzeszy Adolfa Hitlera. Od początku można było żywić niezawod-

⁷⁸ Ibidem 179–180: Autor cytował słowa swego ucznia Andreasa Lawaty’ego, który pisał: „Ponieważ podzielony naród doświadczył historycznej potęgi Prus jako negatywnej polityki wobec Polski, dlatego jego reakcją mógł być tylko negatywny wizerunek Prus”. Ale dodawał relatywizująco: „Dopóki istniała monarchia Hohenzollernów, dopóty także polska profesjonalna nauka historii nie potrafiła się uwolnić od ciężaru politycznej argumentacji w ocenie Prus”.

ną pewność, że narodowosocjalistyczne Niemcy wykorzystają pierwszą okazję dla potwierdzenia antypolskiego rewizjonizmu, nawet gdyby to oznaczało przejście do porządku nad śmiertelną nienawiścią między nazizmem a bolszewizmem. Dopiero rok 1945 wymusił poniechanie aksjomatu Bismarcka, głoszącego, że jedność Niemiec i polska wolność wzajemnie się wykluczają. Teraz jednak gwarancją jednej Polski – tak Zernack – okazały się podzielone Niemcy. Wyraziło się to przede wszystkim w *destruction totale de la Prusse*; »państwo pruskie wypędzono z niemieckiej historii«, a w społeczeństwie polskim, które zdawało sobie sprawę z pruskich korzeni kilkuwiekowej negatywnej polityki wobec sprawy polskiej, górę wzięło zjawisko nienawiści do Prus ». Symbolem i zarazem barometrem dziejów niemiecko-polskich pozostały losy Berlina i Warszawy, które Klaus Zernack śledził od średniowiecza aż po czasy najnowsze. W pięknym esej z 1991 r. ukazywał podobieństwa między rozwojem obu stolic, przeważające w średniowieczu, czyli w okresie « normalnych » stosunków między sąsiadami, kiedy to Warszawa – jak podkreślał – biła Berlin na głowę; i zatrzymywał się nad rozejściem się ich dróg w okresie katastrofy wzajemnych stosunków, kiedy z kolei Berlin stał się centrum wschodniej polityki imperialnej, Warszawa zaś przeżywała czas wegetacji. Kończył wspomnieniem wczesnej współczesności, kiedy to w drugiej wojnie światowej i w latach po jej zakończeniu obie stolice potrafiły szybko się podnieść ze zniszczeń, z tym że Warszawa stała się podmiotem integrującym naród, Berlin natomiast symbolizował podział Niemiec. Tak oto – podkreślał sugestywnie – związki niemiecko-polskie, « rezultat powiązania historii Polski i Niemiec przez Prusy, znalazły wyraz we współczesnych, jakże rozbieżnych losach swoich stolic »”.

Wróćmy jeszcze na chwilę do konstrukcji Zernacka „negatywnej polityki wobec kwestii polskiej”, która stawiała autora w sytuacji badacza, który płynął pod prąd nie tylko większości środowiska historyków niemieckich, ale i przeciwstawiał się mniemaniom potocznym w swoim kraju. Teoria „negatywnej polityki wobec sprawy polskiej” wydaje się logiczna i czytelna dzięki swej prostocie. Jest w koncepcji Klause Zernacka ważna, a nawet kluczowa, bo jej znaczenie odnosi autor do całej przestrzeni tysiącletniego sąsiedztwa, pozwalając, inaczej niż to robiono dotąd, sproblematyzować te stosunki. Może jej aplikacyjne treści wypadłoby interpretować nieco inaczej, wężiej, gdyby wyraźnie nazwać ją „polityką negocjowania prawa Polski do istnienia”: jak długo jej nie uprawiano, tak długo niemiecko-polskie stosunki były poprawne, „normalne”. O to przecież w istocie chodzi, jako że „negatywna polityka” obejmuje czas zaborów, kiedy Polski na mapie politycznej nie było, choć Polacy o odzyskanie swego państwa walczyli. Ale autor wyraźnie podkreśla *iunctim* między nią a konstrukcją głoszącą, że Prusy to „państwo między narodami”, czyli „międzypaństwo”, ani polskie, ani niemieckie, nieodzowny makler pracujący dla dwóch stron, ale

do czasu nieidentyfikujący się z żadną z nich. Może Zernack nie jest dostatecznie konsekwentny, kiedy próbuje dokładniej ustalić, w jakim punkcie dziejów Prusy zaczęły zbliżać się do niemieckiego zaplecza, utożsamiać z nim i prowadzić politykę wrogą wobec Rzeczypospolitej w imieniu tego zaplecza. Ma on oczywiście świadomość, że negatywna polityka wobec niej trwa od czasów saskich i decydująco wpływa na pierwszy rozbiór, zaledwie raz wspomina o jej elementach, widocznych już za panowania wielkiego elektora. Czyżby jej antypolski charakter nie uzasadniał rozciągnięcia pejoratywnego wizerunku Prus już na całą drugą połowę XVII w. i cały wiek XVIII? Wydaje się, że w słusznie postulowanej przez autora syntezie historii stosunków polsko-pruskich, uwzględniającej – jak to radził Walter Schlesinger, do którego Zernack odwoływał się często – „poszerzenie perspektywy europejskiej i pogłębienie regionalnej”, trzeba uważniej przebadać źródła czasów stanisławowskich. Może wyjaśniłoby się wtedy też, od kiedy prowadzące negatywną politykę wobec Polski Prusy były skazane na alians z Rosją. Bo że były jej animatorem i beneficjentem, nie podlega dla autora kwestii, podobnie jak oczywiste musi być uznanie, że zasada negowania prawa Polski do niepodległego bytu tworzyła fundament polityki wszystkich mocarstw ościennych z Rosją na czele. Inna sprawa, że sytuowanie Prus jako forpoczty imperialnych Niemiec w ważnych konfrontacjach XIX w. znakomicie tłumaczy narastanie antagonizmu polsko-niemieckiego w zaborze pruskim, niezależnie od tego, czy „małoniemieckie” zjednoczenie Niemiec uznać za początek wtapienia się Prus w Rzeszę, czy za impuls w sprusaczaniu się tej ostatniej. Wyjaśnia też sojusz ze Związkiem Sowieckim w przeddzień napadu na Polskę w 1939 r. Trzeba się zgodzić z autorem, że silnym spoiwem, który po 1941 i potem po 1945 r. połączył Polskę z ZSRR, była swoista „logika odwetu”, której wyrazem była negatywna polityka wobec Niemiec po formalnym rozwiązaniu Prus, zawierająca imperatyw prowadzący „od rozbiórów Polski do rozbiórów Niemiec (I/9, 4). Można się jednak zastanawiać, czy polska opinia tak jednoznacznie – jak wydaje się chcieć tego autor – dążyła wtedy do likwidacji tych ostatnich. Pokonanym wrogiem były hitlerowskie Niemcy, a nie mityczne „międzypaństwo” Prusy. Wydaje się, że doświadczone ciężko przez wojnę i okupację społeczeństwo polskie nie odróżniało wystarczająco ostro Prus od Niemiec; sprawców zbrodni postrzegało w Niemcach; Prusy były pojęciem zdefiniowanym przez elity, rzeczników czy raczej epigonów myśli zachodniej; pruskość była bardziej synonimem niemieckich przywar niż podmiotem samodzielnie prowadzonej polityki. Polityczny rachunek płaciły Niemcy, nie Prusy. Tylko chyba z tym zastrzeżeniem należy zgodzić się z autorem co do tego, że fenomen „Prusy” polegał właśnie na tym, że żyły i kształtowały mentalność sąsiadujących z nim społeczeństw w długim życiu pozagrobowym, że ciągłość pruskich dziejów w aspekcie polityki wschodniej okazała

się trwalsza od pruskiego państwa. I tu potrzebne są jeszcze rzetelne badania. Postulat pogłębienia badań jest zresztą obecny w refleksji autora nie tylko w tej kwestii⁷⁹.

Jeżeli więc Klaus Zernack zlikwidowane Prus określił jako „odwrócenie osi niemieckiej historii”, a gwałtowność, z jaką się ono dokonało, nazwał katastrofalną, to akt z lutego 1947 r. o likwidacji Prus wymaga bezpośredniego powiązania ze stwierdzeniem, które autor przytacza w nieco innym kontekście, kiedy skądinąd trafnie konstatuje: „Utworzenie etnicznie polskiego państwa narodowego między Odrą a Bugiem w oparciu o rozbiór Prus i sojusz z Rosją sowiecką wyznacza przełom w europejskiej polityce międzynarodowej”. Trafnie również ocenia, że „historiograficzna polonizacja” znalazła wyraz w intensywnym wysiłku historyków polskich w badaniu przeszłości ziem należących pod zaborami do Prus – Niemiec: nad historią Śląska, Pomorza, Nowej Marchii, Prus Wschodnich i Zachodnich. Wielkie syntezy tych ziem nazywał autor „istotną rewizją podstaw tożsamości historiografii [polskiej] w zakresie historii regionalnej”.

Zernack trafnie podkreśla, że nasze narody dzieliła tak „nieszczęsna tradycja instrumentalizowania historii”, że proces jej „unaukowienia” musiał przebiegać wolno i pośród oporów. Lata po drugiej wojnie światowej charakteryzowały się podjęciem rodzaju ofensywy przez historiografię polską, do której przeprowadzenia była ona lepiej od niemieckiej przygotowana: była silniejsza kadrowo, bardziej zwarta organizacyjnie, a dzięki tezie o „powrocie Polski do piastowskiej macierzy, nad Odrą, Nysą i Bałtykiem” mogła – przynajmniej do czasu, liczyć na poparcie państwa komunistycznego. Napięcia były zatem wynikiem tej okoliczności, że – jak stwierdza berliński historyk – Polska przeszła po 1945 r. do negatywnej polityki wobec sprawy niemieckiej, w czym nauka historyczna jej sekundowała. Strona niemiecka natomiast wciąż sondowała możliwość prowadzenia dialogu w oparciu o tradycję pruską. Nie była w stanie dostrzymywać kroku badaniom polskim, już choćby z tego powodu, że nauka niemiecka straciła swe pracownie badawcze na Wschodzie – w Królewcu i Wrocławiu. Badania wschodnie – podkreśla Zernack – mają „właściwość do samoupolityczniania się”, co sprawiło, że stanowiły arsenał argumentów, przydatnych w bieżącej polityce⁸⁰. Ale największe straty przyniósł fakt, że w powojennych Niemczech nie udał się zabieg restytuowania historii „krajowej”: „Wraz z rezygnacją z pojęcia »kraj« [Land] na rzecz historii narodowej niemieckie badania wschodnie kompletnie zniszczyły przedmiot badawczy *Landesgeschichte*”⁸¹. Pozbawiły się tym samym ważnych założeń poznawczych i narzędzi do krytyki źródeł. Rezultat był taki, że utracono „gotowość do dialogu z waż-

⁷⁹ Z. Zernack, *Polityka pruska...*, s. 179.

⁸⁰ K. Zernack, *Pojęcie historyczne „Niemcy wschodnie”...*, s. 36.

⁸¹ Ibidem, s. 31.

nym partnerem naukowym”⁸². Zabrakło „precyzyjnie wyartykułowanego zerwania ze starą tradycją”; co stawiało „nowy początek badań wschodnich” – zaanektowanych przez historyków polskich – pod znakiem zapytania. Strona niemiecka jeszcze długo unikała „prawdziwej dyskusji” z polskim „spojrzeniem na Niemcy Wschodnie”. „Możliwa była jedynie konfrontacja”, stąd i zasada *Polonica non leguntur* długo mogła egzystować jako „dobra tradycja” – ironicznie podsumowywał podówczas stan rzeczy niemiecki autor.

Rok 1970 zmienił sytuację, dokonał wyzwolenia niemieckiej polityki z tradycji pruskiej”. Historycy obu krajów zaczęli ze sobą rozmawiać; powstawała potrzebna w dialogu infrastruktura. Szczególnie w trakcie prac Komisji Podręcznikowej historiografia niemiecka przystąpiła do szybkiego nadrobienia zaległości. Młode pokolenie badaczy coraz częściej brało odpowiedzialność za treść dialogu w swoje ręce.

„Nowy paradygmat” w spojrzeniu na przeszłość wzajemnych stosunków zwyciężył jednak dopiero w rezultacie przeobrażeń roku 1989. Polska odzyskała suwerenność; jej integralności nie zagraża już wzgląd na prusko-niemieckie lub rosyjsko-radzieckie ambicje hegemonistyczne. Rozwiązaniu uległa „trójczyna struktura” stosunków polsko-niemiecko-rosyjskich. Utworzenie nowego zjednoczonego państwa w Niemczech połączyło się z uznaniem granicy wschodniej na Odrze i Nysie. Owo „cofnięcie się” granicy niemiecko-polskiej do swego położenia początkowego z X stulecia jest epokowym przełomem, ponieważ granica „nie wiąże się już z mobilnością Niemiec w odniesieniu do ich terytorialnego trwania na Wschodzie”⁸³. Powrót do normalności otwiera niebywałe możliwości współpracy naukowej i stawia historyków obu krajów przed nowymi zadaniami, które będą wymagały „rewizji” dawnych poglądów i stereotypów, wynikających z ulegania politycznym priorytetom, ideologii, często dyletantyzmowi. Wraz z przełomem przyszedł czas, w którym stanie się możliwe, że poznanie historyczne służyć nam będzie jako „metoda porozumiewania się wszędzie tam, gdzie wiedza historyczna przez pokolenia stanowiła medium konfrontacji”.

Dla podjęcia tego doniosłego zadania Klaus Zernack może dziś liczyć na współpracę z rzeszą badaczy w swoim kraju, w dużej części tych, których sam wykształcił i których ważne prace są żywym zaprzeczeniem jeszcze nie tak dawno wypowiedzianej skargi Mistrza, że w Niemczech *polonica non leguntur*.

Wydanie w naszym kraju reprezentatywnych tekstów Klause Zernacka stanowiło od dawna pilny postulat humanistyki polskiej. Tom zawiera wyłącznie rozprawy, które dotąd nie ukazywały się w języku polskim. Selekcja materiału nie była zadaniem łatwym, albowiem na tłumaczenie zastugiwało znacznie

⁸² Ibidem, s. 38

⁸³ Ibidem, s. 27.

więcej studiów autora, niż można było w woluminie pomieścić. Wybór, zaakceptowany przez Klausa Zernacka, padł na te prace, które – jak się wydawało piszącemu te słowa – najwierniej oddają filozofię historii stosunków niemiecko-polskich. Podporządkowano mu też sekwencję tekstów, które choć powstały na przestrzeni półwiecza, tworzą jedną bryłę tematyczną. Stąd zrezygnowano z zasady chronologii w układaniu tomu. Powracanie pewnych wątków w antologii, a nawet powtórzenia były tu nie do uniknięcia; wskazują one na szczególną wagę, jaką autor do niektórych wątków przywiązywał. Zachowano też przyjęty przez autora, a różny dla poszczególnych tekstów sposób dokumentowania twierdzeń. Przypisy i wskazówki bibliograficzne mają postać nadaną im w pierwodrukach.

Tom jest – jak wolno sądzić – dobrą okazją dla uczczenia 75. rocznicy urodzin wybitnego i zasłużonego badacza.

Zygmunt Ziemiński



Należał do uczonych światowego formatu, lokował się na szczycie uznanych wielkości na macierzystym Uniwersytecie, był kierownikiem znakomitego seminarium, wyróżniał się pasją działania. Dla większości absolwentów Wydziału Prawa pozostawał najbardziej rozpoznawalną postacią okresu studiów. Przydomek Gandhiego przylgnął do niego na stałe i miał pozytywne konotacje. Znamionował nieugiętość i skromność, żywą inteligencję i cywilne nieposłuszeństwo. Dobrze też przylegał do jego sylwetki. Zygmunt Ziemiński był wysoki, chudy, roztargniony, trochę zaniedbany. Za słabymi studentami nie przepadał, za najlepszych – których gromadził w swoim seminarium – dałby się krajać. W Radzie Wydziału miał admiratorów, ale też przeciwników; drażnił ich naukową renomą, poglądami, postawą. Kiedy na wiosnę 1996 r. zmarł, życie na Wydziale stało się od razu jakby mniej barwne.

Był oryginałem; bogata mimika jego twarzy miała przypominać o epizodzie aktora, któremu oddawał się za młodu. Trochę teatru było już w czasie wykładu z teorii państwa i prawa oraz logiki, na które wtedy gdy studiowałem na pierwszym roku Czesław Znamierowski zabierał pracowników katedry. Byli tak różni, jak różne funkcje sprawowali w trakcie zajęć Mistrza. Zygmunt Ziemiński kredą pisał wzory na tablicy, Adam Łopatka nalewał Mistrzowi wodę z karafki, Józef Śmigaj podsuwał podręcznik Arżanowa, kiedy profesor uznał, że należy zacytować przedstawiciela nauki radzieckiej, Dyzio Wojtkowiak mazał tablicę i dbał o uzupełnienie zapasu wody. Był to malowniczy widok, który pierwszoročznikom wiele mówił o randze Uniwersytetu i jego ludzi. Zygmunt Ziemiński był groźnym egzaminatorem, nie o to chodziło, że wymagał nadzwyczajnej wiedzy; rzecz w tym, że stroił takie miny, że stremowany student nie mógł przemówić słowa i chętnie zapadłby się pod ziemię. Takie sytuacje zdarzały się jeszcze później, kiedy przewodniczyłem jako prodziekan studiów zaocznych

egzaminom komisyjnym na V roku. Nawet bardzo dobrzy studenci z trudem otwierali usta z poczuciem obezwładniającej ich tremy. W czasie kolokwiiw sam jeden potrafił zapobiegać „ściąganii” w pełnej Sali XVII w Collegium Minus; nie znosił obiboków i nieuków. Chętnie natomiast pomagał potrzebującym i pilnym. Był surowym ojcem dla swych uczniów. Kiedy otrzymał maszynopis pracy któregoś z nich, odsuwał z biurka inne rzeczy i dokonywał krytycznego studium. Przyznaję chętnie, że kiedy sam miałem jakiś problem, szedłem do niego i zawsze byłem traktowany jako partner, z wielką życzliwością. Nie zawsze był w swym działaniu zręczny, ale intencje miał szlachetne. W 1959 r. zachorowałem na gruźlicę i przebywałem w Zakopanem w sanatorium, kiedy w moim poznańskim mieszkanku rozegrała się mroząca krew w żyłach scena. Oto jeden z moim kolegów, któremu żyrowałem kupno pojazdu, nie zapłacił na czas należnej raty; poinformowany przez Motozbyt dziekan zlecił zbadanie sprawy kierownictwu wydziałowej organizacji związkowej, w której Z. Ziemiński pełnił godność przewodniczącego komisji mieszkaniowej. Profesor dokonał lustracji naszego stanu posiadania i spokojnie oznajmił żonie, że może pożegnać się z meblami, ale tapczanu komornik nie zabierze. Zrozpaczona żona pytała mnie w liście, czy nie przerwałbym kuracji? Wszystko się oczywiście szybko wyjaśniło. Inny przypadek znaczył co innego, ale był równie pouczający. Oto w połowie lat sześćdziesiątych partia otrzymała zgodę wyższych instancji na powołanie na stanowisko prodziekana do spraw studenckich bezpartyjnego profesora. Zygmunt Ziemiński był najbardziej naturalnym na to stanowisko kandydatem i on też został przez Wydział wysunięty. W tym celu I sekretarz Komitetu Uczelnianego udał się do zajmowanej przez kandydata „dziupli” na drugim piętrze Collegium Iuridicum, by oznajmić mu szaczącą nominację. Ziemiński hardo opowiedział, że nominację mógłby przyjąć tylko od Rady Wydziału. Za tę odmowę zapłacił Profesor włączeniem go na trwałe do „grupy antypartyjnej” i pozbawieniem się szans przy awansach i wyróżnieniach. W 1977 r. jako dziekan referowałem na Kolegium Rektorskim wniosek o przyznanie Z. Ziemińskiemu nagrody ministra za osiągnięcia w dziedzinie kształcenia kadry naukowej. Wniosek był starannie przygotowany i „mocny”; pamiętam, że już wtedy absolwenci seminarium Ziemińskiego zajmowali 32 etaty naukowe na UAM i nie tylko. W czasie prezentacji wniosku rektor celowo został wywołany przez sekretarkę (pretekst zawsze ten sam: telefon z ministerstwa) i nie był obecny przy głosowaniu, które miało wynik jednogłosny. Kiedy posiedzenie się skończyło, spokojnie włożył akta do szuflady. Dodam, że rektorem była wówczas ta sama osoba, która wcześniej pełniła funkcję I sekretarza PZPR. Myślę, że rogata natura i poczucie niezależności były cechą osobowości Zygmunta Ziemińskiego jeszcze przed jego wstąpieniem na Uniwersytet Poznański.

Zygmunt Ziemiński pochodził w Warszawy, gdzie urodził się 1 czerwca 1920 r. Jego ojciec, także Zygmunt, był doktorem psychologii, zatrudnionym jako kierownik biblioteki w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Matka, Maria z Romiszewskich, była malarką. Maturę Zygmunt Ziemiński uzyskał w 1938 r. w Liceum św. Stanisława Kostki w Warszawie, po czym zgłosił się jako ochotnik do czynnej służby wojskowej. Po wybuchu wojny droga życiowa Zygmunta stała się stroma i wyboista. Po zakończonej kampanii wrześniowej przedostał się on do Warszawy, a stamtąd na wieś, gdzie w majątkach ziemskich zarabkował jako nauczyciel. Od 1941 r. pozostawał w kontaktach z organizacjami niepodległościowymi, a w 1943 r. zgłosił się do oddziałów leśnych Armii Krajowej. Brał udział w akcjach bojowych, m.in. jako porucznik AK (pseud. „Krótki”), zastępca dowódcy oddziału „Pasięka”, działającego w ramach 27. Pułku Piechoty AK, oraz w ochronie misji „Frestyn”, polegającej na zabezpieczeniu zrztu alianckiego. Za działalność w czasie wojny został w 1975 r. odznaczony Krzyżem Armii Krajowej.

Po wojnie, zagrożony aresztowaniem, przeniósł się do Kielc, gdzie pracował fizycznie, a jednocześnie studiował zaocznie na I roku na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W tym samym roku przeniósł się już jednak do Poznania, gdzie w latach 1945–1947 odbył studia prawnicze na Uniwersytecie Poznańskim, a bezpośrednio po nich studia socjologiczne na Wydziale Humanistycznym UP. W 1946 r. Zygmunt Ziemiński podjął pracę w Katedrze Teorii i Filozofii Prawa Uniwersytetu Poznańskiego, kierowanej przez Czesława Znamierowskiego, wpraw jako asystent wolontariusz, od 1949 jako asystent. W tym samym roku obronił pracę doktorską z zakresu prawa: *Procesy o zniewagę jako problem techniki społecznej*. Tytuł docenta otrzymał w 1955 r. na podstawie rozprawy: *Podłoże sporów sądowych o alimentacje dzieci pozamałżeńskich*. Kilka lat później z wyróżnieniem ukończył studia w Centre Européen Universitaire w Nancy. W 1962 r. został kierownikiem Pracowni, przekształconej po czterech latach w Zakład Prawniczych Zastosowań Logiki. Późno, bo dopiero w 1981 r., po przeniesieniu się prof. Adama Łopatki do Warszawy, powierzono mu Katedrę Teorii Państwa i Prawa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Kierował nią do przejścia na emeryturę w roku 1990. Jeszcze później, w 1991 r., został wybrany członkiem korespondentem Polskiej Akademii Nauk.

Zygmunt Ziemiński był aktywnym członkiem wielu organizacji i stowarzyszeń naukowych. Polem jego działalności były: Rada Legislacyjna przy Prezesie Rady Ministrów, Rada Naukowa Instytutu Państwa i Prawa Polskiej Akademii Nauk, Komitet Nauk Prawnych PAN, Centralna Komisja do spraw Stopni Naukowych i Tytułu Naukowego, Polskie Towarzystwo Filozoficzne, Polskie Towarzystwo Socjologiczne, Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Międzynarodowe Stowarzyszenie Filozofii Prawa i Filozofii Społecznej, Międzynarodowe

Stowarzyszenie Metodologii Prawniczej. Wchodził do redakcji renomowanych periodyków prawniczych i humanistycznych.

Jako badacz Zygmunt Ziemiński był osobą niezależną. Niezależność uzyskiwał przez podejście do prawa przez opanowanie dyscyplin pokrewnych, odważnie płynąc pod prąd opinii środowiska. Sławomira Wronkowska pisze w pięknym wspomnieniu: „W pracy badawczej nie poddawał się władzy politycznej, choć pracę tę rozpoczynał w czasach polskiego stalinizmu. W latach pięćdziesiątych miał odwagę prowadzić badania nad społecznym funkcjonowaniem prawa, mimo że socjologia była wtedy wykreślona z programów uniwersyteckich. Wytrwale zajmował się logiką i jej prawniczymi zastosowaniami, choć zarzucano mu formalizm, a sama logika była uważana przez długie lata za dyscyplinę »podejrzaną«. Teorię prawa, dziedzinę poddawaną silnym naciskom ideologicznym, uprawiał neutralnie, wręcz demonstracyjnie odżegnując się od ideologii. Nie ulegał też zmieniającym się modom naukowym i panującym w środowiskach naukowych stereotypom. Niezależnie od nich przez długie lata systematycznie i konsekwentnie rozwijał swój paradygmat. Nie dbał o to, czy jego idee spotkają się z oficjalnym uznaniem, choć niestrudzenie zabiegał, by były one przydatne dla prawoznawstwa. Nie poddając się naciskom żadnego środowiska, stworzył dzieło oryginalne i precyzyjne”¹.

Pierwszym polem zainteresowań badawczych Zygmunta Ziemińskiego była socjologia prawa, a jego pierwsze w powojennej Polsce monografie – o alimentowaniu dzieci pozamażeńskich i o społecznym podłożu przysposobienia dziecka miały charakter pionierski. Jak stwierdza Sławomira Wronkowska-Jaśkiewicz: „przełamywały one przestarzały paradygmat uprawiania nauk prawnych i otwierały dla prawoznawstwa nową, nader obiecującą perspektywę”. Zainteresowania tą problematyką podsumował autor w 1975 r., ogłaszając pracę *Socjologia prawa jako nauka prawna*².

Drugim polem naukowych fascynacji Zygmunta Ziemińskiego była logika, którą traktował jako sztukę praktycznego działania. Ich wyrazem był znakomity, wielokrotnie wznawiany, podręcznik akademicki *Logika praktyczna* oraz monografia *Logiczne podstawy prawoznawstwa* z 1966 r. Autor dawał w niej logiczną charakterystykę języka prawnego i prawniczego, „ogólną koncepcję modalności normatywnych oraz wynikania norm z norm”.

Ważne osiągnięcia notował w badaniach nad metodologicznym statusem nauk prawnych. Odrzucił on tradycyjny ich podział na teorię prawa, nauki historyczno-prawne i nauki poszczególnych gałęzi prawa. Wykazał, że w prawoznawstwie stawia się i rozwiązuje cztery typy problemów: teoretyczne, dogma-

¹ S. Wronkowska-Jaśkiewicz, *Zygmunt Ziemiński 1920 – 1996*, [w:] Wielkopole XX wieku. Wielkopolska Biblioteka Publiczna, Poznań 2001, s. 627.

² Ibidem.

tyczne, socjotechniczne i metodologiczne. Ważne bowiem, jakie stany rzeczy zamierza się rozwiązać przez realizowanie owych norm. Metodologicznym problemom w pracach poświęcił Zygmunt Ziemiński dwie doniosłe syntezы: *Metodologiczne zagadnienia prawoznawstwa* (1974) oraz *Szkice z metodologii szczegółowych nauk prawnych* (1983).

Zygmunt Ziemiński podejmował też – idąc śladem swego mistrza Czesława Znamierowskiego i pod wpływem studiów Marii Ossowskiej – problemy związków zachodzących między prawem a moralnością; pytał o rolę ocen i norm moralnych w prawie. Uważał, że w działaniu należy kierować się intuicją moralną i głosem sumienia. Potwierdzał zawikłość tej materii w monografiach pochodzących z lat dziewięćdziesiątych: *O pojmowaniu pozytywizmu oraz prawa natury*, *Wstęp do aksjologii dla prawników*, *Wartości konstytucyjne* oraz *Sprawiedliwość społeczna jako pojęcie prawne*. Ta ostatnia praca ukazała się już po śmierci autora.

Opus magnum Zygmunta Ziemińskiego i podsumowaniem wcześniejszych jego studiów i przemyśleń były opublikowane w roku 1980 *Problemy podstawowe prawoznawstwa*. Bogata w treść książka zawiera wiele myśli ważnych, burzących zastane w nauce konstrukcje. Tezą naczelną wykładu jest uznanie, że przy całym szacunku dla badań w aspekcie formalnym trzeba w badaniach nad prawem uwzględniać także aspekt realny zjawisk prawnych, m.in. dlatego, że normy prawne nie są na ogół formułowane wprost.

Trudno nie wspomnieć i nie podkreślić, że Zygmunt Ziemiński był znakomitym mistrzem. Pod jego naukowym patronatem zdobywali profesorskie szlify Leszek Nowak, Maciej Zieliński, Sławomira Wronkowska-Jaśkiewicz. W jego seminarium dojrzewały pokolenia prawników, którzy stali się znanymi nauczycielami akademickimi, kierownikami katedr, wśród innych Grzegorz Banaszak, Ewa Borkowska-Bagieńska, Michał Chmara, Andrzej Gomułowicz, Andrzej Klawiter, Jerzy Małecki, Aurelia Nowicka, Adam Olejniczak, Wojciech Patryas, Bożena Popowska, Tomasz Sokołowski, Kazimierz Świrydowicz, Jerzy Walkowiak, Maria Zmierzak. Uczestnikami seminarium byli też znani ludzie polityki, kultury i sztuki (wśród innych Anna Bogucka-Skowrońska, Paweł Łączkowski, Filip Bajon, Jan A.P. Kaczmarek). Oni wszyscy tworzyli poznańską szkołę teorii prawa, stanowiąc wspólnotę, w której Mistrz wysuwał problemy i stawiał pytania, ale wiele impulsów pochodziło także od uczniów. Nie było na Wydziale moich czasów bardziej płodnej wspólnoty.

Nota wydawnicza



Informacje o pierwodrukach tych artykułów zamieszczonych w niniejszym tomie, które ukazały się wcześniej w innych publikacjach, oraz noty bibliograficzne:

Juliusz Bardach

Między Themis a Clio. Spojrzenie na warsztat naukowy Juliusza Bardacha, [w:] *W poszukiwaniu dobra wspólnego. Księga jubileuszowa Profesora Macieja Zielińskiego*, pod red. A. Choduń i S. Czepity, Szczecin 2010, s. 949–964. W niniejszym przedruku wykorzystano też moje *Wspomnienie o Juliuszu Bardachu 1914–2010*, „Nauka” 2010, nr 1, s. 159–163.

Jan Baszkiewicz

Tekst szkicu oparty jest na uwagach wstępnych do tomu zawierającego antologię prac Jana Baszkiewicza (Jan Baszkiewicz, *Państwo – rewolucja – kultura polityczna*, wstęp napisał i przygot. do druku H. Olszewski, Poznań 2009) oraz na wspomnieniach drukowanych przeze mnie w periodykach: „Kwartalnik Historyczny”, „Nauka”, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki” (współ z Leszkiem Gasztowtem) bezpośrednio po śmierci Jana Baszkiewicza.

Martin Broszat

„Przegląd Zachodni” 1988, R. 44, nr 4, s. 157–166.

Edmund Cieślak

Edmund Cieślak 1922–2007, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 2008, t. 60, z. 1, s. 332–334; tekst poszerzony.

Władysław Czapliński

„Czasopismo Prawno-Historyczne” 1982, t. 34, z. 2, s. 249–251; tekst poszerzony.

Antoni Czubiński

Antoni Czubiński – w siedemdziesiątą rocznicę urodzin, „Zbliżenia. Polska-Niemcy” 1999, t. 23, nr 3, s. 97–102.

Robert Feenstra

Wspomnienie napisane wspólnie z Juliuszem Bardachem, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 2002, t. 54, z. 1, s. 11–15.

Stanisław Grodziski

[Laudacja na pięćdziesięciolecie pracy twórczej na Uniwersytecie Jagiellońskim w dniu 26 marca 2001 r.] *Profesor Stanisław Grodziski*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 2001, t. 53, z. 2, s. 264–269; *Stanisław Grodziski. Laudacja w osiemdziesięciolecie urodzin*, wygłoszona 25 stycznia 2009 r. w Auli Wyższej Szkoły Administracji w Bielsku-Białej, [w:] *Drogi, bezdroża nauk historyczno-prawnych*, praca zb. pod red. M. Małeckiego, Bielsko-Biała 2010, s. 7–12; tekst został poszerzony.

Konstanty Grzybowski

„Czasopismo Prawno-Historyczne” 1971, t. 23, z. 1, s. 241–256.

Jörg K. Hoensch

„Czasopismo Prawno-Historyczne” 2002, t. 54, z. 1, s. 485–488.

Werner Jochmann

H. Olszewski, *Wernera Jochmanna badania nad rodowodem nazizmu w Niemczech*, [w:] Werner Jochmann, *Kryzys społeczny – antysemityzm – narodowy socjalizm*, wstęp i oprac.: H. Olszewski, przekł. B. Mrozwicz, Poznań 2007, s. 5–39.

Karol Jonca

„Czasopismo Prawno-Historyczne” 2008, t. 60, z. 2, s. 435–439.

Zdzisław Kaczmarczyk

Tekst jest zbiorem fragmentów mojej książki pt. *Zdzisław Kaczmarczyk (1911–1980)*, „Magistri nostri”, Poznań 2007.

Alfons Klafkowski

Alfons Klafkowski 18 X 1956 – 31 VIII 1962, [w:] *Poczet rektorów Almae Matris Posnaniensis*, pod red. T. Schramma, („Dzieje UAM”, nr 16), Poznań 2004, s. 189–197; tekst nieznacznie poszerzony.

Bibliografia: Archiwum Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza (akta osobowe, protokoły Senatu i Rady Wydziału Prawa i Administracji); Kronika Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu za rektoratu Alfonsa Klafkowskiego, Poznań 1965; B. Miśkiewicz, *Profesorowi Alfonsowi Klafkowskiemu – zamiast przedmowy*, [w:] *Polska i świat. Studia nad prawem międzynarodowym i współczesnymi stosunkami międzynarodowymi*, pod red. H. Olszewskiego, (Prawo, nr 88), Poznań 1978, s. 5–10; H. Olszewski, *Prawo międzynarodowe a polska racja stanu. Próba charakterystyki twórczości naukowej Alfonsa Klafkowskiego*, [w:] *Polska i świat*, s. 11–42; T. Gadkowski, J. Tyranowski, *Alfons Klafkowski. Prawnik internacjonalista*, („Magistri nostri. Profesorowie Wydziału Prawa Uniwersytetu Poznańskiego”), pod red. A. Gulczyńskiego, Poznań 2004; tamże bibliografia, wykaz habilitacji i doktoratów z udziałem A. Klafkowskiego.

Gerard Labuda

In Memoriam Gerard Labuda (1916–2010), „Czasopismo Prawno-Historyczne” 2011, t. 63, z. 1, s. 533–536; tekst poszerzony.

Bogdan Lesiński

Próbę charakterystyki naukowej dałem we wspomnieniu ogłoszonym na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego” 2001, t. 53, z. 2, s. 277–283. Artykuł ten stanowi również podstawę niniejszego poszerzonego tekstu; tamże także bibliografia prac opublikowanych przez

B. Lesińskiego pióra W. Szafrąńskiego, s. 283–289. Akta osobowe Bogdana Lesińskiego znajdują się w Archiwum UAM.

Witold Maisel

Skąpe materiały o Witoldzie Maislu przechowywane są w Archiwum Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza oraz w Archiwum Oddziału PAN w Poznaniu. Nieliczne są też publikacje. Stosunkowo najwięcej materiału zawiera wydawnictwo: *Historia prawa – historia kultury. Liber Memorialis Vitold Maisel dedicatus*, pod red. E. Borkowskiej-Bagieńskiej i H. Olszewskiego, Poznań 1994 („Prace Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza”, t. I); tamże tekst wydawców pt. *Witold Maisel 1914–1993*, s. 5–13, oraz bibliografia prac W. Maisla pióra Andrzeja Gulczyńskiego, s. 15–37. Autorami wspomnień pośmiertnych są m.in. J. Sobczak („Czasopismo Prawno-Historyczne” 1995 wyd. 1996, t. 47, z. 1–2, s. 299–301), E. Borkowska-Bagieńska („Kronika Miasta Poznania” 1993, nr 3–4, s. 504–507), A. Gulczyński (*Witold Maisel – badacz dziejów Poznania, twórca polskiej archeologii prawnej*, „Kronika Miasta Poznania” 1995, nr 1, s. 263–274) oraz H. Olszewski (*Witold Maisel*, [w:] *Wybitni historycy wielkopolscy*, pod red. J. Strzelczyka, wyd. 2, Poznań 2010, s. 563–578).

Friedrich Meinecke

Friedrich Meinecke. Z dziejów ideologii konserwatyzmu w Niemczech, [w:] *Studia z dziejów myśli politycznej w Niemczech XIX i XX wieku*, praca zb. pod red. H. Olszewskiego, Poznań 1982, s. 143–173.

Anna Michalska

Naukowe pasje Anny Michalskiej, „Życie Uniwersyteckie” 2002, nr 1, s. 4–6; tekst poszerzony.

Kazimierz Orzechowski

„Czasopismo Prawno-Historyczne” 2003, t. 55, z. 2, s. 307–320 (w dziale „Rozmowy w redakcji”: *Z Profesorem Kazimierzem Orzechowskim rozmawia Henryk Olszewski*)

Janusz Pajewski

Janusz Pajewski 1907–2003, „Kwartalnik Historyczny” 2004, t. 111, nr 4, s. 207–210; tekst poszerzony.

Zbigniew Radwański

„Czasopismo Prawno-Historyczne” 2013, t. 65, z. 1, s. 546–552; poszerzona wersja wspomnienia, wygłoszonego na posiedzeniu Komitetu Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk 10 czerwca 2013 r.

Franciszek Ryszka

„Czasopismo Prawno-Historyczne” 1999, t. 51, z. 1–2, s. 505–507; tekst poszerzony.

Michał Szczaniecki

J. Bardach, H. Olszewski, *Michał Szczaniecki 1910–1977*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1978, t. 30, z. 1, s. 275–293; tekst ten również u J. Bardacha, *W obiektywie nauki i w lustrze pamięci. O uczonych, pisarzach i politykach XIX i XX wieku*, pod red. W. Sudnik, Warszawa 2004, s. 279–300.

Edward Serwański

Badacz rzetelny i niekonwencjonalny, [w:] *Pozytywista z duszą romantyka. O życiu i twórczości Edwarda Serwańskiego*, pod red. H. Olszewskiego, Poznań 2008, s. 29–61; skrócona wersja rozdziału; zrezygnowano z licznych w pierwodruku przypisów.

Marek Sobolewski

Scalona i poszerzona wersja dwóch tekstów: wspomnienia pośmiertnego *In memoriam: Marek Sobolewski 1925–1983*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1984, t. 36, z. 1, s. 265–269, oraz artykułu recenzyjnego *Rozważania o kulturze politycznej Polaków. W związku z książką Marka Sobolewskiego „Pisma nieznanne i rozproszone”*, pod red. K. Chojnickiej i M. Jaskólskiego, Kraków 2003.

Jerzy Walachowicz

„Kwartalnik Historyczny” 2015, R. 122, nr 1, s. 213–216.

Bibliografia prac naukowych prof. Jerzego Walachowicza z lat 1957–2002 w: *Studia z historii ustroju i prawa. Księga dedykowana Profesorowi Jerzemu Walachowiczowi*. „Prace Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, t. VII”, pod red. H. Olszewskiego, Poznań 2002, s. 5–12.

Zygmunt Wojciechowski

Tekst w pierwszej części jest poszerzoną wersją artykułu zamieszczonego w pracy zbiorowej *Wybitni historycy wielkopolscy*, pod red. J. Strzelczyka, wyd. 2, Poznań 2010, s. 297–318, w drugiej części – powtórzeniem tekstu, pt. „*Najmilejszy i najznakomitszy*” uczeń *Oswalda Balzera. O lwowskich powiązaniach Zygmunta Wojciechowskiego*, „Acta Universitatis Wratislaviensis” No 3270. Prawo CCCXI, s. 59–72.

ISBN 978-83-232-2918-6



9 788323 229186